

Ofiara

Masterton Graham



calibre 0.9.43

Ofiara

Moim zdaniem bezpieczeństwo Europy nie jest wyłącznie sprawą Europejczyków. Mamy obowiązek pomagać naszym sojusznikom w Europie, gdyż bezpieczna Europa służy naszym wspólnym interesom. Nie oznacza to jednak, że Ameryka gotowa będzie na każde poświęcenie, na każdy sygnał, jaki nadejdzie z tamtej strony.

Senator Larry Pressler przewodniczący Podkomitetu
Kontroli Zbrojeń Komisji Spraw Zagranicznych Senatu USA

24 czerwca 1984

Jesteśmy gotowi ponieść każdą ofiarę konieczną dla osiągnięcia zwycięstwa komunizmu na świecie.

Mao Tse-tung

1944

Gdy źli ludzie stają do walki, dobrzy ludzie muszą w niej uczestniczyć. W przeciwnym wypadku zostaną zniszczeni w niepotrzebnej ofierze niegodziwej walki.

Edmund Burke

1794

Książka ta jest jedynie wytworem wyobraźni. Wszystkie postaci wydarzenia w niej opisane są wymysłem autora, a jakakolwiek zbieżność z żyjącymi ludźmi i prawdziwymi wydarzeniami jest wyłącznie przypadkowa.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Właśnie mył naczynia po obiedzie, gdy na wybrukowanym kamieniami podjeździe przed Budynkiem zatrzymał się szary mercedes 350 SL. Natychmiast zorientował się, że go odnaleźli. Przypadkowo wyszarpnął zatyczkę ze staromodnego porcelanowego zlewu i brudna woda spłynęła z nagłym i ostrym bulgotaniem.

- Karin! - zawołał, a gdy nie usłyszał odpowiedzi, krzyknął ponownie: — Karin! - sięgając jednocześnie ręką za siebie, by rozwiązać fartuch.

Na zewnątrz, w oślepiającym majowym słońcu, mercedes zatrzymał się za żółtym volkswagenem, ale jego silnik wciąż pracował. Słońce odbijało się od samochodowych szyb tak mocno, że Nicholas nie mógł zobaczyć, kto jest w środku. Ale mógł łatwo zgadnąć: zapewne byli to ci

sami trzej mężczyźni, którzy czekali na niego przy straganie z rybami na Gammel Strand w Kopenhadze mglistym rankiem dziesiątego lutego. Trzej mężczyźni, jego nemezis.

Karin z łoskotem otworzyła stare drewniane drzwi i powiedziała:

- Pani Nexo jest wściekła. Z pralni nie wróciła połowa poszewek.

- Słuchaj - odezwał się Nicholas, nie odrywając oczu od mercedesa. - Czy mogłabyś pozmywać za mnie te naczynia? Muszę zatelefonować.

- Zatelefonować? - powtórzyła, marszcząc brwi. - Ale ja muszę jeszcze odkurzyć jadalnię. -

Bez entuzjazmu spojrzała na stertę niebiesko-białych talerzy firmy Bing & Grondahl, wysmarowanych

zeschniętym majonezem i upstrzonych resztkami ryb, oraz na rząd pustych butelek po piwie.

- Zastąp mnie przez chwilkę - poprosił Nicholas. - Bardzo mi na tym zależy.

Karin - rudowłosa, piegowata dziewczyna z zadartym nosem i długim warkoczem opadającym

za szyję - ruszyła przez ponurą, wyłożoną kafelkami kuchnię i podeszła do okna. Jej włosy załśniły jak

miedziane rondle wiszące nad błękitno-białą ceramiką. Przez moment wyglądała jak dziewczyna z portretu duńskiego realisty Jorgena Roeda. Był to trudny do uchwycenia ułamek sekundy: zaraz

bardziej realne stało się to, co teraz było ważniejsze i co wciskało się nagle w życie ze wszystkich stron. Zegar w hallu wybijający trzecią. Gorączka majowego dnia. I trzech mężczyzn czekających na zewnątrz w mercedesie.

Właśnie, najbardziej ciążyła obecność tych trzech facetów.

- Dobrze się czujesz? — zapytała Karin. - Wyglądasz, jakbyś nagle ujrzał własny grób.

- Muszę zatelefonować, to wszystko.

- Pani Nexo będzie chciała, żebyś pojechał do Randers i odnalazł te poszewki.

- Karin — powiedział Nicholas. - Kocham cię.

Karin zabawnie wyduła wargi. Skupiła wzrok na paseczku do zawiązywania fartucha.

- Czy myślisz, że skoro jesteś Amerykaninem, to możesz sobie owinać każdą dziewczynę dookoła palca?

Nicholas koniecznie chciał jeszcze ją pocałować, ale nie było czasu na romantyczne gesty. Na zewnątrz trzasnęły głośno drzwiczki samochodu. Dwóch mężczyzn w szarych garniturach przeszło przez podjazd, kierując się prosto do wejścia. Nicholas szybko rozejrzał się po kuchni i wziął duży kuchenny nóż, jeszcze oblepiony łuskami śledzia. Podczas gdy Karin wpatrywała się w niego zdezorientowana, doszedł do drzwi prowadzących do hallu i zaczął nasłuchiwać. Karin chciała go o coś zapytać, ale Nicholas dał jej znak ręką, żeby milczała.

Usłyszał odgłosy rozmowy prowadzonej po duńsku. Jeden z facetów miał gruby, twardy akcent i wymowę przywodzącą na myśl hałas zmywarki do naczyń.

- Powiedziano nam, że pracuje tutaj Amerykanin. Proszę się nie martwić, nie jesteśmy z

Tilsynet med udlaendinge. Jesteśmy po prostu jego przyjaciółmi. To Nicholas Reed, prawda?

- Nie wiem. Nie pracuje tutaj żaden Amerykanin. Dlaczego niby miałyby pracować?

To była wymijająca odpowiedź pani Nexo. Jeszcze mąż nieboszczyk nauczył ją, że są na świecie tylko dwa rodzaje ludzi: sprzedawcy i kupcy. Sprzedawcy nigdy niczego nie dają kupcom za darmo, ponieważ mogłoby to zniszczyć równowagę na rynku, nie wspominając o sytuacji finansowej Hvidsten Inn.

- Taki wysoki mężczyzna, sześć stóp wzrostu. Wygląda na szczupłego. Chuda twarz, jasne, kręcone włosy. Czy zna pani Donalda Sutherlanda, amerykańskiego gwiazdora filmowego? Jest do

niego podobny.

Cisza. Ktoś zakaszłał i szurnął nogami. I znów głos pani Nexo:

- Nie, nikt taki tutaj nie pracuje. Czy jesteście, panowie, pewni, że chodzi o Hvidsten Inn?

Pytaliście również w innych miejscach w pobliżu?

- Nie, chodzi o Hvidsten Inn. Nie ma żadnej pomyłki.

- Cóż, przykro mi, nie mogę jednak panom w niczym pomóc. Ktoś powiedział coś szybko i

niewyraźnie w innym języku, prawdopodobnie po rosyjsku. Po chwili jakiś grobowy głos odezwał się

ponownie:

- To dla nas bardzo ważne. Musimy porozmawiać z panem Reedem. Tu chodzi o jego matkę.

Widzi pani, ona jest bardzo poważnie chora. Nie zostało jej wiele życia i jeśli go nie odnajdziemy, cóż...

Jeszcze jedna przerwa. Nicholas wyteńczył słuch, żeby usłyszeć, co się dzieje, ale stojący na podjeździe volkswagen nagle warknął uruchamianym silnikiem i nawet jeśli ci mężczyźni mówili coś teraz do pani Nexo, to i tak nie mógł tego usłyszeć.

Karin z niepokojem w głosie zapytała:

- Nicholas, co się dzieje? Po co ci ten nóż? Nicholas! Nicholas ponownie machnął do niej, żeby się uciszyła. Silnik volkswarena zakaszłał i zgasł, a kierowca prawie natychmiast ponownie uruchomił

starter. W krótkiej sekundzie ciszy Nicholas usłyszał jednak, jak pani Nexo mówi:

- Trzy tysiące koron? Co spodziewacie się usłyszeć za trzy tysiące?

Nicholas odszedł od drzwi, skradając się najciszej, jak tylko mógł, stąpając po wyłożonej kafelkami i wypolerowanej podłodze. Chwycił Karin za nadgarstek i powiedział szybko:

- Nie martw się o te naczynia. Muszę iść. Ale, proszę, wykonaj ten telefon za mnie, dobrze?

Zadzwoń do człowieka o nazwisku Charles Krogh, do Kopenhagi. Zwykle można go znaleźć w

K0benhavn przy Gothergade. Zapisz sobie numer telefonu: dwadzieścia jeden - osiemnaście - zero -jeden. Aha, jeśli go tam nie będzie, spróbuj go znaleźć w mieszkaniu przy Lars-bjornstrade.

- Co mam mu powiedzieć?

- Powiedz mu, że dzwoni z Lamprey. Powiedz mu: stary kod. Stary kod. Będiesz pamiętać? To wszystko, co masz powiedzieć.

- Lamprey? - Karin miała kłopoty z wypowiedzeniem tego słowa. - Stary kod?

Nicholas pocałował ją. Była miękka, miała delikatną skórę. Smakowała kwiatowym mydłem i duńską salami.

- Wrócę, kiedy tylko będę mógł - powiedział jej. Nie robili niczego razem, z wyjątkiem sporadycznych wypadów rowerowych do Asferg, gdzie Karin miała ciotkę, uśmiechniętą kobietę o potężnych ramionach. Raz pojechali do Randers Fjord i urządzili sobie piknik nad brzegiem morza, które falując w silnym wietrze, tworzyło wspaniałe obrazy.

Karin oddała mu pocałunek, zmartwiona i zdezorientowana. Był zawsze taki opanowany, lakoniczny, zawsze uprzejmy, traktujący wszystkich dookoła z taką amerykańską grzecznością. Nie mogła zrozumieć, dlaczego taki człowiek musi nagle od czegoś uciekać.

- Mogą tu przyjść i zadawać ci pytania. Wtedy, wiesz, udawaj, że nie masz pojęcia, o kogo chodzi.

Uśmiechnął się. Szybko wyszedł przez drewniane drzwi i zniknął w ciemnym, wyłożonym kamiennymi płytami korytarzu prowadzącym na tyły budynku. Gdy doszedł do końca korytarza i naciskał klamkę z kutego żelaza, nie był jeszcze zdecydowany, co robi. Słyszał głosy dobiegające z podjazdu przed gospodą, ale były to prawdopodobnie głosy zwykłych turystów. Świejące słońce nagrzało kamienne schody i rudy kot, który spał między pelargoniami, odwrócił się i spojrzał na niego

wąskimi oczami. Koty bezbłędnie rozpoznają ofiary.

Poczekał jeszcze jedną czy dwie sekundy, wyszedł na słońce i skierował się ostrożnie wzdłuż

ściany do połowy wyłożonej drewnem, a od połowy w górę pobielonej wapnem. Hvidsten Inn była kryta strzechą - malowniczą, staromodną jutlandzką kro - tak że mógł słyszeć szelest myszy pod okapem. Znalazł się przy końcu budynku i podjął ryzyko spojrzenia za róg, żeby zobaczyć, czy któryś z trzech mężczyzn nie wpadł na pomysł przeszukania ogrodu. Ale ogród był pusty. Zobaczył tylko białe stokrotki kołyszące się na wietrze. I starą drewnianą taczkę, pełną narzędzi ogrodniczych. Miał właśnie przejść przez ogród, aby schronić się w cieniu kasztanowców kwitnących białym kwieciem, otaczających gospodę od północno-zachodniej strony, gdy nagle otworzyły się jakieś drzwi.

Wyszedł z nich mężczyzna palący papierosa, ubrany w szary garnitur. Rozmawiał z kimś, kto był w środku i kogo Nicholas nie mógł widzieć.

- Powiedziała, że prawdopodobnie zmywa naczynia.

- Cóż, może wyszedł tylko na chwilę?

— Tak myślisz?

Mężczyzna rozejrzał się po ogrodzie i zakasłał.

— Nikt nie mógł go ostrzec, że przyjeździemy.

— A więc gdzie jest?

- Skąd mam wiedzieć? Ta dziewczyna coś kręci, trzeba ją sprawdzić jeszcze raz.

Drugi mężczyzna nic nie odpowiedział, ale pozostał sam na schodach i paląc papierosa, spoglądał na ogród. Miał krótkie włosy piaskowego koloru i nosił szerokie czarne buty, takie, jakie wkładają zwykle ludzie interesu. Nicholas nie mógł widzieć zbyt dokładnie jego twarzy, ale wydała mu się blada i bryłowata jak rzepa.

Nicholas czekał, zlany potem, przekładając nóż kuchenny z jednej ręki do drugiej. Mężczyzna ponownie zakasłał. Nicholas był przekonany, że nie będą go szukać. Nie tym razem, przynajmniej.

Ale i tak był to dla niego szok, gdy ujrzał zatrzymujący się przed gospodą szary samochód z ludźmi, którzy byli pozbawieni wszelkich skrupułów i tak bezkompromisowi jak choroba, która opiera się

wszelkiej kuracji. Muszą wiedzieć, że nie puścił jeszcze pary z ust, skoro ciągle zależy im na tym, by go uciszyć. Wyobrażał sobie, że spędzi w Hvidsten Inn leniwe i sielankowe lato, a potem zimą spróbuje ukradkiem opuścić Danię.

Jednakże teraz musiał się zastanowić nad innymi sposobami wymknięcia się z ich łap. Rozsądna byłaby sprytna zmiana wyglądu lub, raczej skomplikowana możliwość, powtórny powrót i zmiana nazwiska, żeby zgubili jego ślad. W grę wchodziło niewiele rozwiązań. Nawet teraz - jak się stąd wydostać? Nie wiedział, dokąd uciekać, mimo że zdobył trochę informacji o okolicznym terenie. I tak problem z wybraniem jakiegokolwiek miejsca, dokąd mógłby uciec, był niemal nierozwiązywalny.

Tajemnice są jak namiętności. Zwykle przerastają tych, którzy zostali wybrani, aby je dźwigać.

Pozbycie się tego ciężaru oznacza dla wielu koniec. Tego popołudnia, gdy stał oparty plecami o ścianę

Hvidsten Inn, Nicholas uzmysłowił sobie wyraźniej niż dotąd, że tajemnice, które poznał, mogą go zabić.

Mężczyzna w szarym garniturze wrócił do gospody. Po chwili zamknęły się za nim drzwi.

Nicholas wyszedł szybko ze swojego ukrycia, zza rogu gospody, i przeszedł przez krótki odcinek jasnej, zielonej trawy, która oddzielała gospodę od kasztanowców. Przestraszył go gołąb, który niespodziewanie zaczął gruchać. Nie zatrzymał się jednak.

Był już prawie przy drzewach, gdy usłyszał wołający go szorstki głos:

— Ty, hej, ty! Jedną chwileczkę! Nicholas nie odwrócił się, ale odkrzyknął:

— To ja, ogrodnik. Idę się odlać. Jedną chwileczkę.

I zaczął biec między drzewami, potem przez skwerek, przeskoczył zasypany liśćmi rów pocętkowany przez światło i cienie oraz migoczące krzaki, rosnące wzdłuż starego, w połowie zniszczonego parkanu. Nagle znalazł się na nie zadrzewionym terenie, na oślepiająco żółtym polu gorczycy.

Ciągle się nie odwracał i biegł tak szybko, jak tylko dawał radę, zanurzając się w gorczycę, jak

gdyby rzucił się w mętne, płytkie jezioro. Był wysportowany, więc dłuższy bieg nie powinien sprawić

mu kłopotu. Przy odrobinie szczęścia mógł dotrzeć na drugą stronę pola, gdzie stał zwieńczony dachówkami mur, a za nim biały, pokryty czerwonym dachem kościół świętego Jorgensa, gdzie mógł znaleźć jakąś kryjówkę pomiędzy przybudówkami i sadami.

Ziemia pryskała mu spod stóp. Jego oddech brzmiał mu w uszach jak oddech kogoś biegnącego blisko za nim i gdy przebiegł już trzecią część drogi przez pole, musiał się odwrócić, aby się upewnić,

że tak nie jest. Jeden z mężczyzn w szarych garniturach stał w cieniu drzew, trzymając ręce na biodrach. Nie było śladu po pozostałych.

Ciągle biegł. Niebo nad jego głową było niebiesko-białe, niczym powycinane wycinarką. Stopy dudniły na szypułkach gorczycy, a do uszu wpadały mu owady. Miał nadzieję, że Karin zadzwoni do Charlesa, chociaż tak naprawdę nie wiedział, czy to coś pomoże. Charles może nie zrozumieć kodu. A

jeśli nawet zrozumie, może go to wcale nie obchodzić. Nie widział Charlesa przez długi czas, ale wiedział, że zajęty jest swoim ulubionym Jackiem danielsem i swoją przyjaciółką. Dlatego może nie zechceć znów się narażać na niebezpieczeństwo.

Był tylko sto jardów od muru, gdy zauważył, że drogę zajeżdża mu z naprzeciwka szary mercedes. Nicholas zdał sobie sprawę, że go dopadną, zanim dobiegnie do muru. Samochód ciągnął za

sobą chmurę kurzu i żółtego piachu, która upodabniała się do dziwnej sennej mary.

Oddychał coraz szybciej. Chociaż był wygimnastykowany i sprawny, niewygodne ubranie znacznie utrudniało mu bieg. Było strasznie duszno, a prawie krańcowe już zmęczenie powodowało, że łapały go skurcze. Najpierw instynktownie chciał biec w bok, jak najdalej od mercedesa, ale w porę

się zorientował, że wtedy byłby dla nich łatwą zdobyczą. Ostatecznie więc zaczął biec naprzeciwko, mając nadzieję ominąć samochód tak blisko, jak tylko będzie to możliwe, żeby zmusić kierowcę do

wykonania szerokiego łuku. Łudził się, że może chcą mu tylko zadać kilka pytań, nie potrzebują jego śmierci. Albo że jeden szczęśliwy strzał trafi go i skończy z nim w biegu. Jego gardło było pełne flegmy i oddech stawał się z każdym krokiem coraz cięższy.

Mercedes ruszył ku niemu. Pozostało mu tylko czterdzieści jardów. Teraz zrozumiał, że pomysł przebiegnięcia pola był nie do zrealizowania. Zrobił jeszcze sześć lub siedem kroków i upadł na kurzącą się ziemię. Natychmiast zaczął się przekradać przez gorczycę, czołgając się na kolanach i łokciach. Skręcił ostro w prawo.

Czołgał się dobre dwadzieścia jardów, zanim się zatrzymał. Splunął, przecyszczając gardło, i otarł usta rękawem koszuli. Teraz leżał i nasłuchiwał. Usłyszał pracujący silnik mercedesa i skrzypienie kół na suchej ziemi. Nagle samochód zatrzymał się i silnik zgasł. Nie mógł znajdować się daleko, ponieważ dobiegło go lekkie pykanie rozgrzanej karoserii samochodowej. Usłyszał, że otwierają się drzwi, skrzypiąc w zawiasach.

— Widziałeś, dokąd pobiegł? - zapytał ktoś o dziwnym głosie z amerykańskim akcentem.

— Leży na ziemi. Nie martw się, nie może nam uciec. Axel go znajdzie.

Nicholas przypuszczał, że Axel jest tym facetem o bryłowatej twarzy, którego widział w ogrodzie i który gonił go między drzewami. Leżał z policzkiem przy ziemi, próbując stłumić sapanie.

Bursztynowy owad wspiał się na łodygę gorczycy, na wprost jego nosa. Stwierdził, że mogłoby to być

tak samo dobre miejsce na śmierć jak każde inne. Zastanawiał się, co by pomyślała jego matka, gdyby

ktoś w dniu jego urodzin powiedział jej, że nowo narodzony syn umrze w Jutlandii w wieku trzydziestu jeden lat, pod majowym niebem, na polu gorczycy.

Nawet teraz, tak daleko stąd, matka musi o czymś myśleć, coś robić, może sprząta w domu albo porządkuje grządki w ogrodzie. Na moment Nicholas zamknął oczy i zapragnął, by podróż w czasie i przestrzeni stała się możliwa tylko dzięki myśleniu o czymś. Zdawało mu się, że jest w ogrodzie w

Colonial Heights, w Wirginii. To byłby cud, za który zapalałby codziennie świeczkę w kościele przez

resztę swojego cudem uratowanego życia.

Słyszał także skrzypiącą w ogrodzie huśtawkę i głos matki:

— Nicholas mało je, bardzo mało. Jest takim chudzielcem. Mądre dziecko, ale tak chude, że nikt nie dałby za nie pięciu centów.

Jednak skrzypienie ogrodowej huśtawki okazało się zaraz skrzypieniem drzwi mercedesa, a odgłosy lata w Wirginii - odgłosami kroków dwóch mężczyzn w szarych garniturach, którzy przemierzali pole w poszukiwaniu jego, Nicholasa. Znow splunął i otarł pot z warg, wycierając je ręką.

— Nie może być daleko - powiedział jeden z nich. Na chwilę się zatrzymali, po czym ruszyli dalej.

— Axel! - zawołał drugi.

— W porządku, w porządku - odpowiedział Axel, zniecierpliwiony. - Widziałem, jak upadł.

Nie może być daleko.

W tym momencie dzwon z pokrytej czerwoną dachówką wieży kościoła świętego Jorgensa odezwał się mocnym i czystym dźwiękiem. Nicholas uniósł lekko głowę i zobaczył, że trzech mężczyźni stoją obok siebie. Jeden z nich był potężnie zbudowany, z olbrzymią głową. Nosił garnitur, naciągnięty na plecach jak brezent na przeładowanej towarem ciężarówce. Nie można było zobaczyć jego twarzy, ponieważ stał zbyt daleko i wycierał czoło dużą niebieską chusteczką. Dwaj pozostali wyglądali całkiem normalnie: w średnim wieku, jeden z nich nosił okulary. Mężczyzna nazwany Axelem zapalił następnego papierosa. Dym zwiewał na wschód, ponad pokrytym dachówkami murem.

Nicholas rozważał, co robić. Jeśli pobiegnie teraz, istnieje szansa, że ich zaskoczy. Mogą strzelać, ale prawdopodobnie mają tylko pistolety i zanim zdołają je wyjąć i strzelić, będzie już poza

zasięgiem skutecznego ognia...

Cóż, pomyślał, teraz albo nigdy. Wstał i ruszył, jeszcze zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi.

Ominął samochód i na przełaj przez pole pobiegł w stronę muru. Żaden z mężczyzn nie krzyknął na niego, ale Nicholas usłyszał ciężkie kroki pościgu. Dotarł do muru, złapał dachówki na szczycie i podciągnął się. Jego nogi zwisały przez chwilę nad ziemią. Zaraz jednak szybkim ruchem przełożył je przez mur i strącając dwie lub trzy dachówki, skoczył prosto na kościelny dziedziniec. Dzwon wciąż bił głośno, jednak biegnąc, Nicholas nic nie słyszał. Przemierzył wszerz wybrukowany dziedziniec, by

w końcu dotrzeć do otwartych drzwi kościoła. W środku było zimno i tak ciemno, że musiał szeroko otworzyć oczy, aby ujrzeć, co się dzieje. W głębi kościoła zebrało się dziesięciu czy jedenastu ludzi, wszyscy byli w letnich ubraniach i kolorowych kapeluszach. Płakało jakieś dziecko. Ksiądz w białej komży stał przed ołtarzem i czytał słowa ceremonii chrztu świętego.

Nicholas przeszedł przez cały kościół. Ponieważ posadzka była wyłożona kafelkami, jego kroki powodowały stukot i wszyscy uczestnicy nabożeństwa popatrzyli w jego kierunku, poirytowani.

- Ojcze - odezwał się. - Ojcze, przepraszam.

Ksiądz spojrzał na niego. Miał białe brwi, a oczy blade jak jajka mewy.

— Proszę o spokój - powiedział. - Teraz jest chrzest.

- Ojcze, potrzebuję twojej pomocy.

— Tutaj i teraz - zagrzmiął młody mężczyzna z długimi wąsami — jest chrzczone dziecko.

Niech pan poczeka na swoją kolej.

— Niech pan usiądzie - poprosił go ksiądz i wskazał na jedną ze stojących nieopodal ławek. -

Proszę tam usiąść, będę panu służył, jak tylko dziecko zostanie ochrzczone.

- Ojcze...

Ksiądz ponownie wskazał na ławkę. Nicholasa przeszyły dreszcze, oblał go zimny pot.

Skrzywił się i jednak usiadł. Kontynuowano ceremonię chrztu. Dziecko dyszało i płakało, płakało i

dyszało. Na ołtarzu znajdowała się statuetka świętego Jorgensa uśmiechająca się prosto w otwarte drzwi kościoła i zdająca się mówić: witamy wszystkich szukających świątyni i pokoju.

Nicholas usłyszał piszczący odgłos kroków. Odgłos butów na gumowej podeszwie, stąpających po kafelkach posadzki. Dwóch mężczyzn, każdy z innej strony kościoła, zbliżało się do niego powoli i z wielkim namaszczeniem. Złożył ręce i zaczął się modlić. Ojcze nasz, na miłość boską, pomóż mi. Święć się imię Twoje. Przyjdź Królestwo Twoje.

Mężczyzna zwany Axelem doszedł do końca rzędów ławek i skierował się w stronę Nicholasa, trzymając jedną rękę na brzuchu, aby nie poruszyć rzędu stojących przed nim krzeseł. W końcu, ciężko dysząc, usiadł obok Nicholasa, złożył ręce i powiedział:

- Powinieneś wiedzieć, że nie masz dokąd uciec. Zwłaszcza nie tutaj. Kościół! Czy myślisz, że możesz tu się oddać pod boską ochronę?

Teraz z drugiej strony kościoła nadszedł inny mężczyzna, ten ogromny facet, na którego

Nicholas zdołał tylko rzucić okiem podczas ucieczki przez pole. Usiadł także i położył ręce na kolanach; masywne, groteskowo wielkie. Jego ramiona znajdowały się wyżej niż Nicholasa uszy i Nicholas nagle poczuł się przy nim zupełnie jak karzeł. Gdy popatrzył na twarz tego mężczyzny, przestraszył się jeszcze bardziej. Ten facet nie tylko był gigantem, lecz twarz miał ohydnie poparzoną.

Jego skóra była cętkowana i naciągnięta, a wargi z jednej strony były ściągnięte w dół. Oczy, otoczone

przez chropowatą skórę, były tak bez wyrazu jak u żółwia, a nos przypominał kawał steku - musiał zostać pożyczony z innej części jego ciała przez chirurga, który rekonstruował twarz. Włosy miał rzadkie, a skórę na uszach pomarszczoną.

- Chcieliśmy z tobą porozmawiać - odezwał się gigant i przełknął ślinę, która zaczynała kapać mu z ust.

- Nie wiem, dlaczego mnie ścigaliście, i za kogo mnie uważacie - odrzekł Nicholas.

- Nie, nie, my cię nie ścigaliśmy. - Axel uśmiechnął się. - To ty uciekałeś! Naturalnie, zainteresowaliśmy się dlaczego. Ludzie uciekają tylko wtedy, gdy są winni lub jeśli mają coś do ukrycia. Byliśmy zaniepokojeni, że możesz się czuć przytłoczony, że cokolwiek ukrywasz, jest to dla ciebie zbyt wielki ciężar. I cóż, chcielibyśmy cię od tego uwolnić.

Uczestnicy ceremonii chrztu spojrzeli na nich, a ksiądz syknął ostro:

- Pst!

- Cóż, nie przeszkadzajmy im bardziej, niż to konieczne - odezwał się Axel przyjacielskim tonem. - Dalej, Nowikow, dawaj drut.

- Nie rozumiem, czego chcecie - powiedział Nicholas.

Axel potrząsnął głową. Ciągle się uśmiechał. Na ramionach marynarki miał łupież, opadający, gdy potrząsał głową.

- Niczego nie musi pan rozumieć, drogi panie Reed. Ani panu, ani panu Nowikowowi nie płacą za rozumienie czegokolwiek. Żyje pan wśród kapitalistów, powinien pan więc to rozumieć. Jeśli ci za

coś nie płacą, nie robisz tego. Moralność i zobowiązania odmierzają pieniądze.

Gdy Axel to mówił, Nowikow wyciągnął zza olbrzymiego pasa długi zwój stalowej linki, cienkiej i błyszczącej, zakończonej po obu stronach białymi uchwytami.

- Co to ma, do diabła, znaczyć? - zapytał Nicholas.

- Ostrożność, to wszystko — odpowiedział Axel. - Dalej, Nowikow, przyjacielu, podaj mi rączkę, tylko ostrożnie.

Nowikow podał jeden koniec linki Axelowi, który natychmiast oddał mu go z powrotem, za plecami Nicholasa. Nowikow ponownie podał ten sam koniec linki Axelowi, tak że teraz cienka stalowa linka opasywała Nicholasa na wysokości bioder.

- Co robicie, do diabła? - zapytał ostro Nicholas. - Słuchajcie, jeśli tak bardzo...

- To tylko ostrożność, nic więcej - odpowiedział Axel. - Teraz proszę nam trochę opowiedzieć

o Lamprey.

- Lamprey? Nie wiem, o czym mówicie.

- Czyżby? Mam ci przypomnieć? A co powiesz o firmie Klar-lund i Christensen? No, dzwoni już w którymś kościele?

Nicholas głośno odchrząknął. Był zlany potem i cały drżał.

- Ostrzegam cię - powiedział do Axela - jeśli nie zdejmiecie ze mnie tej linki i nie zostawicie mnie w spokoju, będę krzyczeć, do cholery, dopóty, dopóki ksiądz nie sprowadzi policji.

- Nie radzę - odparł Axel, marszcząc twarz i robiąc niezadowoloną minę. - Byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś z nami trochę porozmawiał, powiedział nam, co wiesz, a także gdzie zdobyłeś swoje informacje.

Nowikow znów przełknął ślinę i powiedział:

- Nie mamy zamiaru być okrutni, panie Reed.

- Będę krzyczał - odrzekł Nicholas.

- Nie, nie, proszę - powiedział Axel. - To byłoby bardzo nierozważne z pana strony.

- Cholera, będę krzyczał. Daję wam pięć sekund i potem zacznę krzyczeć.

- Panie Reed, proszę! Proszę spojrzeć na to dziecko. Czy ma pan dziecko? Będzie dla pana o wiele lepiej, gdy zachowa się pan rozsądnie.

- Raz - powiedział Nicholas, trzęsąc się, ale stanowczo.

- Panie Reed, apeluję do pańskiego rozsądku. Proszę być rozsądnym.

- Dwa - kontynuował Nicholas.

Axel pochylił się, żeby zwrócić na siebie uwagę Nowikowa. Wymienili dziwne spojrzenia, złośliwe jak u trolli.

- Trzy - zaintonował Nicholas, w momencie gdy dzwon na wieży znów zaczął dzwonić.

- Cztery.

Axel skrzywił się. Pociągnął z całej siły uchwyt stalowej linki, ciągle się uśmiechając.

Nowikow stęknął z wysiłku i szarpnął ręką ostro w prawo. Nicholas poczuł ogromny ból w kręgosłupie, zimny i przenikliwy, ostry jak krawędź szkła. Zorientował się, że nie może wydobyć z siebie słowa, i spojrzał ze zdumieniem na Axela. Próbował powiedzieć:

- Co to za ból? Co mi zrobiliście? - Ale coś podpowiadało mu, że nie funkcjonuje żaden z jego nerwów. Czuł się tak, jak gdyby stalowa linka rozerwała mu oczodoły i pozostawiła je w wielokolorowym nieładzie. Wtedy spróbował się odwrócić do Nowikowa, ale stwierdził, że jest całkowicie sparaliżowany. Jeszcze coś się z nim działo, coś wewnątrz jego mózgu. Czuł zanikanie kontaktu z otoczeniem, ciemność, jak gdyby któreś z ogniw jego umysłu zostało wyłączone. Dobranoc, panowie. Pora wyjść. Umierasz, Nicholas — oto, co się dzieje. Umierasz przy donośnym, monotonnym biciu dzwonu.

Nie mógł pojąć, dlaczego umiera. Nie wiedział, co Axel i Nowikow właściwie z nim zrobili.

Kiedy się oddalili, był świadomy ich odejścia - blade, szare cienie w ciemne popołudnie - a dzwon zdawał się nieśmiało dzwonić. W końcu nie był pewien, czy to dzwon kościelny, czy dzwonek na przejeździe kolejowym w dalekim Colonial Heights.

Upadł. Ksiądz, który zakończył ceremonię chrztu, w pewnym momencie spojrzał w jego kierunku i nagle zrozumiał, że stało się coś strasznego. Dziecko było purpurowe, krzyczało z wściekłością, którą można opanować tylko karmieniem lub przytuleniem.

Ksiądz odezwał się do uczestników ceremonii:

— Przepraszam, proszę chwileczkę zaczekać.

Podszedł do ławki, w której siedział Nicholas. Zbliżył się na odległość dwóch kroków i mógł teraz zobaczyć, co się stało. Przez długą chwilę jednak nie mógł tego zrozumieć. Powoli zaczął w końcu zdawać sobie sprawę, co się wydarzyło. Wolno podniósł rękę do twarzy Nicholasa, jak gdyby chciał się upewnić, czy on jeszcze żyje i jest istotą ludzką.

Tułów Nicholasa, od pasa w dół, upadł na ławkę. Jedno ramię było lekko uniesione, jak gdyby chciało utrzymać górną część ciała w równowadze. Dolna część ciała pozostawała w nie zmienionej, siedzącej pozycji. Axel i Nowikow, używając stalowej linki, przecięli tułów Nicholasa, prosto przez kręgosłup. Jego wnętrzności nagromadziły się na obnażonej miednicy jak stos krwawego spaghetti w płytkim talerzu. Krew i żółć rozlewały się po wyłożonej płytkami posadzce, tworząc czarny strumień, który ozdabiał ją dziwnymi wzorami.

Ksiądz odwrócił się i popatrzył na wiernych. Oni także zaczęli mu się przyglądać. Dzwon na zewnątrz wciąż bił i bił, i bił.

— Bardzo żałuję, ale wydarzyło się coś strasznego. Tragedia. Będę musiał prosić was o opuszczenie kościoła przez zakrystię -powiedział.

Nie ruszali się jednak, patrząc na księdza. Dziecko ciągle płakało.

— Natychmiast! - wrzasnął ksiądz apoplektycznie. - Natychmiast opuśćcie kościół!

ROZDZIAŁ DRUGI

- Panie Townsend! - zawołała Janice przez szklaną przegrodę. - Pan Beasley na pierwszej linii.

- Powiedz mu, że cholernie źle się dziś czuję! - odkrzyknął Michael na odczepnego. Przełknął zimne resztki porannej kawy. - Fe - prychnął ze wstrętem, zebrał potrzebne katalogi i wrzucił je niedbale do teczki. Słyszał, jak Janice mówi:

- Obawiam się, że pan Townsend nie czuje się dzisiaj zbyt dobrze. Czy mam mu coś przekazać? Aa... jestem pewna, że to czytał. Tak, wiem, że minęło wiele czasu. Cóż, czy mógłby pan zatelefonować jutro?

Wychodząc z biura, Michael rzucił:

- Najpierw pojedę do Slough. Jeżeli przyjdzie pan Lilley, powiedz mu, że spróbuję do niego zadzwonić dziś wieczorem. Aha... i czy mogłabyś zadzwonić do Norwich Transmitters i zapytać ich, gdzie są te półprzewodniki? Powinienem być w domu około ósmej. Jeżeli będziesz jeszcze czegoś

potrzebowała, to zostaw mi wiadomość w domu. Poproś Margaret, żeby nagrała to na taśmę. Bywa beznadziejnie zdezorientowana, gdy ktoś zaczyna mówić o komputerach.

Janice odwzajemniła się Michaelowi jednym ze swych porozumiewawczych uśmiechów.

- Proszę się nie martwić, panie Townsend. Koła firmy Townsend and Bishop będą kręcić się bez przeszkód. Są bardzo dobrze naoliwione i nawet jeśli spadnie pan pod stół z powodu nadmiaru wódki i kanapek z kawiozem lub zatańczy twista z dwustufunto-wą kobietą na moskiewskim bruku, nic im się nie stanie.

Michael o mały włos wybuchnąłby śmiechem, ale w porę się powstrzymał. Janice była córką konstruktora lokomotyw spalinowych. Była blondynką o dużym nosie i biuście, nałogową palaczką mocnych papierosów oraz łakomą pozeraczką słodkich pączków. Nosiła krótkie spódniczki, jaskrawe

bluzeczki i duże, plastikowe kolczyki. A mimo to jej wypowiedzi były logiczne i czasami rozbawiające do łez.

Michael zawsze chciał być chociaż w połowie tak zabawny. Ale zawsze, już od lat chłopięcych, w takich sytuacjach robił minę „poważnego faceta”. Jego ostatnia opinia ze szkoły mówiła: „Michael jest wytrwałym i poważnym chłopcem. Sukcesy wróży jego uparta determinacja, poparta talentem”.

Przeczytawszy to, jego ojciec zmarszczył brwi i westchnął: „Poważny?”

Wychodząc, Michael zamknął drzwi i skierował się wyłożonym kafelkami korytarzem w stronę klatki schodowej. W innym biurze, do którego drzwi były otwarte, dwie nastoletnie dziewczyny, obie dopiero po szkole, pakowały gry komputerowe do plastikowych worków i nuciły, strasznie fałszując, ostatni przebój rockowy dobiegający z radia.

- Dzień dobry, panie Townsend! - zawołały obie wesoło, gdy przechodził. Pozdrowił je uniesieniem ręki i odpowiedział:

- Dzień dobry, Carinna. Dzień dobry, Doris.

Obie go uwielbiały. Przypadkowo usłyszał, jak zwierzały się przyjaciółkom: „Jest taki

zmysłowy".

Boże, pomyślał, schodząc po schodach do pomalowanego na zielono hallu recepcyjnego. Każdy byłby zmysłowy i wrażliwy, gdyby musiał dbać o utrzymanie dwudziestu osób, nie wspominając o sprawach finansowych, jakie miał na głowie, oraz o pracy badawczej i kierowaniu rozwojem firmy, a także o corocznych problemach podatkowych.

Sheila, operatorka centrali telefonicznej, czytała Smash Hits i malowała paznokcie na purpurowo.

- Czy to nie jest przypadkiem koperta od pana Beasleya, jak myślisz? - zapytał Michael, odkładając na chwilę teczkę, żeby rzucić okiem na dzisiejszą pocztę. Większość kopert była płowozłota. Dwie z nich nadane były przez Kancelarię Jej Królewskiej Mości. Rzucił je z powrotem na stół, nawet nie otwierając.

- Pan Beasley - powiedział do Sheili - jest prawdziwym ekscentrykiem.

Zaterkotał telefon. Sheila wdusiła odpowiedni przycisk i podniosła słuchawkę.

- Townsend and Bishop, dzień dobry - powiedziała z przesadnie szykownym akcentem. -

Obawiam się, że nie, ponieważ pan Bishop jest dziś nieobecny przez cały dzień. Czy chciałby pan porozmawiać z jego sekretarką? Nie?

Na zewnątrz ujrzał, że niebo zachodzi deszczowymi chmurami. Fasada budynku, w którym mieściła się firma Townsend and Bishop, była równie szpetna jak jego wnętrze. Mający kształt sześcianu budynek z pomarańczowej cegły, z zielonymi oknami w metalowych ramach, przylegał do linii kolejowej, stojąc trochę na południe od dworca kolejowego w East Croydon. Obok znajdował się

warsztat samochodowy, do którego prowadziły pogruchotane wrota, wymalowane na wszystkie możliwe do wyobrażenia kolory. Wszystko dookoła, w tym setki pokrytych czerwoną dachówką domów, było zatopione wśród zieleni drzew przedmieść Surrey. Gwar bawiących się na ulicy dzieci

brzmiał jak szczebiot ptaków.

Michael przeszedł przez ulicę, podszedł do swojego czteroletniego forda granady i przekręcił kluczyk w drzwiczkach. Miał właśnie usiąść za kierownicą, gdy ktoś gwizdnął. Rozejrzał się i zobaczył niskiego mężczyznę w zielonym zamszowym kapeluszu i brązowym płaszczu przeciwdeszczowym. Mężczyzna szybkim krokiem przechodził przez ulicę, unosząc w górę rękę, aby zwrócić na siebie uwagę.

- Pan Townsend? - zapytał, z trudem łapiąc powietrze. Miał okrągłą twarz, był w średnim wieku, odznaczał się białymi, szpeciniastymi wąsami. - Tak się cieszę, że pana złapałem. Moje nazwisko Wallings.

Michael uściśnął jego dłoń.

- Przykro mi, ale muszę być w Slough przed dwunastą - powiedział.

- Cóż, w porządku. Pojadę z panem.

- Przykro mi, panie...

- Wallings. H. M. Customs and Excise.

- Przykro mi, panie Wallings, ale później muszę jeszcze wykonać trzy lub cztery telefony.

Potem jadę do domu. Naprawdę nie wiem, dlaczego spodziewa się pan, że pozwolę panu jeździć ze mną przez cały dzień.

- Nie spodziewam się - odparł Wallings swobodnie.

- Czy może chodzi panu o podatki? - zapytał Michael. - Nie mam przy sobie ksiąg. Dlaczego nie umówi się pan ze mną przez moją sekretarkę? Zapewniam pana, że będę do pańskich usług.

- Przecież leci pan jutro do Moskwy.

- Tak, ale tylko na dziesięć dni. Na pewno Jej Wysokość może poczekać, aż wrócę.

- Mimo wszystko... - powiedział Wallings z uśmiechem.

- Staje się pan śmieszny - stwierdził Michael. - Nie może pan jechać ze mną do Slough. Proszę

posłuchać, panie Wallings, już jestem spóźniony. Niech pan pójdzie do mojego biura i zapyta o Janice.

Ona znajdzie jakieś materiały dla pana.

- Chodzi o bezpieczeństwo kraju - wyjaśnił Wallings.

- Słucham?

Zaczynało mżyć i Michael podniósł kołnierz płaszcza, osłaniając szyję.

- Bezpieczeństwo - powtórzył Wallings. - Narodowe bezpieczeństwo.

- To znaczy, że pan wcale nie jest z Customs and Excise?

- W zasadzie nie - powiedział Wallings. Zrobił ruch głową w kierunku samochodu. - Wsiądźmy wreszcie.

Michael powoli usiadł i sięgnął na drugą stronę samochodu, żeby otworzyć drzwiczki pasażera dla Wallingsa. Wallings wsunął się do samochodu i podziękował skinieniem głowy. Zdjął kapelusz i od razu zapiął pas bezpieczeństwa. Michael zatrzasnął drzwi i zapalił silnik. Przednie wycieraczki z jękiem zaczęły trzeć gumową powierzchnią szybę.

- Nie mieliśmy zamiaru przeszkadzać panu - rzekł Wallings. - Wie pan, przyszedłbym wcześniej, ale nikt mi nie powiedział, że pan wychodzi z biura.

Michael prowadził samochód bocznymi drogami. Zaczynał się czuć nieswojo. Był zdenerwowany i niespokojny. Nie lubił intruzów w swoim życiu, nie lubił, jak ktoś mu mówił, co ma robić. Dlatego opuścił Sperry Guidance Systems, gdy miał dwadzieścia siedem lat, i rozkręcił własny

interes komputerowy, wraz ze swoim najlepszym przyjacielem Johnem Bishopem. To było cztery lata temu. Cztery lata zmartwień, ciężkiej pracy na pograniczu bankructwa, ale wszystkie decyzje, dobre czy złe, należały wyłącznie do nich. Przez te wszystkie długie wieczorne i nocne godziny pracowali dla własnej korzyści, a więc nie po to, aby jakiś szef czy dyrektor obwąchiwał ich pracę, tak jakby nie

miał własnych kłopotów. Wprowadzili na rynek dwie popularne gry komputerowe: Robot Crisis i

King Dinosaur, Jutro polecą do Moskwy na targi zabawek z zamiarem zaprezentowania skomputeryzowanego nauczyciela ortografii dla rosyjskich dzieci. Nazwa zabawki brzmiała: Towariszcz. Cztery lata pracy na swoim sprawiły, że schudł. Włosy mu posiwiały, ale czuł, że lepiej wygląda, gdy ma kilka funtów niedowagi, podobnie zresztą uważała Margaret. Michael miał sześć stóp wzrostu, pociągłą twarz o ciemnobrązowych łagodnych oczach, które Margaret nazywała „wiecznie skrzywdzonymi”. To przypuszczalnie dlatego Corinna i Doris uważały, że „zawsze jest taki zmysłowy”. I jeszcze dlatego, że używał okularów do czytania. Zdawał sobie sprawę, że staje się staromodny z powodu tego, jak się ubiera (pastelowe koszule z zapiętym pod szyję kołnierzykiem i węglowoszare spodnie). Zdawał sobie sprawę, że jego gusta muzyczne, kulinarne i filmowe stają się upodobaniami osoby zbliżającej się do wieku średniego. Ale co na to można poradzić? Ubierać się jak

punk? Kupować płyty Wham albo jeść co wieczór hamburgery?

Pokolenie Michaela stanowili młodzieńcy z wczesnych lat siedemdziesiątych, którzy urodzili się o dwa lata za późno, by cieszyć się boomem lat sześćdziesiątych, i dwa lata za wcześnie, żeby mogli zostać zaakceptowani jako członkowie nowej generacji lat osiemdziesiątych. Nie ma nic bardziej przygnębiającego niż osiągnięcie dojrzałości pomiędzy dwiema epokami. Była to jedna z przyczyn, dla których Michael zajął się komputerami: szalone próby przegonienia innych, szalone próby parcia naprzód w tej dziedzinie.

Jechali przez Thornton Heath ponurą aleją sklepów z przecenionymi meblami, tanich magazynów i małych supermarketów, zatłoczoną czerwonymi dwupiętrowymi autobusami i ciężarów-

kami. Deszcz padał coraz mocniej i przednia szyba granady zaczęła zachodzić parą.

- Jedenasta. Za chwilę zaczną się wiadomości - powiedział Wallings.

Michael włączył radio. Wiadomości były takie same jak zwykle. Rosja w końcu zgodziła się powrócić do rozmów rozbrojeniowych w Wiedniu, chociaż sowieckie jednostki przegrupowywały

się

w Niemczech Wschodnich i Polsce na ćwiczenia Układu Warszawskiego. Funt spadał coraz niżej w stosunku do dolara. Jakiś farmer stracił na polu nogę pod kombajnem i przeczołgał się pół mili w poszukiwaniu pomocy lekarskiej.

- Wygląda na nową detente — powiedział Wallings i wyłączył radio, nie pytając o pozwolenie.

- Tak długo, jak długo nie przeszkadzają w moich interesach, mam gdzieś tych wszystkich wojskowych - rzekł Michael do niego.

- A ja właśnie chcę prosić, żeby przyjrzał się pan uważnie wojskowym - stwierdził Wallings bezceremonialnie.

- Co pan przez to rozumie? I gdzie?

- W Moskwie, oczywiście.

Michael zahamował za autobusem i czekał, aż wysiądą pasażerowie. Deszcz zabębnił o dach samochodu ze wzmożoną siłą.

- Czy ma pan na myśli szpiegowanie?

- Nie, oczywiście że nie. Mój Boże, szpieg, cóż to znaczy? Ale skoro pan i pański przyjaciel wiecie coś o systemach informatycznych i komputerach, to cóż, pomyśleliśmy, że możecie się nam przydać.

Michael potarł kark.

— A co to znaczy to „nam”? MI 6, czy coś w tym rodzaju? Wallings zaśmiał się rubasznie.

Zabrzmiało to raczej jak rechot niż jak śmiech.

— Oglądał pan Profesjonalistów - stwierdził. - Ma pan takie wyobrażenia dlatego, a także przez to, że bierze pan zbyt poważnie informacje z Sunday Times. Nie, nie. To jest czysty biznes.

Pracuję w Ministerstwie Handlu i Przemysłu. Rosjanie wybudowali nowe centrum informatyczne, i to

akurat obok centralnego portu lotniczego. Chcemy tylko, żeby pan się temu przyjrzał. Tylko z

zewnątrz, żadnego ryzyka. Nie musi pan się nigdzie włąmywać ani nic w tym stylu. Proszę tylko rzucić okiem na ten kompleks i powiedzieć nam po powrocie, co pan o tym myśli.

Dojechali do Streatham. Michael skręcił w lewo, w kierunku Streatham Common i Tooting.

Deszcz trochę zelżał i przez chmury zaczęło się przebijać oślepiająco żółte słońce.

— Nie można się wiele dowiedzieć o elektronicznych instalacjach, patrząc na nie z zewnątrz - powiedział do Wallingsa.

— Pan nie może, ale my mamy ludzi, którzy mogą.

— To dlaczego ich nie wyślecie, żeby się temu przyjrżeli?

— Nie mamy podkładki, przyjacielu, nie takiej jak pańska. Nie ma żadnego uzasadnionego powodu, żeby ich tam wysyłać. Rosjanie zwinęliby ich w ciągu minuty.

Michael zatrzymał się przed światłami.

— Uważam, że moja odpowiedź musi brzmieć „nie” — powiedział. — Nie chcę skończyć w sowieckim więzieniu. Niech mi pan da spokój, obaj z Johnem mamy rodziny. Nie możemy podejmować takiego ryzyka. A co powiemy, jeśli nas złapią? „Ach, przyjechaliśmy rzucić okiem na wasze nowiusieńkie centrum informatyczne?”

— Powiemy panu, co mówić - rzekł Wallings. Wydawało się, że jest już trochę rozdrażniony.

— Cholera, raczej wolę niczego nie mówić. Nie zrobię tego i już. Dziękuję bardzo, ale nie!

— Och - westchnął Wallings, jak gdyby odmowa Michaela była dla niego nieprzyjemną niespodzianką.

— Skąd to „och”? - zapytał Michael.

— Po prostu pańskie „nie” stwarza pewne problemy.

- Cóż, być może. Nie są to jednak moje problemy. Ja jadę tam tylko po to, żeby sprzedawać gry elektroniczne. Nigdy nie lubiłem Jamesa Bonda.

Ta ostatnia uwaga miała być żartem, ale Wallings wziął ją zupełnie na serio. Trzymał w rękach

zielony zamszowy kapelusz, czyszcząc jego wierzch, i wydał górną wargę tak, że jego białe wąsy nastroszyły się.

- Spodziewałem się współpracy - powiedział.

Michael zatrąbił na chłopaka na rowerze jadącego przed nim Tooting Broadway, młokos miał jednak słuchawki walkmana na uszach i nic nie słyszał.

- Bardzo niebezpieczne — zauważył poirytowany Wallings. Dojechali do północnego końca Garratt Lane, zanim Wallings odezwał się ponownie. Deszcz znów zaczął padać i Wandsworth wyglądało jak zatopione.

- Jeśli nie zgodzi się pan na obejrzenie centrum informatycznego, nie wypuścimy pana z kraju — stwierdził Wallings.

- Co pan powiedział? - zapytał Michael. Nie bardzo zrozumiał, co Wallings ma na myśli.

- Powiedziałem, że pana nie wypuścimy z kraju. Nie będzie miał pan szansy wyjechania do Rosji, jeśli nie wykaże pan stuprocentowego patriotyzmu. Kto wie, co się tam może zdarzyć?

Michael gwałtownie skierował granadę do krawężnika. Zatrzymał się i zaciągnął hamulec ręczny.

- Słuchaj pan - powiedział z furją. - O co tu, do diabła, chodzi?

- Spróbuj to zrozumieć, człowieku. Masz pomóc swojemu krajowi i nie więcej. Nie musiał pan służyć w wojsku, prawda? A w Rosji by pan musiał. Jako osiemnastolatek siłą zostałby pan wcielony do wojska, ćwiczył musztrę, kopał rowy przeciwczołgowe i czyścił toalety szczoteczką do zębów.

Czyż nie cierpiałby pan z tego powodu? W Anglii to, czego pan nie chce robić, robią inni faceci.

Prosimy pana jedynie, żeby wszedł pan do moskiewskiego metra, pojechał kilka stacji na północ i tam

poszedł sobie na spacer. Nie musi pan brać aparatu fotograficznego ani robić żadnych szkiców. Po prostu niech pan ma oczy otwarte. Nie jest to zbyt uciążliwe, prawda? Ani niebezpieczne.

- To nie do wiary! - krzyknął na niego Michael.

- Cóż - odburknął Wallings - pojedzie pan do Moskwy i zrobi to dla nas albo nie pojedzie pan wcale.

- Wydałem siedem tysięcy funtów i poświęciłem dwa lata na przygotowanie Towariszcza - warknął Michael. Wallings ponownie zaczął się uśmiechać.

— Właśnie — powiedział. - Szkoda byłoby wyrzucać wszystko na śmietnik tylko ze zwykłej przekory.

Michael wpatrywał się w krople deszczu, które rozpryskiwały się na szybie. Nie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Do rzeczywistości przywrócił go policjant, który zbliżał się powoli do granady, idąc z drugiej strony skrzyżowania. Zwolnił więc hamulec, wrzucił pierwszy bieg i ruszył.

- Chryste Panie - mruknął do siebie.

Tego wieczoru wrócił do domu wykończony. Skręcił gwałtownie na podjazd do garażu, czując, że jego koszula jest na plecach lepka od potu. Zarost zaczynał mu już odrastać, co zawsze go drażniło.

W końcu wysiadł z samochodu, wziął teczkę z tylnego siedzenia i przeszedł cztery stopnie prowadzące do frontowych drzwi.

Mieszkał tutaj z Margaret od sześciu lat, dwie trzecie ich związku małżeńskiego. Przedtem zajmowali nowoczesne mieszkanie na Basing stoke, żeby mieć blisko do fabryki Sperry Guidance Systems przy Edison Road. Ale mieszkanie było małe, wąskie okna wychodziły na jodły w ogrodzie i staw rybny. Raz nawet wybrał się na ryby nad staw, od razu, gdy się tam wprowadzili, ale bardzo szybko wybił sobie z głowy wędkarstwo. Nie wydawał się zdolny do wielogodzinnego ślęczenia nad wodą z kijem w ręce.

W sypialni Duncana świeciło się światło. Otworzył drzwi frontowe i poczuł ciepły zapach dochodzący z kuchni. Prawdopodobnie kurczak w potrawce. Położył teczkę na dywanie i niespodzie-

wanie mocno trzasnął za sobą drzwiami. Z kuchni dobiegł go głos Margaret:

- Mike? Czy to ty?

— Mam nadzieję, że ja - odpowiedział. Poszedł do kuchni. Czekąca na niego uśmiechnięta, ubijała akurat świeżą śmietankę do dwóch naczyń z kremem czekoladowym. Ładna, ciemnowłosa dziewczyna o dużych intrygujących oczach i zadartym nosku. Wyglądała teraz jeszcze bardziej na kobietę z przedmieścia niż wtedy, gdy pierwszy raz ją spotkał. Włosy miała krótko ścięte » zaczesane do tyłu w stylu księżnej Diany, a jej niebieski cień do powiek wyglądał, jakby został wyprodukowany

specjalnie dla matek w średnim wieku, aby wyglądały czarująco. Pocałował ją. Był to zdawkowy pocałunek, ale prawdopodobnie tylko z powodu krańcowego wyczerpania Michaela. Mruknęła jednak

z zadowoleniem.

- Co zjemy dziś na kolację? - zapytał.

- Poulet - odpowiedziała. Przeważnie tak zaczynali wszystkie rozmowy, gdy wracał wieczorem.

- To śmieszne - powiedział. - Pachnie zupełnie jak kurczak.

- Ciężki dzień? — zapytała. Skończyła ubijać śmietankę i włożyła brudne naczynia do zlewu. - Duncan czeka na ciebie; jeśli chcesz, idź na górę i powiedz mu dobranoc.

Skinął głową. Z jakichś niewiadomych powodów czuł dziwne zgrubienie w gardle, jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem. Ale zdołał się uśmiechnąć i powiedzieć:

- Dobrze, pójdę do niego. Margaret podeszła z nim do schodów.

- Spakowałam ci rzeczy, z wyjątkiem przyborów do golenia.

- O, dziękuję. Jesteś aniołem.

- Mam nadzieję, że kupisz sobie jakąś nową bieliznę.

- Co, w Rosji? Czy oni tam w ogóle noszą bieliznę?

- Wiesz, co mam na myśli. Majtki firmy Marks and Sparks, zdaje się, w zupełności ci odpowiadają.

Posłał jej całusa.

- Będę o tym pamiętał, kochanie. Dla ciebie wszystko. Ale pozwól mi powiedzieć dobranoc Duncanowi.

Duncan, ciemnowłosey, wyraźnie zmęczony, siedział w łóżku i czytał. W jego małej sypialni z brązowymi tapetami rozlepione były na ścianach tuziny wyciętych z gazet fotografii samolotów wojskowych. Michael nie wtrącał się do wystroju sypialni Duncana, zwłaszcza po tym, jak musiał wydać furę pieniędzy na gazowe ogrzewanie domu.

- Jak się masz? — zapytał.

- W porządku. Dostałem dzisiaj piątkę z matematyki.

- Jesteś geniuszem. Ale teraz pora spać. Duncan przytulił się do kołdry.

- A bajka? - zapytał.

- Przykro mi, nie dzisiaj. Mama właśnie zrobiła kolację, a jutro muszę bardzo wcześnie wstać.

Oczywiście, zawsze można nie pojechać, pomyślał, obejmując syna i całując go na dobranoc.

Nie miał pojęcia, jak wygląda Moskwa, oprócz wrażeń ze strasznych opowiadań Alana Taylora o czekaniu godzinami na posiłek nawet w tak zwanych między-narodnych restauracjach i o zakazach podróżowania dokądkolwiek poza Moskwę. Ale to było zbyt absurdalne, aby go mogło przestraszyć.

Chociaż pewnie Greville'owi Wynne'owi też powiedzieli, że szpiegostwo nie jest niebezpieczne.

Na dole czekała już kolacja na stoliku na kółkach. Na początek było awokado.

— Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że otworzyłam wino - odezwała się

Margaret.

Michael skinął głową, pocałował ją w czoło i rozlał wino do kieliszków.

— Widziałam dzisiaj Sally - powiedziała Margaret. - Pamiętasz Sally Hutchinson?

Michael jadł awokado, w ogóle nie smakując. Myślami był już w metrze jadącym na północ do portu lotniczego w Moskwie. Wallings podał mu nawet nazwy stacji: plac Swierdłowa, Gorkowskaja,

Majakowskaja, Białoruskaja, Dynamo, Lotnisko.

— Dobrze się czujesz? — spytała Margaret. — Wyglądasz na zmęczonego.

W wiadomościach o dziesiątej, które obejrzał w salonie z Margaret siedzącą mu na kolanach, Alister Burnett powiedział, że wielkie sowieckie manewry w Niemczech Wschodnich uważane są przez zachodnich ekspertów jedynie za potrząsanie szabelką, żeby nadać większe znaczenie rozmowom rozbrojeniowym w Wiedniu.

Sprawozdawca z Ministerstwa Spraw Zagranicznych zatroskanym głosem mówił: „W gruncie rzeczy uważamy te ćwiczenia za przejaw radzieckiej troski o to, aby rozmowy w Wiedniu dały naprawdę pozytywne efekty. Muszę powiedzieć, że jesteśmy nimi raczej podbudowani niż zaniepokojeni”.

Michael i Margaret poszli do łóżka o jedenastej. Margaret nastawiła budzik na siódmą piętnaście. Walizka Michaela stała obok szafy, jako przypomnienie o jutrzejszym dniu. Margaret przytuliła się do niego i powiedziała:

— Mam nadzieję, że Rosja nie jest zbyt okropna.

— Przywiozę ci stamtąd futrzaną czapkę.

Pocałował ją w czoło, a potem wsunął rękę pod nylonową koszulę nocną i z czułością pieścił jej małe piersi. Kochali się w milczeniu, tylko sprężyny w łóżku cicho skrzypiały. Nad wezłowiec wisiała reprodukcja Renoira Le Moulin de la Galette. Michael śnił w nocy, że sprzecza się z Wallingsem. Wtem znalazł się w jasno oświetlonym, hałaśliwym wagoniku metra. Chciał wyjść, ale drzwi pociągu nie dały się otworzyć i nie mógł się wydostać. Wiedział, że jedzie długą trasą do portu lotniczego i wiedział, że zaraz znajdzie się w poważnych tarapatach.

- Pan się poci. Co się stało? — powiedział nagle Wallings i Michael otworzył oczy.

Margaret podniosła się na łokciu, patrząc na niego. Wiedział o tym, mimo że nie mógł zobaczyć jej twarzy w ciemnościach.

— Miałem sen, to wszystko. Zdaje się, że jestem bardzo przemęczony.

Pocałowała go. Z daleka dochodził odgłos pociągu jadącego na południe linią, która prowadziła do Purley, Coulsdon i wszystkich innych domowych pieleszy, gdzie londyńscy urzędnicy i dyrektorzy leżą teraz w łóżkach, śpiąc, martwiąc się lub kochając ze swoimi żonami. Michael długo leżał z otwartymi oczami i myślał: Boże, czy świat naprawdę jest taki niebezpieczny?

ROZDZIAŁ TRZECI

W Zossen-Wünsdorf mżyło cały ranek i gdy marszałek T. K. Gołowanow przyjechał olbrzymią czarną wołgą do kwatery głównej dowództwa Zachodniego Kierunku Strategicznego, wyszło ku niemu trzech oficerów z dużymi wielokolorowymi parasolami, aby go uchronić przed deszczem.

Marszałek zignorował ich. Żołnierz, który walczył razem z Konstantym Konstantynowiczem Rokossowskim pod Kurskiem podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, nie potrzebuje wielokolorowych

parasoli do osłony przed deszczem.

„Uczcie się kochać najwstrętniejsze burze i najostrzejsze zadymki”, mawiał często do swoich podwładnych. Zła pogoda nie raz uratowała Rosję i może uratować ją ponownie.

Kwatera główna w Zossen-Wünsdorf była betonowym budynkiem otoczonym przez rzędy przemoczonych lip. Marszałek Gołowanow przeszedł przez zalany deszczem dziedziniec i na tyle szybko i sprawnie, na ile pozwalała mu jego otyłość, wspiął się na mokre schody, które prowadziły do

głównego wejścia. Zaraz za nim szedł jego doradca, pułkownik Lew Czujkow, oraz jego nowo mianowany sekretarz, major Walentin Greczko. Z kolei za nimi podążali trzej dygoczący oficerowie z beużytecznymi wielokolorowymi parasolami.

Zanim Gołowanow doszedł do szklanych drzwi, ktoś zdążył je otworzyć od wewnątrz. Wyszedł

z nich generał armii Iwan Jeremienko, który stuknął obcasami, szybko zasalutował i wyciągnął rękę.

— Towarzyszu marszałku - pozdrowił go.

— No cóż — powiedział Gołowanow, zdejmując czapkę i strząsając krople deszczu z płaszcza

— moglibyście zamówić lepszą pogodę, towarzyszu Jeremienko. Mimo że wierzę w strategiczną wartość deszczu i jestem odporny na wodę, wcale to jeszcze nie znaczy, że musicie zamawiać ją specjalnie dla mnie.

Jeremienko uściskał jego dłoń.

- Jak minęła podróż? - zapytał. Spojrzał na zachmurzone niebo. - Tak mi przykro z powodu tej pogody. Obawiam się, że nie jest taka jak w Tbilisi.

Weszli do środka i przeszli w milczeniu przez wyłożony marmurem hali, przed wielkim portretem Lenina. Jego ostry podbródek skierowany był na zachód.

- Niemcy są zawsze takie same - powiedział Gołowanow. - Ostatni rok wojny spędziłem tutaj przemoknięty do nitki. Cały mokry, łącznie z bielizną. Nie pamiętam jednego dnia bez deszczu. A może to pamięć zaczyna mi płatać figle?

Otworzyły się drzwi windy i Jeremienko przepuścił Gołowanowa do środka. Pułkownik

Czujkow i major Greczko nie próbowali się do nich przyłączyć, lecz czekali w hallu, aż winda powróci. Wiedzieli, że Gołowanow nie lubi, jak podwładni oficerowie stają zbyt blisko niego. „Jeśli będę chciał pojeździć w tłoku, to przejadę się metrem”, mawiał.

Gdy winda ruszyła, Jeremienko powiedział:

— Nie powinniście martwić się deszczem, towarzyszu marszałku. W ciągu ośmiu dni przestanie padać. Długoterminowa Prognoza jest wspaniała. Znosi się na słoneczną pogodę.

- Mhm - odparł Gołowanow. Gdy winda zatrzymała się na trzecim piętrze, dodał: - Czy pamiętałeś, żeby zadzwonić do Inge?

Jeremienko skinął głową. Gołowanow poklepał go po ramieniu.

- Wiesz, dużo o niej myślałem.

- Wszystko jest załatwione, towarzyszu marszałku - powiedział Jeremienko. - Dzisiaj wieczorem mamy kolację z komandorem Kisielewem i admirałem Perminowem. Potem major Popławski zawiezie was na Herbertstrasse. Panna Schultz już będzie czekała.

- Kupiłem jej naszyjnik w Tbilisi. Diamenty - zaznaczył.

- Jestem pewien, że będzie zachwycona, towarzyszu marszałku.

Ton Jeremienki trącał wazeliniarstwem, ale wiedział, jak bardzo Gołowanow jest wyczulony, gdy chodzi o Ingę. Ogromnym sukcesem Jeremienki była jego nominacja na stanowisko głównodowodzącego sowieckich sił w Niemczech, na miejsce zdymisjonowanego generała Woroszyłowa. Gołowanow podejrzewał, że awans Jeremienki na stopień marszałka jest tylko kwestią

czasu, i to najbliższego czasu, być może nawet przed dniem „B”. Jeremienko był zdolny, wyrachowany i sprytny oraz, jak na razie, należał do pupilków Rady Obrony. Lepiej byłoby nie robić sobie z niego wroga, zwłaszcza teraz, gdy wypadki zaczynały się toczyć tak szybko. Tego lata wielu wysokich rangą oficerów zwichnie nagle swoje kariery lub błyskawicznie je zrobi. Dotyczy to nawet tych, którzy przyszli do armii w ostatnich trzydziestu latach pokoju i uważają, że są bezpieczni od politycznych zawieruch.

- Inga jest inteligentną dziewczyną - rzekł Gołowanow, jak gdyby chciał usprawiedliwić swoje natychmiastowe zainteresowanie nią. - Bardzo inteligentną. Mądrze rozmawia, tańczy i jeszcze potrafi gotować.

- A co robi najlepiej? - zapytał Jeremienko.

Gołowanow zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział.

Resztę drogi przeszli korytarzem w milczeniu. Ich buty stukały po podłodze wypolerowanej parafiną. W budynku wyczuwało się charakterystyczny zapach włączonej aparatury elektronicznej,

środków owadobójczych oraz bałkańskiego tytoniu. Zdaje się, że wszystkie rosyjskie budynki sztabowe pachną tak samo.

Z jednego końca korytarza do drugiego było dokładnie dwadzieścia pięć jardów i przeszli je szybkim krokiem, lecz Gołowanow nawet nie oddychał szybciej, gdy doszli do drzwi prowadzących do sali konferencyjnej. Chociaż miał sześćdziesiąt trzy lata, codziennie intensywnie ćwiczył, zawsze godzinę spędzał w siłowni oraz uprawiał aerobik. Był niski i przysadzisty, z ogromnymi ramionami uwydatnionymi przez obfite szlify marszałkowskie. Jego głowa była jak mała bryła brązowego granitu, na której ktoś wyrzeźbił wąskie oczy i usta oraz cienkie linie imitujące rzadkie szczeciniaste włosy. Cała ekspresja Gołowanowa wyrażała się w jego białych brwiach.

T. K. Gołowanow urodził się w 1922 roku w starym rosyjskim mieście Starają Russa jako syn szewca. Jego ojciec Mikołaj został powołany do wojska w czasie I wojny światowej i walczył jako szeregowiec pod Konstantym Rokossowskim. Podczas wielkiej czystki w 1937 roku Rokossowskiego uwięziono, był bity i torturowany, a ojciec Gołowanowa został wezwany jako jego podwładny, żeby świadczyć przeciwko byłemu przełożonemu. Pomimo poddania go torturom, Mikołaj Gołowanow milczał. Później gdzieś „zniknął”.

Kiedy Rokossowski został zwolniony z więzienia, żeby dowodzić sowieckimi dywizjami pancernymi w walce z Hitlerem, nie zapomniał o starym przyjacielu z czasów terroru. Sprawił, że młody T. K. Gołowanow (wtedy porucznik w 9. Korpusie Zmechanizowanym) został natychmiast mianowany majorem, a następnie pułkownikiem w 16. Armii. Pod ojcowskim okiem Rokossowskiego

T. K. Gołowanow błyskawicznie awansował w hierarchii Armii Czerwonej, by zakończyć wojnę jako

generał-pułkownik i Bohater Związku Radzieckiego. Teraz był pierwszym zastępcą Ministra Obrony, jednym z najpotężniejszych ludzi w najpotężniejszej armii świata.

Pomimo suchej, nie wyrażającej uczuć twarzy, wśród przyjaciół Gołowanow był człowiekiem

porywczym, uczuciowym, wylewnym, miał duże poczucie humoru. Lubił wódkę i młode kobiety, co nie znaczy, że nie kochał swojej rodziny: żony Katii i swych czterech uroczych córek. Każdego roku dwa tygodnie spędzał z rodziną na daczach w Żiguli. Zapraszał tam wówczas całe tłumy Przyjaciół. Lubił rozrywki, uczestniczył w przyjęciach, ale przede wszystkim był żołnierzem. Utrzymywał swoją wysoką pozycję w Armii Czerwonej, będąc przedstawicielem ortodoksyjnego sowieckiego militarysty. Nie zważając na polityczne opinie o sobie, był zagorzałym zwolennikiem polityki twardej ręki.

To Andriej Gromyko nazwał go „niedźwiedziem z szerokimi plecami”.

Jeremienko z kolei był spokojniejszy, bardziej przebiegły i równocześnie niezwykle chytry. Był wysoki, o chudej twarzy o wyrazie niemalże cierpiętnika. Jeśli Gołowanow był niedźwiedziem, to on jastrzębiem, z jasnoniebieskimi oczami i nosem tak ostrym, jakiego nie miał chyba żaden ptak drapieżny. Jeremienko miał pięćdziesiąt pięć lat, był z wykształcenia zawodowym żołnierzem. Jego ojciec, J. W. Jeremienko, był wyższym oficerem Stawki, zanim przeniesiono go w stan spoczynku z powodu sklerozy. Jeremienko wpadł w oko Leonidowi Breżniewowi jako oficer 24. Dywizji Panczernej w 1968 roku. Zaproponował wówczas kilka możliwości zaprezentowania błyskawicznej akcji w Czechosłowacji tak, aby mogła się ona okazać bardziej straszną dla NATO, co spowodowało jego szybkie przeniesienie do Zarządu Planowania Strategicznego, dowodzonego wówczas przez słynnego generała (później marszałka) Ogarkowa. Pomysłem Jeremienki była budowa masywnego kompleksu przeciwatomowego na północ od obwodnicy moskiewskiej, przed samymi oczami zachodnich dyplomatów i dziennikarzy, aby przekonać Zachód, że Związek Radziecki jest daleko zaawansowany w rozwoju elektronicznych systemów obronnych. Zaszokowany Zachód zgodził się rozpocząć nowe rozmowy rozbrojeniowe SALT 1, nie zdając sobie sprawy, że „kompleks przeciwatomowy” Jeremienki jest zupełnie pusty i że wkrótce zostanie wykorzystany na magazyn farb.

Mianowanie Jeremienki głównodowodzącym w Niemczech dla wielu oficerów nie stanowiło już żadnej niespodzianki. Była to najbardziej wpływowa pozycja w całej Armii Radzieckiej i dała Jeremienne możliwość dowodzenia na czterech strategicznych frontach siłami pancernymi oraz Flotą Bałtycką. Jeremienko był podczas pracy opanowany, prawie lodowaty. Jako jeden z niewielu starszych oficerów w Armii Radzieckiej nie był żonaty; nawet nie zauważono, aby miał kochankę. Nikt nigdy nie widział, żeby stracił panowanie nad sobą, nikt nie słyszał, żeby kiedykolwiek podniósł głos. Wystarczał jego chłód, aby wzbudzać lęk podwładnych.

Gołowanow i Jeremienko doszli do drzwi sali konferencyjnej. Ubrojeni wartownicy stojący przy drzwiach oddali im honory, stukając obcasami.

Gdy Jeremienko otwierał drzwi, Gołowanow niespodziewanie zapytał:

- Czy kiedykolwiek byłeś przestraszony?

- Przestraszony? - powtórzył Jeremienko, niecierpliwiający się, aby wejść do sali konferencyjnej.

Wyleciał z niej na korytarz gęsty dym papierosowy.

- Tak - upierał się Gołowanow. - Przestraszony z powodu tego, co masz wkrótce zrobić, przestraszony z powodu ogromnej skali swoich działań. Będziemy zmieniali historię, przyjacielu, i geografię także.

Jeremienko lekko się uśmiechnął.

- Tylko dlatego, że nam za to płacą, towarzyszu marszałku.

- Pieniądze nie chronią przed strachem - stwierdził Gołowanow.

- Nie, ale w końcu dają możliwość wyzinięcia ducha w przyzwoitych spodniach.

Daleko za nimi ukazali się w korytarzu pułkownik Czujkow i major Greczko, stukając oślepiająco wypolerowanymi butami i dźwigając pod pachami teczki z dokumentami. Byli tak podobni do siebie, że mogliby uchodzić za braci. Obaj mieli brązowe włosy, jasną skórę, okrągłe twarze i ciemne brwi stykające się nad nosem.

- Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek widział Niedźwiedzia w tak dobrym humorze - zauważył Greczko. Był w sztabie Gołowanowa dopiero od sześciu tygodni i dzisiaj po raz pierwszy ujrzał go uśmiechniętego.

- Zawsze jest szczęśliwy, gdy odwiedza Wiinsdorf - powiedział Czujkow. - Generał Jeremienko ma sposób na uszczęśliwienie go. - Zrobił sugestywny gest oznaczający ni mniej, ni więcej, tylko pierdolenie. - Siemionow powiedział mi, że raz ją widział, tę wspaniałą Inge.

Niedźwiedź tańczył z nią w Sternhalle. Ma prawie sześć stóp wzrostu, ładną twarz i wysmukłe ramio-

na - tak opowiadał Siemionow. Jest blondynką, a wepchnąłbyś w jej piczkę nawet 8K84.

Greczko wyszczerzył zęby. 8K84 była jedną z największych sowieckich rakiet.

- Dobrze jest być marszałkiem - powiedział.

- Cóż, kto wie - odrzekł Czujkow. - Sprawy toczą się tak szybko, że w ciągu kilku dni i ty możesz zostać marszałkiem.

- Albo użyźnić równiny północnych Niemiec - powiedział Greczko. Pierwszy raz od rozpoczęcia manewrów w Niemczech

Wschodnich rozmawiali o tym, jak niebezpieczne jest to, co się ma wydarzyć.

Czekali przez chwilę na korytarzu, przeglądając w tym czasie przygotowane dokumenty.

Jeremienko notorycznie zadawał swym podwładnym trudne i przenikliwe pytania, a Gołowanow wpadał w furję, jeśli jego doradcy nie byli w stanie zreferować każdego faktu, przytoczyć danych statystycznych, począwszy od liczby rakiet w całych Niemczech Wschodnich, a skończywszy na dostawach świeżych bandaży z magazynów w Polsce.

- Wypiłbym jednego - powiedział Greczko, przetykając ślinę.

- Postawię ci później - odpowiedział Czujkow. - Jeremienko nie uznaje alkoholu. Uważa, że ujemnie wpływa na refleks, czy coś takiego.

- Siergiej mówił, że Jeremienko jest, no wiesz... pedałem.

- Jeremienko? Nie on. Tylko dlatego, że się nie ożenił? Właściwie ożenił się, poślubił armię. Z armią jada, śpi i kocha się z nią dwadzieścia cztery godziny na dobę. A jeśli cudzołoży, to tylko z moździerzem kalibru dwadzieścia jeden.

- Nie wiem, ale na takiego właśnie wygląda — odpowiedział Greczko.

Czujkow uszczypnął go w podbródek. Żartem, ale sprawił mu ból.

- A ty myślisz, że jak wyglądasz ze swoimi ładniutkimi wąsikami? — zakpił sobie z wąsów Greczki, które ten zapuścił po obejrzeniu Długich jeźdźców ze Steacym Keachem. Greczko był fanem westernów. Uwielbiał J. T. Edsona. Nic go tak nie martwiło jak świadomość, że armia, w której służy,

istnieje po to, aby zniszczyć tak wspaniałą kulturę jak ta, która stworzyła westerny.

Weszli do sali konferencyjnej. Było to wysokie pomieszczenie, zadymione, a światło dochodziło tu tylko z rzędów lamp biurowych, miało więc tajemniczy, barbarzyński wygląd, niczym wewnątrz wojennego namiotu Dżyngis-chana, niewidocznego w dymach złupionego Chorezmu. Na ścianie wisiała szeroka, w dużej skali, mapa Europy Zachodniej. Pod mapą stało długie mahoniowe biurko, przy którym Gołowanow i Jeremienko właśnie rozmawiali z grupą dowódców Zachodniego Kierunku Strategicznego oraz stacjonujących w Niemczech armii pancernych i Floty Bałtyckiej. Naprzeciw tego biurka stało siedem rzędów małych biurek, przy których siedziało trzydziestu lub czterdziestu wysokich oficerów: Greczko rozpoznawał dowódców dywizji, oficerów służb wywiadowczych, dowódców oddziałów raketowych, zmechanizowanych, obrony powietrznej i jednostek Specnazu. Każdy z dowódców przybył przynajmniej z jednym zastępcą i kilkoma asystentami. Wszyscy namiętnie palili papierosy.

Czujkow trącił łokciem Greczkę i dyskretnie wskazał na B. J. Sierpuchowa, siwowłosego komisarza politycznego Zachodniego Kierunku Strategicznego, który stał przy głównym biurku.

Przeglądał stertę dokumentów i wolno, aczkolwiek systematycznie, wycierał nos.

Czujkow i Greczko przeszli dookoła i usiedli, trochę na lewo od wielkiego fotela, na którym

niał usiąść marszałek. Pozdrowił ich pułkownik Guliajew, stary przyjaciel Czujkowa z Akademii Wojskowej imienia Frunzego.

- Spuścimy bombę atomową na Niemcy, a skończymy tę wojnę w trzy minuty - powiedział z uśmiechem Guliajew. Znany był z lekkomyślnych dowcipów, które wstrzymywały jego karierę. Większość przełożonych ze Stawki brała je śmiertelnie poważnie.

W końcu, po ostatnich uściskach dłoni, Gołowanow podszedł do biurka i usiadł. Jeremienko uniósł rękę, prosząc o ciszę. Nastąpiło poruszenie, ktoś odkaslnął i po chwili Jeremienko powiedział:

- Marszałek Gołowanow przyjechał dzisiaj z wizytą i wiadomością od Rady Obrony, na którą wszyscy czekaliśmy. Uznano za pożądane, żeby towarzysz marszałek przemówił do was osobiście. Jego słowa pozwolą wam uzmysłwić sobie historyczny wymiar zachodzących zmian. To wy będziecie przyspieszali bieg światowej rewolucji. Będą to największe chwile w dziejach świata od czasów towarzysza Lenina.

Nastąpił potężny aplauz, a Gołowanow zauważył, że komisarz polityczny pokiwał głową z aprobatą. Jeremienko zajdzie wysoko, pomyślał. Miał nadzieję, że sam ma dość siły i zręczności, by podołać stojącym przed nim zadaniom. Wstał, odsunął ciężkie krzesło i podszedł do podświetlonej mapy. Wszyscy oficerowie zgromadzeni w sali konferencyjnej mogli teraz zobaczyć jego krępą sylwetkę i złote dystynkcje na szerokich naramiennikach.

- Przez ostatnie miesiące osobiście wizytowałem wszystkie okręgi wojskowe Związku Radzieckiego - powiedział chrapliwie. — Latałem z Chabarowska na Dalekim Wschodzie do Taszkientu na południu, ze Swierdłowska do Tbilisi. Jeśli chcecie wiedzieć, przybyłem tu prosto z Tbilisi dzisiejszego ranka. Jak się zapewne orientujecie, we wszystkich okręgach wojskowych odbyły się ćwiczenia na dużą skalę i gotowość bojowa wszystkich jednostek wzrosła, armia jest w pełni przygotowana do wykonania swych zadań. Z przyjemnością zawiadomiłem Radę Obrony, że Armia Radziecka jest gotowa, w pełni uzbrojona, znakomicie

wyszkolona i oczekuje na rozkazy.

Możecie jeszcze tego nie wiedzieć, w związku z czym informuję was, że te ogromne ćwiczenia wojskowe były ściśle skoordynowane z tajnymi dyplomatycznymi negocjacjami, które, jeśli zostaną zakończone sukcesem, drastycznie odmienia mapę współczesnego świata, na naszą korzyść, oczywiście. Nie mogę na tym etapie powiedzieć wam nic konkretnego o negocjacjach, oprócz tego, że zeszłego wieczoru w Tbilisi otrzymałem wiadomość od naczelnego dowódcy Sił Zbrojnych Związku Radzieckiego, marszałka N. K. Kutakowa, informującą mnie, że już tylko kilka mniej znaczących dyplomatycznych detali zostało do uzgodnienia.

Znajdujemy się u progu operacji Byliny, towarzysze. Na samym jej początku. Właśnie wyznaczyliśmy tymczasową datę rozpoczęcia operacji i wszystko od tej chwili musi być w pełnej gotowości. Wasze wysiłki w utrzymaniu dywizji i batalionów w pełnej gotowości bojowej zostaną ocenione przez Naczelne Dowództwo i Radę Obrony nie na podstawie wizytacji, lecz waszych szybkich zwycięstw na wszystkich frontach.

Gołowanow odchrząknął głośno i przeszedł do wielkiego biurka. Zatrzymał się przed nim i stał z rękoma założonymi do tyłu. Jego podbródek drgał wojowniczo. Czujkow, który obserwował go przez papierosowy dym z końca sali, pomyślał, że Gołowanow wygląda jak Mussolini w swoich najlepszych latach. Zauważył, że komisarz polityczny pochylił się w kierunku Jeremienki i powiedział

mu coś poufale do ucha. Świat się zmienia, pomyślał Czujkow, historia także, a motorem tych zmian są zawsze drapieżcy.

Gołowanow mówił dalej, kładąc nacisk na każde słowo:

— Operacja Byliny w dużym stopniu oparta jest na standardowym planie wyzwolenia Europy Zachodniej, który wszyscy dobrze znacie. Jednakże wynik tajnych negocjacji, o których wspomniałem, spowoduje, że wiele części planu będzie niepotrzebnych i nie wszystkie siły zostaną

użyte. Może najważniejszym odstępstwem od pierwotnego planu jest odejście od konieczności użycia broni nuklearnej. Taktyka będzie taktyką działań konwencjonalnych. Mówię wam to teraz, więc możecie już zacząć zajmować się przystosowywaniem uzbrojenia i wyposażenia sprzętu technicznego do wymaganych warunków. - Wrócił do mapy i wskazał palcem na pięć punktów położonych wzdłuż granicy oddzielającej Niemcy Zachodnie od Wschodnich. - Pięć kierunków uderzenia, towarzysze. Z Czechosłowacji na Regensburg i Monachium, z Czechosłowacji na Norymbergę i Stuttgart. Z południowej granicy NRD przez przesmyk fuldeński na Frankfurt i Bonn. Z Berlina wzdłuż autostrady do Hanoweru. I wreszcie wzdłuż wybrzeża na Hamburg. Pięć kierunków natarcia, pięć palców naszej ręki wyciągniętych prosto w serce Niemiec Zachodnich.

Jakiś młody, o poważnej twarzy oficer kontrwywiadu siedzący z tyłu sali konferencyjnej podniósł rękę. Gołowanow niecierpliwie kiwnął na niego palcem i zapytał:

- O co chodzi, towarzyszu pułkowniku?

- Przepraszam, że przerywam, towarzyszu marszałku - powiedział oficer. - W standardowym planie wyzwolenia Zachodu operacja przewidziana jest na dziesięć dni. Czy to odnosi się do operacji

Byliny?

Gołowanow rozłożył swoje krótkie muskularne ręce w melodramatycznym geście, popatrzył na audytorium i powiedział:

- Opracowaliśmy plan, który przewiduje, że operacja potrwa osiem dni. Jednakże jeśli negocjacje dyplomatyczne potoczą się po naszej myśli, a mamy powody, by w to wierzyć, jest możliwe, że będziemy mówić o pięciu dniach, lub nawet mniej. Szybkość zwycięstwa, towarzysze, będzie zależała od was!

Nastąpiła chwila ciszy, po czym generał Jeremienko wstał i zaczął klaskać. Wszyscy oficerowie powstali zaraz na równe nogi i oklaskiwali gromko Gołowanowa przez dwie lub trzy minuty.

Gołowanow wtórował im i krzyczał zachrypniętym głosem:

- Pobjeda! Pobjeda! Zwycięstwo!

- Pobjeda! - krzyczeli jego oficerowie, klapiąc łapami jeszcze głośniej.

- Pobjeda!

W końcu Gołowanow podniósł rękę, aby ich uciszyć.

- Towarzysz Lenin powiedział, że w walce o władzę proletariat nie ma innej broni prócz organizacji. Dzisiaj, w przededniu historycznej bitwy, mamy znacznie więcej. Mamy rakiety i pistolety, okręty i samoloty - wszystko, czego potrzebujemy, żeby zniszczyć tyrana, burżuazyjne armie Europy Zachodniej. Ale przede wszystkim to nasza doskonała organizacja, znakomite planowanie i właściwe oblicze ideowe armii sprawiają, że jesteśmy niezwyciężeni.

Teraz aplauz był jeszcze większy. Gołowanow usiadł, a Jeremienko, klaszcząc, powiedział:

- Bardzo wzruszające, towarzyszu marszałku.

Obaj jednak w jakiś sposób wyczuli, że Gołowanow wygląda w swej roli zbyt staro i zbyt dyktatorsko - jak lew, który stracił już zęby.

Reszta poranka upłynęła na długiej i szczegółowej odprawie. Każdy dowódca frontowy przedstawił wyczerpujący raport o gotowości swoich oddziałów, o uzbrojeniu, stosunku sił lądowych

do jednostek obrony przeciwlotniczej, rozmieszczeniu artylerii i rezerw. Były raporty Floty Bałtyckiej,

Specnazu, dowódców dywizji pancernych i wojsk raketowych. Stopniowo obraz wypełniał się wojenną machiną nie do powstrzymania: dziewięć dywizji pancernych, dziesięć dywizji zmechanizowanych, cztery brygady wojsk raketowych, dwie brygady wojsk inżynieryjnych, dwie brygady budowy mostów, dywizja artylerii dysponująca ponad siedmiuset lufami, wszystko to wspomagane przez 16. Armieję Powietrzną z ponad dwoma tysiącami samolotów, czyli dwukrotnie przewyższającą siły lotnictwa NATO.

Jeremienko przygotował siły Zachodniego Kierunku Strategicznego z taką sprawnością, że gdy

nadejdzie dzień operacji Byliny, rozpoczęcie przegrupowania wojsk nastąpi za pomocą tylko kilku sygnałów, tak że początkowo będzie to wyglądało na dalszy ciąg corocznych manewrów.
Zaskoczenie

wroga będzie pełne, a koncentracja sił tak duża, że nie pozostawi szansy na skuteczny kontratak.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tego wieczoru, po kolacji w domu Jeremienki przy Falkenstrasse, gdy komandor Kisielew i admirał Perminow poszli już sobie, Gołowanow powiedział:

- Jestem pod dużym wrażeniem, towarzyszu generale.
- Hilda przyrządziła tę wieprzowinę według własnego przepisu - odparł Jeremienko, celowo udając, że go nie rozumie. Pił kwas i jadł winogrona, zbierając pestki w dłoni. Z płyty odtwarzanej przez stereofoniczny gramofon cicho śpiewał George Shearing.

Gołowanow wypił ostatni kieliszek pieprzówki i wytarł usta.

- Nigdy nie przypuszczałem, że dożyję takich czasów - powiedział.

- Byliny? Myślę, że nikt z nas nie przypuszczał. Ale daje się wyraźnie wyczuć podniecenie, nieprawdaż? Zauważyliście to dzisiaj? To prawie tak, jakby wszyscy przygotowywali się do wyjazdu na wakacje.

- Trudno sobie wyobrazić, że świat zmieni się tak drastycznie - rzekł Gołowanow. - Coś podobnego, w ciągu sześciu dni zmienimy mapę bardziej niż Hitler w ciągu sześciu lat.

Jeremienko wypluł kilka pestek.

- Po to w gruncie rzeczy istniejemy. Nie można budować armii takiej jak nasza, spodziewając się, że będzie siedziała na tyłkach i nic nie robiła. Armia musi walczyć. Nie można pozbawić organizacji jej podstawowych zadań. Czy założylibyście grupę baletową i ćwiczylibyście aż do osiągnięcia perfekcji, aby potem nie wystąpić przed publicznością?

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, słuchając muzyki. Gołowanow nie czuł się zbyt dobrze w

domu Jeremienki. Było to mieszkanie nowoczesne, ale urządzone w ciężkim niemieckim stylu. Stało tam dużo krzeseł, olbrzymi stół, a na ścianach wisiały wielkie płachty abstrakcyjnego malarstwa, wszystkie w kolorze czarnym i pomarańczowym. W domu nie było żadnych roślin, żadnych ozdób, nie było widać kobiecej ręki, którą Gołowanow tak cenił w swoim mieszkaniu w Moskwie i na daczycy

w Żiguli. Dlatego większość jego mebli była masywna i tradycyjna. W domu Jeremienki czuł się, jak gdyby czekał na coś, jak na lotnisku lub w poczekalni u lekarza.

- Jeszcze wódki? - zapytał Jeremienko.

Gołowanow podniósł palec i kciuk, żeby pokazać, że tak, ale tylko odrobinę.

- Nie chcę jechać na Herbertstrasse kompletnie pijany. Jeremienko nalał mu i wznieśli kieliszki.

- Za wasze zdrowie.

Jeremienko nie usiadł, lecz zaczął krążyć po pokoju, stukając palcami o krzesła, stoły i ściany.

- Byliny - odezwał się Gołowanow. - Zastanawiam się, kto to wymyślił?

Byliny są wielkim historycznym cyklem pieśni charakterystycznym dla wczesnej ludowej kultury ruskiej.

- Byliny sprawiają, że słowo „wyzwolenie” brzmi prawie sentymentalnie — kontynuował Gołowanow.

- Zdaje się, że ten, kto wymyślił ten kryptonim, był bardzo sentymentalny - stwierdził Jeremienko.

- O, tak? - zapytał Gołowanow. Wydawało mu się, że Jeremienko przez cały czas przygotowuje się do powiedzenia czegoś, co gnębi go od dłuższego czasu. — Chodzi ci o mnie? Myślisz, że to ja jestem sentymentalny? Zapewniam cię, że nie jestem. Ale zawsze możesz mnie wypróbować, towarzyszu. Mimo wszystko życie jest jedną wielką próbą sił.

- Chciałem tylko wiedzieć, kto zdecydował, że nie użyjemy broni jądrowej - powiedział

Jeremienko. - Za pomocą głowic jądrowych moglibyśmy oczyścić Niemcy w ciągu jednego poranka.

Wicie o tym równie dobrze jak ja. A zamiast tego mam narazić na stratę i zniszczenie setki czołgów, tysiące żołnierzy oraz kłopotać się zaopatrzeniem artylerii w tony amunicji oraz wielkiej armii w setki,

tysiące hektolitrów paliwa.

Gołowanow spojrzał na Jeremienkę poprzez kieliszek z wódką. Wizerunek generała był dziwnie zniekształcony, jak obraz bladej ryby pływającej w misce. Gołowanow stwierdził, że chyba zbyt dużo

wypił. Przeklinał Jeremienkę za jego abstynencję. Ale zdobył się na to, aby poklepać go po udzie i powiedzieć dobrotliwie:

- Jeśli negocjacje będą dla nas pomyślne, nie będziemy już nigdy potrzebowali broni jądrowej.

- A co z teorią siekiery? - spytał Jeremienko. „Teoria siekiery” była podstawą sowieckiej myśli strategicznej. Teoria ta zakładała, że jeśli już się zdarzy, że trzymasz siekiere, nie powinieneś przejmować się tym, że uderzysz nią wroga zbyt mocno. Powinieneś walnąć go jak najszybciej i z jak największą siłą. Innymi słowy, jeśli posiadasz broń jądrową, użyj jej, i to jak najszybciej.

- Teoria siekiery jest w gruncie rzeczy bardzo dobra - stwierdził Gołowanow, rozpromieniony.

- Ale, oczywiście, z bronią jądrową jest ten kłopot, że to nie siekiera. Powoduje straty zarówno u tych,

przeciwko którym zostaje użyta, jak i tych, którzy ją użyli. Według mnie, jeśli możemy uniknąć użycia broni jądrowej... to cóż, nie używajmy jej: takie zawsze będzie moje stanowisko.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, w jaki sposób negocjacje dyplomatyczne mogą tak gruntownie zmienić sytuację strategiczną - wątpił Jeremienko, już trochę poirytowany.

- No cóż, wcale nie spodziewam się, że potrafisz - odparł Gołowanow. - Ale, towarzyszu generale, zapewniam cię, że naczelny dowódca jest optymistą.

Powinieneś co jakiś czas wypić trochę wódki, towarzyszu Jeremienko, pomyślał sobie Gołowanow. Kwas chlebowy niedługo rozpuści ci ten twój głupi mózg.

- Cóż, przypuszczam, że zrozumiałem - powiedział Jeremienko. — Nie chcę, żeby coś źle

poszło. Mój ojciec w Charkowie co noc miewał koszmary, że rakiety latają nisko nad ulicami.

- Nie opieramy strategii na nocnych koszmarach twojego ojca - zauważył dobrotliwie

Gołowanow. - Naszym zadaniem jest wyzwolenie Europy, a nie jej zniszczenie.

Jeremienko milczał teraz. W tym momencie nie mógł już nic dodać. Gołowanow był pierwszym zastępcą ministra. Do rozpoczęcia operacji Byliny Jeremienko najwyżej może mieć nadzieję, że Gołowanow będzie zbyt wymagający, zbyt arogancki, zbyt staromodny i że w końcu narazi się na gniew Kutakowa.

Zaterkotał dzwonek u drzwi.

- To pewnie major Popławski - powiedział Jeremienko. - Wypijecie jeszcze jednego przed wyjściem, towarzyszu marszałku?

- Nie, nie - odparł Gołowanow, potrząsając głową. - Jesteś wobec mnie zbyt gościnnie.

Podparł się rękami o oparcie fotela i wstał. Jego mundur pomarszczył się jak spódniczka baletnicy.

- Dokonałeś cudów w Niemczech - powiedział. - Zwrócę szczególną uwagę naczelnemu dowódcy, jak bardzo jesteś skuteczny.

Jeremienko odprowadził go do drzwi. Major Popławski wpuszczony został do środka przez gospodynię Jeremienki, Hildę, i teraz stał niepewnie w rogu pod krzykliwym, turkusowo-zielonym obrazem, który przywodził Gołowanowowi na myśl chorobę morską.

W drzwiach Gołowanow uściśnął rękę Jeremienki i powiedział:

- Pamiętaj, przyjacielu, nadchodzą ważne dni. To może być ostatni wielki polityczny przewrót na świecie w ciągu najbliższych stu lat. Ostatnie nasze wielkie zadanie.

- Te dyplomatyczne negocjacje... - Jeremienko zawahał się. Gołowanow uśmiechnął się do niego szeroko.

- Gdy tylko czegoś się dowiem, towarzyszu, dam ci znać. Teraz śpij dobrze.

- I wy też — odparł Jeremienko tak zwyczajnie, iż Gołowanow nie mógł wyczuć w jego słowach sarkazmu.

Inga Schultz mieszkała w zachodniej części Wiindsdorfu, zabudowanej małymi, ekskluzywnymi domkami o czerwonych dachach. Większość z nich zamieszкана była przez obywateli NRD zatrudnionych na ważnych stanowiskach w kwaterze głównej: uprzywilejowana klasa średnia w

tak zwanym bezklasowym społeczeństwie. Przed domami stały volvo i mercedesy, czasami škody, ale

nie było żadnej ładu. Major Popławski prowadził czarne volvo z uwagą, ale brakowało mu doświadczenia, wjeżdżał tylnymi kołami na krawężniki przy każdym ostrym zakręcie i zatrzymał się prawie na środku ulicy, gdy wreszcie dojechali na Herbertstrasse pod numer siedemnasty. Major Popławski wybrany został raczej ze względu na swoją dyskrecję niż umiejętność prowadzenia samochodu.

- Jutro rano, towarzyszu marszałku? O siódmej może? - zapytał niepewnie.

- O szóstej - odparł Gołowanow i naciągnął rękawiczki. Przeszedł wyłożoną kamiennymi płytami ścieżką i stanął przed pola-kierowanymi frontowymi drzwiami z żółtą szybą. Ze środka dochodziły dźwięki muzyki rockowej, ale nie miał pojęcia, co to może być. Jeśli chodzi o muzykę, to lubił Czajkowskiego i czastuszki, czterowersowe sprośne przyśpiewki ludowe. Nacisnął na dzwonek przy drzwiach, chociaż wiedział, że Inga już go usłyszała.

Otworzyła drzwi i stała bez ruchu w świetle dobiegającym z korytarza. Opis Czujkowa był właściwy, ale nie dość obrazowy. Ilekroć Gołowanow spoglądał na nią, powietrze uchodziło mu z płuc

i nie mógł wydobyć słowa. Ale w gruncie rzeczy, co można powiedzieć o kobiecie takiej jak Inga?

Gołowanow wszedł do hallu, zdjął czapkę i skinął głową, to było na razie wszystko, co zdołał uczynić.

Uśmiechnęła się, legendarna Inga, i przeszła do salonu. Okna zakrywały szare, aksamitne

zastłony, biały dywan był nieskazitelnie gładki i czysty, obite szarą skórą meble połyskiwały. Wyglądało, jakby porządek zawsze robiła tu zawodowa sprzątaczką, i było tak w rzeczywistości. Pokój cały zastawiony był szkłem i tuzinami szklanych statuetek. Był tu Lalique i Warff, i Daum, kryształowe ryby i tańczące baleriny oraz kryształowe wazy.

Inga stanęła na środku pokoju i odwróciła się, kołysząc biodrami; uśmiechnęła się do

Gołowanowa w sposób, który doprowadzał go do szaleństwa: sarkastycznie, prowokująco, tajemniczo.

Nie był naiwny. Wiedział, że albo pracuje dla KGB, albo po każdej jego wizycie składa im raporty.

Gdyby Politbiuro chciało go zniszczyć na płaszczyźnie moralnej, mogliby zrobić to wiele lat temu.

Wiedział, że Inga jest jedną z jego stałych nagród za konserwatyzm, stałość i za lojalność oraz za to, że jest dostatecznie silny, by panować nad zręcznymi i cwany podwładnymi, jak chociażby

Jeremienko.

Inga mogła mieć dwadzieścia osiem lub dwadzieścia dziewięć lat: nigdy mu nie powiedziała,

kiedy się urodziła. Była wysoka, miała szerokie ramiona, białą skórę i ogromne, wspaniałe piersi. Jej

nogi czasami wydawały się Gołowanowowi dłuższe od niej samej: szczupłe i zgrabne, z trójkątną

przeziębieniem pomiędzy udami, przez którą przedostałaby się bez problemu pięćdziesięciogramowa

szklaneczka wódki. Twarz Ingi wyglądała zawsze tak, jak gdyby dziewczyna chciała przewiercić go

oczami na wylot: wyraźny germański podbródek, prosty, wąski nos i usta blade jak róża, której brak

wody. Przejrzyste, uważnie spoglądające na niego szare oczy doprowadzały go do strachu i

pobudliwości. Te jasne, jasne włosy, nieskazitelnie szesane z czoła. Wyglądała jak bohaterka opery

Wagnera.

Była jedyną kobietą, która go podniecała. Jedyną, która go onieśmiała. Silna, podniecająca,

namiętna, dominująca. Nigdy nie znał podobnej kobiety. Rozpalała jego skórę do czerwoności

seksualnym głodem. Dostawał szału na myśl o tym, że kocha się z innymi facetami, że jest dla niej

tylko jeszcze jednym, chociaż ważnym, „wujkiem”.

Tego wieczoru miała na sobie czarny, atlasowy wieczorowy kostium, w ramionach podwyższony wszytymi poduszczkami, z dużym dekoltem, który eksponował biel jej ciała pomiędzy piersiami. Spódnica sięgająca do łydek przylegała do długich nóg i Gołowanow mógł zobaczyć czarne siatkowe pończochy i czarne buty na wysokich obcasach.

- Cóż, Ingo - Gołowanow przełknął ślinę, zrzucając z siebie kurtkę mundurową - jak zawsze wyglądasz czarująco.

Jego niemiecki nie był zbyt dobry, więc zwykle rozmawiali mieszanką rosyjskiego, niemieckiego, szwedzkiego i angielskiego.

- Towarzyszu marszałku - uśmiechnęła się. Wciąż stała na środku pokoju. - Dlaczego nie podejdziesz i mnie nie pocałujesz?

Gołowanow podniósł swoją czapkę, zawahał się, położył ją znów na jednym z krzeseł. Podszedł do Ingi, ostrożnie objął ramieniem jej smukłą, kształtną kibić i podniósł głowę, żeby pocałować ją w usta. W pierwszej chwili ich usta ledwie się dotknęły, ale zaraz potem Inga zaczęła całować go z namiętnością: czoło, policzki, oczy - a jej wąskie nozdrza drżały czymś, co mogło być pożądaniem, ale wcale nie musiało.

- Nie spodziewałam się, że wrócisz tak wcześnie - powiedziała. - Słyszałam, że wyjechałeś na wschód, do Chabarowska.

- Byłem wszędzie, podróżowałem. Wiesz, jakie zadania dają starym człowiekowi: inspekcje, salutowanie, oglądanie garnków z kaszą...

- Coś się dzieje - stwierdziła, nie owijając w bawełnę. - W tym miesiącu jest tu tylu oficerów, znacznie więcej niż zwykle.

- Coroczne manewry, to wszystko. Ale nie będziesz sobie zawracała tym głowy, prawda?

Inga pocałowała go beznamiętnie w czoło. Jej perfumy zapachniały intensywnie, lecz

Gołowanow czuł przede wszystkim ciepło bijące od jej białego jak mleko ciała.

- Napijesz się? - zapytała. Gołowanow przeszedł przez pokój, rozluźniając krawat.

- Co to za muzyka? Chyba jakaś dekadencja?

- Nie - odparła. - To Frankie Goes To Hollywood.

- Czy to nazwa zespołu muzycznego?

Inga podeszła do barku i wyjęła z niego karafkę w kształcie gruszki.

- Wyborowej? - znów zapytała.

- Cokolwiek.

Gołowanow rozpiął kilka górnych guzików koszuli. Bez munduru, tylko w cienkiej koszuli

koloru khaki, silna budowa jego ciała jeszcze bardziej się uwidaczniała. Był dumny, że nie musi

nosić

gorsetu. Wiedział, że dwóch innych marszałków Związku

Radzieckiego musi, łącznie z Kutakowem. Usiadł na obitej szarą skórą kanapie.

- Czyżby coś cię niepokoiło? - spytał.

Podawała mu alkohol i klękła na podłodze obok niego, opierając ostry łokieć na jego kolanie. Jej szare oczy patrzyły na niego niespokojnie.

- Coś się dzieje — powtórzyła. — Wy wszyscy, Rosjanie, jesteście podekscytowani jak konie w upalny dzień.

- Nic - odparł, potrząsając głową. Podniósł szklanekę i dodał: — Za twoje zdrowie.

Inga podniosła rękę, żeby poprawić zaczesane do tyłu, srebrzyste włosy.

- Nigdy mnie nie okłamiesz, prawda? - zapytała.

- W jakiej sprawie? Nie ma o czym kłamać. Prowadzimy letnie ćwiczenia wojskowe, manewry, to wszystko. Są bardzo nudne. Jedna dywizja tu, druga tam. Czołgi, ciężarówki, wozy bojowe. Daj spokój, kochanie. Nie przyszedłem tutaj, żeby rozmawiać z tobą o armii.

Inga siedziała przez chwilę zamyślona, po czym powoli się uśmiechnęła.

- Nie, oczywiście, że nie. Czy chcesz, żebym dla ciebie zatańczyła?

Gołowanow odstawił wódkę i skinął głową.

- Tak, czemu nie? - powiedział. Ale kiedy wstała i odwróciła się, poczuł dziwne ukłucie wyrażające podejrzenie i niepokój. Czy naprawdę zauważyła, że coś się dzieje? To nie mogła być przecież prawda, gdy mówiła: „Wy wszyscy, Rosjanie, jesteście podekscytowani”. Tylko ci, którzy uczestniczyli dzisiaj rano w konferencji, wiedzieli o operacji Byliny, trzydziestu jeden starszych, wielokrotnie sprawdzonych oficerów. Kobieta taka jak Inga powinna sądzić, że nie dzieje się nic niezwykłego, tylko przyjazdy i odjazdy oficerów i sztabu, co jest związane z corocznymi letnimi manewrami. Może jest oszołomiona tym widokiem albo bardzo przebiegła, ale przecież to tylko kurwa. Może pytania wynikały z jej związków z KGB? Może KGB go sprawdza? Sącył wódkę i patrzył, jak zakłada nową płytę. Po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuł się niepewnie.

Włączyła najnowszą płytę Culture Club. Dla uszu Gołowanowa taka muzyka nie była niczym więcej jak niezharmonizowanym jazgotem, z dziwnymi skowyczącymi głosami, które wydają z siebie

zachodni soliści. Ale to, jak Inga tańczyła, sprawiało, że muzyka stawała się hipnotyczna i szczególnie

intrygująca.

Na początek chodziła przed nim w tę i z powrotem, poruszając biodrami i ramionami w takt muzyki w ten szczególnie wyzywający sposób, w jaki poruszają się modelki na pokazach mody w Paryżu. Odwróciła się nagle i rozpięła czarny atłasowy żakiet, ukazując mu na chwilę jedną nagą pierś. Dużą, kremową, z szerokim, bladym sutkiem, podskakującą w takt muzyki. Gołowanow patrzył zafascynowany na Ingę, jak przechadza się po pokoju, poruszając się rytmicznie, tańcząc w wymyślny sposób. Wtem ponownie się odwróciła i tym razem ukazały się obie piersi, ogromne i okrągłe, oraz biały, płaski brzuch.

Gołowanow ciężko oddychał. Jego marszałkowskie spodnie zaczęły robić się zbyt ciasne w

kroku. Pociągnął więcej wódki i otarł usta ręką.

Inga zaczęła tańczyć wolniej. Nieznacznym ruchem wysliznęła się z czarnego żakietu i pozwoliła mu opaść na podłogę. Rozpięła zamek przy spódnicy i odwróciła się plecami do Gołowanowa, opuszczając ją stopniowo na ziemię przez biodra.

Gołowanow wpatrywał się w Inge jak zahipnotyzowany. Mięśnie na jej długich plecach poruszały się, jej biodra wirowały ze zmysłową żądzą. Opuszczała spódnicę coraz niżej i niżej,

ukazując białe pośladki, by w końcu opuścić ją na podłogę. Teraz pozostała już tylko w czarnych siatkowych pończochach i butach na szpilkach. Pochyliła się plecami do Gołowanowa, aby podnieść z

podłogi spódnice zawiniętą wokół obcasów. Kiedy to zrobiła, stary marszałek pożądlwym wzrokiem

łypnął na jej wydęte szeroko zewnętrzne wargi sromowe.

Tańczyła tyłem do niego, drażniąc go jeszcze przez minutę lub dwie. Jej piersi były tak wielkie, że mógł zobaczyć ich półksiężycowe zaokrąglenia po obydwu stronach pleców. Zaczął rozpinać koszulę szybkimi i gwałtownymi ruchami, obnażając brązowy tors porośnięty rzadkimi białymi włosami.

— Inga - powiedział chrapliwie.

Odwróciła się. Ciągle tańcząc, uniosła podbródek. Jej oczy były beznamienne. Piersi kołysały się i falowały w takt muzyki, sutki powiększyły się, blade i niezwykle długie. Robiła wrażenie bogini oblanej mlekiem i światłem księżyca, a Gołowanowowi na ten widok oddech grzęzł w gardle.

Poruszała udami do rytmu wybijanego przez perkusistę, a biodrami kołysała z nie kończącą się erotyczną żądzą. Jej cipka była wygolona, z wyjątkiem małego pióropusza jasnopopielatych włosów, który wyrastał akurat powyżej łechtaczki, niczym biały płomień. Wargi wewnętrzne miała zwarte, lecz

błyszczące wilgocią, co znaczyło, że jest pobudzona.

Cichutko podśpiewując, podeszła do Gołowanowa i zdjęła mu buty, potem skarpetki, by w końcu pomóc mu zrzucić spodnie. Jego ciało budziło strach i respekt, było skupiskiem mięśni i niespotykanej siły. Pomiędzy umięśnionymi udami jego członek rósł szybko, lekko zakrzywiony, szkarłatny, wielkie rosyjskie drzewo.

Inga wspięła się na kanapę, stanęła okrakiem nad nim, podczas gdy on siedział i patrzył na nią.

Wtedy stopniowo zaczęła obniżać biodra, aż jej srom znalazł się o dwa lub trzy cale od jego twarzy.

Jeszcze bardziej rozwarła nogi i różowe lepkie wargi wewnętrzne rozszerzyły się z cichym

młaśnięciem, ukazując ciemnoczerwone wilgotne wnętrze pochwy.

- Inga... - wyszeptał chrapliwie. - Wiesz, że nie mogę się tobie oprzeć. Wiesz, że to niemożliwe.

Pochylił się do przodu, wysunął język, ale ona cofnęła się trochę i nie trafił. Zrobił gwałtowny ruch do przodu, lecz wciąż się cofała.

- Czy zrobiłbyś dla mnie wszystko? - zapytała. Spoglądał na jej cipkę i w napięciu oblizywał usta.

- Wiesz, że tak. Właśnie przyniosłem ci prezent... naszyjnik z Tbilisi. Wiesz, że możesz mieć wszystko, czego tylko zechcesz. Pieniądze, ubrania, alkohol. Mogę załatwić dla ciebie wszystko.

Pochyliła się do przodu, tak że jej krocze ponownie znalazło się nad twarzą Gołowanowa.

Wolno, z wyrazem rozkoszy na twarzy, marszałek przymknął oczy i zaczął wykonywać okrężne ruchy językiem po jej łechtaczce, od czasu do czasu pozwalając językowi ześliznąć się w kierunku ciepłej słodyczy pochwy. Smakowała o wiele lepiej niż sowieckoję szampanskoje.

Teraz Inga przełożyła jedną nogę za oparcie kanapy i mocniej przycisnęła krocze do ust

Gołowanowa. Oczy miała na wpół przymknięte, cicho coś nuciła, poruszała biodrami, a język starego żołnierza masował i lizał jej srom. Zwilżała jego twarz, jego czoło, brwi, policzki, nos, usta, i w końcu

zaczęła oddychać coraz gwałtowniej. Jej biodra zaczęły drżeć, a ogromne piersi zadygotały. Przez następną chwilę trwała w bezruchu, jak zamrożona. Wreszcie jej soki pociekły na twarz Gołowanowa.

Po chwili ciężko podniosła się z kanapy i pospacerowała przez chwilę po białym dywanie.

Wreszcie uklękła przed marszałkiem. Mimo przeżytego przed chwilą orgazmu była chłodna, opanowana, w każdej chwili tak samo ponętna.

- Jesteś bardzo namiętym mężczyzną, marszałku — powiedziała. - Teraz chciałabym ci się odwzajemnić.

Gołowanow spoglądał na nią. Ujęła jego członek w długie, doskonałe palce. Powoli, z wprawą, zaczęła przesuwać je w górę i w dół, masując twarde korzeń.

- Jeżeli diabeł mógłby kiedykolwiek być biały, tak biały jak anioł, wszedłby w twoje ciało - szepnęła Gołowanow. Wiedział, że mówi bzdury, może był to efekt nadmiaru wypitej wódki, ale Inga sprawiła, że stracił kontrolę nad swoim mózgiem.

Wolno, systematycznie Inga pracowała nad jego członkiem. Pochyliła się do przodu, jak gdyby chciała wziąć go do ust, ale po chwili się wycofała.

- Boisz się ze mną rozmawiać, prawda? - zapytała. - Boisz się, że ściany mają uszy. Boisz się, że to, co powiesz, powtórzą KGB.

Gołowanow zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział. Masowała jego członek coraz wolniej.

- Cóż — dodała. - To jednak prawda. Jestem opłacana przez KGB za przekazywanie im wszystkiego, co powiesz. Mam magnetofon w sypialni i przekazywałam im do tej pory wszystko, co tylko mówiłeś, gdy się kochaliśmy, każde pojedyncze chrząknięcie, każdy twój jęk. Prawdopodobnie świetnie się bawili, słuchając wielkiego marszałka T. K. Gołowanowa przemawiającego ze sterczącym

kutasem.

Gołowanow siedział nieporuszony, nieprzenikniony i zimny. Jego twarz nie odbijała myśli, w jednej krótkiej chwili stała się maską. Tylko oczy złowrogo błysnęły.

- Spodziewałem się, że tak może być. Na twoim miejscu postępowalbym pewnie tak samo. Nie jestem głupcem, Ingo. Wiedz, że wcale mnie nie zdziwiłaś.

Inga przerwała zabawę marszałkowskim członkiem.

- Muszę cię zapytać, czy będzie wojna. Gołowanow uniósł jedną brew.

- Jeśli pracujesz dla KGB, a powiedziałaś, że pracujesz, to wiesz, że nie mogę przekazać ci żadnej informacji. Nigdy przedtem nie zdradzałem tajemnic służbowych i nie zrobię tego również teraz.

- Timofiej - wyszeptała tak proszącym głosem, jakiego nigdy przedtem u niej nie słyszał. -

Pracuję dla KGB, a to oznacza, że muszę mieć zawsze uszy i oczy otwarte. Jestem jak zwierzę, które musi bronić się samo przed wszystkimi wrogami. Wiem, że coś się dzieje. To nie są zwykłe letnie manewry. Na przykład co ty tutaj robisz, dlaczego wróciłeś tak szybko? Gdy człowiek generała Jeremienki powiedział mi, że wracasz, natychmiast potwierdziło to wszystkie moje obawy. - Dla wyrażenia słowa „obawy” użyła szwedzkiego neruositet.

Gołowanow wciągnął głęboko powietrze.

- Cokolwiek się dzieje, Ingo, nie musisz się niepokoić.

- To już wkrótce, prawda? - nalegała.

- Ingo! - zaprotestował przeciwko tym uporczywym pytaniom i jednocześnie spojrzał wymownie na swojego, zapomnianego od dłuższego czasu, penisa.

Inga usiadła na kanapie, wzruszając ramionami. Jej długie paznokcie wyglądały jak pomalowane na czarno szpony, gdy ułożyła wyprostowane ręce na kolanach.

- Timofiej - powiedziała. - Jesteś najbardziej wpływowym oficerem, jakiego znam. Wiem, że jesteś najważniejszy. Proszę, pomóż mi.

- Ale czego ty chcesz? Nie mogę ci pomóc, skoro nie wiem, czego właściwie ode mnie chcesz. Słuchaj, kochanie. Nigdy nic ci nie mówiłem o armii i sprawach wojska, nic a nie.

Opuściła głowę. Spoglądał na jej jasne włosy łonowe, później na wielkie, blade, krągłe piersi.

- Chcę pojechać do Ameryki - wyznała. Spojrzała na niego ponownie, a szarość jej oczu jakby nabrała czerni. - Timofiej, błagam cię, zanim wojna się zacznie. Potem nie będzie już żadnych szans. Błagam cię, pomóż mi stąd uciec.

Gołowanow popatrzył między swoje nogi. Sterczący przed chwilą członek stopniowo malał. Po chwili opadł na bok i skurczył się do minimalnych rozmiarów.

- Ingo - powiedział gderliwie - spójrz, co zrobiłaś.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Telefon zabrzmiał jakby z odległej galaktyki. Całe lata świetlne stąd, z bardzo, bardzo daleka.

Charles Krogh przeniósł się w przestrzeni i czasie i próbował się jeszcze przekonywać, że nie słyszał

dzwonka, że nie istnieje, że wszystko jest ciemnością, ciszą i błogim spokojem.

Telefon wciąż dzwonił. Był coraz bliżej i coraz głośniejszy, mknął przez wieczność z niewyobrażalną prędkością. Nagle zmaterializował się obok łóżka, na nocnym stoliku. Charles zamachnął się i aparat spadł z trzaskiem na podłogę, razem z dwoma pustymi kieliszkami po winie, popielniczką pełną niedopałków i broszurowym wydaniem Huysmansa Przeciwno naturze, o „niezrównoważonej, chorej psychicznie kobiecie, która uwielbiała, gdy pieszczono jej sutki, nacierając je perfumami”. Pociągnął nosem, warknął, wrzasnął i usiadł na łóżku. Jego twarz była pomarszczona jak duńska kołdra.

- Agneta! Tager du da aldrig den forbandede telefon?

- Den kan du selv svare - odpowiedział z kuchni ostry damski głos.

Z telefonu, który spadł na podłogę, dochodził drobny i płaczliwy głosik:

- Halo! Halo!

- O, kurwa - westchnął Charles i ukrył twarz w poduszce.

- Halo! - dobiegało z telefonu. - Czy pan Charles Krogh?

W końcu Charles zwał się z łóżka, bosy przeszedł przez walające się po podłodze niedopałki papierosów i podniósł słuchawkę.

- Czy wiesz, człowieku, która jest godzina? - warknął.

- Dziesięć po dziesiątej - odpowiedział głos po drugiej stronie. Męski głos: Duńczyk, ale dobrze mówiący po angielsku.

- Właśnie świta - poskarżył się Charles. Podrapał się po ramieniu, a potem przejechał ręką po rozczochranej czuprynie. - Chryste, Agneta, co ty robisz z tym mikserem? Mielesz naszego kota na

strzępy?

- Przygotowuję ci świeży sok pomarańczowy, ty ośle - odpowiedziała Agneta.

- Cóż, dolej więc trochę wódki! - krzyknął Charles. - Skoro jeszcze nie jestem trzeźwy, równie dobrze mogę pić dalej.

Agneta stanęła w drzwiach sypialni. Była małą blondynką o dziewczęcym wyrazie twarzy, ale pomarszczona skóra pod oczami zdradzała zaawansowany wiek i wiele przeżyć. Miała na sobie jedną

z koszul Charlesa, bladozieloną od Van Heusena, i nic więcej.

- Porozmawiaj z tym facetem, kimkolwiek jest - powiedziała.

- A kto to jest? — Charles przez chwilę nie pamiętał, że trzyma słuchawkę. - Halo? Tak - mruknął. - Przypuszczam, że pytałem już, z kim rozmawiam. Nie? No to dałem dupy.

- Czy pan Charles Krogh?

- Tak, to ja - odparł Charles, mniej gniewnie. Światło i spokój stopniowo zaczynały docierać do jego umysłu. - A kto chce wiedzieć?

- Nazywam się Christian Skovgaard, panie Krogh. Mam dla pana wiadomość od Jeppe Rifbjerga. Powiedział, że nie może zadzwonić do pana osobiście z powodu nadzwyczajnych okoliczności, ale chciałby spotkać się z panem o dwunastej w Fiskarhusets.

Charles głośno chrząknął.

- Czy powiedział, czego chce?

- Powiedział, że później wszystko wyjaśni.

- A czy powiedział, kto zapłaci za lunch?

Christian Skovgaard, kimkolwiek był, odłożył słuchawkę. Charles na moment utkwiał wzrok w aparacie telefonicznym, następnie rzucił słuchawkę na rozbebeszone łóżko. Nie życzył sobie więcej telefonów, dopóki jego głowa nie zacznie pracować, w szczególności tak zagadkowych telefonów jak ten. Wstał, podrapał się i powłócząc nogami, poszedł do kuchni. Agneta smarowała właśnie chleb

masłem i obkładała kanapki plasterkami wędzonej szynki. Charles podszedł do stołu i pocałował ją głośno w ucho.

- Nie zasługuję na ciebie, wiesz o tym? - zapytał. - Gdzie jest ten sok pomarańczowy?

Agneta nalala soku do wysokiej szklanki i postawiła ją na stole. Charles powąchał. Otworzył wielką lodówkę i wyjął z zamrażalnika butelkę wódki. Dolał sporą porcję do soku pomarańczowego, a mniejszą wlał do kieliszka.

- Czy wczorajszej nocy nie zrobiłem czegoś głupiego? - zapytał Agnetę. Byli na przyjęciu zorganizowanym przez Danny'ego Neilsona, jednego z najbardziej wpływowych kopenhaskich gangsterów. Samochodowy gang Neilsona - wyspecjalizowany w nowych luksusowych volvo i saabach turbo, tylko nie zarejestrowanych - uczynił z niego milionera w wieku trzydziestu jeden lat. Przyjęcie odbywało się na jego luksusowym jachcie, przycumowanym do brzegu w Christianshavn. Charles pamiętał, że wypił więcej sznapsów, niż zwykle wystarczało, aby urwał mu się film.

- Powiedziałaś inspektorowi policji, że jego żona przypomina ci jeżozwierza. Oprócz tego nic więcej.

- Nieźle - odparł Charles, siadając na taborecie. Stół kuchenny stał pod samym oknem, dookoła którego wisiały rośliny. Na białobeżowych ścianach kuchni porozwieszano gliniane krasnoludki i rusalki. Pomieszczenie było jasne, czyste i nowoczesne. Nikt, kto by wszedł do tej kuchni, nie pomyślałby, że mieszka tutaj nieporządny, niesforny Amerykanin w średnim wieku. Było to czyste, całkowicie skandynawskie pomieszczenie.

- Nie moja wina - powiedział Charles, mieszając widelcem sok pomarańczowy.

- A kto cię wini? I za co?

- Inspektor policji, oczywiście. Za stwierdzenie, że jego żona wygląda jak jeżozwierz. Ale wygląda. Te najeżone włosy i tłusty, mały brzuszec...

- Musisz nauczyć się trochę dyplomacji - strofowała go Agneta.

Charles skinął głową. Wymieszał sok pomarańczowy z wódką, odchrząknął i znów pokiwał głową.

- Oczywiście, masz rację. Nawet dyrektor mojego kursu w Langley zauważył, że powinienem być trochę grzeczniejszy. Panie Krogh, powiedział, agent wywiadu nie może być gruboskórnym chamem. Wydaje mi się, że z tego właśnie powodu nigdy mnie nie awansowali i dlatego przenieśli mnie na emeryturę. Wyobraź sobie, emerytura z CIA. A mój ojciec obawiał się, że będą mnie wiecznie doić.

Agneta usiadła i patrzyła, jak je śniadanie. Lubiła obserwować go jedzącego. Wyglądał wtedy równie bezradnie jak mały chłopczyk. Miał faliste włosy, nos jak kartofel, niewiarygodnie brzydki.

Wiedziała jednak, jak wiele ma w sobie siły. Jego charakter był jak elastyczna stal: często się zginał, ale nigdy nie łamał. Pracował przez piętnaście lat dla CIA w Danii, zanim przenieśli go na emeryturę.

Wiedziała, że jego zasługą było schwytanie i zabicie co najmniej dwóch sowieckich szpiegów, którzy

przeniknęli do duńskich baz wojskowych w Aarhus. W 1976 roku zrobiła się wokół tego międzynarodowa awantura: dwóch Rosjan znaleziono na wyspie Tuno z roztrzaskanymi głowami.

Pewnego wieczoru, gdy był pijany, powiedział do Agnety:

- Pamiętasz sprawę Tuno? Cóż, chciałabyś wiedzieć, co im wtedy zrobiłem? Nawet nie krzyczeli, w ogóle. Po prostu patrzyli na mnie i czekali na śmierć. A wiesz dlaczego? Sama zgadnij. Nigdy więcej o tym nie wspominał; zdawał się nawet nie pamiętać, co powiedział tamtego wieczoru. Ale Agneta wiedziała, wiedziała, jak zabił tych dwóch mężczyzn. Zadał im śmierć, wsadzając ich głowy pod młot pneumatyczny. Zdawała też sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie było o wiele więcej takich wypadków. Pomimo pokoju toczyła się cicha, okrutna wojna, po omacku, w ciemnościach.

Charles w wieku pięćdziesięciu dwóch lat czuł się zbyt staro, za bardzo zasiedział się w Danii,

żeby teraz wracać do Stanów. Poza tym był wciąż rozgoryczony, że zrezygnowano z niego tak wcześnie. Był dobry, nie miał wątpliwości. Jego wiedza o radzieckich agentach i technice ich pracy była wiedzą encyklopedyczną, bardziej rozległą niż informacje jakiegokolwiek komputerowego banku

pamięci. Wielu z nich znał osobiście, tak jak oni znali jego. Dawniej raz w miesiącu zwykł jadać obiad

z Iwanem Jerikalinem, szefem kopenhaskiej rezydentury KGB. Jadali zawsze w Cafe Victor przy Ny ostergade, narażając swoje kraje na spore koszty, zamawiając kawior i wędzonego łososia, przez cały

czas sondując się i podpuszczając nawzajem prowokacyjnymi pytaniami. Charles tęsknił do tych obiadów, tęsknił też za Jerikalinem, którego nagle wezwano do Moskwy, bez uprzedzenia.

Prawdopodobnie został zastrzelony.

Po przejściu na emeryturę Charles podróżował po Skandynawii, ale w końcu wrócił do Kopenhagi, po prostu dlatego, że czuł się częścią tego miasta. Było coś w tych pomarańczowych dachach, zielonych miedzianych iglicach, w tym, jak strzelały wysoko ku niebu oraz w tej równinie wyglądającej w ciągu lata jak mapa z ciemnoniebieskimi kanałami poprzecinanymi przez mosty - Langebro, Knippelsbro i Dronning Louises Bro - w sposobie ich zamykania na zimę, gdy niebo było czarne, a wszystko dookoła zasypane puszystym śniegiem..,

Urządził sobie dom na Larsbj0rnstrade w dzielnicy łacińskiej, na górze wąskiego, pomalowanego na żółto budynku, który pachniał serem i pralnią. Z okna łazienki miał widok na Studiestrade i Vor Frue Kirke, kościół Najświętszej Marii Panny. Otoczył się wieloma przyjaciółmi, a byli to wyłącznie ludzie, których poznał podczas pracy w CIA: gangsterzy, dyplomaci, prostytutki i policjanci. Po czterech miesiącach wprowadziła się do niego Ag-neta. Miała trzydzieści siedem lat, była tancerką w nocnym klubie, artystką z sex-show i czasami prostytutką. Ich przyjaźń przerodziła się w miłość i wspólne komfortowe życie: pełne wina, dobrej żywności i śmiechu, seksu, gdy miał na

to ochotę, oraz bez żadnych pytań o przeszłość, teraźniejszość czy przyszłość. Nigdy nie pytał Agnety, czy go kocha. Gdyby zapytał, zapewne powiedziała mu, że tak. Sam wiedział, że kocha Agnetę.

Wszechmogący Boże, mógłby umrzeć za nią. Ale cóż by to była za dziwna śmierć dla chłopaka, który dorastał na ulicy w Minneapolis, chudego młodzieńca, który związał się z marynarką wojenną, by w końcu znaleźć swe miejsce w służbie wywiadowczej, a później w CIA.

Przyjechał do Fiskehusets spóźniony o dziesięć minut. Zdążył wziąć prysznic i jego potargane włosy były jeszcze mokre. Miał na sobie letni szary garnitur, żółtą koszulę i drogi jedwabny krawat, który kupił podczas jednodniowej wycieczki do Oslo. Fiskehusets była jedną z droższych restauracji rybnych na Gammel Strand, z widokiem na kanał. Charles wolał Krogsa, ale Jeppe czekał na niego właśnie tam, przy jednym ze stolików na końcu restauracji. Rozmawiał właśnie z dyrektorem, Arne Larssenem. Charles uścisnął ich dłonie i powiedział do tego ostatniego:

- Co dobrego dzisiaj w karcie? Płastuga?

- Jeśli pan Rifbjerg płaci, to karp. - Arne uśmiechnął się.

- Ach! - Charles poprawił ręką mokre włosy. - Rozumiecie, brałem prysznic. Zresztą mogła to być wanna, trudno mi to rozróżnić, kiedy dookoła pełno ciepłej wody.

- Rozumiem. Mały kac.

- Byłem wczoraj wieczorem na przyjęciu urodzinowym Neilsona. Alkohol lał się strumieniami.

Jeppe skinął na kelnera i powiedział:

- Piwo dla tego pana, proszę. Carlsberg special.

- Wyglądam aż tak źle? - spytał Charles.

Jeppe uśmiechnął się i splótł palce. Charles rozpoznał ten gest. To znaczyło, że Jeppe chce powiedzieć coś trudnego albo chce prosić o przysługę, albo obie te rzeczy naraz. Jeppe był agentem Duńskiej Służby Wywiadowczej. Miał chudą twarz i jasne wąsy. Był doskonałym agentem. Miał intuicję, ale i wielką cierpliwość. Był człowiekiem, który żył w ciągłym stresie, ale nigdy nie był

zdenerwowany. Dzięki kombinacji intuicji i metodycznej kalkulacji wykrył dwóch sowieckich szpiegów w Danii oraz aresztował piętnastu handlarzy, którzy traktowali Kopenhagę jako magazyn dla

amerykańskiej elektroniki, przerzucanej następnie do Rosji w zamian za złoto i narkotyki.

Jednakże częściowo z powodu sukcesów, a częściowo z powodu niekonwencjonalnych metod

Jeppe nie był popularną postacią w duńskim wywiadzie. Jego przełożeni uważali, że jest przeczulony,

a jego podwładni, że zbyt bystry.

Charles zapalił papierosa i wypuścił przed siebie kłąb dymu.

- Kim jest Christian Skovgaard? - zapytał. Jeppe roześmiał się.

- Moim zastępcą. To były policjant. Ściągnąłem go z posterunku w Stove Kongensgade.

Wygląda na spokojnego faceta, dopóki lepiej się go nie pozna. Wtedy można się zdziwić.

- O wszystkich byłych policjantach tak się mówi — stwierdził Charles. Kelner przyniósł piwo i postawił przed nim na stoliku. - O agentach też.

- Cóż, właśnie dlatego tu jesteś - powiedział Jeppe. Charles odchrząknął.

- Czy winien ci jestem jakąś przysługę? To znaczy jaki jest wynik? Czyżbyśmy znowu zaczynali od zera?

Jeppe zaczął się bawić sztuczkami i powiedział niskim głosem:

- Przedwczoraj w pewnym kościele parafialnym w Jutlandii zabity został mężczyzna.

Dokładnie w kościele Świętego Jorgen-sa w Hvidsten, kilka mil na północ od Randers.

- Co o nim wiesz? - zapytał Charles, popijając zimne piwo i wykrzywiając twarz.

- Niezbyt wiele, oprócz jego nazwiska: Nicholas Reed. Amerykanin. Pracował dla Klarlunda i Christensena, architektów. Mają biuro naprzeciwko stacji Vesterbrogade. Robił coś przy ośrodku wypoczynkowym niedaleko Roskilde, który właśnie projektują. Prawdopodobnie Reed miał już do czynienia z tego typu projektami w Stanach i dlatego go zatrudnili.

- A co robił w Hvidsten? - zapytał Charles.

- Cóż, wygląda na to, że mieszkał tam mniej więcej od końca lutego, pracując w małej

restauracji. Ostatni raz widziano go u Klarlunda i Christensena dziewiątego lutego. Przyszedł do pracy

jak zwykle, wyglądało na to, że wszystko jest w porządku, ale następnego dnia już się nie pokazał. To

był ostatni dzień, kiedy go tam widziano. Pracodawcy próbowali porozumieć się z jego rodziną i wspólnikami w Stanach Zjednoczonych, ale bez powodzenia. Poinformowali o zaginięciu policję i Tilsynet med udlaendinge, poza tym niewiele mogli zrobić.

Charles nic nie odpowiedział, pociągnął tylko kolejny łyk piwa i czekał, by Jeppe kontynuował.

W tym momencie nadszedł Arne Larssen i powiedział:

- Już zdecydowaliście?

- Dla mnie węgorz - odparł Charles.

Jeppe zastanawiał się przez chwilę, a w końcu powiedział:

- Dla mnie solą. Proszę lekko przypieczoną, z odrobiną cytryny. - Odczekał minutę, skubiąc

swoje jasne włosy. - Policja z Randers ma mi przysłać raport o morderstwie Reeda - odezwał się

wreszcie. - Jest to część normalnej procedury, gdy ginie w Danii obcokrajowiec, zwłaszcza Rosjanin

lub Amerykanin. Można wówczas trafić na ciekawe powiązania wywiadowcze, nawet jeśli śmierć

wygląda na naturalną lub na zwykły wypadek. Reed został jednak zamordowany w szczególnie

paskudny sposób, szczególnie dziwny. Gdy go sprawdzałem, w zasadzie nie zauważyłem nic

szczególnego. Zwyczajny amerykański architekt, pracujący w Danii na najzwyczajniejszym

kontrakcie. Żadnego wywiadowczego podłoża. Żadnych śladów Nicholasa Reeda w naszym kom-

puterze. Już miałem tę sprawę zostawić i zapomnieć o niej.

- Ale? - zapytał Charles.

- Ale - powtórzył Jeppe - dzisiaj rano złożył mi wizytę dżentelmen, który miał przy sobie listy

uwierzytelniające z niezwykle wysokiego szczebla w Ministerstwie Obrony. Niczego nie

wyjaśniając,

po prostu poinformował mnie, że nie mam dalej prowadzić śledztwa w sprawie morderstwa Reeda.

- To wszystko? - zapytał znów Charles. Jeppe skinął głową.

- Pytałem go dlaczego. W końcu przysługuje mi prawo dostępu do najtajniejszych danych, powinienem więc wiedzieć i w tym wypadku, co jest grane. Ale odmówił odpowiedzi. Stwierdził, że sprawa jest zamknięta i mam zapomnieć, że kiedykolwiek słyszałem nazwisko Nicholas Reed.

Kelner przyniósł świeże bułki zawinięte w serwetkę. Charles przełamał jedną z nich i podzielił na kawałki, które jadł bez masła. W Danii jedzenie chleba bez masła wzbudza zgorszenie, co bawiło Charlesa. Poza tym dziwił Duńczyków, nigdy nie zamawiając beefstouw. To prawie tak, jakby nie chciał jeść ryżu w Indiach albo spaghetti we Włoszech.

- Powiedz mi, jak umarł Reed — poprosił. — Czy są jakieś ślady, jacyś świadkowie?

- Okazuje się, że pracował w kuchni w Hvidsten Inn — odpowiedział Jeppe. - To było we wtorek po obiedzie. Pod gospodę podjechało trzech mężczyzn w szarym mercedesie. Jedna z pracujących tam dziewcząt powiedziała, że wyglądał na bardzo przestraszonego i uciekając przed nimi, opuścił budynek tak szybko, jak tylko było to możliwe. Wtedy widziano go po raz ostatni, aż do momentu, kiedy dotarł do kościoła Świętego Jorgensa, oddalonego o milę. W kościele odbywał się chrzest, więc policja zdołała przesłuchać kilku uczestników nabożeństwa oraz księdza. Z tego, co mówili, wynika, że Reed wszedł do kościoła i usiadł, jak gdyby chciał odmówić modlitwę. Wtedy weszło za nim dwóch mężczyzn, usiedli obok, po obu jego stronach. Po kilku minutach wyszli i dopiero po dłuższej chwili ksiądz odkrył, co się stało. Przecięli Reeda na pół - możesz w to uwierzyć?

- pozostawiając nogi wraz z miednicą na miejscu, a tors leżący obok na ławce. Tak, mój przyjacielu, w

ciszy kościoła zdołali przeciąć go na pół i pozostawić w ławce tak, że nikt od razu się nie zorientował,

co się stało.

Charles rozsiadł się wygodniej, przeżuując pieczywo.

- Czy dysponujesz rysopisami zabójców?

- Niezbyt dokładnymi. Nikt nie zwracał na nich uwagi, wszyscy byli zajęci chrztem.

- Czy któryś z nich był może bardzo wysoki, z ohydnie pokiereszowaną twarzą?

Jeppe podniósł wzrok.

- Mam nadzieję, że nie masz więcej informacji w tej sprawie niż ja.

- Nasi specjaliści z wydziału medycznego w Langley nazywają to hemicorporectomią -

powiedział Charles - co oznacza przecięcie ofiary na pół. To jest jak znak firmowy. Niektórzy zabójcy

są tak arogancy, że pozostawiają swoje znaki. Na przykład Carlos. Albo taki Wolper, zawsze strzela swojej ofierze w ucho. Ale przecinanie ludzi na pół to co innego. To może być błędny trop. Jest tak charakterystyczny, że może być sprytną próbą zmylenia śladów.

- Ale masz rację co do faceta o pokiereszowanej twarzy. Jeden z zabójców miał poparzoną twarz, jak zeznał któryś ze świadków.

- Chyba wypiję jeszcze jedno piwo - powiedział Charles.

- Proszę jeszcze jedno piwo. - Jeppe skinął głową na kelnera. - A dla mnie sznapsa - dodał.

Następnie odwrócił się do Charlesa i zapytał: - A więc znasz tego faceta? Mordercę?

- Jak powiedziałem, to może być błędny trop. Wszystkie nasze informacje wskazują na to, że on nie żyje. Podobno zginął w Afganistanie, gdy próbował uprowadzić jednego z przywódców buntu w Qu'al-eh ya Saber. Możesz się o nim dowiedzieć czegoś więcej od Monsona, jeśli będziesz dla niego miły.

- Nie jestem pewien, czy powinienem już informować o tym Monsona - odpowiedział Jeppe.

- Dlaczego? - spytał Charles, zaciągając się papierosem.

- Cóż - odparł Jeppe - po wizycie faceta z Ministerstwa Obrony poprosiłem pewną moją znajomą, która pracuje w Chris-tiansborgu, żeby zdobyła dla mnie trochę informacji. Rozmawiała z

jedną z sekretarek Nyborga i wszystko wskazuje na to, że Ministerstwo Obrony zapragnęło zamknąć sprawę Reeda na wyraźne życzenie ni mniej, ni więcej tylko Departamentu Stanu w Waszyngtonie, i to najwyraźniej z najwyższego szczebla.

Charles przez dłuższą chwilę spoglądał na Jeppe, nie odzywając się. Jego oczy wskazywały, że usilnie się nad czymś zastanawia.

- Już wcześniej otrzymywałem rozkazy zaniechania dochodzeń z powodów politycznych - powiedział Jeppe. - Ale nigdy przedtem nie nachodzili mnie urzędnicy z Ministerstwa, jak teraz. I nigdy przedtem nie zdarzyło się, żeby rozkazu nie wydał rząd duński, ale ktoś za granicą. To jest niezwykle, przyjacielu, bardzo dziwne, prawda?

- I dlatego nie chcesz rozmawiać o tym z Monsonem?

- Właśnie. Jeśli moi przełożeni dowiedzą się, że kontynuuję dochodzenie, to co najmniej stracę pracę.

Kelner postawił przed nimi ich napoje, a po chwili Arne Lars-sen osobiście przyniósł ryby:

węgorza duszonego w białym winie, przybranego koperkiem, oraz solę, lekko przypieczoną, z cytryną.

Obie świeże i pachnące.

- Arne, jesteś geniuszem - powiedział Charles. - Ze sposobu,

w jaki przyrządzasz ryby, można wnioskować, że wśród twoich przodków była syrena.

Zaczęli jeść. O tej porze w Fiskehusets było już tłoczno, promienie słoneczne przeświecały przez szyby, migocąc w aromatycznych oparach karpia, płastug, śledzi i soli.

- Przycinanie ludzi na pół to był znak rozpoznawczy sowieckiego mordercy, który nosił przydomek Krow iz Nosu - powiedział Charles. - Znaczy to po prostu „krew z nosa”. Odpowiednio do

okoliczności, nie uważasz? Jego nazwisko naprawdę brzmi Aleksiej Nowikow. W latach pięćdziesiątych był robotnikiem w Kujbyszewie. Z tego, co wiemy, pracował w hucie, gdzie miał

ciężki wypadek. Oblany został ciekłą rudą żelaza.

Widelec Jeppe zatrzymał się nad rybą. Charles, z pełnymi ustami, powiedział:

- No dalej, Jeppe. Chyba jakiś tam Krow iz Nosu nie zepsuje ci lunchu. - Przełknął kawałek ryby i podjął relację: - Podobno został tak bardzo poparzony, że omal nie umarł. Miał wypaloną całą twarz, ręce, większość skóry na klatce piersiowej i udach. Ale w jakiś cudowny sposób to wszystko przeżył. Był niesamowicie silny i wysportowany, miał ponad sześć stóp wzrostu. W ciągu następnych lat przeszedł kilka operacji przeszczepu skóry. Potem rozpoczął ćwiczenia rehabilitacyjne, które kogoś innego by zabiły: podnoszenie ciężarów, bieganie w górę i w dół po górach żużlu i inne cuda. Stał się tak silny, że zaczęła się nim interesować armia. Zapragnęli zrobić z niego specjalnego rodzaju mordercę. Przez trzy lata trenował w Specnazie, potem był szkolony przez Smiersz do mokrej roboty w kontrwywiadzie. Przypuszczam, że dokonał ponad dwudziestu morderstw pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych. Większość roboty wykonywał jednak w Związku Radzieckim, zajmując się zdrajcami armii oraz generałami wplątanymi w spiski. Dlatego opanował ten raczej barwny sposób pozbywania się ludzi pour encourager les autres. Marszałek Żuków nazwał go kiedyś „sumieniem armii”. Ładne mi sumienie, co? No, ale dalej, zjedzmy te ryby.

- Zdaje mi się, że nie jestem głodny - odparł Jeppe.

- To może jeszcze coś wypijesz?

- Nie wiem, Charles, to wszystko nie daje mi spokoju - powiedział Jeppe. - Dlaczego morderca, ten, jak go nazwałeś, Krow iz Nosu, dlaczego taki morderca został wezwany do Danii, żeby zająć się facetem o nazwisku Nicholas Reed? Zwykle, jeśli Sowieci chcą się kogoś pozbyć, robią to dyskretnie.

Żadnego hałasu, żadnych kłopotów.

Charles wyciągnął resztki koperku z zębów.

- Przez chwilę mówiłeś jak Amerykanin - zauważył. — Oglądaj mniej telewizji. Przestań się

kręcić wokół takich amerykańskich rozpuśników jak ja. I, na miłość boską, zjedz rybę albo ją zjem.

- Ale dlaczego? - upierał się Jeppe. Charles wzruszył ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? Może próbują ostrzec przyjaciół Reeda, kimkolwiek oni są. Bardziej prawdopodobne, że dali przedstawienie amerykańskim służbom wywiadowczym. Wiesz, jacy są Sowieci: uważają kraje skandynawskie za swoje terytorium. Może Reed wetknął w coś swój nos trochę za głęboko? Ale jeśli Departament Stanu chciał zamknąć sprawę tego morderstwa, możesz być pewien, że Reed był amerykańskim agentem. Może dowiedział się o czymś zbyt drażliwym dla obu stron? Wiesz, że to się czasami zdarza.

Jeppe przez moment dłubał widelcem w rybie, po czym go odłożył. Charles nagle chwycił jego talerz i przełożył całą zawartość na swój. Wziął się do jedzenia ze zwinnością cholernie głodnego osobnika.

- Będiesz tego żałował - powiedział do Jeppe. - Wieczorem, gdy poczujesz się zgłodniały, pomyślisz o tej rybie i pożałujesz. Wtedy prawdopodobnie znienawidzisz mnie na zawsze za to, że ci ją zjadłem.

- Charles — rzekł Jeppe, ignorując dowcip - chcę, żebyś wyświadczył mi przysługę.

- Oficjalnie czy nieoficjalnie?

- To zostanie pomiędzy tobą a mną.

- Dlaczego koniecznie chcesz wetknąć nos w tę sprawę? Nie pamiętasz, że cię przed nią ostrzegano? Jeśli mnie przy tym złapią, od razu będą wiedzieć, dla kogo pracuję. Wszyscy od San Francisco do Nowosybirsk wiedzą, że jesteśmy kumplami. Który oficer duńskiego wywiadu zatrzymany został przez policję wraz z emerytowanym agentem CIA podczas śpiewania Gdy irlandzkie oczy się śmieją? Pamiętasz, to było po wyjściu z Tivoli, o trzeciej nad ranem. Jeppe, stary druhu, pomyśl o tym.

- Mówię poważnie, Charles - stwierdził Jeppe. - Coś się dzieje, czuję to. Coś niezwykłego.

Wiadomości przechwytywane ostatnio z Moskwy są... wiesz jakie? Zbyt normalne, rozumiesz, o co chodzi? Żadnych kryzysów, żadnych problemów, nawet z powodu największych letnich manewrów wojskowych w ostatnich dziesięciu latach. A wiadomości, jakie otrzymujemy z Anglii i Stanów Zjednoczonych, mają tę samą niezwykłą cechę. Wszystko jest w porządku, wszystko normalnie. Czy słuchasz ostatnio wiadomości, czytujesz prasę?

- Jasne. W przyszłym miesiącu rozpoczynają się rozmowy rozbrojeniowe w Wiedniu. Cóż w tym groźnego?

- Nie wiem - powiedział Jeppe. Usiadł wygodniej, zawahał się, po czym wypił wreszcie swoją wódkę. - Może to schizofrenia?

- Schizofrenia - poprawił go Charles.

- Dobra, w każdym razie zwariowałem — zgodził się Jeppe. -Zmobilizowano całą sowiecką armię, ściągnęli nawet dywizje drugiego rzutu do Polski. Flota Bałtycka szaleje jak tygrys w klatce. Mamy jednaście raportów od szwedzkiego wywiadu, że sowieckie łodzie podwodne naruszyły ich wody terytorialne. Jedna z nich dotarła na odległość ośmiuset metrów od pałacu królewskiego w Sztokholmie. A nasza marynarka zlokalizowała sowieckie łodzie podwodne przechodzące przez Store

Baelt, a nawet przez Storstrommen i Stege Bugt. A co na to słyszymy z Anglii i Stanów

Zjednoczonych? Że Związek Radziecki jedynie rekompensuje sobie zmuszenie go do powrotu do rokowań w sprawie redukcji broni nuklearnych. A przecież to nie ma sensu.

Charles wytarł usta w serwetkę.

- Co chcesz mi powiedzieć, Jeppe? Dalej, wyduś to z siebie. Co zamierzasz mi powiedzieć?

- Nie wiem — odparł Jeppe niepewnie. - Ale strzyka mnie w kościach i wszystko wydaje mi się dziwne.

- Chyba nie twierdzisz, że Rosjanie zmierzają do wojny? Czy Ameryka siedziałaby wówczas cicho, uśmiechała się i mówiła, że wszystko jest w porządku? Lub Anglia, na przykład? W obu

krajach rządzą obecnie bardzo antykomunistyczne gabinety. Daj spokój, Jeppe. Prezydent USA byłby na alarm, gdyby miał jakiegokolwiek sygnały o przygotowaniach Rosjan do wojny. Tak samo pani Thatcher.

- Mam nadzieję, że przeczucie mnie myli - stwierdził Jeppe. - Ale mógłbyś jednak dla mnie coś sprawdzić, Charles. Po prostu zrób mi małą przysługę i udaj się w pewne miejsce.

- Nie mam ochoty.

- Charles, jesteś mi to winien.

- Za co?

- Chociażby za lunch, jeśli za nic innego.

Charles wyciągnął jeszcze jednego papierosa, ale zdecydował się nie palić i schował go z powrotem.

- Napijmy się jeszcze - zaproponował.

- To nie będzie trudne - powiedział Jeppe. - Poszedłbyś jedynie do biura Klarlunda i

Christensena i dowiedział się wszystkiego, co tylko ci się uda, o Nicholasie Reedzie. Możesz powiedzieć, że był twoim przyjacielem, że dowiedziałeś się o jego śmierci i przyszedłeś zobaczyć, czy nie mógłbyś jeszcze w czymś pomóc.

- Jesteś bardzo dowcipny, Jeppe - rzekł Charles sarkastycznie. — Może zjemy jeszcze coś słodkiego?

- Proszę cię, Charles. To ważne. Coś się dzieje i nie mogę znaleźć punktu zaczepienia. Charles, potrzebuję cię.

- Cóż - westchnął Charles, drapiąc się po karku. - Miałem już nadzieję, że w końcu zrezygnowałem z tej roboty na dobre.

- Nareszcie mówisz normalnie - stwierdził Jeppe. - Tutaj masz adres firmy Klarlund i Christensen, Vesterbrogade numer sześć, zaraz za Den Permanente.

- Mam nadzieję, że wiem, co robię - powiedział Charles.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Nie — powiedział stanowczo Hans Klarlund. — Nic nie wiemy o Nicholasie Reedzie. Nie musieliśmy nic wiedzieć. Robił swoje i wracał po pracy do domu, to było wszystko, czego od niego wymagaliśmy. Był doskonałym architektem.

- Tak właśnie zwykła mawiać jego matka - odpowiedział Charles, próbując być przyjacielski i miły. - Mawiała: „Nick, pewnego dnia zostaniesz następnym Frankiem Lloydem Wrightem”.

- Rozumiem - powiedział cicho Hans Klarlund. Oczywiście nie był entuzjastą Franka Lloyda Wrighta. Hans Klarlund nosił krótkie włosy, okulary i koszulę w paski. Siedział za biurkiem, które stanowił zwykły blat z ciężkiego szkła, podparty dwoma drewnianymi kozłami. Jedynym obrazem na ścianach był rysunek JOrna Utzona, przedstawiający budynek opery w Sydney. Za nie zasłoniętymi oknami rozciągał się przygnębiający widok stacji kolejowej i rogu Bernstorffsgade. Na popołudniowym niebie dryfowało kilka czerwonych i żółtych balonów.

Wieje na wschód, pomyślał Charles, w kierunku Zatoki Fińskiej i Leningradu. Co pomyślą Rosjanie, kiedy zobaczą na swoim niebie lecące balony? My na Zachodzie jesteśmy po prostu figlarnymi niewiniątkami, dziećmi puszczającymi balony, podczas gdy niedźwiedź grasuje, zachodząc nas od tylnych drzwi.

Pamiętał sposób, w jaki Iwan Jerikalin zwykł zadawać mu pytania, nie będąc w stanie uwierzyć, że Zachód jest tak nieświadomy siły i politycznych intencji Związku Radzieckiego.

- Wiesz, że pewnego dnia musimy was zaatakować, żeby przeżyć. Inaczej nasze imperium załamie się i runie. Musimy patrzeć poza granice naszego kraju, ponieważ jeśli zwrócimy głowy tylko

na sprawy wewnętrzne i zapatrzymy się w siebie, nie będziemy w stanie rozpoznać tego, co widzimy.

Czy wiesz, że w kilku pierwszych miesiącach tego roku ponad piętnaście tysięcy ludzi uciekło z Polski, więcej z Niemiec Wschodnich, a jeszcze więcej z Węgier? Pewnego dnia ci, którzy nie będą

zdolni do ucieczki, odwrócić się przeciwko swoim przywódcom. To się prawie stało pod koniec drugiej wojny światowej. Teraz to się może wydarzyć każdego dnia. Dlatego te staruchy z Kremla muszą popychać ekspansję swojego imperium. Ekspansja lub śmierć. Tak właśnie oni myślą, a reszta świata musi drżeć każdej nocy i każdego dnia, tylko dlatego, że starcy nie mają najmniejszego zamiaru

oddać swojej władzy.

Charles spytał Iwana, dlaczego pracuje dla KGB.

- Mam rodzinę - powiedział Iwan. - A poza tym jestem Rosjaninem. Gdzie mógłbym mieszkać, jeśli nie w Rosji? Czerwoni mogą zawładnąć naszymi ciałami, ale nigdy nie zawładną naszym duchem.

- Czy ma pan jakieś fotografie Nicholasa? - zapytał Charles Hansa Klarlunda. - Coś z ostatnich jego dni, może coś, co mógłbym zabrać do domu, dla matki Nicholasa?

Hans Klarlund potrząsnął głową.

- Czy mógłbym chociaż rzucić okiem na jego biurko?

- Nie wiem, czy to będzie możliwe, panie Krogh. Poza tym nie ma pan żadnych listów uwierzytelniających, nic, co by stwierdzało, że reprezentuje pan rodzinę Reeda.

- Nie dotknę ani nie zabiorę niczego - powiedział Charles. Wyjął papierosa i zapalił go ostentacyjnie, czym najwyraźniej rozdrażnił Hansa Klarlunda. - Chcę się tylko upewnić, że nie pozostawił niczego, co miałoby jakąś sentymentalną wartość. Wie pan, coś małego, co trochę ukołoby

ból starej matki.

Hans Klarlund wstał, pragnąc usunąć Charlesa i wirujące szare chmury papierosowego dymu ze swego zimnego, funkcjonalnego, typowo skandynawskiego biura.

- Cóż, nie chcę wyjść na człowieka bez serca - powiedział. - Proszę za mną, pokażę panu, gdzie był jego pokój.

Przeszli przez oświetlone, pastelowszare oraz kremowe biura, mijając mnóstwo roślin doniczkowych i ścianek działowych. Charles powłóczył nogami za Hansem Klarlundem z rękami w kieszeniach i papierosem zatkniętym w kąciku ust; czuł się, jak gdyby przechodził przez klinikę, a nie przez biuro projektów. We wszystkich biurach projektowych, jakie dotąd widział, panował straszny bałagan, walały się papiery, szkice, poskręcane rysunki na kalkach technicznych, a dla dekoracji bywały może wysuszone kaktusy i wyschnięte bławatki na parapecie. Trzeba przyznać Duńczykom, że ich całe życie jest sm0rrasb0rd: proste, funkcjonalne, nowoczesne i chyba cholernie nudne.

- Tutaj — powiedział Hans Klarlund. - To jest gabinet pana Reeda.

Rozglądając się, Charles wszedł do środka. Było to całkiem duże pomieszczenie o pomalowanych na szaro ścianach i podłodze wyłożonej czarną wykładziną. Stało tu szare metalowe biurko i duża deska projektowa, na której leżał w połowie zrobiony przez Nicholasa Reeda projekt osiedla w Roskilde, przeznaczonego dla emerytów. Charles popatrzył i pokiwał głową.

- Cest la vie, jak mawiają Francuzi - rzekł. - Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy.

W tym momencie do środka zajrzała sekretarka i wywołała Hansa Klarlunda do telefonu.

Klarlund spojrzał na Charlesa nieufnie, ale Charles klasnął rękami jak Walter Matthau, jakby chciał powiedzieć: „Możesz mi zaufać, stary. Jestem niewinny, nawet jeśli na takiego nie wyglądam”.

- Będę musiał pana przeprosić na dwie minuty - powiedział Hans Klarlund. — Ale proszę niczego nie dotykać.

- Ależ nawet bym nie śmiał - odparł Charles.

- O.K. — stwierdził Hans Klarlund i poszedł odebrać telefon. W tej samej sekundzie, w której znalazł się poza zasięgiem wzroku Hansa Klarlunda, Charles zmienił się nie do poznania. Położył papierosa na parapecie, po czym szybko rozejrzał się po gabinecie, żeby później dokładnie przedstawić Jeppe rozstawienie wszystkich sprzętów. Biurko, deska projektowa, kosz na śmieci i coś ukrytego pod dużym plastikowym pokrowcem. Może kserokopiarka? Zdjął pokrowiec i ujrzał

terminal komputera należącego do firmy Klarlund i Christensen, IBM 2000. Charles obejrzał go, marszcząc brwi i żałując w duchu, że nie ma pojęcia o komputerach. Może wtedy znalazłby dojście do

akt osobowych pracowników Klarlund i Christensen i dowiedziałby się, skąd przyjechał Nicholas Reed, kim naprawdę był i dlaczego Sowieci uważali go za tak ważnego, że aż przysłali Krow iz Nosu,

żeby go zabił. Ale nie było czasu na rozmyślanie. Zakrył komputer i szybko, systematycznie zaczął przetrząsać biurko Reeda. Hans Klarlund cholernie by się zdziwił, gdyby go teraz zobaczył.

Jedną po drugiej otworzył wytrychem wszystkie szuflady w biurku Reeda. W pośpiechu przeglądał sterty rysunków kalkowych, schludne rzędy długopisów, rysików firmy Mars-Staedtler, tuszu Winsor & Newton, francuskie krzywki i gumki do mazania. Później musi być w stanie przypomnieć sobie zawartość każdej szuflady, każdy przedmiot. W dolnej szufladzie po prawej stronie, pod egzemplarzem Historii sztuki Danii T. T. Fabera, znalazł egzemplarz Dziwaczego seksu. W środkowej szufladzie po lewej stronie leżała, w połowie napoczęta, paczka krakersów Life Savers.

Charles spojrzał na nie z namysłem. Chyba spotkał już kiedyś faceta, który z upodobaniem opychał się czymś takim. Nie było czasu na myślenie. Zatrzasnął szybko wszystkie szuflady i szybko sprawdził podłogę, szukając jakichś niedopałków po papierosach, kawałków papierów, wszystkiego,

co mogłoby mu pomóc w zidentyfikowaniu Nicholasa Reeda. Po trzech i pół minuty wrócił Hans Klarlund. Do tego czasu Charles zdążył zebrać wszystkie informacje, jakie ktokolwiek mógł tutaj znaleźć - oprócz, oczywiście, informacji zawartych w komputerze. Stał, spoglądając przez okno na wczesnowieczorny ruch ulicy i pogwizdując cicho pod nosem.

- Przykro mi, że musiał pan czekać - odezwał się Hans Klarlund.

- Słucham? Ach, nic nie szkodzi - odparł Charles.

- Naprawdę nie sędzę, abym mógł panu pozwolić na obejrzenie biurka pana Reeda - powiedział Klarlund. - Dopóki nie przyniesie pan listu od kogoś z jego krewnych, może od matki.

- Cóż, oczywiście, rozumiem to. - Charles uśmiechnął się. -Prawdopodobnie zatelefonuję do niej dziś wieczorem i powiem, żeby przysłała mi jakieś pismo uwierzytelniające. Rozumie pan, na wszelki wypadek, gdyby było tutaj coś, co mógłbym zabrać. Jakies pamiątki.

- Tak - odparł Hans Klarlund. Było oczywiste, że czeka, aż Charles sobie pójdzie.

Charles skinął głową, uśmiechnął się, poklepał Hansa Klarlunda po ramieniu i powiedział:

- Cóż, to wszystko. Dziękuję bardzo. Był pan bardzo cierpliwy. Cierpliwość jest wielką cnotą.

Chryste, pomyślał, gdy ponownie znalazł się na ulicy, ci Duńczycy kompletnie nie mają poczucia humoru. Co za sztywniacy.

Nie miał daleko do domu na Larsbj0rnstrade. Był ciepły wieczór, a wysoko nad głową rozpościerało się rozgwieżdżone czyste niebo. Szumiały drzewa, w Vor Frue Kirke biły dzwony, ulice

zatłoczone były ludźmi wracającymi do domów lub wychodzącymi do restauracji. Światła w Tivoli iskrzyły się poprzez liście drzew.

Charles kupił Ekstra Bladet i zerknął na nagłówek: Radziecki minister daje nadzieję na nową odwilż. Złożył gazetę i wsunął ją pod ramię. Zastanawiał się, czy Jeppe ma rację i czy wszystko, czym

obecnie karmiä massmedia, jest fałszem. Wszystko jest zbyt normalne, jak powiedział Jeppe.

Na rogu Jerbanegade i bulwaru Hansa Christiana Andersena wszedł na jezdnię tuż przed maską volvo, które o mały włos byłoby go najechało. Opony samochodu zapiszczały, jego zawieszenie podskoczyło i ludzie zaczęli odwracać głowy.

- Jak jedziesz, idioto? - Charles zaklął po duńsku. Czasami tęsknił za Nowym Jorkiem. W

Nowym Jorku kierowca przynajmniej pokazałby mu palec uniesiony ku górze albo odkręciłby szybę i zaczął nie kończący się monolog: „Pod moimi kołami chcesz popełnić samobójstwo? Ja mam rodzinę,

firmę..." Ale ten kierowca nic nie zrobił, tylko obrzucił Charlesa zimnym spojrzeniem i odjechał.

Ach, cóż, pieprzyć to, pomyślał Charles. Stwierdził, że musi się napić. Najbliższy bar, Club

Ambassadeur, znajdował się po drugiej stronie ulicy. Przeszedł przez jezdnię, omijając następne volvo, i skierował się przez drzwi prosto w półmrok baru. Był jeszcze zamknięty. Nie otwierali tutaj przed dziesiątą, za to zamykali dopiero po czwartej nad ranem. Anker, szef interesu, był już jednak na sali, razem z Alfredem, barmanem. Był tu także pianista, który grał, jakby miał zabandażowane palce. Ćwiczył właśnie Noc i dzień.

- Panie Krogh, nie widzi pan, że jest zamknięte? - spytał Alfred. Był chudym blondynem w czarnej kamizelce i tak trochę na niego zbyt obcisłej.

- A czyja twierdzą, że jest otwarte? Daj mi jacka danielsa, ale szybko.

- Bardzo mi przykro, panie Krogh...

- Jest ci przykro? A to dlaczego? Prawie tutaj biegłem. Jakiś zwariowany kierowca volvo o mały włos mnie nie rozjechał.

- Daj mu drinka, Alfred - powiedział kierownik z głębi sali. Stał pod migającym czerwonym światłem i Charles mógł dojrzeć jedynie czarną sylwetkę oraz czerwony blask jego tłustych włosów.

- Jesteś dobrym kumplem, Anker. Prawdę mówiąc, jak na Duńczyka jesteś niemal ludzki.

- Proszę wypić swojego drinka, panie Krogh - powiedział kierownik. - Wszyscy wiemy, jak bardzo kocha pan Danię.

- Czego jeszcze chcesz? Mam na ulicy odśpiewać wasz hymn narodowy?

- Niech pan tylko wypije swojego drinka - powtórzył kierownik.

Charles podniósł napełniony przez Alfreda kieliszek, jednym sprawnym ruchem wlał zawartość do gardła i głośno chuchnął.

- Uratowałeś mi życie — powiedział do Alfreda.

Wyszedł z klubu i ruszył z powrotem przez Radhuspladsen. I nagle, w ułamku sekundy, zorientował się, że jest śledzony. Nie mógłby opisać swego wrażenia amatorowi. Nikt, kto nie mieszkał przez lata w Kopenhadze i kto nie był przyzwyczajony do śledzenia i obserwowania, nie

dostrzegłby niczego dziwnego w tym, jak mężczyzna w jasnoszarej dwurzędowej marynarce nagle zatrzymał się przy wejściu do Burger Kinga, po zachodniej stronie placu. Było coś uderzającego w sposobie, w jaki mężczyzna ruszył, nie rozglądając się dookoła, za Charlesem, w tym, jak przeszedł przez chodnik - coś, co go zdradziło. Zajął dogodną pozycję wyjściową do śledzenia Charlesa, bez względu na to, jaki kierunek marszu Charles by obrał.

Charles zdecydował się pójść Vestergade, pozostając w cieniu po zachodniej stronie ulicy, aby trudniej było za nim podążać. Mężczyzna w dwurzędowej marynarce szedł o dwadzieścia lub trzydzieści kroków z tyłu, spoglądając to w jedną, to w drugą stronę, ale całkowicie ignorując sklepy, kawiarnie i pędzących do domów ludzi.

Charles skręcił koło Larsbjornstrade, w ulicę, na której mieszkał, i natychmiast przyspieszył kroku. Na drugim rogu ulicy jakiś mężczyzna w brązowej skórzanej kurtce w widoczny sposób także przyspieszył i teraz Charles zdał sobie sprawę z tego, że jest ich dwóch. To oznaczało więcej niż zwykłą obserwację, to oznaczało poważne kłopoty. Pobiegł ciężko zatłoczonym chodnikiem i przebiegł Studiegade na czerwonym świetle. Duże ciężarowe volvo zahamowało nagle przed nim, ale był już zbyt daleko, żeby odpowiedzieć na okrzyki kierowcy.

Nie chciał zaprowadzić ich prosto do mieszkania - to mogłoby być fatalne nie tylko dla niego, ale także dla Agnety. Oczywiście było, że nie wiedzą, gdzie mieszka, bo wtedy czekali by na niego w domu. Szli za nim od Kłarlunda i Christensena, możliwe, że na polecenie Hansa Kłarlunda. Nie wiadomo przecież, co robił Kłarlund, przyjmując rzekomy telefon.

Charles popatrzył na wystawę sklepową. Ujrzał w szybie odbicie sylwetki mężczyzny w brązowej skórzanej kurtce. Stał dokładnie po drugiej stronie ulicy. Charles nie chciał się odwracać, ale mógł przypuszczać, że jego przyjaciel w dwurzędowej marynarce podąża bardzo blisko za nim. Problem Charlesa polegał teraz na tym, że był już zbyt stary i zbyt zmęczony, żeby się ich łatwo

pozbyć. Żałował, że wypił drinka. Pocił się, a bieg wzdłuż Larsbjornstrade wytrząsnął z niego burbona

wypitego po obiedzie, podczas którego zjadł rybę i wypalił kilka papierosów.

Nagle olśnienie skierowało go do wąskiego przejścia z mieszczącym się powyżej czerwonym neonem, który zapraszał do „Siódmego Nieba”. Poczul ulgę, gdy naciskał klamkę pomalowanych na purpurowo drzwi. Na szczęście były otwarte. Pobiegł na górę, wzniecając kłęby kurzu osiadłego na chodniku. Zatrzymał się na drugim piętrze. Pod łukowym sklepieniem krył się ciemny bar, obstawiony

wysokimi stołkami. Naprzeciwko znajdowała się scena z opadającą do samej podłogi czerwoną kurtyną. Na brzegu sceny siedziała, paląc papierosa i czytając gazetę, czarująca blondynka, ubrana w czarną, wyszywaną cekinami koktajlową sukienkę. Miała wydęte a la Brigitte Bardot usta i długie, czarne jak sadza, rzęsy. Przy jednym ze stolików brunetka z dużym biustem i fryzurą w kształcie ula malowała na zielono paznokcie oraz nuciła piosenkę Michaela Jacksona Letnia miłość.

Blondynka siedząca na scenie podniosła wzrok, wyjęła papierosa z ust i ostrożnie strzepnęła popiół na podłogę.

- Charlie! - wykrzyknęła radośnie grubym, męskim głosem. - Kochanie, nie widzieliśmy się od wieków.

- Jak się masz, Roger? - zapytał Charles blondynkę. - A co u ciebie słysząc, Juanito?

- To ci niespodzianka - powiedziała osoba nazwana Rogerem, zeskakując ze sceny tak, że napięła się na niej sukienka. - Ale jesteś taki jakby zadyszany... Co robiłeś?

- Prawdę mówiąc, biegłem.

- Biegłeś? To bardzo nieroztropne z twojej strony.

- Trenujesz na następną olimpiadę, prawda? - zaczęła mu dokuczać Juanita. - Ta konkurencja nazywa się „bieg ku zawałowi”.

- Śledzi mnie dwóch facetów - wyjaśnił Charles. Uniósł wzrok i popatrzył na łukowate

sklepienie. - Mogą próbować wejść tutaj.

- Mordercy?

- Być może. Nie wiem, kim są. Ale wygląda na to, że ich intencje nie należą do najszczęśliwszych.

- No, no, i co zamierzasz zrobić? - spytała Roger. Musnęła lekko ramiona Charlesa długimi kobiecymi palcami. - Myślałam, że z tym skończyłeś.

- Skończyłem - powiedział Charles. - Ale właśnie robię przysługę dla Jeppe.

- Ach, Jeppe. Jak on się miewa, kochany chłopiec? Nie widziałam go przez lata. Od czasu, gdy miałam operację.

- Spałaś z nim? - spytał Charles.

- Och, nie, mój drogi, nie. Nie jestem aż taka. - Podeszła bliżej Charlesa. Z tej odległości Charles mógł dojrzeć granulowane fałdy pod jej oczami i zapudrowane oznaki zarostu. Roger był marynarzem, zanim przybył do Kopenhagi i odkrył swoje trans-westytyczne wnętrza w „Siódmym Niebie”. Charles widział go nagiego w jego garderobie. Miał mięśnie jak pęk skręconych powrozów. A przecież zdołał zrobić się na przyjemną i elegancką dziewczynę.

- Napijesz się czegoś? - spytała Roger. - Jest tu trochę raczej paskudnego wina, ale również trochę dobrej wódki.

- Dziękuję bardzo - rzekł Charles, przecząco potrząsając głową. W tym momencie usłyszeli, jak otwierają się drzwi wejściowe. Doszły do nich odgłosy kroków mężczyzn wbiegających po schodach.

Charles znacząco spojrzał na Roger a i powiedział do Juanity: - Na twoim miejscu zamknąłbym się w garderobie. Ci chłopcy mogą być raczej nieprzyjemni.

- Zostanę - powiedziała Juanita, wachlując mokre paznokcie, ale wstała, tak że znalazła się twarzą do drzwi. Miała na sobie skórzaną sukienkę, uciętą niemal na linii bioder, oraz turkusowe buty na szpilkach.

Dwóch mężczyzn, którzy śledzili Charlesa, przeszło pod łukiem sklepienia. Stanęli obok siebie.

Mężczyzna w brązowej skórzanej kurtce trzymał ręce w kieszeniach i żuł gumę. Mężczyzna w dwurzędowej marynarce poprawił swój mały skórzany krawat. Obaj byli blondynami, wyglądali na Duńczyków, chociaż mężczyzna w szarej marynarce miał płaskie, słowiańskie kości policzkowe, a więc mógł być Polakiem albo Rosjaninem.

- Pan Krogh? — zapytał po angielsku, z dziwnym, raczej amerykańskim akcentem.

- A co to cię obchodzi? - pytaniem odpowiedział Charles.

- Zdenerwował pan kogoś, panie Krogh. - Mężczyźni ruszyli naprzód, przedzierając się pomiędzy rozstawionymi stolikami.

- Taak? Akogo?

- Przyjaciół pana Reeda. Ludzi, którzy nie lubią, gdy ktoś wtyka nos w nie swoje sprawy.

- No dobra, dosyć już tego kina - powiedział Charles. - Wynoście się stąd. To jest prywatny klub, a wy zakłóćcie jeszcze bardziej prywatne rozmowy.

- To, co my mamy do powiedzenia, jest o wiele bardziej interesujące, panie Krogh - stwierdził mężczyzna w dwurzędowej marynarce. - A po prostu chcemy powiedzieć, żeby pan się odczepił.

Charles nie odpowiedział. Mężczyźni podeszli i stanęli blisko, w odległości czterech lub pięciu stóp, i wpatrywali się w niego bladymi oczyma, jak ludzie, którzy myślą, że wszyscy dookoła się ich boją.

- Mamy zamiar wyłączyć pana z tej sprawy, panie Krogh. To jest nasza praca. Teraz może pan nam to ułatwić lub utrudnić.

Charles spojrzał na Rogera. Przebiegła między nimi milcząca wymiana informacji. Po latach wspólnego picia znali swoje twarze wystarczająco dobrze, a podobne sytuacje zdarzały się już wcześniej, gdy Charles pracował dla CIA.

- Myślę, że powinniście stąd spieprzać - powiedział Charles oschle.

Mężczyzna w dwurzędowej marynarce potrząsnął głową.

- Przykro mi, panie Krogh. Praca to praca. Jeśli nie damy panu wycisku, to nam nie zapłacą.

Nie chciałby pan chyba, abym wrócił do żony i głodnych dzieci bez koperty z pieniędzmi, prawda?
To

nie byłoby miło. A teraz, czy mógłby pan powiedzieć tym paniom, żeby się wyniosły?

- W porządku, w porządku, wychodzimy - odezwała się Roger piskliwym głosem. -

Wychodzimy.

Przeszła obok mężczyzny w dwurzędowej marynarce, w precyzyjny sposób naśladowując chód

Brigitte Bardot, tak że mężczyzna nawet nie zauważył, że Roger jest tylko trochę niższa od niego i o wiele szersza w ramionach.

Przechodząc obok niego, Roger uniosła lekko lewe ramię i uderzyła go pięścią w nerkę.

Uderzenie było tak mocne, że mężczyzna bez czucia runął na podłogę. Krzyknął, upadł na jeden ze stolików i osunął się na plastikową posadzkę. Zanim mężczyzna w skórzanej kurtce zorientował się, co się dzieje, Roger zgięła kolano i wpakowała je między jego nogi. Gdy mężczyzna zgiął się w syczoryk, Roger uderzyła go prawym sierpowym, który roztrzaskał jego szczękę jak strzał z pistoletu.

W tym czasie Charles podszedł do pierwszego mężczyzny, chwycił go za krawat i pociągnął, szybko doprowadzając go do pozycji siedzącej. Mężczyzna miał strach w oczach, sapał i z trudem łapał powietrze.

- Porozmawiajmy o tej kopercie z pieniędzmi — zażądał Charles. - Porozmawiajmy o tym, kto ci płaci.

Mężczyzna niespodziewanie powiedział coś po rosyjsku.

- Co? - warknął Charles, szarpiąc go gwałtownie za krawat. - Co powiedziałeś?

- Ja nie panimaju.

- Nie rozumiesz? A rozumiesz pięść na nosie?

- Oooh...

- Cholera - zaklął Charles. - Zachowujesz się jak baba albo stary dziad.

- Co on mówił? - spytała Juanita. - Czy on powiedział coś po japońsku?

- Po rosyjsku - odparł Charles. — Zdaje się, że zdrowo oberwał.

- Czy on jest szpiegiem albo kimś takim? — spytała Roger. Charles skrzywił się.

- Nie bądź taka romantyczna. To zwyczajny wynajęty bandzior, i to na dodatek niezbyt dobry.

Mężczyzna w dwurzędowej marynarce patrzył na Rogera przestraszony, niedowierzającym wzrokiem. Roger wyszczerzyła do niego zęby, a mężczyzna spróbował ucieczki, stąpając po podłodze

jak krab, dopóki Charles nie przyciągnął go z powrotem.

- Kto ci płaci, kto?

- Ja nie panimaju.

- Gawaritie wy po angijski?

- Niet. Ja nicziewo nie panimaju.

Charles puścił krawat mężczyzny i powiedział do Rogera:

- Czy mogłabyś zrobić coś dla mnie? Złamać mu nos? Roger się nie zastanawiała. Chwyliła mężczyznę za włosy z tyłu głowy i spokojnie walnęła go pięścią w sam nos. Dookoła trysnęła krew, a mężczyzna upadł na plecy, rycząc z bólu i podkurczając nogi.

- Jesteś twardym facetem, Charles - powiedziała Roger, mrugając do niego.

- Tak mówią. Mogę skorzystać z telefonu?

- Czy kiedykolwiek odmówiłam ci czegoś? Charles delikatnie pogłaskał ją po policzku.

- Z tego, co pamiętam, to nie, Roger - powiedział. Stał przy aparacie i zatelefonował do Jeppe.

- Jeppe, masz rację. Coś się tutaj dzieje, i jest to na pewno związane z Rosjanami. Byłem w biurze Klarlunda i Christense-na i w drodze powrotnej byłem śledzony. Było ich dwóch, prawdziwa para osłów z KGB. Wszedłem do „Siódmego Nieba” i Roger unieszkodliwiła ich na moją prośbę.

Jeden złamany nos, dwie obite głowy i inne drobiazgi. Nic wielkiego. Doznali jednak ogromnego szoku z powodu otrzymania tęgiego lania od najpiękniejszej kobiety po tej stronie Kattogat.

Roger, gdy to usłyszała, wykonała charakterystyczny ruch środkowym palcem; Charles odpowiedział jej tym samym gestem.

- Czego dowiedziałeś się u Klarlunda? - zapytał Jeppe.

- Niewiele. Ale Nicholas Reed miał końcówkę IBM w swoim biurze. Możliwe, że w pamięci komputera są akta osobiste całego personelu. Jeśli znajdziesz mi fachowca, który zgodzi się dobrać do cudzego komputera, są szansę, że znajdę to, czego chcesz.

Jeppe milczał przez chwilę.

- Jesteś tam jeszcze? — zapytał Charles.

- Tak, jestem. Właśnie myślałem, to wszystko. To musi być ktoś całkowicie pewny. Jorgensen jest prawdopodobnie najlepszy, ale on ma przyjaciół w ministerstwie. Najodpowiedniejszy będzie chyba Otto Glistrup.

- Pamiętam go. Najnudniejszy człowiek na świecie.

- Tak, to on.

Charles odwrócił się. Dwóch agentów KGB siedziało obok siebie na podłodze, nad nimi stała Roger, wymachując kijem baseballowym, który zawsze miała pod ręką, na wypadek, gdyby jakiś klient zaczął zachowywać się zbyt ordynarnie.

- Czy chcesz, żebym uderzyła ich jeszcze raz? - spytała Roger.

Agent KGB w dwurzędowej marynarce spojrział na nią ze strachem. Jego twarz i koszula zalane były ciemną krwią. Mężczyzna w brązowej skórzanej kurtce wciąż wił się z bólu.

- Co mam zrobić z tymi małpami? - Charles zapytał Jeppe.

- Wydaje mi się, że nie masz wyboru - odparł Jeppe. - Musisz ich wypuścić. Jeśli wezwiesz policję, wtedy dowiedzą się, dlaczego byłeś śledzony i co się dzieje. Wcześniej czy później usłyszą

wszystkim w ministerstwie, i to będzie mój koniec.

- O.K., jeśli tak uważasz - powiedział Charles. - Ale musisz mi dać broń. Nie będę mógł wciąż szukać Rogera, jeśli znowu zaczną mnie śledzić.

- Dostarczę ci coś - zgodził się Jeppe. - Życzysz sobie coś specjalnego?

- Wybór pozostawiam tobie. Chcę czegoś, co robi głośne bum przy wystrzale.

Umówili się na spotkanie o dziesiątej wieczorem w Ogrodach Tivoli. Jeppe postanowił znaleźć tymczasem Ottona Glistrupa. Charles odłożył słuchawkę i powiedział do Rogera:

- Wypijmy kilka sznapsów. Wy dwaj tam, uchadicie, wynoście się stąd.

Dwóch poturbowanych facetów wstało, żeby opuścić klub. Wolno skierowali się schodami do wyjścia na ulicę.

- Cóż - powiedział Charles, gdy Juanita napełniła szklanki. - Nie wiem, jak mam wam dziękować.

- Możesz zaprosić mnie na dancing - stwierdziła Roger. - Co byś powiedział na Kakadu?

Charles uśmiechnął się.

- Nic. Nie dlatego, że nie chcę z tobą tańczyć. To dlatego, że sam nie tańczę zbyt dobrze. Co powiesz o wspólnym obiedzie w przyszłym tygodniu? Zadzwoń do ciebie.

Roger skończyła przyklejanie rzęs i powiedziała:

- Jesteś aniołem, Charles. Zawsze nim byłeś.

Gdy Charles wrócił do domu, Agneta czekała na niego. W całym mieszkaniu rozchodził się aromatyczny zapach honselkasserolle. Miała na sobie białą koszulkę z dekoltem. Pod spodem nie nosiła biustonosza. Jak tylko ujrzała Charlesa, zapytała:

- Charles! Dlaczego wracasz tak późno? Martwiłam się o ciebie.

Pocałował ją w czoło.

- Spotkałem znajomych.

- Masz krew na kurtce. Co się stało?

- Nie, nic. Nic się nie stało. To nie moja krew. Powiedz lepiej, co tak ładnie pachnie.

Wszedł do kuchni po piwo. Agneta weszła za nim.

- Nie wróciłeś chyba do pracy, prawda? - zapytała.

- Ja? Do pracy? Chyba żartujesz. Otworzył piwo i wlał je do wysokiej szklanki.

- Nie kłam, Charles. Nie ze mną te numery. Znowu pracujesz. Ja to wiem.

- Tylko pomagam Jeppe, tak troszeczkę. To wszystko. Podeszła do niego blisko i dotknęła jego twarzy opuszkami palców, tak ostrożnie, jak gdyby dotykała szkła. Jej oczy były bardzo zielone i Charles stwierdził, że nie może w tej chwili, niestety, patrzeć wprost w nie.

- A więc to Jeppe - powiedziała. - Zawsze mówiłam, że on cię zabije.

- Charles nie wiedział, co powinien odpowiedzieć. Czuł się winny, ponieważ dawno temu obiecał Agnecie, że nigdy nie wróci do pracy w CIA. Ale czuł także znajome bicie serca, ożywione, ostrzegające uczucie, uczucie, że znów jest graczem w tej wielkiej, ciemnej grze bez zasad. W grze pełnej podstępów i blefów oraz nagłych i niezwykłych niebezpieczeństw. Grze, bez której świat nigdy

nie byłby bezpieczny, spokojny, bez względu na to, ile ten spokój kosztuje.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nad moskiewskim lotniskiem Szeremietiewo świeciło oślepiająco jasne popołudniowe słońce, gdy samolot British Airways, boeing 747B, kołował do terminalu. John Bishop przespał większą część

lotu. Był na nogach do drugiej w nocy, kończąc program Towariszcza, który Michael zamierzał ujawnić światu po raz pierwszy w tym tygodniu.

Michael nie mógł spać. Próbował czytać Newsweeka, potem przeczytał trzy pierwsze strony powieści Jeffreya Archera, którą kupiła mu Margaret. Ale przez cały czas myślał o Wallingsie i

centrum informatycznym, obok portu lotniczego, na które miał „rzucić okiem”. Spojrzał na Johna leżącego wygodnie w fotelu z otwartymi ustami i opuszczonymi na czubek nosa rogowymi oprawkami okularów. Przypominał dwudziestoosmioletniego ucznia, ze swoją nieopanowaną pasją do komputerów i wędkarstwa, i... niczego więcej. Czasami bywał w teatrze z głupiutką przyjaciółką o imieniu Sonya, która niemal zawsze miała na nogach buty z cholewami, nawet jeśli przygotowywała kolację. Michael często zastanawiał się, czy John spał już kiedykolwiek z kobietą. Jeśli nie - wcale by

go to nie zdziwiło. Ich rozmowy ograniczały się niemal wyłącznie do suchych odzywek i zwrotów.

- John! - Michael potrząsnął jego ramieniem. - John, jesteśmy na miejscu.

John otworzył oczy i spojrzał na niego.

— Miałem sen o moim nauczycielu ze szkoły — powiedział. - Poprawił okulary i wyjrzał przez okno. - Cholera, spójrz na to. Związek Radziecki. Wygląda całkiem nowocześnie, nieprawdaż? Jest nawet kilka samochodów.

Powoli wysiadali z samolotu, żegnani przez uśmiechnięte stewardesy British Airways.

— Do widzenia panom. Mamy nadzieję, że są panowie zadowoleni z lotu.

— Spałem cały czas - odpowiedział John, zgodnie z prawdą. Wprowadzono ich do sali przylotów, gdzie czekali pół godziny, aż umundurowany żołnierz w czapce z zielonym otokiem posprawdza im paszporty.

— Przyjechali panowie na wystawę zabawek, zgadza się? — zapytał.

— Tak jest - powiedział Michael, przestraszony, że może wyszło już na jaw coś związanego z jego misją do centrum informatycznego. - Jesteśmy producentami zabawek.

— Ha! - zawołał żołnierz, oddając im paszporty i uśmiechając się. — Dziadek Mróz.

Zostali skierowani prosto do odprawy celnej. Celnik z włosami błyszczącymi od brylantyny zapytał:

— Cygariety? Cygary? Tabak?

— Nie palę - powiedział John. - Palenie wywołuje kaszel, a to straszy ryby.

Celnik spojrzał na niego zimnym wzrokiem, jak gdyby podejrzewał go o przemyt wywrotowej literatury do Związku Radzieckiego.

— Książki, dokumenty, materiały polityczne? - zapytał Johna, nie spuszczać z niego wzroku.

Wówczas zbliżyła się do nich elegancka dziewczyna, ubrana w uniform Inturistu. Miała przy sobie jakiś notes i zanim się odezwała, jeszcze coś w nim sprawdziła.

— Pan Bee Shop? Pan Townce Ent? Witamy w Związku Radzieckim. Wszystkie bagaże panów zaraz zostaną wam dostarczone. - Powiedziała coś po rosyjsku do celnika, który odparł:

— Priekrasno. W porządku. - Po czym przygładził ręką wybrylantynowane włosy i pociągnął nosem.

— Teraz możecie iść ze mną, panowie - powiedziała dziewczyna z Inturistu, prowadząc ich zwawo przez terminal numer jedenaście, bardzo akustyczny, jasny. Wokół rozchodził się ostry zapach rosyjskiego tytoniu i środka dezynfekującego. Po jednej stronie znajdowały się sklepy z pamiątkami, z

półkami zatłoczonymi szklankami, czerwono-żółtymi lalkami matrioszkami, ukraińskimi haftowanymi bluzkami i emaliowanymi pudełkami.

- Zorganizowaliśmy przewodnika dla panów. Będzie to panna Konstantinowna -

poinformowała ich dziewczyna z Inturistu takim samym suchym głosem. - Zostaliście, panowie,

zameldowani w hotelu „Rosija”, kategoria lux, panna Konstantinowna zawiezie tam panów. Ona

załatwi też wszelkie formalności związane z wynajęciem samochodów, z tym że osobiście będziecie

panowie musieli przedstawić prawa jazdy i podpisać polisę ubezpieczeniową, jeśli oczywiście zechcą

panowie samochody wynająć.

- No, no - powiedział Michael. - Traktujecie nas jak bardzo ważne osobistości.

- Tak, zgadza się, bardzo ważne osobistości - przyznała dziewczyna, nie uśmiechając się.

Zaprowadziła ich do biura Inturistu udekorowanego dużymi kolorowymi plakatami Kremla i

Zagorska. - Proszę usiąść. Nie każemy panom długo czekać.

Podniosła słuchawkę i przeprowadziła długą rozmowę po rosyjsku, w której bez końca powtarzała imię „Rufina”.

Po dwudziestu minutach pojawiła się panna Konstantinowna. Weszła zwawym krokiem do biura - mała ciemnowłosa dziewczyna w białej bluzce i szarej spódnicy.

- Zdrastwujtie. Kak pożiwajetie? - zapytała.

- Przykro mi — powiedział Michael. — Obawiam się, że moja znajomość rosyjskiego ogranicza się do da i niet.

Panna Konstantinowna uśmiechnęła się.

- Padam do nóżek - powiedziała. - To znaczy: dzień dobry i jak się czujecie w Rosji? Będziecie się musieli tego nauczyć. Moskwa jest miastem dobrych manier.

- No cóż, więc: Kak poži... — Michael próbował powtórzyć, pochylając głowę. - To jest pan Bishop, a ja jestem Townsend - zrezygnował z rosyjskich słów.

Podali sobie ręce.

- Samochód panów już czeka - oznajmiła panna Konstantinowna. - Bagaż już został do niego załadowany. Proszę za mną.

- To bardzo miłe z pani strony — zauważył Michael, gdy panna Konstantinowna prowadziła ich przez terminal.

- Cóż, „Zabawki 2000” to bardzo ważna wystawa - odparła. — Staramy się, żeby wasz pobyt w Moskwie był tak komfortowy, jak to tylko możliwe.

Odwróciła się i uśmiechnęła do niego. Po raz pierwszy Michael zauważył, jaka jest piękna. Jej włosy były zaczesane do tyłu, podkreślając w ten sposób klasyczną rosyjską twarz z zaakcentowanymi

wysokimi kośćmi policzkowymi. Miała nieco skośne brązowe oczy i krótki prosty nos. Zarówno

lekko

wydęte wargi, jak i prowokujące usta wyglądały, jak gdyby zostały przed chwilą podrażnione czułym pocałunkiem. Miała na sobie prostą bluzkę, rzecz jasna drogą, oraz szarą spódnicę, dobrze skrojoną i przylegającą do wąskich bioder. Michael był mile zaskoczony, rozpoznając perfumy: Madame Rochas. Pracownicy Inturistu muszą być dobrze opłacani.

- Czy mogę wymienić trochę pieniędzy? - spytał John, szarpiąc się z dwiema wielkimi plastikowymi torbami oraz naręczem czasopism komputerowych.

— Nie będzie pan miał żadnych kłopotów z wymianą pieniędzy w hotelu - odpowiedziała Konstantinowna. - Tylko proszę wziąć z sobą paszport i świadectwo kontroli walutowej. I proszę pamiętać, że wymiana pieniędzy u osób prywatnych jest nielegalna.

- Jesteśmy ludźmi przestrzegającymi prawa - zapewnił Michael.

— Oczywiście. — Panna Konstantinowna kiwnęła głową. — Nie zamierzałam panów urazić, ale tylko ostrzec.

Wyszli na zewnątrz. Słońce było jasne, chociaż wiał świeży, północno-wschodni wiatr. Przeszli przed podjazd i doszli do parkingu, gdzie czekała na nich biała wołga z niebieską nylonową tapicerką w środku. Panna Konstantinowna pomogła im wsiąść, a sama zajęła miejsce za kierownicą.

— Powinniście uważnie patrzeć, jak prowadzę. Kierowanie samochodem w Związku Radzieckim może być dla was trudną sztuką. Mamy dwadzieścia mil do centrum Moskwy, proszę więc rozsiąść się wygodnie.

Silnik warczał jak czołg. Konstantinowna wyjechała z parkingu i skierowała się na autostradę Leningradskij Prospekt, prowadzącą do Moskwy.

- Nie przywiózł pan dzinsów, prawda? - Panna Konstantinowna zapytała Michaela.

- Dzinsy? Nie. Myślałem o tym, ale nie miałem już miejsca w walizce.

Panna Konstantinowna skinęła głową.

- Powinien pan przywieźć też adidasów. Cała moskiewska młodzież oszalała na punkcie adidasów. Kiedy chcą wyrazić, że coś jest wspaniałe, mówią adidasówszki.

- Mam jakieś hush puppies - odezwał się John z tylnego siedzenia. - Choć są raczej znoszone.

- Uszapupis? - spytała panna Konstantinowna, marszcząc brwi, a potem uśmiechając się.

W końcu, w czystym i złotym świetle popołudnia wyrosła przed nimi Moskwa, znacznie bardziej majestatyczne i dziwne miasto, niż Michael sobie wyobrażał. Najpierw betonowe ściany stadionu Dynamo. Potem, gdy jechali przez centrum, szare stalinowskie iglice hotelu „Ukraina” i wieże Uniwersytetu Moskiewskiego.

- Studiują tutaj trzydzieści dwa tysiące młodych ludzi - poinformowała ich Konstantinowna. - I jest tu ponad czterdzieści pięć tysięcy gabinetów, sal wykładowych oraz laboratoriów.

No i w końcu złote cebulowate kopuły Kremla. Czerwona, ceglasta Wieża Zbawienia, ze słynnym złożonym zegarem. I dziwne turbanowate wieżyczki soboru Świętego Bazylego.

Panna Konstantinowna przejechała przez wybrukowany plac Czerwony, minęła wielki sklep GUM i dojechała do brzegu rzeki Moskwy, która zakręcała przed hotelem „Rosija”. Michael był raczej rozczerowany, gdy stwierdził, że „Rosija” jest nowoczesną budowlą bez wieżeczek i iglic oraz

rewolucyjnych gwiazd, które zdobiły hotel „Ukraina”. Konstantinowna stwierdziła, że ten hotel jest lepszy od „Ukrainy”.

- W hotelu „Ukraina” niezbyt dobrze działają windy, a nie ma tam schodów. Można spędzić kilka godzin, czekając na wydostanie się z hotelu, kiedy winda się zepsuje.

Michael wyszedł z samochodu i popatrzył w kierunku rzeki, mieniącej się światłem w popołudniowym słońcu, tak że statki spacerowe płynące pod betonowymi mostami wydawały się czarne.

Chociaż był maj, wiał ostry wiatr, który u Michaela wywoływał dreszcze. Panna Konstantinowna podeszła do niego.

- Pierwszy raz jest pan w Związku Radzieckim, prawda? Skinął głową.

- Czuję już tęsknotę za domem, ale proszę nie myśleć, że to dlatego, że mi się tu nie podoba.

- Oczywiście, że nie. Rozumiem pana.

Podszedł John i przypadkowo upuścił na chodnik plik magazynów komputerowych.

- Poszedłbym do hotelu i wypił jakąś herbatę - powiedział nagle.

- Pomogę panom się zameldować - oznajmiła panna Konstantinowna. - Proszę za mną. Musicie dać urzędnikowi w portierni paszporty i vouchery Inturistu. Potem dostaniecie swoje propuski.

Weszli do hotelu. Hali, szeroki jak boisko do piłki nożnej, wyłożono purpurowym dywanem.

Panna Konstantinowna zaprowadziła ich do marmurowego wysokiego biurka i pomogła im wypełnić druki meldunkowe. Kiwający się urzędnik dał każdemu z nich propusk, na którym było napisane nazwisko i numer pokoju. Goście hotelowi w ZSRR nie dostają kluczy z recepcji. Zamiast tego muszą przedstawić propusk kobiecie obsługującej ich piętro, a ona, dyżurnaja, dysponująca kluczami, otwiera

im pokoje.

- Dyżurnaja może dla pana wiele zrobić, panie Townsend - powiedziała Konstantinowna, lekko się uśmiechając. - Wezwie taksówkę, zrobi herbatę, przekaże wiadomość, ale także ma prawo siłą wejść do pańskiego pokoju, jeśli uzna, że narusza pan moralność.

- Ma pani na myśli spanie bez pidżamy? — spytał Michael i pomyślał, że zadanie tego pytania to pierwszy krok do flirtu. Jednakże panna Konstantinowna odparła z całą powagą:

- Spania bez pidżamy nie uważa się za obrazę moralności. Ale jeśli w pokoju przebywa kobieta, która nie jest pańską żoną, to już inna sprawa. Jestem pewna, że do tego nie dojdzie.

- Nie - odpowiedział Michael. — Nie dojdzie.

Pojechali na trzecie piętro i tam znaleźli swoją dyżurną, otyłą kobietę w średnim wieku. Nosiła ciemnozielony żakiet i spódnicę, włosy uczesane miała z przedziałkiem na środku. Miała workowatą twarz, poważną niczym oblicze Lyndona Johnsona. Z hałasem otworzyła ich pokoje. Zostawiając za

sobą szeroko otwarte drzwi, weszła do jednego z nich i włączyła telewizor, aby się upewnić, że zauważyli odbiornik. Michael podszedł prosto do okna i popatrzył na zachód, na sobór Świętego Bazylego, Mauzoleum Lenina, hotel „Ukraina” i daleko, daleko dalej, gdzie fabryczne kominy zasnuwały dymem horyzont.

Panna Konstantinowna stała w otwartych drzwiach, patrząc na niego, podczas gdy dyżurnaja wyszła na korytarz, ciężko potrząsając kluczami. W telewizji nadawano akurat film dokumentalny o elektrowni wodnej w Bracku.

— Mają panowie teraz czas na kąpiel i odpoczynek - powiedziała panna Konstantinowna. - Za dwie godziny pójdziemy na obiad. Zarezerwowałam stół w restauracji „Moskwa”. Myślę, że się panom spodoba. Będę czekała w hallu.

— Czy mogę zatelefonować do żony? - spytał Michael.

— Może pan zamówić rozmowę przez recepcję. Ale zwykle czeka się na połączenie ze dwie godziny lub dłużej.

— Cóż, chyba zamówię rozmowę na jutro rano.

— Powinniście mówić mi po imieniu, Rufina - powiedziała panna Konstantinowna. — Przez następne kilka dni będziemy bardzo blisko siebie, codziennie przez sześć godzin. Powinniśmy być друзiami, przyjaciółmi.

— Dobrze, podoba mi się to - zgodził się Michael. Zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek będzie miał możliwość uwolnienia się od panny Konstantinownej i obejrzenia centrum informacyjnego przy lotnisku. Może okaże się to niemożliwe, co byłoby idealną wymówką wobec Wallingsa. - Dobrze - powiedział do panny Konstantinownej. - Priekrasno. Do zobaczenia później. - Nadusił palcami narzutę koloru mąki owsianej, leżącą na łóżku. — Wydaje się całkiem miękkie - stwierdził, po czym zdał sobie sprawę, że przypadkowo mogło to zabrzmieć dwuznacznie.

Alan Taylor ostrzegał przed pruderią Rosjan. Żona Alana, Jill, została zatrzymana w Moskwie

przez milicję za noszenie podczas zakupów na ulicy Gorkiego bermudów.

— Powiniennem spać dobrze - dodał Michael — i ucieszył się, że tym razem nie mogło to już zabrzmieć dwuznacznie.

Ale panna Konstantinowna nie wydawała się zakłopotana. Tylko pokiwała głową i powiedziała:

— Spotkamy się na dole w hallu o siódmej, czy wam to odpowiada?

— Tak — potwierdził Michael. Patrzył na nią i przez sekundę ona spoglądała mu w oczy, z niezwykłą zuchwałością. - Tak, tak będzie w porządku.

- Powinieneś powiedzieć teraz: „do widzenia” - stwierdziła Rufina Konstantinowna. -

Powinieneś powiedzieć: do swidanija.

Michael zawahał się, po czym powoli wymówił:

- Do swidanija.

- To znaczy „do widzenia”, ale oczywiście wkrótce - powiedziała Rufina Konstantinowna.

- Mam nadzieję.

Gdy poszła, John przywłókł się do jego pokoju, drapiąc się po głowie.

- Nie widziałeś mojej kosmetyczki? Taka torebka firmy Boots z niebieskimi kwiatkami.

Zapakowałem ją oddzielnie. Mam nadzieję, że nie zostawiłem jej w samolocie.

- Znając ciebie, John, przypuszczam, że zostawiłeś ją w domu. John podszedł do okna i przyglądał się ruchowi ulicznemu dookoła soboru Świętego Bazylego: ulicami krążyły moskwicze i wołgi, czasami Wartburgi; z rzadka mignął jakiś saab.

- Zastanawiałeś się nad tymi pokojami? To nie jest moje wyobrażenie o klasie lux. Miałem lepszy pokój w Bournemouth, gdy byliśmy z Sonią na wystawie psów.

- John, nie jesteśmy na wakacjach. Ta wyprawa może nas wzbogacić, jeżeli zbierzemy dostateczną liczbę zamówień.

- Wciąż to samo - zauważył John, przymrużywszy oczy za okularami. - Ta pani, która się nami

zaopiekowała po wylądowaniu, nie wygląda najgorzej, prawda?

Michael wziął kąpiel i był zadowolony, że za radą Alana Taylora zabrał do Moskwy

uniwersalną gumową zatyczkę. Wiele rosyjskich wanien i umywalek w hotelach nie ma zatyczek.
Pro-

mienie słoneczne odbijały się od bladozielonych kafelków i tańczyły, odbijając się w ich zagłębieniach. Nagle Michael poczuł się bardzo osamotniony. Najgorszą stroną pobytu w Moskwie była niemożność telefonowania do Margaret o dowolnej porze dnia i nocy.

Założył swój najlepszy szary garnitur i spryskał szyję dezodorantem Christiana Diora. John ubrał się w tę samą brązową sztruksową kurtkę, którą miał na sobie, gdy się spotykali w Croydon z dyrektorem ich banku. Rufina Konstantinowna czekała już na nich po drugiej stronie hallu. Była w białej haftowanej sukience i uśmiechnęła się, gdy tylko ich ujrzała.

- Restauracja „Moskwa” nie znajduje się zbyt daleko-powiedziała — ale możemy wziąć taksówkę.

Restauracja była błyszcząca i mocno oświetlona, z kryształowymi żyrandolami świecącymi nad dwoma długimi rzędami stolików nakrytych białymi lnianymi obrusami. Michael zauważył, że większość gości to Amerykanie lub Szwedzi, chociaż prawie wszystkim towarzyszyły przewodniczki z Inturistu, uprzejme, grzeczne, prawie nadskakujące.

Usiedli w rogu. Rufina Konstantinowna zamówiła kawior i chłodną wódkę, do której podano czarny chleb.

- W Związku Radzieckim mówimy na kawior ikra, czarna jest z jesiotra, a czerwona z łososia. Kawior jest tutaj bardzo drogi.

Wznosili toasty: wasze zdarowije i jeszcze raz wasze zdarowije, aż w końcu ich policzki zaróżowiły się i śmiali się do rozpuku. Rufina chwyciła Michaela za rękę i powiedziała:

- Pewnie należysz do tych ludzi, których obchodzi los innych. Projektujesz zabawki dla dzieci.

W Związku Radzieckim wszyscy kochają dzieci. Mówią, że ci, co kochają dzieci, kochają świat.

John spojrział na nią ukradkiem przez okulary i sprzeciwił się temu.

- Jak ludzie w Związku Radzieckim mogą mówić, że kochają świat, skoro posiadają najsilniejszą armię na świecie, najgroźniejszą marynarkę i więcej rakiet rozmieszczonych w różnych częściach świata, niż może zgromadzić ktokolwiek inny? Czy to jest miłość? To nawet nie jest przyjaźń.

Rufina uśmiechnęła się, lecz nie był to radosny uśmiech. Raczej uśmiech pobłażania.

- Przewodniki po Związku Radzieckim, panie Bishop, mówią, żeby nie wdawać się w polemiczną czy polityczną dyskusję z przewodnikami i rozmówcami, bo coś takiego może gwałtownie zniszczyć nastrój wizyty w naszym kraju.

- Nastrój? - zdziwił się John. Właśnie wódka uderzyła mu do głowy. Poczul ją także w nogach.

- Jaki nastrój może panować wśród żołnierzy przy rakietach SS-20?

- Panie Bishop - naciskała Rufina. - Proszę nie psuć tego miłego wieczoru.

- Czy mógłbyś się zamknąć, John? - odezwał się ostro Michael. John wzruszył ramionami.

Poznał po tonie głosu Michaela, że mówi poważnie. Rufina zamówiła gorące grzyby w kwaśnej śmietanie, a potem kurczaka wysmarowanego masłem i smażonego aż do przyrumienienia. Pili białe wino tsinandali i wodę mineralną z Narzanu. O jedenastej, gdy światła Moskwy zaczynały gasnąć, Michael poczuł, że ma ciężką głowę. Zapraagnął położyć się do łóżka.

Wrócili do hotelu taksówką. Wieczorne powietrze było zimne. Rzeka zakreślała jak srebrny wąż. Michael siedział z tyłu samochodu. Na moment zamknął oczy, nawet nie zdając sobie sprawy, że Rufina ściska jego rękę. Lub może zdawał sobie z tego sprawę, ale go to nie obchodziło. Przeszli przez oświetlony hali hotelowy. Recepcjonista oddał im propuski, mogli je więc teraz pokazać dyżurnej na piętrze.

- O której godzinie spotkamy się jutro? - zapytał Michael Rufinę.

- Przedyskutujemy to na górze - powiedziała. - Wyglądasz na zmęczonego.

- Tak - przyznał Michael. - Wydaje mi się, że jestem bardzo zmęczony.

John zniknął w swoim pokoju na końcu korytarza, machnąwszy im ręką na dobranoc. Michael wszedł do pokoju, zdjął marynarkę i rozluźnił krawat. Rufina stała przy oknie, patrząc na światła Moskwy. Na szczycie Pałacu Zjazdów świeciło pięć czerwonych gwiazd, górując nad miastem. Światła lamp ulicznych odbijały się w rzece.

- To miasto tak bardzo się zmieniło — powiedziała Rufina. -A zarazem tak mało. Wiesz, jeśli spojrzeć na Kreml dzisiaj, to jego sylwetka na tle nieba niewiele różni się od tej z XVIII stulecia.

Michael leżał na plecach na łóżku i przecierał oczy.

- Wydaje mi się, że nie jestem przyzwyczajony do rosyjskiej wódki - stwierdził, uśmiechając się do Rufiny.

Zasunęła ciężkie zasłony.

- Związek Radziecki wcale nie jest taki, jak go sobie wyobrażałeś, prawda?

Michael nie odpowiedział. Zdał sobie sprawę, że otrzymał propozycję. Patrzył, jak Rufina przechodzi przez pokój i zamyka drzwi.

- Czy to się przydarza wszystkim angielskim biznesmenom? Uprzejmość Inturistu? - zapytał.

Rufina usiadła na łóżku obok niego. Zdjęła mu krawat i rozpięła koszulę, kładąc rękę na jego piersiach.

- Czasem nawet przewodnik może stracić głowę - powiedziała.

- A dyżurnaja?

- Niekiedy można ją przekonać, że powinna na jakiś czas ogłuchnąć - odparła z uśmiechem Rufina.

- Płacisz jej?

- Mały flakon francuskich perfum może wiele załatwić.

- Wiesz, jestem żonaty - powiedział Michael. — Być może zabrzmiało to niemodnie, ale jestem

wiernym mężem.

Pogłaskała go po włosach.

- Masz przed sobą trudną wizytę, Michael. Będzie duża konkurencja. Może, jeśli będziesz miał u swojego boku kobietę, która ci pomoże, wspomagając twój talent handlowy, osiągniesz jeszcze większy sukces?

Michael nic nie odpowiedział. Rufina zaczęła rozpinąć sukienkę, wolno, po jednym guziku. Jak gdyby chciała sprowokować Michaela do odezwania się po każdym guziku: „stop”.

- Nie proszę wcale, żebyś się ze mną kochał - powiedziała. - Chcę tylko spać obok ciebie, chcę ci dać poczucie bezpieczeństwa. Jesteś żonaty, potrafisz zrozumieć takie sprawy.

Musnął jej usta.

- Nie jestem pewien, czy potrafię.

Pogłaskała go po włosach, po czym położyła się i pocałowała go w czoło.

- Jeśli chcesz, to sobie pójdę.

- Nie, nie chcę tego. Wręcz przeciwnie.

Nic nie powiedziała, tylko znów pochyliła się ku niemu i znów go pocałowała.

- Czy to oni kazali ci to zrobić? - zapytał Michael, patrząc na jej lekko skośne brązowe oczy.

Była o wiele młodsza od Margaret, mogła mieć dwadzieścia cztery lub dwadzieścia pięć lat. Miała w

sobie jakąś niewinność i świeżość, które go uderzały. Nie miał dotąd zbyt wielu dziewczyn, poza tym żadna z nich nie była tak uderzająco piękna jak Rufina Konstantinowna. Uświadomił sobie, że byłby zadowolony, gdyby wyszedł teraz z Rufiną i zobaczył odwracające się za nią głowy.

- Tak myślisz? Uważasz, że KGB zapragnęło, żebyśmy się z tobą przespała?

- Przykro mi, przepraszam. Wiem, że to głupie.

- Ale w to wierzą wszyscy Anglicy. W to, że KGB steruje naszym życiem.

- Nie, wcale nie, bzdura.

Rufina Konstantinowna wstała i przez moment Michael obawiał się, że wyjdzie. Ale ona energicznym krokiem podeszła do lustra, które wisiało obok drzwi do łazienki, i patrząc na nie, zaczęła rozpinąć sukienkę. Zrzuciła ją do tyłu z ramion i pozwoliła jej miękko opaść na podłogę.

- Jesteśmy bardzo uczuciowi i namiętni - powiedziała. - My, Rosjanie, jesteśmy cierpliwi. Czy wiesz, jak bardzo? Prawda napisała, że w ostatnich latach mieszkańcy Związku Radzieckiego spędzili trzydzieści siedem miliardów godzin, czekając w kolejkach po podstawowe artykuły, takie jak żywność i odzież. Trzydzieści siedem miliardów! Ale czasami jesteśmy bardzo niecierpliwi, możemy być bardzo pożądlivi.

Miała na sobie mały biały koronkowy biustonosz i koronkowe majtki, przez które Michael mógł dostrzec ciemny cień jej włosów łonowych. Spojrzała na niego, jej sylwetka zarysowała się w świetle lampki nocnej umieszczonej obok łóżka.

- Nie chciałam ci się narzucać, Michael. Ale bardzo pragnę być z tobą tej nocy.

Michael przez długi czas nic nie mówił. Myślał o Margaret. Ale Margaret i dom w Sanderstead wydawały się bardzo odległe, zmniejszone przez czas i odległość do rozmiarów malusieńkiego domku

dla lalek, gdzieś daleko, w środku nocy. Czy naprawdę miałby zdradzić Margaret, spędzając noc w ramionach tej pięknej rosyjskiej dziewczyny? Czy byłby to rodzaj przygody, na jaką zasłużył, a jakiej nigdy nie doświadczył? Może sprawi, że stanie się lepszym kochankiem, pozytywnie wpłynie na jego małżeństwo? Alan Taylor zawsze chwalił się swoim romanssem, jaki miał z pewną Francuzką, gdy był

w Zurichu, i przysięgał, że dobrze to wpłynęło na jego małżeństwo z Jill. „Koniecznie zrób to, stary”, mówił.

Michael usiadł, a potem wstał, lekko się zataczając. Podeszedł do Rufiny i objął ją. Była o wiele niższa od Margaret, sięgała mu tylko do klatki piersiowej. Nagle poczuł się bardzo silny i opiekuńczy.

Jego pierwsza noc w Moskwie i od razu znalazł sobie dziewczynę. To było absurdalne, ale w ostatnich

latach nigdy nie czuł się tak pewny siebie i tak atrakcyjny jak teraz.

Doświadczone ręce żonatego mężczyzny odpięły jej biustonosz. Jej piersi były bardziej sterczące i jędrniejsze niż Margaret, a sutki miała czerwone jak maliny. Dotknął ich lekko i stwardniały. Pocałował ją, a ręką zaczął pieścić lewą pierś.

Rozebrał się, rozrzucając koszulę i spodnie po pokoju. Jego członek wyskoczył nagle w górę, jak składany maszt łódki. Oboje zrzucili z siebie resztę odzieży i wpadli na łóżko, spleceni ramionami

i nogami, zwarci pocałunkiem. Ręka Rufiny naprowadziła Michaela do lepkiej cipki. Łóżko nie wydawało żadnych dźwięków, w przeciwieństwie do łóżka, które Michael miał w domu. Ale gdy już kochali się w najlepsze, usłyszeli potężny, warczący odgłos gorącej wody, puszczanej w pokoju powyżej.

Rufina szczytowała tylko z lekkim sapaniem, cicho, jakby grzecznie. Michael wystrzelił spermą prawie równocześnie z jej orgazmem. Leżeli potem długo na łóżku, nic nie mówiąc, patrząc na siebie w słabym świetle, z trudem przedzierającym się przez zasłony.

- Nie żałujesz? — spytała Rufina, dotykając jego ramienia.

- Dlaczego miałbym żałować?

- Nie czujesz się winny wobec żony? Potrząsnął głową.

- Wcale nie uważam, że powinienem czuć się winny za to, co zrobiliśmy.

Pocałował ją w policzek, mając nadzieję, że nie oszukuje samego siebie. Szybko zasnął i śnił o czymś, czego nie pamiętał następnego ranka. Gdy się obudził, słońce świeciło znad kopuł Kremla, a niebo było blade i czyste. Rufina była w łazience. Myła twarz, stojąc nago przed umywalką.

- Zdrastwujcie - powiedziała. - Jak się czujesz? Michael usiadł i przetarł oczy.

- Jeszcze nie wiem. Myślę, że mam kaca.

Rufina naga, rozmyślnie prowokująca, weszła do sypialni. Miała gęste owłosienie między udami. Gęste, seksualne futro. Przyłgnęła do Michaela i pocałowała go w usta. Tym razem, w świetle dnia, znalazła się tak blisko Michaela, że nie mógł skupić wzroku na jej twarzy.

- Wiesz przecież, że w ciągu dnia nie możemy się zachowywać tak jak przez ostatnie godziny -

powiedział do niej. - Jeśli John zorientuje się, co się stało... to cóż, oczywiście, będzie zobowiązany powiedzieć o tym Margaret.

- Czy Margaret tego nie zrozumie?

- Nie - odpowiedział Michael. - Nie wydaje mi się, żeby była w stanie zrozumieć.

- Cóż, musimy iść na śniadanie - zasugerowała Rufina. - Jeśli masz kaca, najlepsza będzie szynka, jajka i szklaneczka wódki.

Michael poczuł mdłości, a jego oczy nie mogły skoncentrować się na połączonych kopułach, widocznych za oknem. Był właśnie na środku pokoju, zajęty swoim bólem głowy, gdy nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich John, ubrany w pomarańczową nylonową koszulę i zielone jedwabne spodnie. Okulary miał krzywo oparte na nosie. Oczywiście, gotowy był do zejścia na śniadanie. Spojrzał na Michaela, potem na Rufinę i ostro zatrzęsął drzwiami. Zza drzwi dopiero zawołał stłumionym głosem:

- Przepraszam. Wybaczcie mi.

- Cóż, stało się — powiedział Michael. Usiadł nagle na brzegu łóżka.

Rufina podeszła do niego. Poczuł, jak jej nagi biust dotyka jego pleców. Poprawiła mu włosy i powiedziała:

- Dlaczego się martwisz? Jest twoim przyjacielem. Jeśli mu wszystko wyjaśnisz, niczego nie powie twojej żonie, prawda?

- Przypuszczam, że nie — stwierdził Michael posepnie. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze:

nagi, słaby, potargany i zastanawiający się, dlaczego, do cholery, pozwolił Rufinie zostać u siebie na

noc? Musiał być pijany, to cud, że był jeszcze zdolny ją pieprzyć. Stwierdził, że nie może przypomnieć sobie dokładnie zdarzeń ostatniej nocy. Mógł odtworzyć restaurację, kawior, stół z białym obrusem. Pamiętał, że Rufina trzymała go za rękę w taksówce. Ale co stało się później? Co nim kierowało i dlaczego zdecydował się wziąć ją do łóżka?

- Dalej, Michael, chodźmy na śniadanie - powiedziała Rufina. — Nie musisz się martwić o Johna. Nic nie powie. Znam ten rodzaj mężczyzn. Może nie pochwała tego, co zrobiłeś, ale nie zniszczy twojego małżeństwa.

- Myślisz, że nie? Znowu go pocałowała.

- Nie pozwól, żeby lęk stanął na drodze miłości. Pamiętasz, co powiedział Richard Stern?

„Kiedy miłość jest prawdziwa, to znaczy, że nie jesteś zdolny do niczego więcej”. Możesz zrobić o wiele więcej niż ja, Michael, i o wiele więcej niż Margaret. To był tylko incydent w naszym życiu, o wiele mniej istotny dla ciebie niż dla mnie.

Michael poszedł do łazienki i uważnie przyjrzał się swojej twarzy. Zdziwił się, ale wcale się nie zmienił. Nawet nie wyglądał na tak zmęczonego i skacowanego, jak się czuł. Opłukał twarz wodą, umył zęby i ubrał się. Zeszli z Rufina do restauracji, a dyżurnaja nawet na nich nie spojrzała.

John siedział już przy jednym ze stolików. Pił kawę ze śmietanką i jadł grzankę. Michael usiadł obok i powiedział:

- Zdrastwujcie, John.

John nie odpowiedział, tylko odłożył grzankę i sięgnął po filiżankę z kawą.

- To znaczy dzień dobry - rzekł Michael. John wytarł usta.

- Widzę, że przeszkolono cię w tym języku - zauważył.

- Co to ma znaczyć?

Rufina wciąż się do nich nie przyłączała. Rozmawiała przy drzwiach z inną przewodniczką Inturistu.

- Wiesz, co to ma znaczyć - powiedział John. - Oni to robią, żeby osiągnąć własne cele. Chcą cię usidlić. A ty od razu wpadłeś w pułapkę. Ty. Przebiegły i doświadczony Michael Townsend.

- Jesteś cholernie naiwny — szepnął Michael.

- Naiwny? Chciałbym usłyszeć, co na to powie Margaret.

- Nic. To nie jest twój interes. Więc zapomnij o tym. John ugryzł grzanekę.

- Nie mój interes? Cóż, w porządku, skoro tak twierdzisz.

- Och, John - warknął Michael. - Na miłość boską! Przestań mnie osądzać! Przestań osądzać Rosjan! Skończ z tym twoim cholernym moralizatorstwem!

John patrzył na niego przez załamujące światło szkła okularów. Nic nie powiedział. Wtedy Michael zdał sobie sprawę, jak bardzo John potępia go za to, że przespał się z Rufina.

A Rufina podeszła do nich z uśmiechem i powiedziała:

- Dobrze spałeś, John? Jak poziwajecie?

John, poirytowany, w milczeniu smarował grzanekę miodem.

Michael spojrzał na Rufinę i prosił Boga, żeby pozwolił mu zrozumieć ten kraj, to, co zrobił, jakie ryzyko podjął i co może mu przynieść ten dzień.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tego ranka na zalanej jasnym światłem słonecznym ziemi przekazano kilka ważnych wiadomości - przez satelity, telefony oraz z ust do ust.

Prezydent Stanów Zjednoczonych jadł śniadanie na tarasie domu w Camp David, gdy przyszedł do niego z wiadomością pułkownik Henry Heinz z sił powietrznych. Poinformował prezydenta, że armia Związku Radzieckiego znajduje się na pozycjach wyjściowych do uderzenia, w pełnej gotowości bojowej.

— Ostatnie zdjęcia satelitarne dowodzą, że 16. Armia Powietrzna podzieliła się na dwie części, sir. Proszę, oto komplet fotografii.

Prezydent przyglądał fryzurę. Po drugiej stronie tarasu nagle uniósł głowę jego brunatny spaniel. Pies rozejrzał się smutnymi, ale ciekawskimi oczami.

— Kiedy generał Cordwell będzie gotowy wprowadzić w życie Gringo? — zapytał prezydent.

— Stuttgart mówi, że jest gotowy już teraz, sir. Prezydent wahał się przez chwilę. Pułkownik Heinz nie miał jednak szansy zobaczyć w jego oczach zmęczenia ani rezygnacji.

— W porządku, pułkowniku — powiedział prezydent. — Powiedzcie Cordwellowi, żeby wydał instrukcje pierwszego stopnia. Ale pod żadnym warunkiem niech nie wydaje instrukcji drugiego stopnia, dopóki nie otrzyma takiego rozkazu ode mnie osobiście.

W tym momencie doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, Morton Lock, pchnął drzwi wejściowe, trzymając w jednej ręce filiżankę, a w drugiej teczkę z dokumentami.

— O, Morton - rzekł prezydent. - Wygląda na to, że Sowieci są w nastroju do natychmiastowej akcji. Dałem Cordwellowi rozkaz, żeby natychmiast zaczął ewakuować zbędny personel.

Morton stał przez chwilę i z powagą przyglądał się prezydentowi.

— Wie pan, że nie mamy jeszcze ostatecznej weryfikacji z Kopenhagi?

— Wiem - odparł prezydent. - Ale nie ma żadnej wątpliwości, że ją otrzymamy, prawda?

Cholera... wszystko jest takie skomplikowane. Gorbaczow ostrzegał mnie, że zawarcie porozumienia z

Kubą może zabrać trochę czasu. Stwierdził, że Kubańczycy są w gorącej wodzie kąpani. Gdy się dowiedzą, że akcja Gringo właśnie się rozpoczęła, prawdopodobnie pomoże im to podjąć decyzję.

— Ostatnie prognozy naszych specjalistów z Langley mówią, że Castro prawie na pewno się dostosuje. Nie może sobie pozwolić na odrzucenie naszej propozycji. Chce z tego wyjść z tarczą, to wszystko - powiedział Morton.

— Raczej nie ma na to szansy, Morton — stwierdził oziębłe prezydent. - Nie ma szansy na wieczną chwałę.

— Teraz wydaje mi się, że nie ma, sir - odparł Morton Lock. — Ale trudno jest raczej myśleć o

jakimkolwiek ważnym wydarzeniu w historii wojen jak o czymś chwalebny, nieprawdaż? Wojny indiańskie? Wojna domowa? Hiroszima? Wydają się chwalebne, gdy patrzy się na nie z perspektywy czasu. Gdy zmarli zostaną starannie pochowani, a wszyscy winni wytłumaczą się ze swoich poczynań.

Prezydent uśmiechnął się bezmyślnie do Mortona.

— Nikt nigdy nie oskarży cię o optymizm, Morton. Nie ma takiej możliwości.

— Dlatego zaproponował mi pan współpracę, sir.

Morton usiadł, pociągnął szybko łyk kawy i otworzył teczkę z dokumentami. Prezydent przez chwilę przyglądał mu się, po czym powiedział:

— Powiedz mi, Morton, jak ci się wydaje, czy kiedyś napiszą o tym w podręcznikach historii?

— W amerykańskich czy rosyjskich?

Usta prezydenta zacisnęły się z powodu cynizmu Mortona, ale kontynuował temat:

— W obydwu.

Naprawdę chciał znać odpowiedź.

Morton wyjął potrzebne dokumenty, po czym zamknął teczkę i odłożył ją.

— Cóż, sir, uważam, że amerykańskie podręczniki historii napiszą o panu jako o pierwszym prawdziwym realiście w XX wieku.

— Nie musisz prawić mi komplementów - stwierdził prezydent.

— A czy pan potrzebuje komplementów? Czy może jest pan kimś, kogo trzeba przekonać, że dokonał rzeczy, której i tak musiałby dokonać ktoś, kto przyszedłby po panu, gdyby pan tego nie

zrobił?

Prezydent nic nie powiedział, tylko wziął do ręki grzanekę, zaraz jednak odłożył ją z powrotem.

— Bądźmy szczerzy w jednej sprawie, sir — ciągnął Morton. - Każdy prezydent, od Trumana począwszy, zdawał sobie sprawę, że równowaga sił na świecie od końca drugiej wojny światowej daleka jest od doskonałości. Ale co oni zrobili, żeby to zmienić? Co zrobili, żeby znaleźć naturalną polityczną równowagę między Wschodem i Zachodem, naturalny podział terytorialny pomiędzy komunizmem a kapitalizmem? Cóż, sir, zna pan odpowiedź równie dobrze jak ja. Nie zrobili nic, a tylko podtrzymywali tę stresującą, niezrównoważoną sytuację przez lata. Wydawali z każdym dniem więcej pieniędzy na zbrojenia... Pan jest realistą. Pan nie tylko zrozumiał tę sytuację, ale i zrobił wielką rzecz, żeby ją zmienić.

— A rosyjskie podręczniki? - zapytał prezydent, podnosząc głowę.

— Wie pan, jak Prawda nazywa pana teraz? „Wielkim amerykańskim pragmatykiem”.

Prezydent spojrział na trawniki Camp David, w kierunku rzędu drzew, gdzie rozmawiało ze sobą dwóch uzbrojonych ludzi z ochrony.

— Może powinienem rozwiązać to inaczej — powiedział.

Morton czekał. Widywał ostatnio prezydenta w podobnym nastroju dość często. Ponurego, refleksyjnego, zadumanego, nieugięte samokrytycznego. Trudno było prezydentowi zrozumieć, że cały personel Białego Domu czuje się tak samo. Ciężar odpowiedzialności za to, co wkrótce ma nastąpić, dźwigali wszyscy, podobnie niespokojni, podobnie nękani wątpliwościami, podobnie cierpiący z powodu gnębiącego ich poczucia winy.

Ale jaki mieli wybór? Ostatni tajny raport z kwietnia od Agencji Naukowej Zaawansowanych Projektów Obronnych i towarzysząca mu ocena od Kolegium Szefów Połączonych Sztabów ostatecznie rozwiały desperackie fantazje, że konfrontacja jądrowa może być „zwycięska” czy nawet „strategicznie użyteczna”. Pomimo wydania niemal 5,7 miliarda dolarów na rozwój broni jądrowej,

przechwytywanie sowieckich rakiet w przestrzeni kosmicznej, co zakładała technologia „gwiazdnych wojen”, okazało się w rzeczywistości nie do wykonania. Jeszcze bardziej zniechęcający był fakt, iż zbrojenia konieczne dla utrzymania równowagi sił militarnych do początku XXI wieku mogłyby doprowadzić państwo do takiego katastrofalnego deficytu fiskalnego, którego długoterminowy wpływ na świat zachodni byłby równie zgubny jak otwarta wojna. Bezrobocie, ubóstwo, narkomania, głód, choroby. W końcu zimna wojna miała również swoje konsekwencje rynkowe.

Jeden z dwóch białych telefonów stojących na małym stoliku obok prezydenckiego łokcia wydał z siebie dyskretny, prawie przeprasający dźwięk. Prezydent podniósł słuchawkę i zapytał:

— O co chodzi, George?

— Zastępca głównodowodzącego w Europie, sir. Do pana.

— Bardzo dobrze. Połącz mnie.

Był to generał John Oliver, telefonował z Frankfurtu przez łącza satelitarne. Bezpieczeństwa

Gringo strzeżono tak bardzo, że część głosu generała transmitowana była przez FITSATCOM, a druga

część przez innego satelitę. Obie części przed przekazaniem głosu do Camp David przez bardziej konwencjonalną telefoniczną linię lądową łączone były w centralnym komputerowym systemie obronnym w Pentagonie.

Pomimo metalicznego brzmienia spowodowanego rozszczepieniem sygnałów głos generała Olivera brzmiał wyraźnie i donośnie:

- Dzień dobry, panie prezydencie. Rozumiem, że pułkownik Heinz powiadomił już pana o stopniu gotowości Sowietów. Myślę, że powinienem panu powiedzieć, iż nasze lądowe i satelitarne urządzenia nie zanotowały ruchów Rosjan, które byłyby niezgodne z uprzednimi ustaleniami.

Wysłaliśmy dwa dodatkowe DSCS 11 na asymetryczne orbity, żeby mieć całkowitą pewność. Wie pan, jak Sowieci potrafią dostosowywać swoje ruchy do przelotów naszych satelitów zwiadowczych?

Cóż, my robimy to samo, oczywiście. Ale ponieważ my skutecznie potrafimy kontrolować ich ruchy, mogę spokojnie powiedzieć: na razie nie ma żadnych problemów.

- Dziękuję generale - powiedział prezydent i bez dalszej dyskusji odłożył słuchawkę.

Próbując pokazać, że mimo wszystko potrafi podjąć decyzję, wziął grzanekę i zjadł ją w końcu, chociaż wcale nie czuł jej smaku.

- Cóż, Morton - powiedział po przełknięciu ostatniego kęsa. - Dopóki nie dostaniemy wiadomości z Kopenhagi, to jest to.

- Ciągłe jeszcze mamy czas, żeby zmienić zdanie, sir - rzekł Morton.

Prezydent spojrzał na niego ostro i potrząsnął głową.

- Wplątaliśmy się w to wiele lat temu, Morton. A teraz nadchodzi ostateczne zerwanie z Jałtą.

Jeśli chcesz kogoś winić za ostatnie czterdzieści lat, to winń Churchilla i Roosevelta. Ale my nie mamy

już odwrotu.

Pułkownik Heinz wciąż czekał, trzymając czapkę pod ramieniem.

- Czy jeszcze coś, sir? - zapytał.

Prezydent spojrzał na niego, jak gdyby nie mógł sobie przypomnieć, kto to taki i dlaczego tu jest.

- Tak pułkowniku — powiedział po chwili. — Pewnego dnia, gdy Ameryka będzie ostatecznie i całkowicie bezpieczna i gdy zagrożenie nuklearną dewastacją zostanie całkowicie zapomniane, proszę powiedzieć swoim dzieciom, że pan tutaj był.

- Tak jest, sir. To dla mnie zaszczyt, sir.

Nie miał dzieci, ale powstrzymał się od powiedzenia tego. Prezydent podniósł filiżankę kawy, spojrzał na nią i zorientował się, że jest pusta.

- Zaszczyt - powtórzył, jak gdyby nie słyszał tego słowa przez długi, długi czas.

Niemal w tym samym czasie w Londynie minister obrony jadł obiad w Savage Club z

Williamem Wrightem, agentem literackim bardzo znanym z powodu pstrokatych garniturów, które nosił z upodobaniem, oraz nieugiętości, z jaką występował w interesie autorów, których reprezentował.

- I Auberon powiedział... - opowiadał właśnie William Wright, gdy przez wysoką salę restauracyjną przebiegł szybko starszy kelner. Dotknął ramienia ministra obrony i powiedział mu niskim szeptem, że pan Vaudrey chciałby się z nim jak najszybciej zobaczyć, jeśli oczywiście minister ma czas. Pan Vaudrey czeka w biurze na zapleczu.

Minister wypił łyk zimnego sancerre, które przed chwilą właśnie zostało nalane do szklanek.

Wstał.

- Przepraszam, Bili. To prawdopodobnie Aldershot skarży się, że wydano mu piętnaście tysięcy lewych butów.

Przeszedł przez salę, zapinając elegancką ciemnoniebieską marynarkę. Był wysoki i szczupły, miał jasne włosy, trochę zbyt długie jak na ministra. Starszy kelner szedł za nim aż do biura, gdzie czekał już Hubert Vaudrey, oglądając rysunki na ścianach. Hubert Vaudrey zawsze kojarzył się ministrowi z kliniką psychiatryczną na Harley Street. Był gładki i śniady, o chłopięcym wyglądzie. W rzeczywistości był zastępcą szefa wywiadu do spraw współpracy z NATO.

- Przepraszam, że przerwałem panom obiad, sir - powiedział, uściskawszy rękę ministrowi. -

Otrzymałem właśnie sygnał Gringo.

- Naprawdę? - zapytał minister obrony. - Żadnych nowych wiadomości z Kopenhagi?

- Na razie nic. Ale przeczucie mi mówi, że Jankesi spróbują przyspieszyć rozstrzygnięcie.

Może przez jakąś demonstrację dobrej woli? Weisenheimer powiedział mi, że Kubańczycy wciąż są uparci.

- Jadłem właśnie obiad z Williamem Wrightem — powiedział minister obrony. - Próbował mnie namówić do napisania książki o rododendronach.

- Cóż, w tej chwili nie musimy niczego robić. W gruncie rzeczy Moxon wołałby, żebyśmy na razie siedzieli cicho.

- A co z panią premier?

- Podejmuje właśnie lunchem Argentyńczyków, oczywiście. Tylko Bóg wie, jak długo to potrwa. Jakiś bystry fircyk zamówił na przystawkę baraninę, zamiast wołowiny. Poczekamy do końca,

dobrze? — spytał Hubert Vaudrey.

Minister obrony pokiwał głową.

- Uważam, że Amerykanie są zbyt pochopni. Raczej wstrzymałbym się ze wszystkim, dopóki nie otrzymamy absolutnie ostatecznej decyzji z Danii.

- Oczywiście, wysłaliśmy sygnał do Stuttgartu, że akcję Corn-flower należy rozpocząć, gdy tylko Amerykanie rozpoczną Gringo.

- Pozwól, że ja się zajmę resztą. Zamierzam najpierw skończyć obiad. Bili mówi, że ta książka może być całkiem poczytna. Poza tym oni mają dziś leszcza w karcie i nie chciałbym go przegapić, nawet gdyby Rosjanie maszerowali wzdłuż Champs--Elysees ze śniegiem na butach.

- W porządku więc - powiedział Hubert Vaudrey. - Co mam powiedzieć, jeśli Weisenheimer zacznie marudzić?

- Bądź miły. To wszystko.

- Jasne.

W Manchesterze, sto osiemdziesiąt mil na północny zachód, prezydent Narodowego Związku Zawodowego Górników przybył właśnie do Great Northern Hotel na spotkanie z delegacją polskich górników. Miał z nimi zjeść lunch i odbyć rozmowy o światowym imporcie węgla. Zatrzymał się przez sekundę lub dwie na chodniku przed hotelem. W tym czasie fotoreporterzy zrobili mu kilka zdjęć. Potem wszedł do hallu hotelowego, śmiejąc się głośno po jakiejś uwadze rzuconej przez jego szkockiego zastępcę, Stuarta McLarena.

Albert Grange był niski i krępy. Nawet szyta na miarę marynarka nie mogła ukryć jego szerokich ramion górnik. Miał rumianą twarz, sztywne szare włosy oraz uśmiech, który nie znikał z jego twarzy. Uśmiechał się nawet wtedy, gdy był zły.

Szedł właśnie do sali konferencyjnej, gdy nie zważając na otaczających go goryli, podeszła do niego brunetka w szarym kostiumie i białej, marszczonej bluzce.

- Pan Grange? - zapytała.

- To ja, kochanie.

- Mam wiadomości od Rodneya.

- Och, dobry, stary Rodney - powiedział Grange serdecznym głosem. Chwycił za łokieć Stuarta McLarena i szepnął mu do ucha: - Idź naprzód, Stu. Zaraz do ciebie dołączę.

Kobieta w szarym kostiumie zaprowadziła Grange'a do pokoju biurowego obok toalet i zdecydowanie zamknęła drzwi. Grange zaproponował papierosa, ale odmówiła, potrząsając głową.

- No, no - odezwał się, przypalając papierosa złotą zapalniczką Dunhilla. - Więc Rodney zaczął działać. Zastanawiałem się, kiedy wreszcie się odezwie.

Twarz kobiety pozostawała niewzruszona. Mogła należeć do bibliotekarki lub nauczycielki: szara twarz kobiety w średnim wieku, niezamężnej. W rzeczywistości należała do „śpiocha”, zakamuflowanej w Anglii prawie dwadzieścia jeden lat temu agentki. Wszystkie te lata spędziła ona na przygotowaniach do jednego zadania: poinformowania brytyjskich związków zawodowych, że w końcu nadszedł dzień zwycięstwa rewolucji proletariackiej.

- Musi pan wiedzieć, że przygotowania wojskowe w Europie prowadzone są pełną parą - powiedziała kobieta z południowo-londyńskim akcentem.

- Cóż, czytałem o tym w gazetach.

- Czekamy teraz jedynie na ostateczny sygnał. To może nastąpić w ciągu kilku najbliższych dni. W tym czasie pański związek zawodowy rozpocznie akcję strajkową. Strajk ma się rozpocząć

siedemnastego maja.

— To nie będzie trudne - ocenił Albert Grange. - Już pokazaliśmy rogi tym w Coal Board z powodu zamknięcia kopalni w Derby.

- TGWU rozpocznie strajk dwa dni przed wami. Kolejarze i kierowcy zaczną dzień po was. W następnym tygodniu rozpoczną strajk urzędnicy państwowi i elektrycy.

- A więc to naprawdę jest to? - zapytał Albert Grange, spoglądając na nią przez dym papierosowy.

- Mogę panu powiedzieć, że to nie jest symulacja.

— Kiedy otrzymam pełne instrukcje?

— W odpowiednim czasie. Ostrzegamy, należy zachować cierpliwość i nie podejmować innej akcji oprócz zwykłego strajku, dopóki nie otrzyma pan szczegółowych instrukcji. Szczególnie radzę, żeby strzegł się pan podżegaczy. Należy prowadzić działania obstrukcyjne w stosunku do pracy kopalń i zachęcać ludzi do ich pokojowego pikietowania, żeby zaabsorbować tyle sił policyjnych, ile to tylko możliwe.

Albert Grange słuchał i potakiwał, a gdy przerwała, zapytał:

— Czy jest możliwe, że użyją przeciwko nam także wojska?

- Oczywiście. Jest to nasz cel ostateczny. Jeśli wojsko zostanie wciągnięte do tłumienia naszych manifestacji, wtedy istotne ich siły znajdą się na złych pozycjach i będą nie do użytku, gdy nadejdzie czas właściwej rewolucji.

Albert Grange przez chwilę nic nie mówił. Kobieta patrzyła na niego.

— Teraz muszę iść - odezwała się w końcu. - Nigdy więcej mnie pan nie zobaczy. Następne instrukcje zostaną przekazane inną drogą.

- Z kim mógłbym się skontaktować w razie jakichś kłopotów? — zapytał Albert Grange.

— Tak jak zwykle, proszę porozmawiać z towarzyszem Philipsem. On przekaże wszelkie

potrzebne informacje.

Kobieta otworzyła drzwi i wyszła. Albert Grange został w pokoiku i dokończył papierosa. A więc w końcu stało się. Koniec walki klasowej, koniec panowania krwiożerczych kapitalistów! Myślał

o swoim ojcu, który przed wielu laty, siedząc przy kuchennym stole w górniczym domu w South Yorkshire, czytywał na głos Karola Marksa: „Od każdego według jego możliwości, każdemu według potrzeb”.

Albertowi Grange przyszła do głowy heretycka niemal wątpliwość, czy Rosjanie pozwolą mu zatrzymać dla siebie domek na wsi i wspianiałego sportowego jaguara, którego kupił za pieniądze związkowe.

Około półtorej godziny później ćwiczący w swojej przydomowej sali gimnastycznej na treningowym rowerze młody senator z Connecticut, David Daniels, oderwany został od treningu przez swoją gospodynię Córę. Tylko jej pozwalał przeszkadzać sobie podczas treningu. Ćwiczył codziennie przez godzinę: aerobic, kolarstwo, trening siłowy, wszystko na najnowocześniejszym i dro-

gim sprzęcie.

- Senatorze, panna Modena. Chce z panem natychmiast rozmawiać.

David pokiwał głową. Jego czoło lśniło od potu, gdyż kończył już jedenastą milę.

- Powiedziała, że to bardzo pilne, senatorze.

David zwolnił i zatrzymał rower. Córa podała mu ręcznik, w który wytarł najpierw rozpaloną twarz. Następnie przetarł kark oraz pachwiny. Na koniec zszedł z roweru, zrobił cztery czy pięć wymachów rękami i nogami, żeby rozluźnić mięśnie, i ruszył do drzwi sali gimnastycznej. Za nim wolno podążała Córa.

W Darien był ciepły, słoneczny dzień. Drzwi do tarasu w wielopiętrowym domu Davida otwarte były na oścież, a koronkowe zasłony falowały na lekkim wietrze. Na białym dywanie

rozłożonym na czerwonej posadzce tarasu czekała na niego Esther Modena, jego osobista sekretarka.

Była wysoką, ładną dziewczyną o modnie ułożonej grzywce ciemnych włosów. Miała na sobie białą bawełnianą indiańską sukienkę. David przeszedł między koronkowymi zasłonami i wyszedł na słońce,

z ręcznikiem zarzuconym wokół karku.

- To musi być naprawdę pilne - zauważył. - Chcesz lemoniady? Pokręciła przecząco głową.

Patrzyła, jak podchodzi do białego kamiennie-metalowego stolika i nalewa sobie drinka do wielkiej szklanki. Słychać było, jak wrzuca kostki lodu do lemoniady. Wiedziała, że jest zły. Mogła to wywnioskować, ponieważ nie patrzył na nią wprost. Zwykle bywał ciepły, otwarty i komunikatywny.

- Czy znasz mojego przyjaciela Wally'ego, tego, o którym ci mówiłam?

- Pamiętam. Facet, którego zaprosiłaś na lunch za moje sto doków.

- Myślę, że sto dolców nie jest wygórowaną ceną - powiedziała Esther.

David wyczuł coś niezwykłego w jej głosie, odwrócił się i spojrzał na nią, ostro, głęboko, prosto w oczy. Był dobrze zbudowanym przystojnym mężczyzną o szerokiej twarzy, ostrym nosie, mocnej szczęce, z brązowymi pofalowanymi włosami. Jego jedynym fizycznym mankamentem było to, że miał lekką nadwagę, pomimo intensywnego treningu. Dawało mu to bardzo rozpustny wygląd: przywodził na myśl supermana jedzącego zbyt wiele ciastek i pijącego za dużo wody mineralnej.

- Wally zadzwonił do mnie mniej więcej godzinę temu. Mówił o pogłosce sugerującej, że Fidel Castro chce ustąpić i rozpisać wolne wybory.

David pił lemoniadę i nic nie mówił, lecz ostrożnie spoglądał na Esther przez szklankę.

- Powiedział także, że widział poufne raporty z Nikaragui i Ekwadoru. Otóż komunistyczni partyzanci przerywają tam wszelką działalność. Wielu z nich już się poddało i złożyło broń.

- Jakie jest źródło wiadomości? - zapytał David. - Mam na myśli przede wszystkim informację o Castro.

- Wally nie powiedział mi niczego więcej, tylko tyle, że po prostu krąży taka plotka.

- Plotka... Czy myślisz, że on naprawdę coś ma, czy po prostu próbuje wydobyć ze mnie dużo forsy?

- Daj spokój, David. Mówiłam ci już wcześniej, że Wally jest szczerzy.

- Nawet szczerzy ludzie muszą jeść.

Esther usiadła na jednym z krzeseł obok glinianej doniczki z czerwono kwitnącymi begoniami.

- Mówi, że to jest oczywiste, że dzieje się coś naprawdę ważnego. Drzwi do biura są zamknięte i niesamowicie trudno jest dostać się do tajnych dokumentów. Mówi, że w jakiś sposób sprawy Castro

i Nikaragui są powiązane, ale on nie jest pewien jak ani dlaczego.

David także usiadł i potrząsnął głową.

- Nie mogę uwierzyć, że Castro rozpisuje wolne wybory. Po dwudziestu pięciu... dwudziestu sześciu latach? To przecież nie ma sensu. A jeśli to prawda, to dlaczego Zucker nie nadał tej sprawie rozgłosu? Wiesz, jaki jest Zucker.

- Mogę ci powiedzieć tylko to, co wiem od Wally'ego.

- A czy mogłabyś dowiedzieć się więcej?

- Zapytam go - odparła Esther. - Mówił, że to nie będzie łatwe. Na C Street jest w tej chwili jak na Kremlu.

- Niech szuka.

- Czy mogę mu zapłacić? Może dwie setki? - zapytała Esther.

- W porządku. Daj mu dwieście pięćdziesiąt. Ale to wymaga jeszcze pewnych wyjaśnień. Mam zamiar poruszyć sprawę w Senacie. Chcę, żeby podał mi kilka faktów, może jakieś odbitki kserograficzne dokumentów, jeśli może je zdobyć.

- Nie chciałabym, żeby wpadł w tarapaty.

- Nie wpadnie, nie obawiaj się. Już moja w tym głowa. Esther szybko nagryzmoliła dwie notatki w notesiku. Podniosła wzrok i powiedziała:

- Jest jeszcze jedna sprawa.

- Hm?

- Powiedział, że nie chciałby cię wprowadzić w błąd, ale słyszał dziwną wzmiankę o kimś zwanym Gringo.

- Gringo? To mi nic nie mówi. W związku z czym słyszał o tym Gringo?

- Cóż, w związku z tą sprawą Fidela Castro. David wzruszył ramionami.

- Może Gringo jest rodzajem pośrednika. Może Zucker trzyma w tajemnicy negocjacje z Castro? Wolne wybory w zamian za pomoc finansową? Nie wiem. To zdaje się nie mieć wielkiego sensu. Spytaj swojego przyjaciela, czy Kuba zamierza wycofać się z Comeconu w tym samym czasie. Esther jeszcze coś zanotowała.

- Czy nadal chcesz lecieć w środę do Waszyngtonu? - spytała.

- Na razie tak. Dopóki Helen nie zrobiła jeszcze nadmiernego zamieszania w domu.

Helen była drugą żoną Davida Daniela. Miał czterdzieści jeden lat i był, dwukrotnie rozwiedziony. Oficjalną przyczyną rozwodów była niezgodność charakterów. A prawdziwą - fakt, że polityka zabierała Davidowi zbyt wiele czasu. Helen zaczęła czuć, że David kocha Senat bardziej niż ją, a ona nie mogła zastąpić mu Kapitolu. Nie mogła nawet zastąpić mu Esther. Esther i David kochali

się w górskim domku myśliwskim w Aspen na początku tego roku, a potem znowu cztery czy pięć tygodni temu w Pilgrim's Inn w Salem, w stanie Massachusetts. Jednakże nie byli stałymi kochankami i nigdy nie mogliby być. Ich styl życia był zbyt odmienny. Esther interesowała się filozofią polityczną oraz ratowaniem wielorybów przed zagładą. Davida interesowała tylko władza oraz problem, jak za jej

pomocą zmienić oblicze świata. George Roth, starszy senator, nazywał go „młodym centurionem”.

David pocałował Esther czule w usta i obejmując ją w talii, odprowadził do frontowych drzwi.

- Wypuszczę kilka moich sond badawczych. Pamiętasz Jim-miego Mocarellego z Phoenix? Ma

bliskie powiązania ze wszystkimi bogatymi kubańskimi emigrantami. Mogą wiedzieć coś, co pozwoli ująć w ramy ten osobliwy obraz.

Czerwony datsun ZX Esther stał w cieniu szumiących dębów, osłaniających dom Davida od drogi prowadzącej na północ do New Canaan. David otworzył przed nią drzwiczki samochodu i patrzył, jak odjeżdża. Potem wrócił do domu i poszedł do biblioteki. Panował tu chłód, żaluzje były zaciągnięte, a na tle gołych białych ścian stały kubistyczne rzeźby.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer do Washington Post. Gdy go połączono, powiedział, że chce rozmawiać z Jackiem Levym.

- Jack? Tu David Daniels. Tak. Jestem w domu w Connecticut. Tak, w porządku, to zajmie kilka następnych miesięcy. Słuchaj, Jack, chcę cię prosić o przysługę, na zwykłych warunkach. Mam poufną informację z C Street, że może się wydarzyć coś interesującego na Kubie. Właśnie. Cóż, ni mniej, ni więcej, tylko wolne wybory. Nie, nie. Nie mam żadnego potwierdzenia. Na razie jest to tylko

bardzo prawdopodobna pogłoska, to wszystko. Ale to może być związane z czymś jeszcze, z czymś lepiej udokumentowanym. Chodzi o to, że komunistyczni insurgenci w Ameryce-Środkowej zaczynają składać broń i się poddawać. Słyszałeś coś o tym? Cóż, nie, ja także nie. Ale przypuszczalnie to prawda. Jest jeszcze jedna sprawa. Po prostu nazwa Gringo. To może być pseudonim, kod, jak na przykład Głębokie Gardło. To może być człowiek, może to być jakaś akcja, kto wie? Szukaj, zacznij na C Street, potem spróbuj swoich kontaktów w Pentagonie. W porządku. Wracam w środę. To zależy. O.K. To na razie. Uważaj na siebie.

Odłożył słuchawkę. Ledwie to zrobił, grubas, który siedział po drugiej stronie drogi do New Canaan w thunderbirdzie, rocznik 1974, odłożył słuchawkę telefoniczną oraz zatrzymał leżący obok na siedzeniu magnetofon, nagrywający całą rozmowę.

David wrócił do sali gimnastycznej. Miał przed sobą jeszcze dwadzieścia minut treningu na rowerze.

Grubas w samochodzie oddychał astmatycznie, ale wystukał numer telefonu i powiedział:

— Hatcher? Tu Bird. Mieliśmy rację co do naszego przyjaciela. Masz to. Mamy zresztą jeszcze jedno. Możemy zająć się nim później. W porządku. Zostawię to tobie.

Piąta ważna informacja tego wieczoru dotarła przez telefon do małego, pomalowanego na różowo domku we wsi Arendsee w prowincji Altmark w Niemczech Wschodnich, blisko granicy z Niemcami Zachodnimi. Telefon dzwonił prawie przez trzy minuty, zanim niski, potężnie zbudowany mężczyzna wszedł do skąpo umeblowanego pokoju gościnnego i podniósł słuchawkę.

— Doch? - powiedział.

Miał na sobie kraciatą koszulę i jasnozielone sztruksowe spodnie. Mógł być kimkolwiek, od leśnika do rolnika. Tylko bladość jego twarzy dowodziła, że spędzał większość czasu nie na słońcu, lecz w mrocznych, zaciemnionych miejscach.

— Czy to Arendsee pięćdziesiąt osiem, zero zero, czterdzieści trzy? — zapytał stłumiony głos.

Brzmiał tak, jakby telefonująca osoba mówiła przez szal lub chusteczkę na mikrofonie słuchawki.

Mężczyzna odsłonił siatkowe zasłony i wyjrzał przez okno na bagniste pola Arendsee oraz błękitnoszare niebo, wyglądające jak wypolerowana dachówka. Dwóch małych chłopców jechało na rowerach po pozółkłej trawie. W oddali zawarczała przejeżdżająca wojskowa ciężarówka.

— A kto mówi? - zapytał mężczyzna po chwili. Jego oczy były puste jak wyschłe jezioro.

— Der scheckiger Pfeifer kazał mi telefonować. Powiedział, że ma kłopoty z pozbyciem się szczura.

— Jakiej maści?

- Białego.

Mężczyzna ponownie zasłonił okna.

- W tym roku nie jest to zbyt łatwe - stwierdził. - Ile jest gotów zapłacić?

- Dziesięć.

- Obawiam się, że to za mało.

- A więc dwanaście.

- Dwanaście i pół.

- Bardzo dobrze. Kiedy i gdzie?

Mężczyzna milczał przez chwilę, po czym zapytał:

- Gdzie przebywa szczur?

- W Wunsdorfie.

- Czy można coś zrobić, żeby był bliżej?

- To możliwe. Pojutrze muszę być w Haldensleben. Mogę wziąć go z sobą.

- Bliżej nie można?

- To niemożliwe. Jeszcze jedna krótka pauza.

- W porządku. Dostarczcie szczura do Haldensleben pojutrze. Jak tylko przyjdziecie, proszę zadzwonić do Magdeburga, telefon sześćdziesiąt siedem, dwadzieścia trzy, zero jeden. Proszę powiedzieć, że przysyła pana scheckiger Pfeifer. Tam dostanie pan instrukcje, co robić dalej.

Pieniądze tylko gotówką. Jaki numer dał panu scheckiger Pfeifer?

- Dziewięć.

- Bardzo dobrze. Będziemy czekali na telefon.

- Auf wiedersehen - powiedział głos po drugiej stronie kabła. Mężczyzna bez słowa odłożył słuchawkę. Wyjął chusteczkę i głośno wytarł nos.

Po chwili inny mężczyzna wszedł do pokoju. Był chudszy, oczy miał osadzone bardzo blisko siebie.

- Czy to będzie on? — zapytał.

Krępy mężczyzna otarł dokładnie nos i przytaknął.

- Marszałek Związku Radzieckiego T. K. Gołowanow osobiście.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Charles przedarł się przez tłum pracy w kierunku Ferris i dotarł do głównej bramy. W rozświetlonych ogrodach Tivoli rozbrzmiewała muzyka. Był już spóźniony o pięć minut. Zanim wyszedł, Agneta uparła się, żeby zjadł kanapkę: pszenny chleb z duńskim niebieskim serem, aby zrobić podkład dla alkoholu. Jedzenie zajęło mu prawie dziesięć minut, ponieważ brakowało mu śliny i przeżuwał ciężko, dopóki chleb nie dotarł do żołądka, jak nie naoliwiona winda zjeżdżająca tępo w dół.

Jeppe już czekał, paląc papierosa. Obok niego stał karłowaty i zgarbiony mężczyzna, Otto Glistrup. Jeśli chodzi o komputery, Otto był drugim hackerem w Kopenhadze. On sam uważał, że jest najlepszy. Jeppe wyciągnął go z kłopotów jako kasiarza i oszusta komputerowego i do tego czasu duńskie służby wywiadowcze dawały mu robotę przez okrągły rok. Wielką wadą Ottona była jego zarozumiałość oraz monotonia jego opowieści o swojej brzydkiej żonie i o tym, jak to ona się nad nim bezustannie znęca.

Charles uścisnął dłoń Jeppe, a następnie Ottona.

— Jak się pan czuje, panie Glistrup? Długo pana nie widziałem.

— Musiałem wyjechać — powiedział Otto nosowym głosem. -Hedvig była chora i uparła się, żebym pojechał z nią do siostry w Lolland. Byliśmy tam pięć miesięcy i za każdym razem, gdy proponowałem powrót do Kopenhagi, zaczynała marudzić: „Och, moje biedne zatoki. Nie mogę wracać do Kopenhagi, zbyt wiele tam jest pyłku z drzew lipowych”. Musiałem jej obiecać nowy płaszcz na zimę, żeby zechciała wrócić, a i tak ciągle się na coś skarży, kicha i narzeka.

Charles wziął Ottona pod rękę i we trójkę weszli wolno do ogrodu, pomiędzy rzędy kwiatów oświetlonych zielonymi i białymi lampami w kształcie gwiazd. Przeszli wzdłuż rzędów drzew. Gdzieś

blisko, na promenadzie orkiestra grała Marsza Radetz-kiego i Jeppe zaczął podśpiewywać:

— Ramtatam, ramtatam, ramtatamtatam. - Wreszcie powiedział do Ottona: - Chcę się dostać do cudzego komputera.

— Cóż... — Otto pokiwał głową. Jego twarz miała ostry profil, jak morda łasicy. - Mogę ci pomóc, ale zależy to od tego, jak chytrze komputer chroniony jest przed ingerencją z zewnątrz. Potrzebujesz raczej kogoś, kto go rozpracuje i wejdzie do banku danych. Komputer równie dobrze można złamać od wewnątrz, jak i z zewnątrz. W tej dziedzinie jest wielu lepszych fachowców ode mnie. Spróbuj z Pederem Staffeldtem, jest o połowę młodszy ode mnie. On mógłby znaleźć dojdzie do twojego komputera, nie ruszając się z własnej sypialni.

- Informacji, której szukamy, może nie być w komputerze — powiedział Charles. - Chcemy, żebyś dostał się do jego banku danych.

- O jakiego rodzaju właścicielu komputera mówimy? - spytał Otto. - Wiesz, że biorę podwójne wynagrodzenie za ambasady. Trzykrotne za ambasady wschodnie. I za żadną cholere nie wejdę do ambasady Libii.

- Nic w tym stylu - zapewnił go Charles, kładąc mu poufale rękę na pochylonym karku. - To biuro projektów, nic więcej. Tu, w Kopenhadze. Klarlund i Christensen, niedaleko stąd. Żadnych specjalnych alarmów, nic z czym nie mógłbyś sobie poradzić. Nie martw się.

- Ostatnim razem, gdy ktoś powiedział, że nie mam czym się martwić, złamano mi wszystkie palce u lewej ręki.

- Zaufaj mi - powiedział Charles. - Problemem ochrony my się zajmiemy.

Otto milczał przez chwilę. Charles i Jeppe spoglądali po sobie nad głową Ottona. Jeppe mrugnął do Charlesa, dając w ten sposób do zrozumienia, że Otto z całą pewnością się zgodzi.

- Moja żona nie pochwali tego - pożałował się Otto. - Ona twierdzi, że nie powinienem pracować dla takich ludzi jak ty. To zbyt niebezpieczne. Mówi, że pewnego dnia zabiję ją tą swoją robotą.

- Cóż, Otto. Na każdego przyjdzie pora - rzekł sentencjonalnie Charles. - Wiesz, że życie jest

jak żeglowanie po wzburzonym morzu. Wcześniej czy później wywołają twój numer i powiedzą: „Już czas, przyjacielu”. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Otto nie odpowiedział. Podeszli do budki z lodami i Charles kupił każdemu po waniliowym, z czekoladowymi wiórkami. Spacerowali pomiędzy drzewami, liżąc lody. Wyglądali jak trzech mali chłopcy planujący odważny figiel.

- Jutro nie mogę — powiedział Otto. — Ani pojutrze. Z Finlandii przyjeżdża brat mojej żony.

- A czy stoi coś na przeszkodzie, żeby zrobić to dziś wieczorem? - zapytał Charles.

- Dziś wieczorem? Bez żadnego przygotowania?

- A czego potrzebujesz?

- Cóż, niewiele. Tylko moje narzędzia.

- Gdzie masz te narzędzia?

- W samochodzie, w bagażniku.

- A gdzie stoi samochód?

- W garażu na Vesterport.

Charles entuzjastycznie uściśnął jego ramiona.

- W takim razie nie ma problemu, prawda? Możemy teraz pójść obejrzeć biuro?

- Nie wiem - zawahał się Otto. Nagle zaczął z uwagą spoglądać na swój rozek z lodami. -

Dlaczego ja jem tego loda? Nienawidzę lodów.

I wyrzucił je do kosza na śmieci.

Przeszli przez szeroki most dla pieszych rozpięty nad południową zatoczką jeziora. Lampy parkowe pięknie oświetlały ciemną powierzchnię wody. Zawrócili w Vesterbrogade, a potem przeszli

wzdłuż Banegardspladsen. Zatrzymali się naprzeciwko biura firmy Klarlund i Christensen.

- Jesteśmy na miejscu - odezwał się Charles. - Cała okolica pogrążona jest w ciemnościach.

Mają tylko standardowy system alarmowy, o ile trafnie to oceniłem. Standardowe zamki. Nie będzie

żadnych problemów. Można wejść i wyjść w ciągu dziesięciu minut.

Charles splunął i uśmiechnął się do Ottona, jak gdyby był pośrednikiem handlu nieruchomościami, pokazującym szczególnie atrakcyjny dom w New Rochelle. „Czy mogą sobie państwo wyobrazić siebie i swoje dzieci latem na trawniku? Och, przepraszam. Nie macie państwo dzieci. Cóż, nie szkodzi. Tym spokojniej będziecie spędzać tu czas”.

Otto oglądał budynek od dołu do góry.

- Muszę podejść bliżej. Czy mogę?

- Bez ma przeszkód. Nie mają strażników.

Przeszli przez ulicę. Jeppe rozglądał się, czy nie nadjedzie patrol policyjny, a tymczasem Otto przykucnął przed oszklonymi drzwiami biur firmy Klarlund i Christensen i sprawdził zamek. Po chwili wstał i długo przyglądał się stalowej ramie otaczającej całkowicie fasadę biura, pogwizdując od

czasu do czasu przez zęby. Światła z Vesterbrogade odbijały się we frontowym oknie budynku.

- No i co? - spytał Charles, zniecierpliwiony tymi oględzinami.

- Zamki są łatwe. Ale nie jestem pewien co do alarmów. Mają zwykłe elektromagnetyczne czujniki i spodziewam się, że gdzieś w hallu założyli emiter podczerwieni. Ale nie wiem. Nie mam co

do tego pewności. To nie pachnie dobrze.

- Zrobisz to czy nie? - zapytał Jeppe.

- Nie wiem - powiedział Otto. - Potrzebuję więcej czasu. Chciałbym zobaczyć plan budynku: może odgadnę, kto instalował alarmy, i dotrę do wykresu instalacji.

- Ile czasu to zajmie? - zapytał Charles.

- To zależy. Może sześć, może siedem tygodni.

- Nie możemy czekać tak długo.

- Przy tego typu robocie nie można się śpieszyć.

- Jak wytłumaczyć temu karłowi, że musimy się dostać do budynku natychmiast? -

zniecierpliwiony Charles zwrócił się do Jeppe.

- Daj spokój, Otto. To nie jest takie trudne. Ile już razy odstawiałeś podobną robotę? - Jeppe spróbował zachęcić Ottona.

- Nie wiem - odpowiedział Otto. - To po prostu źle wygląda. Nie wiem, co to jest, ale coś tu nie gra.

- Czy możesz wejść do budynku, nie uruchamiając alarmu? - spytał Charles.

Otto potrząsnął głową.

- Powiem wam, co wzbudza moje podejrzenia. Mają tutaj zwyczajny, prosty system alarmowy,

o ile mogę to ocenić po pobieżnej inspekcji, ale to jest pułapka dla idiotów. Widzicie tę skrzynkę? A te

światła nad podłogą? To może być prawdziwy alarm, w który wpadnie każdy naiwniak po

rozpracowaniu tego prostego systemu. Wierzcie mi, ci ludzie mają cholernie dobry system alarmowy,

coś, co naprawdę zatrzyma każdego intruza w odpowiedniej odległości. Może nawet mają

zamontowane jeszcze jakieś pułapki.

- W biurze projektów? - zapytał sceptycznie Jeppe.

- Mój drogi Jeppe - powiedział Otto, nie odwracając się - co jeden człowiek chce wykraść, to

drugi chce ukryć. Nie wiem, co spodziewasz się tu znaleźć. Znasz mnie, Jeppe, nigdy nie zadaję

zbędnych pytań. Ale jeśli jest to dla ciebie wiele warte, tym gorzej dla ciebie. To musi być równie

wiele warte dla ludzi, którzy chronią to w tak wyrafinowany sposób. Tutaj widoczne są alarmy, które

nazywamy straszakami. Amator, gdy je zobaczy, dwa razy zastanowi się przed włamaniem. Ale one

ostrzegają profesjonalistów, takich jak ja, dla których jest oczywiste, że taki alarm nie daje

stuprocentowej pewności. Takie alarmy są subtelną informacją, że jeśli będę próbował się włamać,

znajdę się w poważnych kłopotach.

- To co zrobimy? - spytał Charles.

- Nic - odparł Otto. - Przez kilka tygodni nic. Nic bez właściwego sprawdzenia, nic bez przysłania tutaj w ciągu dnia ludzi dla zbadania systemu kontrolnego, nic bez poznania systemu alarmowego wewnątrz i na zewnątrz budynku.

- Problem w tym, Otto, że my bardzo chcemy wiedzieć, co się tutaj znajduje, i to zaraz. To znaczy dziś wieczorem - rzekł Charles.

Otto zrobił kwaśną minę i potrząsnął głową.

- Przykro mi, panie Krogh. Dziś wieczorem nie mogę nic dla was zrobić. To nie jest w moim stylu. Nie jestem włamywaczem. Jestem profesjonalistą.

Charles odwrócił się do Jeppe.

- Jeppe, powiedz mu, że musi.

- Musisz - powiedział Jeppe.

Otto popatrzył na Jeppe, po czym zwrócił wzrok na Charlesa.

- Mam nadzieję, że nie mówicie tego poważnie - stwierdził w końcu.

- Mówimy poważnie, Otto. Musisz - powtórzył Jeppe.

- Jeśli tego nie zrobisz - włączył się Charles - jutro na śniadanie zjem twoją wątrobę, smażoną razem z jelitami.

Otto spojrział na budynek firmy Klarlund i Christensen z głębokim smutkiem w oczach.

- Przypuszczam, że jest to swojego rodzaju kwatera główna - ocenił.

- Nie jesteśmy tego do końca pewni - stwierdził Charles.

- Cóż, na kwaterę główną potrzebuję półtorej godziny.

- W porządku - zgodził się Jeppe. - Masz to u mnie. Gwarantuję ci to odciskiem królewskiej pieczęci Małgorzaty II.

- W takim razie - powiedział Otto - wydaje mi się, że będziemy musieli być niedelikatni, skoro ten alarm jest tak delikatny. Czy mógłbyś mi gdzieś znaleźć jakiś stary samochód? Duży i ciężki,

może amerykański. Ale na chodzie.

- Myślę, że można to zorganizować - odparł Jeppe. - Zatelefonuję do Birkersa na N0rre Farimagsgade. Zwykle mają tam spory wybór starych samochodów.

- Zatem w porządku. Zanim to zrobisz, ja pójdę po narzędzia.

- Nie martw się - powiedział Charles do Jeppe. - Pójdę z nim. Nie odstąpię go ani na krok.

Ruszyli w kierunku wielopoziomowego garażu przy Vester-port. Charles trzymał ręce w kieszeniach. Majowa noc zaczynała robić się zimna. Zegar umieszczony na szczycie Radhus pokazywał, że jest już jedenasta. Północno-wschodni wiatr wiał od Szwecji.

- Wiecie, że nie powinienem tego robić. To wbrew mojemu przeczuciu - powiedział Otto.

- Kim ty jesteś, kurczakiem? - spytał Charles. - Gdzie twoja żądza przygód?

- Straciłem żądzę przygód około sześciu tygodni po ślubie z Hedvig.

Charles szedł za Ottonem po schodach, aż dotarł do drugiego poziomu. Saab Ottona zaparkowany był w ciemnym narożniku. Otto otworzył bagażnik i wyjął z niego niebieską nylonową sportową torbę.

- Do czego jest ci potrzebny stary samochód? - zapytał Charles, stojący po drugiej stronie otwartego bagażnika.

- Profesjoniści zawsze korzystają z psychologii - wyjaśnił Otto, szperając w torbie, żeby się upewnić, że ma wszystkie potrzebne narzędzia. - Ludzie, którzy zakładają alarmy w takich budynkach, też się uciekają do psychologii. A więc i my musimy z niej skorzystać.

- Powiedz mi jednak wreszcie, po co ci samochód?

Otto zamknął bagażnik i ruszył w kierunku wyjścia, z torbą na plecach. Charles ruszył za nim, z rękami ciągle w kieszeniach.

- Dostaniemy się do budynku, wjeżdżając samochodem w okno wystawowe - wyjaśnił Otto. -

To bez wątpienia uruchomi wszystkie alarmy, ale to nie w tym jest problem. Nie będziemy mieli czasu

na kombinowanie, więc lepiej będzie, jeśli się pośpieszymy.

- I co potem? - spytał Charles. - Daj spokój, Otto, cztery budynki dalej znajduje się posterunek policji. W ciągu kilku minut będziemy mieli na głowie całą kopenhaską policję.

Wyszli na ulicę i z powrotem skierowali się na Banegardsplad-sen.

- Użyj na moment wyobraźni - powiedział Otto. - Jeśli idąc ulicą, zobaczyłbyś rozbity samochód, który wjechał w okno wystawowe, opuszczony samochód, co byś sobie pomyślał o kierowcy?

- Pomyślałbym, że uciekł - stwierdził Charles. - Prawdopodobnie pijany. Tak bym pomyślał.

- Właśnie - rzekł Otto. - Nawet przez myśl by ci nie przeszło, że on właśnie wszedł do środka, żeby spenetrować biura.

- Jesteś geniuszem, Otto.

- Ty też masz wspaniałą reputację. Policja ciągle opowiada tę historię, jak to podobno złapałeś agentów sowieckich próbujących zwiąć do Murmańska w skrzyniach z serem. Czy to jest prawda? Nie

jakaś wymyślona historyjka?

Doszli do budynku Klarlunda i Christensena. Nigdzie nie było widać Jeppe, przeszli więc na drugą stronę ulicy. Wstąpili na wódkę do małego zatłoczonego baru, zachęcającego krzykliwym neonem „Mars Bar”. Duńczycy na wszelkie nazwy upodobali sobie planety. Dwa najlepsze hotele w Kopenhadze noszą nazwy „Merkury” i „Neptun”. Charles obserwował ulicę i po trzydziestu minutach ujrzał wielkiego czarnego lincolna, który zaparkował przy krawężniku. Jego przednie światła zgasły niczym ogromne zasypiające oczy. Po chwili z samochodu wyszedł Jeppe i rozejrzał się w poszukiwaniu Charlesa i Ottona. Jego twarz wyrażała troskę, nie sprecyzowaną obawę.

Charles wyszedł z baru.

- Jeppe! Jesteśmy tutaj!

- Chyba nie pijecie? - zapytał rozdrażniony Jeppe.

- Łyczek na uspokojenie nerwów, nic więcej, mój drogi. Wejź i napij się z nami.

Jeppe potrząsnął głową.

- Chodźmy załatwić naszą sprawę. Weszli do baru i odszukali Ottona.

- Powiedz mi tylko, co zamierzasz zrobić - poprosił go Jeppe. Otto wytarł nos i powiedział:

- Musisz poprowadzić samochód w poprzek ulicy, tak szybko, jak tylko się odważysz. I uderz prawym zderzakiem samochodu w okno biura z maksymalną siłą. To wszystko. Potem musisz wybiec z samochodu i pokazać się ludziom na ulicy. W tym czasie Charles i ja wejdziemy do środka. Podczas

biegu nie powinieneś się odwracać.

— W porządku - powiedział niepewnie Jeppe. Charles obejrzał wielkiego czterodrzwiowego lincolna.

— Który to rocznik, siedemdziesiąty czwarty, piąty?

— Birker powiedział, że siedemdziesiąty czwarty. To nie ma znaczenia. Chodzi całkiem dobrze.

— Ile zapłaciłeś?

— Dwadzieścia siedem tysięcy kawałków.

— Rozbój.

— Cóż, było już po godzinach. Jadł właśnie kolację. Musiał specjalnie otworzyć garaż. No i oczywiście musiałem mu trochę dołożyć ekstra za trzymanie języka za zębami.

— Zdawało mi się, że to twój przyjaciel.

— Chodźmy w końcu załatwić naszą sprawę - ponaglał Jeppe. - Otto, jesteś gotowy?

— Tak mi się wydaje.

Otto poprowadził Charlesa przez ulicę. Stanęli w cieniu bramy, w budynku obok siedziby Klarlunda i Christensena. Widzieli, jak Jeppe wsiada do samochodu. Wycofał trochę i odczekał chwilę. Silnik samochodu warczał monotonie, tylko trochę tonowany starym, zardzewiałym

tłumikiem.

— Mam nadzieję, że to dobry pomysł - powiedział Charles.

— A masz lepszy? - spytał go Otto, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

Spowodował tym ruchem ciche pobrząkiwanie narzędzi.

— Nie wiem. Wydaje mi się to zbyt gwałtowne.

Otto spojrział szybko na ulicę. Przez moment była spokojna w nocnym świetle lamp. Było stosunkowo cicho. Podniósł rękę, rozpostarł palce i dał znak Jeppe. Opony lincolna zapiszczały na asfalcie. Silnik zaryczał i samochód ruszył w poprzek jezdni. Podskoczywszy na krawężniku wpadł prosto w szybę wystawową firmy Klarlund i Christensen, niczym szeroka, czarna orka.

Trzask był tak potężny, że mógł porozdzierać bębni w uszach. Ciężkie szklane drzwi zostały wyłamane z zawiasów i opadły, roztrzaskując się na marmurowej podłodze hallu. Runęła framuga z nierdzewnej stali, pociągając za sobą wielki kawał szyby. Kawałki szkła spadające kaniem na chodnik

strzelały i eksplodowały jak bomby, pokrywając Benegardspladsen tysiącami drobnych błyszczących szkiełek.

Kilku zszokowanych i zdziwionych przechodniów odwróciło się w kierunku samochodu.

— Chryste - westchnął Charles, ale Otto już szturchał go łokciem i ponaglał:

- Dalej, naprzód, naprzód. Do środka, zanim ktoś nas zobaczy.

Przykucnęli nisko obok lincolna i ruszyli. Ich stopy kruszyły potłuczone szkła. Prawie w tym samym momencie Jeppe otworzył drzwi od strony kierowcy i wybiegał, przecinając ulicę w kierunku Reventlowsgade. Krawat powiewał za nim, a głowę miał tak wysoko podniesioną, jakby właśnie biegł

dwieście metrów na szkolnych zawodach.

Charles i Otto weszli szybko do hallu i przykucnęli za kolumną, żeby nie było ich widać z ulicy.

Rozglądali się, szukając schodów. Wokół lincolna zgromadziło się już sześciu czy siedmiu

przechodniów i Charles wyraźnie słyszał, jak rozmawiają.

- Widział pan to? Wyjechał znikąd.

- Tak po prostu trzasnął w okno.

- Ale gdzie jest kierowca?

- Na pewno pijany.

- Wydaje mi się, że go widziałem. Jakiś łobuz. Pobiegł tędy. Otto dotknął ramienia Charlesa.

- Spójrz, tu są schody. Jeśli będziemy szli dostatecznie nisko, powinniśmy wejść na górę nie dostrzeżeni przez nikogo.

- Nie słyszę alarmu — powiedział Charles.

- Nie słyszysz, ale alarm działa. Interesujące jest to, dokąd idzie sygnał. Nie martw się, ktoś już został zaalarmowany. Musimy się śpieszyć.

Przeszli jak kraby przez hali, aż dotarli do drzwi klatki schodowej. Charles uchylił je, a Otto przemknął na schody. Charles poszedł za nim, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Teraz mogli wstać, ale Otto dotknął palcem ust, żeby pokazać, że powinni być cicho. Gdy znaleźli się w gabinecie Nicholasa Reeda, Charles zaczął żałować swojego rozpustnego trybu życia. Podczas gdy Otto rozpakowywał narzędzia i rozkładał je na biurku, Charles oparłszy się o ścianę, ścierał chusteczką pot z twarzy i karku.

- Dawniej biegałem osiemset metrów nawet bez zadyszki - wysapał.

- Zaczniemy od dokumentów - zasugerował Otto. - Jeśli tam nic nie znajdziemy, zabierzemy się do komputera.

— Nawet nie oddychasz ciężko - uskarżał się Charles.

Otto uśmiechnął się jak mały szczur, który właśnie zjadł ze smakiem kawałek gryere.

— Gdybyś miał taką żonę jak ja, też byś się trzymał w formie. Lepiej poćwiczyć godzinę, niż spędzić ją na wysłuchiwanie jej narzekań. W każdym razie gdy regularnie ćwiczę, mniej bołą mnie

plecy.

Charles chrząknął.

— Wydaje mi się, że kartoteki personelu są w biurze Klarlunda. On tu chyba jest Obergruppenfuhrerem.

Prowadzeni tylko wąskim promieniem światła przyciemnionej latarki Ottona, szli przez opustoszałe biura, aż dotarli do drzwi opatrzonych napisem: Hans Klarlund, Direktor. Drzwi były zamknięte, ale Otto otworzył je tak zręcznie, że wydawało się, iż ma jakiś czarodziejski klucz. W nocy biuro Klarlunda wyglądało jeszcze surowiej. Charles podszedł do okna i popatrzył w dół na ulicę, podczas gdy Otto sprawdzał jasnoszary gabinet. Cały Benegardspladsen tonął w czerwono-niebieskich światłach policyjnych. Było to widoczne nawet przez podwójne okna gabinetu Klarlunda, a Charles mógł także usłyszeć odgłosy policyjnych syren.

— Szuflady kartoteki nie są oznaczone. Czego ty szukasz? -zapytał Otto.

— Czegokolwiek o personelu biura lub o facecie zwanym Ni-cholas Reed.

Otto otworzył szafę z kartoteką i wyciągał szuflady, jedna po drugiej.

— To jest to. Możesz poszukać sam.

Charles przykucnął przed otwartymi szufladami. Wertował kartka po kartce projekty, zezwolenia budowlane, wykresy, różne kserokopie, korespondencję.

— Spójrz na to — powiedział. - Nie wiedziałem, że planują budowę nowego hotelu na N0rre S0gade.

Otto siedział na parapecie jak zmarznięta wrona, czekając, aż Charles skończy.

— Kim jest ten Nicholas Reed?

— Tego właśnie chcemy się tutaj dowiedzieć - odparł Charles. Przejrzenie kartoteki zajęło mu prawie piętnaście minut, ale nawet w szczegółowych aktach personalnych, umieszczonych w najwyższej szufladzie, nie było żadnej wzmianki o Nicholasie

Reedzie. Charles zrezygnowany powkładał z powrotem szuflady i otrzepał zakurzone ręce.

- W porządku - powiedział. - Możesz je już zamknąć.

- Chcesz, żebym spróbował teraz włamać się do komputera?

- Obawiam się, że nie ma innego wyjścia. To IBM 2000.

- Rifbjerg mi to powiedział. Nie martw się. Włamałem się już do IBM 2000 w zeszłym roku w

Forenede Danske Motorejere, specjalnie dla Rifbjerga. Był bardzo zadowolony.

- Do roboty więc.

Charles otworzył drzwi, lecz gdy to tylko zrobił, usłyszał cichy trzask. Cofnął się i powiedział:

- Chyba coś usłyszałem.

Otto natychmiast zgasił latarkę. Czekali, wstrzymując oddech. Charles słyszał, jak jego zegarek

tyka co sekundę. Spojrzał do tyłu na Ottona, który zrobił pytającą minę.

- To brzmiało jak zamykanie drzwi - wyszeptał Charles.

- Może to przeciąg? — zasugerował Otto.

Charles otworzył drzwi troszeczkę szerzej. Korytarz był pusty. Panowała cisza, z wyjątkiem

dobiegających z zewnątrz odgłosów ulicy. Syreny policyjne też już ucichły.

- Skąd ktokolwiek mógłby wiedzieć, że jesteśmy w środku? - spytał Charles.

- Całkiem możliwe, że mają czujniki fotoelektryczne w całym budynku. Mogliśmy uruchomić

alarm, przechodząc przez korytarz.

- W porządku - rzekł Charles po chwili. - Wracajmy do komputera. Ile czasu ci to zajmie?

- To zależy, jak dobrze chronione są informacje, których potrzebujesz. Jeśli w ogóle są w komputerze...

- Dobrze, chodźmy już - uciał Charles.

Szybko i cicho wrócili do pokoiku Nicholasa Reeda. Charles poczuł jednak nagle alarmujące

świerzbienie. Drzwi, które zostawili szeroko otwarte, były teraz całkowicie zamknięte. Złapał Ottona

za nadgarstek i podniósł palec, dając mu do zrozumienia, że powinni się cofnąć i nasłuchiwać.

Słuchali przez chwilę. Nic. Cisza. W końcu Otto wyszeptał:

— To musiał być przeciąg. Muszę tam wrócić po narzędzia.

— Dobrze, ale cicho — ostrzegł go Charles. Żałował, że nie przypomniał Jeppe o pistolecie.

Zwykle był całkiem dobry w walce na gołe pięści, używał raczej niezorganizowanej kombinacji karate, kung-fu i zapasów, ale nie trenował przez długi czas i wątpił, czy pokona kogoś gołymi rękami, zwłaszcza profesjonalistę.

Otto zbliżył się do drzwi i dotknął ich miękko końcami palców. Lekko się uchyliły, ale zaraz uderzyły w coś i stanęły. Odwrócił się i powiedział:

— Za tymi drzwiami coś jest. Krzesło lub wieszak. Nie zastawiłeś ich niczym, kiedy wychodziłeś?

Charles potrząsnął głową. Otto ostrożnie pchnął drzwi i ponownie w coś uderzyły.

— Lepiej się stąd wynośmy — rzekł Charles. — Chodź, Otto. Jeppe wyłoży pieniądze na nowe narzędzia.

— Obawiam się policji - powiedział Otto. - Inspektorowi Willumsenowi wystarczy jedno spojrzenie na te narzędzia, żeby rozpoznać ich właściciela. A to oznacza więzienie dla mnie i kłopoty dla Jeppe.

Charles przyjrzał się drzwiom z niezdecydowanym wyrazem twarzy. W końcu powiedział:

— W porządku. Spróbujmy. Ale ostrożnie.

Otto odwrócił się od drzwi i patrzył przez cały czas na Charlesa.

— To wygląda na krzesło - wyszeptał. — Tak. Jakoś upadło naprzeciwko drzwi i... - Nagle wydobył z ust okrzyk bólu i zdumienia. - Aaaa... aaa... - zapiszczał wysokim, niemal kobiecym głosem.

Charles ruszył do niego, ale potknął się.

— Otto! Otto! Co?! Co się stało?!

Chwycił lewe ramię Ottona i próbował wyciągnąć go z drzwi.

— Nie ciągnij mnie! — krzyknął Otto. - Nie ciągnij mnie! Trząsał się jak epileptyk i patrzył na Charlesa dzikim wzrokiem. Jego twarz była wykrzywiona niczym przerażająca maska.

— Nie ciągnij mnie! Nie ciągnij mnie!

— Co się stało?! - wrzasnął Charles, ale Otto nie mógł odpowiedzieć.

Charles cofnął się dwa lub trzy kroki w tył korytarza, po czym uderzył ramionami w drzwi, wpadając na Ottona, drzwi i krzesło stojące za nimi oraz na kogoś stojącego za drzwiami. Otto wydobył z siebie przenikliwy wrzask, tak wysoki, że Charles nie zorientował się, czy to słyszy, czy po prostu czuje, że coś przecina jego mózg.

Wpadł do pokoju, zataczając się i uderzając ramieniem o kant biurka. Odwrócił się, zorientował w sytuacji i zobaczył Ottona stojącego w otwartych drzwiach. Otto, przerażony, cały drżał i trzymał prawe ramię uniesione w górze. Z jego ręki zostały strzępy. W miejscu, gdzie powinien mieć łokieć, były tylko połyskujące krwią kości, promieniowa i łokciowa, skręcone ścięgnem. Prawa dłoń Ottona była postrzępiona jak zniekształcone szpony. Cały był zakrwawiony, a z nosa krew kapiała mu wielkimi kroplami.

Charles zdesperowany spoglądał na cień za drzwiami. Oddychał ze strachem i nagłym wysiłkiem. Drzwi powoli znów się zamknęły, więc mógł zobaczyć, kto Ottona tak okrutnie okaleczył. Był to wielki mężczyzna o masywnej figurze i mimo że w ciemności Charles nie mógł ujrzeć twarzy, od razu wiedział, z kim ma do czynienia. Mężczyzna wyciągnął przed siebie obie pięści, między którymi rozpostarł błyszczący kawał drutu zabarwiony brunatną krwią. Nic nie mówił, tylko wydawał z siebie głęboki wulkaniczny pomruk i zbliżał się powoli do Charlesa. Nieuchronnie, jednostajnie, jak ciemna ściana lawy.

Otto nie wydał żadnego dźwięku, lecz usiadł powoli i ostrożnie na podłodze, wciąż

podtrzymując zranione ramię, jak gdyby było to jakieś przerażające trofeum. Był już teraz cały zakrwawiony.

— Otto! Otto! Trzymaj się! Kontroluję sytuację — powiedział Charles.

Otto milczał.

Ogromny mężczyzna zbliżał się do Charlesa, napinając linkę rozpostartą pomiędzy zaciśniętymi pięściami. Wydawała rozciągliwy metaliczny dźwięk. Przez cały czas pomrukiwał coś głucho.

Charles ostrożnie ruszył w stronę biurka. Mężczyzna szedł za nim, pobrzękując linką. Charles udał, że chce ruszyć w lewo, ale mężczyzna nie dał się nabrać. Charles poczuł ciemną ścianę wszechogarniającej paniki, jak wtedy, gdy zdobywał pierwsze doświadczenia w Korei: w deszczowe

popołudnie, okrążony przez nieprzyjacielskie wojska pod zalewem Changjin w 1952 roku. Ale tym razem naprawdę nie było już żadnego wyjścia. Ponieważ teraz miał przed sobą Krow iz Nosu, zawodowego mordercę z KGB, a nie koreańskich rekrutów.

Udał, że robi krok w prawo. Wielki mężczyzna znów nie dał się oszukać. Ruszył za nim, ciągle wyciągając przed siebie swoje narzędzie zbrodni.

- Mogłem przypuszczać, że tu będziesz - powiedział głośno Charles.

Mężczyzna nie odpowiedział, lecz wciąż wpatrywał się w Charlesa beznamiętnymi,

błyszczącymi oczami. W drzwiach bezradnie zaczął pojękiwać Otto: niskim, przyciszonym,

agonalnym głosem. To pojękiwanie uświadomiło Charlesowi, jak ciężko Otto został zraniony. Krow iz

Nosu musiał owinać linkę mocno wokół ramienia Ottona, gdy ten włożył je do pokoju, żeby odsunąć krzesło. Owinał je tak okrutnie, że gdy Charles w końcu siłą otworzył drzwi, wszystkie mięśnie Ottona

zostały nagle zerwane z ramienia, tak jak i rozerwana została winylowa kurtka. Dni Ottona jako kasiarza się skończyły. Będzie miał szczęście, jeśli przeżyje. Tętnica na ręce była dosłownie rozerwana, a Otto był zbyt zszokowany, żeby ją zacisnąć. Jego koniec był bliski.

Charles nie mógł w niczym pomóc Ottonowi, jeszcze nie. Krow iz Nosu szedł za nim dookoła biurka, jego poparzona twarz ukazała się w końcu w świetle lamp ulicznych. Nie było teraz żadnych wątpliwości, że zamierzał zabić ich obu.

Charles prowokował go:

- Podejdź bliżej, no, podejdź. Mam zamiar dać ci nauczkę.

Krow iz Nosu nie odpowiedział. Charles słyszał jego charczenie, nawet nie oddech. Wyglądał bardziej jak automat niż człowiek. Umieśniona maszyna do zabijania, istota, która zapomniała o istnieniu słowa „ludzki”. Krow iz Nosu dawno stracił już poczucie i sens istnienia jako człowiek, stał się robotem. Może stało się to, gdy jego twarz i ciało zostały opryskane ciekłym metalem. Może stało się to podczas ciągłych przeszczepów skóry i operacji chirurgicznych. Może stało się to wtedy, gdy trenował, aby stworzyć ze swojego ciała najsilniejszą fizyczną strukturę, jaką kiedykolwiek znał świat.

Wszystko to Charles wiedział o Krow iz Nosu z kartotek CIA. Wiedział, że olbrzym jest silniejszy od mistrza olimpijskiego w podnoszeniu ciężarów, bardziej biegły w sztukach walki niż jakikolwiek ninja

oraz że nie ma żadnych skrupułów, jeżeli chodzi o zabicie drugiego człowieka w najbardziej krwawy i

bezlitosny sposób, jak to tylko jest możliwe.

Charles cofał się wzdłuż pokoju, dopóki nie dotarł do okna. Po omacku szedł wzdłuż niego, aż wreszcie wyczuł klamkę. Stalowa linka Krow iz Nosu trzeszczała, zapowiadając śmierć. Twarz Krow

iz Nosu, przypominająca kawał spalonej wołowiny, była niewzruszona. Była to twarz, do której nie można apelować o łagodność.

- Nic o tym nie wiem — powiedział Charles. — Naprawdę. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

Jestem dozorcą. Ja tutaj tylko pracuję. Czy mogę się zająć sprzątnięciem? Pażalsta.

Wielki bryłowaty Rosjanin nic nie odpowiedział, tylko kopnął krzesło i kontynuował marsz za

Charlesem. Jego stalowa linka zgięła się, a na twarzy pojawiło się coś, co można by od biedy uznać za

uśmiech.

- Pażalsta - powtórzył zdyszonym głosem. W języku rosyjskim słowo to oznacza „proszę”, a może też znaczyć „do usług”.

Charles łatwo przekręcił klamkę okienną. Dzięki Bogu za dokładność duńskiego budownictwa.

W amerykańskim budynku klamka prawdopodobnie byłaby zablokowana lub zamalowana.

Krow iz Nosu zatrzymał się na chwilę, żeby wziąć głębszy oddech. Potem rzucił się na

Charlesa, rozpościerając szeroko stalową linkę, aby mieć pewność, że jeśli nie złapie Charlesa za szyję

lub klatkę piersiową, obwiąże ją przynajmniej dookoła jego ramienia. Charles pomyślał dziko: Boże, pomóż mi.

Zanurkował ciężko na podłogę, jak gdyby skakał do basenu. Po czym złapał Krow iz Nosu za

lewą kostkę, unosząc ją do góry tak wysoko, jak tylko dał radę. Krow iz Nosu potknął się, wyciągnął

rękę przed siebie, żeby się ratować, i pochylając się, uderzył w okno. Odblokowane okno otworzyło

się i Krow iz Nosu wypadł do połowy na zewnątrz. Trzymał się mocno parapetu, ratując się w ten

sposób przed upadkiem na ulicę. Charles natychmiast rzucił się na jego nogi. Chwycił go za kostki,

przekręcając je gwałtownie, żeby stracił równowagę.

Wywiązała się między nimi szamotanina. Charczeli jak wilki, wydawali z siebie dzikie wrzaski

i okrzyki. Charles ścisnął obie duże, owłosione kostki Krow iz Nosu i szarpnął nimi gwałtownie, po

czym zaczął je wypychać, aż Rosjanin znalazł się na krawędzi utraty równowagi. Ale zdołał kopnąć

Charlesa i zaczął z powrotem wpełzać do pokoju. Charles mógł ujrzyć jego twarz, wściekłą, żółtą i

poparzoną, patrzącą na niego z odwróconej pozycji przez szybę okienną.

Z nagłą falą energii, która napłynęła wskutek strachu, Charles pchnął ponownie nogi Krow iz

Nosu i nagle Rosjanin spadł. Żadnych ostrzeżeń, żadnych krzyków. Po prostu ucieczka w przestrzeń,

na ulicę poniżej, przerwa, a potem słaby, głuchy odgłos.

Charles wstał. Jego klatka piersiowa potłuczona była od upadku. Pot lał się z niego strumieniami. Wyrzał przez otwarte okno, ale było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Krow iz Nosu wypadł i tylko to go obchodziło. Wypadł, połamał się, może zginął.

Charles klęknął obok Ottona, czując jego zimną krew, która utworzyła potężną kałużę na podłodze.

- Otto — powiedział. — Dzwonię po karetkę.

Otto nie odpowiedział, ale Charles wiedział, że jeszcze żyje. Ciężko oddychał, z trudnością łapiąc powietrze. Charles poszedł do telefonu i wykręcił zero zero czterdzieści jeden, numer kopenhaskiego pogotowia ratunkowego. Chwilę czekał na połączenie. Zapalił papierosa.

W końcu jakaś kobieta odezwała się spokojnym głosem:

- Pogotowie ratunkowe.

- Proszę przysłać ambulans, jak najszybciej - powiedział Charles. - Klarlund i Christensen, zaraz obok Den Permanente. Nie możecie tego przeoczyć. Stoi tam rozbity samochód w oknie wystawowym. My jesteśmy na trzecim piętrze.

Kobieta z pogotowia chciała go zapytać o więcej szczegółów, ale Charles odłożył słuchawkę.

Rozluźnił krawat i na czworakach podszedł do Ottona.

- Otto, ambulans jest w drodze. Wszystko będzie w porządku.

Otto potrząsnął głową i jęknął. Charles dzięki swojemu doświadczeniu mógł stwierdzić, że Otto jest w głębokim szoku. Pamiętał pewnego dziewiętnastolatka z Korei, młodego piechura, z pachwiną otwartą przez komunistyczny granat. Takie same dreszcze, to samo pojękiwanie. Charles zawiązał swój krawat dookoła ramienia Ottona i pomyślał sobie, że może to jest ta sama wojna.

Użył metalowej linijki z biurka Nicholasa Reeda, żeby skręcić ciasno krawat na ramieniu

Ottona. Było tak wiele krwi, że nie mógł stwierdzić, czy zdołał zamknąć krwawiącą tętnicę. Wytarł

ręce o dywan, ale palce wciąż miał lepkie od krwi. Jak i Otto, też był w szoku. Czuł, że jest mu coraz zimniej. Zaczynały go boleć miejsca, w które uderzył się podczas walki z Krow iz Nosu.

Podszedł do biurka i podniósł słuchawkę. Kaszląc, wykręcił numer Jeppe. Telefon dzwonił długi czas, zanim ktoś odebrał.

- Jeppe? — zapytał.

Odpowiedział mu głęboki, szorstki kobiecy głos.

— Nikogo o takim imieniu tutaj nie ma. Musiał pan wykręcić zły numer.

— Czy to szesnaście, czternaście, zero, sześć?

— Zgadza się. Ale tutaj nie ma nikogo o imieniu Jeppe. Otarł ramieniem pot z czoła.

— Jest pani pewna? Chodzi mi o Jeppe Rifbjerga.

— Jestem pewna. A teraz dobranoc panu.

Charles odłożył słuchawkę. Ostatni raz zaciągnął się papierosem i zapetował go. Miał nadzieję, że nie zacznie się bać. Przedtem rzadko się bał, zwłaszcza gdy nie był nikim więcej, tylko agentem wywiadu i jego zadaniem było oszukiwanie, udawanie i dawanie łapówek. Ale to było coś innego. W tym wyczuł mrozący, ciemny wiatr komunistycznego niepokoju, który wiał zza Czechosłowacji i Węgier. Wyobrażał sobie, że poprzez noc patrzy na wschód i widzi rozciągające się szeroko, uzbrojone armie Związku Radzieckiego, blade i ponure.

Słyszał, jak gdzieś w budynku zamykają się drzwi. Słyszał kroki, zbyt ciche i wolne jak na pomoc medyczną. Słuchał uważnie. Jego ucho było teraz w stanie wychwycić najniklejsze dźwięki, jakie wydaje człowiek, skradając się cicho przez noc. Ostrożnie przeszedł obok Ottona na korytarz. Nie miał już żadnych wątpliwości. Zrobił dla Ottona wszystko, co mógł. Teraz należało się stad wynosić. Szybko podszedł do klatki schodowej. Usłyszał ostry głos:

— Losza!

Znieruchomiał z ręką na klamce przy drzwiach prowadzących na schody. Losza to rosyjskie

zdrobienie imienia Aleksiej, a Krow iz Nosu naprawdę nazywał się Aleksiej Nowikow. Może już się

nie nazywa, może przy odrobinie szczęścia jest już teraz martwą kupą mięsa?

— Losza! - Głos zawołał ponownie.

Charles otworzył drzwi na klatkę schodową i ostrożnie zszedł. Czuł się bardzo stary i bardzo spocony. Krew Ottona zakrzepła na jego rękach, na ubraniu. W pewnym momencie usłyszał syrenę ambulansu. Zatrzymał się, żeby odetchnąć. Był na pierwszym piętrze, ale nie słyszał żadnych dźwięków z trzeciego.

— Dobry Boże na niebie - wyszeptał. Ale co, do diabła, stało się z Jeppe?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zadzwoniła o szóstej. Otworzył oczy, zrobił niezadowoloną minę i podszedł do telefonu.

- Tak? - Po czym odwrócił się i spojrzał na łóżko. Teraz zdał sobie sprawę, że w nocy musiała wstać i wyjść.

- Michael? Tu Rufina.

- Gdzie jesteś? Myślałem, że ze mną.

- Jestem na dole, w hallu. Jestem już po śniadaniu. Muszę teraz wyjść do WDNH. Mamy spotkanie z francuskimi inżynierami. Idziemy z nimi zobaczyć wystawę pieców hutniczych.

- Długo tam będziesz? - Michael podniósł zegarek, żeby sprawdzić czas.

- Wrócę o wpół do dwunastej, żeby was zabrać na wystawę zabawek. Ale nie martwcie się.

Możesz iść z Johnem na jakieś zakupy, może w GUM-ie albo w Bieriozce. Nie będziecie mieli więcej

okazji do kupna pamiątek.

- W porządku - odparł Michael. Nie wiedział, co jeszcze ma mówić. Nie chciał wyraźnie powiedzieć „kocham cię”. Ubiegłej nocy kochali się wolno, czule. Doznał wówczas uczucia i wrażenia, które jest najbliższe ludziom zakochanym. Był wyraźnie w niej zakochany, cokolwiek by

John powiedział o jego naiwności.

Wziął prysznic, ubrał się w białą koszulę od Van Heusena i szare spodnie, po czym zadzwonił po Johna. Niewiele rozmawiając, zeszli na śniadanie. Dyżurnaja uśmiechnęła się do nich, ukazując niekompletne przednie uzębienie i powiedziała:

- Zdrastwujcie.

- Zdrastwujcie — odparli jednocześnie.

Jechali na dół trzeszczącą windą. John zdjął z nosa okulary i zaczął je wycierać chusteczką.

- Czy Rufina nie przyłączy się do nas? — spytał nieśmiało.

- Poszła do WDNH, na wystawę ekonomicznych osiągnięć ZSRR. Podobno oprowadza tam jakichś Francuzów.

- Miejmy nadzieję, że nie spotka jakiegoś Charlesa Aznavou-ra, który stanie się twoim rywalem.

- John, nie musisz być tak cholernie cierpki. John założył z powrotem okulary i pociągnął nosem.

- Mamy trzy wolne godziny - powiedział Michael. — Może pojedziemy gdzieś metrem?

- Ciągle mam trochę pracy przy Towariszczu.

- Możesz to zrobić później. John, będziemy tutaj jeszcze tylko dziewięć dni, musimy coś zwiedzić w tej Moskwie.

Winda dojechała do hallu i drzwi wolno się otworzyły.

- Dzwoniłeś do Margaret? - zapytał John.

- Tak.

- Jak się czuje? Wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję.

Gdy usiedli przy stoliku i kelner przyniósł im kartę śniadań, John stwierdził:

- Przypuszczam, że nie możesz już się doczekać, kiedy wrócisz do domu.

- Skończ już, dobrze? - powiedział Michael z nerwowym śmiechem. - Potrzebuję partnera do interesów, a nie wędrowne sumienie.

John milczał przez chwilę, po czym się odezwał:

- W porządku, przepraszam. Po prostu lubię Margaret, to wszystko. I ciebie też lubię.

- Lubisz też Rufinę i to jest chyba twój największy problem. John oparł się na krzesło i spojrzał za okno, na rzekę. Dzień był pochmurny, niebo zasnuwane ciężkimi chmurami jak szarymi kołdrami zaczepionymi o iglice klasztoru Nowodziewiczego i Uniwersytetu Moskiewskiego.

- Ona przypomina mi moją nauczycielkę muzyki - powiedział, nieobecny duchem, jak gdyby się usprawiedliwiał.

Po zapłaceniu za śniadanie voucherami Inturistu otrzymali resztę w gotówce — pełen talerzyk monet kopiejkowych. Wjechali na górę po kurtki i płaszcze przeciwdeszczowe, po czym wyszli na zewnątrz. Wiał wilgotny i ciepły wiatr z południowego zachodu. Pogoda była raczej październikowa niż majowa. Przeszli przez plac Czerwony i weszli do stacji metra „Plac Swierdłowa”. Tłum powłóczących nogami Rosjan zaczął popychać ich w kierunku kołowrotów. Michael wrzucił monetę pięciokopiejkową, standardową opłatę bez względu na długość podróży, i w końcu przedostał się do ruchomych schodów. John pociągnął za sobą płaszcz, który zablokował się w kołowrocie. Chwilę szarpał się, w końcu pomogła mu wybrnąć z kłopotów kobieta o przyjaźnie uśmiechniętej twarzy, dwa razy większa od niego.

Stacja metra była zatłoczona. Głuchym echem odbijała głosy i udekorowana była jak połyskujący pałac, z żyrandolami i złożonymi ornamentami na łukowych sklepieniach. Podłoga błyszczała, brązowe poręcze były wypolerowane. Nigdzie nie było śmieci. Zeszli energicznie z ruchomych schodów. Wydawało im się, że zanurzyli się na zawsze we wnętrzu Matki Rosji. Gdy weszli na peron, jakiś młodzieniec w okularach a la Cliff Richard szturchnął Michaela w ramię i

zapytał:

- Adidas, człowieku?

- Niestety, nie - odparł Michael, przecząco kręcąc głową.

- Rokmusik kasjety? Koszulki?

- Nie.

- Dokąd jedziesz, człowieku? Chcesz kogoś na przewodnika? Mogę doskonale tłumaczyć.

Chcesz pieriewodczik?

- Myślę, że damy sobie radę sami. Dziękuję.

- W porządku. Szkoda - powiedział chłopiec. Poszli dalej w głąb peronu.

- A właściwie to dokąd jedziemy? - zapytał John.

- Jedziemy po prostu się rozejrzeć - powiedział Michael. Spojrzał na mapę metra i stwierdził, że pisownia „lotniska” cyrylicą wygląda raczej zniechęcająco - АЭРОПОРТ. Pierwszy pociąg w tamtym kierunku wjechał na peron. Końcową stacją był „Dworzec Rzeczny”. Michael trącił łokciem Johna. Obaj weszli najbliższym wejściem do wagonu i zajęli siedzące miejsca. Wysoki młodzieniec stanął naprzeciwko i mrugnął do nich, gdy tylko na niego spojrzeli. Michael dyskretnie odwrócił głowę, żeby spojrzeć na swojego sąsiada, i pomyślał, że nigdy w życiu nie widział takiej kolekcji tanich, bezkształtnych ubrań, co w tym jednym wagoniku metra. Ludzie wydawali się dość weseli, a jakiś mężczyzna opowiadał nawet dowcip dwom towarzyszącym mu kobietom, które skrecały się ze śmiechu.

- Cokolwiek on mówi, brzmi to wesoło — stwierdził John. Gdy pociąg zbliżał się do stacji „Gorkowskaja”, sprawdził, która godzina, i powiedział:

- Daj spokój, Michael, chyba już dość daleko zajechaliśmy. Chodźmy zrobić jakieś zakupy.

Czy Rufina nie mówiła czegoś o Prospekcie Kalinina?

- Jedziemy w przeciwnym kierunku - odburknął Michael.

- Nie chcę być nieuprzejmy, ale powiedz mi dlaczego?

- Ponieważ musimy coś tam załatwić.

- Co? Co masz na myśli, mówiąc, że musimy coś tam załatwić? Chyba nie biegasz za sprawami Rufiny?

- Poczekajmy, aż tam dojedziemy. Wtedy się dowiesz — powiedział Michael.

- Nie będę na nic czekał. Wsiadam na następnej stacji.

- Nie możesz.

- Chcesz się założyć?

Gdy to powiedział, pociąg zaczął hałaśliwie hamować na stacji „Gorkowskaja”. Michael chwycił Johna za ramię, a zaciekawieni pasażerowie ujrzeli po chwili, jak John wyszarpuje się i wybiega z wagonika.

- John! - krzyknął Michael.

Ale John zignorował go i zanim Michael zdołał wysiąść, został zablokowany przez tłum wsiadających pasażerów. Drzwi zamknęły się z sykiem i pociąg powoli ruszył. Michael odwrócił się i zdołał jeszcze ujrzeć błyszczący tył starej sztruksowej kurtki Johna. Zauważył także młodzieńca w okularach a la Cliff Richard idącego za Johnem w kierunku wyjścia. Gdy pociąg jechał już coraz szybciej, znikając z peronu, chłopak odwrócił się i Michael zdołał zobaczyć przez sekundę jego oczy i uśmiech. Dziwny, stanowczy uśmiech.

Michaelowi wydawało się, że biegnie przez głębokie tunele moskiewskiego metra zatłoczonego słowiańskimi twarzami o obojętnych oczach. Nie wiedział, jak głęboko pod ziemią się znajduje. Głębokość metra moskiewskiego jest tajemnicą wojskową. Ale zaczął czuć się jak w klatce, w tłumie napierających na niego ramion i utkwionych w nim niewzruszonych oczu, jak gdyby był jakiś inny od wszystkich lub szalony. Powiedział głośno:

- Anglijski - po czym uśmiechnął się i pokiwał głową, ale twarze pozostały nieporuszone, obojętne i niezwykle bezlitosne. Za każdym oddechem Michael czuł pot, stęchły zapach bałkańskich papierosów oraz inny odór, dziwny, charakterystyczny dla Rosjan. Próbował to przeanalizować, określić jego składniki i ciągle nasuwało mu się to samo: marynowane śledzie i płyn do polerowania mebli.

Metro jechało szybko, mijając stacje, które Wallings nie dalej niż trzy dni temu wymieniał Michaelowi: „Majakowskaja”, „Biełoruskaja”, „Dynamo” i w końcu АЭРОЛИОПТ. Michael wstał i czekał, aż otworzą się drzwi. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien tego robić, łatwo mógł udać, że Rufina nie odstępowała go na krok i nie miał możliwości wykonania zadania. Dziwny przymus wypchnął go jednak z pociągu; była to część jego uczuć - lojalność wobec kraju. Drugą częścią był oczywiście strach.

Drzwi zamknęły się za nim. Rozległ się hałas, gdy pociąg ruszył i zniknął w ciemnym tunelu.

Michael miał właśnie skierować się do tunelu z napisem ВbIXOД, gdy podszedł do niego mężczyzna o płaskiej twarzy, w krótkim brązowym płaszczu przeciwdeszczowym i szarym kapeluszu z szerokim rondem. Mężczyzna położył rękę na ramieniu Michaela.

- Pan Townsend?

- A o co chodzi? - spytał Michael. Inny mężczyzna zbliżał się z drugiej strony peronu. Ubrany był w brązową prążkowaną marynarkę i spodnie o szerokich nogawkach.

- Izwinitie, panie Townsend. Przepraszam, ale mamy polecenie zabrać pana prosto na wystawę zabawek, już jest pan spóźniony. Gdzie jest pan Bishop?

- Chciałbym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi - odparł Michael. - Wyszedłem z hotelu tylko na przejażdżkę metrem. Jest dopiero pięć po dziewiątej, spójrzcie, tam jest zegar. A ja muszę być na targach zabawek dopiero o jedenastej.

- Niemniej wygląda na to, że jest pan tam potrzebny. Czy mógłby pan pójść z nami?

Michael stwierdził, że nie ma wielkiego wyboru. Niechętnie pozwolił, aby dwóch mężczyzn eskortowało go do wyjścia, na Leningradskij Prospekt. Zaczął padać kapuśniaczek i Michael był zadowolony, że zabrał płaszcz przeciwdeszczowy. Szeroka ulica stała się kompletnie mokra.

- Czy pan Bishop wrócił do hotelu „Rosja”? - spytał jeden z mężczyzn, ocierając deszcz z twarzy.

- Nie wiem, gdzie jest pan Bishop. Jechał ze mną metrem i wysiadł na stacji „Gorkowskaja”.

- Czy wie pan, gdzie jest teraz?

- Oczywiście, że nie. Nie zrobiłem nic, żeby go zatrzymać.

Do krawężnika podjechała czarna wołga. Mężczyzna w brązowym płaszczu przeciwdeszczowym otworzył Michaelowi tylne drzwi i powiedział:

- Proszę wsiadać.

- Najpierw muszę się dowiedzieć, o co chodzi.

- Proszę pana. Lepiej będzie dla nas wszystkich, jeśli nie będziemy robić tutaj zamieszania.

Zaraz pojedziemy na stację

„Gorkowskaja”: jest jeszcze szansa, że znajdziemy tam pana Bishopa.

Michael niechętnie wsiadł do samochodu. Mężczyzna w brązowym płaszczu

przeciwdeszczowym usiadł ciężko obok niego, podczas gdy mężczyzna w brązowej prążkowanej

marynarce usiadł z przodu i zapiął pas bezpieczeństwa. Kierowcą był śniady mężczyzna o tłustych

włosach. Michael nie widział jego twarzy, mógł tylko zobaczyć oczy we wstecznym lusterku. Zakryte

gęstymi rzęsami, czujne. Mój Boże, pomyślał Michael, zostałem zatrzymany przez KGB.

Prawdopodobnie wiedzieli już wcześniej, dlaczego jadę na lotnisko.

Samochód mknął szybko na południowy zachód. Wracali do centrum miasta. Padało coraz

mocniej. Ciszę, jaka zapanowała w samochodzie, przerwał w końcu mężczyzna w płaszczu

przeciwdeszczowym.

- Wie pan, to bardzo ważne, żebyśmy teraz znaleźli pańskiego przyjaciela. W zasadzie popełniliśmy błąd, że tak długo zwlekaliśmy. Powinniśmy przyjść do was zeszłej nocy. Ale były pewne problemy.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedział Michael. Mężczyzna ścisnął go za ramię.

- Zrozumiesz, przyjacielu. Proszę, zachowaj cierpliwość jeszcze przez pół godziny.

- Milicja - zauważył kierowca, patrząc w lusterko. Zwolnił do niecałych trzydziestu mil na godzinę, dopóki żółty samochód patrolowy z szerokim niebieskim poprzecznym pasem nie wyprzedził

go i nie pojechał szybko w kierunku ulicy Gorkiego.

- Spodziewaliśmy się, że będzie pan z przyjacielem - powiedział mężczyzna w brązowej marynarce.

- Ja też, ale posprzeczałyśmy się. Słuchajcie... ja chyba nie jestem aresztowany, prawda?

- Nie, nie, mój przyjacielu. Nic z tych rzeczy. Ale jest pan w niebezpieczeństwie.

- Jakim niebezpieczeństwie?

Żaden z trójki mężczyzn nie odpowiedział na jego pytanie. Dotarli do ulicy Gorkiego i jechali teraz wolno wzdłuż prawego krawężnika, szukając oczywiście Johna.

- Proszę również mieć oczy szeroko otwarte - poprosił jeden z nich. - Odnalezienie pańskiego przyjaciela jest bardzo ważną sprawą.

Deszcz uderzał o szyby samochodu. Michael zniżył głowę, tak że mógł widzieć drugą stronę ulicy, ale chodnik był wprost zatłoczony przez śpieszących się Rosjan w foliowych pelerynach przeciwdeszczowych i kurtkach z futrzanymi kołnierzami.

- Widać go? — spytał mężczyzna w brązowej marynarce. - Jak był ubrany?

- W płaszcz przeciwdeszczowy, z paskiem. Nic specjalnego. Mężczyzna wyciągnął paczkę rosyjskich papierosów i nie odrywając głowy od szyby, poczęstował Michaela.

- Niet, spasiba - podziękował Michael.

Mężczyzna wyjął jednego papierosa ze sztywnej kartonowej paczki i włożył go do ust.

Spoglądał na Michaela z zainteresowaniem.

- Widzę, że uczył się pan rozmówek rosyjskich. - Po chwili uśmiechnął się i dodał: - Ach, nie.

Przepraszam. Zaprzyjaźnił się pan przecież z Rufiną Konstantinowną.

- Słuchaj, człowieku — warknął Michael. — Żądam, żebyście mi powiedzieli, co się dzieje. I, oczywiście, chcę natychmiast spotkać się z ambasadorem Wielkiej Brytanii.

- Drogi przyjacielu, dla własnego bezpieczeństwa lepiej nie kontaktuj się z ambasadą brytyjską.

To najgorsze, co możesz zrobić. Chronimy cię właśnie przed Brytyjczykami, nie wspominając już o innych ludziach.

- Kim jesteście? — Michael domagał się odpowiedzi.

Mężczyzna zapalił papierosa i wypełnił samochód ostrym niebieskim dymem. Uchylił nieco okno, tak że dym zawirował i zaczął uchodzić.

- Jesteśmy przyjaciółmi, panie Townsend. To wszystko, co możemy panu teraz powiedzieć.

Proszę być cierpliwym. A teraz niech się pan rozgląda, może zauważy pan swojego przyjaciela.

- Nie jedziemy na wystawę zabawek? Mężczyzna potrząsnął głową.

- Jak pan myśli, gdzie najpierw będą pana szukali?

- A kto miałby mnie szukać?

Mężczyzna siedzący z przodu odwrócił się i wyjaśnił:

- KGB, mój drogi. Myślisz, że to my jesteśmy z KGB? Gdybyś znał KGB, wiedział coś o zachowaniu jej agentów, od razu byś rozpoznał, że nie jesteśmy z tej instytucji. Widzisz, panna Konstantinowna jest właśnie typowym oficerem KGB. Pierwszej klasy. Znamy ją bardzo dobrze.

- Rufina Konstantinowna oficerem KGB? — spytał Michael. — Słuchaj, człowieku, to naprawdę brzmi śmiesznie...

Mężczyzna w brązowej marynarce uśmiechnął się.

- Oczywiście. Nigdy dotąd nie byłeś w Związku Radzieckim. Nie masz doświadczenia ze sprawami dotyczącymi bezpieczeństwa i tajnych służb. To wygląda dla ciebie jak sztuka grana w teatrze. Mężczyźni w płaszczach przeciwdeszczowych jeżdżący wkoło dziwnymi samochodami. Tajemnicza kobieta. Tajne spotkanie w moskiewskim metro. To wszystko zdarza się, oczywiście, w Nowym Jorku i Londynie, a nie gdzieś w innej oprawie; nie możesz w to uwierzyć.

Michael oparł się o siedzenie pokryte nylonową narzutą.

- Myślę, że najlepiej będzie, jak zawieziecie mnie do hotelu. Mężczyzna w brązowej marynarce zakrył mu usta ręką. Jego oczy były rozważne, ale wesołe. Miał brodawkę na czole i następną na brodzie.

- Musi pan zrozumieć, panie Townsend — odparł - że nie może pan wrócić ani do hotelu, ani na wystawę zabawek. Został pan właśnie uratowany.

- Uratowany? Uratowany od czego?

Mężczyzna w brązowym płaszczu przeciwdeszczowym zdusił niedopałek w chromowanej samochodowej popielniczce.

- Pewien nasz przyjaciel zadzwonił do Rufiny Konstantinownej ostatniej nocy i podając się za jej dyrektora z Inturistu z prospektu Marksa, powiedział jej, że ma wcześniej rano jechać do WDNH.

W gruncie rzeczy chodziło o odsunięcie od was waszej opiekunki, i to bez wielkiego hałasu.

Zamierzaliśmy przyjść do was do hotelu i wyjaśnić, dlaczego musicie zniknąć, zanim wróci Rufina Konstantinowna. Ale mieliśmy trudności. Nasze ruchy są zawsze obserwowane przez KGB i musieliśmy zgubić nasze „ogony”. Gdy przyjechaliśmy do hotelu, wy właśnie wychodziliście. I, co gorsza, byliście śledzeni przez agenta KGB.

- Powiedz mi, jak wyglądał ten agent - poprosił Michael. Był teraz bardzo poważny.

- Młody, wysoki, kilka pryszczycy na twarzy. Wyglądał jak młodociany chuligan. Zawsze zaczepia cudzoziemców, pytając o koszulki, rockmjusik i torby sportowe Adidasa.

- Cholera — zaklął Michael.

- Co się stało? - zapytał mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym.

Na mokrym od deszczu skrzyżowaniu samochód skręcił w lewo, w obwodnicę moskiewską.

Przejechali obok hotelu „Mińsk” i jechali w kierunku Cyrku Moskiewskiego. Deszcz padał strugami, jak wodna szarańcza odbijał się od przedniej szyby. Ponieważ samochód miał niesprawny system wentylacyjny, szyby zaczęły zachodzić parą i Michael poczuł się jak w świecie bez obrazu. Albo bez sensu.

- Ten chłopak — powiedział. - Ten młodzieniec. Cóż, ten agent KGB, jeśli to naprawdę był agent. Poszedł za Johnem na stacji metra.

Mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym ścisnął Michaela za ramię.

- No cóż, prawdopodobnie więc KGB go aresztowało. Przykro mi. Ale przynajmniej zdołaliśmy uratować pana.

- Ale po co oni aresztowali Johna? Co on zrobił?

- Panie Townsend, proszę nie wpadać w panikę. Na razie pan jest przynajmniej bezpieczny, przynajmniej tak długo, jak długo będzie pan z nami.

- Ale dlaczego oni zabrali Johna? - nalegał Michael.

- Zabrali go, ponieważ wszystko zorganizowano w porozumieniu z brytyjskim rządem.

Wszyscy naukowcy, wykładowcy i eksperci w dziedzinie informatyki, tacy ludzie jak pan i on, którzy raz wjechali do Związku Radzieckiego, powinni tutaj pozostać.

- Co? - zdumiał się Michael. — O czym pan, do diabła, mówi? Mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym zapytał cicho:

- Dokąd pan dzisiaj jechał?

- Donikąd. Po prostu na przejażdżkę metrem.

- A może na lotnisko? To nie jest logiczne. Człowiek, który ma przebywać w Moskwie

dwanaście dni, jedzie metrem na lotnisko. Dlaczego tak zajęty facet jak pan, mając wolny dzień, jedzie

na lotnisko? Kiedy przyjeżdża pan do nowego kraju, chce pan zwiedzić nowe miejsca. Kreml. Ulica Gorkiego. Arbat. Ale lotnisko?

- Nie jechałem na Szeremietiewo.

- To dokąd, mój przyjacielu? Może na Kolinkę, żeby obejrzeć nowy system naprowadzający?

- Skąd pan to wie? - spytał gwałtownie Michael. Mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym wyjął następnego papierosa. Samochód skręcił na północ i jechali teraz prospektem Mira. Mężczyzna zapalił papierosa i nosem wypuścił dym.

Wydawał się spokojny, ale także czujny, jak gdyby był gotowy w każdej chwili umrzeć. Może to życie w Moskwie sprawia, że wszyscy są tacy. To nie strach, że zostaniesz nagle pobity przez jakichś szaleńców w Nowym Jorku czy w Los Angeles. To strach, że w każdej chwili możesz zostać zmiądzony przez wielką i wszechobecną moc państwa.

- Przez nasze ręce przeszło ostatnio trzech angielskich biznesmenów - powiedział mężczyzna. -

Dwóch z nich powiedziało, że proszono ich o pojechanie na lotnisko Kolinka i obejrzenie nowego systemu naprowadzania. Niektórzy pewnie byli odważni i odmówili przyjazdu tutaj i wykonania zadania zleconego przez rząd. Ale mogą być inni, którzy się zgodzili i o których możemy już nie usłyszeć.

Michael milczał. Mężczyzna zaciągnął się papierosem i strzepnął popiół ze swojego płaszcza przeciwdeszczowego.

- Cholera, ten płaszcz kosztował sto pięćdziesiąt rubli. Przejechali obok polskiego kościoła rzymskokatolickiego. Zaczęło się przejaśniać.

- W przeszłości KGB ścigało biznesmenów i naukowców z Wielkiej Brytanii i Stanów

Zjednoczonych - mówił mężczyzna w płaszczu. - Pozostawali tutaj, przyczyniając się do rozwoju radzieckiej nauki i ekonomii, dopóki nie zostali zwolnieni. To wszystko, co wiemy. W jakiś sposób i

Z

jakichś przyczyn Wielka Brytania i Stany Zjednoczone wynajmują lub wypożyczają swych najbardziej

utalentowanych ludzi i ich usługi, ale robią to bardzo dyskretnie. W zachodniej prasie czy telewizji nie

ma o tym żadnych informacji.

Michael chrząknął. Twarz człowieka w płaszczu przeciwdeszczowym spowita była gęstym dymem papierosowym.

- Kim jesteście? - zapytał go Michael.

- Nie wiem, jak mógłbyś nas nazwać - odpowiedział mężczyzna. — Bohaterami, łajdakami, kowbojami? Naprawdę nie mamy nazwy. Wielu z nas pracowało kiedyś dla KGB, inni dla zachodnich

służb wywiadowczych. Przeważnie jesteśmy agentami, którzy widzą cynizm polityków obu stron walczących o panowanie nad tym światem. Na nasz użytek przyjęliśmy nazwę Lamprey. To jest takie małe pasożytnicze morskie stworzenie, które przyczepia się do większej ryby i stopniowo zębami zeskrobuje jej ciało. Jesteśmy związkiem zawodowców, którzy poświęcili się, żeby podkopać fundamenty tych struktur wywiadowczych, dla których pracowali. Robimy to dla międzynarodowej harmonii i w sumie dla całej ludzkości. Są nas setki, od niskich urzędników do ważnych pułkowników. Wszyscy wykonujemy jedną misję.

- Dokąd mnie zabierzecie? - spytał Michael. - Wszystkie moje rzeczy są w hotelu. Mój paszport także. Nie mogę tak po prostu...

- Zaopiekowaliśmy się pańskimi rzeczami i paszportem. Pański pokój w hotelu „Rosja” jest pusty. Łóżko jest pościelone, a maszynka do golenia i szczoteczka do zębów zniknęły. Gdy przyjdzie tam KGB, będzie wyglądało tak, jakby pan nigdy nie istniał.

Michael poczuł w żołądku nerwowy skurcz niepewności. Czy ci faceci naprawdę zatarli

wszystkie ślady jego obecności w hotelu „Rosja”, jego ostatnią możliwość kontaktu z realnym świa-

tem?

Jak gdyby słyszał, o czym rozmyśla Michael, mężczyzna w płaszczu powiedział:

- Nie musi się pan niepokoić o swoje bezpieczeństwo, panie Townsend. Jest pan teraz bezpieczniejszy niż w ramionach panny Konstantinowej. Musi pan zdać sobie sprawę, że była specjalnie oddelegowana, żeby mógł pan uczuciowo łatwiej zaakceptować nową sytuację, a mianowicie to, iż nie wróciliby pan nigdy do Anglii oraz że pracowałby pan dla Związku Radzieckiego.

- A co z Johnem?

- Pańskim przyjacielem, panem Bishopem? Cóż, prawdopodobnie otrzyma jakąś kobietę, jeśli uznają, że jest tego wart. Ale pewnie już dostali jego dossier od MI 5 z Londynu i teraz oceniają jego zachowanie oraz powierzchowność. Przypuszczam, że jego dossier ujawni, iż jest bardziej zainteresowany komputerami niż ładnymi kobietami. A oni dadzą mu szerokie możliwości spełniania tych zainteresowań.

- Uważacie, że MI 5 współpracuje z KGB? Mężczyzna w płaszczu pokiwał głową.

- Międzynarodowa równowaga sił zmienia się, przyjacielu. Dla celów ostatecznych, które zaczęliśmy już rozszyfrowywać. Mogą one być jednak znacznie większe i znacznie bardziej niszczące, niż zdołaliśmy to odkryć. Ostatnio nastąpiło nienormalne nasilenie kontaktów służb wywiadowczych Moskwy, Londynu i Waszyngtonu. Większość z tych kontaktów była kodowana na bardzo wysokim szczeblu, co sprawiło, że były one zrozumiałe tylko dla komputerów departamentów obrony poszczególnych państw.

- Co zamierzacie teraz zrobić? Czy chcecie przerzucić mnie za granicę? A może jeszcze coś innego? - spytał Michael.

- Ukryjemy pana w bezpiecznym miejscu, aż będzie pan mógł wrócić do Anglii. Wówczas, po powrocie, nie będzie pan miał tam żadnych problemów, jeśli zapomni pan o wszystkim, co się tutaj wydarzyło. Pański rząd będzie zbyt skrupowany, żeby podjąć jakąś akcję przeciwko panu.

Przynajmniej mamy taką nadzieję.

- Czy mogę zadzwonić do żony? — spytał Michael. — Będzie myślała, że zostałem zabity lub porwany, albo coś w tym stylu.

- Przekażemy jej wiadomość, że jest pan bezpieczny i wkrótce wróci.

Dojechali do małej posepnej ulicy na peryferiach Moskwy, przy której stały bloki wybudowane w latach sześćdziesiątych. Kierowca zatrzymał samochód. Mężczyzna w płaszczu wysiadł i rzucił:

- Bystro - co, jak Michael wiedział, znaczyło „szybko”.

W padającym znów deszczu przeszli przez chodnik i weszli do bloku przez pomazane szklane drzwi. Hali oświetlony był jedną żarówką i czuć było wyraźny zapach środków dezynfekcyjnych.

Mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym nacisnął guzik, żeby ściągnąć windę, która zjawiała się po chwili, jęcząc jak człowiek mający kłopoty z żołądkiem, słyszany w publicznej toalecie.

Gdy wsiedli, mężczyzna w brązowym płaszczu przeciwdeszczowym uścisnął dłoń Michaela.

- Nazywam się Lew Uniszewskij - przedstawił się. - Jeśli chcesz, możesz nazywać mnie Lew.

Ani imię, ani nazwisko nie jest prawdziwe.

Winda zazgrzytała i zatrzymała się na piątym piętrze. Szli w milczeniu wąskim korytarzem, aż dotarli do ostatniego mieszkania. Lew zastukał szybko w drzwi i wypowiedział swoje imię.

Po chwili drzwi otworzyła młoda kobieta o bladej twarzy. Na głowie miała niebieską chustkę.

- Zgubiliśmy jednego - powiedział Lew. - Myślę, że dostał go Wachmistrow.

Dziewczyna zamknęła za nimi drzwi i poprowadziła ich do zabałaganionego pokoju gościnnego, który pełen był papierosowego dymu. W pokoju na podniszczonej kanapie siedziało dwóch mężczyzn i dziewczyna. Dyskutowali o czymś, patrząc na wielką mapę Leningradu. Gdy Lew przyprowadził Michaela, podnieśli na chwilę głowy, a jeden z nich powiedział:

- Zdrastwujcie, Lew. Długo was nie było. Czy zakupy się udały?

Lew rozpiął płaszcz, złożył go starannie i powiesił na oparciu krzesła.

- Mieliśmy pewne trudności. Obserwowali garaż na Saratowskiej. W końcu musieliśmy

zadzwoić do Gorowca. - Wyciągnął papierosa i zapalił. - Będziemy musieli odesłać pana Townsenda

do Anglii, i to jak najszybciej - powiedział. - Wygląda na to, że wokół nas robi się coraz goręcej.

- Co z jego przyjacielem?

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli mu pomóc. Nie w tej sytuacji. Jeśli Wachmistrow go dostał, to prawdopodobnie wyślą go do Zagorska.

- A co stanie się w Zagorsku? - spytał Michael.

- Nadia, czy mogłabyś zrobić kawę? - zawołał Lew. Po czym spojrzał na Michaela przez chmurę dymu papierosowego i wyjaśnił: - W Zagorsku jest ośrodek KGB przygotowujący cudzoziemców takich jak twój przyjaciel, pan Bishop, do pracy w Związku Radzieckim. Tam upewniają się, czy cudzoziemcy są w stanie zrozumieć prostą zasadę, że jeśli odmówią współpracy, zostaną w Związku Radzieckim nawet dłużej, niż to się przewiduje, aż zechcą współpracować.

- Naprawdę, myślę, że powinienem powiadomić o tym ambasadę Wielkiej Brytanii.

Lew potrząsnął głową.

- Jeśli to zrobisz, nic nie zyskasz, a tylko podpiszesz wyrok śmierci na przyjaciela. On zniknie, a KGB zaprzeczy, że kiedykolwiek go widziało. Przecież nie mamy żadnych dowodów, że Wachmistrow go uprowadził. Widzisz, nie masz nic. Nie jesteś w Anglii, mój przyjacielu. A nawet gdybyś był, wątpię, czy w tym wypadku znalazłbyś zrozumienie u swoich władz.

- Nie wiem, co robić. Wypiłbym filiżankę kawy - powiedział Michael.

Opadł na jedno z krzeseł. Mężczyzna siedzący na sofie najbliższej niego wstał, podszedł i poufale klepnął go w kolano.

- Izwinitie - odezwał się. - Przepraszam.

- Tak? - spytał Michael.

Mężczyzna uśmiechnął się nieśmiało i gestykułował jedną ręką.

— Kenny Dalglish — powiedział. A potem wybuchnął: — Futbol!

- Tak - odparł Michael. - Futbol.

Wtedy zobaczył karabin automatyczny AKM oparty o biblioteczkę oraz wiele pudełek z amunicją. Spojrzał na broń, a potem na Lwa. Lew palił papierosa, trzymając rękę w kieszeni, i po prostu wzruszył ramionami, jak gdyby mówił: To jest prawdziwy świat. Czego się spodziewałeś?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Chciałbym zabrać Ingę na inspekcję 20. Armii Gwardii. Spodziewam się, że można to zorganizować bez wielkiego rozgłosu - powiedział Gołowanow, jakby od niechcienia.

Jeremienko zakładał właśnie prawą rękawiczkę. Spojrzał na swojego przełożonego przez ciemnożółte okulary przeciwsłoneczne. W to szare, a mimo to oślepiające popołudnie stali na płycie lotniska w Luckenwalder, a tylko kilka jardów od nich z ogromnego samolotu transportowego An-12 wyładowywano sprzęt wojskowy, ciężarówki i wyrzutnie raketowe. Na drugim końcu lotniska stały w

sztyku dwadzieścia dwa srebrnobiałe MiGi-23. Ich kabiny były otwarte i wyglądały jak rozwinięte skrzydła egzotycznych chrząszczy. Mechanicy i eksperci różnych specjalności starannie przygotowywali je na tę chwilę, gdy rozpocznie się operacja Byliny.

- Nie będzie żadnych problemów, towarzyszu marszałku. Znaczy w zorganizowaniu tego.

Może pojechać z majorem Greczką. Zastanawiam się tylko, czy zabranie jej na inspekcję byłoby... cóż, w pełni roztroprnym posunięciem.

Uśmiech Gołowanowa wyglądał jak cięcie cienką stalową linką w glinie.

- Ona pracuje dla KGB, mój drogi Jeremienko. W jaki więc sposób mógłbym być bardziej roztroprny?

Jeremienko podjął próbę zanotowania w głowie tej niespodzianki, ale Gołowanow wybuchnął szorstkim śmiechem i wziął go pod rękę.

- Uważasz mnie za idiotę, mój drogi? Inga po każdej mojej wizycie u niej przekazuje na plac

Dzierżyńskiego każde moje jęknięcie i chrząknięcie. Chyba nie myślisz poważnie, że pozwoliliby mi na prywatne, sekretne życie erotyczne, prawda? Chodzę do niej, ponieważ jest piękną kobietą, która została wyznaczona do pilnowania, bym zachowywał się, jak nakazuje nasza ideologia. Biedny Popławski przywozi mnie i odbiera rano, gdy wszystkie domy dookoła muszą być przepelnione agentami KGB. To nie żart. Pozwolono mi na tę małą przyjemność, ponieważ zapracowałem na nią i ponieważ jest to sposób na obserwowanie mnie w dzień i w nocy. Tak więc Inga pojedzie ze mną do Haldensleben. Możesz to dla mnie zrobić, prawda?

Jeremienko zachował obojętny wyraz twarzy, chociaż pod tą maską kryła się wściekłość wywołana niepohamowaną samczą żądzą Gołowanowa oraz jego nudnym gderaniem o Indze. Nagle poczuł pokusę, żeby zadzwonić do Katii, żony Gołowanowa, i opowiedzieć jej o romansie jej męża z Ingą. Problem w tym, że spodziewał się, iż KGB nie byłoby szczególnie ucieszone, ponieważ zapewne

stracili całe lata na skaperowanie Ingi do jej obecnych zadań, czyli zabawiania wysokich oficerów.

Dzięki niej KGB mogło sprawdzać lojalność Gołowanowa wobec państwa i Stawki, mogli być pewni,

że jego naturalna pompatyczność to nie nadęta bufonada wojskowego dostojnika. W KGB ciągle pamiętano, że Gołowanow był protegowanym rebelianta Rokossowskiego.

Jeremienko zdjął okulary przeciwsłoneczne, spojrział na lotnisko i pomyślał, że musi zachować cierpliwość. Pewne syberyjskie przysłowie mówi, że wielka cierpliwość przynosi myśliwemu wielkiego niedźwiedzia.

Przez wysuszony betonowy wjazd żwawo przeszedł pułkownik J. M. Gudkow. Zasalutował Gołowanowowi i Jeremience z trzaskiem obcasów brzmiącym tak, jakby ktoś złamał kawałek lodu.

- Wasz przyjazd to dla nas zaszczyt, towarzyszu marszałku! Jesteśmy w stanie całkowitej gotowości. Jeśli jutro wybuchła wojna, wystarczy mi strzelić palcami, a wszystkie te samoloty w ciągu ośmiu minut znajdą się w powietrzu.

Gołowanow uśmiechnął się łagodnie, jak gdyby pomyślał, że wojna wybuchnie jutro, był dla niego czymś najmilszym w świecie.

- Bardzo dobrze, pułkowniku. Powiedźcie mi coś o tych samolotach.

Wydawało się jednak, że zupełnie nie jest nimi zainteresowany, i tak było w rzeczywistości.

Gdy Gudkow zaczął mówić, marszałek zwrócił się do Jeremienki:

— Czy to nie chłopak Koszewoja był wczoraj w Wiindsdorfie? Ten ze znamieniem na twarzy?

Gudkow musiał zacząć jeszcze raz.

- Te wszystkie samoloty to MiGi-23, towarzyszu marszałku. Jednoosobowe, startują przy każdej pogodzie. Osiągają prędkość ponad tysiąc ośmiuset kilometrów na godzinę. Zasięg do tysiąca kilometrów. Wszystkie wyposażone są w pojedyncze dwudziestotrzymilimetrowe działka i cztery rakiety powietrze-powietrze. W NATO samolot ten ma kod „Flogger B”.

— Kod w NATO - zdziwił się Gołowanow. Skinął na Gudkova i powiedział: - Dziękuję, pułkowniku. Rada Obrony ma o was bardzo dobrą opinię. — Po czym rzucił do Jeremienki: —

Chodźmy coś zjeść. Całe to podróżowanie sprawia, że czasami zapominam o jedzeniu.

Wrócili do samochodu. Nagle usłyszeli ryk turboodrzutowych silników transportowca An-12, który zaczynał kołować na pas startowy.

- Kod w NATO - powtórzył Gołowanow. - Czy to nie śmieszne? Ale nie zapomnij o Indze, dobrze?

Jeremienko skinął głową. Nie mógł się zdobyć na powiedzenie czegokolwiek, ponieważ bał się, że straci panowanie nad sobą. Dziś jego temperament był jak suchy lód, twardy, lecz kruchy. Zjedli w małej rastatte w Kloster Zinna, w ciemnej sali ze ścianami wyłożonymi drewnem, z widokiem na szare

podwórko i rząd jodeł. Gołowanow wziął małe piwo i cały talerz wieprzowiny oraz zieloną fasolę.

Fasola była dziwnie błyszcząca, miała kolor odległego pastwiska oglądanego bezpośrednio przed burzą. Jeremienko jadł cielęcinę, którą wciąż mieszał widelcem, tak że była w końcu dokładnie

rozpaćkana na talerzu.

Po długiej ciszy Jeremienko zapytał:

— Dlaczego właściwie tak wam zależy na Indze?

- Nie spałeś z nią? - spytał Gołowanow, sypiąc pieprz na fasolę

Jeremienko potrząsnął głową.

- Nie. Spanie z nią wydaje mi się bardzo nieroztropne. I to w takim momencie, gdy historia nabiera przyspieszenia...

Gołowanow, energicznie używając noża i widelca, odkroił kawałek mięsa.

- Wiesz, że możemy zginąć w najbliższych tygodniach. Musimy o tym myśleć...

- Ale to nie znaczy...

Gołowanow wyciągnął nóż w kierunku Jeremienki.

- To znaczy wszystko, kochany przyjacielu. To znaczy, że tego, co robimy dzisiaj, możemy już nigdy nie robić, nigdy.

Jeremienko milczał. Gołowanow opuścił wzrok na mięso i zmienił temat:

- Facetowi takiemu jak ty bardzo trudno wyjaśnić, co potrafi kobieta taka jak Inga. Ona jest w stanie ożywić umysł równie dobrze jak ciało. Jest kobietą w każdym calu, tak jak kot jest całkowicie kotem. Doświadczenia z Ingą przenoszą mnie poza siebie, poza mój wiek. Gdy się kocha, robi to tylko

i wyłącznie, żeby zrobić mi przyjemność, i zrobi wszystko, o co ją poproszę, z niezwykłą wprost, erotyczną perfekcją. To jej perfekcja, jej wyrafinowanie powodują, że jest taka wspaniała. Zrobi ze mną wszystko, czego zechcę, bez względu na to, jak to jest poniżające.

- Cóż - powiedział Jeremienko, dźgając ponownie cielęcinę - przypuszczam, że ma niezawodny wabik...

- Wystarczy — uciął Gołowanow z ustami pełnymi kapusty. — Uważaj, co mówisz. Poza tym to nie czas na moralne spekulacje.

Jeremienko rozparł się na krześle i poirytowany sączył apfel-saft. Wiedział, że powinien kontrolować swoje antypatie. Mimo wszystko każdy generał w armii ma swoje luksusy, swoją kosztowną daczę, swojego kierowcę, swój kawior, swoje dojrzałe dziewczęta z armijnego Centralnego Klubu Sportowego. Ale wszystkie luksusy mają swoją cenę. Cenę ciągłego funkcjonowania w niebezpiecznym wojskowym środowisku, cenę ciągłego zagrożenia czystką. Ostatnia wielka czystka wśród generałów była w 1960 roku, gdy Chruszczow zwolnił ich pięciuset w ciągu jednego dnia. Taka czystka może się zdarzyć ponownie, szczególnie teraz, gdy operacja Byliny jest tak blisko. Jeremienko unikał luksusów i wierzył, że dzięki takiemu postępowaniu dotrze w końcu do samych szczytów armii. Powiedział sobie, że nie powinien denerwować Gołowanowa, wymawiając mu pożądanie Ingi. Zwłaszcza że Gołowanow jest na tym punkcie bardzo wrażliwy. Ale mimo wszystko czasami było to silniejsze od Jeremienki.

Tej nocy Gołowanow wcześniej przyjechał do domu Ingi. Tym razem przywiózł go pułkownik Czujkow. Gdy otwierał przed marszałkiem drzwiczki samochodu, powiedział:

- Powinniście być ostrożni, towarzyszu marszałku. Wiecie, jak sprawy się mają.

Gołowanow spojrzał na niego, przymrużywszy oczy.

- Ostrożny?

- Słowa przestrogi, to wszystko. Są tacy, którzy chcieliby zobaczyć, jak w końcu odchodzicie.

- Żyję już długo, pułkowniku. I zamierzam żyć jeszcze długo, długo.

Wpatrywał się w Czujkova z wyrazem twarzy, który mógł być odbiciem irytacji, złości lub nawet morderczej wrogości. Te wąskie, głęboko osadzone oczy przewiercały Czujkova, jak gdyby Gołowanow nie mógł się zdecydować, czy go spoliczkować, czy rozkazać zabić.

- Cóż, to tylko moja opinia, towarzyszu marszałku - powiedział Czujkow ostrożnie.

- Oczywiście. Niczego innego się nie spodziewałem. Powiedźcie mi... zróbcie mi przysługę.

Gdy wejść do środka, przejdźcie się po wszystkich domach stojących w pobliżu, zapukajcie do drzwi i

powiedzcie, że zabłądziliście i chcecie się dowiedzieć, jak trafić do kwatery głównej. Patrzcie uważnie, kto otworzy drzwi. Znacie agentów KGB?

- Towarzyszu marszałku, nie wydaje mi się, aby... Gołowanow klepnął go w ramię.

- Nie martwcie się. Próbowałem was tylko przestraszyć. Oni wszyscy dookoła są prawdopodobnie z KGB. Ale próbowałem was przestraszyć dlatego, aby wam uświadomić, że są sprawy, o które warto się martwić, i takie, o które nie warto. Nie boję się Sybiru, towarzyszu, ani śmierci. Może trochę boję się bólu. Chciałbym żyć tak długo, jak to tylko możliwe, dla siebie, dla mojej rodziny, dla mojego kraju. Ale nigdy nie przestałem być sobą. Gdyby tak się stało, zrezygnowałbym ze wszystkiego i oni mogliby wziąć mnie na Łubiankę i zastrzelić. Czymkolwiek się kierujesz, przyjacielu, pewnego dnia też to zrozumiesz.

Czujkow milczał. Był zakłopotany, ale zarazem dziwnie poruszony. Widział Gołowanowa idącego flegmatycznie ścieżką prosto do drzwi i naciskającego na dzwonek. Zdecydował, że będzie bardziej dyskretny, jeśli natychmiast odjedzie, i tak też zrobił.

Wykonał jeszcze trzy zadania, które zlecił mu Jeremienko, i pojechał do domu, trochę przekraczając dozwoloną prędkość.

Drzwi otworzyła Gołowanowowi Inga, ubrana w białą jedwabną tunikę. Wyszła niedawno spod prysznic, więc jasne włosy miała mokre i poskręcane. Jej ciało wciąż było wilgotne, tak że przezroczysty jedwab przylgnął do jej ramion i piersi. Nie zaskoczona spojrzała na Gołowanowa i powiedziała:

- Du bist früh gekommen.

- Przeprowadziłem już całą tę inspekcję. I stwierdziłem, że nie mogę dłużej czekać na spotkanie z tobą - rzekł Gołowanow.

- Wejdz.

Otworzyła szerzej drzwi. Zauważył, że zanim je zamknęła, wyrzła szybko na ulicę.

- Myłam włosy - powiedziała. - Nie miałam czasu ich wysuszyć.

Pocałował ją w rękę. Pachniała jeszcze szamponem.

- Czasami musisz mną pogardzać — zauważył.

- Dlaczego? - spytała, czesząc włosy i chodząc po pokoju. Odwróciła głowę, by przejrzeć się w lustrze.

- Zawsze wchodzę w twoje życie nagle, bez zapowiedzi, bez żadnych wyjaśnień.

- Och, masz zbyt wiele skrupułów jak na marszałka Związku Radzieckiego - powiedziała.

Potrząsnął głową.

- Uwierz mi, to tylko pozór.

Przeszła na drugą stronę pokoju i stanęła w ostatnich promieniach wieczornego słońca.

Wyglądała tak pięknie, że Gołowanow zaczął żałować, że nie można zamrozić tej chwili na zawsze.

Za pięć tysięcy lat ucniowie i archeolodzy spojrzeliby na zamrożoną Inge i zdziwiliby się, że ziemia była kiedyś pełna wysokich, idealnie proporcjonalnych istot.

I spojrzeliby też na siedzącego zamrożonego rosyjskiego marszałka, skrzepniętego na zawsze w jedynej chwili, która miała dla niego jakieś znaczenie.

Pili wódkę, a niebo powoli ciemniało. Słuchali Romea i Julii Prokofiewa. Włosy Ingi wyschły i zrobiły się połyskliwie jasne. Siedziała na sofie obok Gołowanowa, miała na sobie tylko białe wzorzyste pończochy. Paliła papierosy, rozprawiała o swoim dzieciństwie w Bawarii. Jej ogromne piersi zdobiły bladoniebieskie żyłki. Jej srom był rozchylony, odsłaniając blad różowe wewnętrzne wargi.

- Jeremienko przygotowuje właśnie twój jutrzejszy wyjazd ze mną do Haldensleben - powiedział Gołowanow.

Jej blade oczy rozblęły. Zaciągnęła się papierosem, ale nic nie mówiła.

- Na razie nie mam żadnych instrukcji. Mam tylko cię zabrać i zadzwonić pod pewien numer telefonu w Magdeburgu. Przypuszczam, że zdajesz sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmujemy.

- To jest niebezpieczny świat, Timofiej. Dla nas wszystkich. Podejmujesz takie samo ryzyko jak ja. Co będzie, jeśli odkryją, co zrobiłeś?

Gołowanow wydał wargi w szczególny dla Rosjan sposób, który sprawił, że przez chwilę wyglądał jak rozdrażniony buldog.

- Czy nie uważasz, że już wystarczająco długo żyję, aby przyzwycząć się do podobnego ryzyka? Wiem, co robię, a Jeremienko nie jest zbyt zawzięty. Z podobnymi typami mam zresztą do czynienia codziennie.

- A KGB?

Dotknął jej nagiego uda, przesuając rękę z kolana do wklęsłości obok wyeksponowanego wzgórka Wenus. Żałował, że jego życie, świat nie są inne. Chciałby się urodzić w innym miejscu, w innym czasie, być innym człowiekiem. Czasami ciężar funkcjonowania jednocześnie jako człowiek i marszałek Związku Radzieckiego bywał dla niego zbyt wielki.

Później poszli do łóżka. Było ciemno i cicho. Gołowanow wiedział, że w sypialni są mikrofony.

Zdjął koszulę, po czym usiadł na brzegu łóżka i zdjął skarpetki i spodnie. Inga czekała na niego, jej biała skóra lśniła w ciemności jak ciało lodowej damy albo zęby drapieżnego rekina. Wszedł na łóżko

na czworakach, zbliżając się do niej z kiwającą się głową. Całowała jego czoło, policzki, brodę, ramiona. Potem, gdy kucnął nad nią jak niedźwiedź, ześliznęła się w dół. Całowała jego tors, brzuch i

przesuwała swoje ostre paznokcie po jego nagich plecach, aż przechodziły go dreszcze. W końcu ujęła

jego twarde, chropowaty penis, wzięła go do ust i ostrożnie ssła i lizała. Powiedział coś niezrozumiałego, jego głos wydobywał się z samego dna gardła.

- Czy mam cię ugryźć? - zapytała.

Kochali się wolno i w zadumie, jak gdyby miał to być ostatni raz. Jego ciemnoczerwony błyszczący penis przesuwał się wewnątrz jej bladego i wezbranego sromu. Powodowało to dźwięk podobny do ukradkowych pocałunków w ciemnościach. W końcu odwrócił ją na brzuch, uniósł jej biodra i uklęknął za nią. Ukrył twarz pomiędzy policzkami jej tyłeczka, najpierw czubkiem języka zbadał pofałdowane wejście do odbytnicy, a potem zanurzył go głęboko w mokrej pochwie. Był to osobliwy rytuał. Jego twarz była namaszczana jej sokami. W drugim pokoju Prokofiew grał pompatyczne, dumne crescendo.

Ręką doprowadziła Gołowanowa do szczytowania. Jego nasienie padło w ciemność, obryzgując i ozdabiając jej piersi. Ponownie powiedział coś niezrozumiałego, jak gdyby mówił innym językiem. Przyciągnęła go bliżej siebie i pocałowała w ucho.

- Cicho, Timofieju - odezwała się jakby przestraszona z powodu ciemności, a może z powodu ich nieuchronnego przeznaczenia.

- Rosja - powiedział niepewnym tonem syna, który niespodziewanie natknął się na ojca leżącego w łóżku z prostytutką.

Inga leżała w ciemności, głaszcząc jego twarz, dotykając krzaczastych brwi, czując uderzenia jego serca na swoich żebrach.

- Wszystko, co rozumiem, rozumiem dlatego, że kocham. -Gołowanow nauczył się tych słów z Tołstoja.

Wyszedł od niej następnego ranka po szóstej. Znowu padało i śpieszył z podniesionym kołnierzem do samochodu, nawet się nie oglądając. Miał zostać zabrany helikopterem Mi-24 do Haldensleben, na obiad z dowódcami dywizji w 20. Armii Gwardii, składającej się z jednej dywizji czołgów i czterech dywizji zmechanizowanych. Inga powinna przyjechać później samochodem, tak dyskretnie, jak tylko możliwe. Przewidywano zachmurzenie i opady. Wciąż nie było sygnału od Stawki, czy poczyniono jakieś postępy w rokowaniach prowadzonych w Kopenhadze, chociaż było

już oficjalnie wiadomo, że Stany Zjednoczone zatwierdziły przygotowawcze działania Gringo, a Brytyjczycy wkrótce po tym uruchomili Cornflower.

Gołowanow zjadł na śniadanie w kasynie w Zossen-Wiinsdorf kielbaskę i pomidory. Czujkow i Greczko streścili mu dzienny plan. Znajdowały się w nim meldunki od Naczelnego Dowództwa Dalekowschodniego Kierunku Strategicznego w Chabarowsku, z kwatery głównej w Milovicach w Czechosłowacji oraz z Północnej Grupy Wojsk w Legnicy. Większość z nich irytowała go pytaniami o długość pozostawiania oddziałów w pełnej gotowości bojowej, a to z powodu napięcia psychicznego, które zaczynało osiągać punkt krytyczny. Ludzie potrzebują snu, żywności. Trzymanie wojsk w całkowitej gotowości jest kosztowne i uciążliwe, zarówno dla żołnierzy, jak i ich dowódców. Jeśli wkrótce coś się nie wydarzy, armie stracą najwyższą gotowość bojową, a ponowne jej podniesienie będzie żmudne i trudne.

- Wygląda na to, że opóźnia nas tylko brak porozumienia z Kubą. Poza tym Byliny gotowe są do działania - powiedział Czujkow.

Gołowanow wsypał cztery łyżeczki cukru do szklanki z kawą i zamieszał.

- Musimy być cierpliwi, to wszystko. Sukces operacji Byliny w wielkim stopniu zależy od działań dyplomatycznych.

- Rozumiem, że w Haldensleben przyłączy się do nas osobista przyjaciółka towarzysza marszałka - rzekł Czujkow. Jego głos był ostrożny. Wiedział, że innym tonem nie może mówić o Indze.

Gołowanow otarł kawę z ust kraciatą serwetką.

- Kto wam to powiedział?

- Towarzysz Jeremienko.

Gołowanow zabębnił grubymi palcami w stół.

- Oczywiście, później i wam bym o tym powiedział - stwierdził. - Ale skoro już wiecie, tak,

Inga przyjedzie do mnie do Haldensleben.

- Ma się zatrzymać w hotelu „Sachsen”, jak przypuszczam.

- Tak - powiedział Gołowanow. Był zdenerwowany, że Jeremienko to rozgłosił, chociaż wiedział, że jest w tym sens. - W hotelu „Sachsen”.

Nie powiedział już nic więcej, jedynie podyktował odpowiedź do dowódcy w Milovicach, przekazując mu rutynową wojskową prozą, żeby przestał jęczeć i czekał na instrukcje. Po czym dopił mleko, wziął swoją teczkę i ruszył w kierunku lądowiska helikopterów, położonego obok głównego budynku.

Deszcz zelżał, ale srebrny, garbaty helikopter Mi-24 wciąż zdobiły wilgotne kropelki. Jego łopaty obracały się leniwie, a silnik hałasował jak odkurzacz czyszczący korytarz w rosyjskim hotelu.

Chociaż miał jedynie przewieźć marszałka Gołowanowa z Zossen-Wiinsdorf do Haldensleben, był całkowicie uzbrojony: W czterolufowe karabiny maszynowe 12,7 mm z przodu i dwie wyrzutnie pod krótkimi skrzydłami, wyposażone w rakiety kalibru 57 mm. Odkąd ogłoszono przygotowania do operacji Byliny, Armia Radziecka funkcjonowała technicznie jak w czasie wojny. Jeremienko nie brał

udziału w tej wizycie. Miał zbyt wiele obowiązków administracyjnych, łącznie z przegrupowaniem 4.

Armii Pancерnej i przygotowaniem Floty Bałtyckiej, co przyprawiało go o ból głowy. Podczas gdy względnie łatwe było symulowanie dorocznych manewrów wojsk lądowych, o wiele trudniejsze było zajęcie pozycji strategicznych przez flotę bez wzbudzania natychmiastowych podejrzeń Szwecji, Finlandii, Norwegii i Danii. Każde z tych państw natychmiast podniesie krzyk, gdy radziecka łódź podwodna wpłynie na ich wody terytorialne.

Gołowanow dyszał trochę; musiano mu pomóc przy wsiadaniu na pokład helikoptera. Czujkow i Greczko usiedli naprzeciwko niego. Maszyna hałaśliwie uniosła się nad kwaterą główną w Zossen-Wünsdorf i skierowała się na północny zachód, lecąc nad drzewami, bagnami i pomarańczowymi

dachami domów Brandenburgii. Opuszczali okręg Poczdamu, kierując się na Magdeburg. Deszcz ponownie spryskał szyby, ale nad ich głowami niebo zaczęło się przejaśniać. Wyglądało jak wody Nilu, umieszczone pomiędzy szarymi, opadającymi chmurami.

— Cóż - powiedział Gołowanow, siadając wygodniej w fotelu, trochę zbyt małym dla niego. -

Co myślicie o towarzyszu Jeremience?

— Wygląda na skutecznego — zauważył ostrożnie Czujkow. Wiedział już, jak wyglądają takie przesłuchania prowadzone przez Gołowanowa.

— A wy? - Gołowanow zapytał Greczkę. Ten wzruszył ramionami.

— To również moje odczucie. Skuteczny. Efektywny.

— Dobry dowódca? - zapytał Gołowanow.

— Tak myślę.

— Wierny armii? Oddany partii? Patriota? Gorliwy? Agresywny?

— Tak myślę - powiedział Greczko.

— A więc - westchnął Gołowanow - jesteście głupcem. Niczego nie widzicie, chyba że

oczywiście nie mówicie tego, co myślicie, ale jeśli tak robicie, to jesteście jeszcze większym głupcem.

Jeremienko pozbawiony jest skrupułów, jest egocentryczny i interesuje się tylko swoją karierą. Jest

patriotą tylko dlatego, że musi nim być po to, aby się wspinać po armijnych szczeblach kariery.

Pozornie jest skuteczny, ale znaczna część jego skuteczności nie jest niczym więcej niż krzykiem,

wrzaskiem i rozsyłaniem raportów, przejawskrawionych i bez treści. Zapamiętajcie dobrze, co mówić,

majorze. Jeremienko jest fatalnym przyjacielem, podstępny wrogiem, kochającym tylko i wyłącznie

siebie. Jak myślicie, dlaczego powiedział wam o moim spotkaniu z Ingą w Haldensleben? Żeby

poniżyć mnie w waszych oczach i ukazać wam siebie jako człowieka o wysokim morale,

skrupulatnego i skutecznego. Zapamiętajcie, on nie jest żołnierzem.

To militarny rekin, pozbawiony jakichkolwiek ludzkich odruchów. Jeśli kiedykolwiek będzie

was namawiał do zrobienia czegoś dla niego po to, żeby usunąć mnie, tylko pomyślcie, jaka to później

będzie dla was przyjemność dzień i noc pracować dla tego bękarta.

Lot do Haldensleben zajął im dwadzieścia pięć minut. Przelecieli dookoła szpicy kościoła Świętego Magnusa i nad potrójnym rzędem lip rosnących przy Magdeburg Strasse. Wylądowali na obszarze małego, szarego Schlossu, który był tymczasowym sztabem 20. Armii Gwardii. Ponury budynek ze ślepyimi oknami na strychu, zabrudzonymi inkrustowanymi statuetkami jeleni i ścianami pomazanymi na zielono i czarno z powodu stusiedemdziesięcioletniej wilgoci. Był tu zachwaszczony staw, w którym widniało matowe odbicie rzędu „Akacji” SO-152, samobieżnych haubic zaparkowanych między drzewami.

Znowu wojna, pomyślał Gołowanow, wychodząc z helikoptera. To się nigdy nie zmieni. Nikt z nas się nie uczy. Wydawało się, że świat nie wie, jak uniknąć wojny.

Dowódca 20. Armii Gwardii czekał na niego w zniszczonej altanie obok Schlossu.

Towarzyszyli mu dowódcy dywizji. Wszyscy zasalutowali; mieli poważne i dumne twarze. Gdy następnie po kolei ściskali jego rękę, Gołowanow wyobrażał sobie przez chwilę, że się skurczył, jak gdyby problemy, którym musiał podołać podczas kilku ostatnich miesięcy, okazały się dla niego zbyt potężne.

— Niezbyt szczęśliwe miejsce na kwaterę główną - zauważył. - Wygląda, jakby unosiło się nad nim przeznaczenie. Wiecie, co mam na myśli? To mi przypomina tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty.

Generał Żukiłow, młody mężczyzna o szerokiej twarzy, z lśniącym brązowym wąsem, powiedział:

- Nie zostaniemy tutaj długo, towarzyszu marszałku. Jak tylko skończymy letnie manewry, powrócimy do Magdeburga.

- Tak. - Gołowanow skinął głową. Poszedł w kierunku otwartych drzwi Schlossu, a za nim

ruszyli młodzi generałowie, żołnierze, którzy w 1945 roku byli zaledwie dziećmi. Co oni wiedzą o bombardowaniach, głodzie i niemieckich miotaczach ognia, w sekundę spalających dzieci? Cóż, wkrótce doświadczą smaku wojny, chociaż jeszcze o tym nie wiedzą.

- Mamy coś specjalnego na dzisiejszy obiad - Żukiłow się uśmiechnął. — Pieczone świnie z farmy. Palce lizać.

— Najpierw pozwólcie mi spojrzeć na rozkład służb - powiedział słuźbiście Gołowanow.

Po obiedzie przeprosił współtowarzyszy i poszedł do małego gabinetu, który komandor Żukiłow przygotował dla niego na uboczu. Nie było tu wielu sprzętów: biurko, mapa zachodniej Europy, szklana karafka wypełniona nieświeżą wodą. Zaostrzony ołówek i blok do notowania. Podeszedł do okna i spojrział na ciemne, mętne jeziorko. Następnie podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer 67-23-01 w Magdeburgu. Była to wewnętrzna linia, małe więc było niebezpieczeństwo podsłuchu. A poza tym dlaczego ktoś miałby go podsłuchiwać? Marszałka w trakcie rutynowej inspekcji? Czknął. Pieczona wieprzowina była dla niego zbyt tłusta.

Głos ze słuchawki odezwał się:

- Sechs-sieben zwei-drei nul-eins. Gołowanow odchrząknął i powiedział:

- Der scheckiger Pfeifer kazał mi zadzwonić.

- Twój numer?

- Dziewięć.

- Czy szczur jest z tobą?

- Szczur przyjedzie tutaj później. Najpóźniej o czwartej.

- Gdzie?

- Do hotelu „Sachsen”. Apartament trzy-zero-jeden.

- Masz pieniądze?

- Tak, oczywiście. Nastąpiła chwila przerwy.

- Ty także tam będziesz?

- Czy to konieczne? - spytał Gołowanow. - To nie będzie dla mnie łatwe.

- To, o co prosisz, nie jest łatwe dla nas.

- Cóż, zgoda.

- Możesz być o siódmej?

Gołowanow zastanawiał się przez chwilę. O wpół do ósmej spodziewany był na wspólnej kolacji z dowódcą Specnazu. Ale jeśli ubierze się wcześniej, powinien być w stanie zmieścić się w czasie bez trudności.

- Dobrze, będę o siódmej - powiedział. - Ale bądźcie punktualni.

Gołowanow odłożył słuchawkę. Zaczął żałować, że zgodził się na przemycenie Ingi z NRD.

Oczywiście, był nią odurzony, ale co mógł otrzymać od niej w zamian? Wyjedzie do Stanów Zjednoczonych i nigdy już jej nie zobaczy, pomimo jej obietnic, że będzie z nim, kiedy to wszystko się skończy. Słyszał o Kalifornii, o tym, jak tam jest pięknie. Ci wszyscy przystojni aktorzy, słońce, pieniądze i kapitalistyczne samozadowolenie. Przecież Inga nawet nie pomyśli o powrocie do Europy,

do starego człowieka, którego jedyną zaletą jest to, że nosi epolety marszałka najbardziej bezwzględnej armii świata.

A może, wmawiał sobie, może mimo wszystko Inga dotrzyma słowa? A może to jest jedyny sposób na pozbycie się jej, tak że już nie będzie dłużej go absorbować? Inga, niemiecka kurwa, trzydzieści lat za późno, milion kilometrów za daleko.

Żukiłow delikatnie zastukał do drzwi.

- Wasz samochód czeka, towarzyszu marszałku.

- Dziękuję - powiedział Gołowanow. - Widzę, że sobie doskonale radzicie, komandorze. -

Szerokim ruchem ręki wskazał na Schloss, ustawione w rzędzie haubice i inny sprzęt bojowy.

Żukiłow skinął głową, ale nic nie powiedział.

Hotel „Sachsen” stał na Potsdam Platz, na wschód od głównego rynku Haldensleben. Gęsty deszcz polerował bruk, gdy służbowy samochód Gołowanowa zatrzymał się ze zgrzytem hamulców. Marszałek przyjechał prosto z tymczasowej kwatery komandora Żukiłowa, gdzie zdążył wziąć kąpiel i przebrać się do kolacji. Była to duża nowoczesna willa na peryferiach Haldensleben. Czujkow i Greczko mieli spotkać się z nim później, o dziewiętnastej czterdzieści pięć. Miał nadzieję, że się nie spóźni.

Hotel „Sachsen” miał płaski fronton i był w sumie szpetnym budynkiem z werandą o przeciekającym dachu. Gołowanow pchnął ciężkie drzwi obrotowe i wszedł do hallu. Hall wyłożony był dywanem o ostrym czerwono-złotym wzorze, a na jego ścianach wisiał rząd wypchanych jelenich głów. Do Gołowanowa dotarł zapach mięsa i kurzu. Z drugiego końca hallu zbliżała się do niego wielka blondynka. Jej twarz wyglądała jak wyrzeźbiona z ziemniaka przez bystrego ucznia.

Zlustrowała uważnie mundur Gołowanowa, czerwono-złote marszałkowskie szlify oraz płaszcz koloru khaki, obryzgany przez deszcz.

- Guten Tag - odezwała się wyraźnie. - Nie mogę uwierzyć, że szuka pan tu pokoju.
- Szukam kogoś, kto tu się zatrzymał. Kobiety... - zawahał się. Ona oczywiście wiedziała, o kogo chodzi. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła rachunek, ściskając go w dłoni, jakby spodziewała się, że Gołowanow za niego zapłaci.
- Proszę tędy - powiedziała. Rozsunęła składane drzwi do windy. - Tutaj proszę nacisnąć na przycisk z trójką i zajedzie pan na trzecie piętro. Ona jest w apartamencie trzysta jeden.
- Danke schön. - Gołowanow skinął głową.

Kobieta o jasnych włosach nie odrywała od niego oczu, dopóki nie zamknęły się za nim drzwi windy. Pojechał w mrok i z jakiejś przyczyny zaczął czuć się dziwnie przestraszony, jak młody oficer wzywany przez swojego dowódcę. Winda zatrzymała się i wyszedł na korytarz.

Pokój trzysta jeden znajdował się na końcu korytarza. Gdy Gołowanow zmierzał w kierunku jego drzwi, z jednego z pokoiów dobiegła go muzyka zespołu The Beach Boys, który śpiewał właśnie swój przebój Good Vibrations. Doszedł do trzysta jeden i zastukał w żółte, polakierowane drewno.

- Komm - usłyszał głos Ingi.

Ostrożnie nacisnął klamkę i zorientował się, że drzwi nie są zamknięte na klucz. W środku nie świeciło się żadne światło. Zdjął czapkę i wkroczył w ciemność, uśmiechając się. Inga stała przy oknie. Miała na sobie białą bluzkę z poduszkami na ramionach oraz wąską białą spódnicę. Odwróciła

się, gdy szedł przez pokój, i powiedziała:

- Ach... nie jest to najlepszy hotel. Myślę, że twój przyjaciel Jeremienko wcale cię tak bardzo nie lubi.

Ujął jej zimne palce i pocałował ją w rękę.

- Przyjechałeś na czas. Martwiłam się, że coś cię zatrzyma - powiedziała Inga.

Jej ciemny profil na tle niebieskiego wieczornego światła wpadającego przez okno był idealny.

To okrągłe czoło, zadarty nos, ślicznie ułożone usta. Czasami zastanawiał się, jak musi się czuć tak piękna kobieta jak Inga: gdziekolwiek się pojawi, zaraz odwracają się za nią wszystkie głowy.

- Cóż, starałem się być punktualny - stwierdził Gołowanow. - Czy słyszałaś już od kogoś słowa scheckiger Pfeifer?

Inga popatrzyła nad jego ramionami i sposób, w jaki to zrobiła, ostrzegł go, że nie wszystko idzie dokładnie po jego myśli. Zbyt wiele razy brał udział w bitwach, zbyt wiele razy nadstawiał głowę, zbyt wiele razy uciekał, żeby teraz tego nie wyczuć. Rozwinął w sobie instynkt ostrzegający o niebezpieczeństwie zarówno w czasie wojny, jak i podczas pokoju. Podniósł głowę i miał właśnie się

odwrócić, żeby spojrzeć tam, gdzie patrzy Inga, gdy krzyknęła ostro:

- Nie! - A potem: - Nie ruszaj się. Gołowanow zastygł w bezruchu.

- Czy już tu są? — spytał.

Skinęła głową, nie patrząc na niego. Usłyszał jakieś kroki skrzypiące za nim na podłodze.

- Czy mogę teraz spojrzeć? - zapytał jeszcze raz, ale Inga odparła:

- Nie.

- Dobrze - zgodził się Gołowanow. Potem rzekł niższym głosem, łamaną niemczyzną: -

Panowie, szczur jest tutaj. Czy możecie jej pomóc? Mam przygotowane pieniądze.

Młody blondyn w ciemnych okularach obszedł Gołowanowa i stanął na linii jego wzroku.

Gołowanow nigdy później by go nie rozpoznał, ale rozpoznałby jego broń: ingram model 10, z krótką lufą, zdolny wystrzelić 1100 pocisków na minutę; kaliber 45, rażący pociskiem co 0,05 sekundy.

Gołowanow bez rozkazu podniósł ręce do góry.

- Coś nie tak? - spytał cicho. - Mam przy sobie wszystkie pieniądze.

Młody mężczyzna pokręcił przecząco głową.

- Wszystko w porządku, marszałku Gołowanow. Wszystko zgodnie z planem.

- A więc możecie wywieźć Inge z Niemiec Wschodnich? Młody mężczyzna skinął głową.

- Cóż, to dobrze — stwierdził Gołowanow i opuścił ręce. — Czy chcielibyście teraz dostać pieniądze? Muszę iść. Czekają na mnie o wpół do ósmej.

- Zapewne - powiedział młody mężczyzna. - Ale będą musieli bardzo długo czekać.

- Słucham?

- Jedzie pan z nami — zakomunikował młodzieniec.

Usta Gołowanowa otworzyły się i zamknęły, po czym zaczął się śmiać. Nagle przerwał.

- Jestem marszałkiem Armii Radzieckiej. Jak możecie przypuszczać, że dokądkolwiek z wami pojedę?

- Cóż - westchnął młodzieniec. - Możemy, albo i nie. - Uniósł do góry swojego ingrama i przystawił jego lufę do głowy Gołowanowa. — Czy kiedykolwiek widział pan człowieka

zastrzelonego taką zabawką? To jest dziesiątka, duży kaliber. Nie mam nic przeciwko temu, żeby udekorować ten pokój na czerwono.

- O czym pan mówi? — Gołowanow zażądał wyjaśnień. — Ingo...

Inga podniosła rękę i dotknęła palcami ust.

- To był jedyny sposób, Timofieju. Teraz proszę cię, pośpieszmy się. Twoja ochrona wkrótce zacznie cię szukać, a my potrzebujemy tak wiele czasu, ile tylko zdołamy uzyskać.

- Dokąd mnie zabierzecie? - zdenerwował się Gołowanow. - To jest absurdalne.

- Jedziemy na Zachód - powiedział młody mężczyzna. - Dziś w nocy dwóch moich przyjaciół pełni służbę na granicy w Helmstedt. Czekają na nas. O świcie będzie pan w Bonn.

- Nie macie pojęcia, co robicie - rzekł Gołowanow gardłowym głosem. — Jeśli spróbujecie mnie zabrać, spowodujecie najpoważniejszy incydent dyplomatyczny, jaki można sobie wyobrazić! Jesteście szaleni, oboje!

Inga podeszła do Gołowanowa i ujęła jego rękę. Jej oczy były niemal przezroczyście, nie pozwalały odczytać myśli. Były to oczy dziewczyny, która wiele lat temu zdecydowała, że sama będzie rządzić swoim losem.

- Timofieju - szepnęła łagodnie.

- Musicie mnie puścić - oznajmił Gołowanow. Młody mężczyzna odparł:

- Ma pan dwie możliwości i piętnaście sekund na dokonanie wyboru. Albo pojedzie pan z nami do Bonn, albo pana zabijemy. Nie mamy czasu do stracenia. Wybór należy do pana.

Gołowanow spojrzał na Inge i uśmiechnął się dobrodusznie.

— Cóż — powiedział. - Widzę, że zastawiliście na mnie pułapkę.

— Zawsze będziesz moim małym niedźwiadkiem, Timofieju.

— Czy wyobrażasz sobie, że będziesz w stanie uciec po tym, na co się dziś zdecydowałaś?

Inga skinęła głową, wciąż się uśmiechając.

— Chcieliśmy zabrać Jeremienkę. Mimo wszystko on wie o wiele więcej niż ty o ruchach na Zachodnim Kierunku Strategicznym, zna więcej szczegółów. Ale i tak nie jesteśmy rozczarowani. Ty znasz do końca cały plan, nieprawdaż? Znasz najważniejsze rozwiązania strategiczne. O szczegółach taktycznych możemy się dowiedzieć od twoich młodszych oficerów.

Gołowanow odwrócił się do młodego mężczyzny z Ingramem.

— Jak się nazywasz? — spytał.

— Dichter — odparł cicho młody mężczyzna.

— Cóż, Dichter, lepiej mnie zastrzel - powiedział Gołowanow. - Jestem żołnierzem, człowiekiem w każdej chwili gotowym na śmierć. Taki jest żołnierski los. Życie ze świadomością, że śmierć może przyjść nagle i gwałtownie, w najbardziej niespodziewanym momencie.

Dichter uniósł ingrama i przystawił lufę do głowy Gołowanowa. Nastąpiła chwila ciszy.

Gołowanow odwrócił się do Ingi, ale ona wzruszyła ramionami i był to dla Gołowanowa wyraźny znak, że Dichter zaraz naciśnie spust. Gołowanow pomyślał, że nie przeszedł obok swojego życia, że zawsze miał wpływ na swój los. Ma go i teraz. Żadnych myśli o Katii i dzieciach. Żadnych radosnych wspomnień z akademii wojskowej, na przykład o nocy, podczas której przybili do podłogi sierżanta. Tylko wyrachowana panika, zamrożenie systemu nerwowego, jak gdyby skąpany był w lodowatej wódce.

Po chwili Gołowanow ostrożnie rozłożył ręce i powiedział:

— Niech wam będzie. Pojadę z wami. Teraz jesteście szczęśliwi?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Tego samego popołudnia prezydent drzemał właśnie w swojej prywatnej sypialni, gdy wszedł Morton Lock i ostrożnie potrząsnął jego ramieniem. Prezydent otworzył jedno oko i spojrzał na swojego doradcę do spraw bezpieczeństwa tak, jakby właśnie wyrwano go ze snu o gilotynie za najmniejsze naruszenie prezydenckiego prawa do chwili odpoczynku. Ostatecznie był trzy lata starszy

od Richarda Nixona, a Richard Nixon już od wielu lat wypoczywał w Saddle River, podczas gdy on, obecny prezydent USA, wciąż obciążony był myślami o wojnie jądrowej, planie Gringo i kosztami

o zbliżającym się roku 1988. Jak, do cholery, wyjaśnić Gringo Irlandczykom?

— Panie prezydencie! Właśnie otrzymaliśmy wiadomość z Kopenhagi - powiedział Morton.

Prezydent milczał, wciąż przyglądając się Mortonowi jednym otwartym okiem.

— Fidel Castro zgodził się na demokratyczne wybory. To oficjalna wiadomość. Wszystko jest więc gotowe — kontynuował Morton.

Zapadła cisza. Po dłuższej chwili prezydent usiadł wolno na łóżku i spojrzał na Mortona jak więźnia, któremu powiedziano, że jego podanie o ułaskawienie zostało odrzucone i właśnie dziś umrze.

— Rozumiem — powiedział grubym głosem. - Więc... stało się?

— Tak, sir.

— A generał Oliver jest zapewne gotowy.

— Tak, sir.

— W porządku. Daj mi kilka minut, ubiorę się. A potem zadzwonimy na Kreml.

— Tak, sir. Czy chce pan również rozmawiać z Brytyjczykami?

— Najpierw zastanówmy się jeszcze raz, w jaki sposób będziemy rozgrywać tę partię. Z Brytyjczykami musimy postępować jak najdelikatniej, skoro Sowieci mają się wkrótce do nich dobrać.

— Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli odkładać rozmowę z Londynem, sir - zasugerował

Morton Lock.

Prezydent wstał i sięgnął po szlafrok.

— Myślę, że musimy się śpieszyć, Morton. Czasami łatwiej jest przewrócić świat do góry nogami, niż spokojnie wypić filiżankę kawy.

Morton nie był pewien, czy prezydent żąda filiżanki kawy, czy jest to tylko filozoficzna uwaga.

— W każdym razie strategiczna strona gry się wyjaśnia - powiedział. — Admirał Truscott obawiał się o brytyjskie siły na

Falklandach. Mówił, że mogliby bronić się bardzo długo. Spójrzmy prawdzie w oczy, mają tam poważne siły. Ale II Flota mogłaby wykorzystać na jakiś czas 60. Oddział Specjalny VI Floty.

Przynajmniej dopóki Gringo nie zostanie przeprowadzony do końca.

- W porządku. - Prezydent skinął głową. - Możesz skontaktować się wieczorem z Szefami Połączonych Sztabów. Chcę mieć kompletny obraz sytuacji.

- Oczywiście - powiedział Morton. - Czy wypije pan tę filiżankę kawy, sir?

- Kawa? - westchnął prezydent. - Myślę, że raczej wypiję jacka danielsa, i to natychmiast. Albo nie, przynieś mi jednak kawę.

W Anglii dochodziła dwudziesta pierwsza dwadzieścia. Minister obrony był w swoim biurze w Izbie Gmin, gdy zadzwonił telefon na biurku. Jego sekretarz poinformował, że wzywają go na Downing Street 10. Minister zgasił papierosa i powiedział cicho:

- Cholera.

Przeszedł przez Whitehall w towarzystwie swojego goryla Dicka Mallarda oraz ubranego po cywilnemu oficera Scotland Yardu, którego Dick zawsze nazywał „Starą Kamienną Twarzą”. Był ciepły majowy wieczór, idealny na spacer, a mimo to ulice były niezwykle spokojne. Minister obrony przypomniał sobie, że właśnie dziś wieczorem telewizja pokazuje po raz pierwszy film Powrót Jedi. Pomyślał, że to ironia, iż społeczeństwo zagrożone wojną termojądrową fascynuje się fantastycznym filmem o wojnie w kosmosie. To tak, jak przybyć na koncert muzyki Beethovena i słuchać muzyki rockowej z walkmana.

Weszli przez polakierowane czarne drzwi domu przy Downing Street 10 do pomalowanego na szaro hallu wejściowego, z marmurowym kominkiem i podłogą wyłożoną marmurem w biało-czarną

szachownicę. Sekretarz pani premier zszedł po schodach i powiedział:

- Pani premier czeka na pana, sir.

„Stara Kamienna Twarz” został z tyłu. Prawdopodobnie chciałby pójść do kuchni na filiżankę herbaty z pięcioma kostkami cukru. Minister obrony podniósł rękę, żeby przygładzić włosy do tyłu, i poszedł na górę, przed swoim gorylem, głównymi schodami, wzdłuż których na ścianach wisiały stare

portrety byłych premierów. Weszli do gabinetu pani premier, dużego pokoju o zielonych ścianach, z małym osiemnastowiecznym pejzażem wiszącym pomiędzy wysokimi oknami z widokiem na ogród.

Wszystkie światła w pokoju były zapalone. Pani premier siedziała przy biurku obitym zieloną skórą, na nosie miała okulary do czytania. Na szkarłatnym krześle siedział generał Walter Fawkes, szef Sztabu Generalnego. Był to potężny mężczyzna, o szerokiej twarzy i bladej cerze.

- Witaj, Malcolm - powiedziała pani premier mocnym głosem na powitanie. Minister obrony przestawił sobie jeden z foteli na drugi koniec dywanu, tak że znalazł się bliżej szefowej gabinetu. Nie

wiedział, że jego zwyczaj przenoszenia mebli, zanim usiądzie, bardzo ją irytuje.

- Pani premier - odezwał się oficjalnie. Potem skłonił się w kierunku generała Fawkesa i rzekł:

- Sir Walterze.

Pani premier zdjęła okulary i położyła je przed sobą na biurku.

- Otrzymaliśmy oficjalne potwierdzenie Gringo - powiedziała. - Do tej pory nie ustalono konkretnej daty, ale Amerykanie obiecali powiadomić nas w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Czy może pan więc dać rozkaz do rozpoczęcia akcji Cornflower? - zapytał generała Fawkesa minister obrony. Generał odchrząknął tak, jak szczeka zamek karabinu maszynowego Vickersa, lecz nie zdążył odpowiedzieć, bo minister obrony zadał następne pytanie:

- Są jakieś wiadomości od Rosjan?

- Nie, chyba że twoi ludzie coś słyszeli. Ale wygląda na to, że Castro w końcu zgodził się

ustąpić i rozpisać wolne wybory pod nadzorem Organizacji Narodów Zjednoczonych. W zamian żąda

gwarancji osobistego bezpieczeństwa oraz wzrostu inwestycji w kubańskim rolnictwie, finansowanych

przez rząd Stanów Zjednoczonych.

- Więc w końcu możemy zaczynać - stwierdził niepotrzebnie minister.

- Bardzo mnie niepokoi sytuacja w naszym przemyśle - powiedziała pani premier. - Górnicy wstrzymali się ze strajkiem do jutra, ale wszystko wskazuje na to, że tym razem Grange wygra.

Właśnie słyszałam od Patricka, że kolejarze zapowiadają akcję strajkową na poniedziałek, a dokerzy odmawiają negocjacji na temat wysokości ich zarobków.

- Czyżby sugerowała pani, że strajki mogą mieć jakiś związek z Gringo?

Pani premier uniosła głowę. W świetle lamp minister obrony mógł zobaczyć, jak bardzo jest zmęczona, jak bardzo wydarzenia ostatnich lat ją postarzyły. Niechętnie nastawiona do nowego podziału świata, straciła teraz wiele politycznych wpływów, straciła tak wiele ze swojej stanowczości.

Pomyślał o wszystkich tych godzinach agresywnych negocjacji w Brukseli, gdzie przekonywała, walczyła i zastraszała swoich partnerów z EWG, pragnąc, aby ograniczyli koszty Wielkiej Brytanii.

Teraz, w odstępie kilku dni, EWG przestanie istnieć i cała walka okaże się bez znaczenia.

— AR7 ma dowody, że strajki górników i dokerów są koordynowane i zostały zainicjowane przez kogoś z zewnątrz.

AR7 było kryptonimem rządowego zespołu antyzwiązkowego. W ubiegłym roku członkowie tego zespołu zdołali szczęśliwie zakończyć strajki robotników, wykazując korupcję w Komitecie Związkowym. Infiltrowali niemal wszystkie lewicowe związki, aż do ich najwyższych władz wykonawczych włącznie.

- Myślę, że może lepiej utnę sobie pogawędkę z tym Hubertem Vaudreyem - powiedział minister obrony. - Najgorsze, co może nas spotkać przy realizacji Gringo, to niespodziewany opór w

samej Anglii.

Nie wyjaśnił, co rozumie przez „niespodziewany opór”. Rząd brytyjski podczas negocjacji w Kopenhadze uzależniony był od Stanów Zjednoczonych znacznie bardziej, niż chciałyby pani premier, i w końcu trzech jej ministrów gwałtownie zaprotestowało przeciwko wyłączeniu Anglii z obrad w fazie końcowej. Jeden z nich podał się natychmiast do dymisji ze względu na zły stan zdrowia, drugi wplątał się w ogromny skandal z ciężarną bibliotekarką. Trzeci obiecał w końcu trzymać język za zębami, ale było całkowicie oczywiste, że jego dni w gabinecie są policzone.

— Jest jeszcze jedna sprawa — powiedziała pani premier. -Dwa razy dzwonił dzisiaj kanclerz Kress, wyrażając niepokój w związku z ruchami na strategicznych pozycjach Armii Radzieckiej i znowu pytał, dlaczego nasza administracja wydaje się tego nie zauważać. Myślę, że zdołałam go usatysfakcjonować odpowiedzią, iż nie mamy zamiaru podnosić hałasu o każde sowieckie manewry. Nie muszę wam jednak przypominać, jak ważne jest, by ani jedno słowo o Gringo czy Cornflower nie dostało się do uszu żadnego z naszych sojuszników.

Ostatnie słowo, „sojusznicy”, wypowiedziała z ledwie dostrzegalnym naciskiem. Było ono teraz dla niej przykre, gdyż zawsze głęboko wierzyła w zachodni sojusz. Miała nadzieję, że Bóg da jej siłę i

objawi cele, ku którym ma dążyć jako premier Wielkiej Brytanii, dopóki operacja Gringo nie dobiegnie końca.

Minister obrony zrobił zapiski w małym, oprawionym w skórę notesie, po czym schował do kieszeni wieczne pióro.

- Bardzo dobrze - powiedział w końcu, po czym uniósł wzrok. -Zacznijmy więc oczyszczać nasz pokład, zgoda?

Generał Fawkes mruknął, ponownie prychnął i zaniósł się kaszlem. Minister często myślał, że generał Fawkes osiągnął swoją wysoką pozycję w armii dzięki temu, że nigdy nie mówił niczego, z czym ktokolwiek mógłby się zgodzić lub nie. Jego cały udział w rozmowie ograniczał się do

nieartykułowanych, ale wojskowo brzmiących wybuchów.

Usłyszeli delikatne pukanie do drzwi. To był kamerdyner.

- Przepraszam. Pani premier, czy napije się pani herbaty?

Cztery godziny później, gdy zmierzch powoli zapadał wokół magazynów i nad przybrzeżnymi budynkami nowojorskiego West Village, Esther Modena wyskoczyła z taksówki na skrzyżowaniu Trzynastej Ulicy z Dziewiątą Aleją. Gdy płaciła za przejazd, kierowca nie spuszczał z niej wzroku. Znał doskonale miejsce, dokąd kazała się zawieźć. Na zewnątrz trójkatny budynek, wyglądający na zniszczony, zaniedbany. Tymczasem wewnątrz znajdowały się pomieszczenia klubu Hellfire, najbardziej znanego ze wszystkich sex klubów w Nowym Jorku. Było to miejsce przede wszystkim sadomasochistycznych schadzek i zabaw.

- Czy masz na sobie cokolwiek? - spytał w końcu taksówkarz, nie mogąc się powstrzymać, gdy wydawał Esther resztę.

Esther popatrzyła po swoim prostym, szarym kostiumie.

- To znaczy pod sukienką - wyjaśnił. - Ktoś mi powiedział, że jeździecie po mieście bez bielizny, z łańcuchami czy czymś takim, zamiast gaci.

Esther uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Nie jestem jedną z nich - wyjaśniła. - Jestem tylko jednorazowym gościem.

- To lepiej byś się trzymała od tego gówna z daleka - powiedział taksówkarz i odjechał.

Esther przeszła przez chodnik i ostrożnie wemknęła się do klubowego hallu, obserwowana z bezlitosnym zaciekawieniem przez dwóch bladych mężczyzn w T-shirtach z napisem: TYLKO ZWIERZĘ MOGŁOBY ZROZUMIEĆ. Jeden z mężczyzn powiedział: „cześć”, ale zignorowała go.

Zza drzwi dobiegał rock and roll, jak gdyby budynek sam w sobie był lubieżną i nienasyconą bestią, a muzyka natarczywym głosem jej serca.

Spierała się z Wallym, gdy poprosił ją o spotkanie właśnie tutaj.

— Wally, ja po prostu nie lubię tego rodzaju miejsc — powiedziała mu zdesperowana.

- Nigdy w żadnym nie byłaś, to skąd możesz wiedzieć? -powtarzał na okrągło. I w końcu zgodziła się, tylko dlatego, że nie chciał się spotkać w żadnym innym miejscu. Musiała przyznać, że do pewnego stopnia ma to sens. Klub znajdował się dostatecznie daleko od Waszyngtonu; był to lokal,

gdzie w końcu nikt jej nie znał, a do tego bardzo zatłoczony. Było to także takie miejsce, w którym nikt nie zadaje nikomu zbędnych pytań, nikt nie chce wiedzieć, kim jesteś i po co przyszedłeś.

Na parterze znajdował się obity skórą bar, przy którym siedzieli jeden przy drugim nadąsani młodzi mężczyźni z ogolonymi na zero i pofarbowanymi głowami. Pili piwo i przyglądali się sobie z fascynacją w ciemnym lustrze za barem. Jeden z nich spojrzał na Esther i ruchem głowy skierował ją, nic nie mówiąc, w kierunku wąskiej, wyłożonej brązowym dywanem klatki schodowej prowadzącej do piwnicy. Zbiegła w dół, prawie tracąc grunt pod nogami. Na dole przy schodach stał potężny mężczyzna z napisem „Mr. T.” wymalowanym na głowie i w nabitych kolcami skórzanych rękawiczkach. Jego brzuch wylewał się z ciasnych czarnych skórzanych spodni. Obok niego siedziała na połączonym krześle kobieta o białej twarzy i jasnopomarańczowych włosach. Miała nagie piersi, a

jej talia ściśnięta była czerwonym skórzany gorsetem. Esther nigdy u nikogo nie widziała tak wysokich obcasów, jakie miała ta kobieta. Były tak długie i tak czerwone, że przywodziły na myśl sztylety.

— Piętnaście doków gotówką i podpisz, że zrzekasz się jakichkolwiek pretensji o cokolwiek - powiedział olbrzym do Esther.

Esther zapłaciła mu i skrobnęła podpis na skserowanym formularzu, który miał zaświadczyć, że nie jest policjantką lub tajną agentką oraz że nie będzie uprawiała hazardu ani brała narkotyków w lokalu. Potem mężczyzna podniósł przed nią zasłonę i weszła niepewnym krokiem do klubu.

Było ciemno, cuchnęło potem, a ludzie strasznie się rozpychali. Ściany z żuźlowych bloków

pomalowane były na czarno, a jedyne światło dochodziło z czerwonych, zielonych i niebieskich żarówek. Po przeciwległej stronie był bar, za którym nagi mężczyzna serwował drinki w plastikowych kubkach. Na środku sali wysoka naga kobieta, tylko w wąskich wysokich winylowych butach, rozmawiała z mężczyzną w średnim wieku, w różowych pończochach i podwiązce. Na nadgarstku kobieta miała metalową obręcz ze zwisającym długim srebrnym łańcuchem. Na drugim końcu łańcucha znajdowała się obroża, którą w tej chwili miał na szyi, jak pies, młody, nagi chłopak. Mógł mieć nie więcej niż szesnaście czy siedemnaście lat. Był przystojny i błędził przez cały czas nieobecnyimi oczami po pomieszczeniu. Niedaleko stał muskularny Murzyn; jego uda były napięte, onanizował się i nie zwracał na nikogo uwagi, zajęty swoimi własnymi przeżyciami.

Esther miała sucho w ustach. Strach. A przecież to, co działo się w klubie, wydało się jej bardziej absurdalne niż niebezpieczne. Jakiś korpulentny mężczyzna o szpakowatych włosach, w zielonej minispódniczce przeszedł przez salę i gdy ją mijał, zobaczyła, że z tyłka sterczy mu długi, zielony ogórek. Widok był tak groteskowy, że poczuła dziwną ulgę, jak gdyby nic już jej nie zagrażało.

Wolno zaczęła krążyć wokół sali. W rogu młoda blondynka o szczupłej, niemal chłopięcej figurze, klęczała na podłodze i uporczywie ssała koguta chudego, nijakiego czterdziestolatka. Esther przyglądała się im przez chwilę, aż niska, gruba dziewczyna, której nagie ciało przewiązane było cienkimi rzemykami z czarnej skóry, powiedziała do niej wyjaśniająco:

— To jej ojciec. Przychodzą tutaj dwa lub trzy razy w miesiącu. Czasami przychodzi też matka i wtedy robią to we trójkę.

Po chwili do Esther podszedł jakiś chłopak w szortach Nike i traktorach na nogach. Patrząc na nią łakomym wzrokiem, zaproponował:

- Zabawimy się? Palisz? Popieścisz mojego fiuta?

Esther spróbowała się uśmiechnąć i potrząsnęła przecząco głową. Nigdzie w tym

bezsensownym klubie nie mogła znaleźć Wally'ego i zaczynała czuć się zagubiona i spanikowana.

Gdziekolwiek się ruszyła, wszędzie widziała spocone brzuchy i nagie pośladki, kobiety i mężczyzn z obrączkami w sutkach oraz tatuażami na plecach i łańcuchami dookoła nóg.

Już chciała się poddać i wyjść, gdy ktoś delikatnie dotknął jej ramienia i powiedział:

- Nie odwracaj się. To ja. Słuchaj, mam dla ciebie kilka rewelacyjnych wiadomości. Ale musisz zapłacić więcej niż dwieście pięćdziesiąt. To są naprawdę rewelacje.

Esther zaczęła się odwracać, ale Wally krążył za nią tak, że nie mogła go ujrzeć.

- Ile? - zapytała.

- Tysiąc.

- Nie mogę ci tyle dać. Nie tysiąc.

- Przyjechałem tutaj samochodem. Kosztowało mnie to majątek.

- W żadnym razie nie mogę dać ci tysiąca - powiedziała Esther. — Przykro mi, ale nie.

Wally odezwał się tym samym monotonnym głosem:

- Ta informacja jest naprawdę ważna. To informacja dotycząca losów kuli ziemskiej.

Przyrzekam ci, Esther, ta informacja warta jest każdego centa, jakiego za nią zapłacisz. W rzeczywistości warta jest pięć tysięcy. Znam wiele osób, które zapłaciłyby mi tyle za tę informację.

Esther wzięła głębszy oddech. Wydawało jej się, że oddycha jedynie odorem potu i skóry.

- Słuchaj — powiedziała — gwarantuję ci dwieście pięćdziesiąt. Zobaczę, co się da zrobić co do reszty. Ale będę się starała.

- Nie wiem - wahał się Wally.

- Wally, to wszystko, co mogę ci teraz obiecać. Po prostu nie jestem upoważniona do zaoferowania ci takich pieniędzy, jakich żądasz.

Odwróciła się. Wally stał obok niej, ubrany w czarne skórzane szorty, czarne skarpetki i

niechlujne białe trampki. Miał pociągłą twarz, rzadkie mysiobrazowe włosy i bulwiasty nos. Sprawiał

wrażenie akwareli pozostawionej na deszczu: niewyraźna, rozmazana sylwetka.

- W porządku — zgodził się w końcu. — OK Wygrałaś. Ale zobacz, co się da zrobić, dobrze?

Ta wyprawa doszczętnie mnie splukała.

— I tak przecież miałaś przyjechać do Nowego Jorku.

— Tak, ale to nie ma nic do rzeczy.

Esther czekała przez chwilę. Słyszała, jak wysoka kobieta obok niej mówi:

— Co noc śni mi się, że ktoś przybija moje piersi do drewnianego krzesła.

Podniecony chłopak namawiał kolejną dziewczynę, aby popieściła jego fiuta.

— Zrobisz to, kochanie?

— Tutaj jest taka kabina z dziurą rozkoszy - mówił Wally. -Idź i stań w niej. Za chwilę będzie przedstawienie. Jak się zaczniesz przyłożyć ucho do dziury i słuchaj. Pamiętaj, powiem ci wszystko tylko jeden raz.

Esther zapłaciłaby tysiąc dolarów za jak najszybsze wydostanie się z Hellfire Club, ale skinęła głową i ruszyła wśród stłoczonych nagich i półnagich ciał, aż dotarła do kabiny.

Mniej więcej na środku drewnianej ściany kabiny znajdowała się okrągła dziura. Zamierzeniem konstruktorów kabiny było, aby mężczyzna mógł wepchnąć w dziurę penis, zapraszając tym samym do wspólnej zabawy każdą nieznaną osobę, mężczyznę lub kobietę, przechodzącą po drugiej stronie.

Czekała przez trzy lub cztery minuty, niecierpliwie i z obawą. Dwu lub trzykrotnie zaczepiali ją przechodzący mężczyźni.

— Czekasz na kogoś, laluniu? — pytali bezceremonialnie, a gdy odmawiała wspólnej zabawy, odchodzili ogłupieni, ale oczywiście nie rozgniewani odmową.

Nagle rockową muzykę zamieniono na kiepską kasetę z indiańskimi rytmami i środek klubowej podłogi rozjaśniły oślepiająco białe reflektory. W ich świetle ukazała się wysoka, dziko wyglądająca kobieta. Miała wysuniętą szczękę, szerokie ramiona oraz wielkie obwisłe piersi, które podskakiwały,

gdy tańczyła. Aż do szczytu ud naciągnęła czarne gumowe pończochy, a jej talię oplatał mocno srebrny łańcuch opadający między nogi i grzęznący głęboko w czarnych krzakach włosów łonowych. Gdy wiła się w tańcu, dookoła rozlegały się gwizdy i oklaski, a ona od czasu do czasu warczała i syczała w kierunku mężczyzn, którzy obserwowali ją, podskakując również w uległym zachwycie. Esther spuściła na chwilę oczy, z trudnością mogąc uwierzyć, że cokolwiek z tego jest prawdziwe i że

to naprawdę ona, Esther Modena, znajduje się tutaj w czwartkową nowojorską noc.

Teraz ukazało się dwóch muskularnych mężczyzn w nabitych ćwiekami pasach. Między sobą wlekli chudsze nagiego mężczyznę. Głowę miał zakrytą ciasnym gumowym kapturem. W kapturze znajdowało się okrągłe wycięcie na usta, przez które widać było, że mężczyzna jest zakneblowany. Nie mógł ani mówić, ani słuchać, ani niczego widzieć.

Mężczyzna został brutalnie rozciągnięty i przywiązany do ściany przez swoich krzepkich strażników. Wysoka kobieta tańczyła, przemierzając salę tam i z powrotem. W rękach trzymała ciężki ciesielski młot i cztery ośmiocalowe gwoździe. Mężczyzna, który leżał obok kabiny Esther, powiedział: - Nadzwyczajne. Robią to dwa razy w tygodniu. Gdy to oglądam, zawsze przechodzą mnie dreszcze.

Esther modliła się, żeby Wally się pośpieszył. Nie wiedziała, jak długo jeszcze będzie w stanie to znosić. Wysoka kobieta zbliżyła się do przywiązanego mężczyzny i wbiła jeden z gwoździ w jego lewą dłoń, którą mocno przytrzymał przy ścianie jeden z dwóch muskularnych strażników. Esther zamknęła oczy. Dudnienie indiańskich bębnów nasilało się. Po klubie przeszedł ekscytujący szmer.

Esther ponownie otworzyła oczy i zobaczyła, jak kobieta wbija następny gwóźdź, tym razem w prawą dłoń mężczyzny. Lewa ręka była już przybita do żuźlowego bloku. Nie było widać krwi, ale Esther poczuła napływającą falę nudności. Jeśli Wally nie przyjdzie w ciągu trzydziestu sekund, ucieknie z tego klubu.

Kobieta kucnęła przed przybitymi rękami do ściany mężczyzną. Esther ujrzała błyszczący

łańcuch, wciskający się pomiędzy jej duże białe pośladki. Słyszała jeszcze odgłosy wbijania gwoźdźcia,

ale nie mogła już na to patrzeć.

Kobieta przybiła nieszczęśnikowi mosznę, dokładnie pomiędzy jądrami. Obserwujący to z fascynacją mężczyzna leżący obok Esther oblizwał na ten niezwykle fascynujący widok spieczone od żądry usta.

- Boże - jęknęła Esther.

- Dziecino, wszystko jest w porządku - zapewnił ją mężczyzna. - On to uwielbia. Może to robić na okrągło.

Wówczas kobieta uniosła czwarty i ostatni gwóźdź i pokazała go publiczności. Z jakichś przyczyn nagle nad klubem zaległa głęboka cisza i słychać było tylko dudnienie bębnów. Kobieta podeszła do przywiązanego mężczyzny i przyłożyła gwóźdź do jego zamaskowanego czoła.

- Czy to cię nie podnieca? - sapnął do Esther mężczyzna. - Ona nie robi tego naprawdę, oczywiście. Ale czy możesz sobie wyobrazić, jak to jest dać sobie przybić do ściany jaja, a potem czuć

gwóźdź przystawiony do czoła...

Bez żadnego ostrzeżenia wysoka kobieta wbiła ostatni gwóźdź prosto w głowę mężczyzny.

Wszyscy usłyszeli, jak została przebita czaszka, i ponowne chrupnięcia, kiedy gwóźdź wchodził już ostrzem w żuźlowy blok. Na początku nie było krwi, ale w końcu z nosa popłynęła wąska szkarłatna strużka i zaczęła ściekać po klatce piersiowej nieszczęśnika.

Zapanowała głucha cisza i przerażenie. Wysoka kobieta stała przez chwilę prowokująco, trzymając ręce na biodrach. Wtem spojrzała prosto na Esther i triumfująco wyszczerzyła zęby.

O Boże, pomyślała Esther, czując nadchodzącą falę wymiotów. O Boże, to Wally. Wtem zgasły wszystkie światła i klub pogrzył się we wrzaskliwej, chaotycznej płataninie ramion, nóg i rozpychających się ciał. Esther została przyciśnięta do żuźlowej ściany, ale rozpychając się, uparcie

starala się dostać do wyjścia. Zadrapała sobie ramię i kolano. Nie zdawała sobie sprawy, że przedzierając się do klatki schodowej, wrzeszczy z całych sił.

W tym samym momencie David Daniels wychodził spod prysznic, żeby odebrać telefon.

Normalnie nie przerwałby kąpieli, ale spodziewał się wiadomości od Esther, która miała zadzwonić, jak tylko dowie się czegoś od Wally'ego. Nie mniej niż Esther nie podobał mu się pomysł spotkania w

Hellfire. Czytał kiedyś artykuł o tym klubie w Playboyu. Dowiedział się wówczas, że wygląda tam jak

w domu stojącym w połowie drogi do piekła i wiecznego potępienia. Owinął się ciemnoniebieskim tureckim ręcznikiem, przeszedł przez swoją garderobę i podniósł słuchawkę.

- Tak?

- David? Tu Jack Levy - usłyszał.

- Przepraszam, że tak długo to trwało - powiedział David. Usiadł tak, że mógł się widzieć w lustrze. Palcami układał mokre włosy.

- David, obawiam się, że będę musiał się wycofać.

- Wycofać? Wycofać z czego? Masz na myśli Gringol

Głos Jacka brzmiał jakby z bardzo daleka, był niechętny, jak gdyby w ogóle nie chciał rozmawiać o Gringo.

- Jestem teraz naprawdę zajęty, David. Jestem niemal unieruchomiony przez tę historię z deficytem budżetowym. Nie wydaje mi się, żebym mógł być dla ciebie użyteczny.

- Słuchaj - powiedział David - mam nadzieję, że nikt ci nie groził.

- Nie, nie. Ja po prostu nie mogę marnować czasu. Przykro mi. Powinienem był ci to powiedzieć, kiedy zadzwoniłeś do mnie po raz pierwszy. Czuję się winny, że tak wyszło.

- Jack...

- Przykro mi, David, ale to wszystko. David zrezygnowany głęboko westchnął.

- OK, jeśli nie możesz, to trudno. Ale czy znasz kogoś, kto byłby w stanie mi pomóc?

- David, posłuchaj mojej rady - powiedział Jack. - Po prostu zostaw tę sprawę. To nie ma sensu, po prostu daj sobie spokój i zostaw to.

- Ktoś ci groził, prawda?

Usłyszał ostry trzask na linii. Nagle zdał sobie sprawę, co się dzieje. Bez żadnego zdenerwowania w głosie zapytał Jacka:

- A jak z twoim nowym mieszkaniem?

Jack był wyraźnie zaskoczony tą nagłą zmianą tematu.

- Cóż, w porządku,- odrzekł. - Wszystko w porządku.

- Opowiedz mi coś o nim. Na jaki kolor masz zamiar pomalować sypialnię?

- Co?

- Opowiedz mi o swoim mieszkaniu - nalegał David. - Dalej. Chcę wiedzieć wszystko. Jak masz zamiar urządzić kuchnię, czy chcesz założyć żaluzje, czy firany? Dalej, Jack. Chcę to wszystko usłyszeć.

Jack zorientował się w końcu, o co chodzi Davidowi. Niezdecydowanie powiedział:

- Cóż... zamierzamy pomalować sypialnię na kolor skorupki od jajka. A korytarz?... Hmm, korytarz zostawimy biały. Schody...

Kontynuował to wyliczanie, podczas gdy David ostrożnie położył telefon na łóżku i na palcach podszedł do okna. Spojrzał na ulicę i natychmiast zobaczył thunderbirda, w którym za kierownicą siedział mężczyzna ze słuchawkami na uszach. Gdyby go nie szukał, to oczywiście po raz drugi nawet by tam nie spojrzął, a tymczasem facet spokojnie podsłuchiwał jego rozmowy telefoniczne. Był tak pewny siebie, że spokojnie, z apetytem, zjadał kanapkę, a na tablicy rozdzielczej postawił nawet plastikowy kubek z kawą.

David wrócił do telefonu i powiedział:

- Mów, Jack. Opowiedz mi coś jeszcze.

Po czym szybko wskoczył w dzinsy, naciągnął przez głowę lekką koszulę i podszedł do nocnego stolika. Wyjął z szuflady rewolwer smith & wesson kaliber .38 i szybko wyszedł z sypialni. Zbiegał schodami po dwa stopnie i po chwili wybiegł z domu. Poczł krótką trawę kłującą od spodu jego gołe stopy, gdy pochylał się nisko za długim bukowym ogrodzeniem.

Dwadzieścia jardów za thunderbirdem przeszedł przez ulicę, aby zająć faceta od tyłu. Znaczna część thunderbirdów jest tak skonstruowana, że kierowca nie widzi w lusterku wstecznym czwartej części tyłu samochodu, więc przy odrobinie szczęścia David mógł podejść do kierowcy nie zauważony.

Podnosząc w jednej ręce rewolwer, szybko podszedł wzdłuż skraju trawnika do tyłu samochodu. Mężczyzna wciąż siedział za kierownicą, przeżuwał kanapkę i słuchając, jak Jack opowiada, że ma zamiar wstawić do swojego gabinetu wielkie mahoniowe biurko.

David przykucnął obok samochodu. Ujął teraz rewolwer w obie ręce i wepchnął go w otwarte okno od strony pasażera.

- Nie ruszaj się - rozkazał.

Mężczyzna przyglądał mu się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami i położył do połowy zjedzoną kanapkę na górną część tablicy rozdzielczej, obok kubka z kawą.

- W porządku, nie ruszam się.

- Zdejmij słuchawki.

Mężczyzna ściągnął słuchawki i ostrożnie położył je na miejscu dla pasażera.

- Teraz masz dziesięć sekund, żeby mi powiedzieć, kim jesteś i o co ci, do diabła, chodzi.

Mężczyzna pociągnął nosem i otarł go palcami.

- Czy mogę ci pokazać moją kartę identyfikacyjną? - spytał.

- Nie pokazuj, po prostu mi powiedz.

- Jestem Frederick B. Timberland z FBI.

- W jakim celu podsłuchujesz moje rozmowy telefoniczne?

- Takie otrzymałem polecenie.

- Od kogo?

- Nie wiem. Mam tutaj siedzieć i słuchać, to wszystko.

- W porządku, panie Timberland - rzekł David. - Pokaż mi jednak swoją legitymację.

Frederick B. Timberland wyjął z kieszeni portfel i otworzył go. David wziął go w lewą rękę, spojrzał nań i zamknął.

- W porządku - powiedział. - A teraz wróć do swojego biura i powiedz temu, kto cię przysłał, kimkolwiek on jest, że rozpętam piekło z powodu naruszenia moich praw obywatelskich i immunitetu.

I będzie to prawdziwe piekło.

- Tak, sir. Przekażę wszystko dokładnie.

David wstał, opuszczając pistolet. Frederick B. Timberland zapuścił silnik, wyrzucił kubek po kawie na drogę, wpakował kanapkę do ust i odjechał. David obserwował go przez chwilę, po czym wrócił do domu. Na górze Jack był wciąż na linii.

- Podsłuch? - spytał Jack zachrypniętym głosem.

- Zgadłeś. Jakiś klaun, który twierdzi, że pracuje dla FBI. Jack milczał. David prawie słyszał jego dziwne zakłopotanie.

Po chwili powiedział:

- Wciąż nie jesteś zainteresowany sprawą? A może chcesz się jednak nią zająć? Gringo musi coś znaczyć. A przy okazji, zamierzam zadzwonić do Schachocisa z FBI, jak tylko skończymy rozmowę, i zrobić mu karczemną awanturę.

- Lepiej będzie, jeśli jak najwcześniej o tym zapomnisz, David. Wiesz, jak to jest.

- Nie jestem pewien, czy wiem.

- Do cholery, jeśli chcesz znać prawdę, powiem ci. Grożono mojej żonie.

- Czym?

- Okaleczeniem czy czymś takim. Teraz boi się wyjść z domu. David zagryzł wargi.

- Dowiedziałeś się czegoś więcej o Gringo?

- Nie, i to chciałem ci właśnie powiedzieć. Ale uwierz mi, David, to się zaczyna na najwyższym szczeblu. Na twoim miejscu byłbym ostrożny z robieniem zbyt dużego zamieszania w FBI o to gównu.

David odczekał chwilę i powiedział:

- Dobrze, Jack. Rozumiem. Porozmawiamy później. Może zjemy razem obiad, gdy wrócę do Waszyngtonu.

- Z przyjemnością - .odparł Jack i odłożył słuchawkę.

Prawie natychmiast zadzwonił telefon, jak gdyby ktoś go obserwował i czekał, aż skończy rozmowę. David podniósł słuchawkę, wepchnął ją sobie pod brodę i odezwał się:

- Tak?

- Senator Daniels?

- Tak, przy telefonie.

- Nie zna mnie pan, senatorze. Nazywam się Jordan Crane. Pracuję dla Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Może pan to sprawdzić, jeśli pan chce, oczywiście.

- O co chodzi? - spytał ostro David.

- Pan Morton Lock poprosił mnie, żebym zatelefonował do pana i poinformował, że śledztwa, poszukiwania, które pan obecnie próbuje prowadzić, mogą wejść w konflikt z interesami bezpieczeństwa narodowego. Pan Lock będzie bardzo wdzięczny, jeśli zechce pan na razie zaprzestać swoich poszukiwań. Powiedział, że jeśli w przyszłości zechciałby pan przedyskutować z nim jakieś sprawy, to bardzo chętnie się z panem spotka, by to omówić.

- Mówimy o czymś zwanym Gringo? - spytał David.

- Przykro mi, senatorze. Nie wolno mi odpowiedzieć.

- Ale to jest właśnie ten obszar bezpieczeństwa narodowego, z którym przypuszczalnie koliduję, prawda?

- Tak, to jest związane z tym obszarem.

- A ja mam się trzymać od tego z daleka i przypuszczacie, że się do tego zastosuję, chociaż żonie jednego z moich najlepszych przyjaciół grożono okaleczeniem, a jakiś głupek z FBI siedział przed moim domem i nielegalnie podsłuchiwał moje rozmowy telefoniczne.

- Przykro mi, proszę pana. Nic mi nie wiadomo o tych incydentach. Ale jestem pewien, że pan Lock będzie bardziej niż szczęśliwy, mogąc wszystko wyjaśnić osobiście podczas spotkania z panem.

- Proszę przekazać panu Mortonowi Lockowi - powiedział David napiętym głosem - że dopóki nie przyjdzie tutaj i nie wyjaśni wszystkiego osobiście oraz nie zapewni, że żona Jacka Levy'ego otrzyma przeprosiny i obietnicę, że nikt już nie będzie jej groził, zamierzam kontynuować moje śledztwo w sprawie tego całego Gringo. I solennie pana zapewniam, że dowiem się, co to jest i dlaczego pan Lock z taką determinacją trzyma to w tajemnicy.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Gordon Crane powiedział:

- Zostałem upoważniony do ostrzeżenia pana przed konsekwencjami jakichkolwiek dalszych kroków w tej sprawie, senatorze.

- Ostrzeżenia mnie? Ostrzeżenia mnie? Co to ma znaczyć?

- To po prostu znaczy, że dalsze prowadzenie śledztwa nie leżałoby w pana osobistym interesie.

Niskim, zdecydowanym głosem David powiedział:

- Niech pan spróbuje mnie powstrzymać, panie Crane. — Po czym odłożył słuchawkę i usiadł na skraju łóżka. Mięśnie policzków pulsowały mu z emocji i złości.

Zszedł na dół i nalał sobie martini. Gdy mieszał je w szklance, ponownie zadzwonił telefon.

Podniósł słuchawkę i mruknął niechętnie:

- Tak?

- David — szlochała Esther. - David, musisz mi pomóc.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Telefonował do Jeppe niemal przez cały dzień, co dwadzieścia minut, ale po drugiej stronie nikt nie podnosił słuchawki. W końcu wziął taksówkę i pojechał do jego mieszkania na Halfdansgade, po drugiej stronie Sydhavnen, zaraz obok uniwersytetu. Nikt jednak nie odpowiadał również na dzwonek do drzwi i, co najdziwniejsze, nie było tabliczki z nazwiskiem Jeppe na skrzynce do listów. Letni wiatr

hulał po ulicy. Taksówka czekała na niego z włączonym silnikiem, kierowca przyglądał mu się przez szyby odbijające słońce. Charles zaczął sobie uświadamiać, że Jeppe prawdopodobnie odszedł na zawsze. Zniknął w lustrzanym świecie, do którego udają się szpiegzy i tajni agenci, gdy nadchodzi

czas.

Było wczesne popołudnie. Charles przez cały ranek słuchał radia, wcześniej rano kupił też

Ekstra Bladet, żeby sprawdzić, czy są jakieś wiadomości o włamaniu do biura firmy Klarlund i

Christensen, ale do tej pory nie było ani słowa o tym zdarzeniu. Gdy jechał do mieszkania Jeppe,

przejeżdżał obok Klarlunda i Christensena. Cała fasada na parterze była osłonięta dyktą, ale robotnicy

właśnie przycinali nową szybę. Lincoln został odholowany.

Tego ranka Agneta powiedziała do niego:

- Czy coś się stało? Wyglądasz na zmartwionego, zupełnie nieobecnego psychicznie, tak samo, jak wyglądałeś w dawnych latach, kiedy pracowałeś.

Charles wzruszył ramionami.

- Dzieje się tutaj coś złego. Coś bardzo złego - odparł. - Problem polega na tym, że nie

rozumiem, co to jest. Nie potrafię objąć tego moim tęnym mózdzkiem.

- Zostaw to - nalegała Agneta. Rozczochrał jej blond włosy.

- Nie - powiedział bardzo delikatnie.

- To prowadzi tylko do kłopotów, przecież wiesz. Charles pokiwał głową.

- Wiem. Ale myślę, że kłopoty mam już teraz. Wszystko, co można teraz zrobić, to czekać na kogoś, kto jest ich przyczyną.

Taksówka minęła Langebro. Pod mostem wody Sydhavnen błyszcząły jasnokobaltowym błękitem, kolorem nieba. Chmury sunęły ponad kopenhaskimi iglicami i wieżami wolno i majestatycznie jak marzenia. Charles zapalił papierosa i kierowca wskazał mu znaczek informujący, że w samochodzie obowiązuje zakaz palenia.

- Dobra, dalej się przejdę — powiedział Charles.

Zapłacił taksówkarzowi i poszedł wzdłuż bulwaru Hansa Christiana Andersena, pałac ostentacyjnie, ręce trzymając w kieszeniach. Znał wielu agentów i tajniaków, którzy nagle znikali.

Jeden z jego pierwszych mentorów w CIA, Dashley Pope, zniknął w tym samym czasie co Jimmy Hoffa i chociaż Charles poświęcił miesiące, próbując ich odnaleźć, to wynik zawsze był taki sam. Raz

za razem zagłębiał się w korytarze, które prowadziły donikąd.

Kupił jeszcze jeden egzemplarz Ekstra Bladet i szybko przejrzał gazetę. Nie było żadnych wiadomości o włamaniu do biura firmy Klarlund i Christensen. Wyrzucił gazetę do kosza i poszedł dalej. Gdy ostatni raz Charles widział Jeppe, ten uciekał z rozbitego samochodu. Co się mogło stać później? Czy może przez cały czas ktoś obserwował budynek i złapał Jeppe, gdy uciekał? Czy może Jeppe został wskazany przez właściciela firmy, w której kupił samochód użyty we włamaniu? To było

bardziej prawdopodobne. Samochód mógł zostać zidentyfikowany w ciągu kilku minut przez kogoś, kto miał dostęp do policyjnego komputera, po czym wystarczyła krótka wizyta jakiegoś

osiłka u sprzedawcy samochodów i Jeppe mógł zostać przygwożdżony.

Pytanie brzmiało: kto jest na tyle silny, żeby móc wyeliminować wyższego oficera duńskiego kontrwywiadu? Bez wątpliwości Krow iz Nosu jest wysokiej rangi zabójcą, ale on nie mógłby zlikwidować takiego faceta jak Jeppe bez rozkazu z góry. Oczywiście, z nim, Charlesem, była trochę inna sprawa. Był teraz na emeryturze, oficjalnie już nie pracował. Jeśli ktoś z KGB czy GRU uznał, że

jego obecność w Kopenhadze jest irytująca, i postanowił go zlikwidować, to nawet najdelikatniejsze dyplomatyczne zabiegi nie zmałyby ciemnej sieci międzynarodowego bezpieczeństwa. Nikt przecież

nie spróbuje go pomścić. Jego śmierć nie wywołałaby niczego, prócz delikatnej ulgi, że już go nie ma.

Charles doszedł do Larsbjornstrade rozpalony i spocony, z ochotą na wypicie jakiegoś drinka. Ciężko

wspiął się na schody i miał właśnie włożyć klucz do zamka, gdy nagle zatrzymał się, opuścił rękę i cofnął się o kilka kroków. Opracował z Agnetą system alarmowy, pozostał on jeszcze z dawnych dni, gdy nigdy do końca nie wiedział, kto może złożyć mu wizytę. Trzymali drobny pasek białego celuloиду - odciętą końcówkę usztywniacza kołnierzyka koszuli - wepchnięty w bok zamka przy drzwiach wejściowych. Gdyby ktoś nieproszony dostał się pod jego nieobecność do mieszkania, Agneta miała wyciągnąć z boku zamka ten kawałek celuloиду. W ten sposób ostrzegała Charlesa, zanim zdążyłby otworzyć drzwi. Teraz celuloidu brakowało i nie było go na podłodze przed drzwiami,

nie mógł więc tak po prostu wypaść. Charles pożałował, że Jeppe nie dał mu broni, zanim zniknął.

Przeszedł szybko wzdłuż budynku, aż dotarł do uchylonych sosnowych drzwi z tyłu domu. Stąd mógł dostać się na mały balkon, który pierwotnie był zawalony jakimiś śmieciami, ale Agneta wysprzątała go i udekorowała glinianymi doniczkami z pelargoniami. Czasem w ciepłe wieczory brali

butelkę wina i szli razem właśnie tam. Patrzyli na ludzi podążających Studie Strade i St. Peders Strade,

aż do St. Jorgens So. Charles wyszedł bezszelestnie na balkon, ostrożnie zamknął za sobą drzwi i podniósł się na kutej żelaznej balustradzie.

Stanąwszy na niej na palcach, mógł uchwycić rynnę biegnącą wzdłuż wyłożonego pomarańczową dachówką dachu. Nie ośmielił się spojrzeć za siebie. Był zbyt wysoko. Nie ośmielił się także pomyśleć o wieku balustrady, o tym, jak może być słaba i przerdzewiała. Słyszał odgłosy ruchu ulicznego dochodzące z pobliskich ulic i wiatr furkoczący przez wentylator na szczycie komina. Pomyślał: Jezu, Krogh, jesteś już za stary do tej roboty. Nie możesz nawet odrobinę podnieść się na rękach. Ale chwycił się rynny i rozhuśtał, próbując zahaczyć stopą o jej krawędź, niestety, bez rezultatu. Dysząc ciężko, w końcu zdołał podciągnąć się tak, że rynnę miał na wysokości pasa. Trzymał się na rękach tak sztywno, jak gdyby ćwiczył na poręczach.

Teraz, pomyślał sobie, spróbuj przełożyć nogi na górę, ponieważ jeśli tego nie zrobisz, to niechybnie spadniesz na balkon, a jeśli spadniesz, to oni cię usłyszą. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że ten kawałek celuloide mógł wypaść z drzwi przypadkowo i w domu, oprócz Agnety, nie ma nikogo. W CIA nauczyli go myśleć negatywnie. Wyobraź sobie to najgorsze, a potem zagrożenie pomnóż jeszcze przez dwa, tak go uczono.

Dźwignął jedną stopę na rynnę, potem drugą i w końcu znalazł się na dachu. Z trudem łapał powietrze. Wiedział, że jeśli dojdzie do walki, nie będzie miał zbyt wielu szans. Boże, gdyby tylko mieć broń!

Ostrożnie stąpał po dachówkach. Jego waga powodowała, że dachówki skrzypiały i trzeszczały. W połowie drogi na szczyt dachu znajdował się świetlik, który wychodził na jego kuchnię i większą część jadalni. Miał nadzieję, że będzie mógł przezeń zobaczyć, co się dzieje w mieszkaniu. Dojście do krawędzi świetlika zajęło mu dwie lub trzy stresujące minuty. Położył się na dachówkach i nasłuchiwał. Ale usłyszał jedynie wiatr i furkoczący zrywami wentylator na kominie oraz normalne odgłosy Kopenhagi w normalne pracowite popołudnie. Zdecydował się podjąć ryzyko

spojrzeć w świetlik.

Najpierw dojrzał tylko narożnik lady kuchennej. Ostrożnie starł brud z szyby i wówczas jego oczom ukazał się jakiś mężczyzna. Był szpakowaty, w szarym garniturze, palił papierosa. Oczywiście było, że z kimś rozmawia, ponieważ sugestywnie wymachiwał papierosem w kierunku jakiejś osoby znajdującej się po drugiej stronie pokoju. Charles nie był jednak w stanie usłyszeć ani słowa. Nie miał

natomiast żadnych wątpliwości: ten facet niewątpliwie był agentem jakiejś tajnej służby i go szukał.

Mężczyzna ruszył do przodu i Charles stracił go z oczu. Przyłgął jeszcze bardziej do dachu i zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Jeśli wpadnie przez drzwi frontowe, to szpakowaty mężczyzna może bardzo łatwo go zastrzelić, nie wypowiadając żadnego zbędnego słowa. Pamiętał, co

mówił pewien stary instruktor z CIA (z przymkniętymi oczami i cygarem zaciśniętym w rogu ust) na początku szkolenia:

- Uciekajcie stąd, do diabła, tak szybko i tak cicho, jak tylko potraficie, i nigdy tutaj nie wracajcie. Jeśli raz was namierzą, nie pozwolą wam już nigdy stąd odejść. Będą kontrolować was wszędzie, o każdej porze, bez ostrzeżenia; nawet na emeryturze, z żoną i trójką dzieci, nie będziecie mieli chwili spokoju.

Jednakże stary instruktor Charlesa z CIA nie dawał żadnych rad, jak postępować ze swymi uczuciami. Ucieczka byłaby teraz bardzo dobrym rozwiązaniem, ale wtedy musiałby zostawić dziewczynę, na której mu zależało, w rękach facetów, którzy - jak sądził — byli zawodowymi mordercami.

Charles ponownie spojrzął w dół przez świetlik. Skoro nie miał pistoletu, za swoją jedyną broń uznał zaskoczenie. Nigdy nie skakał przez okno, chociaż pamiętał nauki instruktorów, jak to robić.

Kurtkę owiń dookoła głowy, ręce trzymaj ciasno przy klatce piersiowej. Po czym skocz, jakbyś skakał

do basenu. Przy odrobinie szczęścia nie stanie ci się nic groźnego. Oczywiście, skok przez świetlik

byłby teraz sporym wyczynem. Po przejściu przez szkło wciąż jeszcze pozostawało około dziesięciu stóp do podłogi.

- Gównu - wymamrotał do siebie Charles.

Było w tym więcej frustracji niż złości. Przyleciała do niego duża wrona i usiadła niedaleko na krawędzi dachu, jak gdyby była głupim, niezdarnym i natrętnym ptakiem, który obawia się, że intruz zapragnął odebrać mu jego terytorium.

Charles ostrożnie stanął przy krawędzi świetlika i delikatnie posunął lewą nogę, aż poczuł pod stopą wypustkę suchego kitu na dolnej krawędzi ramy okiennej. Teraz, wstrzymując oddech, uniósł się, aż stanął zgarbiony nad świetlikiem. Zniżył głowę, chowając ją w ramionach i z trudem utrzymując równowagę. Przez jedną krótką chwilę czuł z przerażeniem, że pada w tył na dach. Wiedział, że gdyby tak się stało, nie ma wielu szans na upadnięcie na balkon. Byłaby to ekspresowa wycieczka w dół, na podwórze. Upadek na bruk, który skończyłby się złamaniem karku albo, w najlepszym wypadku, wózkiem inwalidzkim.

- Boże wszechmogący - wymamrotał.

Z impetem skoczył przez świetlik. Usłyszał, jak szkło pęka z potwornym hałasem, czuł zimne muśnięcia ostrych krawędzi na policzkach. Wtem cała przegniła rama runęła i już spadał do kuchni w lawinie drewna i kawałków błyszczących odprysków. Pierwsza wylądowała na podłodze jego prawa noga, więc przez mgnienie oka balansował z rękoma przyciśniętymi do klatki piersiowej i lewą nogą kopiając powietrze, po czym przewrócił się ciężko na biodra, uderzając czołem w drzwi kredensu. Ale natychmiast uniósł do góry twarz, pokaleczoną i pokrwawioną.

Podniósł się, łapiąc oddech, i natychmiast skierował się do kuchennej lady, gdzie Agneta trzymała w drewnianym pudełku noże do mięsa. Chwycił najdłuższy z nich i przylgnął do ściany obok drzwi. Nagle zorientował się, że mężczyzna w szarym garniturze zmierza do kuchni, jak gdyby

otrzymał wskazówkę od reżysera tej akcji. Po chwili Charles błyskawicznie i bez wahania pchnął go nożem w plecy, napotyając tylko minimalny opór pomiędzy jego dolnymi żebrami i w trzustce.

Mężczyzna odwrócił się, zdziwiony, i przez kilka sekund przyglądał się Charlesowi, jakby chciał coś powiedzieć. Po chwili runął na kolana, a głowę zatopił w ramionach: Z ostrym stukotem na

podłogę obok niego upadł automatyczny pistolet, a Charles pochylił się i podniósł go.

- Na pomaszcz - wyszeptał mężczyzna. Odwrócił się i próbował wyciągnąć nóż ze swojego ciała.

- Nic ci już nie pomoże, stary. Agneta! - zawołał Charles.

Z salonu nie dobiegał żaden odgłos. Charles trącił szpakowatego mężczyznę i zapytał:

- Jesteś sam? Sam czy nie?

Mężczyzna upadł bokiem na podłogę, z trudem łapiąc powietrze. Charles silniej ujął w ręce pistolet, dobrego starego tulskiego tokariewa, model 1930, kaliber 7,62 milimetra. Wiedział teraz, z jakim przeciwnikiem ma do czynienia. Ponownie zawołał:

- Agneta! Wszystko w porządku?

Cisza. To oznaczało, że jest tam ktoś jeszcze, ktoś, kto jej pilnuje. Spokojnie przeszedł obok drzwi, trzymając broń gotową do strzału, i ruszył krótkim, wyłożonym dywanem korytarzykiem prowadzącym do salonu. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Korytarz był obwieszony reprodukcjami rysunków znalezionych na kamieniach z Jellinge w Jutlandii: starożytnych, tajemniczych, starannych. Charles czuł krew na kołnierzyku i miał nadzieję, że jego twarz nie jest za bardzo pocięta. Zaczynała go piec, od prawego oka do prawej strony warg.

Ostrożnie wszedł do salonu i tam znalazł Agnetę. Siedziała na beżowym wełnianym krześle obok okna, z bladą twarzą, w napięciu, nieruchomo jak pomnik. Dokładnie za nią stał chudy mężczyzna w szarym garniturze, z pistoletem wycelowanym w jej głowę.

Charles milczał, ale ostrożnie wycelował w głowę mężczyzny, w sposób, jakiego nauczono go

w CIA, z jedną ręką mocno ściskającą kolbę.

- Zranił się pan, panie Krogh — odezwał się mężczyzna.

- Odłóż broń - powiedział Charles.

- Wręcz przeciwnie, panie Krogh. Myślę, że dla własnego bezpieczeństwa powinienem trzymać mój pistolet dokładnie tak jak teraz.

- Odliczam od pięciu do jednego. Jeśli nie odłożysz pistoletu, zabiję cię.

Mężczyzna wyszczerzył zęby.

- Nie sądzę, panie Krogh. Jeśli pan zrobi coś nierozważnego, ta kobieta natychmiast umrze.

Charles nadal trzymał przed sobą wycelowany w faceta pistolet.

- Pięć - powiedział niskim głosem.

- Drogi panie - rzekł cicho mężczyzna. — Teraz jest pan śmieszny. Nie tego się spodziewałem po tak doświadczonym, co prawda emerytowanym, agencie CIA.

- A czego się spodziewałeś?

- Współpracy. Ostatecznie nie jest pan samobójcą, prawda?

- Co to ma znaczyć?

- Panie Krogh! Czy będzie pan udawał, że to nie pan włamał się zeszłej nocy do biura firmy

Klarlund i Christensen i spowodował ogromne straty? Rozwalone okno, przetrząśnięta kartoteka, a poza tym co pan zrobił mojemu biednemu przyjacielowi, Aleksiejowi? Był cały posiniaczony i pogruchotany przez ten upadek z okna. Miał szczęście, że o dwa piętra niżej był występ. To było także

pana szczęście, panie Krogh. Gdyby Alosza umarł, wyznaczono by nagrodę za pańską głowę. I

zapewne wszyscy płatni mordercy z całego świata mieliby na pana chętkę. Wie pan, że Alosza jest dla

nas kimś wyjątkowym? To osobisty faworyt premiera.

- Cztery - powiedział Charles. Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Proszę nie zaogniać sytuacji, kochany panie. Pragnę jedynie zadać panu kilka pytań. Nie

pracuje pan już w Centralnej Agencji Wywiadowczej, nie ma pan od nich żadnych rozkazów. Co panu

szkodzi odpowiedzieć na jedno lub dwa proste pytania? Czego szukał pan w biurze projektów? Co spodziewał się pan znaleźć? Dlaczego tyle pan ryzykował i walczył tak twardo?

- Znasz odpowiedź na wszystkie te pytania, stary - odpowiedział Charles. — Więc nie pieprz.

Po prostu odłóż broń i się od niej odsuń.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Przykro mi, ale to nie jest możliwe.

- Trzy - powiedział Charles i nacisnął spust. Pocisk trzasnął głucho, opuszczając lufę, i twarz mężczyzny zaczerwieniła się jak na przyspieszonym filmie, na którego taśmę rozlała się puszką z czerwoną farbą. Zniknął za krzesłem Agnety i stamtąd chlapnął purpurą na białopłowe skandynawskie ściany mieszkania.

Charles i Agneta padli sobie w ramiona z radością i ze strachem. Agneta końcami palców dotknęła policzka Charlesa.

- Poprzecinałeś się. Boże, ty krwawisz!

- To nic. Jezu, Agneta, to nic. Co ci faceci tutaj robili?

- Powiedzieli, że chcą z tobą porozmawiać, to wszystko. Powiedziałam im, że wyjechałeś do Sztokholmu, ale mi nie uwierzyli. Ledwo zdążyłam wyjąć znak z zamka.

- Dzięki Bogu za to. To są Rosjanie, rosyjscy agenci. Chyba z KGB, nie wiem.

Podniósł tokariewa, obrócił go i położył na stole.

- Wstrętna, tandetna broń. Miałem szczęście, że go trafiłem. - Charles nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. Miał dwa trupy w domu, Agneta drżała ze strachu, Jeppe zniknął, Otto prawdopodobnie też nie żył, a on wciąż nie wiedział, co u diabła się dzieje. To nie była zwykła gra, w jakich często brał

udział w czasach, kiedy był agentem CIA. W dawnych czasach nie wysyłaliby zabójcy takiego jak Krow iz Nosu po taką płótkę jak on. Coś się zmieniło, coś zasadniczego. Gdzieś w tym musiała tkwić wielka tajemnica i była ona chroniona z maniackim wręcz okrucieństwem.

- Słuchaj - powiedział do Agnety. — Chcę, żebyś na jakiś czas zamieszkała u Rogera. Proszę cię, nie protestuj. Roger się tobą zaopiekuje. Poza tym on nie będzie sprawiał żadnych problemów, wiesz, co mam na myśli.

- A co z tymi ludźmi? Co z tobą?

- Po prostu zostaw to mnie, OK? Wszystkim się zajmę. Chcę tylko, żebyś zamieszkała u Rogera. Może na tydzień lub dwa, nie dłużej.

- A co ty masz zamiar robić?

- Muszę odnaleźć Jeppe. Lub przynajmniej dowiedzieć się, co z nim się stało. Muszę się też dowiedzieć, dlaczego ci faceci dzisiaj się do nas włamali. A poza tym muszę się napić.

Agneta przytuliła się mocno do niego. Boże, pomyślał, Kocham cię, nie wiem dlaczego. Nie obchodzi mnie dlaczego, ale Kocham cię. Pachniała perfumami Chanel numer 19, świeżo umyтыми włosami i Danią. Kto mógłby określić ten zapach? Rodzaj mikstury z ozonu, smorrasbord i sosny. Pocałował ją w czubek głowy i pomyślał: Jestem do tego za stary. Powinienem teraz wrócić do Whispering Palms w południowej Kalifornii. Powinienem grać w golfa w kraciastych pantalonach i niebieskim sportowym polo z naszytym małym krokodylkiem. Zamiast tego wsadzam rękę w otchłań piekła i ryzykuję życie wszystkich ludzi, którzy mnie otaczają, nie wyłączając kobiety, którą Kocham.

Agneta odezwała się po duńsku:

- Chcesz wrócić do Ameryki? Nie uważasz, że powinieneś? Nie muszę koniecznie jechać z tobą. Proszę, Charles, jeśli chcesz, to jedź.

- Nie - powiedział. Ponownie ją pocałował. - Kochanie, chciałbym, ale to nie zakończy sprawy.

Wiesz, że wielu ludzi otrzymuje wielkie wezwania, ale tylko nieliczni zostają wybrani i z jakichś

przyczyn ja jestem jednym z wybranych. A to znaczy, że muszę wypełnić tutaj swoje obowiązki i dowiedzieć się, co się, do cholery, dzieje. Przynajmniej ze względu na Jeppe, jeśli nie dla innych przyczyn.

Podszedł do telefonu i wykręcił numer Politigarden. Gdy usłyszał głos telefonistki, powiedział:

- Proszę mnie połączyć z Politidirektorem Isenem. Nastąpiła chwila ciszy.

- O Boże, Charles — powiedziała Agneta. - Chciałabym, żebyś dał temu spokój, zostaw to.

Obiecuję, że pojedę z tobą do Ameryki.

- Powl? - rzucił Charles do słuchawki. - Jak się czujesz? Tu Charles. Charles Krogh,

oczywiście. Krogh przez „K”. Tak, właśnie. Powl, mam tu mały problem. To znaczy mam problem w domu. Więc jest to związane z KGB. Więc, tak. Mam tutaj dwóch agentów KGB, którzy nie mają zamiaru stąd wyjść.

Boże, dopomóż duńskiemu poczuciu humoru, pomyślał, gdy Powl spytał go:

- Chcesz, żeby ktoś przyjechał i powiedział im, żeby sobie poszli? Równie dobrze mogą to zrobić policjanci z patrolu.

- Niezupełnie, Powl. Problem polega na tym, że oni nie mogą wyjść, nawet gdyby bardzo chcieli. To są byli agenci KGB. Zlikwidowani, rozumiesz mnie?

- Charles, myślałem, że już nie pracujesz.

- Nie pracuję, Powl, ale coś się stało.

- KGB? Możesz tego dowieść bez żadnych wątpliwości?

- Żartujesz? Mają szare garnitury od Daelsa i tokariewy. Nastąpiła długa cisza. Powl Isen był poważnym, szanowanym policjantem, który nigdy nie odnosił się życzliwie do działalności obcych wywiadów w Kopenhadze. Sporne było jedynie, której organizacji nie lubił bardziej: KGB czy CIA. Obie traktowały Kopenhagę jako swoje terytorium, obie regularnie narażały się na gniew kwatery głównej policji w Kopenhadze. Powl Isen rozmawiał zarówno z ambasadą amerykańską, jak i

radziecką, regularnie dwa razy w roku i ostrzegał ich, że są tu tylko gośćmi, bez względu na to, jak wielkie znaczenie strategiczne ma dla nich Dania.

- Zakazuję wam prowadzenia swojej wojny w moim mieście -mówił im. Obaj ambasadorowie wyrażali zdumienie i niepokoiłi się, że Povl Isen chociaż przez moment mógł sobie wyobrazić, że oni robią takie rzeczy. Ambasada ZSRR przesłała mu kiedyś skrzynkę mukuzani, którą Povl Isen szybko odesłał z powrotem.

- Będę musiał zadać ci kilka pytań - powiedział Povl do Charlesa. - Kiedykolwiek znajduje się trupy, musi być śledztwo.

- Rozumiem - powiedział Charles. - Będę czekał. Wiesz, gdzie mieszkam, prawda? Na Larsbj0rnstrade.

- Wiem, gdzie pan mieszka, panie Krogh przez „K”. Charles odłożył słuchawkę i usiadł, uśmiechając się do Agnety.

- Boże, jakie ciężkie jest życie - wstchnął.

Podeszła do niego, uklękła obok i czule dotknęła jego twarzy.

- Myślisz, że zwariowałem? - zapytał.

- Tak - powiedziała. - Tak właśnie myślę. Ale cię kocham. Oczywiście nie czekał na policję.

Przemył pociętą twarz; rany, na szczęście, nie były głębokie. Zmienił też pokrwawione ubranie.

Zapakował do torby mydło, maszynkę do golenia, ręcznik, koszule i swój drugi z najlepszych garniturów. W tym samym czasie Agneta zapakowała do swojej wielkiej walizki trzy sukienki, parę dżinsów, pół tuzina T-shirtów, kilka biustonoszy i kosmetyki. Żadnych majtek, nigdy ich nie nosiła.

Zamknęli na klucz drzwi mieszkania. Trzymali się za ręce na tylnym siedzeniu taksówki, gdy jechali do domu Rogera w Peder Skrams Gade. Pocałowali się szybko, zanim Charles wysiadł przed barem K0benhavner przy Gothergade.

- Zadzwoń do mnie wieczorem, Charles. Nawet jeśli nie będziesz miał zbyt wiele wolnego

czasu - powiedziała Agneta.

Posłał jej całusa.

- Kocham cię, głuptasku.

Charles wszedł do baru København, zostawiwszy torbę w szatni. Gdy zbliżał się do kontuaru, zacierając ręce, barman zwrócił się do niego jak do starego znajomego:

- Dzień dobry, panie Krogh. Co się z panem stało?

- Zaciąłem się przy goleniu.

- Wierzę panu. Co podać panu do picia?

- Jacka danielsa z lodem. Cóż by innego?

- Może suntory? - zapytał barman, pochylając się, aby znaleźć właściwą szklankę. Jego blond włosy błyszczały w świetle reflektorów niespotykanym blaskiem.

- Suntory - powtórzył Charles. - Czy oni przygotowują sm0rrasb0rd w Peru?

- Nie, proszę pana.

- Masz rację, Frederik. Tak jak whisky nie robią w Japonii.

Frederik nalał mu jacka danielsa. Charles wypił tak szybko, jakby to była woda mineralna, i podstawił szklaneczkę po następnego drinka. Frederik nalał mu i patrzył, jak pociąga kolejnego łyka.

— Wygląda pan na zmęczonego, panie Krogh, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, że zwrócę uwagę.

— Nie mam.

— Były do pana telefony. . - Telefony? Jakie? Ile?

— Sześć lub siedem. Wszystkie od tej samej kobiety.

— Miałem telefony od kobiety, a ty mi nic nie mówisz?

— Peder pomyślał, że lepiej nie dzwonić do pana do domu.

— Też sobie wymyślił - powiedział Charles, trochę zirytowany. - Więc kto dzwonił?

— Ta kobieta powiedziała... chwileczkę. Zapisałem to sobie. O, tu jest. Ta kobieta powiedziała, że pracuje w Hvidsten Inn w Jutlandii.

Charles poczuł chłód strasznego i niechybnego przeznaczenia, który jak rtęć przebiegł przez jego żyły. Hvidsten: to tam Krow iz Nosu zabił Nicholasa Reeda. A nic na świecie nie mogło przekonać Charlesa, że to, iż usłyszał nazwę wioski Hvidsten drugi raz w tym tygodniu, nie ma żadnego związku z ostatnimi wydarzeniami.

Wyjął papierosa i zapalił.

— Zostawiła jakiś numer?

— Nie. Powiedziała tylko „Hvidsten Inn” i coś o „starym kodzie”. I jeszcze coś. Nie rozumiem tego, ale mówiła, że pan prawdopodobnie będzie wiedział, o co chodzi. „Lamb prix”. Spytałem ją, czy

nie ma na myśli Grand Prix, ale powiedziała, że nie, „lamb prix”.

— „Lamb prix”? — Charles zmarszczył brwi, otoczony chmurą papierosowego dymu. Nagle zdał sobie sprawę, o co chodzi. - Lamprey. To miała na myśli. Lamprey.

— Wciąż tego nie rozumiem, panie Krogh.

— Wiem, że nie rozumiesz, przyjacielu, ale ja rozumiem. Podaj mi telefon.

Barman postawił przed nim aparat.

— Mam nadzieję, że to nie będzie rozmowa międzymiastowa - powiedział.

Charles przeglądał swój zaśmiecony karteluszkami portfel ze świńskiej skóry. W końcu znalazł kwit z pralni chemicznej z numerem telefonu na odwrocie, napisany starannie ręką kogoś z kontynentu: wszystkie siódemki przecięte były małą poziomą kreską.

— Międzymiastowa? — spytał barman, gdy wykręcał numer. — Czy Bonn to międzymiastowa?

— Bonn? - zapytał barman. — Bonn gdzie? Charles poklepał go wesoło po policzku.

— Ja znam tylko jedno Bonn.

Telefon dzwonił przez dwie lub trzy minuty, zanim ktoś odebrał. Dziewczęcy głos zapytał:

— Pod jaki numer pan dzwoni?

Charles powtórzył numer z przesadną dokładnością.

— I hasło brzmi Mentionable. Przynajmniej jest to jedyne hasło, jakie mi przekazano.

— Mam nadzieję, że zamierza pan zapłacić za rozmowę - powiedział barman.

— Daj mi jeszcze jednego drinka - zażądał Charles. Nastąpił trzask na linii, po czym usłyszał głęboki męski głos:

— Proszę mi podać pańskie nazwisko.

— Charles Krogh. Dzwonię z Kopenhagi, z Danii. Tak, z baru K0benhavner przy Gothergade.

Szybko działacie. Jestem pod wrażeniem. Przynajmniej dbacie o siebie.

— Co chce pan przekazać, panie Krogh?

— Właśnie otrzymałem wiadomość, zostawioną tutaj dla mnie przez Nicholasa Reeda, gdy był w Hvidsten Inn w Jutlandii.

— Co to za wiadomość?

— Lamprey, to wszystko.

— Wie pan coś o Nicholasie?

— Wiem, kto go sprzątnął. Sprawdziłem jego kontakty, razem z Jeppe Rifbjergiem. Teraz

Rifbjerg zniknął, a faceci, którzy sprzątnęli Nicholasa, próbują to samo zrobić ze mną.

Jego rozmówca umilkł. Nieskończenie długie przewody telefoniczne zaśpiewały smutną, świergotliwą piosenkę. W końcu mężczyzna powiedział:

— To pan próbował włamać się do biura firmy Klarlund i Christensen?

— Obawiam się, że tak.

— Cóż, musimy z panem porozmawiać, panie Krogh. Proszę przez jakiś czas pozostać tam, gdzie pan jest. Przyślę kogoś, żeby się z panem skontaktował.

— Proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie - powiedział Charles.

— Jeśli potrafię.

— Proszę mi powiedzieć, jak poważne jest to wszystko. W skali od jednego do dziesięciu.

— Nie jesteśmy pewni. Mamy swoje podejrzenia. Może wkrótce otrzymamy bardzo znaczące informacje.

— Ale poważne?

- Tak, panie Krogh. Poważne.

Charles odłożył słuchawkę, wyjął z kieszeni dwadzieścia pięć koron duńskich i rzucił je na kontuar. Barman schował je i pokiwał głową z uznaniem.

- Zawsze płacę za siebie - powiedział Charles. - A teraz nalej mi jeszcze jednego drinka.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Michael drzemał na sofie, gdy Lew potrząsnął go za ramię i powiedział:

— Panie Townsend, mamy wiadomości o pana przyjacielu.

Michael otworzył oczy. Przez ułamek sekundy nie mógł skojarzyć, gdzie się znajduje. Czuł suchość u ustach, a twarda kanapa odcisnęła czerwoną pręgę na jego policzku. Powoli podniósł się, usiadł i zakaszłał. Mieszkanie cuchnęło dymem papierosowym i ludzkim potem. Rosjanie nie uważają

dezodorantów za artykuły pierwszej potrzeby, zresztą i tak są one trudno dostępne.

— Właśnie zatelefonował jeden z naszych ludzi i przekazał, że pana przyjaciel znajduje się w biurze KGB przy ulicy Kazakowa i najprawdopodobniej jest przesłuchiwany — powiedział Lew. - Panna Konstantinowna również tam jest. - Popatrzył na zegarek. — Tak jak się spodziewaliśmy, o czwartej wyruszą stamtąd do Zagorska.

— Jest pan absolutnie pewien, że nie mogę dla niego nic zrobić? - zapytał Michael.

Lew usiadł przy nim i położył dłoń na jego kolanie. Miał krótkie, porośnięte włosami palce i szerokie poobgryzane paznokcie.

— Panie Townsend, rozważamy możliwość przyścia z pomocą pańskiemu przyjacielowi, ale jest to zbyt niebezpieczne, aby pan w tym uczestniczył. Powinien pan pozostać w ukryciu dopóty, dopóki nie wywieziemy pana z Rosji.

— Ale to wszystko moja wina - powiedział Michael. - To był mój pomysł, żeby jechać na wystawę do Moskwy. No i proszę.

Johna najzwyczajniej w świecie porwano, a ja siedzę tu jak w klatce. Nie wspomnę już o tych wszystkich materiałach i prototypach, które straciliśmy.

- Rozważamy możliwość uwolnienia pańskiego przyjaciela, zanim zostanie dowieziony do Zagorska - oznajmił Lew.

- Uwolnienia go? Jak?

- Cóż, istnieje oczywiście pewne ryzyko, dla nas wszystkich. Jednak pojedzie on w samochodzie KGB, eskortowanym tylko przez jednego, najwyżej dwóch motocyklistów. To zresztą bez różnicy.

- Chce pan napaść na konwój?

- Rozważaliśmy to.

- Czy coś takiego możliwe jest w Związku Sowieckim? To znaczy czy to się może udać?

- Drogi panie Townsend, Związek Sowiecki to ogromne przestrzenie. Może pan podróżować całymi godzinami i nie spotkać nikogo na swej drodze. Droga do Zagorska nie jest wyjątkiem.

Dyskutowaliśmy nad możliwością zaatakowania samochodu, w którym pojedzie pański przyjaciel, na południe od Tekstilszczik. Później uciekalibyśmy nie na zachód, jak zapewne spodziewać się będzie KGB i milicja, ale w kierunku wschodnim, na Skolkowo. Zawrócilibyśmy dopiero w nocy i jechali boczными drogami.

- Czy mógłbym napić się kawy? — zapytał Michael.

- W samowarze w kuchni jest herbata. Myślę, że będzie panu smakować.

Michael wstał z sofy i wszedł do zabałaganionej kuchni. Jakaś blondynka w fatalnie skrojonych dżinsach i luźnej koszulce wyjadała twaróg z półmiska, a przy niej stał młody mężczyzna, palący papierosa i mówiący coś do niej tonem, jakby co najmniej namawiał ją na pójście do łóżka. Michael przepłukał w zlewie jakąś szklanę i nalał sobie herbaty. Była letnia i lurowata, lecz wystarczyła mu, aby przepłukać usta.

- Potrafi pan wydostać nas obu z tego kraju? — zapytał Lwa.

- Jeśli obaj nie będziecie obawiać się pewnego ryzyka.
- Pan również ryzykuje. Lew wzruszył ramionami.
- Dla nas wszystkich ryzyko jest stałym elementem członkostwa w Lamprey. Poza tym bardzo byśmy chcieli porozmawiać z Rufiną Konstantinowną.
- Rozumiem - powiedział Michael. Wrócił do pokoju. - A po rozmowie co z nią zrobicie?
- Bardzo to pana interesuje?
- Tak — przyznał Michael. — W gruncie rzeczy bardzo. Lew popatrzył na niego uważnie bladymi oczami.
- Chyba się pan w niej nie zakochał?
- Myślę, że to nie pański interes.
- Cóż, chyba nie. Przynajmniej dopóki pański romansik nie stwarza zagrożenia dla pana albo dla kogoś z moich ludzi.

Lew powiedział coś po rosyjsku do dziewczyny krzątającej się po kuchni. Mówił długo, często powtarzał rosyjskie słowo awto-mobil. Dziewczyna kiwała głową, a gdy skończył, odpowiedziała mu.

Michael zrozumiał, że zgadza się z Lwem.

W końcu Lew odezwał się po angielsku:

- Uważamy, że ryzyko nie jest nadzwyczajne. Inaczej mówiąc, jeśli akcję na samochód KGB przeprowadzimy szybko i sprawnie, może nam się udać. Oczywiście, będzie pan musiał działać razem z nami, gdyż natychmiast potem odstawimy pana do fińskiej granicy, razem z pańskim uwolnionym przyjacielem, zresztą również wówczas, gdy nam się nie uda go uwolnić.
- A jeśli będzie nas ścigać milicja?
- Drogi panie Townsend, takie ataki to nic nadzwyczajnego w Związku Sowieckim. W ciągu ostatnich dwudziestu czy trzydziestu lat dokonano całe mnóstwo napadów na agentów KGB. Czynią

to ruchy dysydenckie, czasami nawet wynajmowani ludzie z zagranicy. Czy naprawdę uważa pan, że reżim taki jak komunistyczny może trwać nie narażony na gwałtowne ataki?

- Myślę, że nie - przyznał Michael. Wypił łyk herbaty, a potem znów odezwał się do Lwa: -

Orientuje się pan, co się właściwie dzieje, dlaczego Anglicy pozwalają Rosjanom przetrzymywać takich ludzi jak John?

- Cóż, mamy swoje teorie - powiedział Lew. - Najłagodniejsza jest ta, wedle której Brytyjczycy chcą zacieśniać związki handlowe z ZSRR ze względu na stopniowe załamywanie się Wspólnego Rynku i oferują niektórych swoich najlepszych naukowców jako przynętę.

- Wierzy pan w to?

- Ani trochę. Uważam, że dzieje się coś znacznie bardziej poważnego. Myślę, że jesteśmy świadkami pierwszych ruchów w procesie całkowitej zmiany sojuszków politycznych, pierwszej od zakończenia Rewolucji Październikowej. Widzi pan, priorytety się zmieniają, gospodarka międzynarodowa jest niczym silny prąd pod powierzchnią dyplomacji. Państwa i narody dorastają, starzeją się, stają się mądrzejsze. Konfrontacja Wschód-Zachód nie ma już sensu od końca lat pięćdziesiątych i radykalna zmiana jest nieunikniona. Dulles i Chruszczow nie żyją od lat, przyjacielu.

Żyjemy w dobie komputerów i politycy nic na to nie poradzą. Taki jest świat. Gdyby komputer miał podzielić świat, jak by to zrobił? Na pewno nie tak jak Anglicy i Francuzi w dziewiętnastym wieku, na

na pewno nie tak, jak zamierzał Hitler i Stalin. Na pewno nie tak, jak świat podzielono w Jałcie.

Komputer podzieliłby świat zgodnie z dzisiejszymi praktycznymi wymogami, obawami, możliwościami. A więc z pewnością inaczej, niż stało się to przed laty. I to właśnie, tak myślę, obecnie zachodzi: nowy podział świata, całkowita zmiana granic i sojuszy. Świat już nie wytrzymuje napięcia zimnej wojny. Stało się to zbyt drogie, zbyt absorbujące ludzi i środki, zbyt anachroniczne, bo podtrzymuje dawno przestarzałe systemy polityczne. W jakim okresie historii świata dwa wrogie

reżimy były tak statyczne i tak bezsensowne w samoniszczeniu się poprzez budowę coraz droższych i potężniejszych arsenałów? Przez ten czas świat tak się zmienił... ludzie inaczej myślą, technologia ma zupełnie inny wymiar. Tak, przyjacielu, stoimy u progu wielkiej przemiany, przed czymś, co wstrząśnie ziemią.

Michael milczał. Podeszedł do okna i popatrzył na mały wąski zaułek pomiędzy dwoma blokami mieszkalnymi. Stare powojenne budynki, szare i brzydkie. Najsmutniejsze oblicze Moskwy. Takie same bloki stoją i w Londynie, i w Nowym Jorku. Budynki wznoszone w okresie optymizmu i determinacji, gdy pamięć minionej wojny wciąż żyła i wszyscy byli przekonani, że nic takiego więcej się nie powtórzy. Z równym powodzeniem ludzkość walczy z rakiem, pomyślał Michael.

Lew położył rękę na jego ramieniu gestem jakby wyrażającym zrozumienie dla myśli Michaela.

- Nie mamy wyboru, przyjacielu. Ty i ja jesteśmy jak ziarenka piasku w klepsydrze. Kiedy klepsydra zostanie odwrócona, przesypiemy się w tym kierunku co wszystkie inne ziarenka.

Michael pokiwał głową.

- Niech mi pan pokaże, jak używać któregoś z tych waszych karabinów.

- AKM? — zapytał Lew, zdziwiony. — To rzecz nie dla pana, przyjacielu.

- A jednak proszę mi pokazać, jak to działa

- Oczywiście. To bardzo proste. Zaprojektowano go tak, żeby mógł go używać byle amator.

Lew powiedział coś po rosyjsku do młodego człowieka, który siedział na sofie i palił zakończony długim ustnikiem papierosa. Młody sięgnął ręką za siebie i po chwili trzymał karabin automatyczny. Rzucił go do Lwa, który złapał go w locie, i podał Michaelowi. Karabin był niespodziewanie ciężki. Ważył ponad dziewięć funtów i śmierdział oliwą.

- Dźwignia po lewej stronie służy do zmiany rodzaju ognia - powiedział Lew. - Jeśli znajduje się w górnym położeniu, automat w ogóle nie będzie strzelał. W środkowym będzie strzelał seriami, w dolnym - ogniem pojedynczym. Ta dźwignienka przed osłoną spustu uwalnia magazynek. Poza tym

musi pan jeszcze wiedzieć tylko to, że lufę należy zwracać w kierunku wroga, a drewnianą kolbę w kierunku przyjaciół.

Młody mężczyzna roześmiał się, nie wyjmując z ust papierosa, który trząsał się przy tym w jego wargach.

Wydawało się, że komplikacjom przed wyruszeniem z mieszkania nie będzie końca. Lew stracił prawie godzinę na rozmowy telefoniczne. W ciągu krótkiego czasu spędzonego z dysydentami nazywającymi siebie grupą Lamprey Michael zdążył się jednak nauczyć, że nikt z nich pod żadnym pozorem nie opuści mieszkania, dopóki nie będzie zupełnie pewny, że ulica wolna jest od jakichkolwiek podejrzanych osobników, że zapowiedziane samochody przybędą na czas i że zabezpieczono się przed wszelkimi niespodziewanymi wypadkami, od nagłej obecności „ogonów” do

nieobecności własnych agentów. Żyli w ciągłym zagrożeniu zadenuncjowaniem i śmiercią.

Michaelowi, który nigdy nie musiał martwić się niczym poważniejszym niż wysokość konta w banku, ich postawa wydawała się w tej sytuacji pragmatyczna i zrozumiała. Przebywał w Moskwie dopiero od kilku dni, ale był już świadomy represyjności tego państwa i dziejących się w nim nonsensów: brak

zachodniej prasy w kioskach z gazetami, potężne kolejki przed sklepami i restauracjami, wymaganie, aby każdy zagraniczny turysta wyjeżdżający z Moskwy przedstawił najpierw plan swojej trasy w Inturiście, prawo zabraniające obcokrajowcom spędzania nocy w domach Rosjan... W gruncie rzeczy każdy z tych zakazów był głupi i nikły. Zebrane razem stanowiły jednak potężne ograniczenie praw ludzkich.

Około drugiej Lew i jego towarzysze byli gotowi do drogi. Kierowca miał podjechać pod blok dokładnie o drugiej zero siedem. Dziewczyna w luźnej koszulce wybierała się razem z nimi, zresztą podobnie jak młody człowiek siedzący na sofie, który palił papierosa za papierosem. Na ich broń składały się dwa AKM-y, jeden w rękach Michaela, dwa rewolwery i ręczny granatnik

przeciwpancerne RPG-7, który młody człowiek wyniósł na ulicę, zawinięty w szmatę do wycierania podłogi. Gdy ukazali się w drzwiach wyjściowych, natychmiast podjechał do nich czterodrzwiowy moskwicz. W ciągu kilku sekund zniknęli wszyscy w jego wnętrzu. Broń ukryli na podłodze pomiędzy przednimi a tylnymi siedzeniami. Samochód był mały i obskurny, lecz Michael natychmiast zorientował się, że ma dobry, podrasowany silnik. Kiedyś „poprawił” w ten sam sposób swojego starego Morrisa Minora, lecz gdy rozwalił go w drobny mak, samemu cudem wychodząc z tego bez szwanku, zrezygnował z tego rodzaju udoskonaleń.

Niespodziewanie zdał sobie sprawę, że jest podekscytowany i bardzo mu się podoba, że siedzi tu teraz z Lwem oraz jego kompanami i pędzi przez ulice Moskwy samochodem wyładowanym bronią maszynową. Przypomniały mu się chłopięce marzenia i zabawy.

- Musimy uważać na milicję - powiedział Lew. - Mają posterunki wzdłuż wszystkich głównych szos. Być może zatrzymają nas na kontrolę. W takim wypadku bardzo proszę nic nie mówić. Proszę cały kłopot zostawić nam. Jeśli zwietrzą w panu obcokrajowca, będziemy mieli poważne kłopoty.

Jechali na północ prospektem Mira i wkrótce znaleźli się na przedmieściach Moskwy. Było jasne, słoneczne popołudnie. Patrząc na zachód, Michael dostrzegał srebrne szpileczki samolotów, lądujących i startujących z portu lotniczego Szeremietiewo-2. Przez moment cała przygoda wydała mu

się czymś nierealnym. Pomyślał o Margaret. Prawdopodobnie bardzo się już o niego martwi. Miał nadzieję, że brytyjski kontrwywiad za bardzo się nią jeszcze nie interesuje. Zaczynał rozumieć, że cała

ta sprawa nie jest przesadzona. A wręcz przeciwnie. Służby wywiadowcze pracują dla rządów, a rządy

nie troszczą się o los pojedynczych ludzi. Służby wywiadowcze to potężne maszyny pracujące dla masin jeszcze potężniejszych.

Prospekt Mira poprowadził ich wzdłuż parku Sokolnickiego, a potem obok wielkiej Wystawy Radzieckich Osiągnięć Ekonomicznych. Fałszywy telefon z Lamprey odwołał Rufinę właśnie na tę

wystawę. Z samochodu widzieli Pomnik Kosmosu, wysoką betonową iglicę upamiętniającą sowieckie

sukcesy w przestrzeni kosmicznej. Następnie szosa skręciła na północny wschód, w kierunku Zagorska i ich rendez-vous z samochodem KGB koło Tekstilszczik.

— Nareszcie podróżuje pan z przewodnikami - powiedział Lew kwaśno. - Szkoda, że nie zobaczy pan Zagorska. Jest tam bardzo ładna cerkiew Wniebowzięcia. Poza tym miasto znane jest z wyrobu ładnych zabawek. Ma pan syna, prawda? Z pewnością ucieszyłby się z zabawki z Zagorska.

— Dopóki nie zobaczy swojego ojca znów w domu, bardzo wątpię, czy zainteresują go jakiegokolwiek zabawki.

Dziewczyna popatrzyła na zegarek.

— Wyjeżdżamy sporo czasu przed samochodem KGB. Jeśli nie będzie żadnych kłopotów, zostanie nam wiele czasu na przygotowanie zasadzki.

Przejechali most na Jałzie. Okolica przypominała Michaelowi Worcestershire. Nad zalanymi słońcem polami krążyły wrony. Niebo było nieomal białe.

— Milicja — oznajmił kierowca, patrząc w lusterko. Michael miał już odwrócić się do tyłu, lecz dziewczyna silnie ścisnęła jego udo i powiedziała:

— Niech się pan zachowuje normalnie, bardzo proszę. Niech pan nic nie mówi i się uśmiecha.

Żółto-niebieski samochód patrolowy wyprzedził ich i milicjant siedzący po prawej stronie machnął im, aby zjechali na pobocze. Kierowca uczynił, co mu nakazano, i wyłączył silnik. Zapadła cisza. Siedzieli w samochodzie i patrzyli, jak dwóch uzbrojonych milicjantów gramoli się z radiowozu

i podchodzi w ich kierunku. Kierowca opuścił szybę.

— Zdrastwujcie — powiedział do funkcjonariusza, który stanął przy nim. — Czy dobrze jedziemy na Zagorsk?

Twarz milicjanta pozostała bez wyrazu. Przypominała wyschniętą pajdę chleba, z dwoma

otworami na oczy.

- Prawo jazdy! I kartę rejestracyjną samochodu - zażądał sucho milicjant.

Kierowca otworzył skrytkę na dokumenty. Drzwiczki ledwo trzymały się na jednym zardzewiałym zawiasie. Zaczął gmerać w środku w poszukiwaniu dokumentów.

- Wszyscy pokażcie dokumenty — dodał milicjant.

Gdy Lew podawał mu papiery przez okno, funkcjonariusz zapytał:

- Jaki jest cel waszej podróży?

- Jedziemy do mojej matki - powiedział Lew. - Ostatnio coś niedomaga. Reumatyzm.

- Czy wszyscy ci ludzie jadą do twojej matki? - zapytał milicjant. Ciągle trzymał papiery Lwa i wyciągał rękę po dokumenty młodszego mężczyzny.

- To moi przyjaciele. Kochają moją matkę prawie tak jak ja sam.

- Jak nazywa się twoja matka?

- Jewdokija Safanowa. Mieszka przy ulicy Andrieja Rublewa numer dziewięć. Na drugim piętrze, obok Rotmistrowej. - Lew rozmawiał z funkcjonariuszem milicji, jakby ten był niegroźnym idiotą.

Milicjant pociągnął nosem i otarł jego koniuszek rękawiczką.

- A ty? - skinął na Michaela. - Pokaż swoje dokumenty. Michael nie zrozumiał go, jednak nie miał wątpliwości, czego od niego zażądano. Uśmiechnął się z trudem i wzruszył ramionami. Milicjant

przytknął niecierpliwie palcami i powtórzył żądanie:

- No już, dawaj dokumenty.

Michael znowu potrząsnął ramionami. Milicjant bez dalszych pytań cofnął się o krok i wyciągnął pistolet. Mówiąc coś po rosyjsku, wskazał na pobocze.

- Mówi nam, żebyśmy wyszli i stanęli plecami do samochodu - przetłumaczył Lew.

- Co robimy? — zapytał Michael. Słowa z trudem przeciskały mu się przez gardło.

- Zaraz pan zobaczy.

Wyszli z samochodu i stanęli przy nim, tak jak kazał milicjant. Machnął na nich pistoletem i powiedział:

- Ręce do góry. Świetnie. I tak trzymać.

- Sądzę, że nie będzie pan zainteresowany zielonym biletem? - zapytał Lew milicjanta.

„Zielonym biletem” jest banknot trzyrublowy, który kierowcy w ZSRR z przyzwyczajenia już wkładają do praw jazdy, gdy zatrzymywani są przez patrole drogowe. „Czerwony bilet” to banknot o nominale pięciu rubli. Zwykle wystarcza jako łapówka za przymknięcie oka na przekroczenie szybkości czy parkowanie w niedozwolonym miejscu.

Funkcjonariusz zignorował pytanie i zawołał do swojego kolegi:

- Przeszukaj samochód, a potem całą tę zgraję. A ty - wskazał na Michaela - jak się nazywasz?

- Proszę go nie pytać - wtrącił Lew i dodał, konfidencjonalnie: — On ma problemy z głową. -

Znaczyło to, że Michael jest niespełna rozumu.

- Poczekaj - powiedział funkcjonariusz do kolegi, jakby nie był pewien, co robić.

- Czerwony bilet? - zapytał Lew.

- Albo nie. Sprawdź samochód. Tylko się pośpiesz - powiedział milicjant do kumpla.

Michael trzymał ręce nad głową. Spojrzał na Lwa, z nadzieją, że ten doda mu pewności siebie, ale Rosjanin najwyraźniej wydawał się nie przejmować sytuacją. Patrzył gdzieś na pole i cicho pogwizdywał. W przydrożnym rowie cicho cykały świerszcze. W polu widzenia nie było żadnego samochodu. Michael już miał się odezwać, gdy ciszę wczesnego popołudnia przerwały dwa dziwne odgłosy, jakby ktoś pompował dętkę rowerową. Michael podniósł głowę wystarczająco szybko, aby ujrzeć, jak dwaj milicjanci opadają na kolana, a następnie na szary asfalt.

Dziewczyna w szerokiej koszulce chowała już automatyczną berettę z tłumikiem do nylonowej kabury pod pachą.

- Pośpieszmy się - powiedział Lew.

Młody mężczyzna podbiegł do milicjantów, kolejno ujął ciała pod pachy i powlókł je po asfalcie do samochodu patrolowego. Starannie usadził zwłoki na przednich siedzeniach, zapiął pasy i pozamykał drzwi auta. Lew włożył do kabury milicjanta należący doń pistolet,

Michaela zafascynowała szybkość, płynność i koordynacja poczynań Lwa i jego kolegów.

Równie dobrzy byliby, tańcząc Jezioro łabędzie. Zapalili silnik radiowozu, zwolnili ręczny hamulec i pchnęli auto do płytkiego rowu. Zatrzymało się w nim z cichym warkotem ciągle pracującego silnika.

Dziewczyna podała Lwu swój szalik, który ten wepchnął tak głęboko do zbiornika paliwa w samochodzie patrolowym, że wystawał tylko koniuszek. Następnie wyciągnął szal, pozostawiając w nim jeden koniec, a drugi podpalił zapalniczką. Uczyniwszy to, machnął na pozostałych, aby wskakiwali do moskwicza.

- To wszystko. Ruszamy.

Silnik moskwicza zawył głośno, gdy samochód ruszył, kierując się znów na północny wschód.

Lew zapalił papierosa i ciężko westchnął. Za nimi rozległo się nagle głośne „boom!” i odwróciwszy się, Michael zobaczył potężne żółte płomienie i czarny dym unoszący się nad radiowozem na tle prawie białego wczesno-popołudniowego nieba.

- Czy KGB nie zmieni drogi, gdy zobaczą wrak samochodu na swojej trasie? - zapytał Michael.

Lew potrząsnął głową.

- Milicja drogowa ma fatalnych kierowców, przyjacielu. Rozbite samochody patrolowe widać u nas na każdym kroku. Poza tym kilka kieliszków wódki, nudne popołudnie, pusta szosa i sto pięćdziesiąt na liczniku muszą zrobić swoje. Wystarczy chwila, aby stracić kontrolę nad kierownicą i obudzić się, jak to mówią w Anglii, u świętego Pawła...

- Piotra - poprawił go Michael.

- Tak, rzeczywiście, Piotra.

Dziewczyna uśmiechnęła się do Michaela. Chciał odwzajemnić się jej jakimś rosyjskim słowem, ale nie mógł sobie w tym momencie niczego odpowiedniego przypomnieć, mimo że Rufina uczyła go w nocy różnych miłych słówek. Jak by zabrzmiało po rosyjsku: „Czy lubisz strzelać do policjantów?” albo „Twój pistolet ma doskonały tłumik, gdzie go kupiłeś?”

Dym z płonącego samochodu zniknął za nimi.

- No dobrze - powiedział Lew. - Zjedźmy teraz z drogi i zatrzymajmy się między drzewami.

Nie zmniejszając szybkości, kierowca skręcił w prawo i trzęśli się przez chwilę na dziurach, korzeniach i kamieniach, dopóki nie zatrzymali się między jodłami, zupełnie niewidoczni z szosy.

Lew szybko porozdawał wszystkim broń leżącą do tej pory spokojnie na podłodze. Wręczył Michaelowi „jego” AKM i dwa magazynki amunicji. Nie powiedział nic poza krótkim:

- Proszę nie strzelać, dopóki panu nie powiem albo dopóki nie będzie pan musiał.

Michael pokiwał tylko głową i głośno przełknął ślinę. Czekali bardzo długo, leżąc płasko na trawie. Niebo nad ich głowami powoli przybierało ciemne barwy. Z zachodu nadchodziła majowa burza. Trawa falowała i przyjemnie pachniała. Świerszcze cykały wesoło. Michael kichnął kilka razy -

odezwał się jego katar sienny. Szosą przejechało tylko kilka samochodów osobowych i konwój ciężarówek wojskowych. Poza tym nic nie zakłócało spokoju popołudnia. Pomiędzy drzewami latały motyle, a wiatr przywiewał piosenki znad Polski i Półwyspu Skandynawskiego.

W końcu Lew, który przez cały czas patrzył na szosę przez lornetkę, powiedział:

- Nadjeżdżają.

— Jest pan pewien? — zapytał Michael.

Lew bez słowa podał mu lornetkę i wskazał na południowy zachód. Prawie na linii horyzontu Michael zobaczył dwóch milicjantów na motocyklach, z zapalonymi przednimi światłami, eskortujących jadącą za nimi czarną wołgę.

- KGB, nie ma wątpliwości - oznajmił Lew. - Anton, jesteś gotowy?

Anton zdążył już zająć się swoim RPG-7 i załadować go pięcioletnim granatem przeciwpancernym.

— Niech pan nastawi automat na ogień ciągły - powiedział Lew do Michaela. — Nawet jeśli nikogo pan nie trafi, przynajmniej ich pan przestraszy.

Im bliżej znajdował się konwój KGB, tym bardziej Michael się pocił. Wkrótce zaczną strzelać, inaczej konwój ich wyminie. W chwili gdy Michael pomyślał, że zasadzka jednak się nie udała, Lew podniósł rękę, przez chwilę przytrzymał ją w górze i opuścił gwałtownie. Rozległ się gwałtowny terkot broni maszynowej.

Obaj milicjanci na motocyklach spadli z nich momentalnie, jakby natrafili na rozciągnięty drut. Ich ciała potoczyły się po drodze, z porzucanymi luźno rękami i nogami, jakby byli akrobatami wykonującymi skomplikowane ewolucje. Motocykle szurnęły do przodu po asfalcie, krzesząc grad iskier. Kierowca wołgi próbował przejechać pomiędzy nimi, jednak w tej samej chwili powietrze przecięło głośnie „buum!” pocisku odpalanego z RPG-7 i przód samochodu eksplodował surrealistyczną mieszanką dartej metalu i pryskającego szkła. Samochód pochylił się i stanął. Dwóch

ludzi z KGB wysiadło z niego z rękami na głowach. Jeden przez drugiego głośnie wykrzykiwali „nie strzelać!” Zaraz jednak ścięła ich kolejna seria z automatu i padli na asfalt obok motocyklistów. Cały atak trwał mniej niż piętnaście sekund. Nastąpiła cisza. Po chwili powstał Lew i podszedł do rozbitego

samochodu, z automatem ciągle gotowym do strzału. Michael poszedł za jego przykładem, z uniesionym AKM, chociaż podczas całej akcji nie oddał ani jednego strzału.

- Widzi pan? Wszystko jest kwestią sprawnej organizacji - powiedział Lew, czubkiem buta przewracając na wznak jednego z martwych funkcjonariuszy KGB.

Michael popatrzył na pulchną twarz, wpatrzoną bezmyślnie w niebo. Młody człowiek, może dwudziesto-, może dwudziestodzieciolatek, pomyślał. Do policzka, w miejscu, w którym nad

ranem zaciął się przy goleniu, miał jeszcze przyklejony skrawek papieru toaletowego. Jego krew płynęła strugą po szosie, łącząc się z krwią innych zabitych KGB-owców w szerokiej szkarłatnej kałuży.

- To wszystko mnie zaskoczyło — rzekł Michael. - Nie oddałem nawet jednego strzału.

- Nie było potrzeby. Broni nigdy nie należy używać, jeśli nie jest to absolutnie konieczne.

- Nie - powiedział Michael. Popatrzył na wołgę. Ciężko wzdychając, dodał: - Kurwa mać.

Dziewczyna tymczasem otworzyła tylne drzwi samochodu.

- Wysiadać — rzuciła po angielsku. Z tylnego siedzenia niezgrabnie wygramolił się John.

Prawą rękę miał spiętą kajdankami z Rufiną, która równie niezgrabnie wysiadła za nim.

- Michael? — John zamrugął oczyma. Nie miał okularów. Prawdopodobnie odebrano mu je na KGB. - Michael, czy to ty?

Michael dotknął ramienia Lwa w geście podziękowania. Potem przełożył AKM do lewej ręki i podszedł do Johna, aby ten mógł się upewnić, że to rzeczywiście on. John popatrzył na niego, mrużąc oczy, aż wreszcie wyciągnął rękę, aby się z nim przywitać. Rufina wydawała się kompletnie zdezorientowana. Patrzyła to na Michaela, to na Lwa, a potem na broczące krwią zwłoki motocyklistów i agentów KGB.

- Co to ma znaczyć? - zapytał John. - Prywatna armia Michaela Townsenda? Nie mogę uwierzyć. Czy naprawdę ich wynająłeś?

Michael potrząsnął głową.

- Ci ludzie są przyjaciółmi. Próbowali uchronić nas wczoraj rano przed zatrzymaniem przez KGB, jednak nie do końca im się to udało... Lew, to jest John Bishop. John, to jest Lew.

- Musimy teraz działać szybko - powiedział Lew. Następnie zwrócił się do Rufiny: - Gdzie są kluczyki do tych kajdanek? Ty je masz?

Rufina, biała jak śnieg, wyszeptała: „Nie”, i wskazała na jednego z leżących na drodze agentów KGB. Ludzie Lwa zdążyli już odciągnąć w krzaki ciała motocyklistów i zajmowali się ich maszynami.

Lew przeszukał kieszenie wskazanego agenta i w końcu znalazł w jednej z nich pęk kluczy.

- Który? - zapytał, lecz Rufina nie odpowiedziała. Rozłożyła tylko wolną rękę, co miało znaczyć, że nie wie. - Do cholery z tym - powiedział Lew. - Teraz nie ma na to czasu.

Gdy szli do moskwicza, John odezwał się:

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że to wszystko prawda.

- Tak, prawda — powiedział Michael. Popatrzył na Rufinę, która ciągle milczała.

Całą broń rozmontowano i zapakowano do samochodu. Młody człowiek i dziewczyna opuścili ich tu, aby przejść trzy kilometry przez pole do małego kołchozu, gdzie mieli przygotowany motocykl.

Lew usiadł obok kierowcy, a John i Michael na tylnym siedzeniu, z Rufiną w środku.

Wyjechali z krzaków z powrotem na drogę, okrążyli wrak wołgi KGB i skierowali się na południowy zachód, w stronę, z której przyjechali. Jechali tą szosą jednak tylko kilka kilometrów, po czym skręcili na wschód, w kierunku Skolkowa.

- Nigdy nie myślałem, że coś takiego może się wydarzyć w Rosji - dziwił się John. — Prawdę mówiąc, w ogóle sobie czegoś takiego nie wyobrażałem.

- Lew wszystko ci opowie - stwierdził Michael.

Lew odwrócił się na swoim siedzeniu i wskazał głową na Rufinę.

- Nie w obecności tej damulki.

Minęła ich ciężarówka jadąca z naprzeciwka, w kierunku Zagorska, pierwszy samochód, jaki ujrzeli od wielu minut. Przed nimi unosił się jeszcze dym z dogorywającego radiowozu i Michael ujrział skupisko samochodów milicyjnych i wozów straży pożarnej.

- To wy podpaliliście ten samochód? — zapytała Rufina.

- Jego właściciele okazali się kretynami - odpowiedział Lew.

- I tak nie uciekniecie.

- Być może. To nie jest piknik.

- Michael — powiedziała Rufina. — Nawet nie wiesz, jak to wszystko jest niebezpieczne. Jeśli natychmiast wszyscy się nie poddacie, zostaniecie po prostu zabici. Pomoc w zabójstwie podlega w Związku Radzieckim karze śmierci. Jeśli ty i John namówicie tych ludzi, żeby się poddali, obiecuję wam, że będę zeznawać na waszą korzyść.

Michael popatrzył na Lwa, który tylko wzruszył ramionami i powiedział:

- Bardzo przekonująca, prawda?

- Michael - powtórzyła Rufina, ale Lew warknął:

- Dostyc, dziewczyno. Zamknij się.

- Może ściągnijmy wreszcie te kajdanki - zaproponował John. Lew podał kluczyki Michaelowi, który po kolei próbował każdy z nich.

- Zabrali mnie na jakiś posterunek i kazali siedzieć w poczekalni prawie trzy godziny - powiedział John. - Potem przyszedł jakiś facet i powiedział mi, że jestem aresztowany za przywóz do Związku Radzieckiego wywrotowej literatury i że zostanę w tej sprawie przesłuchany. Poprosiłem o umożliwienie skontaktowania się z ambasadorem Wielkiej Brytanii, ale odmówili. Chciałem więc zatelefonować do ciebie, ale stwierdzili, że w ZSRR nie przebywa nikt o takim nazwisku. Powiedzieli,

że mam się przyzwyczajać do myśli, że spędzę w Związku Radzieckim dużo czasu.

- No, proszę. - Lew pokiwał głową.

Jechali z dużą szybkością na wschód w kierunku Skolkowa. Za nimi ukazał się helikopter patrolowy Mi-4, lecący wzdłuż szosy do Zagorska, wkrótce za nim ukazał się drugi.

- Już wiedzą o zasadzce - powiedział Lew. - Za chwilę zjedziemy z drogi i ukryjemy się na kilka minut.

- To szaleństwo - stwierdziła Rufina.

- Znani jesteśmy z szalonych pomysłów - odparł Lew. - Zobaczysz, jak będziemy szaleni, gdy zacniemy cię przesłuchiwać.

Rufina umilkła i siedziała spokojnie, czekając, aż Michael znajdzie wreszcie właściwy klucz do kajdanek. W końcu zamek zaskoczył i stalowe obręcze otworzyły się. John uniósł dłonie i mocno potarł przeguby.

- Zakujcie w kajdanki pannę Konstantinówną – powiedział Lew. - Nie chcę, żeby coś głupiego przyszło jej do głowy, na przykład myśl o ucieczce. - Uśmiechnął się do Rufiny, ukazując zęby brązowe od tytoniu. - Gratuluję panu, Michael. Wcale atrakcyjna dziewczyna. Zupełnie niepodobna do straszydeł pracujących zwykle w KGB.

Po chwili odezwał się John, głosem tak cichym, że ledwo go usłyszeli:

- Zbili mi okulary. To było pierwsze, co zrobili.

Siedział z podbródkiem ukrytym w dłoni i patrzył przez szybę na mijany krajobraz, zamazany z powodu jego krótkowzroczności i łez w oczach.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Jeremienko miał właśnie udać się do kantyny, aby spotkać się z B. J. Sierpuchowem, komisarzem Zachodniego Kierunku Strategicznego, gdy nadbiegł pułkownik Czujkow. Jego wypolerowane buty uderzały o posadzkę korytarza jak kopyta galopującego konia.

- Widzę, że się śpieszycie, towarzyszu pułkowniku - zauważył.

- Muszę wam przekazać ważną wiadomość - wydyszał Czujkow. Był cały spocony. Widać było, że biegł przez dłuższy czas. Nagle Jeremienko uzmysłowił sobie, że Czujkow powinien być w Haldensleben z Gołowanowem, że zaledwie przed kilkoma minutami, gdy patrzył znad biurka przez okno, zobaczył helikopter Mi-14 przelatujący nienaturalnie nisko nad zabudowaniami kwatery głównej.

- Coś się stało? - zapytał.

- Towarzyszu, bardzo proszę. Przykazano mi, abym tę wiadomość przekazał wyłącznie wam, w warunkach gwarantujących pełną dyskrecję.

- Dobrze więc - powiedział Jeremienko. Popatrzył na zegarek. Był już pięć minut spóźniony na spotkanie i zdawał sobie sprawę, że Sierpuchow już się niecierpliwi. Sierpuchow był przekonany, że ten, kto nie traktuje go z należyty szacunkiem, de facto okazuje lekceważenie partii. Jeremienko otworzył drzwi, na których wisiała tabliczka z napisem „Oficer dyżurny”, i machnął na Czujkowa, aby wszedł do środka.

— No więc? — zagadnął, spoglądając na fosforyzujące wskazówki swojego zegarka. - Czy coś złego przydarzyło się marszałkowi Gołowanowowi? Coś z jego sercem?

Czujkow odpowiedział, z trudem łapiąc powietrze:

— Nie, towarzyszu, nie z jego sercem.

- A więc? - zachęcił go Jeremienko.

— On zniknął. Ludzie z GRU w Haldensleben sądzą, że mógł zostać porwany.

Jeremienko spojrział na niego uważnie.

— Gołowanow? Porwany? Gołowanow jest marszałkiem. Gołowanow jest bohaterem Związku Radzieckiego! W jaki sposób mógł zostać porwany?! Nikt nie porywa takich ludzi jak Gołowanow! To absurdalne! Absolutnie w to nie wierzę! Być może, nie wiem, zniknął na kilka godzin z tą swoją dziewczyną.

- Obawiam się, że nie, towarzyszu. Jednak został porwany. Przyleciałem tu z Haldensleben tak szybko, jak tylko było to możliwe. Major Greczko koordynuje w tej chwili akcję poszukiwawczą, którą prowadzi KGB, GRU i niemiecka policja.

Jeremienko usiadł na skraju biurka.

- Cholera - powiedział. A po chwili niemal się uśmiechnął. -To zapewne sprawka tej Ingi, co? Spodziewam się, że i po niej nie ma żadnego śladu.

Czujkow niechętnie skinął głową.

- Cóż, w takim razie - kontynuował Jeremienko - myślę, że wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za zniknięcie marszałka, wszyscy, którzy widzieliśmy, jak Gołowanow wygłupia się z tą prostytutką.

Cóż za wstrętna sprawa, pułkowniku. Widzieć, jak owija go sobie wokół palca dziwka, która by nawet

na niego nie spojrzała, gdyby on nie był marszałkiem, a ona agentką KGB. Wyjdzie nam to bokiem.

Okaże się, że była podwójną agentką, skoro nie próbowała uchronić marszałka przed porwaniem, a bardzo w to wątpię.

- Lecz jeśli pracowała dla kogoś innego niż KGB...

- To dla kogo, prawda? Nie sądzę, aby dla Amerykanów. Z pewnością dla żadnego z państwowych wywiadów. Dla kogo więc? Musimy się dowiedzieć, towarzyszu pułkowniku.

- Co z operacją Byliny? - zapytał Czujkow ochryłym głosem.

- Co takiego?

- Skoro marszałek został porwany... cóż, ludzie, którzy tego dokonali, z całą pewnością zmuszą go do mówienia. Jeśli go nie zabili.

— Sugerujecie, że operacja Byliny przestała być tajna?

- Byłoby nie w porządku z mojej strony sugerowanie czegoś takiego, towarzyszu. Mimo wszystko wierzę w patriotyzm marszałka i wierzę, że jest w stanie wytrzymać nawet najcięższe przesłuchania. Tak jak jego ojciec, który nie puścił pary z ust w śledztwie, mimo że był tak bity, iż w końcu zmarł od ran odniesionych podczas przesłuchań.

Jeremienko obgryzał nerwowo paznokcie.

— Nie, nie, pułkowniku. Być może częściowo macie rację. Nie wątpię wcale ani w siłę woli marszałka Gołowanowa, ani w jego patriotyzm. Lecz obecnie metody prowadzenia przesłuchań są o wiele bardziej efektywne niż w czasach wielkich czystek. Nie możemy uzależniać powodzenia operacji Byliny, życia setek tysięcy żołnierzy, od wątpliwej odporności starego człowieka na ciężkie

tortury. Zbyt wielkie jest w tym wypadku ryzyko. Powiedzcie mi, pułkownik, czy marszałek

Kutakow został już o wszystkim poinformowany?

— Posłano specjalnego człowieka z wiadomością.

- Zatelefonujmy więc do niego. Proszę za mną do mojego gabinetu.

Czujkow ruszył za Jeremienką. Gdy Jeremienko usiadł za biurkiem, podniósł słuchawkę telefonu i poprosił o połączenie z naczelnym dowódcą, Czujkow wyciągnął z kieszeni wygniecioną chusteczkę i otarł spocone czoło. Jak do tej pory wieczór sprawiał wrażenie sennego koszmaru.

Wszystkim w Hałdensleben wydawało się przez cały czas, że Gołowanow jest z kimś innym. Major Greczko, który spóźnił się na obiad, pomyślał, że Gołowanow rozmawia z Czujkowem. Czujkow, który przybył na daczę komandora Żukiłowa punktualnie o dziewiętnastej czterdzieści pięć, myślał, że

Gołowanow przebywa z Greczką. Kierowca Gołowanowa twierdził, że ten baraszkował z Ingą przed obiadem. Portierka z hotelu „Sachsen”, która zauważyła Gołowanowa opuszczającego hotel w towarzystwie Ingi i młodego mężczyzny w ciemnych okularach, przypuszczała, że marszałek jedzie właśnie do kwatery głównej.

Już o dziewiątej w bazie w Hałdensleben zrobiło się niespokojnie. Kierowca Gołowanowa pojechał do hotelu „Sachsen”. W pokoju

Ingi stwierdził, że wszelkie ślady po dziewczynie i marszałku starannie usunięto. Ktokolwiek nad tym pracował, był profesjonalistą. Zniknęła nawet zatyczka do umywalki, która mogła być pokryta włosami czy innymi śladami. Gołowanow po prostu wyparował.

Już gdy Czujkow leciał do Zossen-Wiłnsdorf, żeby powiedzieć Jeremience, co się zdarzyło, wzdłuż granicy Niemiec Wschodnich zamknięto szczelny kordon. Nagły alarm, w ostatnich chwilach przed rozpoczęciem operacji Byliny, był ostatnim, czego pragnąłby nie tylko dowódca frontu, ale i Stawka. Na jedenaście godzin przed rozpoczęciem operacji nie mogło przydarzyć się nic gorszego niż

jeszcze większy wzrost podejrzeń zachodnich Niemców. Ich niepokój był już i tak spory z powodu przedłużających się letnich manewrów Armii Radzieckiej i utrzymujących się pogłosek, że w kwaterze głównej NATO i w koszarach jednostek amerykańskich i brytyjskich dzieje się „coś nadzwyczajnego”.

Jeremienkę w końcu połączono z marszałkiem Kutakowem. Najwyższy dowódca mówił zmęczonym i zgryźliwym głosem. Jeremienko podejrzewał, że zniknięcie towarzysza Gołowanowa zakłóciło Kutakowowi obiad, który cierpiący na niestrawność marszałek jadał bardzo rzadko. Miał ponadto wrzody na żołądku, jednak nienawidził zup, a już w szczególności barszczu. Kiedyś zaserwowano mu barszcz podczas wizyty w mieszkaniu faworyzowanego przez niego, podległego mu oficera. W następnym miesiącu oficer ten został przeniesiony pod granicę z Mongolią.

- Dobry wieczór, Iwanie - powiedział marszałek Kutakow do Jeremienki.

- Towarzyszu marszałku, właśnie otrzymałem informacje od pułkownika Czujkowa.

- Domyślasz się w ogóle, co mogło się przydarzyć? Powiedziano mi, że zniknął w towarzystwie jakiejś młodej Niemki, prostytutki.

- Niezupełnie prostytutki, towarzyszu marszałku. O ile mi wiadomo, pracowała dla KGB.

- Zgadza się, powiedziano mi to samo. Lecz zdaje się, że brała udział w jakiejś innej grze, prawda? Chyba że Timofiejowi coś strzeliło do głowy i sam to wszystko ukartował, aby z nią uciec.

- Nie sądzę, towarzyszu marszałku - powiedział Jeremienko. - Czasami bywał wybuchowy, przejawiał wybująy temperament, ale to rozsądny człowiek.

- Puści parę z ust na torturach? - zapytał marszałek Kutakow.

- Nie wiem. Zależy, jak ostro go potraktują.

- To poważny kryzys, Iwanie. Otrzymałem raport od generała Glinki, że zachodni Niemcy stają się coraz bardziej podejrzliwi i zaczęli mobilizację części rezerwistów. - Generał Glinka był

Głównego Zarządu Wywiadu, GRU. - Powodzenie całej operacji Byliny zależy od utrzymania jej w

zupełnym sekrecie, do ostatniej minuty.

- Oczywiście, towarzyszu marszałku. Czy nie uważacie, że byłoby w tej sytuacji wskazane opóźnienie operacji Byliny o tydzień?

Nastąpiła chwila ciszy na drugim końcu słuchawki. W końcu marszałek Kutakow powiedział:

- Rada Obrony omawiała już ten temat, oczywiście.

- Nie chciałem niczego sugerować, towarzyszu marszałku.

- Oczywiście, że nie chciałem. Jednak kwestia opóźnienia operacji była już dyskutowana i... cóż, ciągle jest rozważana.

- Tak jest - powiedział Jeremienko grzecznie. Marszałek Kutakow odchrząknął i znów zamilkł na chwilę.

- Zbierz wszystkie informacje, co przedsięwzięto, żeby odnaleźć Timofieja, i zadzwoń do mnie później - rzucił wreszcie.

- Tak jest, towarzyszu marszałku - powiedział Jeremienko. -Dziękuję bardzo.

Z uśmiechem odłożył słuchawkę. Pułkownik Czujkow wpatrywał się w niego pytającym wzrokiem, był jednak zbyt młody i niski rangą, aby wprost zapytać, co go tak rozweseliło. Po chwili Jeremienko wstał, założył ręce za plecy i zaczął spacerować po gabinecie. Gdy dotarł do okna, pochylił się i spojrzał w ciemność, chociaż mógł widzieć jedynie swoje odbicie w szybie, bladego ducha na tle nocy.

- Jak myślicie, kto to mógł zrobić? - zapytał pułkownika Czujkova. - Kto mógł mieć interes w porwaniu marszałka Armii Radzieckiej, grożącym najgłębszym kryzysem międzynarodowym w ciągu ostatniego ćwierćwiecza?

Czujkow wzruszył ramionami.

- Teraz jest tak wiele grup dysydenckich. Tak wielu terrorystów. Mogli go też porwać ludzie z CIA, żeby mieć gwarancję, iż nasza armia nie przekroczy linii, które zostały wynegocjowane. Coś w

rodzaju politycznego zakładnika.

- Wątpię, żeby Fraulein Inge Schultz miała cokolwiek wspólnego z CIA - powiedział Jeremienko. — Albo żeby była terrorystką. Jest raczej doskonale przygotowaną agentką niż sabotażystką czy osobą podrzucającą bomby.

Czujkow milczał i czekał, co jeszcze powie Jeremienko. Przyzwyczajony był do wysłuchiwania tyrad wyższych rangą oficerów i do sposobu, w jaki wygłaszają swe przemowy. Wszyscy oni lubili stosować pauzy dla zwiększania efektów swych słów oraz spacerować w tę i z powrotem w trakcie oracji. Być może było to coś, co się nabywa wraz z generalską nominacją. Kilka słów. Pauza. Kilka kroków. Zwrot. Znów kilka słów.

- Ktokolwiek porwał marszałka Gołowanowa, zapewne podejrzewa, że na granicy międzyniemieckiej dzieje się coś ważnego - odezwał się wreszcie Jeremienko. - Muszą się przynajmniej domyślać, co to takiego, w przeciwnym bowiem wypadku nie ryzykowaliby zamieszania, jakie to porwanie normalnie by spowodowało. Zapewne zamierzają go przesłuchać i albo

się załamać, albo szybko umrze. Oczywiście wolelibyśmy, żeby wydarzyło się to drugie.

- Jeśli nie uda nam się go wcześniej uwolnić, towarzyszu generale — stwierdził pułkownik Czujkow głosem, w który włożył tyle szczerze brzmiącej nadziei, ile tylko potrafił.

- Tak, tak, oczywiście - powiedział Jeremienko tonem takim, jakby pomysł zorganizowania operacji w celu uwolnienia Gołowanowa już dawno biegał mu po głowie. W rzeczywistości nawet o tym nie pomyślał. Jeśli pragnął odnaleźć miejsce pobytu Gołowanowa, to tylko po to, aby go zabić, zanim cokolwiek powie swoim porywaczom o operacji Byliny.

Prawda wyglądała tak, że Jeremienko był wręcz nieprzyzwoicie ucieszony porwaniem Gołowanowa. Teraz nie tylko wzrosną wpływy Jeremienki w Stawce, ale również będzie miał możliwość sprawowania kontroli nad operacją Byliny na Zachodnim Kierunku Strategicznym, bez Gołowanowa wtykającego wszędzie swój nos, Gołowanowa, który dla siebie zgarnąłby całą chwałę

po

sukcesie, który niewątpliwie musi nastąpić. Jeśli chodzi o karierę Jeremienki, nic lepszego nie mogło się wydarzyć. Co więcej, gotów był postawić pięć rubli przeciwko fenigowi, że teraz wydarzenia potoczą się znacznie szybciej i Kutakow zdecyduje się przyśpieszyć operację Byliny na wypadek, gdyby Gołowanow zaczął śpiewać. Jeśli Byliny przyśpieszone zostaną o tydzień, armia będzie gotowa

przetoczyć się przez granicę Niemiec Zachodnich o godzinie trzeciej nad ranem w niedzielę, za dwa dni. Na aparacie telefonicznym zaczęło migotać światelko. Jeremienko podszedł szybko do telefonu, ale zdążył się opanować. Skinął na Czujkowa, aby podniósł słuchawkę. Czujkow wykonał polecenie.

- Tak, towarzyszu, jest tutaj — powiedział do słuchawki i podał ją generałowi.

Popatrzył na niego oczyma bez wyrazu. Stwierdził, że nie lubi Jeremienki. W jego nie skrywanej ambicji było coś wstrętnego, w złym smaku. Kojarzyło mu się to z mężczyzną pokazującym publicznie sterczącego penisa.

- Tak jest - powiedział Jeremienko do słuchawki. - Tak, rozumiem. Wszystko będzie gotowe.

Bez wątpienia. Tak, towarzyszu marszałku, upewnię się, czy zakończono wszystkie inspekcje. Tak, rozumiem.

Odłożył słuchawkę i jeszcze przez chwilę bębnił palcami po telefonie. Milczał. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się:

- Operacja Byliny została przyśpieszona o tydzień. Początek wyznaczony został na niedzielę rano. Marszałek Kutakow rozmawiał już z Białym Domem i z Downing Street dziesięć w Londynie. -

Wziął głęboki oddech, a jego oczy lśniły nieprzeniknioną czernią, niczym wyloty luf dubeltówki. -

Nadchodzi wreszcie wielki dzień, pułkowniku. Nadchodzi początek nowego świata!

Ku ogromnemu zaskoczeniu Czujkowa ujął się pod boki, odchylił głowę do tyłu, wyprostował tułów i zaczął tańczyć kazaczoka.

Podczas gdy Jeremienko tańczył, marszałek Gołowanow, bohater Związku Radzieckiego, leżał

na brudnym łóżku polowym w małej chłopskiej zagrodzie w Marientalu; wiosce leżącej zaledwie pięćdziesiąt kilometrów od Haldensleben, ale już po zachodniej stronie granicy. Chrapał spokojnie, nafaszerowany paraldehydem, śniąc, że czołga się przez jakieś tunele, a następnie, że unosi się nad jakimś dziwnym zaśnieżonym lądem. Obserwowała go młoda dziewczyna w wieku około dwudziestu dwóch lat, o jasnych włosach, z czerwonym znamieniem na policzku. Ze skrzyżowanymi nogami, w szarym długim płaszczu, z pistoletem maszynowym Ingrama na kolanach, siedziała w szerokim, zniszczonym fotelu. Nocny wiatr poruszał czerwonymi zasłonami. Gdzieś w oddali, w ciemności, zawył pies.

Inga przejechała granicę pierwsza, w dziesięcioletnim BMW prowadzonym przez łysego mężczyznę w okularach. Z jego papierów wynikało, że nazywa się Herman Ebinger, handluje porcelaną, a Inga miała dokumenty zaświadczające, że nazywa się Anne-Lise Ebinger i jest jego żoną. Szóstym czy siódmym pojazdem za „Ebingerami” była potężna, ślamazarna ciężarówka z napisem „Zwickau-Tapeten” wymalowanym czerwoną farbą pod wielkim rysunkiem uśmiechniętego bobasa siedzącego na czerwonym dywanie. O, ironio losu: wewnątrz ciężarówki, pod trzydziestoma rolkami nylonowych dywanów, w ciasnym cylindrze, do którego jednak dochodziło powietrze, snem niemowlaka spał marszałek Gołowanow. Z daleka jego klatka nie wyglądała na nic innego niż zrolowany dywan o zielonym odcieniu.

Strażnicy na przejściu granicznym byli rozluźnieni, w dobrych humorach. I to stanowiło część planu Stawki - próba przekonania zachodnich Niemców, że „majowe manewry” są czymś zupełnie bez znaczenia. Inga z „mężem” przejechali granicę bez zatrzymywania się, wschodnioniemiecki strażnik machnął tylko na nich ręką. A nawet posłał Indze przyjazny uśmiech. Ciężarówka z dywanami została otworzona i pobieżnie zlustrowana, lecz po kilku minutach i swobodnej rozmowie kierowcy o imieniu

Dich-ter z funkcjonariuszami wschodnioniemieckiej straży granicznej zezwolono mu wjechać do

Republiki Federalnej.

Siedemnaście minut później punkt graniczny otrzymał pilną zakodowaną wiadomość, że należy natychmiast zwiększyć do maksimum środki bezpieczeństwa na wszystkich przejściach granicznych, od Potenitz do Gefell Juchhoh, i dokładnie sprawdzać wszystkie przejeżdżające samochody.

Strażnikom nie powiedziano, czego mają szukać. Po chwili wykryli młode małżeństwo z Karl-Marx-Stadt, próbujące uciec na Zachód w pustej cysternie do przewozu mleka.

Krótko po północy Gołowanow otworzył oczy i zapytał:

— Katuszka?

Dziewczyna z pistoletem maszynowym nic nie powiedziała, patrzyła tylko uważnie, jak podnosi się na łokciu, próbując usiąść. Popatrzył na nią. Następnie rozejrzał się po pokoju.

- Katoryj czas? - zapytał znów. Zaraz zreflektował się, że dziewczyna go nie rozumie, i powtórzył pytanie powoli, z widocznym wysiłkiem, po niemiecku. — Która godzina? Jak długo już tak śpię?

- Przykro mi, lecz nie mogę panu powiedzieć - odparła dziewczyna swobodnym tonem, jakby opowiadała coś starszemu wujkowi. Po chwili zawołała do tyłu ponad swoim ramieniem: -Dichter, twój przyjaciel się obudził.

Gołowanow uniósł rękę i potarł czoło. Czuł się słaby i senny. Wydawało mu się, że język ma trzykrotnie większy niż normalnie, dodatkowo ubrany w wełnianą skarpetę.

- Mógłbym dostać trochę wody? - poprosił. — Powie mi pani, gdzie jestem, czy i to jest sekretem, podobnie jak pora dnia?

- Przykro mi - powiedziała.

- Cóż - stwierdził. — Zdaje się, że po prostu wykonuje pani rozkazy.

W tej samej chwili naciśnięto z zewnątrz na klamkę i do pokoju wszedł Dichter, a za nim Inga, w cienkiej biało-żółtej bluzeczce i ciasnych niebieskich dzinsach. Dichter zdjął okulary

przeciwsłoneczne, po czym usiadł na podłodze obok łóżka polowego Gołowanowa. Patrzył na niego uważnie wzrokiem, jakim przyrodnik obserwuje rzadki okaz jaszczurki przywieziony z dżungli.

- Coś podobnego, prawdziwy sowiecki marszałek - stwierdził.

- Przypuszczam, że orientujecie się, co ryzykujecie — powiedział Gołowanow. W

rzeczywistości po raz pierwszy w swym dorosłym życiu był nie na żarty przestraszony. Życie marszałka ZSRR było nieskomplikowane: miał swoją armię, wielu podwładnych i niewielu przełożonych oraz potężną władzę. Teraz, na brudnym łóżku polowym, nie wiadomo gdzie, czuł się kompletnie bezbronny. I wiedział, że znajduje się w sytuacji naprawdę nie do pozazdroszczenia.

Odgadywał to z zachowania tych ludzi, ze sposobu, w jaki trzymali broń: byli profesjonalistami w swym fachu.

- Prawdę mówiąc, stary przyjacielu, chcemy tylko z tobą pogadać, to wszystko - rzekł Dichter.

- Mamy zamiar rozmawiać o pogodzie, kierunku wiatrów, a także o twoich letnich manewrach. Skąd wzięło się tyle czołgów, tyle wyrzutni raketowych, na głupich ćwiczeniach?

- Poproszę o szklankę wody - powiedział Gołowanow. Coraz bardziej zdawał sobie sprawę, że znajduje się w położeniu bez wyjścia.

- Najpierw opowiesz nam o letnich manewrach.

- Wiecie dobrze, że nic wam nie powiem. Nazywam się Goło-wanow i jestem marszałkiem.

- Byłeś bardzo nierozważny — stwierdził Dichter. - A może chciałeś wpaść w nasze ręce?

Gołowanow popatrzył na Ingę i jeszcze raz poprosił:

- Daj mi trochę wody, pażalsta.

Inga przechyliła głowę na bok i uśmiechnęła się do niego tym chłodnym anielskim uśmiechem, który zawsze tak go drażnił. Był to uśmiech serafina na marmurowym nagrobku. Natomiast pod cienką bluzką jej wielkie, miękkie piersi falowały, ciepłe i rosnące niczym piekące się ciasto.

Potrząsnęła głową i powiedziała:

- Niet.

- Nie mogę wam niczego powiedzieć - odezwał się znów Gołowanow. - To niemożliwe. Jeśli nie znajdę się szybko z powrotem u komandora Żukiłowa, zaczną mnie szukać. Nawet nie potraficie sobie wyobrazić konsekwencji czegoś takiego.

- Niestety, to niemożliwe - powiedział Dichter. - Nie wrócisz już do żadnego Żukiłowa.

- Och, niech pan przestanie. Nie mogłem być nieprzytomny zbyt długo. Spójrzcie, ciągle jest noc. Nie istnieje środek, który mógł trzymać mnie nieprzytomnego przez całą noc i cały dzień. Zachowujcie się rozsądnie.

Inga podeszła do Gołowanowa. Dotknęła jego policzka i pogłaskała gęste, krzaczaste brwi.

- Mówisz jak komisarz polityczny - stwierdziła. - A to przecież nie ty. Co cię obchodzi partia?

Jesteś żołnierzem Rosji. Czyż nie powtarzałeś mi tego zawsze? „Moja droga Ingo, jestem żołnierzem Rosji, Rosji i tylko Rosji”. Nie interesuje cię Politbiuro, wszyscy ci wojowniczy starcy na Kremlu. Nie

udawaj teraz, że jest inaczej. Znam cię wystarczająco dobrze. Znam cię z tych chwil, kiedy nie liczy się polityka, kiedy nic się nie liczy...

- Ingo, posłuchaj - przerwał jej Gołowanow ochryłym nagle głosem. - Oszukiwałaś mnie, prawda? Przez cały czas. Ale nieważne. Mogę ocalić twoje życie. Musisz jedynie doprowadzić mnie z

powrotem do komandora Żukiłowa, a ja po prostu powiem, że pobiłdłem, że spotkałem znajomego z

czasów wojny i trochę popiliśmy. Posłuchaj, przecież to absurdalna sytuacja. Ja nie jestem byle pułkownikiem czy nawet dowódcą dywizji. Jestem pierwszym zastępcą ministra obrony! Jestem jednym z najpotężniejszych i najważniejszych ludzi w Związku Radzieckim! Jeśli zostanie odkryte, że mnie porwano, rozpocznie się pandemonium, którego nie jesteś w stanie sobie wyobrazić! A gdy was znajdą, zostanieie natychmiast rozstrzelani. Nie będziecie mieli szans na żadne wyjaśnienia, nie będzie żadnego sądu, nic. Tylko kule w tył głowy. Kocham cię, Ingo, teraz i zawsze będę cię kochał.

Zawsze wierzyłem, że wyłącznie ty możesz być kobietą, dla której porzuciłbym armię. Ale to, co się teraz dzieje, jest szaleństwem.

Inga usiadła obok Gołowanowa i zwróciła się do dziewczyny z pistoletem maszynowym:

- Proszę - powiedziała łagodnie - przynieś mi trochę wody. Gołowanow pokiwał głową.

- Dziękuję ci. Wiedziałem, że nie straciłaś do końca rozumu.

- Oczywiście - odpowiedziała mu Inga. - Wszyscy postępujemy racjonalnie. Nie możemy jednak pozwolić, byś wrócił do komandora Żukiłowa.

- Która godzina? - zapytał Gołowanow.

- Czas jest nieważny. Ale jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, jest dwadzieścia pięć minut po północy.

- A więc ciągle nie jest za późno. Zawieź mnie z powrotem do Żukiłowa. Po co masz ryzykować życie? Przecież nie przedstawiam dla was wszystkich żadnej wartości. Zapewniam cię, że nie wiem niczego, o czym wy byście już nie wiedzieli. Jestem jedynie zwykłym administratorem, wykonawcą, nikim więcej. Rada Obrony nie ujawnia mi długoterminowych planów strategicznych. Moim zadaniem jest jedynie przesuwanie papierów z jednego końca biurka na drugie. Generał Jeremienko uważa mnie za militarne ignoranta i, niestety, ma rację.

- Nie możemy dostarczyć cię z powrotem do komandora Żukiłowa - powtórzyła Inga. -

Najprostszy powód jest taki, że znajdujemy się po innej niż on stronie granicy.

Gołowanow popatrzył na nią rozszerzonymi oczami.

- Jesteśmy w Niemczech Zachodnich? - zapytał drżącym głosem, pobladły nagle na twarzy.

Inga skinęła głową.

- Jesteśmy w Niemczech Zachodnich? Nie żartujesz? Uprawadziliście mnie do RFN?

Ciężko wstał z niskiego łóżka i podszedł do grubych wełnianych zasłon. Odsunął jedną z nich, nie zobaczył jednak niczego na zewnątrz, poza ciemnością, upstrzoną jedynie kilkoma srebrnymi

punkcikami świateł ulicznych.

- To jest RFN? Jak mogliście zrobić coś takiego? W jaki sposób przedostaliście mnie przez granicę? Inga, to przecież obłąd. Ja... ja przez cały czas myślałem, że wszyscy jesteście z KGB!

Inga milczała. Patrzyła jednak uważnie na Gołowanowa, który wpatrywał się dziko w czerń nocy. Po chwili obrócił się do tyłu na piętach jednym szybkim ruchem niczym Długi John Silver na pokładzie Hispanioli, zakłopotany i ciężko przestraszony. Popatrzył na nich i znów wrócił do okna.

- Niemcy Zachodnie!

- Pracowałam dla KGB od pięciu lat, Timofieju - powiedziała Inga cicho - gdy mężczyzna, którego kochałam, został uznany za zdrajcę. Również był funkcjonariuszem KGB. Pewnego dnia zniknął. Myślę, że go zabili. Wtedy to postanowiłam, że będę pracowała dla wolności, a nie dla strachu. Byłam na tyle rozsądna, że tę decyzję ukryłam w sobie. Wciąż byłam agentką KGB, lecz nawiązałam kontakt z ludźmi, których zapewne znasz jako Lamprey.

Gołowanow wyciągnął ku niej palec wskazujący. Zacisnął na chwilę powieki.

- To znaczy, że ty i ty - powiedział, wskazując na Dichtera - jesteście grupą Lamprey?

- Tak, jesteśmy częścią Lamprey. Lamprey opiera się na agentach wywiadu, dobrowolnie do niej wstępujących, z wielu krajów.

- A więc to Lamprey mnie porwała? Cha, cha, cha! Cóż, przyjaciele, popełniliście niewybaczalny błąd! Teraz KGB zabierze się do Lamprey i zniszczy ją, wypłeni, razem z korzeniami.

-Wzniósł do góry ręce i potrząsał nimi, jakby otrząsał z wody świeży, wypłukany pęczek rzodkiewek.

Inga uśmiechnęła się do niego.

- Zbyt wielu ludzi z KGB należy do Lamprey, Timofieju. Zbyt wielu z CIA. Zbyt wielu z MI 5.

Żadna rządowa agencja wywiadowcza nie jest i nie będzie w stanie wykryć, czym Lamprey jest naprawdę, jak pracuje, kto do niej należy. Lamprey nie ma terytorium, nie ma kartotek,

funkcjonariuszy, nie zna granic państwowych, nie zna niczego poza jednym - świadomością, że dla

narodów świata należy znaleźć drogę do pokojowego współżycia.

Gołowanow usiadł na skraju swojego polowego łóżka. Młoda dziewczyna z włosami splecionymi w warkocze powróciła i podała mu kubek z wodą. Nie wypuszczała z ręki swojego ingrama. Zanim Gołowanow przechylił kubek do ust, powiedział:

- To wielka idea, moja droga Ingo. Pomyśl jednak, że na równie wielkich ideach zbudowano i Stany Zjednoczone, i Związek Radziecki.

- Ludzie z Lamprey wcale nie są idealistami. Są realistami. Są skłonni akceptować wszystko, pod warunkiem że czyni to świat lepszym i dobrze funkcjonuje.

Dichtera najwyraźniej nudziła ta konwersacja. Spojrzał na zegarek i rzekł:

- No, a teraz poważnie, marszałku, co z tymi letnimi manewrami? Co z pogłoskami o wojnie?

- Wojnie? — zapytał Gołowanow, ocierając usta w chusteczkę. - Cóż to znów za nonsens?

- Dochodzą do nas wiadomości, że zbliża się wybuch konfliktu.

- Powinniście z większym krytycyzmem podchodzić do nie sprawdzonych wiadomości, szczególnie w waszym biznesie - odparł Gołowanow.

Dichter powoli przeczesał palcami włosy, jakby nad czymś się zastanawiał.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że jesteśmy gotowi nawet pana torturować? - zapytał Gołowanowa.

Gołowanow wojowniczo uniósł głowę.

- Mojego ojca torturowali lepsi eksperci w tej materii niż wy. Nie przestraszycie mnie gadaniem o torturach.

- Proszę mi opowiedzieć o tych letnich manewrach — powtórzył Dichter. - Kiedy pana dywizje wrócą do koszar?

- Jeśli nie zdarzy się nic nadzwyczajnego, wtedy, gdy zakończą się manewry.

- Manewry trwają już niezwykle długo!

- Mamy wielką armię, panie Dichter - stwierdził Gołowanow. - Ruchy nią wymagają dużo czasu. Oczywiście, gdyby Zachód nie był taki wojowniczy, nasza armia byłaby zdecydowanie mniej liczebna, a co za tym idzie i manewry krótsze.

- Prosiłem, marszałku, o wyjaśnienie przyczyn ostatnich ruchów wojsk, a nie o streszczenie wstępniaka z Izwiestii — powiedział Dichter lodowatym tonem.

- Młody człowieku, oczekujesz ode mnie zbyt wiele. Ale cóż, w końcu jest to prawo młodości, prawda?

Dichter milczał, czekając, czy Gołowanow powie coś więcej. Nie doczekawszy się niczego, podjął decyzję:

- Przewieziemy pana w inne miejsce, o wiele dalej od granicy. Tam zadamy panu nasze pytania jeszcze raz i oczekiwać będziemy sensownych i konstruktywnych odpowiedzi. Inga pojedzie z panem.

- Wreszcie coś przyjemnego.

- To się jeszcze okaże, marszałku. Inga jest nie tylko mistrzynią w sprawianiu przyjemności.

Mistrzowsko zadaje też ból. To ona będzie pana torturować.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- To znowu Kress - powiedział Morton Lock, trzymając w ręku słuchawkę telefonu.

- Cholera - westchnął prezydent. - Dawaj go.

Była dwudziesta trzecia czasu Wschodniego Wybrzeża i po raz trzeci tego dnia kanclerz Republiki Federalnej Niemiec, Otto Kress, telefonował do Camp David, aby zażądać wyjaśnień w sprawie chaotycznych ruchów oddziałów amerykańskich w południowych Niemczech. Już raz prezydent „spął”, drugi raz „był nieosiągalny”. Teraz wiedział, że musi w końcu podnieść słuchawkę.

- Halo, Otto! - zawołał z fałszywym entuzjazmem.

- Dobry wieczór, panie prezydencie. - Głos kanclerza był suchy i zimny. - Cieszę się, że wreszcie pan nie śpi i pracuje.

- O co ci chodzi, Otto?

- Chodzi mi o ruchy pańskich żołnierzy, panie prezydencie -odpowiedział Otto Kress. -

Wczoraj poleciłem swojemu ministrowi obrony, żeby porozmawiał z generałem Oliverem, lecz generał Oliver odparł, że nie może nic mu wyjaśnić i wszelkie pytania w tej sprawie powinny być kierowane bezpośrednio do pana.

- Zgadza się, Otto, wszystko się zgadza. Oto więc jestem, gotowy, żeby cię uspokoić.

Otto Kress rozpoczął długi i szczegółowy wywód. Prezydent słuchał uważnie. Tak, mówił

Kress, istnieje porozumienie, że siły USA będą okresowo przeprowadzały akcje wymiany ludzi i sprzętu z kraju na nowszy. Tak, jest zadowolony, że do Niemiec Zachodnich przybywają świeże siły i nowe środki. Tak, wszystkie sprawy porządkowe uzgodniono wcześniej z policją, Bundeswehrą, Deutsche Bundesbahn, Lufthansa i z kim tam jeszcze należało.

- Panie prezydencie, nie kwestionuję żadnej z tych spraw. Lecz to, co się działo w południowych Niemczech, to było pandemonium. Jakby zbliżał się koniec świata.

Drogi pomiędzy bazami armii amerykańskiej w Ansbach, Wiirzburgu i Frankfurcie zapchane były nie kończącymi się konwojami wojskowych ciężarówek, transporterów wiozących czołgi i haubic samobieżnych. Przy dworcu w Illisheim stały setki czołgów M1 Abrams. Na niebie nad Mannheim

i Darmstadt grzmiały herkulesy, starliftery i galaxy. Całe to „przebrojenie” miało jeden kierunek: zachodni, jak najdalej od granicy z NRD, w kierunku 8. Dywizji Zmechanizowanej i jej bazy w Bad Kreuznach.

A jakie będzie następne posunięcie?

Tego popołudnia kanclerz Kress rozmawiał z generałem Olivierem w kwaterze głównej U. S. Army w Heidelbergu, lecz Oliver najwidoczniej robił z niego idiotę. W końcu po raz kolejny zasugerował, aby „pan kanclerz zatelefonował osobiście do pana prezydenta USA”.

Kress znajdował się na granicy wybuchu.

— Panie prezydencie, sądzę, że rząd mojego kraju zasługuje na wyjaśnienie, co to wszystko ma znaczyć.

Prezydent skinął na Mortona Locka, aby podniósł drugą słuchawkę.

- Panie prezydencie, to, co się w tej chwili dzieje, zdaje się znacznie wybiegać poza wszelkie nasze wspólne uzgodnienia.

Prezydent westchnął ciężko.

— Cóż, być może rzeczywiście mają miejsce jakieś niedociągnięcia, lecz zapewniam cię, Otto, że nie masz powodu do obaw. Znasz generała Olivera. Pamiętasz ten obiad w Brukseli? Zdążyłeś chyba zauważyć, że skłonny jest traktować luźno wszelkie regulaminy i ustalenia. Lecz zawsze w dobrych intencjach, chyba nie masz co do tego wątpliwości. Oliver jest doskonałym oficerem. Nie wiem, co ci jeszcze powiedzieć, Otto. Jeżeli 7. Armia rzeczywiście zrobi coś skandalicznego, powiedz

mi, gdzie to będzie, i wierz mi, poczynię natychmiast wszelkie stosowne kroki, aby ukarać winnych.

Pamiętaj jednak, że prowadzimy działania zmierzające do przewiezienia nad oceanem sprzętu o warto-

ści coś około...

- Sześciu miliardów dolarów - rzucił Monon Lock z drugiego końca pokoju.

— ...właśnie, ponad sześciu miliardów dolarów w ciężkim i skomplikowanym sprzęcie, czołgach, pociskach kierowanych, ekwipunku. Wszystko to ma znaleźć się w Niemczech Zachodnich w przeciągu kilku tygodni, w twoim interesie, dla obrony twojego kraju, Otto. Dla tego sprzętu trzeba zwolnić wiele miejsca, całe mile kwadratowe powierzchni magazynowej. Jeśli powoduje to trochę hałasu, stwarza chwilowe niedogodności obywatelom RFN, bardzo przepraszam.

Prezydent zdawał sobie sprawę, jak kruche jest to wyjaśnienie, ale co więcej mógł powiedzieć?

Że nadchodzi nieuchronny koniec Niemiec Zachodnich i kanclerza Kressa?

- Obawiam się, wobec istniejących okoliczności, że pańskie wyjaśnienia, panie prezydencie, nie

brzmia zbyt przekonywająco - powiedział Kress. - Niech pan jednak pozwoli, że oświadczę panu rzecz

następującą: swoje postępowanie opierać będę nadal na wszystkich obowiązujących pomiędzy nami traktatach i porozumieniach. Po prostu muszę, nie mam wyboru. Gdybym chciał myśleć inaczej, musiałbym uznać, że ruchy wojsk pomiędzy bazami USA w południowych Niemczech są początkiem operacji wycofywania tychże wojsk z terytorium mojego kraju.

- Posłuchaj, Otto - odparł prezydent. - Mogę ci jedynie powiedzieć, że Stany Zjednoczone

Ameryki i teraz, i w przyszłości zainteresowane będą polityczną i militarną integralnością Republiki Federalnej Niemiec. Rozumiem twoje obawy: Sowieci są ciągłym zagrożeniem. Pozwól, że powiem ci

coś jeszcze: jeśli generał Oliver o włos chociaż przekroczy swoje kompetencje, jeśli wywiezie z twojego kraju chociażby o jedną puszkę fasoli za dużo, wierz mi, będzie miał ze mną do czynienia.

- Myślę, że wiele dobrego uczyniłoby jakieś pańskie publiczne oświadczenie w tej sprawie -

powiedział Otto Kress. Jego głos łamał się i Morton Lock był w stanie wyobrazić sobie, jak bardzo kanclerz jest zdenerwowany. Nawet jako szef rządu Niemiec Zachodnich, Kress nie mógł sobie pozwolić na głośne powątpiewanie w ustne zapewnienia prezydenta. Mimo to chciał uzyskać jak najwyraźniejsze i jak najbardziej oficjalne zapewnienia, które mogłyby wydrukować Time, Die Welt czy Herald-Tribune.

- Otto, jeszcze raz dokładnie wszystko zbadam. Na jutro rano będziesz miał wszystkie dokładne

informacje. Tak, obiecuję ci to. Polecę Mortonowi Lockowi, aby porozmawiał z generałem Oliverem i

zorientował się, czy ten nie przekracza przyznanych mu kompetencji. Jestem przekonany, że wkrótce okaże się, iż powodem twoich obaw jest tylko jakiś biurokratyczny bałagan. To tyle. Tak, trzymaj się.

Do usłyszenia.

Prezydent odłożył słuchawkę i powiedział:

— Cholera jasna. Miota się jak królik w klatce. Wiedziałem, że do tego dojdzie. Czy nie

mówiłem Gorbaczowowi? Mówiłem mu, że tak będzie i że należy działać o wiele szybciej, niż w końcu ustaliliśmy.

- Zostały tylko dwa dni, sir - zauważył Morton Lock. - Do tego czasu jakoś damy sobie radę z kanclerzem.

— Niech szlag trafi to wszystko — westchnął prezydent. Mniej irytowały go problemy z Kressem niż sposób, w jaki Rosjanie zmusili go do przyśpieszenia całej operacji.

Tego ranka podczas nerwowej rozmowy telefonicznej przywódca ZSRR poinformował go, że słowo Gringo przeniknęło w jakiś sposób do wywiadu RFN, a źródłem przecieku jest niewątpliwie podwójny agent amerykański. Bez wątpienia! Przecież żaden agent KGB nie uczyniłby czegoś takiego w momencie, gdy na szali znajduje się przyszłość całego Związku Radzieckiego!

W związku z przeciekiem operację Byliny należy rozpocząć tak szybko, jak tylko się da, stwierdził Rosjanin, a tak szybko, jak się da, oznacza najbliższy niedzielny poranek, już za dwa dni.

Prezydent oponował, argumentował, lecz Gorbaczow był nieugięty.

Później prezydent USA przez dziesięć okrągłych minut wydzierał się na szefa CIA. Przez cały ten czas dyrektor CIA stał przed nim, poczerwieniały na twarzy i milczący. Nie miał pojęcia, który z agentów może być za to odpowiedzialny. Nikt znający słowo Gringo lub Byliny nie zniknął, nie było żadnych sygnałów o naruszeniu systemów bezpieczeństwa. Tego dnia położono na jego biurku notę informującą, że marszałek T. K. Gołowanow nie pojawił się na obiedzie wystawionym dla niego poprzedniego wieczoru przez komandora Żukiłowa - był to rodzaj informacji, za które CIA płaciła agentom od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu dolarów - lecz dyrektor nie powiązał jej z operacją Gringo. Teraz mieszał go z błotem prezydent, który nie lubił, gdy obwiniało się o coś Stany Zjednoczone, a jeszcze bardziej nie lubił, jak ktoś go popędzał.

Morton Lock orientował się, co gryzie jego szefa.

- Boggsley dysponuje dwoma lub trzema nazwiskami, które mogą zaprowadzić nas na ślad

przecieku - powiedział.

- Naprawdę?

Morton uniósł kartkę ze swojego biurka.

- Facet o nazwisku Wallace T. Greenbaum, były urzędnik w Departamencie Stanu.

Rozprawiliśmy się z nim co prawda już wczoraj i nie przekazał żadnych informacji o Gringo.

Następnie Jack Levy, korespondent...

- Wallace Greenbaum? - przerwał prezydent, marszcząc brwi. - Czy przypadkiem nie znam tego nazwiska?

Morton szybko przebiegł wzrokiem kartkę z danymi biograficznymi Wallace'a Greenbauma.

- Nie sądzę — powiedział, zagryzając wargi. - Greenbaum to facet o poglądach nieznacznie na lewo od centrum. Pochodzi z Kansas City, ukończył prawo w Kansas State University. Ma trzydzieści jeden lat, jest biały. Baptysta, kawaler, ma nieco zboczone skłonności seksualne, w tym fetyszyzm i sadomasochizm. Czasami bywa w nocnych klubach w Nowym Jorku i Baltimore.

- W tej sytuacji — rzekł poważnie prezydent - myślę, że nie znam tego nazwiska. Co się z nim stało? Kiedy powiedziałaś „rozprawiliśmy się z nim”, co miałaś na myśli?

- To znaczy, że zorganizowano mu nieszczęśliwy wypadek. Próbował przekazać tajne materiały Departamentu Stanu niezidentyfikowanej kobiecie w klubie erotycznym na dolnym Manhattanie. Nie wiedział biedak, że od kilku miesięcy obserwowany jest przez agenta CIA, Heidi van Cruyf. Według Boggsleya Heidi van Cruyf jest bardzo ładną damą, zwerbowaną przez CIA w Amsterdamie i następnie przerzuconą tu, aby obserwowała bacznie funkcjonariuszy rządów i Narodów Zjednoczonych, którzy lubią przebrać się od czasu do czasu w długie płaszcze z wysoko postawionym kołnierzem i udać się w miejsca nie przystające do powagi ich urzędów. Boggsley twierdzi, że sadomasochizm i wzmocnione rygory związane z bezpieczeństwem osobistym tych ludzi są bardzo częstą kombinacją. W każdym razie panna van Cruyf zdołała unieszkodliwić Greenbauma

podczas seksualnego przedstawienia, całkiem normalnego w klubie tego typu. Zdarzają się tam takie wypadki jak przypadkowe uduszenie czy niezamierzone pchnięcie nożem. Policja jest przyzwyczajona, tak że przeszli nad tym do porządku dziennego.

- Jakież informacje o kobiecie? - zapytał prezydent, zdegustowany tą opowieścią.

— Nie rozumiem.

- O kobiecie, która miała odebrać informacje.

— Och, nie. Nie ma po niej śladu, przynajmniej niczego nie zauważono.

— No, dobrze — westchnął prezydent. - Pójdę już spać. Na dzisiaj mam już dosyć wszystkiego.

— Co mam zrobić z generałem Oliverem, panie prezydencie?

— Generałem Oliverem?

- Czy nie uważa pan, że należałoby zwrócić mu uwagę, żeby robił jak najmniej hałasu przy operacji Gringo?

Prezydent zastanawiał się przez chwilę, a potem potrząsnął głową.

- Myślę, że najbezpieczniej będzie, jeśli pozostawimy Kressa w niepewności. W końcu to tylko czterdzieści osiem godzin. Jeśli zadzwoni jeszcze raz, nie chcę z nim rozmawiać. Powiedz mu, że wszystko jest w porządku i że prześlemy mu relację po weekendzie.

- Rozumiem.

Prezydent wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Morton Lock usiadł na chwilę i bezmyślnie wpatrzył się w papiery na biurku. Zastanawiał się, czy nie powinien był powiedzieć prezydentowi, że

FBI zidentyfikowała już kobietę, z którą Wallace Greenbaum kontaktował się w Hellfire Club, jako Esther Modena, sekretarkę i - od czasu do czasu - kochankę senatora z Connecticut, Davida Danielsa.

Ale nie, jeszcze nie. Czas nadejdzie wtedy, gdy ta informacja da mu maksimum korzyści. Bo

Morton Lock był jednym z bardzo niewielu ludzi, którzy orientowali się, że córka prezydenta, Janie,

była osobą dość bliską senatorowi Danielsowi. A Morton wiedział, że potrafi wykorzystać dla siebie wiedzę o tym, że senator Daniels spotyka się z sadomasochistycznym szpiegiem, a Janie spotyka się z senatorem Danielsem. Morton Lock był pewien, że umiejętne wykorzystanie tych informacji może być ogromną dźwignią dla rozwoju jego dalszej kariery. Uśmiechnął się i odsunął krzesło.

W Londynie poranne wydanie Daily Telegraph, które właśnie dostarczono do Ministerstwa Handlu i Przemysłu przy Victoria Street, po raz pierwszy od dwóch lat miało na pierwszej stronie wielki tytuł, na całe osiem kolumn: TUC grozi strajkiem generalnym na 30 maja. W podtytule widniało wydrukowane na czerwono zapewnienie: Pani premier deklaruje, że armia przejmie obowiązki podstawowych służb.

Daily Mirror trąbił: Nadchodzi 30 maja i drukował na całą szerokość pierwszej strony wstępniaka, tłustą czarną czcionką, o „dniu rachunku” dla „tego represyjnego, nieludzkiego rządu”. Minister handlu zawiesił wygniecioną marynarkę na oparciu krzesła, jedną ręką odpiął górny guzik koszuli, a drugą sięgnął po gazety. Wiadomości były cholernie niepokojące. Z niespotykaną do tej pory solidarnością każdy z głównych związków zawodowych wzywał do „ostatecznej” akcji strajkowej przeciwko polityce społecznej i ekonomicznej rządu. Arthur Grange, przewodniczący Krajowego Związku Górników, mówił o „ostatecznym zwycięstwie klasy robotniczej”.

Drzwi gabinetu ministra otworzyły się i jego sekretarka, panna Forbes, stanęła cicho poza jasnym kręgiem światła, rzucanym przez stojącą na biurku lampę. W jej okularach odbijał się pomarańczowy abażur. Minister podniósł wzrok znad gazet. Był trochę zbyt gruby, miał przerzedzone, siwiejące włosy i szeroką smutną twarz pilnego ucznia z podrzędnej prywatnej szkoły.

- Nastawiłam czajnik z wodą - powiedziała panna Forbes.

- Powinnaś już iść do domu - odparł minister. — Nan, czy wiesz, która jest godzina?

- Widziałam gazety, panie ministrze. Pomyślałam, że będzie pan potrzebował filiżanki mocnej herbaty.

Minister wepchnął ręce w przepastne kieszenie swoich spodni.

- Nie wiem, Nan. Nie wiem, czy herbata coś na to pomoże.

- Wierzę, że wszystko dobrze się skończy. Czy pamięta pan ten strajk dokerów?

- Aż za dobrze, dziękuję ci.

Nacisnął guzik interkomu na biurku. Nosowy głos telefonistki odezwał się natychmiast:

- Słucham?

- Połącz mnie z ministrem obrony, Sheila. I bardzo cię proszę, pośpiesz się.

- Zaraz łączę.

Panna Forbes ciągle stała poza kręgiem światła.

- Napije się pan czegoś? Mamy ciągle trochę tego koniaku, który kupiliśmy dla delegacji z Nigerii.

- Naprawdę? Napiję się więc. Ale tylko odrobinę. Minister obrony, którego głos zabrzmiał po chwili w słuchawce, najwyraźniej również nie zmrużył oka tej nocy.

- Co o tym wszystkim myślisz, Francis? — zapytał. Minister handlu sięgnął ręką pomiędzy nogi, aby przyciągnąć krzesło do biurka. Opadł na nie ciężko.

- Zaczynam się przekonywać, że twoje podejrzenia nie są bezpodstawne, stary. Wszystko jest zbyt dobrze zgrane w czasie. Data strajku ogłoszona została dopiero wtedy, gdy Jankeśi podjęli ostateczną decyzję co do terminu Gringo.

- Cóż, mam jeszcze gorsze wiadomości - powiedział minister obrony. - Jeden z naszych ludzi z AR-7 został znaleziony martwy w Leeds, zaledwie przed trzema godzinami. Śledził kobietę, która podróżowała po kraju, rozmawiając z różnymi ludźmi ze związków zawodowych w celu skoordynowania akcji strajkowej. Został tak zmasakrowany, że początkowo nie można go było rozpoznać. Zbrodnię zaaranżowano tak, żeby wyglądała na zwykły napad rabunkowy, lecz inspektor policji, którego przydzielono do tej sprawy, stwierdził, że pobito go w sposób zbyt profesjonalny.

- Cholera jasna. Co na to pani premier?

- Nie chce wyciągać zbyt daleko idących wniosków, jeszcze nie, lecz myślę, że zbliża się do mojego punktu widzenia. Trzydziestego maja staniemy przed koniecznością wyboru: albo wzmocnić system obronny do maksimum, albo skoncentrować się na obsłudze niezbędnych służb publicznych.

Oczywiście, jeżeli wydarzenia w Europie posuną się dalej, niż to uzgodniono, możemy wprowadzić w

życie plan alarmowy z 1977 roku, że nie wspomnę o wszystkich szczegółowych działaniach zabezpieczających. Jednak mimo wszystko nie mogę powiedzieć, abym był pewny siebie, Francis.

Minister handlu uniósł wzrok. Panna Forbes niosła małą szklankę brandy na błyszczącej srebrnej tacy.

- Lodu — szepnął, a gdy nie zrozumiał, zmarszczyła brwi, powiedział do słuchawki: - Przepraszam na moment — i powtórzył, już głośniej: - Lodu.

- Co to było? - zapytał minister obrony. - Te telefony działają coraz gorzej. To tak, jakbyś chciał rozmawiać z gębą pełną papieru toaletowego.

Minister handlu przysunął do siebie Daily Telegraph i żalosnym wzrokiem błądził po artykule na pierwszej stronie.

— Cóż - powiedział. — Na razie nic się nie da zrobić, przynajmniej do jedenastej. Zdaje się, że i ty zostałeś zaproszony na tę godzinę do pani premier.

Piątkowy świt rozjaśnił już Victoria Street. Z okna swojego gabinetu minister spoglądał na biało-czerwone pasma cegieł na Katedrze Westminsterskiej. Przełknął resztkę brandy. Gdy szedł później w kierunku Downing Street 10, wzdychając co chwila z powodu ogarniającej go frustracji, zdawał sobie sprawę, że w jego oddechu wyczuwalny będzie alkohol.

Trzy tysiące mil na zachód, w White Plains w Nowym Jorku, było ciągle ciemno, gdy David Daniels podjeżdżał swoim czerwonym eldorado przed blok mieszkalny na południe od Mamaroneck Avenue. Noc była ciepła, chociaż wiał lekki wiatr, gdy wysiadał z samochodu. Zamknął go na klucz,

przeszedł przez chodnik i otworzył skrzypiącą żelazną bramę. Gdzieś daleko odezwała się syrena policyjna.

Stojąc w betonowym przedsionku, David nacisnął dzwonek koło wizytówki z nazwiskiem „R. Cameron”. Czekał niecierpliwie przez chwilę, po czym nacisnął guziczek jeszcze raz. W końcu odezwał się kobiecy głos:

- Kto tam? - Kobieta nawet nie próbowała ukryć zdenerwowania.

— To ja, David. W końcu przyjechałem.

Nastąpiła sekunda zawahania, po czym odezwał się brzęczyk i drzwi otworzyły się. David wszedł do środka, szybko zamykając drzwi za sobą, i pośpieszył przez słabo oświetlony hali prosto do windy. W windzie obejrzał swoją zmęczoną, poprzecinaną zmarszczkami zmartwień twarz w lustrze. Nacisnął guzik czwartego piętra.

Esther czekała na niego, drzwi mieszkania były otwarte, lecz zabezpieczone łańcuchem. Gdy go zobaczyła, szybko zdjęła łańcuch, wpuściła go do środka i przycisnęła do siebie.

- Och, dzięki Bogu, że już jesteś. Byłam taka przestraszona, że ani na chwilę nie zmrużyłam oka. Za każdym razem, gdy słyszałam windę, żołądek podchodził mi do gardła i zaczynałam się trząść.

David ściągnął marynarkę i rzucił ją na kanapę. Mieszkanie było obszerne, wygodnie i nowocześnie umeblowane. Kanapa i krzesła miały beżowe obicia. Szafy wykonane były z drewna tekowego. Na ścianach wisiały beżowo-żółte litografie lasów i oceanów. Pośrodku stołu jadalnego stała gliniana waza z zasuszonymi kwiatami. Ron Cameron był pośrednikiem ubezpieczeniowym, byłym kumplem Davida z college'u. Obecnie rozwiedziony, wiele czasu spędzał za granicą. Pozwalał Davidowi korzystać ze swojego mieszkania, gdy przebywał w podróży, chociaż David korzystał z niego dosyć rzadko. Lubił natomiast myśleć, że oto ma miejsce, gdzie może się ukryć w razie niebezpieczeństwa lub kiedykolwiek, gdy trzeba na kilka dni zniknąć.

- To było straszne - powiedziała Esther. - Ten okropny klub dla zбочeńców. A ona rzeczywiście przybiła jego głowę gwoździem do ściany. Nie mogłam oderwać od tego oczu, a jednocześnie nogi uginały się pod mną.

- Już w porządku - uspokoił ją David. - Chodź, usiądź spokojnie. Czy jest tu coś do picia?

- Tu jest tylko coś do picia. Poza paczką starych mrożonych frytek.

David poszedł do kuchni. Otworzył lodówkę i wyciągnął pierwszą z brzegu butelkę piwa.

- O której godzinie tu przyjechałaś? - zawołał do Esther. - Nie miałaś kłopotów ze znalezieniem tego miejsca?

- Och, najmniejszych. Byłam tu o siódmej.

- Jesteś pewna, że nikt cię nie śledził?

- Co jakiś czas patrzyłam we wsteczne lusterko. Raz nawet dla pewności się zatrzymałam.

David powrócił do pokoju, przelewając piwo z butelki do szklanki opatrzonej emblematem Igrzysk Olimpijskich 1984 roku.

- Sprawdziłem tymczasem kilka rzeczy. Facet, który zatelefonował i ostrzegł mnie, a przynajmniej mówił, że mnie ostrzega, Jordan Crane, jest zastępcą szefa departamentu w Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Zostałem więc ostrzeżony oficjalnie. Poprosiłem też mojego przyjaciela z policji na West Side, żeby przyjrzał się trochę uważniej zabójstwu w Hellfire Club. Policja łączy dwoje ludzi z zabójstwem Wallace'a Greenbauma. Jednym z nich jest znany sadomasochista o nazwisku Winford Ellis, a drugą holenderska emigrantka Heidi van Cruyf, która przybyła do Stanów Zjednoczonych jakieś pięć lat temu.

- To ona musi być kobietą, która... - odezwała się Esther niepewnie.

David położył rękę na jej ramieniu.

- To z całą pewnością ona. Mój przyjaciel powiedział, że nie przetrwałby z nią dwóch rund na ringu, nawet gdyby rękawice miał wypełnione ołowiem. Nie postawiłby nawet złamanego centa na jej

przeciwnika. Ciekawe jednak, że wypuszczona została na wolność już w dwie godziny po aresztowaniu. Ktoś wpłacił za nią kaucję w wysokości trzydziestu pięciu tysięcy dolarów. Kto to zorganizował? Jakaś marna spółka adwokacka, Fuller, Simons i Halperin.

Esther ze zdziwieniem potrząsnęła głową, a David kontynuował:

- Przypadkiem wiele wiem o spółce Fuller, Simons i Halperin. Czy pamiętasz może to śledztwo Kongresu w sprawie opłacania przez FBI informatorów mafii? Jakies trzy lata temu? Fuller, Simons i Halperin została założona, jak się okazało, dla prania pieniędzy FBI przekazywanych mafii za „okazjonalną współpracę”. Czyli za morderstwa, włamania i szpiegowanie.

- Uważasz więc, że Wally został zabity przez FBI?

- Nie dysponuję tym, co można by nazwać niezbitymi dowodami. Lecz Wally przekazywał ci tajne informacje z Departamentu Stanu, a przynajmniej próbował przekazać i został zamordowany, zanim zdołał to zrobić, przez kobietę, której interesów najwyraźniej pilnuje właśnie FBI. A więc czy nie wystarczy to, aby tok myślenia skierować na jeden, jasny cel?

David przeszedł przez pokój i zbliżył się do półek z książkami. Przechylił głowę, aby odczytać tytuł z grzbietu: Miasta na końcu tęczy. Po chwili odezwał się:

- Wally natrafił na ślad czegoś ogromnego. Czegoś związanego ze zgodą Fidela Castro, aby zorganizować na Kubie demokratyczne wybory i wycofać komunistycznych insurgentów z Ameryki Środkowej. To wystarczająco ważne dla FBI, żeby zamordować kogoś w celu zamknięcia mu ust raz na zawsze. Wystarczająco ważne dla Jordana Crane'a z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, aby zatelefonować do mnie i rozmawiać w sposób, który mogę uznać jedynie za oczywistą groźbę: zamkniesz swoją cholerną mordę na kłódkę, bo w przeciwnym wypadku...

David zamilkł na chwilę.

- Ciebie również zabiją, jeżeli cię znajdą - rzekł w końcu. — I mnie wciągną na swoją listę, jeżeli nie dam im wystarczająco wyraźnego sygnału, że się wycofałem i sprawa przestała mnie

interesować. Boże, Jack Levy nawet bał się o swoje życie! W zeszłym roku rozdmuchał do wszelkich możliwych granic historię o korupcji w Pentagonie i czy się czegoś obawiał? A teraz przykro mi, David, nic nie mogę zrobić. David, grożono mi". Cóż, to my musimy się dowiedzieć, co się naprawdę dzieje. Kto przestraszył takiego faceta jak Jack Levy? Kto decyduje się grozić mnie, senatorowi? Zwykle bywam odważny, teraz jednak się boję.

- Nie mów tak - odezwała się Esther.

- Czego? Że jestem przestraszony? Dlaczego miałbym udawać?

Przez chwilę nic nie mówili. David dopijał piwo. Esther spoglądała ku niemu od czasu do czasu, zastanawiając się, czy powinna go spytać, co ma robić dalej. Przecież nie może spędzić reszty życia na

czwartym piętrze w jakimś mieszkaniu w White Plains. Po raz pierwszy w swej krótkiej karierze zaczynała rozumieć znaczenie określenia „tyrania polityczna”.

David przełknął ostatni łyk piwa i powiedział:

- Udało mi się dodzwonić do Jacka do Sayward przy M Street. Dałem mu numer telefonu do tego mieszkania. Powiedział, że zadzwoni, jak tylko będzie mógł. Wie facet o wiele więcej, niż mi dotąd powiedział.

- Czy nie uważasz, że to jest ryzykowne? Podanie Jackowi telefonu tutaj?

- Kochanie, wszystko jest teraz ryzykiem. Musimy się jednak dowiedzieć, co się dzieje.

- Tak - odparła Esther cicho. - Przepraszam. To chyba dlatego, że ciągle nie mogę uwierzyć, że to, co się dzieje, to nie koszmarny sen.

David objął ją ramieniem.

- Jesteś głodna? — zapytał.

- Nie wiem. Myślę, że nie.

- A, co powiedziałaś na hamburgera? Tu niedaleko jest budka. Ma taką dziwną, śmieszna nazwę.

- Nie, dziękuję. David poluźnił krawat.

- Jak uważasz - powiedział. - Pomyślmy więc o jakiejś drzemce. Coś mi mówi, że jutro przed nami długi, ciężki dzień.

Poszli do sypialni. Esther włączyła telewizor. Leciał jakiś późny, nocny film. Siedząc tyłem do Davida, Esther ściągnęła koszulę nocną i wsunęła się szybko pod kołdrę. W sypialni nie było

żadnego światła poza migającym niebiesko ekranem telewizora. Esther trzymała skrawek kołdry wysoko pod brodą i wpatrywała się w Davida rozszerzonymi oczyma. Rozpiął wszystkie guziki od koszuli i powiedział:

- Wezmę prysznic.

Zaczęli się kochać dopiero o świcie. Pocałował ją i stwierdził, że jej policzki są całkowicie mokre od łez. Dotknął jej sutek. Były twarde, lecz być może tylko z powodu chłodu porannego powie-

trza. A jednak rozsunęła nogi i David poczuł wilgoć kobiety, która jest bardziej niż gotowa dla niego.

Wchodził w nią powoli, delikatnie. Chciał, aby zawsze pamiętała go jako tego najczulszego, najlepszego. Nie wiedział, że nigdy nie będzie taki, dla żadnej kobiety. Jedyne miejsce, w którym mógł być uważany za najlepszego w czymś, była tylko jego własna głowa.

O szóstej zadzwonił telefon. David leżał rozbudzony, z przymkniętymi oczami. Sięgnął szybko po słuchawkę, nie chcąc, aby dzwonek obudził Esther, śpiącą z policzkiem przyklepionym do poduszki.

- Cameron — powiedział cichym głosem do słuchawki.

- David? - odezwał się odległy głos Jacka Levy'ego.

- Jack! Spodziewałem się, że odezwiesz się wcześniej.

- Musiałem trochę pokrażyć, pojeździć, upewnić się, że nikt mnie nie śledzi.

- Gdzie teraz jesteś?

- W szpitalu Świętej Elżbiety, w budce telefonicznej.

- Nie jesteś chory?

- Nie, nic takiego. To jest po prostu dobre miejsce, aby spokojnie zatelefonować.

- Czy znów ktoś ci groził? Jack zakaszał.

- Nie, przynajmniej nikt się ze mną nie kontaktował. Jednak przez całą noc parkował pod moim domem czarny mercury. Poza tym kręcił się kilka razy koło biura.

- Jack, ostrzegam cię. Ci ludzie nie żartują.

- Wiem, David, wiem. Ale wobec tego, co się dzieje, uwierz mi, to jest największa rzecz, z jaką się dotąd spotkałem, wcale się im nie dziwię, że chcą wszystkich uciszyć.

- Czy rozmawiałeś z tym twoim przyjacielem w Sztabie Generalnym? - zapytał David.

- Aha. Nie powiedział ani słowa. Powtarzał tylko uparcie: „Jack, zapomnij o wszystkim. Dla twojego własnego dobra”. Ale w końcu dopadłem młodego oficera łączności, który pracuje w biurze zastępcy sekretarza odpowiedzialnego za logistykę i komunikację. Jakieś trzy lata temu pisaliśmy o nim, gdy był zamieszany w postępowanie związane z ekscesami homoseksualnymi w Fort Dix w New Jersey. Od tego czasu miał u mnie dług wdzięczności.

- No i co? - zapytał David.

- Początkowo nie chciał nic mówić. Nie wiedział zbyt wiele, był jednak pewien, że dzieje się coś bardzo ważnego. I że to coś nazywa się Gringo. To nie jest niczyje imię. Nie jest to też nazwa rzeczy. To jakiś akronim, określający operację militarną na wielką skalę.

- Jakiś atak? Chyba nie myślisz, że planujemy atak na Związek Sowiecki czy coś takiego?

Jack odchrząknął.

- Nie, myślę, że nie. Wszystko wskazuje na to, że zaczynamy redukować naszą obecność w zachodniej Europie, prawdopodobnie po to, aby zmniejszyć budżet wojskowy. Jednak sprawa jest delikatna najprawdopodobniej dlatego, żeby nie wstrząsnąć niczym zaufaniem do nas ani nie naruszyć otwarcie żadnych zobowiązań wobec NATO.

David milczał przez chwilę.

- Naprawdę uważasz, że tego rodzaju sekret jest wart zabójstwa? - zapytał w końcu.
- Ludzie giną z bardziej błahych powodów. Czy pamiętasz tę drogerię w Charleston w zeszłym miesiącu? Trzech ludzi zginęło tylko dlatego, że morderca zauważył, iż sklep oszukuje na cenach broccoli.
- Czy zamierzasz coś opublikować? - zapytał David.
- Nie, na pewno nie. Zależy mi jeszcze na życiu moim i mojej rodziny.
- Pozwolisz mi więc udać się z tymi rewelacjami do twojego wydawcy?
- Jeśli zostawisz moje nazwisko w spokoju, możesz robić, co ci się tylko podoba.
- W porządku, Jack - powiedział David. - Rozumiem.
- Posłuchaj, David. Zanim odwieszysz słuchawkę, chciałbym cię poprosić o przysługę.
- Jasne.
- Jeśli cokolwiek przydarzy się mnie albo mojej rodzinie, zrób wszystko, żeby ci dranie dostali to, na co zasługują, dobrze?
- To mój obowiązek.

Odłożył słuchawkę. Poszedł do drugiego pokoju po swój mały czarny notes z numerami telefonów. Był to ostatni prezent od drugiej żony, Helen, zanim się rozeszli. Znalazł numer wydawcy The Washington Post i szybko się połączył.

- Pan Lewis? Tu senator David Daniels z Connecticut.
- Dzień dobry, senatorze. Zawsze miło rozmawiać z naszymi przedstawicielami. Ale jest cokolwiek wcześniej jak na poważne rozmowy.
- Myślę, że mam dla pana bardzo interesujący materiał.

Podczas gdy rozmawiał z Calem Lewisem, uprzejmym i grzecznym nowym wydawcą The Washington Post, Jack Levy wychodził ze szpitala Świętej Elżbiety na wschodnim brzegu Potomaku i

otwierał drzwiczki swojego zielonego chryslera cordoby. Usiadł w fotelu kierowcy, zmęczony i niewyspany. Zmierzył ręką nieco już za długie brązowe włosy. Miał zaledwie czterdzieści osiem lat, czuł jednak, że jest już za stary, aby wikłać się w takie historie, zbyt zmęczony życiem, żeby znosić tak ogromne napięcie psychiczne. Ileż puszek z politycznymi larwami może otworzyć jeden człowiek?

Po piątej czy szóstej zaczyna czuć, że zewsząd otacza go korupcja, że ludzie uczciwi są tylko nielicznymi wyjątkami na tym świecie. Zaczyna się zastanawiać, jaki to wszystko ma sens. Brać pieniądze i milczeć - przecież to o wiele prostsze i bardziej bezpieczne.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i z jakiegoś niezrozumiałego powodu wiedział już, że nie powinien był tego robić. Lewą rękę unióśł do klamki drzwiczek i szarpnął ją, ale w tym samym momencie pięć funtów plastyku umieszczonego pod jego fotelem eksplodowało z głuchym grzmotem i nagle pozostała z niego już tylko bezładna mieszanina flaków, kości i mięsa. Chrysler momentalnie stanął w płomieniach. Długi czas stał jeszcze pośrodku parkingu. Ze wszystkich jego okien wydobywał się czarny dym, unosząc się wysoko nad okolicą, przypominając rytualny pogrzeb indiański.

Strażacy przybyli zbyt późno, aby cokolwiek ratować. Zdusili jedynie ogień i przykryli pianą wrak spalonego samochodu. Stali jeszcze nad nim, gdy David kończył rozmowę z Calem Lewisem i odkładał słuchawkę na widełki.

Esther poruszyła się i podniosła głowę znad poduszki.

- David! - zawołała.

— Cicho, kochanie. Wszystko w porządku. Wszystko jest w absolutnym porządku.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Znasz oczywiście Nicholasa Reeda — powiedział mężczyzna do Charlesa, gdy spacerowali powoli ogrodami zamku Rosenborg w centrum Kopenhagi.

Charles popatrzył na niego ostro, ale nic nie powiedział. Mężczyzna zatrzymał się przy końcu jednej z alejek pomiędzy kwiatami. Stał z rękami na biodrach, podziwiając zamek i pogodne letnie niebo. Był piątek, dochodziła godzina lunchu. Charles powoli zaczynał być głodny i pomyślał, że chętnie zjadłby hamburgera, jeśli tylko budżet Lamprey dopuszcza podobne ekstrawagancje. Poprzednią noc spędził u duńskiego przyjaciela, pracownika kompanii ubezpieczeniowej, mieszkającego przy Ved Stadsgraven. Przyjaciel był oszczędnym człowiekiem i poczęstował go tylko jednym sznapssem, a na kolację dał tylko trzy plasterki salami i sałatkę warzywną. Na śniadanie było skondensowane mleko i równie mała jak poprzednio porcja wędliny. Charles dawno już minął wiek, w którym mógł funkcjonować równie efektywnie niezależnie od tego, czy zjadł śniadanie, czy też nie, i teraz, w ogrodach zamku Rosenborg, zaczynał czuć, że jego żołądek jest ważniejszy niż wszystko inne, nie wyłączając przyszłości zachodniego świata.

- Posłuchaj - powiedział - czy nie moglibyśmy pójść gdzieś napęłnić nasze żołądki? Umieram z głodu.

Mężczyzna patrzył na niego przez chwilę, po czym uśmiechnął się i skinął głową.

- Tak. Przepraszam. Żona zawsze przygotowuje mi bardzo obfite śniadanie. Mięso, ryby, jajka i tak dalej.

- Napiłbym się też czegoś - dodał Charles. Mężczyzna zirytował go jeszcze bardziej, recytując swoje śniadaniowe menu.

- Niech pan się czuje moim gościem - powiedział mężczyzna i ujął Charlesa za łokieć. Charles niezbyt lubił, aby go prowadzono w ten sposób, lecz zgodził się na tę eskortę z ogrodów Rosenborga, przez Kronprinsessegade do Dronningens Tvaergade, gdzie mężczyzna uprzejmie skierował go do restauracji Hos Jan Hurtigkart.

- Myślę, że jednak jestem nieodpowiednio ubrany - powiedział Charles. Ujrzał swoje odbicie w lustrze w hallu i zdał sobie sprawę, jak niechlujnie wygląda. Koszulę miał co prawda czystą, ale

cokolwiek wygniecioną. Nigdy nie potrafił ich porządnie pakować do walizki.

Okazało się, że facet ma tu swój stały stolik. Dyskretnie przeprowadzono ich w najbardziej ustronne miejsce sali, przygotowano świeże nakrycia, a potężną porcję jacka danielsa Charles trzymał

w dłoni, zanim zdążył się zorientować, co się dzieje. Dookoła rozlegało się wesołe gruchanie zadowolonych ludzi spożywających popołudniowy posiłek, roześmianych, z naturalną prostotą korzystających z jednej z najdroższych kopenhaskich restauracji.

- Czy Lamprey dysponuje budżetem na rozrywkę? - zapytał Charles.

Mężczyzna się uśmiechnął. Był niski, korpulentny, miał krótko ostrzyżone blond włosy i jedną z tych szczerych, ojcowskich twarzy, które wzbudzają zaufanie. Ubrany był w zieloną sportową marynarkę i w brązową koszulę w kratę. Brązowy krawat miał dokładnie związany pod samą brodą.

Mógł być kimkolwiek wśród milionów Duńczyków. Mógł być nawet Szwedem, Niemcem czy Amerykaninem. Był tak przeciętny w tłumie mieszkańców Kopenhagi, że niemal niezauważalny.

Charles instynktownie go polubił, między innymi dlatego, że facet zamierzał postawić mu lunch.

— Lamprey finansowana jest przez te służby wywiadowcze, dla których pracują jej członkowie

- wyjaśnił mężczyzna. - Stany Zjednoczone zupełnie nieświadomie wspierają więc budżet Lamprey, i

to jego zdecydowaną większość. W dalszej kolejności są Rosjanie, Wielka Brytania, Niemcy. Nawet

Dania płaci swoją część. Jak pan wie, budżety wywiadów są beztrosko trwonione, poza tym w wielu

wypadkach wykorzystywane w takim sekrecie, że praktycznie rządy nie mają możliwości śledzenia, w

jaki sposób pieniądze są wydawane. Wykorzystanie więc kilkuset tysięcy na naszą działalność jest zupełnie niezauważalne.

Charles przełknął potężny łyk whisky i odstawił szklanekę na stół.

— Czy ma pan jakieś imię? - zapytał. Mężczyzna ciągle się uśmiechał.

— Może mnie pan nazywać Hansem, jeśli pan chce. Czy to ma znaczenie?

— A dalej? Może Christian Andersen?

— Spokojnie, przyjacielu. — Mężczyzna chcący, aby nazywać go Hansem, położył rękę na zaciśniętej pięści Charlesa.

Spotkanie Charlesa z Hansem w ogrodach pałacu Rosenborg doszło do skutku, tak jak zapowiedziano, za pośrednictwem młodego posłańca o chudej twarzy, który poprzedniego wieczoru pojawił się w barze w motocyklowym kasku. Posłaniec powiedział po prostu, że ważny przedstawiciel

Lamprey chce spotkać się z nim jutro o godzinie jedenastej trzydzieści, naprzeciwko mostu przecinającego fosę. W ten sposób spotkał Hansa, uprzejmego i dobrotliwego, który zdążył potrząsnąć ręką Charlesa, zanim ten się przedstawił.

— Dzieje się coś bardzo niebezpiecznego - powiedział Charles. - Telefonowałem w nocy dwukrotnie do Agnety, która jest teraz u Rogera, aby się upewnić, że z nią wszystko w porządku.

— Cóż, przyjacielu, ma pan zupełną rację - zgodził się Hans. — Od kilku miesięcy występują jakieś zakłócenia w kontaktach pomiędzy służbami wywiadowczymi, nie wiadomo czym powodowane. Ludzie, ci nieustraszeni, wybrani tak jak pan kiedyś, odczuwają szczególny rodzaj strachu, bardzo silnego, nie wiadomo przed czym. Może pan unieść nos do góry i wyczuć tę woń w powietrzu.

Gdzieś, nie wiadomo gdzie, ktoś porusza gruntem pod naszymi nogami.

— Niech mi pan opowie o Nicholasie Reedzie - poprosił Charles. - Co wydarzyło się w Hvidsten Inn?

— Znał pan Nicholasa Reeda, oczywiście - odparł Hans. Zaczął mówić, z rękami ułożonymi schludnie na brzegu restauracyjnego stolika, w geście, jaki czynią księża czy lekarze.

— Nicholas Reed był agentem CIA korzystającym z nazwiska Peter Secker. Wcześniej pracował na Filipinach, lecz po zamordowaniu Benigno Aąquino skierowano go tutaj.

Charles poczuł gwałtowny skurcz w żołądku. Oczywiście, słodkie cukierki na biurku Nicholasa

Reeda w biurze firmy Klarlund i Christensen. Peter zawsze miał słabość do słodyczy. Powiedział kiedyś Charlesowi, że jego matka robiła cukierki w domu, gdy był dzieckiem — gdzie to było? W Mankato, w Minnesocie, gdzieś tam.

Hans spostrzegł, że z Charlesem coś się stało. Umilkł na chwilę i zapytał:

— Dobrze się pan czuje?

- O, tak, w porządku. Nie wiedziałem tego o nim. Pracowaliśmy razem nad kilkoma sprawami, nic specjalnego. Gdzieś w Norwegii, na przykład. Był bardzo dobry w zbieraniu informacji. Czasami musiał się przebierać i nawet ja z trudnością go rozpoznawałem w przebraniach. Dobry był też w najprostszej, systematycznej robocie detektywistycznej.

— Dlatego właśnie wybrany został do spenetrowania firmy Klarlund i Christensen.

— Czy orientuje się pan, co tam się dzieje? - zapytał Charles.

— Mniej więcej. Niestety, Peter został zamordowany, zanim przekazał nam wszystko, co chcieliśmy wiedzieć.

Nadszedł kelner z serwetką przewieszoną przez ramię, aby wysłuchać zamówienia.

— Dla mnie eskalopki - poprosił Hans.

— Turbot gotowany, bez masła - zażądał Charles. - Zrozumiałeś? Żadnego masła.

— Koszerne danie, sir? - zapytał kelner grzecznie.

— Nie — odpowiedział Charles. - Po prostu nie życzę sobie, aby jedna z najwspanialszych ryb pływających w morzach tego świata paprana była jakąś wstrętną ciecżą, dojoną z krowy.

— Tak, sir. Przepraszam, sir.

Hans wskazał na szklaneczkę Charlesa.

— Jeszcze jedną porcję? - zapytał grzecznie.

— A dlaczego nie, do diabła - zgodził się Charles. Gdy kelner odszedł, Hans kontynuował opowiadanie:

— Jakieś siedem miesięcy temu zaczęliśmy podejrzewać, że u Klarlunda i Christensena dzieje się coś niezwykłego. Jeden z naszych wywiadowców spostrzegł brytyjskiego agenta o nazwisku Jaggs

wychodzącego z ich budynku któregoś ranka i, oczywiście, dał znać swojemu szefowi. Zaczęliśmy obserwować budynek i przez pięć tygodni odnotowaliśmy obecność nie tylko funkcjonariuszy wywiadu, ale także poważnych dyplomatów wysokiej rangi ze Stanów Zjednoczonych, Związku Sowieckiego, Wielkiej Brytanii, Kuby, Ekwadoru, Chin. Zewsząd, prawdę mówiąc. Brakowało tylko ludzi z zachodniej Europy. Żadnych Niemców, na przykład. Żadnych Francuzów, Włochów, Szwedów, Holendrów. Charles w milczeniu patrzył, jak kelner stawia przed nim kolejnego drinka. Miał ochotę wychylić go od razu, ale postanowił, że trochę poczeka.

- Wygląda to na jakąś konferencję na wysokim szczeblu - powiedział do Hansa.

- Rzeczywiście, wyglądało na to, że rozmowy mają na celu osiągnięcie jakiegoś ważnego porozumienia za plecami krajów zachodniej Europy. Początkowo Peter przypuszczał, że chodzi o jakieś sprawy gospodarcze, że Wielka Brytania na przykład zgodzi się znacznie rozluźnić swój związek ze Wspólnotą Europejską i przybliżyć do gospodarki Europy Wschodniej. Podłączył się nawet do którejś z końcówek komputera Klarlunda i Christensena, lecz nie udało mu się wdrzeć do banku danych. Zdaje się, że pan i Jeppe Rifbjerg to właśnie chcieliście osiągnąć tej nocy, gdy się tam włamaliście.

Charles pokiwał głową.

- Przykro mi. Gdyby tylko któryś z nas wiedział, że wy jesteście już na tropie... cóż, z pewnością przynajmniej skoordynowalibyśmy działania.

Hans zastanawiał się przez chwilę.

- Czy wie pan, że znaleziono Jeppe Rifbjerga?

- Znaleziono? Nie, nic nie wiedziałem. Spędziłem wczoraj prawie cały dzień, próbując się do niego dodzwonić.

- Niestety, Jeppe nie odpowie już na żaden telefon, panie Krogh.

Charles poczuł nagle, że wyschło mu w ustach.

- Kiedy? - zapytał.

- Dziś rano. Otrzymałem wiadomość krótko przed wyruszeniem na spotkanie z panem.

- Co z nim zrobili?

- Nie chciałby pan wiedzieć. - Hans potrząsnął głową.

- Chciałbym. Co mu zrobili?

Hans popatrzył na stolik i starannie wytarł w serwetkę swój nóż i widelec.

— Znaleziony został w garażu przy St. Annae Gade. Odcięli mu nogi i ręce, zanim go zabili.

Charles poczuł, jak alkohol podchodzi mu do gardła. Siedział przez długi czas, patrząc przed siebie wilgotnymi oczami. Z trudem zapanował nad żołądkiem. Po chwili sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął papierosa.

— Nie ma pan nic przeciwko temu, że zapalę?

— Właśnie niosą pańską rybę.

Patrzył na Hansa przez dwie lub trzy sekundy, po czym schował nie napoczętą paczkę papierosów do kieszeni.

— Powinniśmy pracować razem. Szybko rzuciłbym palenie. Ma pan coś takiego w oczach...

Co to takiego, hipnoza?

— Podejrzewamy - kontynuował Hans — że Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zawarły jakieś nowe porozumienia ze Związkiem Sowieckim, porozumienia, które w dłuższej perspektywie będą miały korzystny wpływ na pokój światowy. Brytyjczycy prawie na pewno wycofają się ze Wspólnego Rynku i będą próbowali niezależnej od nikogo gospodarki, ze wzrastającym jednak ukierunkowaniem ku blokowi komunistycznemu. Stany Zjednoczone natomiast najprawdopodobniej zgodziły się wycofać prawie całość swych wojsk z Niemiec Zachodnich.

Charles napoczął turbota koniuszkiem widelca. Nikt nie musiał mu mówić, jak dramatyczny wpływ na cały świat miałyby zerwanie Wielkiej Brytanii z EWG albo wycofanie z Niemiec chociażby

połowy wojsk Stanów Zjednoczonych. Jego instruktor, wykładający politykę w szkole CIA, zawsze powtarzał: „Cały świat jest podobny do plastikowych modeli, które ojcowie wieszają swoim synom w sypialniach, na sznurkach zwisających z sufitu. Wystarczy, że odpadnie jedna mała część i cały model zmienia położenie. Tak samo jest ze światem. Zatrząśnie się przy najmniejszym przemieszczeniu się jakiegoś elementu”.

Nie mógł jeść, mimo że był bardzo głodny. Ciągle stał mu przed oczyma obraz Jeppe, leżącego na podłodze w garażu, bez rąk i nóg, w kałuży krwi. W połowie ryby przeprosił Hansa. Pobiegł do toalety i schyliwszy się nad umywalką, najzwyczajniej w świecie, gwałtownie wyrzygał doskonałą rybę. Sterczał nad umywalką przez długie minuty, dopóki nie przyszedł Hans. Popatrzył na niego i powiedział:

- Wie pan, może nam pan pomóc. Potrzebujemy w Lamprey wszystkich, którzy mogliby być użyteczni. Szczególnie teraz.

Charles uniósł głowę. Okno toalety było otwarte. Wychodziło na czarne dachy, widać też było błękitne niebo. Bezkresny błękit.

- Jak to jest? - zapytał. - Słabi faceci, tacy jak pan i ja, stają się nagle odpowiedzialni za przyszłość całego tego cholernego świata.

Hans położył rękę na jego ramieniu.

- Przyjacielu - powiedział - jesteśmy inżynierami międzynarodowej polityki, tymi, którzy pilnują, żeby maszyna się nie zatarła, tymi, którzy leją oliwę na jej tryby, tymi, którzy ryzykują życie, aby rządy mogły podejmować decyzje, aby machina biurokracji mogła pracować. Nie pytaj mnie, dlaczego tak wielka odpowiedzialność spada na takich zwyczajnych ludzi jak my. Każdy człowiek przynajmniej raz w życiu zadaje sobie podobne pytanie i nie znajduje na nie odpowiedzi. Jeśli chodzi o nas, wykonujemy nasz zawód, ponieważ nikt inny nie chce tego robić, a jesteśmy zbyt odpowiedzialni, aby żyć ze świadomością, że praca ta nie jest wykonana.

Charles zapalił papierosa. Trzęsły mu się ręce. Wypuścił dym kątem ust.

- O czymkolwiek by ta konferencja zdecydowała, jest pan przekonany, że jej uzgodnienia zawarte są w pamięci komputera należącego do firmy Klarlund i Christensen, czy tak?

- Wszystko na to wskazuje.

- Otto Glistrup mówił, że do komputera można się dostać z zewnątrz, na przykład po linii telefonicznej.

- Hm - uśmiechnął się Hans. - Niech pan nie myśli, że już tego nie próbowaliśmy. Ten komputer jest doskonale zabezpieczony. Trzeba złamać bardzo wiele kodów, aby go spenetrować.

- Może więc powinniśmy jeszcze raz włamać się do budynku? Hans potrząsnął głową.

- Myślę, że nie, przyjacielu. Od czasu pańskiego włamania środki bezpieczeństwa zwiększono

dziesięciokrotnie. Poza tym zapewne zdaje pan sobie sprawę, że w Kopenhadze jest Nowikow, człowiek, którego Rosjanie zwą Krow iz Nosu.

Charles skinął głową.

- Miałem wątpliwą przyjemność wyrzucenia go przez okno. Niestety, zatrzymał się na okapie.

Wiem, że żyje i pała żądzą posiekania mnie na sto tysięcy drobnych kawałeczków. - Po chwili milczenia zapytał: - Czy to Nowikow zabił Jeppe?

Hans odwrócił wzrok i wzruszył ramionami.

- Cóż, wygląda to na jego robotę.

- Skurwysyn - warknął Charles.

- Potrzebujemy natychmiast doskonałego eksperta od komputerów, prawdziwego eksperta, kogoś, kto potrafi spenetrować bank danych komputera Klarlunda i Christensena i nie pozostawi żadnych śladów poszukiwań - powiedział Hans. - Nie wiem, gdzie znaleźć taką osobę, mam jednak nadzieję, że to możliwe.

- Będę miał oczy otwarte - rzekł Charles z sarkazmem. Hans zastanawiał się nad czymś długo, nim się odezwał:

- Jest jeszcze jedna możliwość. Musi pan to, co teraz powiem, trzymać w wielkiej tajemnicy.

Poprzedniej nocy kilku naszych ludziom w Niemczech Zachodnich udało się porwać bardzo wysokiego rangą oficera armii sowieckiej.

- Żartuje pan - powiedział Charles. - Żartuje pan - powtórzył.

- Było to, oczywiście, ryzykowne posunięcie — przyznał Hans. — Moment jest jednak krytyczny, wymagający używania ekstremalnych środków.

- Porwaliście oficera sowieckiej armii? Kogo, jakiegoś pułkownika czy kogoś takiego?

- Więcej niż pułkownika.

- Generała? - zapytał Charles niedowierzającym tonem.

- Najprawdopodobniej słyszał pan o nim. To T. K. Gołowanow, pierwszy zastępca ministra obrony.

Charles patrzył na Hansa z niedowierzaniem.

- O, kurwa mać. Na Kremlu chyba wpadli w szal!

- Myślę, że tak. - Hans uśmiechnął się. - Nie mogą jednak publicznie przyznać się do tego w obawie o swój prestiż. Jak dotąd zresztą nie są całkowicie pewni, czy go porwano, czy też zdezerterował. Jeśli uciekł, czego niestety nie uczynił, muszą się obawiać, że zdradzi Zachodowi wszystko, o czym wie. W takim momencie, pełnym napięcia, sprawą najwyższej wagi musi być dla ich Rady Obrony odgadnięcie, gdzie on jest, czy go uprowadzono, czy zbiegi, czy żyje, czy jest martwy, czy będzie mówił.

- Zapewne potraficie zmusić go do mówienia - stwierdził Charles. Zduśił papierosa w umywalce, wyciągnął chusteczkę i głośno wytarł nos.

- Spróbujemy.

- Gołowanow? To jeden z najpotężniejszych marszałków. Twardogłowy, silny, pewny siebie. Zdaje się, że walczył pod Kurskiem. I pod Stalingradem.

— Powtarzam — powiedział Hans. - Spróbujemy.

— Cóż, życzę powodzenia, tylko tyle panu powiem. Tymczasem, czy może pan coś zrobić, abym mógł się wreszcie pozbyć tego Nowikowa?

Wrócili do stolika. Hans skinął na kelnera.

— Czy chce pan czegoś jeszcze? - zapytał Charlesa. - Kawy? Tortu?

Charles potrząsnął głową.

— Za pół godziny chcę odwiedzić damę mojego życia. Te sowieckie bękarty przestraszyły ją niemal na śmierć.

Hans pochylił się nad stolikiem.

— Próbujemy obserwować Nowikowa. Na razie jest to bardzo trudne, bo Sowieci trzymają go głęboko w ukryciu i spuszczają go ze smyczy tylko wtedy, gdy trzeba wykonać jakąś moką robotę, na przykład zamordować biednego Petera Seckera albo pozbyć się pana. Jakąkolwiek informację posiadał

Peter, musiała być dla nich cholernie niebezpieczna, skoro wysłali Nowikowa, żeby go zabił.

Nowikow, jak pan wie, jest ich jedynym zabójcą o stuprocentowej skuteczności działania.

— Co pozwala mi być dumnym z siebie - zauważył Charles.

— Może pan nam pomóc, przyjacielu. Jeśli pozwoli pan, aby jeden z naszych ludzi chodził za panem, z pewnością wkrótce natrafi na Nowikowa i nafaszeruje go ołowiem.

Charles wzruszył ramionami i zaczął bębnić palcami po blacie.

— Nigdy nie przypuszczałem, że nadejdzie czas, gdy będę służył komuś za przynętę.

— Przyjacielu, życie jest pełne niespodzianek. Charles podniósł wzrok i powiedział:

— Być może.

— My tymczasem - kontynuował Hans - będziemy szukać kogoś, kto potrafi włamać się do komputera, oraz będziemy próbowali zmusić towarzysza Gołowanowa, żeby powiedział nam wszystko, co dotyczy obecnych niepokojów w Europie.

Charles udał się na Peder Skrams Gade, aby odwiedzić Agnetę. Nie było to zbyt daleko, a popołudnie było w miarę słoneczne, szedł więc z przyjemnością. Skręcił w Storę Kongens Gade, a później w Kongens Nytorv, następnie pomaszerował Nyhavn wzdłuż brzegu. Ciężkie cumulusy odbijały się w wodzie. Drzewa cicho szumiały i szeptały jakieś niezrozumiałe słowa.

Roger mieszkał na drugim piętrze, nad sklepem z ceramiką. Lśniaca brązowa tabliczka na drzwiach oznajmiała: „R. Strong”, co było żartem, gdyż jego prawdziwe nazwisko brzmiało Rubins.

Drzwi były otwarte na cal, może dwa. Charles popchnął je ostrożnie, czubkiem buta.

W środku najwyraźniej nikogo nie było. Ruszył po gładkich drewnianych schodach, powodując ciche skrzypienie starej konstrukcji. W jednym z pokoiów na górze ktoś głośno puścił płytę starego

Jimiego Hendrixa, na fatalnym, tanim gramofonie. Jakaś mała cząstka umysłu Charlesa momentalnie powróciła dwadzieścia lat wstecz, do letnich dni w Kopenhadze i Sztokholmie, do młodych blondynek w mini, do kwiatów, słońca i trawy, do tych dni, gdy jako młody agent wywiadu marzył o wyczynach Jamesa Bonda. Nie tylko on był taki. Wielu z nich ćwiczyło karate, a później wykorzystywało tę naukę w najmniej odpowiednich sytuacjach. Czasami próbowali rozwalać jakieś deski czy cegły, co nierzadko kończyło się ciężkimi kontuzjami.

Charles dotarł do drzwi Rogera i zastukał. Czekał z rękami w kieszeniach. Znów zastukał i pchnął lekko drzwi. Uchyliły się powoli, zaskrzypiały, lecz szpara zrobiła się większa. Charles nasłuchiwał przez chwilę, po czym powoli wyciągnął ręce z kieszeni. Żadnego dźwięku, żadnego hałasu, na przykład odkurzacza, odkręconego prysznica czy Radia Denmark.

— Halo! - zawołał Charles. Poczekał chwilę i znów: - Agneta! - Lecz nie doczekał się żadnej odpowiedzi.

Wszedł do wąskiego przedpokoiku. Posadzka z klepek sosnowych była świeżo wywoskowana i przedpokój pachniał lasem i czosnkiem. Na ścianie wisiała reprodukcja obrazu Malcolma Lubera, przedstawiającego młodzieńca zabawiającego się swoim penisem. W kącie korytarzyka ustawiona była paproć w pięknej, dużej ceramicznej doniczce. Charles przelotnie pomyślał, że jest bardzo ładna,

lecz nie miał teraz czasu na takie spostrzeżenia. — Agneta!

Wszedł do największego pokoju, z pomarańczowymi ścianami i dużymi jasnymi oknami wychodzącymi na Inderhavn, gdzie cumowały statki przyplływające z Malmö. Kominy okrętowe, zielone miedziane dachy, tańczące drzewa i błękitne niebo rozciągały się stąd hen, aż do Rosji.

Charles przystanął i znów zaczął nasłuchiwać. Nic. Cisza nie zwiastująca niczego dobrego. A Agneta obiecała przecież, że przez cały dzień będzie czekała tutaj na niego, że nie ruszy się stąd na krok. Złapał się na tym, że powtarza uparczywie: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...” i po raz drugi już

dzisiaj załuje, że nie ma przy sobie pistoletu. Stał na środku pokoju, nasłuchując, czekając.

- Agneta! - zawołał jeszcze raz i nagle wydał ogromne westchnienie ulgi, gdy Agneta ukazała się w drzwiach kuchni. Miała potargane włosy, a w obu rękach przed sobą trzymała kuchenny nóż.

- Charles! - zawołała z ulgą.

- Zwariowałaś? — zapytał. - Drzwi są szeroko otwarte. — Przecież mógł tu wejść ktokolwiek.

- Nie miałam pojęcia, że to będziesz ty, kochanie - powiedziała. Objęła go i pocałowała w oba policzki, a później w usta.

Charles otoczył ją ramieniem i uściśnął mocno.

- To mogłem nie być ja, na miłość boską! To mógł być chociażby jeden z tych cholernych Rosjan. Gdzie jest Roger?

- Roger poszedł kupić coś do jedzenia. Nie był przygotowany na wykarmienie dwóch osób.

Miał w lodówce jedynie sok pomarańczowy i jogurt truskawkowy. Och, i całe stosy nasion słonecznika. On wierzy, że jedzenie ich jest dobre na cerę.

Agneta ubrana była w białą-błękitną koszulę, bardzo prostą, bardzo duńską, i zrobione na drutach skarpetki z wyspy Aer0. Oczy miała podkrążone, widocznie nie spała dobrze tej nocy.

Potrząsnęła ręką Charlesa i znów go pocałowała.

- Spotkałeś tego człowieka? Czy już wiesz, co się dzieje?

- Mniej więcej. Wciąż jednak nie jestem pewien. Musimy najpierw włamać się do ich komputera, a więc potrzeba nam sprytnego faceta, który potrafi to zrobić. W przeciwnym wypadku... cóż, nie może być mowy o żadnym przeciwnym wypadku, przynajmniej jeśli o mnie chodzi.

- Ale ci Rosjanie... Charles wzruszył ramionami.

- Im się zdaje, że wiemy więcej, niż wiemy w rzeczywistości. Albo że jesteśmy zwyczajnie zbyt ciekawscy. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że zamierzają nas załatwić.

Usłyszeli skrzypienie frontowych drzwi.

- To musi być Roger - powiedziała Agneta i odwróciła się w kierunku przedpokoju. - Roger! -

zawołała. - Charles wrócił!

Cisza. Nikt nie odpowiedział.

- Roger, czy to ty? - zapytała Agneta i ruszyła w kierunku przedpokoju, zanim Charles zdał sobie sprawę, że to nie może być Roger. Roger odpowiedziałby natychmiast, bez wahania, ponieważ Roger wiedział, że są poszukiwani, a ostatnią rzeczą, jakiej Roger by pragnął, byłby nóż między jego zębami, zanim zdołałby powiedzieć: „To ja, wszystko w porządku”.

— Agneta! — ryknął Charles.

Ale nawet to, że Agneta zawahała się na chwilę, nic już nie pomogło. Zza drzwi wyłoniła się wielka ręka, objęła ją wokół szyi, momentalnie zwalając z nóg. Dopiero potem ukazał się Nowikow, przerażający Krow izNosu z twarzą jak ze złego snu. Unosił Agnetę nad podłogą, w ręce zgiętej w łokciu. Biceps uciskał gardło Agnety. W szaleńczym wysiłku orała paznokciami jego rękę, kopała dziko jego golenie, lecz sprawiała mu tym nie więcej bólu niż słaba kotka albo małe dziecko. Stał bez

ruchu, milczący, ściskając tylko ruchami mięśni jej szyję, coraz mocniej, a ona robiła się coraz bardziej purpurowa, charczała, dusiła się.

Nowikow nic nie mówił. Jego przerażająca, pokiereszowana twarz niczego nie wyrażała. Na zawsze już pozostanie maską bezmyślnego grymasu spalonych mięśni i spieczonej skóry. Charles zaczął się cofać. Wiedział, był zupełnie świadomy tego, że stoi przed najgwałtowniejszym i najokrutniejszym zabójcą na świecie, przed ludzką maszyną, nie znającą strachu, sumienia, bez żadnych zasad, z wyjątkiem psiej wierności wobec ludzi, którzy ocalili mu życie i posłali go, aby zabijał innych ludzi jako egzorcyzm wobec jego cierpienia i strachu.

Boże! Zapewne szedł za nim już od restauracji.

- Nowikow - powiedział Charles. - Daję ci dobrą radę. Zostaw dziewczynę i wyjdź stąd.

Nowikow zareagował tylko w jeden sposób. Ścisnął jej gardło jeszcze mocniej. Agneta nie

wydawała już żadnego głosu. Tak bardzo brakowało jej powietrza, że zdolna była tylko kopać go słabo i drapać jego rękę.

— Zostaw ją! — krzyknął Charles na zabójcę. Podniósł drewniany fotel i zamierzył się nim na Nowikowa. Zabójca patrzył na niego wilgotnymi, mongołoidalnymi oczami. Nie mrugał nimi, nie uchylił się, nie zrobił żadnego ruchu, by uchylić się przed ciosem. Agneta wydała z siebie nagle jakiś gulgot i ścisnął jej gardło jeszcze gwałtowniej.

- Ty skurwysynu! - ryknął Charles. - Ty przeklęty, nieludzki skurwysynu!

Wygiął się, zakręcił drewnianym fotelem w powietrzu i trzasnął nim z całej siły Nowikowa w biodro. Potem zaczął okładać Rosjanina po plecach, nogach, żebrach, gdziekolwiek mógł go uderzyć, nie dotykając Agnety.

W pewnym momencie fotel rozleciał się na kawałki. Charlesowi została w ręce tylko jedna noga. Zamachał nią przed oczyma Nowikowa.

- Puścisz ją, bękartie, czy mam ci wydłubać oczy? Kreatura o przezwisku Krow iz Nosu ujęła nagle głowę Agnety w obie obrzydliwie czerwone ręce i przekręciła nią wokół szyi o sto osiemdziesiąt

stopni. Nowikow patrzył przy tym uważnie na Charlesa przez cały czas oczami okrutnego monstrum, jakby chciał nacieszyć się każdą sekundą bólu człowieka obserwującego, jak jego ukochana kobieta ginie metr od niego, a on nie jest w stanie nic zrobić, aby jej pomóc.

Charles usłyszał, jak pęka stos pacierzowy Agnety, jak trzaskają kręgi szyjne. Usłyszał, jak pękają rozrywane mięśnie, oba obojczyki, tętnice. Przez krótki moment Agneta, już martwa, patrzyła na niego oczyma, które niemal wyskoczyły z orbit, z ustami do połowy otwartymi, jakby chciała coś do niego powiedzieć. Po chwili z ust buchnęła fontanna krwi.

Charlesa ogarnęło szaleństwo. Z furią rzucił się na Nowikowa i zaczął okładać go nogą od fotela. Nie patrzył, gdzie uderza, nie zdawał sobie zresztą z tego sprawy. Ciało Agnety opadło na dywan, nogi ugięły się w kolanach, jakby tylko mdlała. Krew siknęła na ściany pokoju, barwiąc je

lśniącą, świeżą czerwienią. Charles bił potwora gdzie popadło. Każde z tych uderzeń powaliłoby normalnego człowieka na podłogę. Lecz na Krow iz Nosu nie robiły żadnego wrażenia. W pewnym momencie wyciągnął rękę, złapał za klapy marynarki Charlesa i pchnął go gwałtownie do tyłu. Charles przewrócił się o szklany stolik do kawy, który pękł na dziesiątki kawałków. Nowikow ruszył w jego kierunku. Jego okrutne matowe oczy przez cały czas nie zmieniły wyrazu. Nie było w nich widać żadnej ekscytacji, podniecenia, nie było żądz krwi. Nowikow zabijał tak, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie: to w końcu był jego zawód.

Z gardła Charlesa wydobył się okrzyk przerażenia. Szybko przekręcił się na łokciu i wydostał się z resztek stolika. Rzucił się za oparcie kanapy, aby odgrodzić się czymś od zabójcy. Nowikow okrążył stolik. Jego oddech przypominał dźwięk pilnika trącego o drewno.

- Ty bękarcie - wysapał Charles. Czuł silny ból pod żebrami. Pomyślał, że sprawiłby Nowikowowi ogromny zawód, gdyby teraz właśnie padł na zawał serca, zanim ten go zdąży dopaść. Nowikow ciągle milczał. Odepchnął ciężką włoską lampę z brązu, z szerokim abażurem, i wyciągnął ku Charlesowi obie swoje poparzone ręce, jakby obiecując w jakimś groteskowym języku migowym, że za chwilę ukręci również głowę Charlesa.

Charles posuwał się wzdłuż ściany pokoju, nie odrywając wzroku od twarzy Nowikowa, podobnej do przerażającej maski.

- Ty bękarcie - powtarzał co chwila ledwo słyszalnym szeptem. - Ty bękarcie.

I nagle, zupełnie niespodziewanie, do pokoju wkroczył Roger, obładowany zakupami. Popatrzył najpierw na Charlesa i już miał zamiar coś powiedzieć, gdy ujrzał krew i Agnetę leżącą na dywanie i przede wszystkim jej głowę wykręconą w przeciwnym, niż być powinna, kierunku. Następnie zobaczył strzaskany stolik i przewróconą lampę i dopiero na końcu popatrzył w to miejsce pokoju, w którym stał Nowikow.

- Charles? - zapytał łagodnie.

Charles nie mógł się odezwać. Potrząsnął jedynie głową.

Roger postawił na podłogę dwie papierowe torby z zakupami, bardzo starannie, uważnie, jedną obok drugiej. W pokoju było tyle krwi, że dno jednej z toreb momentalnie przesiąknęło czerwienią.

Roger zdjął kremowy żakiet, rozmasował ścierpnięte palce i zapytał jeszcze raz:

- Czy nie powinienem jednak czegoś się najpierw dowiedzieć?

- Tak - powiedział Charles zachrypłym głosem. - To bydlę jest zawodowym zabójcą. Możesz zrobić coś dla mnie. Ubierz się w swój płaszczyk i wyjdź stąd, dopóki jeszcze możesz. Zatelefonuj do

Povla Isena w centrali policji i zrób to jak najszybciej. Powiedz mu, gdzie ma mnie szukać i żeby przyjechał tu przynajmniej z brygadą antyterrorystyczną.

Roger skinął w kierunku Nowikowa.

-To nazywasz zabójcą? Ten kawał przypalonego hamburgera?

- Roger, proszę cię, posłuchaj mnie. To nie jest zwykły zabójca. To jest dzikus, maszyna, nie człowiek. Najniebezpieczniejsza kreatura w całej KGB.

Roger wahał się przez chwilę, po czym się uśmiechnął.

- A więc jakaś odmiana. Nie dwa maminsynki, które próbowały zrobić ci krzywdę ostatnio.

Nareszcie spróbuję swoich sił z prawdziwym zabójcą.

- Roger - błagał Charles. - Posłuchaj mnie. Zatelefonuj do Povla Isena. Proszę cię.

Ale na Rogera żadna perswazja nie mogła już podziałać. Przyjął jak najbardziej prawidłową postawę karateki i wpatrywał się w Nowikowa bez ruchu przez prawie dziesięć sekund. Charles nie wiedział, co robić. Chciał błagać go o rozsądek, ostatni raz, a jednocześnie obawiał się zakłócić jego koncentrację. Nozdrza Rogera rozszerzyły się, szyja wygięła się do tyłu. Patrzył na Nowikowa półprzymkniętymi oczami, otwartymi dłońmi kręcąc jakieś tajemnicze koła w powietrzu.

Nagle krzyknął: Banzai! i natarł na Nowikowa, kopiąc go z całej siły w klatkę piersiową. Ku zaskoczeniu Charlesa Nowikow opadł ciężko na podłogę. Roger natychmiast usiadł na jego brzuchu,

chwycił prawą nogę i zaczął ją wykręcać.

- No, ty wstrętne ścierwo! — Roger wrzasnął na niego. — Co o tym myślisz?!

Lecz Roger nie wziął pod uwagę niewyobrażalnej wręcz odporności Nowikowa na ból. Krow iz

Nosu przeżył przecież rozlanie płynnego metalu na twarz. Zniósł całe lata potwornych zabiegów

chirurgicznych, lata ciężkiej terapii i najgwałtowniejszego treningu fizycznego. Roger był silny.

Gdyby wykręcał nogę kogoś innego, nawet najsilniejszego i najdoskonalszego zapaśnika, z pewnością

już byłby zwycięzcą. Lecz na Nowikowa ból nie działał. Wycierpiał w życiu tyle, że przekroczył próg,

za którym nie ma już bólu. Można go było przewrócić, jak udowodnił Roger. Nie można było jednak sprawić mu bólu.

Nowikow wyciągnął podobne do szponów ręce i zgnął palcami twarz Rogera. Roger potrząsnął

głową z radosnym śmiechem, ale w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że prosty ruch głową, zwykle

skuteczny, nie poskutkuje wobec Nowikowa. Twarde jak rogi paznokcie Rosjanina najpierw

rozerwały usta Rogera, przebiły policzki, a następnie wbiły się w oczy.

Triumfalny śmiech Rogera w jednej chwili przeszedł w rozpaczliwy skowyt. Jak człowiek

zdzierający miąższ brzoskwini z grubej pestki, Krow iz Nosu zaczął zdzierać mięśnie z kości twarzy

Rogera. W ciągu sekundy po zdziwionej i przerażonej twarzy

Rogera nie było śladu — stała się tylko okropną masą żywego mięsa. Oczy wyskoczyły na

zewnątrz i zwisały tylko na cieniutkich niteczkach nerwów. Wargi były całkowicie wydarte; odsłoniły

dwa rzędy równych, białych zębów. Z ust Rogera wydobył się dźwięk, jakiego Charles nigdy dotąd

nie słyszał z ust człowieka. Wysoki mrozący krew w żyłach gulgot.

W jednej chwili podjąwszy decyzję, Charles dał nura w kierunku drzwi. Zderzył się z młodym

człowiekiem, który miał właśnie zamiar wejść do pokoju. W eleganckiej brązowej marynarce, pra-

wdopodobnie kolejny bandyta z KGB. Mimochodem pchnął go w głąb przedpokoju, na doniczkę z

palną. Po chwili był na schodach i zbiegał w dół, przesadzając po trzy stopnie na raz. Wybiegł na ulicę, ale nie zatrzymał się. Pędził, slalomem mijając licznych przechodniów. Przeciął Peder Skrams Gade i Holbergsgade. Na Herluf Trolles Gade zaczął tracić siły.

Na chwilę wytchnienia pozwolił sobie dopiero nad wodą, przy Nyhavn. Spocony, z trudem łapiąc powietrze, przystanął w cieniu drzewa. Okropna wizja czerwonej zdeformowanej twarzy Rogera wbiła mu się w mózg tak silnie, że nie widział niczego dookoła. Nie dostrzegał statków, drzew

i dzieci biegających z kolorowymi balonikami. Jakiś wędrowny muzyk grał na akordeonie Happy Days Are Here Again.

Trzęsącymi się rękami z trudem zapalił papierosa. Znow ruszył przed siebie. Wiedział, że musi się gdzieś ukryć, i to szybko. Nie miał wątpliwości, że Rosjanie chcą go zabić, tak jak zabili Jeppe, i nie bardzo ich będą interesować ofiary, jakie padną przy okazji. Pościg za nim kosztował już życie Agnetę i Rogera. Szok i ból, jaki sprawiły mu te śmierci, jeszcze do niego w pełni nie dotarły, wiedział jednak, że wkrótce to nastąpi i lepiej dla niego, jeśli będzie w takim momencie sam, ukryty w

jakimś spokojnym miejscu. Sam, być może z kilkoma butelkami jacka danielsa.

Odszukał w pamięci tylko jedno miejsce, do którego mógłby się teraz udać. Machnął na taksówkę, wsiadł do środka i zapytał taksówkarza:

— Co by pan powiedział na dłuższą przejażdżkę?

— Amerykanin?

- Jedzie pan czy nie, do cholery? - warknął na niego Charles. Czuł, że jeszcze chwila i wybuchnie.

- Jasne. Dokąd?

- Jedź pan na północ szosą numer dziewiętnaście, dopóki nie każę panu się zatrzymać.

- Poproszę o zaliczkę.

Charles sięgnął do kieszeni koszuli, wypełnionej jak zwykle jakimiś strzępkami karteczek z notatkami i wyciągnął pięćset koron duńskich.

- Proszę. A teraz jedźmy.

Kierowca wziął pieniądze, wzruszył ramionami i zmienił światelko na szybie na „zajęty”.

Zawrócił w kierunku Gothergade, minął pałac Rosenborg, ogród botaniczny i pojechał wzdłuż Sortedams SO.

Na tylnym siedzeniu Charles przymknął oczy i próbował przekonać samego siebie, że nic się nie wydarzyło, że to zjawy, że nigdy nie słyszał o Nowikowie, Rogerze czy, na przykład, o Agnecie.

Otworzył oczy. Przejeżdżali właśnie przez Fredens Bro.

- Agneta - szepnął i po chwili wiedział, że nigdy więcej nie zechce wypowiedzieć tego imienia.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Kierowca nie mówił po angielsku, lecz zdołał powiedzieć Michaelowi, że jego nazwisko brzmi Jakow. Tłumacząc, Lew wyjaśnił, że Jakow jest Litwinem, którego dziadek nienawidził komunistów, którego ojciec nienawidził komunistów i który godnie kontynuuje, wraz z całą rodziną, tę tradycję.

Jego dziadek pierwszy sprzedawał na Litwie samochody w latach dwudziestych. Był właścicielem i kierowcą pierwszego buicka six, który jeździł po Litwie. Jego ojciec przejął interes w roku 1935 i zanim wojna i inwazja rosyjska całkowicie go zrujnowały, zdążył syna wiele nauczyć i zaszczepić mu

zamiłowanie do aut. Jaków siedział właściwie wszystko o samochodach. Pasażerowie moskwicza nie

mogli mieć co do tego wątpliwości: pędzili pustą, nierówną szosą prawie setkę mil na godzinę. Z boku

migały tylko drzewa, długie przestrzenie gęstych lasów, momentami ukazywały się na chwilę tafle jezior, błyszczące w jasnym słońcu niczym bajeczne, nierealne, nieuchwytnie wrażenia.

Tylko ta szybkość ich uratowała. Szybkość i wybór traser w kierunku wschodnim. Gdy

przejechali przez Skolkowo, pędząc przez miasto bez ograniczenia szybkości, nie reagując na światła

na skrzyżowaniach, natychmiast zawrócili na drogę wiodącą na północny zachód. Tą trasą dojechali do Puszkina i na jego wschodnich przedmieściach skręcili na zachód.

Pędząc w kierunku zachodnim, przejechali przez most na Worze. Jak do tej pory nie napotkali ani jednego patrolu. Tak dojechali do Dmitrowa. Tam, na jakiejś bocznej uliczce leżącej nad kanałem o nazwie Moskwa, wjechali do brudnego, sypiącego się garażu i porzucili moskwicza. Kilka ulic dalej

czekała na nich znacznie nowsza wołga. Lew ciągle nie mówił nic na temat drogi ucieczki, a zdziwienie nowym samochodem zbył wzruszeniem ramion. Przecież ciągle była z nimi Rufina Konstantinowna i nie miał wątpliwości, że w razie złapania ich przez KGB opowie wszystko, co widziała i słyszała. Rufina nie miała już kajdanek - po namyśle Lew zdjął je z jej rąk, na prośbę Michaela.

Podczas wspólnej podróży w kierunku zachodnim w Rufinie zaczęła zachodzić jakaś przemiana. Rozmawiała już bardziej swobodnie, z większym ożywieniem. Przestała wreszcie krytyko-

wać Lwa i opowiadać, jak małe mają szansę ucieczki. Michaelowi zaczęło się wydawać, że Rufina pragnie wydostać się ze Związku Sowieckiego nie mniej niż oni sami. Jeśli ucieczka się uda, wcale nie

będzie miała powodów do narzekań. Za zachodnią granicą jest świat kosmetyków, perfum, mody, sklepów pełnych żywności. Są książki, filmy, nie cenzurowane gazety, wolny seks i muzyka rockowa.

O trzeciej po południu w piątek przejechali most nad Wołgą w Nowozawodskim. Teren dookoła był biedny, bagnisty, czasami dostrzegali niskie lasy. Pomarszczoną powierzchnię rzeki przecinały dzikie kaczki. John spał z głową opartą o szybę. Na siedzeniu obok kierowcy pogwizdywał cicho Lew.

Jaków już dawno przestał opowiadać o swoim ojcu i dziadku i jego buicku six.

- Żadnych blokad na drogach - zauważyła Rufina. Michael przez cały czas zastanawiał się, czy dobrze zrobi, jeśli weźmie ją za rękę. Cokolwiek by powiedzieć, byli kochankami. Ale czy

prawdziwymi? Czy Rufina czuła coś do niego, czy nie? Kochała się z nim, jak Margaret nigdy tego nie robiła. Nie mógł zapomnieć Rufiny, z zamkniętymi oczami, starannie wymalowanymi ustami złożonymi w literę „O”, delikatnie ściskającymi jego penisa... A teraz lękał się wziąć ją za rękę.

Lew obrócił się do tyłu i zauważył:

— Oni ciągle myślą, że jedziemy na wschód. I jeszcze trochę potrwa, zanim dojdą do właściwych wniosków. A nam przynajmniej udało się przejechać Wołgę bez problemów.

— Czy wypuścicie mnie, kiedy dotrzecie do celu? - zapytała Rufina.

— Wiesz, dokąd jedziemy?

— Przypuszczam, że chcecie uciec na zachód. Jedźcie więc do Finlandii.

Lew pokiwał głową.

— Rzeczywiście. Nie możemy jednak zwrócić ci wolności. Wiesz o nas zbyt wiele. Będziemy musieli cię zabić.

Michael popatrzył na Lwa zdumiony. W jego oczach było coś takiego, co kazało mu milczeć.

— Skoro zamierzacie mnie zabić, dlaczego nie zrobicie tego teraz? - zapytała Rufina. -

Dlaczego marnujecie benzynę na transportowanie takiego ciężaru przez Rosję? Dlaczego nie zabiliście

mnie do tej pory?

Lew popatrzył na nią zimnym wzrokiem.

— Powód jest taki, moja droga, że kilku moich przyjaciół w Helsinkach bardzo by chciało zadać ci kilka pytań, zanim umrzesz. Kto wie, jeśli będziesz szczerze i chętnie odpowiadać, może nawet darują ci życie.

— Lew... — zaczął Michael, ale Lew natychmiast gwałtownie potrząsnął głową.

— Twoja kochanka, Michael - zaczął - wie, dlaczego Związek Sowiecki porywa brytyjskich i amerykańskich naukowców i inżynierów i dlaczego Londyn ani Waszyngton nie tylko przeciwko temu nie protestują, ale jeszcze dodają Rosjanom odwagi, zachęcają ich do takich działań. Wy dwaj

jesteście ekspertami od komputerów. Dziesiątki zachodnich ekspertów pracują obecnie wbrew swojej

woli w Związku Sowieckim: chemicy, konstruktorzy lotniczy, fizycy, przemysłowcy. A gdy ich rodziny próbują się dowiedzieć, co się z nimi stało, natykają się na mur milczenia własnych rządów lub głupie wyjaśnienia: „Prawdopodobnie zakochał się w jakiejś Rosjance i został, proszę pani. Być może zdecydował się pozostać tam i pracować dla Związku Radzieckiego". Czy zauważyliście coś bardzo znamiennego? Ani słowa o tych ludziach nie ma w gazetach, nie wspomina się o nich w brytyj-

skim parlamencie ani na Kapitolu. Wydawcy są szantażowani i zastraszeni, aby nie wspominali o tych

ludziach. Położono na tym temacie najbardziej szczelną zasłonę informacyjną od czasu drugiej wojny światowej. O wiele bardziej bezwzględne są natomiast środki jej podtrzymywania. - Lew wskazał palcem na Rufinę. — Ta młoda dama zna zapewne odpowiedź, o co w tym chodzi. Być może nie wie wszystkiego. KGB nie ma zwyczaju opowiadać swoim agentom tego, czego nie muszą koniecznie wiedzieć. Tak samo jak zresztą w MI 5 i w CIA. Rufina wie jednak wystarczająco dużo, aby skierować nas na właściwy trop. Dojeżdżali do miasta Kalinin. Wołga rozlewała się szeroko po ich prawej stronie. Popołudnie było wietrzne i wiatr gwizdał żałośnie w szparach nie domkniętych szyb samochodu.

- A czy... gdy już zaprowadzi nas na właściwy trop, czy wtedy ją zabijesz? - zapytał Michael przez ściśnięte gardło.

- Być może - powiedział Lew.

- Nie — warknął Michael. — Ja na to nie pozwolę.

John obudził się i popatrzył na Michaela niedowidzącymi oczami.

- Co się dzieje? - zapytał.

Lew znów odwrócił się tyłem do Michaela. Nastąpiła nieprzyjemna cisza. Aby trochę załagodzić spięcie, Rosjanin powiedział:

- Zobaczymy. Zrobię wszystko, co będę mógł, żeby pozostawiono ją przy życiu. Ale tylko tyle mogę obiecać. To nie zależy ode mnie.

John popatrzył na Michaela, zdezorientowany. Rufina niespodziewanie uścisnęła jego rękę, chcąc podziękować mu tym gestem.

Pędzili teraz Szosą Leningradzką z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Silnik wołgi wył w głośnym proteście przeciwko temu wysiłkowi. Jaków powiedział po rosyjsku:

- Mogłem o wiele lepiej przygotować ten samochód, gdybym tylko miał na to czas. Frunąłby jak ptaszek.

Mijali ciężarówki, od czasu do czasu jakieś prywatne samochody i furgonetki zmierzające do fabryki bawełny w Kalininie.

Sam Kalinin zobaczyli po drugiej stronie Wołgi. Kominy i osiemnastowieczne dachy oraz galimatias betonowych płaskich bloków mieszkalnych. Blade słońce odbijało się w odległych oknach, niczym ostrzeżenia ze strategicznie rozmieszczonych heliografów.

Lew dotknął ramienia Jakowa.

— Zwolnij, za chwilę będziemy mijać posterunek milicji drogowej.

Jaków natychmiast zdjął nogę z pedału gazu. Mimo to za chwilę z bocznej drogi wyłonił się samochód milicyjny i ruszył za nimi w hałaśliwym pościgu. Miał włączone światła drogowe i skrzeczącą syrenę na dachu. Michael obejrzał się, ale Lew szybko rzucił:

— Nie zwracaj na nich uwagi.

— Nie zatrzymamy się?

— Jakow wie, co robić. Po prostu nie zwracaj na nich uwagi. Przejechali przez most na Wołdze w Kalininie, z samochodem patrolowym pędzącym kilka metrów za nimi. Gdy osiągnęli drugi brzeg rzeki, milicjanci zrównali się z nimi i jeden z nich, siedzący obok kierowcy, pomachał ręką przystrojoną w białą rękawiczkę, żeby się zatrzymali.

Jakow posłusznie zwolnił i zatrzymał się przy prawym krawężniku obok jakiegoś metalowego

plotu. Milicjanci stanęli przed nimi. Kierowca wyłączył syrenę. Jakow, mimo że zatrzymał samochód,

nie wyłączał silnika.

— Czego chcą? - zapytał John drżącym głosem.

— Nic nadzwyczajnego — powiedział Lew. - Trochę przekroczyliśmy szybkość. Nie wolno tu jechać prędzej niż siedemdziesiąt mil na godzinę. Poza tym myślę, że się po prostu nudzili.

Funkcjonariusze podeszli do ich wołgi. Jeden z nich wskazał palcem, że Jakow powinien opuścić boczną szybę. Drugi milicjant obszedł samochód dookoła, patrząc na auto podejrzliwie, jakby

chciał coś wywęszyć na podstawie wyglądu karoserii.

— Towarzyszu — odezwał się milicjant do Jakowa - na przestrzeni ostatnich trzech mil kontrolowaliśmy waszą prędkość. Była znacznie wyższa od dozwolonej. W związku z tym proszę mi podać dokumenty samochodu, dokumenty wszystkich nim jadących, a następnie wyjść na zewnątrz.

Jakow potrząsnął głową.

— Nie rozumiem - powiedział, próbując naśladować amerykański akcent. - I don't understand.

— Amerykanin? - zapytał milicjant. Wsadził głowę do samochodu. Michael ujrzał jego jasnoniebieskie oczy, rzadkie jasne wąsy, zaczerwienione policzki. Nie mógł mieć więcej niż dwadzie-

ścia pięć lat i Michael modlił się bezgłośnie, aby Lew go nie zastrzelił.

- Wszyscy jesteśmy Amerykanami - wyjaśnił. — Jedziemy na wycieczkę do Leningradu.

- Ach - westchnął milicjant. - Pokażcie więc papiery z Inturistu. A także pańskie międzynarodowe prawo jazdy i wszystkie paszporty.

- Jak pan myśli, czy damy radę dojechać przed zmrokiem do Nowogrodu? - zapytał Lew milicjanta.

- Macie zarezerwowane noclegi w Nowogrodzie? - zapytał milicjant. Jego kolega zdążył

dokładnie obejrzeć samochód i dołączył do niego. Stał w rozkroku z kciukami wciśniętymi za szeroki pas. Pierwszy milicjant ciągle trzymał rękę wyciągniętą w stronę Jakowa, czekając na papiery.

Lew skinął na milicjantów.

- Czy chcecie kupić adidasy? - zapytał.

Słowo „adidas” podziało na milicjantów jak magnes. Podeszli jeszcze bliżej drzwi, uśmiechnęli się, a Lew z kamiennym wyrazem twarzy przechylił się, wyciągnął niespodziewanie pistolet i obu ich po prostu zastrzelił, trafiając każdego prosto między oczy. W ciągu jednej sekundy, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, na bladych czołach milicjantów pojawiły się czerwone punkciki, a zwłoki ciężko osunęły się na asfalt.

- Ruszamy — powiedział Lew, klepiąc Jakowa po ramieniu. Jaków ruszył z piskiem kół i po chwili jechali już, zostawiając za sobą strumień czarnego dymu z rury wydechowej i dwa martwe ciała. Lew strzelił jeszcze w samochód milicyjny, próbując spowodować wybuch zbiornika z paliwem, ale jedynie zrobił dziurę w karoserii i roztrzaskał tylne okno.

- No, teraz nie pozostaje nam nic innego, jak tylko jechać tak szybko, jak się da - stwierdził Lew wesoło.

Michael zaczynał zdawać sobie sprawę, że Lew dobrze się bawi tym pościgiem, a spokój i świadomość, że milicja ciągle jest przekonana, że uciekają na wschód, już go nudzą. Brakowało mu szalonej pogoni, strzelaniny. Lew żył w szalonym napięciu od tak dawna, że teraz już nic nie wywoływało na nim wrażenia poza wyczynami stawiającymi u normalnych, spokojnych ludzi włosy dęba na głowie. Być może nie zdawał sobie z tego sprawy, ale żądza niszczenia i zabijania stała się jego nałogiem.

Piętnaście mil na północny zachód od Kalinina, niedaleko Miednoje, czekała na nich blokada na szosie. Zobaczyli ją jeszcze z dość znacznej odległości: cztery samochody patrolowe z zapalonymi

światłami. Lew obejrzał się do tyłu i stwierdził, że chwilę wcześniej z lasu za nimi wyjechały również

cztery samochody, aby odciąć im drogę ucieczki.

Lew popatrzył ostrym wzrokiem na Michaela i zapytał:

- Boisz się, przyjacielu? Co wolisz? Lata przymusowej pracy na rzecz Związku Radzieckiego czy kilka chwil prawdziwego niebezpieczeństwa?

Michael milczał. Czuł tylko, jak z jego twarzy odpływa krew.

- Pytam cię o to, ponieważ wszyscy możemy umrzeć — rzekł Lew. - Trafili na nas, niestety, i nasze szansę ucieczki ze Związku Sowieckiego zmały niemal do zera. No, powiedzmy, wynoszą jakieś pięć procent. Nie chcę niczego przepowiadać. Albo będziemy mieli szczęście, albo nie.

- Jeśli zatrzymamy się teraz, i tak zabiją nas wszystkich - stwierdziła Rufina.

Powiedziała to z takim przekonaniem w głosie, z taką szczerością, że John przechylił się do przodu, klepnął Lwa w ramię i rzekł:

- Dalej, walczmy. I tak nie mamy nic do stracenia. Wykorzystajmy te nasze pięć procent.

Michael wahał się przez moment, ale nie pozostawało mu nic innego, jak dołączyć się do głosu Johna.

- W porządku. Ruszajmy.

- Naprzód! — krzyknął John, niespodziewanie podekscytowany. Jakow niespodziewanie skręcił i zjechał z szosy w kierunku lasu. Zawieszenie zakołysało się i zatrzęsło na nierównym gruncie. Przez szyby Michael mógł teraz widzieć tylko drzewa, gałęzie, refleksy popołudniowego słońca, fragmenty nieba. Drzewa ocierały się o samochód, jakby chciały zatrzymać go i ukarać jego pasażerów. Jakow prowadził jednak znakomicie, wymijał wszystkie przeszkody, niemal unosił pojazd

nad większymi dziurami. Michael, niemal bez tchu, co chwila uderzał głową o sufit samochodu, choć trzymał się mocno klamki. Niespodziewanie Rufina przyłgnęła mocno do niego i to jedynie teraz się

liczyło.

- Chryste! - krzyknął John. Po raz pierwszy w życiu Michael usłyszał, jak jego przyjaciel wzywa Boga na pomoc.

Jakow prowadził wołgę nad stromym brzegiem długiego wąwozu, którym płynęła rzeka

Twercy. Michael wyrzwał przez okno. Ujrzał jedynie białą pianę wody kłębiącej się siedemdziesiąt stóp

poniżej. Chwilami zdawało się, że wołga za chwilę runie w dół.

Jakow jednak ani na chwilę nie stracił nad nią kontroli. Wkrótce Michael zdołał zauważyć, że

jadą w dół ciemną sosnową aleją. Gałęzie biły w okna samochodu, zawieszenie wołgi trzęsło się, gdy

koła podskakiwały na wystających z ziemi korzeniach.

Następnie przemknęli przez wilgotną, błotnistą dolinę. Wyjechawszy z niej, zaczęli się piąć na

strome wzgórze. Silnik wołgi wył w ogromnym wysiłku. Prawie na samym wierzchołku tylne koła

samochodu straciły przyczepność. Ciężki samochód jakby zawahał się, zajęczał i powoli zaczął

staczać się w dół.

Jaków krzyknął coś po rosyjsku, czego Lew nie musiał nikomu tłumaczyć. Wrzucił pierwszy

bieg, nadusił pedały sprzęgła i gazu jednocześnie, tak że silnik zawył na najwyższych obrotach. Po-

woli zaczął popuszczać sprzęgło. Samochód powoli ruszył do przodu, jakby popychany od tyłu przez

jakąś potężną maszynę. Na samym szczycie silnik zgasł i Jaków musiał zapalić go ponownie, nie

groziło im już jednak stoczenie się w dół. Lew przeżegnał się i westchnął: - Matko Boska.

Po chwili skręcili w kierunku zachodnim, z powrotem ku szosie. Początkowo poruszali się

bardzo powoli przez błotniste pole długiej trawy i jakichś różowych kwiatków. Czarna ziemia roz-

pryskiwała się pod kołami samochodu, chlapała na karoserię i wszystkie szyby. Wkrótce jednak

wyjechali na suche, trawiaste, łagodne zbocze, opadające prosto ku szosie leningradzkiej. Ujrzeli

samochody jadące z włączonymi już światłami mijania.

Stwierdziwszy, że niebezpieczeństwo chwilowo minęło, Lew rozluźnił się. Zapalił papierosa i powiedział:

— Mogą sobie przeszukiwać te bezdroża do Bożego Narodzenia.

Mimo że ciągle jechali łąką, Jaków cisnął pedał gazu do oporu, tak że gdy wjeżdżali na szosę, mieli już na liczniku osiemdziesiąt mil na godzinę. W pewnym momencie Jakow omal nie stracił kontroli nad samochodem, ale zdołał wyrównać i za chwilę, zmieniawszy bieg, przyśpieszył, tak że wyrwali do przodu z jeszcze większą szybkością, pozostawiając za sobą kłęby czarnego dymu. Jechali

na północny wschód, w kierunku Leningradu, ciągle bez świateł, pod niebem, które wciąż było blade i

jasne, a jednak dawało dziwnie mało światła leżącej pod nimi ziemi.

- Dostaną nas i tak, wiecie o tym - stwierdziła Rufina z pełną rezygnacji pewnością.

— Na razie nas jeszcze nie złapali — odparł Lew. -I jeśli o mnie chodzi, tylko to się liczy.

Energia Jakowa wydawała się niewyczerpana. Podtrzymując siły papierosami i kolejnymi łykami wódki, pędził przez ciemną szosę z najwyższą szybkością, jaką wyciągał samochód, milcząc, skupiając wzrok gdzieś na drodze, gdzie - tylko on wisiał. Michael był wykończony. Oczy piekły go, powieki opadały, jakby ktoś sypnął w nie piaskiem, przecież od wielu godzin nie spał. John co chwila

przysypiał, ale zaraz budził się i głośno ziewał. Rufina siedziała spokojnie między nimi, bliska, ciepła,

postraszona. Kilkakrotnie zatrzymywali się przy szosie za potrzebą i były to jedyne chwile, gdy mogli czuć ducha wiejskiej Rosji śpiew ptaków, cykanie letnich świerszczy i szum wiatru w wysokiej trawie.

To, co robili, było szaleństwem. Michael był pewien, że w końcu ich złapią, że nigdy nie

przejadą przez Leningrad, jeśli nawet im to się uda, nie będą w stanie przekroczyć granicy z Finlandią.

W ogóle nie wiedział, którądy teraz jadą. Jakow trasę, nie konsultując się z żadnym z

pasażerów, nawet z raz nad ranem musieli zatrzymać się dla zatankowania benzyny; Michael

zapamiętał światła, ludzi rozmawiających ściszymi głosami i ostry smród niskooktanowego paliwa.

Otworzywszy oczy w którymś momencie na trasie, zobaczył znak informujący, że wjeżdżają do

Pelusny, nie miał jednak pojęcia, gdzie to jest, i natychmiast znów zasnął.

Leningrad przejechali o świcie. Spokojnie i powoli, bocznymi ulicami. Gdy przejeżdżali most na Newie, na zachodzie lśniła złocona kopuła soboru Piotra i Pawła. Wkrótce znaleźli się pod mostem,

którym biegła linia kolejowa.

- To linia do Finlandii - powiedział Lew.

- Dlaczego nas jeszcze nie złapali? - zapytał Michael. - Przecież wiedzą już o nas wszystko, mają opis samochodu...

Lew wytrząsnął ostatniego papierosa z paczki.

- Przypuszczam, że nie bardzo im na tym zależy - powiedział. - Wolą nas obserwować, widzieć, gdzie jesteśmy, dokąd zmierzamy... Może im się wydaje, że zaprowadzimy ich do kogoś znacznie ważniejszego?

John potarł nie golony od kilku dni policzek.

- Może właśnie dlatego mnie najpierw porwali: po to, żeby was wydostać z ukrycia, wypłukać z kryjówki.

Lew roześmiał się gwałtownie.

— Nas nie można „wypłukać z kryjówki”, jak to pięknie powiedziałaś. Dlatego, że nie jesteśmy organizacją w dosłownym znaczeniu tego słowa. Owszem, mogą złapać kilku z nas i zabić, ale nigdy nie dostaną w swoje łapy wszystkich. Jak możesz „wypłukać” coś, co tkwi głęboko w twojej

duszy? My właśnie tkwimy głęboko w duszy każdego kraju, w którym pracujemy.

Do granicy z Finlandią pozostała im niecała godzina drogi. Zmierzali w jej kierunku z

prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę, gdy ujrzeli pierwszy helikopter. Nadleciał od wschodu, prawdopodobnie z bazy we Wsiewołodsku. Leciał nisko i bardzo szybko. Wyprzedził ich i następnie zaczął krążyć przed nimi, jakby na nich oczekiwał. Wkrótce potem z tego samego kierunku pojawił się

kolejny helikopter, a potem trzeci z południowego wschodu, od Leningradu. Trzy helikoptery utworzyły na niebie trójkąt i sunęły nad szosą równo z samochodem, bez wątpienia z niezbyt przyjaznymi zamiarami.

- Co teraz zrobimy? - zapytał Michael nerwowo.

- Nadal jedziemy przed siebie - powiedział Lew. - Miałem rację, widzicie? Zostawili nas w spokoju po tym, jak przejechaliśmy blokadę szosy, aby dowiedzieć się, dokąd zmierzamy. Zapewne kilka nie oznaczonych samochodów jechało za nami przez Leningrad, aż dotąd. Oczywiście po wyjeździe z Leningradu staliśmy się zbyt szybcy, aby mogli jechać za nami bez wzbudzania podejrzeń.

- Te helikoptery rzeczywiście nie wzbudzają naszej uwagi - zauważył kwaśno John.

- Źle pan rozumuje, panie Bishop — stwierdził Lew. - To, że wiemy, że oni są, wcale im nie przeszkadza. Raczej obawiają się, że moglibyśmy zniknąć w taki sposób jak przed blokadą na szosie. I

tego chcą uniknąć. Poza tym niech pan pamięta, że w rosyjskiej milicji też trzeba tłumaczyć się z trupów i spalonych samochodów, chcą więc już tego typu „zdobyczy” uniknąć.

- I tak nas w końcu dopadną - powiedziała Rufina.

- Niewątpliwie będą próbować.

Przejechali przez Wyborg. Helikoptery ciągle się nad nimi unosiły. Przed samochodem pozostały ostatnie kilometry dzielące go od granicy z Finlandią. Mimo napięcia i niepokoju Michael przymknął na chwilę oczy i zaczął marzyć, że oto maszeruje przez słoneczne pola, lasy, w których śpiewają ptaki, i pogwizduje sobie wesoło.

Wyrywał się jednak szybko z tych marzeń. Rufina chwyciła go za rękę, a Lew oznajmił:

- Za kilka minut będziemy na granicy.

Michael popatrzył w niebo. Trzy helikoptery ciągle się unosiły, teraz bliżej, tak że mógł widzieć pilotów i ich białe hełmy.

- Nigdy nie przejedziemy granicy. Tam jest zbyt wielu strażników - powiedziała Rufina.

- Boisz się? - Lew się uśmiechnął. - Jeszcze możesz wysiąść. Wypuścimy cię, a ty powiesz swoim szefom, że zostałeś porwana wbrew swojej woli, co w końcu jest prawdą.

Rufina odwróciła wzrok od niego. Dlaczego właściwie zdecydowała się z nimi uciekać? Czy rzeczywiście chciała wyjechać ze Związku Sowieckiego, czy po prostu uważała za swój obowiązek pozostać z bandytami tak długo, jak to tylko możliwe, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o Lamprey? Przez większość czasu milczała. Michael popatrzył na nią, lecz wyraz jej twarzy nic mu nie powiedział. Wysokie, płaskie kości policzkowe, oczy nieprzeniknione jak atrament.

Wreszcie ujrzeli posterunek graniczny. Michael spoglądał na betonowe budynki i bariery rozpostarte nad szosą. Po obu stronach drogi rosły grube jodły, drzewa, które w rosyjskich bajkach kojarzono z wyjącmi spod nich wilkami. Jakow stopniowo zwalniał, najpierw do pięćdziesięciu mil na godzinę, później do czterdziestu, trzydziestu, aż wreszcie samochód nieomal pełzł. Drzewa zmusiły

helikoptery do zwiększenia wysokości. Przez chwilę unosiły się jeszcze nad samochodem, a później pognały w kierunku posterunku granicznego. Piloci nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo wołga zwolniła.

- Tutaj, patrz, jest znak - powiedział Lew do Jakowa. Dopiero w tym momencie Michael zrozumiał, jak starannie zorganizowano i zaplanowano ich ucieczkę, jak doskonale wykorzystana została wiedza o sposobie działania i zwyczajach sowieckiej milicji. Jedną z jodeł stojących po lewej

stronie drogi znaczyła mała biała plama. Jaków natychmiast skręcił w lewo i skierował samochód

pomiędzy drzewa, na słabo wyznaczony trakt, którego dawniej musieli używać drwale. Teraz Jaków musiał użyć wszystkich swoich umiejętności, aby wyjący na najwyższych obrotach silnika samochód mógł jechać pomiędzy drzewami, niewidoczny dla helikopterów. Co chwila wołga ocierała się o pnie

drzew, o odstające gałęzie, jednak uparcie toczyła się na południowy wschód, tym razem oddalając się

od granicy prosto ku rosyjskiemu wybrzeżu Zatoki Fińskiej.

Nagle wyjechali na otwartą przestrzeń, na wielką polanę pokrytą trawą i poprzecinaną potężnymi szarymi pniami ściętych drzew. Nie było śladu helikopterów, żadnego znaku świadczącego o pogoni. Jaków prowadził jak szalony. Podskakiwali i ocierali się o pnie, a Michael zaliczył kilka potężnych uderzeń głową w sufit. Gdy już mieli zanurzyć się w kolejnym odcinku lasu, pojawiły się wreszcie za nimi helikoptery, nadciągając szeroką tyralierą.

Lew obniżył szybę w bocznym oknie i wyciągnął swój AKM spod przedniego siedzenia.

Wychylił się na zewnątrz tak daleko, jak tylko mógł dać radę, i wystrzelił gwałtownym strumieniem pocisków do najbliższego helikoptera. Jego pilot gwałtownie zwolnił, ale po chwili, gdy tylko Lew opadł na siedzenie, zajął ponownie swoje miejsce w szyku.

- Szybciej! - wrzasnął Lew do Jakowa. W następnej sekundzie potężne strumienie kul rozorały ziemię dookoła nich, posyłając w powietrze tumany piachu i odłamki kamieni. Jedna z kul przebiła dach i utkwiała w oparciu fotela Jakowa, rozdzierając plastik i piankę.

Zdołali jednak wjechać do lasu i Jaków natychmiast skręcił w lewo, tak że helikoptery strzelające na oślep po przypuszczalnej prostej ich trasie przestały być groźne. Wszyscy w samochodzie milczeli. Byli zbyt przerażeni i spięci, żeby wymieniać jeszcze jakieś uwagi. Poza tym nikt nie zamierzał zakłócać koncentracji prowadzącego wołgę Jakowa.

Wreszcie, po blisko mili szaleńczej jazdy przez las, dotarli do skalistego wybrzeża Zatoki Fińskiej. Michael pierwszy ujrzał przybrzeżne fale rozbijające się o granitowe skały i dwa odległe

jachty kołyszające się w dali na falach zatoki, zmagające się z silnym zachodnim wiatrem.

Trzy sowieckie helikoptery nadleciały z głośnym warkotem znad lasu. Minęły ich, poleciały kilkadziesiąt metrów od brzegu i tam dopiero uformowały szyk, chcąc zaatakować ich od przodu.

- Gdzie oni są?! - zawołał Lew. - Przecież obiecali, że tutaj będą!

— Kto ci coś obiecał? — zapytał Michael.

Ale Lew nie miał czasu, aby odpowiedzieć. Jeden z helikopterów podleciał, zawisł nieruchomo nad nimi i zupełnie niespodziewanie rozległ się z niego silnie wzmocniony głos:

— Amerykanie! Nie macie szansy na ucieczkę. Wyjdźcie z samochodu. Wyjdźcie z podniesionymi rękami, a zostaniecie oszczędzeni! Nie będziemy do was strzelać.

Lew wyciągnął drugi AKM i wręczył go Michaelowi.

— Kiedy dam ci znak, wyskocz z samochodu i właduj cały magazynek w helikopter. Nie wahaj się ani przez chwilę. Strzelaj ogniem ciągłym, wiesz, jak to się robi.

— To absurdalne - powiedział John.

— Oczywiście, że absurdalne — warknął na niego Lew, z trudem panujący nad złością. - A teraz zamknij się i pozwól twojemu przyjacielowi robić to, co mu nakazałem.

Michael, któremu nagle zrobiło się sucho w ustach, nastawił AKM na ogień ciągły. Jeszcze nie był gotowy, gdy Lew otworzył swoje drzwiczki i wytoczył się z samochodu, przyciskając automat do piersi.

— Ruszaj! — krzyknęła Rufina i Michael musiał otworzyć drzwi i pójść w ślady Lwa.

Kolanem uderzył w jakiś kamień i wrzasnął z bólu. Lecz po chwili, niespodziewanie dla siebie samego, był na nogach i z włosami rozwiewanymi przez śmigła strzelał do helikoptera.

Do jego świadomości docierał tylko głośny warkot helikoptera i terkotanie AKM-u. Strzelał, nie celując. Zwracał uwagę jedynie na to, aby karabin nie wypadł mu z rąk. I nagle helikopter przechylił się na lewą stronę, przez chwilę tańczył bezwładnie na niebie i niespodziewanie eksplodował gorącą i

cichą kulą pomarańczowego ognia. Michael obserwował w śmiertelnym przerażeniu, jak helikopter nosem w dół, z potwornym hałasem, uderza o powierzchnię morza, kilka metrów od brzegu. Wznicił potężną fontannę wody, która dotarła aż do samochodu.

Lew krzyczał z radości.

- Zdaje się, że po raz pierwszy zabiłeś człowieka! Jeszcze zostaniesz komandosem! Wspaniale, Michael!

Dwa pozostałe helikoptery krążyły jednak przez cały czas nad nimi i było jasne, że teraz nie będzie już mowy o żadnych negocjacjach. Michael słyszał stukot czterolufowych karabinów maszynowych o kalibrze 12,7 milimetra. Strumień kul pokrył całą krótką plażę, szarpał nawet granitowe skały i wyrzucał w górę deszcz granitowych odłamków. Michael znów posłał serię, ale tym razem mowy nie było o trafieniu. Helikoptery zatoczyły koło i wzniosły się ponad las, aby zaatakować znowu.

I wtedy właśnie zjawili się „oni”, ludzie, których oczekiwał Lew. Zjawili się dwoma bellami UH-1H - dwusilnikowymi helikopterami będącymi udoskonaloną wersją słynnych hueyów, które tak dobrze spisywały się w Wietnamie. Nadlecieli niespodziewanie znad morza, do ostatniej chwili niewidoczni, gdyż lecieli z kierunku, gdzie powoli zachodziło ciągle ostro świecące słońce.

Helikoptery pomalowane były w ochronne barwy i poruszały się niemal nad samą powierzchnią wody.

Michael ujrzał nagle dym wydobywający się z kabin, karabiny maszynowe strzelające ogniem ciągłym, lecz ciągle nic nie słyszał - wiatr był zbyt silny. Następną rzeczą, którą zobaczył, gdy się odwrócił, były dwa sowieckie helikoptery, znów chowające się nad las. Jeden z nich już płonął, a w drugim przerywał silnik.

Płonący helikopter minął szybko linię drzew. Później nastąpiło głośnie bang i czarna chmura gęstego dymu uniosła się nad lasem. Drugi helikopter również nie miał szans na długi lot.

Dwa UH-1H tańczyły nad plażą, poszukując miejsca, w którym mogłyby wylądować. Po chwili

z hałasem usiadły na ziemi.

- Kim oni są? - zapytał Michael Lwa.

— To przyjaciele — odpowiedział Lew. Pomógł Johnowi i Rufinie wydostać się z samochodu.

- Wystarczy, że wiesz tylko tyle. Dalej, musimy się pośpieszyć.

Michael ujął Rufinę za rękę i począł ją niezgrabnie prowadzić w kierunku bliższego z dwóch wielkich helikopterów. Ich sylwetki ostro kontrastowały z iskrzącym się morzem. Śmigła obracały się

powoli w oczekiwaniu na start. Rufina odwróciła się.

- A Jakow? Co z Jakowem?

Również Michael spojrzął za siebie. Lew stał przy wóldze, pochylony nad drzwiczkami kierowcy. Michael krzyknął:

- O, nieee...!

Pobiegł przez piasek i skały w kierunku samochodu. Lew już odwrócił się i zmierzał w kierunku helikopterów, gdy się spotkali. Zatrzymał Michaela i szarpnął go za rękę.

- Zostaw. Nie ma czasu - powiedział.

- Ale Jakow...

- Nic mu już nie pomożesz. Wiedział, co ryzykuje, tak samo jak my wszyscy. Był bardzo dobry.

Michael wywinął się z ręki Lwa i poszedł powoli w kierunku samochodu. Jeden z pocisków kaliber 12,7 milimetra przebił przednią szybę samochodu, robiąc w niej tylko małą dziurkę, wyraźną, okrągłą. Taka sama dziurka widniała na koszuli Jakowa. Dookoła pełno było krwi, powoli już krzepnącej, czerniejącej.

- Cholerny, przypadkowy strzał - powiedział Lew. Michael odwrócił się w milczeniu. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że przygody, jakich doświadczył w Rosji, postarzyły go, szybko i nieodwołalnie. Zaczynał też pojmować, co sprawiło, że Lew jest takim cynikiem.

Ujął ponownie Rufinę za rękę. Teraz nie próbował być delikatny, nie myślał o tym, i poprowadził ją w kierunku oczekujących helikopterów.

- Michael... - zaczął John.

Ale Michael nie spojrzał nawet na niego. Wiedział, że go przerósł, przerósł czas komputerowych zabawek, przerósł wszystko, czemu musiał stawić czoło przed przybyciem do ZSRR.

Powoli, z opuszczoną głową, szedł rosyjską plażą i milczał. Nauczył się w tym kraju, co znaczy słowo

„odwaga”, dowiedział się, dlaczego mężczyźni i kobiety ryzykują życie dla krajów, w których mieszkają, dlaczego ludzie płaczą, gdy grane są hymny narodowe. Dowiedział się tak wiele...

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

- Napiłbym się czegoś, Ingo - powiedział Gołowanow. Inga stała przy oknie z rękami

założonymi na piersiach i wpatrywała się w ogród. Zdążyła się przebrać w białą bluzeczkę z krótkimi

rękawami i obcisłe spodnie z czarnej skóry. Z blond włosami uczesanymi z przedziałką na środku głowy sprawiała bardziej niemieckie wrażenie niż dotąd.

- Już wiesz, jakie są reguły gry - powiedziała. - Będziesz mógł się napić, kiedy zaczniesz mówić. W przeciwnym wypadku żadnego picia, żadnego jedzenia.

- Wiesz przecież, że nie mam nic do powiedzenia. Jak mogę ci cokolwiek zdradzić? Marszałek Związku Radzieckiego! Całe życie poświęciłem mojej ojczyźnie! Nie mogę jej teraz zdradzić!

- A jednak dzisiaj ją zdradzisz - odparła Inga. - Oddałeś jej swoje najlepsze lata. Dlaczego miałbyś oddawać jej swoją duszę?

Gołowanow skrzywił się.

- A co ty wiesz o duszach?

Inga powoli podeszła do niego, przemierzając wyłożoną białymi kafelkami obszerną kuchnię.

Jej buty na wysokich obcasach uderzały rytmicznie o podłogę, stukając głośno przy każdym kroku.

- Mój kochany, wiem bardzo wiele o duszach. Jak zresztą wszystkie kobiety. Czy to nie przypadkiem pisarz z twojego kraju, Dostojewski, powiedział, że gdy ludzie przestaną wierzyć w nieśmiertelność dusz, zanikną na ziemi wszelkie wyższe uczucia, w tym i miłość?

- Tak, to on powiedział.

Inga pochyliła się i pocałowała Gołowanowa w czoło. Zimny pocałunek, jak dotknięcie lodu.

- Byliśmy doskonałymi kochankami - powiedziała - i możemy być nadal.

Gołowanow owi pocałunek sprawił przyjemność, lecz siedział bez ruchu. Ręce miał skrupowane kajdankami i przymocowane z tyłu do ciężkiego kuchennego krzesła, na którym siedział. Wiedział, że odtransportowano go jeszcze dalej w kierunku zachodnim, daleko poza Mariental, gdzie najpierw był więziony. Nie miał jednak pojęcia, gdzie teraz się znajduje. Przywieźli go tutaj w furgonetce, w przedziale bez okien, a wszystko, co widział w tym domu, to był hali i ta nowoczesna biała kuchnia. Naprzeciwko niego było szerokie okno, wychodzące na wyłożony białymi i czerwonymi płytami dziedziniec ogrodzony drewnianym płotem. Prawie na horyzoncie widać było rząd topoli gnących się pod popołudniowym wiatrem. Nic więcej Gołowanow nie potrafił dostrzec, mógł więc znajdować się wszędzie, od Minden do Münster.

- Nie chcę sprawiać ci bólu, ale jeśli nie zaczniesz mówić, moi przyjaciele będą nalegali, żebym zmusiła cię do tego, cóż... tradycyjnymi metodami - powiedziała Inga.

- Zastrzel mnie — burknął Gołowanow.

- Być może powinnam. - Wzruszyła ramionami. Odwrócił od niej wzrok, gdyż zaczynała go denerwować. Był już niemal wściekły. To przez nią tak cholernie chciało mu się pić.

— Jeśli cię zastrzelę - kontynuowała - nie będziesz mógł mi nic powiedzieć, prawda? A jesteś tutaj tylko po to, żeby w spokoju przekazać nam informacje. Aby mówić, śpiewać, przekazać wszystko, co ma dla nas wartość.

— Przestań, Ingo, proszę cię — jęknął. Uśmiechnęła się.

— Robię to, na co akurat mam ochotę. Czy pamiętasz, jak opowiadałam ci o mojej matce? Jaka doskonałą była tancerką? Jak mogła zostać najlepszą? Ale była zbyt uparta. Instruktorzy krzyczeli na nią, że coś ma wykonać w inny sposób, a ona niezmiennie odpowiadała: „Nie, nie, tak jak ja to robię, jest najlepiej”. Nigdy nie została więc primabaleriną, mimo że była o wiele lepsza niż Krista Müller czy Hedwig Brandt. Ja jestem taka sama. Nigdy nie będę robiła tego, co mi się nie spodoba. Dlatego właśnie powinieneś zdradzić mi wszystkie twoje armijne sekrety, najdroższy Timofieju, ponieważ sprawię ci wielki ból, co dla mnie będzie przyjemnością, a dla ciebie bardziej bolesne, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Walczyłeś na wojnie, prawda? Widziałeś rannych żołnierzy. Co wówczas czułeś? Myślę, że zadowolenie, że nie spotkało to właśnie ciebie. Mam rację? Ale teraz przyszła twoja kolej, za chwilę będziesz przerażony samą perspektywą bólu i nie będziesz miał drogi ucieczki. Będziesz czekał na ból.

Gołowanow spróbował się uśmiechnąć.

— A jednak nic ci nie powiem - stwierdził. - Przecież to oczywiste.

— W moim życiu nic nie jest oczywiste — odparła Inga. Patrzyła później na niego przez dłuższy czas, nic nie mówiąc.

Chłód i pustka emanująca z jej oczu zmieszały go, jakby patrzył na androida bez uczuć, bez sumienia. Bez wątpienia był przerażony. Inga miała rację: zupełnie czym innym jest obserwowanie drugiego człowieka wrzeszczącego z bólu, obserwowanie przyjaciela w momencie, gdy kula roztrzaskuje mu czaszkę albo próbującego z powrotem wepchnąć do poszarpanego brzucha wypływające wnętrzności. Widział już to wszystko i wystarczyło, że odwracał głowę, aby o tym zapomnieć. I czym innym jest świadomość, że sam za chwilę ma cierpieć, samemu przeżywać okropne katusze...

Inga pogłaskała go po policzkach, delikatnie przesunęła opuszkami palców po płatkach uszu. I

nagle drugą ręką zaczęła odpinać swoją bluzeczkę, wyciągając stopniowo materiał zza opinającego ją

szczelnie paska od skórzanych spodni. Jedna pierś po chwili była naga, zaraz potem druga.

Gołowanow nie mógł oderwać od nich oczu. Co chwila zwilżał językiem wargi: był bardzo spragniony.

— Czy nie uważasz, że powinniśmy jeszcze włączyć muzykę? Gołowanow potrząsnął głową.

— Nie wiem, co zamierzasz mi zrobić, lecz rób to i nie każ mi zbyt długo czekać.

Odpięła ostatni guzik i zdjęła bluzkę. Powiesiła ją na haczyku, obok fartuchów kuchennych.

Gołowanow pomyślał, że Inga wygląda teraz nadzwyczajnie, jak kobieta z najdzikszych marzeń masochisty. Wielkie, białe jak mleko piersi, błyszczące spodnie z czarnej skóry, wysokie buty na szpilkach i wyraz twarzy, który mógłby ściąć lodem rzekę.

- Zawsze trzeba się zastanowić, co kogo najbardziej przerazi - powiedziała. - Od dłuższego czasu zastanawiałam się, co będzie najstraszniejsze dla ciebie.

- Dziecko, przeżyłem tyle, że nic już nie będzie w stanie mnie przestraszyć - rzekł Gołowanow.

Inga uśmiechnęła się lekko. Przyklęknęła i otworzyła jedną z szuflad w kuchennym kredensie.

Gołowanow patrzył na jej okrągłe pośladki pęczniejące pod skórzanymi spodniami, na biały, zwieńczony szerokimi ramionami trójkąt jej pleców. Nawet jeżeli mnie zabije, pomyślał, trafię do czyśćca zarezerwowanego dla komunistów i żołnierzy z zapachem jej perfum, seksu i tych czarnych spodni ze skóry w moich nozdrzach.

Inga wyciągnęła z kredensu motorek od elektrycznej maszynki do mielenia mięsa. Z

pozostałych szuflad wygrzebała inne części: plastikowy kołnierzyk w kolorze pomarańczowym, meta-

lowy ślimak, obudowę i połączyła wszystko razem.

- Co zamierzasz zrobić? - Gołowanow próbował żartować. -Przemleć mnie na sok

pomidorowy? Jeśli dasz mi najpierw szklanekę wódki, będzie ze mnie doskonała „krwawa Mary”.

Inga skończyła składać maszynkę i podłączyła ją do gniazdka w ścianie.

- Dziwię się, że chce ci się jeszcze żartować — powiedziała. Uniosła maszynkę do góry, aby ujrzał, jak w środku obracają się noże. Popatrzył jej w oczy, a ona odpowiedziała mu takim samym przenikliwym spojrzeniem. Ich oczy zawarły taką mieszankę elektryczności, że zdawało się, iż powietrze między nimi zaraz eksploduje.

- Chyba nie zmielesz mi rąk - wycharczał.

- Wcale nie myślałam o twoich rękach.

- Lepiej już mnie zabij. Potrząsnęła głową.

- Najpierw musisz udzielić odpowiedzi na moje pytania. Gołowanow głośno przełknął ślinę.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że ten rodzaj tortury jest pogwałceniem deklaracji Narodów Zjednoczonych z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego?

- Takie rzeczy opowiadają ci, gdy czasami wizytujesz Łubiankę? Gołowanow zamilkł. Inga przybliżyła się do niego tak bardzo, że zetknęli się kolanami. Czarna skóra z zielonym materiałem munduru. Gołowanow zamknął oczy.

Podczas gdy miał oczy zamknięte, Inga pochyliła się i pomagając sobie rękami, zaczęła przyciskać piersi do jego twarzy. Sztywniejące brodawki wbijały mu się w powieki, policzki, wdzierały się pomiędzy wargi. Inga nacisnęła jeszcze bardziej i zaczęła go niemal dusić słodkim zapachem perfum i zmysłowym ciepłem swojego ciała. Gołowanow poczuł, jak jej ręce rozpinają jego spodnie.

Poczuł, jak Inga wydobywa na wierzch jego penis i zabawia się nim, pieści go, masuje. Aż stwardniał.

- A teraz - szepnęła, odsuwając się - teraz powiedz mi, dlaczego sowiecka armia ciągle znajduje się w pełnym pogotowiu i co planuje zrobić.

- Wiesz, że nie mogę niczego ci powiedzieć - odparł Gołowanow, nawet nie otwierając oczu.

— Timofieju, kochanie, ale ty musisz...

Gwałtownie otworzył oczy. W jednej ręce Inga ścisnęła jego sztywny członek, a w drugiej maszynkę do mielenia mięsa. Gdy stwierdziła, że na nią patrzy, jeszcze raz uniosła urządzenie na wysokość jego oczu, aby wyraźnie mógł zobaczyć spiralę obracającą się w środku, noże, które bezlitośnie potną wszystko, co wpakuje się do środka.

— Błefujesz - powiedział ściśniętym głosem.

Inga potrząsnęła głową i przybliżyła maszynkę do sterczącego różowego członka.

- Timofiej, powinieneś już mnie znać. Czy kiedykolwiek cię oszukałam, chociaż raz?

Maszynka pracowała głośno, tak głośno, że Gołowanow prawie nie był zdolny myśleć. A

jednak. Jeśli powiem jej o operacji Byliny, będzie to oczywistą zdradą, zdradą wszystkich ideałów, za

które cierpiał i zginął mój ojciec, końcem mojej kariery w armii. Mój ojciec milczał na torturach,

nawet wtedy, gdy ucinali mu ręce, czy mnie nie stać na to samo? Myśl o przemienieniu członka w maszynce do mięsa, myśl o pozbawieniu męskości była jednakże czymś więcej, niż mógł znieść.

Umrzeć jak mężczyzna - na to było go stać. Umrzeć jako eunuch, kastrat, to było coś zupełnie innego.

Widział już mężczyzn, którzy stracili kutasy w walce. Leżeli później bezradni i wykrwawiali się na śmierć. Było coś przerażającego, jakaś straszna zniewaga w ich przeznaczeniu, wstrętne beznadziejność.

- Nie mogę ci nic powiedzieć. — Gołowanow usłyszał swój głos. Zdawał sobie sprawę, że pot cieknie mu po plecach grubymi strumieniami, że cały trzęsie się jak w gorączce.

Inga jeszcze bardziej przybliżyła maszynkę. Niemal czuł przez gołą skórę pracę elektrycznego silniczka.

- Timofiej, będę odliczała od pięciu - powiedziała. - Jeszcze przez pięć minut będziesz mężczyzną, a potem nastąpi kastracja. Czy odpowiada ci ten tryb?

- Inga!!! - krzyknął.

Potrząsnęła głową i ustawiła maszynkę tak, że większość penisa zniknęła w białym tuneliku.

Członek już nie sterczał, jakby Gołowanow zanurzył się w zimnym morzu. Zimnym morzem było jego własne przerażenie, pewność, że Inga się nie zawaha. W takim morzu utonęło już wielu silniejszych od niego mężczyzn, bardziej zdeterminowanych.

- Pięć — Inga zaczęła odliczać.

- Inga!!! — krzyknął ponownie. - Nic ci nie mogę powiedzieć! Nic nie wiem. Jestem marszałkiem armii radzieckiej. Nie wolno mi zdradzić żadnej tajemnicy!

- Cztery - powiedziała Inga. - Coś mały ten twój kutasek, Timofieju. Wystarczy jeden obrót tego ślimaka i już go nie będzie. Czy sobie wyobrażasz, z jaką przyjemnością popatrzę na niego, jak wychodzi z drugiej strony w postaci mięsa na hamburgery? Może to będzie przerażające, ale i z pewnością ekscytujące. Jak myślisz, dlaczego ściągnęłam bluzkę? Bo będzie mnóstwo krwi. A ja lubię, jak krew tryska na moją gołą skórę.

- To nonsens - odezwał się Gołowanow, ostatnim wysiłkiem próbując nadać swojemu głosowi spokojny ton. — Cóż to za nowy rodzaj tortury, z maszynką do mięsa? Przez całe życie nie słyszałem o czymś równie absurdalnym. Wyłącz w końcu to ściervo i porozmawiajmy z sensem.

- Trzy - powiedziała Inga.

Gołowanow zamilkł, a Inga kontynuowała odliczanie.

- Dwa.

- Ingo, posłuchaj mnie. Wiesz przecież, że jestem bardzo potężnym człowiekiem. Jestem też bogaty. Jeśli będziesz odpowiednio się zachowywać, wynagrodzenie. Dam ci pieniądze, samochód, jeżeli zapragniesz. Futro. A teraz porozmawiajmy przez moment spokojnie.

Inga potrząsała głową, uśmiechając się przez cały czas.

- Nie, Timofieju, nie będziemy spokojnie rozmawiać. Chcę, abyś jedynie ty mówił. Abyś powiedział mi to, o co cię zapytałam.

- Ingo...

Ale ona powiedziała:

- Jeden - i jeszcze bardziej nasadziła maszynkę na członka. Niespodziewanie Gołowanow poczuł, jak skrawki noży dotykają czułego koniuszka jego sflaczałego penisa.

- To twoja ostatnia szansa - stwierdziła Inga. Jej głos był tak chłodny i spokojny, że pot na plecach Gołowanowa stał się w jednym momencie zimną ciecżą, jakby ktoś niespodziewanie otworzył

za nim drzwi. Wiedział, że jeśli nie powie jej o operacji Byliny, za chwilę przestanie być mężczyzną.

— Cóż - powiedziała Inga. - Es tut mir leid. Spędziliśmy ze sobą wiele miłych chwil, Timofieju.

Niestety, to już nigdy nie będzie mogło się powtórzyć.

Otarła pot z jego czoła i gdy to uczyniła, pozbył się ostatnich wątpliwości. Za chwilę przemiele jego członek w tej cholernej maszynie, a widząc jego cierpienie, wiedząc, jaki sprawia mu ból, będzie

go jeszcze całowała i pieściła.

- Przestań - jęknął, przerażającym, chrapliwym szeptem. Inga zmarszczyła brwi i zapytała:

- Czy jesteś pewien? Naprawdę chcesz, żebym to z ciebie zdjęła?

- Przestań - powtórzył, ze wstydem teraz, upokorzony.

- Najpierw mi powiedz - zażądała. Ręka z maszynką nawet jej nie drgnęła.

— To jest... porozumienie — powiedział, chociaż z trudem mógł uwierzyć, że głos, który słyszy, jest jego własnym głosem. Czy to naprawdę on, marszałek T. K. Gołowanow, zdradza tej półnagiej kobiecie szczegóły operacji Byliny w jakiejś groteskowej kuchni w Niemczech Zachodnich?

To wydawało się nierealne. Chciał, aby było złym snem. Może wypił za dużo stolicznej? Tak, z całą pewnością jest pijany. Jest na kolacji u komandora Żukiłowa i spił się jak świnia.

Ale Inga przywróciła go do rzeczywistości.

- Powiedz mi - powtórzyła, a gdy otworzył oczy, maszynka do mięsa ciągle znajdowała się w tym samym miejscu, z jego penisem w środku.

- Osiągnięto porozumienie - powiedział. - Porozumienie.

- Jakie porozumienie? Kto w nim uczestniczy?

- Związek Radziecki i Stany Zjednoczone, a także Wielka Brytania.

- Mów dalej. Zanim zacznę się niecierpliwić.

- Tymi, którzy je zawierali, kierowały najlepsze intencje. Musisz to zrozumieć.

Prawdopodobnie uratowano świat przed wojną jądrową. Wiesz przecież, że byliśmy na skraju jej wybuchu. Na samym skraju. Siły, które ścierały się w zimnej wojnie przez ostatnie lata, stały się zbyt wielkie, żeby móc nadal powstrzymać je przed nie kontrolowanym wybuchem. Świat przybrał postać bojlera, w którym ciśnienie pary przerosło jego wytrzymałość.

Inga w milczeniu wyłączyła maszynkę. W ciszy, która nastąpiła, Gołowanow zaczął opowiadać, powoli i ze znużeniem, jak zmęczony uczeń, który musi powtórzyć to, czego nauczył się z książki do historii, i ma na to dużo czasu.

— Związek Radziecki nie mógł dłużej tolerować amerykańskich pocisków nuklearnych wymierzonych w jego terytorium. Zagrożenie było zbyt wielkie, niebezpieczeństwo przypadkowego odpalenia zbyt duże. Nie dawało to tym starcom na Kremlu spokoju. Wyobraź sobie, że mieszkasz w dużym domu, ale gdy tylko otworzysz drzwi, chcąc wyjść do ogrodu, będzie na ciebie czekał jakiś obcy facet z naładowanym pistoletem. Oczywiście, uzbroisz się również, aby w razie konieczności się bronić, jednak twój pistolet nie zabije twojego strachu. Trudno ludziom na Zachodzie zrozumieć historyczne uwarunkowania, które sprawiły, że ludzie w Rosji są tacy wojowniczy. Ale gdybyś walczyła ze mną ramię w ramię w Stalingradzie, wiedziałabyś. Niemcy napadli nas. Niemcy zniszczyli nasze domy i zamordowali miliony z nas. Ta wojna była czymś straszniejszym, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić.

— Powiedz mi wszystko o porozumieniu — naciskała Inga.

— Zaraz, zaraz wszystko usłyszysz - powiedział Gołowanow. - Tak jak Kreml panicznie

obawia się amerykańskich sił w Europie, tak Biały Dom wręcz cierpnie na myśl o komunistycznych insurgentach z Ameryki Łacińskiej. Dwa lub trzy lata temu podczas tajnych spotkań stwierdzono, że świat należy podzielić od nowa, że należy powstrzymać komunistyczną ekspansję w Ameryce w zamian za wycofanie amerykańskich i brytyjskich sił z zachodniej Europy.

— Nie rozumiem — stwierdziła Inga.

— To bardzo proste - kontynuował Gołowanow. — Postanowiono, że Związek Radziecki przejmie kontrolę nad Niemcami Zachodnimi, Skandynawią, Holandią, Belgią, Francją i częścią Austrii bez żadnego przeciwdziałania ze strony Amerykanów i Anglików. W zamian wycofa wszystkie bojówki komunistyczne z Ameryki Środkowej i skończy z działalnością wywrotową w Trzecim Świecie. Fidel Castro zgodzi się na demokratyczne wybory i zaakceptuje ich rezultat. Armia Radziecka w ciągu dziewięciu miesięcy wycofa się z Afganistanu. Dalsze porozumienia nastąpią później, gdy tylko ta pierwsza faza wielkiej światowej operacji zakończy się sukcesem. Generalnym jej założeniem jest jednak wycofanie Amerykanów z Europy i Rosjan z Ameryki. Mapa świata ulegnie całkowitemu przeobrażeniu.

Inga milczała. Położyła maszynkę do mięsa na podłodze i wstała. Nieświadomie przykryła rękami nagie piersi.

— Czy mogłabyś... - zaczął Gołowanow i wskazał na swój odkryty członek. Inga wahała się przez chwilę, a następnie schowała go do majtek i zapięła guziki od rozporoka, jakby Gołowanow był niedołącznym starcem.

— Widzisz więc, że całej akcji przyświecają najszlachetniejsze cele — powiedział

Gołowanow. - Zakończy ona na zawsze napięcie, w którym od wielu lat wychowują się młodzi ludzie.

W końcu świat stanie się stabilny.

— I styanizowany - dodała Inga chłodno. — Czy zamierzacie w taki sam sposób rządzić

Niemcami, jak rządzą Estonią? Zakażecie używania narodowych flag, narodowego języka? Czy zechcecie, żeby zapomniano o przeszłości, narodowej kulturze? Gołowanow uśmiechnął się.

- Proszę, proszę, jaka jesteś zapalczywa. Jednocześnie chłodna i ziejąca ogniem.

- Kiedy zacznie się ta operacja? - zapytała Inga.

- Już się zaczęła. Przynajmniej zakończono ostatnie przygotowania.

- Jaki jest jej kryptonim?

- Byliny.

- Kto zna szczegóły porozumienia politycznego? Kto prowadził negocjacje ze strony Związku Radzieckiego?

- Było kilku negocjatorów - powiedział Gołowanow. - Zespół składał się z pięciu osób. Na czele stał marszałek Tolubko. Amerykanów było sześciu lub siedmiu, w tym zastępca sekretarza stanu i podsekretarz obrony. Brytyjczyków było tylko trzech.

- Gdzie odbywały się negocjacje? - zapytała Inga. - Skoro były tak silnie obsadzone, dlaczego nikt o nich do tej pory nie słyszał?

- Dlaczego ty o nich nie słyszałaś, nie potrafisz powiedzieć. Powinnaś zapytać o to raczej swoich szefów, nieudaczników. Wiem, że odbywały się w Kopenhadze, w całkowitym sekrecie przed

opinią publiczną. Nawet nasze służby specjalne nie miały o nich pojęcia. Nawet teraz, gdy nasza armia

gotowa jest do okupacji zachodniej Europy, tylko najstarsi rangą oficerowie zdają sobie sprawę z tego,

co się dzieje, a nawet oni utrzymywani są w przekonaniu, że chodzi jedynie o okupację RFN. Nie wie-

dzą, że zatrzymamy się dopiero wtedy, gdy dotrzemy do zachodnich wybrzeży Europy.

Inga przeszła przez kuchnię i podniosła słuchawkę telefonu. Ciągłe nie zakładanie bluzki; byłoby to zbyt wyraźnym sygnałem dla Gołowanowa, że minęło niebezpieczeństwo tortur.

- Stary niedźwiedź opowiedział w końcu swoją historię - rzuciła szybko do słuchawki. - Jeśli to, co powiedział, jest prawdą, Fredrik musi natychmiast o wszystkim się dowiedzieć. Co? Nie, trudno

teraz cokolwiek z jego słów zweryfikować.

Słuchała przez moment, a potem dodała:

- Kogo mamy teraz w Kopenhadze? Znasz numer telefonu? W porządku, bardzo dobrze.

Odłożyła słuchawkę i w milczeniu popatrzyła na Gołowanowa.

— Czy pozwolisz mi wreszcie się napić? — zapytał.

— Musisz powiedzieć mi jeszcze więcej. Musisz powiedzieć mi, kiedy sowiecka armia zamierza przekroczyć granicę.

— Powiedziałem ci wszystko, co wiedziałem. Musisz zdawać sobie sprawę, że wiele z tego, co usłyszałaś, może ulec zmianie po moim porwaniu. Z całą pewnością Stawka spowoduje zmianę terminu inwazji.

Inga przysunęła sobie kuchenne krzesło i usiadła na nim okrakiem.

— Musisz powiedzieć mi więcej. O wiele więcej.

Gołowanow potrząsnął głową.

— Czy mam znów użyć maszynki do mięsa?

Teraz trząsnął głową przez dłuższą chwilę. W gardle zaschło mu już tak bardzo, że z trudem mógł mówić.

— Teraz chcę tylko umrzeć, z resztką honoru, która być może jeszcze we mnie została.

Inga dotknęła jego policzka.

— Mój biedny kochanku — powiedziała.

Łzy potoczyły się po jego twarzy i zaczęły kapać na kurtkę munduru.

— Zabij mnie - poprosił.

— Nigdy - szepnęła. - Nigdy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Morton Lock miał właśnie wyjść z biura i udać się na umówiony lunch, kiedy zapaliło się światelko na jego interkomie. Nacisnął guziczek i powiedział:

- Właśnie idę na lunch. Już czuję, jak przelykam zupę.

Z głośniczka rozległ się układny, rodem z Harvardu, głos jego sekretarza, Franka Jonesa:

- To pan Lewis, sir. Z The Washington Post.

- W takim razie jestem już na lunchu, i to na Hawajach.

- Ale on nie telefonuje, sir. Jest tu osobiście.

Morton westchnął głośno.

- Kurwa mać - zaklął. Problem polegał na tym, że zgodnie z poleceniem prezydenta stosunek do mass mediów powinien być „ciepły i konstruktywny”, dotyczyło to wszystkich agencji rządowych, poczynając od biura prasowego Białego Domu. Skoro Cal Lewis zdecydował się na osobistą wizytę u

Mortona, odmowa rozmowy z nim byłaby posunięciem o sto osiemdziesiąt stopni przeciwnym, niż zalecił prezydent. Wiadomość o takim postępku mogłaby mieć niemiłe dla Mortona Locka skutki.

— Pan Lewis mówi, że jest pewien, iż zechce pan z nim rozmawiać, sir.

— Och, naprawdę?

— Mówi, że ma to związek z Gringo czy z czymś takim, nie zrozumiałem dobrze.

Morton zrobił minę, jakby interkom niespodziewanie zaczął nadawać wiadomości z innej planety.

— A co on takiego wie o Gringo?! — zapytał.

— O tym chce właśnie z panem rozmawiać, sir.

Morton Lock mógł słyszeć, jak Frank rozmawia z Calem Lewisem w sekretariacie.

— No dobrze - zgodził się. - Wpuść go do mnie. I zatelefonuj do Montpellier. Powiedz, że spóźnię się na lunch.

— Tak jest.

W drzwiach ukazał się Cal Lewis, uśmiechnięty szeroko. Miał trochę ponad pięćdziesiąt lat, był dobrze zbudowany, lekko posiwiałe włosy kręciły mu się na głowie. Ubrany był w wymięty, chociaż drogi szary garnitur.

— Jak to wspaniale, że cię znów widzę, Morton - powiedział, przekraczając próg obitego dębową boazerią gabinetu, z fotografiami zachodu słońca na Florydzie zdobiącymi ściany. Fotografa była prawdziwą pasją Mortona i wszystkie zdjęcia wykonał osobiście. Zdradzały nieuleczalne zamiłowanie do wszystkiego, co egzotyczne i krzykliwe, gust charakteryzujący nie tylko jego spośród obecnej administracji.

— Usiądź - rzekł Morton.

Z uśmiechem na ustach Cal Lewis usiadł i skrzyżował nogi. Śmierdział papierosami, nie poprosił jednak Mortona o zgodę na zapalenie.

— Kiedy usłyszałeś o Gringo? I od kogo? - zapytał Morton, przechodząc od razu do rzeczy.

— Niedawno. Od kogo? Och, ma się różne źródła - odparł Cal.

— Czy rozmawiałeś z Kenem Maxwellem?

- Ken Maxwell był sekretarzem prasowym Białego Domu.

- Tak. — Cal pokiwał głową. - Ken nie bardzo jednak orientował się w zagadnieniu. Prawdę mówiąc, zaprzeczył, że kiedykolwiek słyszał o Gringo. Zapytał mnie, czy nie jest to przypadkiem ciąg dalszy filmu o Pancho Villi.

— Dlaczego więc przyszedłeś do mnie?

- Ponieważ ktoś musi coś w końcu wiedzieć o Gringo, a biorąc pod uwagę rodzaj operacji, na jaką wygląda Gringo, tym kimś jesteś chyba ty.

Morton powoli i z przesadną precyzją przekładał papiery na swoim biurku. Nie spojrział w oczy Calowi Lewisowi ani razu i Cal Lewis natychmiast się zorientował, że Morton unika jego wzroku.

- Bardzo mi trudno skomentować cokolwiek, dopóki nie dowiem się, skąd masz informacje o Gringo i jak wiele już się dowiedziałeś - stwierdził Morton martwym głosem.

- Nie mogę ujawnić ci źródeł wiadomości - odpowiedział Cal. - Mogę ci jedynie powiedzieć, że moje informacje pochodzą od kogoś o dużej reputacji, kogoś, kogo ty sam z pewnością uznałbyś za wiarygodnego.

— Jeśli masz na myśli pewnego senatora, może się on okazać o wiele mniej wiarygodnym, niż myślisz.

Cal nie przestał się uśmiechać.

— Nie wspomniałem ani słowem o żadnym senatorze.

- Wiem, a jednak... - Morton przerwał, ani na chwilę nie podnosząc wzroku. - O niego chodzi?

Cal wzruszył ramionami.

— Skoro już wiesz, nie widzę sensu, żeby zaprzeczać.

- No cóż, tak myślałem - westchnął Morton. - Secret Service nie spuszcza oka z tego senatora od kilku tygodni. Zamieszany jest zarówno w bardzo nieprzyjemną historię związaną z przemysłem, jak i z przeciekami tajnych informacji. Zechciej przyjąć do wiadomości, że za informacje od niego ja osobiście nie dałbym funta kłaków.

- A więc czy Gringo nie jest tym, za co je uważa senator? Morton szybkim, nerwowym ruchem strzepnął niewidzialny pyłek z biurka.

— To zależy, co on takiego mówi.

— Morton, rozmawiasz ze mną, jakbym był małym dzieckiem.

— Oczywiście, że tak z tobą rozmawiam. Twierdzisz, że wszedłeś w posiadanie zastrzeżonej informacji, uzyskanej z jakiegoś wątpliwego źródła, i chcesz się dowiedzieć, czy jest ona prawdziwa,

czy nie. Wiesz dobrze, że nie muszę niczego ci mówić. Nie muszę mówić, czy Gringo istnieje, czy nie,

czym jest, a nawet czym nie jest. Jestem doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego i moim zadaniem jest strzeżenie dobrze pojętych interesów naszego narodu, a nie komentowanie jakichś

plotek. A już na pewno nie zacznę nawet komentować niczego, żadnej plotki, jeśli nie będę wiedział, czego ta plotka dotyczy. Wszystko zależy więc od ciebie, Cal. Możesz mi powiedzieć albo nie, lecz szczerze mówiąc, uważam, że twoje rewelacje nie są warte złamanego centa.

— A jeśli wydrukuję jutro historyjkę „Czym jest Gringo” razem z artykułem redakcyjnym, zarzucającym administracji ukrywanie przed społeczeństwem spraw związanych z bezpieczeństwem narodowym? Spraw, o których społeczeństwo winno wiedzieć?

— A jeśli nie wydrukujesz? - zapytał Morton z naciskiem w głosie.

— Zabrzmiało to jak groźba.

— Nazwijmy to raczej prośbą — stwierdził Morton.

— Uprzejmą prośbą czy prośbą popartą argumentem siły?

— Prośbą, do jasnej cholery, i to wszystko. Przypuśćmy, że nie piśniesz nikomu słówka na temat Gringo. Czy ktoś z twojego personelu wie już coś na ten temat?

Cal potrząsnął głową.

— Pragnąłem najpierw sam się upewnić o wszystkim, zanim zacznę z kimś o tym rozmawiać.

W przeciwieństwie do tego, co o mnie myślisz, bezpieczeństwo tego kraju obchodzi mnie tak samo jak
ciebie.

— Ale przede wszystkim interesuje cię twój wstępniak.

— Gringo, z tego, co zdążyłem się zorientować, oznacza wycofanie części naszych sił zbrojnych z Niemiec. To wielki temat dla prasy. Nie możesz żądać, abym milczał, wiedząc o tej sprawie. Poza tym, Morton, tu chodzi o przyszłość świata. Elektorat ma chyba prawo znać szczegóły.

— Elektorat ma prawo siedzieć cicho na dupie i potakiwać.

— Czy mogę to zacytować? - zapytał Cal delikatnie, ciągle się uśmiechając.

Morton wstał zza biurka, włożył ręce do kieszeni i zaczął spacerować po gabinecie. Przystanął przy jednej z fotografii, kontemplując „Świt na plaży, 1977”. Po dłuższej chwili odezwał się głosem, któremu bardzo pragnął nadać spokojny ton:

- Pozwól, że coś ci wyjaśnię, Cal. To, co usłyszałeś o Gringo, jest prawdą, ale prawdą tylko częściowo. Jest to raczej teoria niż rzeczywisty, wchodzący w grę zamiar. Jest to element rozważań nad restrukturyzacją budżetu militarnego. Żadnych decyzji w tej sprawie nie podejmiemy, dopóki sekretarz obrony nie złoży propozycji budżetu swojego resortu, co nastąpi, jak wiesz, w listopadzie. Proponuję ci więc czekać z wszelkimi rewelacjami do listopada.

Cal Lewis zastanawiał się przez chwilę, po czym niespodziewanie powstał i rozłożył ręce.

- Dziękuję, że poświęciłeś mi swój cenny czas - powiedział.

- A zatem zgoda? - zapytał Morton.

- Nie - odparł Cal. - W poniedziałkowym wydaniu umieszczę duży materiał o Gringo i zawrę w nim to wszystko, czego zdołam się dowiedzieć. Spodziewaj się również ostrego komentarza redakcyjnego. Spodziewaj się stwierdzenia, że ukrywanie całej tej sprawy przed społeczeństwem jest

kolejnym oczywistym dowodem na to, że obecna administracja podejmuje działania woluntarystyczne, mając gdzieś obowiązującą procedurę podejmowania decyzji, pogardzając amerykańską demokracją.

- Cal... - zaczął Morton, ale Cal uniósł w górę obie ręce.

- Nawet nie zaczynaj, Morton. Nie odwiedzisz już mnie od decyzji, którą właśnie podjąłem.

No, chyba że w tej chwili zechcesz mi powiedzieć całą prawdę o Gringo.

Morton wahał się jeszcze przez chwilę, a następnie powiedział:

- No dobrze, Cal. Drukuj sobie, co zechcesz. To wolny kraj. Nie wiń mnie jednak, jeśli poniesiesz ciężkie konsekwencje swojego postępowania. Pamiętaj, wyciągając kartofle z ogniska,

po-

parzysz sobie paluchy.

Cał klepnął Mortona w ramię:

- W jakiej szkole uczą tak pięknych metafor?

Gdy tylko Cał wyszedł, Morton poprosił Franka Jonesa, aby natychmiast przygotował jego samochód. Następnie podniósł słuchawkę swojego prywatnego, zastrzeżonego telefonu i wykręcił numer FBI na Dziewiątej Ulicy. Gdy zgłosiła się telefonistka, powiedział:

- Poproszę wewnętrzny dziesięć-siedemdziesiąt pięć.

Następnie przez chwilę czekał, aż uzyska połączenie z numerem wewnętrznym.

- D'Annunzio — odezwał się w końcu ochryply męski głos.

- Ernest? - zapytał Morton. - To ja, Morton Lock.

- Dzień dobry — powiedział D'Annunzio. - Jakies kłopoty?

- Tak, Ernest, poważne kłopoty. Wygląda na to, że Daniels rozmawiał ostatnio o naszych sprawach w Europie z Calem Lewisem. Lewis był u mnie kilka minut temu i zagroził, że ujawni wszystko publicznie. Zapowiedział, że w poniedziałek. Tak. Ale boję się, że pójdzie prosto do swojej

redakcji i przedyskutuje sprawę z całym kolegium. Nie, oni do tej pory nic nie wiedzą, przynajmniej tak mi powiedział. Co? Nie, nie mogę tego zagwarantować.

- Zostaw to mnie, Morton - powiedział D'Annunzio. - Sienkiewicz szybko załatwi tę sprawę.

- Załatwisz to? Trafiłeś w końcu na ślad tego Daniela? Skoro rozmawiał z Lewisem, mógł już rozmawiać z każdym przeklętym pismakiem w tym kraju.

- Zrobiliśmy małe postępy w tym kierunku - stwierdził D'Annunzio. - Jeden z naszych ludzi zlokalizował matkę Esther Modeny w Indianapolis i mamy na podsłuchu jej telefon. W ciągu ostatnich

dwóch dni panna Modena telefonowała trzy razy do matki. Niestety, żadna z rozmów nie była

wystarczająco długa, żeby ją zlokalizować. Nie martw się jednak, skoro dzwoni do matki tak regularnie, wkrótce ją namierzemy.

- Traktujcie Daniela jako sprawę o najwyższym priorytecie. Zresztą wiecie o tym.

- Oczywiście. FBI cię nie zawiedzie. Nie leży to w naszej naturze.

Morton odłożył słuchawkę. Prawie natychmiast Frank Jones dał znać przez interkom, że samochód jest gotowy. Morton Lock podciągnął krawat i strzepnął kurz z rękawów marynarki. Ufał D'Annunziowi jak nikomu innemu. W przeszłości D'Annunzio przyczynił się do uziemienia Jimmy'ego Hoffy i Karen Silkwood. Prawie nie zdarzały mu się wpadki. Zlikwidowanie Cala Lewisa nie powinno mu sprawić najmniejszego kłopotu. Cal Lewis był uporządkowany, systematyczny i nie spodziewał się żadnego zagrożenia. Ufał, że żyje w wolnym, demokratycznym państwie.

A przecież jedno w tym świecie nie ulegało już wątpliwości: nie ma w nim miejsca dla ludzi systematycznych i ufnych.

W sobotnie popołudnie nad Londynem zawisła dziwna cisza. Nie licząc kilku prywatnych samochodów, ulice były niemal opustoszałe. Kierowcy i obsługa zaplecza technicznego komunikacji miejskiej Londynu rozpoczęli strajk w piątek o północy. Dwa główne związki zawodowe kolejarzy: ASLEF i NUR zaczęły strajk dwie godziny później. Krajowy Związek Pracowników Państwowych zezwolił swym członkom na pracę tylko na niezbędnych stanowiskach w szpitalach, stacjach pogotowia i straży pożarnej. Potężny Związek Robotników ogłosił oficjalnie strajk kierowców, tragarzy i obsługi.

Minister obrony, który powrócił do domu w Cheyne Walk, w Chelsea, na krótki lunch i szybką kąpiel, stwierdził ze zdumieniem, że o trzeciej po południu może spacerować sobie z powrotem do Westminsteru środkiem ulic, bez obawy, że zostanie potrącony przez jakiś pojazd. Dookoła, tak daleko, jak sięgał jego wzrok i słuch, nie było żadnego ruchu ulicznego. Dziwnie przypominało mu to Wojnę światów Herberta George'a Wellsa, którą czytał jako mały chłopiec. Zamknięte sklepy,

pozamykane wszystkie okna, zasunięte kotary, cisza, ani śladu żywych istot. Minister odniósł tak silne wrażenie, że za chwilę do Londynu wkroczą najeźdźcy, jak w Wojnie światów, że gwałtownie przyspieszył kroku. Nagle, mimo pięknego majowego słońca, poczuł się bardzo niepewnie, bezbronny, wystawiony na ciosy nieznanych napastników.

Tamiza skrzyła się łagodnie, gdy szedł nabrzeżem. Po drugiej stronie rzeki elektrownia Battersea wznosiła dumnie w górę swoje cztery kominy, otoczone jednak już rusztowaniami. Wkrótce na jej miejscu, kosztem dwudziestu pięciu milionów dolarów, zbudowane zostanie centrum rekreacyjne. Na chodniku kilka wynędzniałych gołębi skakało nad rozdartą torebką od McDonalda, zawierającą dojedzonego do połowy hamburgera.

Droga do Whitehallu zajęła mu dwadzieścia minut. Często pokonywał tę trasę pieszo, ponieważ lubił spacerować nad Tamizą i ponieważ były one dla niego jedyną okazją do jakiegoś wysiłku fizycznego. Tym razem jednak spacer wydał mu się zmudny i wstrząsający. Gdy wreszcie trafił za swoje biurko, przycisnął na dłuższą chwilę chusteczkę do czoła, aby się uspokoić. Pierwszej osobie spośród siedzących w poczekalni kazał czekać prawie dziesięć minut.

W końcu jednak pułkownik Lilley zapukał do drzwi, uchylił je i powiedział:

- Przepraszam, że nalegam, sir, ale generał Fawkes kazał mi rozmawiać z panem najszybciej, jak to będzie możliwe.

- Tak, tak, dobrze - powiedział minister obrony. - Niech pan wejdzie. Trochę wyczerpał mnie spacer z Chelsea.

Pułkownik Lilley przysiadł na brzegu wielkiego skózanego fotela. Przyniesione papiery ułożył na swoich kościstych kolanach.

- Dążymy do utrzymania funkcjonowania niezbędnych służb, sir, w tym elektrowni, kanalizacji, jednak zgodnie z instrukcjami nie ruszamy transportu ani górnictwa. Niejasna chwilowo jest sytuacja w pożarnictwie, ale dopóki nie dojdzie do ostatecznego kryzysu, wolimy tam nie

wkraczać.

Minister obrony skinął głową. Cel był jasny: armia Wielkiej Brytanii powinna być w pełnej gotowości bojowej i do podtrzymania funkcjonowania służb cywilnych należy przeznaczyć jak najmniejszą liczbę żołnierzy. W stanie gotowości powinny również zostać utrzymane te siły, które wkrótce powrócą z Niemiec w ramach operacji Cornflower.

Pani premier nie była przekonana o potrzebie, przesadzonej jej zdaniem przez ministra obrony, pełnej czujności wobec poczynań Związku Sowieckiego. Woląла raczej, aby wojsko dopilnowało funkcjonowania kolei i pracy w portach przeładunkowych. Ceniła jednak jego opinię i gdy dziś rano na posiedzeniu gabinetu mówił bardzo długo i przekonywająco o konieczności pełnej czujności, osiągnął swoje. Zgodziła się, żeby postawić armię w stan pełnej gotowości, jednak postawiła warunek, że wojsko nie może dopuścić do obniżenia poziomu funkcjonowania służb publicznych „poniżej akceptowalnego poziomu”.

Oczywiście długo dyskutowano nad tym, jaki to jest ten „akceptowalny poziom”. Minister spraw wewnętrznych zauważył, że to, co akceptowalne jest dla rodziny dokerskiej z Hartelpool, zupełnie przestraszy bogate rodziny z St. George Hill w Weybridge. Minister zdrowia stwierdził, że sytuacja wymknie się z rąk, gdy „nie będziemy w stanie grzebać zmarłych, a szczury będą biegać swobodnie wzdłuż Pali Mali”. Lord Westley zauważył, nie do końca serio, że życie stanie się nie do zniesienia, gdy „zabraknie kanapek ze świeżymi krabami w Green Champagne Bar”. Wyglądało na to, że zdaniem opinii publicznej koniec Wielkiej

Brytanii nastąpiłby w momencie zamknięcia pubów i wygaśnięcia ekranów telewizyjnych.

— Wydaje się, że w grę wejdzie jeszcze kilka dodatkowych czynników - powiedział nieśmiało pułkownik Lilley. — Prawdę mówiąc, trzy lub cztery, jednak wszystkie zdają się potwierdzać pańskie

podejrzenie, że te strajki celowo zgrano w czasie. Otrzymałem dziś rano raporty od naszych agentów

w Belfaście. Wynika z nich, że i IRA i INLA szykują zamachy bombowe w Irlandii Północnej, dopasowując ich terminy do strajku generalnego, który zaplanowany jest na trzydziestego maja.

Oprócz tego CND zamierza przeprowadzić masowe demonstracje przed wszystkimi bazami RAF-u i składami amerykańskich rakiet jądrowych. Celem jest zapewne skupienie jak największej uwagi wojska na sprawach pozamilitarnych.

Minister obrony słuchał uważnie, co chwilę drapiąc się po głowie.

- Jaka jest pańska opinia, pułkowniku? Tak między nami. Miał pan już do czynienia z czymś takim w Adenie, prawda?

Pułkownik Lilley pokazał jeden ze swych słynnych, pełnych zażenowania, deprecjonujących własną osobę uśmiechów.

- Bardzo trudno jest stwierdzić coś z całą pewnością, sir. Jednak wydaje mi się, że to w interesie Rosjan leży utrzymanie u nas jak największego bałaganu. Nawet jeśli w ostatniej chwili wycofamy się z Cornflower, nie będziemy w stanie poprzeć tej decyzji siłą, ze względu na kompletny chaos polityczny i gospodarczy.

- Ani podyktować żadnych nowych warunków - dodał minister obrony. - Ani nawet zapewnić sobie, że dotychczasowe ustalenia zostaną dotrzymane.

- Może Rosjanie chcą właśnie zmienić warunki porozumienia, sir - podsunął pułkownik Lilley.

- Jednostronnie, przypuszczam, bez żadnych dyskusji.

Minister obrony pokiwał głową.

- Takie są i moje przypuszczenia. Myślę, że Rosjanie zamierzają zająć całą Europę, łamiąc wcześniejsze ustalenia, w tym i te dotyczące ochrony dóbr kultury. Czytał pan tłumaczenie z ostatniej

Prawdy? Mimo wszystkich rozmów, rokowań, oni ciągle uważają Niemcy Zachodnie za spadkobiercę

Trzeciej Rzeszy, winną wszelkiemu złu, w tym i tego, co oni nazywają „nieuleczalnym rewanżyzmem". Nadal wierzą, że dopóki nie rozbiją Niemiec Zachodnich w puch, Niemcy Zachodnie

rozbijają ich. Naprawdę są o tym przekonani i ich zdania nie jest w stanie zmienić żadna perswazja.

„Pamiętajcie o planie Barbarossa”, mówią, i to jest wszystko z ich strony na ten temat. To tak, jakby mówić „pamiętajcie o Hastings” i traktować wszystkich Francuzów jak wrogów.

Pułkownik Lilley zauważył po chwili:

— Muszę przyznać, sir, że nigdy nie myślałem, iż sprawy przyjmą taki obrót.

Minister obrony zamknął na chwilę oczy, aby dać mu znać, że zrozumiał.

— Wiem, co myśli na ten temat Sztab Generalny. Czas zmienia jednak okoliczności. Należy się dostosować do zupełnie nowych koncepcji międzynarodowego bezpieczeństwa, pułkowniku.
Napięcie

polityczne w Europie jest niebezpiecznie wysokie, śmiertelnie wysokie. Wyścig zbrojeń zbliża się do punktu krytycznego. A jednocześnie okazało się, że dotrzymanie naszych zobowiązań wobec NATO jest o wiele za kosztowne. Na dotychczasowej drodze mieliśmy przed sobą jedynie nieuniknioną konfrontację nuklearną, wcześniejszą lub późniejszą, ale nieuniknioną. To, co wydarzy się w najbliższych dniach, sprawi, że opadnie napięcie i wszyscy zaczniemy oddychać bardziej spokojnie i swobodnie.

— My wszyscy, którzy pozostaniemy po zachodniej stronie -powiedział pułkownik Lilley, bez efektu starając się, aby jego głos nie zabrzmiał zbyt impertynencko.

— Lepiej, żeby Żelazna Dama tego nie słyszała, pułkowniku -stwierdził minister obrony. -

Włożyła w to całe swoje serce. Przecież chodzi o ostateczne rozwiązanie problemu nuklearnego.

Słyszałem, jak ćwiczyła swoje przemówienie na przyszły tydzień.

— Tak jest, sir - powiedział pułkownik Lilley.

— To jest triumfalne przemówienie, pułkowniku — ciągnął minister obrony. — I całkiem

słusznie. Potrafiła w ciągu czterech lat osiągnąć to, czego większość ludzi nie osiąga przez całe życie.

Pułkownik Lilley złożył swoje papiery i ścisnął je pod pachą.

— Mój ojciec zginął podczas walk w Normandii, sir - powiedział. - Podobnie jak wielu przyjaciół mojej rodziny. Wydaje mi się więc raczej, że...

Minister obrony uciszył go gwałtownym zmarszczeniem brwi. Nie było czasu na sentymenty ani na łatwą polityczną demagogię. Za oknem, w jasnym blasku słońca, znajdował się Londyn - zaśmiecony i opustoszały. Gołębie krążyły nad pustym Trafalgar Square, gdzie nawet fontanny

wyłączono, aby oszczędzać energię i wodę. To było teraz najważniejsze.

- Zechce pan, pułkowniku, przekazać pozdrowienia ode mnie generałowi Fawkesowi, dobrze? -

powiedział minister obrony. — I chciałbym, żeby przekazał mu pan coś bardzo interesującego.

- Słucham, sir.

- Dowiedziałem się dziś po południu, że moja ciotka Beatrice i on mieli tę samą niańkę. W różnym czasie, oczywiście.

Pułkownik Lilley powstał z fotela.

- Tak jest, sir. Powiem mu o tym. Cóż za zbieg okoliczności, sir.

Prawie w tym samym momencie w wymalowanym na szaro gabinecie w Bonn kanclerz

Niemiec Zachodnich przyjmował telefon od generała Heinza Eschera, naczelnego dowódcy

Bundeswehry. Kanclerz siedział za swoim biurkiem z białym ręcznikiem owiniętym wokół ramion.

Golił go właśnie jego osobisty fryzjer. Oprócz posiadania chatki myśliwskiej w Breisgau, która na gwałt domagała się remontu, golenie przez osobistego fryzjera było jedynym luksusem, na jaki sobie pozwalał.

Generał Escher mówił spiętym, zdenerwowanym głosem:

- Panie kanclerzu, otrzymałem przed chwilą nieoficjalną informację wywiadowczą, że armia sowiecka planuje w najbliższych godzinach przekroczenie naszych granic na całej długości.

Kanclerz milczał przez chwilę. Brzytwa cicho drapała jego lewy policzek.

- Co to znaczy „nieoficjalną”? - zapytał w końcu.

- Jej źródłem jest niezależna organizacja wywiadowcza, znana jako Lamprey - wyjaśnił generał

Escher. - W Paderborn zaledwie przed dwudziestoma minutami odebraliśmy zakodowaną wiadomość.

Kod miał wszelkie znamiona pozwalające zidentyfikować nadawcę jako Lamprey. Informacja mówi

krótko, że z wiarygodnych źródeł wiadomo, iż armia sowiecka gotowa jest w każdej chwili

zaatakować Niemcy Zachodnie.

- Czy utrzymujecie kontakt z Lamprey? - chciał wiedzieć kanclerz. — Czy możemy się z nimi skontaktować, poprosić o szczegóły, zadać dodatkowe pytania?

- Podali, że sami skontaktują się znów o szesnastej.

- Co ma do powiedzenia nasz wywiad?

- Mówią, że nie mają żadnych danych mogących potwierdzić rewelacje Lamprey - powiedział generał Escher.

- Lamprey skupia, zdaje się, i wschodnich, i zachodnich agentów, czy to prawda, generale?

- O ile nam wiadomo, tak.

- A więc tę wiadomość mogli nam z powodzeniem podsunąć Rosjanie, w celu dezinformacji.

- Tak, panie kanclerzu. Myślę, że tak.

Kanclerz uniósł brodę, aby fryzjer mógł sięgnąć do szyi. Milczał, gdy brzytwa goliła szczecinę w okolicach jabłka Adama. W końcu jednak wytarł twarz ręcznikiem i kiwnął na fryzjera, żeby dał mu spokój.

- Proszę postawić Bundeswehrę w stan pełnej gotowości -powiedział do generała Eschera. - To może być zwykła prowokacja wrogiego wywiadu albo spisek opozycji, historia wymyślona, żebyśmy wyszli na durniów. Z drugiej strony to może być prawda i wobec ruchów wojsk brytyjskich i amerykańskich, najwyraźniej wycofujących się od nas, Rosjanie wybrali sobie czas, w którym nie jesteśmy w stanie wytrzymać jakiegokolwiek konfrontacji militarnej, i oni dobrze o tym wiedzą. -

Wyciągnął którąś z szuflad i wydobyl z niej butelkę johnniego walkera. - Kiedy Lamprey skontaktuje się o szesnastej, chcę, żeby połączono ich bezpośrednio ze mną. Jeśli z jakiegokolwiek powodu odmówią rozmowy ze mną, niech pan przypilnuje, żeby zadano im pytania, w jaki sposób zdobyli swoje informacje i jak mogą potwierdzić ich autentyczność. — Odłożył słuchawkę telefonu, następnie

nacisnął guzik na biurku, łącząc się z sekretarką. - Ella? Chcę, żeby natychmiast przybył tu sowiecki

ambasador. Poza tym połącz mnie z generałem Oliverem. Zwołaj gabinet na nadzwyczajne posiedzenie. Chcę również rozmawiać z brygadierem Smithem-Hartleyem. To na początek. Niech Marta przygotuje mi kawę i nawet nie myślcie o pójściu do domów.

Siedział przez chwilę bez ruchu, obserwując, jak fryzjer po kolei czyści i odkłada brzytwy i pędzle. W dalszym ciągu nie otwierał whisky.

- Willi - powiedział w końcu. - Gdybyś popijał sobie w twojej ulubionej tawernie z najlepszymi przyjaciółmi i nagle stanął twarzą w twarz z wielkim i rozszoszczonym facetem zamierzającym dać ci po mordzie, co byś pomyślał, rozglądając się po przyjaciółach, gdybyś zdał sobie sprawę, że najwidoczniej zamierzają pozostawić cię swojemu losowi?

Willi był starszym człowiekiem. Uniósł w górę oczy tak czarne i błyszczące jak oczy wrony.

— Cóż, sir, pomyślałbym, że moi przyjaciele albo są tchórzami, albo ucieszy ich widok mnie pobitego.

- Tak, Willi - powiedział kanclerz. - Pomyślałbym tak samo.

Jakieś dziesięć minut później David Daniels powracał z marketu Safeway, na północ od White Plains, z dwiema torbami pełnymi zakupów. Oparł jedną z nich na kolanie, gdy gmerał w kieszeni, aby wyciągnąć klucze od mieszkania. W końcu otworzył drzwi.

- Esther? To tylko ja.

Zamknął drzwi za sobą i poszedł do kuchni, gdzie ułożył torby na szerokim stole.

— Kupiłem dla nas trochę drobiu! — zawołał. — Zrobimy sobie dobrą kolację! Mam również butelkę zinfandela, co ty na to? - Wyciągnął torebkę z pomidorami, potężną główkę sałaty i kartonik z pasztetem. - Jak to dobrze ugotować coś w domu od czasu do czasu. Już dawno obrzydły mi te wszystkie restauracje.

Przeszukał kilka szuflad, zanim znalazł korkociąg. Następnie otworzył butelkę zinfandela i wyjął dwa kieliszki z szafki nad zlewem. Trzymając w jednej ręce i butelkę, i kieliszki, udał się do

salonu.

— Wiesz co? - zapytał. - Od wielu lat nie kupowałem w supermarketach. Czułem się dzisiaj jak...

Urwał w pół słowa. W jednej chwili, od pięt do czubka głowy ogarnęło go przerażenie, zamieniając każdy z jego nerwów w sopel lodu. Butelka wypadła mu z dłoni i wino rozlało się po podłodze. Kieliszki upadły, rozpryskując się na drobne kawałki. Nagle David stał się niezdolny do jakiegokolwiek ruchu, tak jakby jego umysł stracił połączenie z mięśniami i nie był zdolny wydawać im poleceń.

Przed nim znajdowała się Esther, najzwyczajniej w świecie zarżnięta. Jej nagie ciało, powiązane drutami, leżało na skrawku dywanu przed kominkiem. Brzuch rozcięty był od klatki piersiowej aż po włosy łonowe, a wnętrzności dziewczyny zostały wydobyte na zewnątrz i rozrzucone po podłodze w błyszczącej mozaice przygotowanej na lekcję anatomii. Płuca, żołądek, wątroba. David był wstrząśnięty tym, że tak łatwo je rozpoznaje. Pomiędzy nogi Esther wetknięte były dwie małe brązowe statuetki. Już ból przez nie spowodowany musiał być straszliwy.

- O, Boże! - Tylko tyle zdołał z siebie wykrztusić. Odwrócił się i na miękkich nogach powrócił do kuchni. Stał tam, trzęsąc się cały, próbując jako tako ochłonąć. Wiedział, że zabili ją nie dlatego, aby ją ukarać, ale żeby ostrzec jego. Czymkolwiek było Gringo, ktoś bardzo chciał, aby on, David Daniels, milczał. Pokazano mu, co stanie się z każdym, kto wykaże wobec Gringo zainteresowanie. Popatrzył na zakupy. Na sałatę, która nigdy nie zostanie przyrządzona, na kurę, której nikt już nigdy nie zje. Przez cały ten czas, gdy krążył wzdłuż pełnych półek supermarketu, czując się znów jak dobry mąż, jakim był przed laty, Esther torturowano, związano, zgwałcono i na koniec wypatroszono. Nie miał wątpliwości, że żyła jeszcze, gdy rozcinano jej brzuch. Prawdopodobnie umierając, widziała, jak rozrzucają wokół niej jej własne wnętrzności. Daniels widział już zdjęcia podobnych rzezi, gdy zasiadał w kongresowych komitetach do spraw zorganizowanej przestępczości.

W końcu poruszył się i z pełną jasnością tego, co robi, podszedł do kuchennego zlewu i
zwymiotował. Następnie, ze łzami błyszczącymi w oczach, wypił wielką szklanę wody, wytarł usta
i
podszedł do telefonu. Podniósł słuchawkę i wykręcił swój własny numer w domu w Connecticut.

Odezwała się automatyczna sekretarka.

- Tu mieszkanie Davida Danielsa... po usłyszeniu krótkiego sygnału proszę podyktować swój
numer telefonu oraz nazwisko. Pan Daniels odtelefonuje, gdy to tylko będzie możliwe...

Po sygnale David powiedział:

- Wiem, że podsłuchujecie. Jestem tu i właśnie zobaczyłem, co zrobiliście z Esther. Ale nie
przestraszyliście mnie, skurwysyny. Jesteście zwierzętami, a ja nie boję się zwierząt. Możecie mnie
szukać, gdziekolwiek zechcecie, ale nie znajdziecie mnie, nie teraz. Zniknę na jakiś czas z
powierzchni ziemi, lecz poruszę wszystko, żeby świat dowiedział się o tym, co zrobiliście. Prasa,
telewizja, wszyscy. Będziecie tego żałować. Cholernie będziecie tego żałować, skurwysyny.
Ponieważ

pewnego dnia dosięgnę was w ten sam sposób, w jaki dosięgnęliście Esther i rzucę wasze ścierwa
na

widok publiczny. Słyszycie mnie? Czeka was piekło!

Wciąż jeszcze się trząsł, gdy odkładał słuchawkę. Wiedział, że musi już stąd odejść. Nie mógł
uczynić nic dla Esther: jej ciało było zbyt zdekompletowane. Nie śmiał nawet zamknąć jej oczu.
Mógł

mieć tylko nadzieję, że istnieje życie po śmierci i Esther żyje teraz takim właśnie życiem. Nie wierzył
w to jednak nigdy i teraz taka myśl wydała mu się absurdem. Gdy zjeżdżał w dół ciężką windą, nie
potrafił powstrzymać łez, które potoczyły mu się po policzkach.

Gdy winda zjechała na parter, ciągle ocierał oczy z łez. Wyszedł szybko z budynku i ruszył na
północ, do centrum miasta, pozostawiając na miejscu zaparkowany samochód. Przeszedł przez
jezdnię

i skierował się na wschód, do Macy's. Na pierwszym piętrze znajdowały się tam budki telefoniczne,

a

chodziło mu teraz o znalezienie telefonu, który nie byłby podsłuchiwany. Szybkim krokiem przemierzając ulice, zaczął zwracać uwagę na to, że wokół toczy się normalne życie, jak każdego dnia, jak każdej nocy. A jego życie od tej chwili miało bardzo daleko odejść od tej normalności. Będzie poszukiwał jakichś telefonów nie do wysłedzenia, zapomnianych hotelików... Jego jedyną nadzieją było przekazanie całej prawdy o Gringo mass mediom. A nawet wtedy, zdawał sobie sprawę, pozostanie obiektem ataku, potencjalną ofiarą.

Wszedł do pierwszej z brzegu budki i wrzucił monetę. Wykręcił numer i gdy czekał na połączenie, rozglądał się niespokojnie dookoła. Nie miał pojęcia, kto może go śledzić. Może to ten łysy facet w średnim wieku, który właśnie przymierza parę rękawiczek, ciągle związanych sznureczkiem? A może czarna kobieta we wzorzystej sukni i okularach uniesionych na czoło? Zdawał sobie sprawę, że gdyby sam organizował coś takiego, starałby się dobrać ekipę tak, aby jej członkowie jak najmniej rzucali się w oczy potencjalnemu obiektowi.

W końcu ktoś z drugiej strony uniósł słuchawkę. Jakiś podejrzliwy głos zapytał:

- Tak? Z kim rozmawiam?

- Ray? Tu David Daniels.

- O, cześć, David. Co u ciebie słychać?

Ray Molloy był jedynym funkcjonariuszem CIA, którego David znał jako tako. Poznali się trzy lata temu w Paryżu podczas śledztwa prowadzonego przez Davida w sprawie budżetu służby wywiadowczej i gdy Ray powrócił do Langley jako jeden z ważniejszych pracowników pionu finansowego, nie zerwali kontaktu. Jakieś wspólne lunchy od czasu do czasu, wspólne wycieczki na ryby, spotkania na przyjęciach...

- Mam kłopoty, Ray - powiedział David.

- O, naprawdę?

- Cóż, zdaje się, że zakłóciłem spokój kogoś naprawdę bardzo ważnego, to wszystko, co ci mogę powiedzieć.

- W związku z czym?

- Ray, mam kłopoty, to wszystko, co mogę powiedzieć. Nawet nie mam całkowitej pewności dlaczego. Zrób mi jedną przysługę.

- Chłopie, zdaje się, że naprawdę jesteś w tarapatach.

- Tak, Ray. Jestem w tarapatach. A teraz, bardzo cię proszę, czy mógłbyś zrobić dla mnie jedną rzecz? Pamiętasz, kilka miesięcy temu rozmawialiśmy o tych ludziach w Kanadzie, którzy przekroczyli granicę, żeby ukryć się przed FBI? Pamiętasz? Słuchaj, czy byłbyś w stanie pomóc mi skontaktować się z nimi?

- Cóż, to może być trudne. Potrzebne też będą pieniądze.

- Posłuchaj, mam wystarczającą ilość pieniędzy. Powiedz mi tylko, jak się skontaktować z tymi ludźmi?

- OK. Poczekaj chwilę, zerknę do mojego notesu. Napięty, drżący, pocący się przez cały czas, David czekał przy swoim telefonie, podczas gdy Ray odłożył słuchawkę, aby sprawdzić numer. A co będzie, jeśli Ray jest związany z ludźmi, którzy go poszukują? A jeśli Ray kazał mu czekać tylko po to, aby mieli wystarczająco dużo czasu, by sprawdzić, skąd telefonuje? Przypomniała mu się Esther, sposób, w jaki ją wypatroszyli. Nie miał wątpliwości, że nie zawahają się zrobić tego samego z nim. Aby ostrzec każdego, kto zainteresuje się Gringo. W końcu jednak Ray powrócił do telefonu. - To jest

numer w Vancouver. O ile mi wiadomo, tam się właśnie schronili. Pod tym numerem otrzymasz informację, gdzie ich spotkać. To wszystko, co wiem. - Podał Davidowi dziesięciocyfrowy numer telefonu. - I nigdy nikomu nie mów, że otrzymałeś ten numer ode mnie, rozumiesz? Nie dzwoń też do mnie więcej, dopóki nie będziesz czysty. Nie, to nie jest nic osobistego między mną a tobą, ale

wkrótce się żenię i bardzo chciałbym doczekać dnia mojego ślubu.

- Dziękuję ci, Ray. Dam ci znać, gdy już wszystko będzie OK. - powiedział David.

Nie usłyszał odpowiedzi. Ray Molloy odłożył słuchawkę z głośnym trzaskiem.

David użył jeszcze dwóch monet. Jednej, aby zatelefonować do swojego księgowego Lenny'ego Steina i powiedzieć mu, żeby przekazał pięćdziesiąt tysięcy dolarów do Barclays Bank w Vancouver na nazwisko Waltera Rossa. Drugą, aby przekazać swojej gospodynie polecenie zamknięcia domu w Connecticut na resztę lata i zasunięcia wszystkich kotar, żeby nie wyblakły meble.

— Czy dobrze się pan czuje, senatorze? - zapytała gosposia.

- Całkiem dobrze - odpowiedział. Miał nadzieję, że nie jest to kłamstwo.

Wyszedł z Macy's i skierował się do biura Avisu. Użył karty kredytowej, aby wypożyczyć LTD, i zapytał dziewczynę siedzącą za biurkiem, czy może zwrócić samochód w Orlando na Florydzie. Jeśli

ktokolwiek będzie sprawdzał jego kroki, a nie miał co do tego wątpliwości, czekać będą na niego w biurze Avisu w Orlando. W myślach życzył swym prześladowcom miłych wakacji na Florydzie.

Ruszył na północny zachód. Krótko o drugiej po południu przeciął rzekę Hudson i jechał dalej w kierunku Binghamton drogą numer siedemnaście. Zamierzał wjechać do Kanady jak najszybciej, gdyż przypuszczał, że jego prześladowcom o wiele trudniej będzie operować po północnej stronie granicy niż w USA.

Podczas jazdy drogą numer siedemnaście w jasnym świetle popołudniowego słońca usłyszał przez radio, że Cal Lewis, nowy wydawca The Washington Post, został znaleziony przez policję w Potomaku, niedaleko Thompson Water Sport Center. Miał dziurę od kuli w potylicy. Dziennikarz radiowy stwierdził:

- Jest to kolejna zbrodnia po zamachu bombowym na samochód Jacka Levy'ego, reportera Post, w którym dziennikarz zginął na miejscu. Policja uważa, że obie śmierci są efektem wendety wymierzonej przeciwko mass mediom, wywołanej najprawdopodobniej ostatnią kampanią

przeciwko

zorganizowanej przestępczości.

David musiał na chwilę zatrzymać samochód. Zaciskał bezsilnie dłonie na kierownicy. Czuł się winny, czuł się sfrustrowany. Gdyby nie posłał Esther, aby dowiedziała się, co to takiego Gringo, gdyby nie rozmawiał z Jackiem Levym i Calem Lewisem, z całą pewnością wszyscy troje żyliby dzisiaj. A on sam nie musiałby uciekać do Kanady, w tanim wynajętym samochodzie, bez bagażu, opuszczony, pozostawiony samemu sobie w poszukiwaniu ukrycia gdzieś w Vancouver.

W końcu zapuścił silnik i ruszył. W radiu usłyszał Dni chwały. Do Niagary dotarł o zmroku. W Europie dochodziła pierwsza. Była sobota i brakowały tylko dwie godziny i dziesięć minut do rozpoczęcia operacji Byliny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Po raz piąty wykręcił numer Hansa i w końcu uzyskał połączenie. Znajdował się w małym drewnianym domku przy plaży, niedaleko na północ od Rundsted, z widokiem na Ore Sund. Domek był niewidoczny z głównej drogi dzięki rzędom sosen, a od najbliższej plaży oddzielała go plątanina krzaków i kwitnących krzewów. Za krzakami teren opadał ostro aż do linii brzegu i tam w wieczornej szarudze rozpoczynało się morze, bezustannie szepczące coś w kierunku białego piasku plaży. Domek

był własnością jakichś przyjaciół Agnety, Holmesów, o ile Charles dobrze pamiętał. Otwarcie kłódki

na drzwiach frontowych za pomocą ciężkiego kamienia zabrało mu tylko kilka chwil.

- Skąd telefonujesz? — zapytał Hans. — Zdaje się, że nie z Kopenhagi.

- Ukrywam się — odparł Charles. Z głośnym westchnieniem wypuścił papierosowy dym z ust.

- Ten rosyjski bękart, Nowikow, czekał na mnie, gdy przybyłem do Peder Skrams Gade, żeby zobaczyć się z Agnetą. On...

Ku swemu ogromnemu zdziwieniu Charles stwierdził, że nie może mówić. Emocje dzisiejszego

dnia zaciskały mu gardło. Z trudem przemógł się i kontynuował:

- Ha... Hans... on ją zabił, Hans. I mojego przyjaciela Rogera. To cud, że nie zamordował i mnie.

- Przykro mi - odparł Hans. - Czy mogę coś teraz dla ciebie zrobić?

- Nie. Muszę dojsć do siebie. Przecież ludzie co dzień tracą przyjaciół, prawda? Muszę się z tym oswoić. Mam nadzieję, że właściciele tego miejsca zostawili gdzieś pod ręką butelkę jacka danielsa.

- Tylko się nie upij — powiedział Hans. — Wkrótce będziesz potrzebny.

- Obawiam się, że chwilowo do niczego się nie nadaję.

- Posłuchaj mnie, Charles. Wszystko zaczyna toczyć się coraz szybciej. Mieliśmy telefon od przyjaciół w Niemczech. Skąd dzwonisz? Nie jest to żaden hotel ani nic w tym rodzaju? Jakaś centralka?

- Wszystko w porządku. Prywatna linia.

- To dobrze. Nasi przyjaciele w Niemczech zmusili marszałka Gołowanowa do mówienia.

- Naprawdę? Jeżeli ich tylko nie okłamał, składam im serdeczne gratulacje. Co takiego miał do powiedzenia marszałek?

Hans mówił powoli i bardzo poważnym tonem:

- Powiedział, że obecne rosyjskie manewry to tylko preludium, sposób na wzmocnienie sowieckiej armii i doprowadzenie jej do pełnej gotowości bez alarmowania Niemiec Zachodnich. Powiedział, że armia sowiecka znajduje się w ostatnim stadium przygotowań do zaatakowania RFN. Nie wyjaśnił, kiedy dokładnie to się zacznie. Być może nie zatwierdzono jeszcze ostatecznej daty. Powiedział jednak, że inwazja nastąpi za zgodą i przy aktywnym współudziale Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Inaczej mówiąc, w miarę postępów Armii Czerwonej Brytyjczy i Amerykanie będą się systematycznie wycofywać. Dla dobra świata, dla jego stabilności jako jednej

wielkiej całości. Niemcy Zachodnie zostaną złożone Rosjanom jako ofiara, zostaną poświęcone w dążeniu do ustalenia nowego, trwałego podziału świata.

- Nie wierzę w to, co słyszę.

- Cóż, wszystko to pochodzi od marszałka T. K. Gołowanowa, człowieka, którego trudno posądzać o fantazjowanie. Przesłuchiwała go Inga Schultz, jedna z naszych najlepszych agentek, jeśli chodzi o przesłuchiwanie i torturowanie.

- Chciałbym kiedyś ją spotkać. Każdy, kto potrafi zmusić Gołowanowa do czynienia czegoś wbrew jego woli, musi być bardzo interesującą osobowością.

- Prawdopodobnie już wkrótce ją ujrzysz - powiedział Hans. - Właśnie zmierza do Kopenhagi, razem z marszałkiem Gołowanowem, przede wszystkim w tym celu, żeby nie było go w Niemczech Zachodnich, gdy sowiecka inwazja rzeczywiście nastąpi. Również po to, żeby pomógł nam zinterpretować to, co — mam nadzieję - powiedzą nam komputery firmy Klarlund i Christensen.

Charles sięgnął ręką za siebie i wytrząsnął kolejnego papierosa z paczki. Pozostały już tylko trzy. Wiedział, że musi się wkrótce postarać o kilka paczek, jak również o butelkę whisky. Wiedział, że nie przetrwa tej nocy na soku jabłkowym i mleku, a jedynie to znalazł w małej lodówce Holmesów.

- Jest jeszcze inna dobra wiadomość - dodał Hans. Jeden z naszych rosyjskich agentów wywiózł z ZSRR dwóch Anglików. Obaj są ekspertami, jeśli chodzi o komputery. Są w tej chwili w Helsinkach, lecz w ciągu godziny mają znaleźć się w samolocie do Kopenhagi, gdy tylko uzupełnione zostaną niezbędne formalności.

- Wywiózł ich z ZSRR? Co oni tam w takim razie robili?

- Zdaje się, że prezentowali jakieś swoje komputery na targach zabawek. Ale Rosjanie podjęli próbę zmuszenia ich do pozostania tam i podjęcia pracy dla Związku Radzieckiego. Wiadomo nam, że

do tej pory kilku naukowców mających związek z komputerami zostało wypożyczonych przez Wielką

Brytanię i Stany Zjednoczone do Związku Radzieckiego wbrew ich woli. Co między innymi potwierdza tezę marszałka Gołowanowa, że istnieje porozumienie, w myśl którego Niemcy zostaną poświęcone przez Zachód Rosjanom.

- Posłuchaj - powiedział Charles. - Wróć do Kopenhagi, ale, na miłość boską, daj mi jakąś ochronę i przynajmniej broń. Czy możesz zdobyć dla mnie broń?

- Oczywiście. Co sobie życzysz?

- Żadnej zabawki. Nowikow jest dwustufuntowym berserkerem i żaden mały pistolecik nie jest na niego odpowiedni.

- Mamy jeden lub dwa uzi, jeśli to cię interesuje.

- Biorę oba. Wziąłbym trzy, gdybyś tyle miał. Gdzie się spotkamy?

- Przyjdź do Set. Hans Gade, numer siedemnaście, przy końcówce Sortedams - powiedział

Hans. - Naduś na dzwonek z nazwiskiem Rasmussen i czekaj. Ile czasu potrzebujesz, żeby tam dotrzeć?

- Jestem w Rundsted. Daj mi godzinę.

- Dobrze - zgodził się Hans. Milczał przez chwilę, po czym powiedział: - Agneta była twoją przyjaciółką, prawda?

- Tak.

- Jesteś pewien, że podasz swoim zadaniom po tym, co się stało?

- Dam sobie radę - odparł Charles. - Jeśli się upiję, potrafię zapomnieć o wszystkim tylko na godzinę lub dwie. Jeśli przystąpię do działania, być może ją pomszczę. Być może dotrę do tego bękarta Nowikowa i ukręcę mu łeb.

- Czy chcesz, żeby ktoś z naszych posprzątał mieszkanie? -zapytał Hans trzeźwo. - Mamy od tego specjalistów. Działają bardzo dyskretnie.

- Ile by mnie to kosztowało?

- Zrobimy to dla ciebie za darmo.

- Więc zgoda - powiedział Charles. - Dzięki za to. Ale... czy istnieje możliwość, żeby ją pochowano? Nie chciała zostać skremowana, nie wiem dlaczego.

- Nasi specjaliści organizują dyskretne pogrzeby. Cóż, kilka razy już musieliśmy korzystać z ich usług.

- No to w porządku - powiedział Charles sucho. Po chwili nacisnął widełki, sprawdził, czy znów ma sygnał w słuchawce i wykręcił numer przedsiębiorstwa taksówkowego.

- Jestem w Rundsted - powiedział. - Tak. Czy możecie przysłać po mnie samochód? Proszę pani, nie obchodzi mnie, ile to będzie kosztować. Chcę mieć samochód tak szybko, jak to tylko możliwe.

Usiadł następnie na kanapie, na której leżała narzuta wyszywana w kolorowe kwiaty. Zapalił papierosa i czekał, obserwując swoje odbicie w ciemnym szkle francuskiego okna. Po kilku minutach,

zmęczony ciszą, włączył radio. Wiedział, wiedział to od samego początku, że już nigdy nie odczepi się

od swojej pracy. Kiedy raz się w to wplątałeś, nigdy się nie wypłaczesz. Bo niby jak? Odwracając się

plecami na polityczne bezprawie, które uczono cię rozpoznawać przez tyle lat? Ignorując mężczyzn w szarych marynarkach, gdy ujrzysz ich spacerujących po ulicach całego świata, uzbrojonych, śmiercionośnych, gotowych zabijać wszystkich, którzy nie spodobają się ich politycznym mocodawcom?

Lamprey powstała, ponieważ tak wielu agentów wywiadu w końcu odmówiło akceptowania tego, że pomiędzy obu stronami istnieją jakiegokolwiek różnice, a przynajmniej różnice warte tego, aby dla nich umierać. Jeśli chodzi o Lamprey, wrogiem są biurokraci, których polityczny i finansowy byt zależy od międzynarodowej nienawiści i wielkich maszynarii cichej wojny. Wrogiem jest ludzka skłonność do agresji i zadawania strachu.

Od 1945 roku zarówno Wschód, jak i Zachód wyprodukował wystarczającą ilość broni konwencjonalnej, aby przeprowadzić czterysta wojen na skalę taką jak druga wojna światowa. Oczywiście to wyliczenie nie obejmuje arsenałów nuklearnych zgromadzonych przez obie strony. Tylko Lamprey potrafi ocenić rzeczywisty absurd tych zbrojeń i pełną skalę tragedii nimi spowodowanej. „Bezpieczeństwo” nie jest niczym innym jak tylko kolejnym słowem mającym wywoływać strach. I Waszyngton, i Moskwa wydały już setki miliardów dolarów, aby strzec się przed cieniami i przywidzeniami.

Charles nie miał żadnych złudzeń co do możliwości skutecznej kontroli zbrojeń. Hans, jak się zdawało, był podobnym mu cynikiem. Co w takim razie można począć? Udawać przez cały czas, że sprawa dotyczy wyłącznie kogoś innego, że samemu ma się ważniejsze sprawy na głowie niż jakieś odległe, abstrakcyjne cele? Nadal prowadzić swoją robotę, brudną, niebezpieczną i nie zważać na to, dla kogo i w jakim celu się pracuje?

Bardzo rzadko pozwalał sobie na luksus rozmyślań nad swym życiem. I nagle naszło go to, teraz, w nocy. Im więcej rozmyślał, tym bardziej dochodził do przekonania, że musi jak najszybciej powrócić do Kopenhagi, i to trzeźwy.

Minęło prawie czterdzieści pięć minut, gdy wreszcie błądy trójkąt światła przetoczył się po suficie — znak zbliżającego się samochodu. Charles wyłączył radio i przeszedł do łazienki, aby obmyć twarz w zimnej wodzie. Popatrzył na odbicie swojej twarzy w lustrze nad umywalką. Szara, wymęczona twarz i żywe oczy, wciąż silne tą profesjonalną siłą jego zawodu. Jeszcze nieźle jak na ten wiek, pomyślał.

Nagle zdał sobie sprawę, że nie usłyszał jeszcze, jak samochód zbliża się do domku. Ani kierowcy pukającego do drzwi. Wyprostował się, nasłuchując i obserwując siebie, zasłuchanego, w lustrze. Nie słyszał niczego, z wyjątkiem wiecznego szumu morza i lekkiego stukotu nie domkniętej

okiennicy w kuchni.

Spojrzał na okno łazienki. Ku swojemu przerażeniu przez matowe szkło dojrzał na ułamek sekundy wielką ciemną postać i twarz podobną do kawałka surowego mięsa.

Natychmiast zgasił światło w łazience, przekręcając błyskawicznym ruchem żarówkę w oprawce. Szybko wbiegł do saloniku i nacisnął na wszystkie włączniki światła. Chata pograżyła się w ciemności. Jego mózg szalał: broń, czego mogę użyć jako broni przeciwko tej bestii? Pomyślał o rosyjskim automacie, który tak bezmyślnie pozostawił w mieszkaniu Agnety. W myśli zapytał Boga, dlaczego pozwala mu na taką głupotę?

Opadł na kolana i przywarłszy do cienkiego zniszczonego dywanu, dotarł do małego piecyka.

Zatrzymał się wśród narąbanych drewnianych szczap. Po omacku zaczął grzebać ręką pomiędzy nimi, aż wreszcie znalazł coś, czego szukał. Długi, zakrzywiony na końcu pogrzebacz, używany do przetrząsania paleniska. Był ciężki, na końcu drewnianej rączki miał brązową kulę.

Przykucnąwszy, czekał, co nastąpi. Słyszał czyjeś kroki, okrążające chatkę. Pewne kroki człowieka, który jest pewny siebie, kroki człowieka, który nie boi się nikogo i niczego. Charles nagle poczuł, że koniecznie musi oddać mocz: reakcja nerwowa znana wszystkim agentom CIA i ich przeciwnikom w tym fachu od wielu lat. Nie było sensu pchać się do tej pracy, jeżeli miało się słaby pęcherz.

Nastąpiła chwila kompletnej ciszy. Zdawało się, że nawet morze wstrzymało oddech. Nagle, jakby pod wpływem wybuchu, drzwi prowadzące na werandę wpadły do środka. Posypało się szkło i roztrzaskane drewno, a czerwono-biała zasłona poleciała na przeciwną ścianę, jakby porwał ją huragan:

- Chryste! - wrzasnął Charles. Nie wiadomo, czy była to modlitwa, okrzyk wojenny, czy po prostu bezmyślny okrzyk przerażonego człowieka.

Do pokoju wpadł Krow iz Nosu, przewracając na boki stół i krzesła. Wydał okrzyk, który zjeżył Charlesowi wszystkie włosy na głowie. Był to zduszony, podobny do dziecięcego, wysoki jęk monstrum, którego gardło kiedyś przeżarł ogień, a wargi spłonęły do samych dziąseł.

Charles wstał i rąbnął Nowikowa pogrzebaczem, szybkim ruchem, jakiego dawno temu nauczył się, grając w koszykówkę w college'u. Charles Krogh, absolwent z 1953 roku. Tępy, ciężki hak wbił się w szyję Nowikowa. Gdy Charles szarpnął, rozciął skórę Rosjanina, rozerwał mięśnie i nagle Krow iz Nosu zaczął broczyć krwią. Odwrócił się, zachwiał na moment i wyciągnął rękę w kierunku Charlesa. Niespodziewanie uderzył go otwartą dłonią w twarz tak silnie, że Charles poleciał do tyłu, uderzając głową w boczną ściankę piecyka. Nie stracił przytomności, lecz zaraz przetoczył się na bok, zgodnie z radą swojego instruktora z CIA: „Nigdy nie leż w miejscu po zainkasowaniu ciosu, gdyż zaraz otrzymasz następny”. Ciągle ścisnął w ręce pogrzebacz. Po sekundzie znów stał na nogach. Pchnął w kierunku Nowikowa plecione krzesło, zrzucając przy tym na ziemię jakieś porcelanowe ozdoby z półki wiszącej na ścianie. Pogrzebacz groźnie przekładał z ręki do ręki. Wrzeszczał teraz z całej siły, wywrzaskując swój okrzyk wojenny głosem pełnym strachu, złości i żądzy zemsty.

Walnął Nowikowa w ramię, a potem zaczął okładać go bezlitośnie po szyi i uniesionych ramionach. Wystarczyło mu jednak tylko kilka chwil, aby ostatecznie zrozumieć, że jedyną skuteczną bronią przeciwko temu monstrum będzie broń palna, i to dużego kalibru. Zrozumiał to w momencie, gdy gigant niespodziewanie, jakby uderzenia Charlesa nie wywarły na nim żadnego wrażenia, opuścił ręce i popatrzył na niego wrogo, przenikliwie, świdrującymi na wskroś oczyma. Reakcja Charlesa na to spojrzenie mogła być tylko jedna: upuścił pogrzebacz na podłogę. Ale zaraz porwał z podłogi jakiś stołek i cisnął nim w głowę Nowikowa. Specjalnie nie interesowało go, czy trafił, czy też nie.

Wykorzystał krótką chwilę, aby dać nura w wyrwane drzwi i wybiec na zewnątrz.

Wpadł w ciemność, która pachniała wiatrem i morzem. Ore Sund w nocy, białe domy szare i

tajemnicze, wysoka trawa uginająca się pod stopami. Zaczął biec lekkim wzniesieniem w kierunku drzew. Zdyszany, w ostatniej chwili zauważył po prawej stronie czarnego saaba turbo, niewątpliwie samochód, w którym przyjechał tutaj Nowikow. Ciężko oddychając, potykając się co chwila na luźno leżących kamieniach, grzęznąc w sypkim piasku, spojrzał do tyłu ponad swoim ramieniem. Nowikow już biegł za nim, widział wylaniające się z ciemności potężne bary Rosjanina. Wiedział, że nie ma szansy ucieczki przed silnym, potężnym monstrum i wiedział też, że spotkanie z nim oznacza, już nieodwołalnie, śmierć. Dogonienie go przez Rosjanina było kwestią minut, a brakowało mu już zupełnie sił. Za chwilę Nowikow rozerwie go na strzępy.

Chociaż kosztowało go to kolejny wielki wysiłek, Charles zmienił nagle kierunek ucieczki i ruszył do saaba. Zanim Nowikow zrozumiał, że musi biec w inną stronę, minęło kilka sekund. Lecz gdy to pojął, ruszył natychmiast za Charlesem i zbliżał się do niego z każdą chwilą, mimo swojego wielkiego ciężaru, który powodował, że zapadał się głęboko w piasek. Biegając, wydał dziki okrzyk radości. Był pewien, że tym razem Charles już mu się nie wymknie.

Saab stał trochę dalej, niż ocenił to Charles. Piersi falowały mu, jakby ktoś bardzo ciężki przygniótł je swoim ciężarem i starał się je zmiażdżyć. Czuł się, jakby jego własne nogi przestały nagle do niego należeć. Ale w końcu dotarł do samochodu, uderzył całym swym ciężarem w jego bok i tak szybko, jak tylko mógł w tych warunkach, ukrył się za tylnym zderzakiem.

Kierowca musiał drzemać w środku, przekonany, że Nowikow sam da sobie radę - pójdzie do chatki, wykona robotę i spokojnie wróci do auta. Jednak gdy Charles rąbnął całym rozpędem w karoserię, bandyta natychmiast otworzył drzwi i gramoląc się z samochodu, jednocześnie wyciągał z zaskakująco paską pistolet.

Charles podbiegł do niego i błyskawicznym ruchem walnął go w brzuch chińskim uderzeniem znanym jako shui-mu, nazwanym tak od imienia demona zmuszanego do jedzenia makaronu, który następnie w magiczny sposób zmieniał się w jego brzuchu w ciężkie łańcuchy opasujące wnętrzności.

Cios ten był jednym z trudniejszych elementów walki wręcz, nie zawsze się udawał i nie zawsze bywał skuteczny. Do tej pory Charlesowi wyszedł dobrze tylko jeden raz, i to na zajęciach w szkole CIA.

Tego wieczoru nastąpił drugi raz. Kierowca zacharczał, kaszlnął i upadł ciężko na ziemię.

Mięśnie jego brzucha gwałtownie skurczyły się w reakcji na uderzenie. Charles szybko podniósł pistolet i usiadł za kierownicą saaba. W tym samym jednak momencie Nowikow dopadł samochodu, szarpnął drzwiczki z prawej strony i jednym szarpnięciem wyrwał je do połowy z zawiasów.

Charles nie miał czasu na oddanie strzału. Przekręcił kluczyk w stacyjce, zwolnił hamulec ręczny i nadusił na gaz. Samochód wyrwał do przodu, jęcząc i zawodząc w piasku plaży. Nowikow ruszył za nim, obok drzwiczek, które podskakiwały za autem niczym puste puszki po piwie za samochodem z młodą parą.

Dotarłszy do drogi prowadzącej między drzewami, Charles gwałtownie skręcił. Opony zapiszczały na asfalcie, gdy przyspieszył, uwalniając się od ścigającego go monstrum. Teraz Nowikow

nie miał już żadnej szansy, chociażby biegł nie wiadomo jak szybko. Charles włączył światła i jechał teraz płynniej, unikając dziur, gęsto rozsianych w starej, od dawna zniszczonej nawierzchni.

Spojrzał w lusterko. Nowikow ciągle biegł, ciemny, ciężki, niczym maratończyk z jakiegoś przerażającego snu. Charles prawie dotarł do autostrady, widział już czerwone światła przejeżdżających samochodów. Prawą ręką zaczął szperać wokół siebie w poszukiwaniu pistoletu, który odebrał kierowcy. Znalazł go szybko i podniósł do oczu, aby zobaczyć, co to takiego. FN GP35, automatyczny, belgijska wersja browninga. Wystarczy, żeby powstrzymać Nowikowa, pod warunkiem

że nie ma kamizelki kuloodpornej. Jeszcze raz popatrzył w lusterko i nadusił na pedał hamulca, zatrzymując się kilkadziesiąt metrów przed wjazdem na autostradę.

Teraz spokojnie, powiedział do siebie. Jeżeli spanikujesz, chybisz i pokpisz całą sprawę.

Wysiadł z samochodu, nie wyłączając silnika, i podszedł kilka kroków do tylnego zderzaka. Podniósł pistolet, przyklęknął, oparł ramiona na masce i starannie wycelował w sylwetkę Nowikowa, zbliżającego się od plaży.

Pierwszy strzał rozdarł ciszę nocy. Charles uniósł pistolet. Dym uleciał z lufy ku niebu. Charles popatrzył uważnie przed siebie, chcąc dojrzeć wśród cieni rzucanych przez drzewa leżące na asfalcie zwłoki Nowikowa. Nic jednak nie widział, tylko ciemność. Odczekał jeszcze chwilę i odwrócił się. Gdy miał włączyć pierwszy bieg, ujrzał nadjeżdżające volvo. Żółte światło na dachu nie pozostawiało wątpliwości, że jest to taksówka. Młody kierowca wysiadł z samochodu i podszedł do Charlesa z jakimś papierem w rękach.

- Szukam pana Krogha - powiedział. - Prawdopodobnie czeka na mnie gdzieś na plaży. Czy są tu może jakieś domki letniskowe?

Charles z wielką ulgą wyłączył silnik saaba.

- To ja jestem Krogh,

- Co się stało z pańskim samochodem? Charles popatrzył na drzwiczki i zmarszczył brwi.

- Ach to? Drobiażdżek. Co jakiś czas mi się to przytrafia. Zdaje się, że nie potrafię prawidłowo ocenić własnej siły.

Wyciągnął kluczyki ze stacyjki i poszedł za kierowcą do taksówki. Taksówkarz zawrócił i po chwili już wjeżdżał na autostradę, kierując się do Kopenhagi.

- Czy lubi pan muzykę? - zapytał Charlesa.

- To zależy.

- Co by pan powiedział na Piątą Beethovena? Całkiem dobra rzecz.

- Czy dobrze się pan czuje? - zapytał kierowca po chwili.

- O co chodzi, czyżbym wyglądał na faceta, któremu coś dolega?

- Wygląda pan na człowieka, który przed chwilą ujrzał ducha.

Charles spojrział na swoje zniekształcone odbicie w ciemnej szybie taksówki. Na zewnątrz światła mijały pojazd niczym pędzące sputniki.

- Nigdy nie wierzyłem w duchy - powiedział, bardziej do siebie niż do kierowcy. - Czy mógłby pan mnie poczęstować papierosem?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

- Jest tutaj generał Abramow, towarzyszu generale. Jeremienko spojrział znad swoich strategicznych map Niemiec

Zachodnich. Siorbał właśnie kawę zaparzoną na rosyjski sposób, przypominający nieco kawę parzoną po turecku, i para unosząca się z obskurnej filiżaneczki zamgliła nieco szkła jego ciemnych okularów.

- Generał Abramow? Co tutaj robi dowódca Kijowskiego Okręgu Wojskowego?

Pułkownik Kleczew wzruszył niepewnie ramionami. Jeremienko jakby wahał się przez chwilę, z filiżanką w dłoni, po czym odstawił ją delikatnie na podstawek.

- Cóż, pułkowniku, proszę go więc wprowadzić.

Była pierwsza dwadzieścia siedem nad ranem i Armia Radziecka, niczym potężne hordy

Dżyngis-chana, stała u wrót wolnego świata na wszystkich drogach dojazdowych do zachodniej grani-

cy Niemieckiej Republiki Demokratycznej. 16. Armia Powietrzna, ponad dwa tysiące samolotów, podzielona została na dwie potężne grupy, mające wkrótce przeprowadzić zmasowany atak. Pod osłoną samolotów dwanaście dywizji pancernych i szesnaście dywizji piechoty zmechanizowanej utworzy wkrótce dwa potężne fronty, północny i południowy. Do Niemiec Zachodnich wtargnie wkrótce ponad dziesięć tysięcy czołgów, pięćset helikopterów, sześć tysięcy wozów bojowych piechoty, pięć tysięcy innych pojazdów, ponad pięć tysięcy armat, moździerzy i wyrzutni raketowych.

Wzdłuż wybrzeża Morza Bałtyckiego skierują się na Hamburg, wzdłuż autostrady berlińskiej na

Hanower, przez przesmyk fuldeński runą w kierunku Frankfurtu i wreszcie z Czechosłowacji ruszą na Bawarię.

Była to największa armia inwazyjna, jaką kiedykolwiek zgromadzono. Sznury czołgów T-72 i T-64 rozciągały się na takiej długości, że wszelki ruch cywilny w Niemczech Wschodnich zamarł na drogach znajdujących się w odległości do szesnastu kilometrów od granicy. Za czołgami oczekiwały samobieżne haubice „Akacja” i wozy bojowe piechoty uzbrojone w rakiety oraz działa kaliber 73 milimetry. Jeszcze dalej stały zwykłe ciężarówki, tysiące ciężarówek z piechotą.

Dwa fronty osiągną o wiele większą siłę, niż to będzie konieczne. Wcale nie dla Gringo czy operacji Cornflower zmobilizowano tysiące rezerwistów z Białorusi i Polski. W gruncie rzeczy nie spodziewano się zbyt wielkiego oporu podczas przemarszu przez Niemcy Zachodnie. Spontaniczne, słabo przygotowane ataki partyzanckie miały tłumić grupy komandosów Specnazu.

Równie imponująco jak przygotowania sowieckie wyglądały z drugiej strony ruchy w ramach Gringo i Cornflower. Wycofanie z Niemiec Zachodnich jednostek amerykańskich i brytyjskich, stacjonujących tam od zakończenia drugiej wojny światowej, było największą i najbardziej skomplikowaną operacją militarną kiedykolwiek przedsięwziętą przez oba te kraje. Towarzyszyły im góry papierkowej roboty, programy komputerowe zyskiwały objętość najbardziej obszernych encyklopedii. Przygotowania do szybkiego przetransportowania setek czołgów, ciężarówek, wyrzutni raketowych, artylerii i innego sprzętu nadzorowane były przez dowódców i specjalistów, których można by liczyć na setki. Połączone siły powinny wycofywać się na godzinę przed nadejściem Rosjan; takie było porozumienie. Każdy pojazd, każdy element wyposażenia nie zabrany w porę miał podlegać później specjalnym negocjacjom.

Sami tylko Amerykanie musieli wywieźć lub przetransportować samolotami ze swych trzydziestu sześciu baz w Republice Federalnej Niemiec ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy mężczyzn i kobiet, ponadto czołgi oraz inne pojazdy i sprzęt. Instrukcja z Pentagonu mówiła jasno, że ani

jeden czołg Abrams M1, ani jeden helikopter Black Hawk, ani jedna ze skomputeryzowanych samonaprowadzających wyrzutni raketowych nie ma prawa wpaść w sowieckie ręce. Armia brytyjska

szczególnie niepokoiła się o najnowszą generację rakiet Chobham. Generał Oliver wypowiedział mądre zdanie na ten temat: „Może będzie to bezkrwawa inwazja, ale pamiętajmy, że jednak inwazja”.

Jeremienko jako głównodowodzący Zachodniego Kierunku Strategicznego dzierżył w dłoniach wszystkie sznurki pozwalające kierować największą armią, jaką kiedykolwiek widziała ludzkość. To on jednoosobowo dowodził teraz największą operacją militarną od czterdziestu lat.

Wszedłszy do środka, generał Abramow zasalutował, po czym uściśnął dłoń Jeremienki.

- A więc, towarzyszu dowódcu - powiedział - zdaje się, że nadeszła wreszcie nasza chwila.

Jeremienko powoli zacisnął razem obie ręce. Niespodziewane pojawienie się generała

Abramowa zachwiało jego równowagą. Dowódca Kijowskiego Okręgu Wojskowego na czas wojny przejmował dowództwo Południowo-Zachodniego Kierunku Strategicznego i obejmował dowodzenie

armiami w Karpatach, na Węgrzech, w Rumunii, Bułgarii oraz nad całą Flotą Czarnomorską. Mimo że

armie Południowo-Zachodniego Kierunku Strategicznego nie uczestniczyły w operacji Byliny, zostały postawione na ten czas w stan pełnej gotowości bojowej. Jeremienko mógł się spodziewać, że

Abramow w trakcie operacji pozostanie w swej kwaterze głównej, gotów w każdej chwili do ruszenia

podległych sobie wojsk. Kreml ani trochę nie ufał przecież Amerykanom, mimo porozumienia

kopenhaskiego. Co by było, gdyby Pentagon nagle zdecydował się na kontruderzenie? Starcy z Rady Obrony aż do przesady obawiali się cruise'ów i kapitalistycznej zdrady. Nigdy już nie zapomną

„Barbarossy”!

— Kto dowodzi teraz w Kijowie? - zapytał Jeremienko.

— Generał Pokryszkin. Właśnie dzisiaj został awansowany.

- Ha, Pokryszkin to dobry żołnierz. Dobry, stosunkowo młody. Zdaje się, że jeszcze niedawno doksztalał się w Akademii Sztabu Generalnego, mam rację?

Abramow skinął głową. Jeremienko nigdy go nie lubił. Zawsze sprawiał wrażenie brudnego.

Mimo że golił się dwa razy dziennie, jego policzki ciągle miały niebieski odcień. Z nosa wychodziły mu ciemne, kręcone włosy. Jeremienko odnosił wrażenie, że oczy

Abramowa są osadzone zbyt blisko siebie, jakby ich właściciel był odrobinę szalony. Był zarazem cholernie ambitny, zbyt ambitny zdaniem Jeremienki, i co gorsza, ten ambitny dureń był pupilem wielu ludzi z Kremla.

- Przyleciałem tutaj helikopterem - powiedział Abramow.

— Ach — odparł Jeremienko, nie wykazując zainteresowania. -Czy... czy z jakiegoś szczególnego powodu?

Abramow najpierw szeroko skrzywił usta, a potem wesoło się roześmiał.

- Armia nigdy i nigdzie nie wysyłała mnie dotąd bez powodu.

- A więc, jak sądzę, masz mi tu pomagać i uczyć się przy okazji, zgadza się?

— Niezupełnie - powiedział Abramow. Rozejrzał się po pokoju, popatrzył na grupki oficerów, którzy w dymie papierosów uaktualniali na mapach co chwila dane dotyczące położenia własnych wojsk. Słabo oświetlony zegar na najbardziej odległej ścianie wskazywał bezlitośnie, że do rozpoczęcia operacji Byliny pozostała już tylko godzina i dziesięć minut.

— Czy jest tu jakieś miejsce, w którym moglibyśmy spokojnie porozmawiać minutę lub dwie?

— zapytał Abramow.

Jeremienko popatrzył na niego uważnie. Abramow wyglądał niemal na zmieszanego.

- Towarzysz Kutakow polecił mi, żebym zamienił z tobą kilka słów na osobności - dodał.

Jeremienko podniósł odruchowo lewą rękę do oczu i popatrzył na tarczę zegarka.

— Czas mnie pogania, towarzyszu generale, ale... cóż, damę wam jedną minutę, nie więcej.

Przeszli do małego brązowego pokoju na zapleczu. Stał tam rząd tanich drewnianych, lakierowanych krzeseł i długi stół zavalony papierami. Jeszcze tylko portret Lenina wiszący na ścianie uzupełniał wyposażenie tego pomieszczenia. To było wszystko.

- A więc słucham - zaczął Jeremienko.

— W normalnych warunkach oczywiście odbyłoby się to w inny sposób - powiedział

Abramow. — Ale chwila jest przełomowa i Stawka pragnie wywołać jak najmniej zamieszania.

Przybyłem tutaj, towarzyszu generale, aby uwolnić cię od obowiązków głównodowodzącego Zachodnim Kierunkiem Strategicznym i prosić o jak najszybszy powrót do Moskwy po dalsze instrukcje.

Jeremienko wpił się w Abramowa niemal niewidzącym wzrokiem, jakby nie mógł uwierzyć, że ten człowiek naprawdę istnieje, że nie jest zjawą z jakiegoś okropnego, dawno zapomnianego snu.

- To chyba jakaś pomyłka — powiedział drżącym głosem.

- Przykro mi, towarzyszu generale. To nie jest żadna pomyłka. Mam rozkazy na piśmie.

Przyleciały tu jeszcze przede mną, innym helikopterem, i otrzymałem je, gdy tylko wylądowałem.

- Ale... ale jestem przecież dowódcą Zachodniego Kierunku Strategicznego. Jestem architektem i głównym wykonawcą operacji Byliny! Wszystko jest związane na ostatni guzik, gotowe do akcji!

Czołgi! Piechota! Tysiące, dziesiątki tysięcy! Stoją i czekają na znak, tutaj, dookoła nas, w środku nocy! Ja tym wszystkim dowodzę!

Generał Abramow uniósł do góry rękę i po chwili ją opuścił.

- Proszę mi tego nie mówić, generale. Mój helikopter czeka na was, gotów do lotu do Moskwy.

Właśnie uzupełniają w nim paliwo.

- Ale... dlaczego? - zapytał Jeremienko przenikliwym szeptem.

- Niczego więcej nie wiem, towarzyszu generale. Proszę... przyjmijcie ode mnie wyrazy współczucia. Być może to wszystko przez marszałka Gołowanowa.

- Gołowanowa? Tego starca? Dlaczego? Nie ma go już, być może został zamordowany, co on ma z tym wspólnego?

Abramow potrząsnął gwałtownie głową.

- Nie, nie, towarzyszu generale, wcale nie został zamordowany. Wydaje się, że go przesłuchiowano, i to, jak przypuszczamy, skutecznie. Powiedział im bardzo wiele. Nie ma wątpliwości, że rząd Republiki Federalnej wie już o operacji Byliny i Bundeswehra przygotowuje się

do obrony kraju do ostatniego żołnierza, mimo że Amerykanie i Anglicy się wycofają.

- A więc? - zapytał Jeremienko, bardzo rozdrażniony. - Czy to moja wina, że Gołowanow nie został wierny swojemu krajowi do końca? Nie! A jeśli chodzi o Bundeswehrę, potrafię ją zgnieść jak skorupkę jajka. Nie boję się walki! Jestem żołnierzem!

Generał Abramow położył rękę na jego ramieniu.

- Nikt nie wątpi ani w waszą odwagę, ani w wasze umiejętności, towarzyszu generale. Musicie to zrozumieć. Stawka uważa jednak, że było waszym poważnym błędem przymykanie oczu na kontakty marszałka Gołowanowa z niemiecką prostytutką, ba, ułatwianie tego i aranżowanie jego spotkań. Jak się okazało, była podwójną agentką działającą w szeregach KGB.

- A skąd miałem o tym wiedzieć?! Pomagałem jedynie zaspokoić popęd seksualny staremu świntuchowi! Skąd mogłem wiedzieć, że ona jest jakąś agentką? Jeśli to czyjaś wina, to wyłącznie KGB. Co za brak czujności!

- Tak, KGB nie orientowało się, że Inga Schultz jest podwójną agentką - przyznał Abramow. -

W związku z tym nastąpiły już zmiany personalne również na placu Dzierżyńskiego. Porwanie marszałka Gołowanowa wywołało wielki szok wśród członków Rady Obrony i być może wy jesteście

kozłem ofiarnym najwyższego szczebla.

Jeremienko pobladł. Zaczął krążyć po pokoju w tę i z powrotem. Dopiero teraz zerwał z nosa

ciemne okulary.

- Operacja Byliny! - wykrzyknął. - Przecież beze mnie nigdy się nie powiedzie! Ba, nigdy by nie przystąpiono do jej planowania!

- Powtarzam, towarzyszu generale, że nikt nie wątpi ani w wasze najwyższe umiejętności, ani w wasz patriotyzm.

- No, tak - powiedział Jeremienko, już spokojniej. - Wygląda na to, że nie pozostawiono mi wyboru.

- Niestety, nie - potwierdził Abramow, który miał już dość tej rozmowy.

Jeremienko podszedł do drzwi wiodących na korytarz i skinął głową na jednego ze strażników.

Młody człowiek ze stukotem obcasów wbiegł do pokoju i stanął, zdziwiony, z karabinem w rękach, przy drzwiach.

- Jak się nazywasz, chłopcze? — zapytał go Jeremienko.

- Gorszkow, obywatelu generale.

Jeremienko odwrócił się do generała Abramowa i uśmiechnął się.

- Towarzyszu generale, szeregowy Gorszkow będzie pilnował, abyście z nikim się nie kontaktowali.

- Nie rozumiem.

- Nie wolno wam opuścić tego pokoju. Szeregowy Gorszkow dopilnuje, abyście tego nie próbowali. Jeśli spróbujecie ucieczki, generale, szeregowy Gorszkow zastrzeli was. Czy zrozumieliście, szeregowy Gorszkow?

Żołnierz niepewnie skinął głową.

- Tak jest, obywatelu generale.

Jeremienko wyciągnął palec w stronę Abramowa i powiedział:

- Szeregowy Gorszkow, mimo że ten człowiek wygląda jak generał, mimo że jego mundur

upstrzony jest szkarłatem i złotem, jest on zwykłym zdrajcą. Niech nie przestraszą cię jego groźby i co

tam jeszcze wymyśli. W ogóle z nim nie rozmawiaj. Twoim obowiązkiem jest pilnowanie go i tylko pilnowanie... oraz zastrzelenie w razie próby ucieczki.

- Rozkaz - powiedział Gorszkow, głośno przełykając ślinę.

- Iwan! - wykrzyknął Abramow, nie mogąc jeszcze uwierzyć w to, co słyszy.

Jeremienko odwrócił się.

- Iwan, wiesz dobrze, że jeśli posuniesz się chociażby o krok dalej, będziesz już praktycznie trupem. Wiesz o tym bardzo dobrze.

- Byliny to moja sprawa, towarzyszu — powiedział Jeremienko bezbarwnym głosem.

- Już nie. Poza tym Stawka wprowadziła istotne zmiany taktyczne, w związku z tym, że

Bundeswehra wie o operacji i jest na nią przygotowana. To wszystko zawarte jest w moich rozkazach.

Spadochronowe zrzuty oddziałów Specnazu, nowe drogi ataku... Jeśli spróbujesz poprowadzić operację według starych planów, spowodujesz katastrofę — polityczną i militarną.

Jeremienko zatrzymał się na chwilę, już z dłonią na klamce. Zacisnął usta i wlepił wzrok w ścianę, wyraźnie nad czymś się zastanawiając. Zaraz jednak skinął głową i bez słowa wyszedł do zatłoczonego, zadymionego pokoju strategicznego, gdzie wciąż stała jego gorąca kawa.

Pułkownik Kleszew popatrzył na niego zaskoczony.

- Rozumiem, że generał Abramow tu zostaje, towarzyszu. Jeremienko machnął ręką niecierpliwie.

- Tak, musi trochę wypocząć. W końcu odbył z Kijowa bardzo długą podróż. — Popatrzył na mapę, na której widniała cała granica między Niemcami. - Przywiózł rozkaz, aby operację Byliny rozpocząć natychmiast.

- Czy Brytyjczycy i Amerykanie są o tym poinformowani?

- Co?

- Pytałem, czy...

- Tak tak, słyszałem. Oczywiście, że są poinformowani. Musimy natychmiast rozpocząć.

Dokładnie o drugiej dziesiątej. Proszę mnie połączyć z dowódcami obu grup. Wydam im ostateczne rozkazy. Chcę także jak najszybciej rozmawiać z generałem Ławoczkinem.

Podczas gdy Jeremienko szybkimi, nerwowymi łykami dopijał swoją kawę, wokół brzęczały telefony, a oficerowie biegali z papierami w tę i z powrotem, niczym pracowite mrówki znoszące budulec do mrowiska. Najbliżsi doradcy Jeremienki ciągle byli w pobliżu, gotowi służyć na każde skinienie swojego dowódcy radą i pomocą, mimo że przed kilkoma godzinami w krótkim wystąpieniu dał im jasno do zrozumienia, że noc operacji Byliny należy do niego, że to jego wielkie chwile i ma zamiar wszystkie rozkazy związane z operacją przekazywać osobiście.

W jakiś sposób uzmysłowił już sobie, że skala inwazji uderzyła mu do głowy. Był prawie świadomy tego, że to, co w tej chwili robi, jest niesubordynacją i jest niebezpieczne dla kraju. Mógł tylko mieć nadzieję, że zarówno Brytyjczycy, jak i Amerykanie przyspieszą wycofywanie się i nie zinterpretują przedwczesnego rozpoczęcia operacji Byliny jako odejścia od porozumień kopenhaskich,

nie uznają tego za zdradę i agresję i nie odpowiedzą ogniem. Wojska Jeremienki i tak zwyciężą, oczywiście, nawet jeśli trzeba będzie walczyć z Niemcami, Amerykanami i Anglikami jednocześnie. Amerykanie i Anglicy właśnie zwijali się z Europy i nie byli w stanie przygotować zorganizowanego kontruderzenia. Na wszelki jednak wypadek postanowił wydać generałowi Ławoczkinowi rozkaz postawienie załóg wyrzutni pocisków nuklearnych średniego zasięgu w stan pełnej gotowości.

Jeśli nastąpi jakakolwiek próba stawienia czoła Armii Radzieckiej ze strony Zachodu, to on, Jeremienko, wyda rozkaz ataku nuklearnego na Niemcy Zachodnie i pokrycia kraju od południa na północ dywanem wybuchów jądrowych i zdusi wszelki opór.

Rada Obrony mianowała go głównodowodzącym Zachodniego Kierunku Strategicznego,

ponieważ był sprawny, ponieważ był bezwzględny, ponieważ gwarantował zajęcie zachodniej Europy

w czasie krótszym niż siedem dni. Cóż, nawet jeśli w ostatniej chwili zmienili zdanie co do jego osoby, to on osiągnie zaplanowany rezultat, czy im się to podoba, czy nie.

Alternatywa była zbyt ponura, aby ją w ogóle rozważać. Doskonale wiedział, co nastąpi, jeśli powróci grzecznie do Moskwy, aby poddać się przesłuchaniom w sprawie zniknięcia marszałka Gołowanowa. Niesława, może degradacja i przeniesienie, może w Karpaty, a może i za Bajkał. Być może posuną się do tego, że go rozstrzelają. Rada Obrony nie ma litości dla generałów, którzy tracą grunt pod nogami. Ci z nich, którzy zdobyli uznanie, mogli prowadzić całkiem wygodne życie, z prywatnymi daczami, alkoholem, dobrymi samochodami i dziesiątkami dziewcząt krążącymi dookoła. Natomiast kto popadł w niełaskę, mógł z powodzeniem od razu się zastrzelić, co też wielu czyniło.

Wskaźnik samobójstw wśród sowieckiej generalicji był jednym z najwyższych w stosunku do jakiegokolwiek grupy ludzi w jakimkolwiek kraju. Zajęcie Europy pozostało więc ostatnią szansą Jeremienki. Była pierwsza pięćdziesiąt osiem, gdy pułkownik Kleszew podszedł do Jeremienki i powiedział:

- Obaj dowódcy frontów czekają na linii, towarzyszu generale. Jeremienko podniósł słuchawkę swojego telefonu, ale usłyszał tylko głuchą ciszę.

- Co jest, do cholery? - zapytał. Kleszew miał zakłopotaną minę.

- Przez cały czas mamy kłopoty z tą linią, towarzyszu generale. Może coś usłyszycie z telefonu w swoim gabinecie?

Jeremienko podniósł się gwałtownie i wyszedł z sali strategicznej. Oficerowie rozstępowali się przed nim, gdy szedł korytarzem. Pułkownik Kleszew podążał za nim, stukając wypolerowanymi brązowymi butami.

- Chcę, aby ten telefon natychmiast naprawiono - warczał Jeremienko, zmierzając do swojego gabinetu.

Gdy otwierał drzwi, zdał sobie sprawę, że awaria telefonu była tylko pretekstem, aby go wyciągnąć z pokoju strategicznego. W jego własnym gabinecie bowiem, pod portretem marszałka Kulika, czekał na niego generał Abramow z dwoma innymi oficerami, pułkownikami nie znanymi Jeremience. Był tu także szeregowy Gorszkow z karabinem maszynowym oraz major Greczko, sekretarz marszałka Gołowanowa.

- Bardzo proszę, towarzyszu głównodowodzący, wejdźcie — powiedział generał Abramow.

Jeremienko wolno ruszył do środka gabinetu. Zdjął okulary. Pułkownik Kleszew cicho zamknął za nim drzwi. Major Greczko wystąpił do przodu i zasalutował.

- Mam obowiązek zakomunikowania wam, towarzyszu generale, że z tą chwilą zostajecie zwolnieni ze stanowiska głównodowodzącego Zachodnim Kierunkiem Strategicznym oraz aresztowani — oznajmił. - Otrzymałem rozkaz, aby przetransportować was niezwłocznie do Moskwy.

- No cóż — mruknął Jeremienko. - Nikomu już nie można wierzyć.

Major Greczko wcale się nie zmieszał.

- Jestem oficerem KGB, towarzyszu generale - stwierdził.

- A więc to już mój koniec, cóż.

- Interesy Związku Radzieckiego i interesy Partii są ważniejsze od osobistych ambicji -

wyrecytował Greczko. Zachowywał się jak każdy funkcjonariusz KGB, poprawny, pewny siebie i zawsze gotowy do wyrecytowania jakiejś ideologicznej formułki. Poza tym przypominał szeryfa ze swoich ulubionych westernów, kończącego dziewięćdziesięciminutowe pogonie, walki i strzelaniny.

Greczko był osobiście bardzo zadowolony z tego, że Jeremienko posunął się aż tak daleko.

Mianowano go bowiem sekretarzem Gołowanowa po to, aby zwiększyć nadzór nad wysokiej rangi oficerami, sprawowany przez KGB. To, że nie zidentyfikował w porę Ingi Schultz jako podwójnej agentki, groziło mu poważnymi kłopotami, tym bardziej że Inga Schultz doprowadziła do porwania

Gołowanowa. Przy odrobinie szczęścia jednak uwolnienie Abramowa i aresztowanie Jeremienki mogło odmienić jego los.

- Mamy mało czasu - powiedział generał Abramow. - Pułkowniku, proszę mnie zaprowadzić do pokoju strategicznego. Mam nadzieję, że rozpoczniemy operację Byliny zgodnie z planem.

Jeremienko milczał, gdy generał Abramow i pułkownik Kleszew wychodzili z gabinetu. Major Greczko pozostał z nim, nieruchomy, milczący, oczekujący.

- Helikopter został już zatankowany i czeka na nas, towarzyszu generale - powiedział w końcu. Jeremienko uniósł głowę.

- To zaufanie, prawda? Zaufanie, coś, czego nam najbardziej brakuje. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby nawzajem sobie ufać. Co to za armia, skoro co drugi z nas to szpieg? Gdyby Gołowanowowi zezwolono na kontakty z jakąkolwiek wybraną przez niego kobietą, zamiast podsuwać mu informatorkę KGB, prawdopodobnie nic z tego by się nie wydarzyło. Sami ściągaliśmy na siebie kłopoty. Podejrzliwość poprzewracała nam w głowach.

Okrążył swoje biurko i zaczął wyciągać jedną szufladę po drugiej. Nie było w nich nic wartego zabrania. Zaledwie kilka stanowiących jego własność długopisów i ołówków.

- Podejrzliwość to cholerna choroba - kontynuował, wciąż przetrząsając szuflady. - Choroba, na którą Związek Radziecki cierpi od rewolucji i która pewnego dnia nas powali.

- Chodźmy już lepiej, towarzyszu generale - odezwał się wreszcie Greczko. - Musimy ruszyć, zanim zostanie zamknięta przestrzeń powietrzna.

- Jestem gotowy.

Wyszli z gabinetu i pomaszerowali korytarzem. Na jego odległym końcu w wielkim oknie wychodzącym na dziedziniec zaczynała się już ukazywać szara bladość nadchodzącego świtu. Budynek huczał pracą. Drzwi otwierały się i z hałasem zamykały. Oficerowie biegali z jednego pokoju do drugiego. Komputery warczały i klekotały. Nikt nie zwracał uwagi ani na Greczkę, ani na

Jeremienkę. Wszyscy byli zbyt zajęci swoimi zadaniami podczas ostatnich minut przed rozpoczęciem operacji Byliny.

- Gdybym spróbował ucieczki, co byście zrobili? — zapytał nagle Jeremienko.

- Ucieczki? - Greczko nie dowierzał własnym uszom.

- Tak. Gdybym was teraz powalił na ziemię i zaczął uciekać.

- Ruszyłbym w pościg, oczywiście. Jeremienko popatrzył na niego zwężonymi oczami.

- Strzelalibyście?

- Chyba nie chcecie, abym was zastrzelił, co? Nie zrobię tego. Mam ścisłe instrukcje, żeby dostarczyć was żywego do Moskwy, i tak zrobię.

- No, to patrzcie - powiedział Jeremienko.

Zerwał ciemne okulary i zaczął biec. Greczko, mimo zaskoczenia, niemal natychmiast ruszył za nim. Lecz Jeremienko był silny, wysportowany i, co najważniejsze, nie miał już nic do stracenia. Biegł

wąskim korytarzem, w generalskim mundurze, niczym sprinter, doskonale pracując nogami i rękami. Greczko nie miał żadnych szans, aby go dogonić.

- Generale! ~ krzyknął i zwolnił do truchtu. No bo dokąd właściwie Jeremienko mógł uciec?

Minęli klatkę schodową i jedyną, ostatnią już drogą w dół była winda. Jeremienko będzie musiał poczekać, aż winda nadjedzie, i to będzie koniec ucieczki.

Jednak gdy Jeremienko bez wahania minął drzwi windy, Greczko zrozumiał. Żołądek podszedł mu niemal do gardła i znów zaczął biec, chociaż wiedział, że jest już o wiele za późno. Jeremienko zmierzał w kierunku wielkiego okna w końcu korytarza i najwyraźniej nie zamierzał już się zatrzymać.

U dołu była metrowa metalowa barierka, jednak Jeremienko dał nura w szybę, głową do przodu, z rękami przy ciele, i przeleciał ponad ogrodzeniem z zapasem ponad trzydziestu centymetrów.

Szyba rozpadła się, dwanaście metrów kwadratowych szkła trzasnęło i rozprysnęło się na

drobne kawałki. Otoczony szkłem i kropelkami krwi, generał poleciał w szarość. Jego ciało uderzyło w dach czarnej wołgi zaparkowanej pod pawilonem. Przez długą chwilę leżało bez ruchu z rozrzuconymi szeroko rękami i nogami. Generał umierał, krew tryskała dookoła grubym strumieniem z dwóch przeciętych tętnic.

Major Greczko zatrzymał się w korytarzu, gapiąc się w roztrzaskane okno. Bezmyślnie otwierał i zamykał usta jak marionetka poruszana przez pijanego aktora. Stał tak bez ruchu ponad pół minuty, dopóki do korytarza nie dotarła klatka windy. Drzwi otwarły się na oścież. Kabina była pusta.

Mechanicznie wszedł do środka i nacisnął guzik parteru.

Widział dla siebie teraz tylko dwa wyjścia, oba złe: albo się zastrzelić, albo uciekać. Popatrzył na swoje zamazane, upiorne odbicie w metalowych ścianach kabiny windy.

Dotarł wreszcie na parter. Podjął decyzję: musi uciekać. Gdy rozpocznie się operacja Byliny, granice zostaną otwarte. Wciąż będzie ciemno, wielkie zamieszanie i mnóstwo okazji, aby pognać na zachód przed pierwszymi czołgami. Może otrzyma azyl polityczny? Ani przez chwilę nie rozważał możliwości powrotu do Moskwy, na plac Dzierżyńskiego. Cóż im tam powie? Nie tylko jest odpowiedzialny za porwanie marszałka Gołowanowa. Przed chwilą pozwolił, aby generał Jeremienko

popęłił samobójstwo na jego oczach. Niepowodzenia tak wielkie, że zasługujące tylko na jedno: pluton egzekucyjny.

Drzwi windy otworzyły się. Gdy miał wychodzić, ukazał się pułkownik Czujkow i złapał go za ramię.

- Greczko, człowieku. Nareszcie.

- Widziałeś? Generała Jeremienkę...

- Co? - Czujkow zmarszczył czoło.

- Na zewnątrz — powiedział Greczko. Czujkow rozejrzał się i w tej chwili zobaczył nadjeżdżający ambulans.

Było za późno. Greczko zdał sobie sprawę, że teraz nie ma już żadnej szansy na ucieczkę.

Czujkow zapewne będzie chciał mieć go na oku, dopóki wszystko się nie wyjaśni. Zmęczonym ruchem przetarł czoło.

- Co się stało? - zapytał Czujkow. - O co chodzi?

- To choroba - szepnął Greczko.

- Jaka choroba? Jesteś chory? Greczko potrząsnął głową.

- To my wszyscy jesteśmy chorzy. Wszyscy, jak jeden. O co nam właściwie chodzi? Za chwilę zaczniemy zarażać naszą chorobą resztę Europy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Prezydent znów był w Białym Domu i jadł właśnie spóźnioną kolację, gdy kanclerz Kress zatelefonował do niego z Bonn po raz ostatni. Ponieważ prezydent jadł wędzonego indyka, rozmowa ta przeszła do historii jako „rozmowa indycza”.

- Dłużej nie sposób nas oszukiwać, panie prezydencie - rzekł głucho kanclerz Kress. - Już wiemy, co zrobiliście. Poświęciliście wolną Europę na rzecz bezpieczeństwa Ameryki.

Prezydent odsunął talerz.

- Z całym szacunkiem, panie kanclerzu, myślę, że nie zrozumiał pan motywów naszego postępowania.

- Doskonale je rozumiem, panie prezydencie. Nie jestem głupcem, mimo że tak bardzo zawierzyłem Stanom Zjednoczonym.

- No cóż, myślę, że Niemcy, jak wszyscy, powinni brać pod uwagę, że historią rządzą wielkie siły, czasami pomijające czyjeś partykularne interesy.

- Panie prezydencie, telefonuję teraz jedynie po to, aby dowiedzieć się, czy Stany Zjednoczone Ameryki w obliczu sowieckiej inwazji rzeczywiście zamierzają wycofać z mojego kraju swoje wojska.

Pragnę prawdy, niczego więcej.

- Niech pan spojrzy na to w ten sposób, panie kanclerzu - powiedział prezydent. - Po każdej

akcji następuje reakcja, zgadza się? Tak dzieje się zarówno w polityce, jak i w każdej innej dziedzinie

życia. Podczas drugiej wojny światowej Niemcy napadli na Rosję i wymordowali miliony Rosjan.

Miliony! Czy jest pan w stanie wyobrazić sobie reakcję Rosji? Jest pan w stanie wyobrazić sobie uczucia Rosjan wobec Niemców? Oczywiście, zajęli wschodnią Europę, jednak to przecież nie zabiło

w nich obawy przed Niemcami. Niech pan sobie wyobrazi, że ktoś pana pobije i okradnie, a potem dostanie pan kilka dolarów odszkodowania i obietnicę policji, że będą czuwać, aby nigdy więcej nic takiego się nie wydarzyło. Raczej nie będzie pan tym usatysfakcjonowany, prawda? Będzie się pan bał, że ten sam napastnik, nie zneutralizowany, któregoś dnia znów pana zaatakuje. Tak właśnie myślą teraz Rosjanie.

Kanclerz Kress z trudem panował nad sobą. — Panie prezydencie! Nie mam zamiaru wysłuchiwać pouczeń i lekcji historii Europy, której i tak pan nie rozumie. Zatelefonowałem do pana, ponieważ wielka sowiecka armia stoi na granicy mojego kraju, ponieważ wojska amerykańskie najwyraźniej się z niego wycofują bez słowa wyjaśnienia, łamiąc ustalenia Paktu Północnoatlantyckiego, i ponieważ otrzymałem informacje od wywiadu potwierdzające moje najgorsze przypuszczenia. Pan nas sprzedał, panie prezydencie. Pan nas sprzedał. Prezydent przez chwilę milczał, po czym odezwał się:

— Proszę przez chwilę poczekać na linii, panie kanclerzu.

Nacisnął guzik uniemożliwiający rozmówcy w Bonn podsłuchanie tego, co mówi w pokoju.

Skinął na Mortona Locka, który siedział po przeciwnej stronie Gabinetu Owального i przeglądał ostatnie raporty wywiadowcze.

— Morton, ile czasu zostało do pierwszego ruchu Sowietów?

— Pięćdziesiąt osiem minut, panie prezydencie. Prezydent znów odezwał się do kanclerza:

— Panie kanclerzu, przepraszam, że kazałem panu czekać. Właśnie rozmawiałem z szefem Połączonych Sztabów. Tak, oczywiście. To, co chcemy w tych dniach osiągnąć, to rozwiązanie kwestii równowagi. Równowaga sił w skali całego świata, rozumie pan? Mam zamiar skończyć z obecnym systemem, niezrównoważonym, niesprawiedliwym, wywołującym ciągle napięcia, nie tylko między Wschodem a Zachodem, ale również w Trzecim Świecie. — Pociągnął łyk soku grejpfrutowego i kontynuował: - Muszę się przyznać, że przez pewien czas toczyliśmy tajne rozmowy z Rosjanami na temat redukcji naszej obecności militarnej w Europie. Tak, tak, już pan o tym wie. Dzięki temu osiągniemy większe bezpieczeństwo dla Azji, Ameryki Północnej, Ameryki Łacińskiej i dla Japonii. Rosjanom bardzo potrzebne było uzyskanie zapewnienia, że już nigdy nie będą zagrożeni przez zachodnią Europę. Właśnie to zagwarantowaliśmy im w zamian za uzyskanie z ich strony zapewnienia, że nigdy nie stworzą zagrożenia dla półkuli zachodniej.

- Panie prezydencie, Rosjanie za chwilę zaatakują mój kraj - powiedział głucho kanclerz Kress.

- W tej samej chwili, w której Amerykanie opuszczą mój kraj, Niemcy staną się narodem zniewolonym, poddanym.

- O co panu chodzi? - zapytał prezydent. — Czy ciągle obawia się pan armii sowieckiej z powodu jej manewrów przy granicy ze wschodnimi Niemcami? Przecież robią to wystarczająco często, aby spowszedniało to już wszystkim Niemcom. Nie widzę z tej strony żadnego specjalnego zagrożenia.

- Że też nie wstydzisz się pan tak kłamać - warknął kanclerz. - Nie jestem już w stanie uwierzyć w ani jedno pańskie słowo. Opuszcza pan Niemców, zostawiając ich na pożarcie najbardziej represyjnego reżimu, jaki zna ludzkość. Jest pan hipokrytą i kłamcą.

- Proszę mnie posłuchać, panie kanclerzu! - krzyknął prezydent. — Czasy się zmieniają i świat się zmienia! Muszą się też zmieniać wszyscy politycy, którzy świadomi są odpowiedzialności, jaka spoczywa na nich wobec całej ludzkości. Jak długo jeszcze pan i pańscy rodacy chcielibyście

egzystować z dnia na dzień pod ustawiczną groźbą atomowej anihilacji?! Niech mi pan powie! Jak długo jeszcze zwykli ludzie mają żyć w strachu, że ich nie narodzone jeszcze dzieci obrócą się w popiół, zanim dorosną?

- Co mnie pan tu straszy bombami atomowymi! - odkrzyknął kanclerz. — Bardziej niż bomb boimy się najazdu Sowieców! Bomba zabija i oznacza koniec cierpienia! Czy kiedykolwiek był pan w Estonii? Czy wie pan, co Rosjanie, podbiwszy ją, tam uczynili? Kazali zapomnieć ludziom o istnieniu dawnych barw narodowych, zapomnieć języka ojczystego, zakazali śpiewania pieśni ludowych, zakazali narodowej kultury. Gdziekolwiek by się pan znalazł w Estonii, wszędzie ujrzy pan wielką liczbę „40”, co znaczy, że kraj ten podbity został przez ZSRR czterdzieści lat temu i że okupanci mają zamiar pozostawać tam przez następne czterdzieści lat i jeszcze czterdzieści, i tak bez końca.

- Panie kanclerzu, proszę... - westchnął prezydent.

- Nie, panie prezydencie. Wreszcie się przekonałem, choć przez wiele lat nie chciałem przyjąć tego do wiadomości, jacy jesteście, wy, wspaniali Amerykanie. Ogłupiły was wasze własne filmy. Wydaje się wam, że sentymentalizmem i współczuciem można zastąpić lojalność i miłość. Uważacie, że macie prawo dążyć do swoich celów, nie licząc się z tym, co wasze dążenia przyniosą innym narodom. Wierzycie w wolność bez odpowiedzialności, w sukces bez winy, bez ofiar. Nie widzicie brudu, jaki otoczył was w waszym własnym kraju; jak mogłem oczekiwać, że nie zawahacie się bronić nas w Europie?

- Niech pan posłucha... - próbował przerwać prezydent.

- Nie, panie prezydencie, nie. Nie mam zamiaru już nigdy więcej słuchać pańskich bajek.

Historia osądzi pana sprawiedliwie za to, kim pan był i co pan uczynił. Ale coś panu jeszcze powiem.

Jestem pragmatykiem. Wiem, że Bundeswehra nie jest w stanie samodzielnie powstrzymać armii sowieckiej. Mimo że bardzo by chciała, niech mi pan wierzy. Moi generałowie i szeregowcy gotowi

są

do walki. Rezultatem walki może być jedynie wielka masakra i śmierć tysięcy wspaniałych młodych Niemców, żołnierzy i ludności cywilnej, pomijając ryzyko rosyjskiego ataku nuklearnego. Mówi pan, że obchodzą mnie tylko moje własne małe sprawy, a to zupełna nieprawda. Ponieważ zdaję sobie sprawę, że wystarczy jedna bomba atomowa, aby wybuchły za nią następne. W tym punkcie ma pan rację: lepiej, aby Niemcy się poddali, skoro alternatywą jest zagłada całego świata. Zadam panu jednak jedno pytanie i jeśli pańska odpowiedź będzie negatywna, rozkażę Bundeswehrze rzucić broń, opuścić czołgi i udać się do domów, po uprzednim przebraniu się w cywilne ubrania. Bundeswehra zniknie z powierzchni ziemi, jakby nigdy nie istniała. Jednak jeśli odpowie pan „tak”, rozkażę stawić czoło Rosjanom, wydam rozkaz walki, razem z armią amerykańską, którą zawsze uważaliśmy za naszego sprzymierzeńca.

Prezydent milczał nie dlatego, że nie miał nic do powiedzenia, ale dlatego, że rozmowa ta bardzo go ubodła, słowa kanclerza bolały go bardziej, niż mógłby to komuś przyznać, nawet First Lady. Zdawał sobie przecież sprawę, co jego decyzje oznaczają dla kanclerza Kressa, co oznaczają one dla wszystkich Niemców.

Był jednak prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki i jako taki przede wszystkim miał obowiązek występowania i działania w jak najlepiej pojętym interesie swego kraju. Gringo rodziło się w bólach przez dwa lata, dwa lata nie przespanych nocy, dwa lata wątpliwości i udręki. Dziś w nocy będzie musiał ponosić wszystkie konsekwencje Gringo - pierwszą z nich była rozmowa z kanclerzem.

- Pytanie brzmi - powiedział kanclerz - czy odrzuci pan porozumienie z Sowietami i wraz z nami zechce pan stawić czoło ich armii?

Prezydent rozmyślał przez chwilę, po czym się odezwał:

- Otto, mogę ciągle mówić ci po imieniu, co? Otto, posłuchaj, niech się nad tym zastanowię, dobrze? Daj mi godzinę, zgoda? Tyle potrzebuję. Może coś przez ten czas wymyślę.

Po drugiej stronie owalnego gabinetu Morton Lock uniósł w górę rękę ze złączonym kciukiem i palcem wskazującym.

- Pięćdziesiąt dwie minuty - szepnął. - Pięćdziesiąt dwie minuty i będzie z nimi święty spokój.

— Dobrze, panie prezydencie - odezwał się kanclerz Kress do słuchawki. - Dam panu tę godzinę, jedną godzinę. Ale po godzinie rozpuszczę Bundeswehrę i ogłoszę całemu światu, co się stało.

— Mam nadzieję, że będziesz równie stanowczy wobec Brytyjczyków — powiedział prezydent.

- Oczywiście. Pani premier jest kolejną osobą, do której będę teraz telefonował.

— Otto, mam nadzieję, że rozumiesz to, co się dzieje i dlaczego dzieje się tak właśnie, a nie inaczej.

— Tak — głos kanclerza zabrzmiał niezwykle gorzko. - Mam nadzieję, że rozumiem.

Światła w domu przy Downing Street 10 paliły się przez całą noc. Dochodziła druga nad ranem, co oznaczało, że operacja Byliny rozpocznie się za mniej niż dwanaście minut. Minister obrony był w stałym kontakcie ze stacją nasłuchów swojego ministerstwa, z kolei Ministerstwo Obrony miało nieprzerwany, bezpośredni kontakt z siłami brytyjskimi w Niemczech oraz z Radą Obrony w Moskwie, która wyznaczyła wesołego, rubasznego i znającego język angielski niejakiego generała Mikołaja Glinkę do utrzymywania ciągłego kontaktu radiowego z Anglikami.

To była dziwna, nerwowa noc. Pani premier siedziała nieruchomo za biurkiem, nie tknąwszy nawet kolacji, wciąż stojącej na tacy. Minister obrony wpatrywał się co chwila w obłożone wędzonym

kurczakiem kanapki i klął sobie, że nie ma dość tupetu, by ją zapytać, czy może zjeść je za nią.

Generała Fawkesa zastąpił w końcu brygadier Mount-Avery, który na każde pytanie o swojego szefa odpowiadał, że ten udał się gdzieś w bardzo pilnej sprawie. Nie wspominał tego, o czym doskonale wiedział: że generał smacznie śpi w swoim łóżku w Shepperton.

Krótko przed północą brytyjski wywiad zakomunikował, że Niemcy w jakiś sposób dowiedzieli się o zagrażającej im operacji Byliny. Nie zrobiło to wielkiego wrażenia, gdyż w sumie byłiby ślepcami, gdyby nie zauważyli ruchów wojsk sowieckich wzdłuż swojej granicy. Dziwne było jedynie

to, że Niemcy do końca nie rozumieją, iż zostali poświęceni na ołtarzu sprawy o wiele większej niż jeden naród, na ołtarzu globalnego, światowego pokoju. Na szczęście zauważyli zagrożenie o wiele za

późno, żeby podjąć jakąkolwiek efektywną akcję militarną. Wobec dziewiętnastu doskonale wyposażonych sowieckich dywizji raczej nie zdecydują się na samobójcze działania wojenne.

Pani premier była niespokojna. Zawsze wiedziała, że ten moment będzie najgorszy, najtrudniejszy politycznie, strategicznie i - trzeba dodać - emocjonalnie. Moment, w którym Niemcy dowiedzą się, jak perfidnie zostali pozostawieni samym sobie, jak perfidnie zdradzeni. Lecz czy Anglia miała jakikolwiek wybór? Stała przed koniecznością opowiedzenia się za Europą lub Ameryką. A przecież Ameryka była bogatsza, silniejsza, Ameryka mówiła po angielsku. Kiedy Wielka Brytania przystępowała do Wspólnego Rynku, mówiono o „kroku w kierunku Europy”, jakby do tej pory znajdowała się poza nią.

W nadchodzącym tygodniu nadejdą chwile równie traumatyczne: gdy Belgowie, Holendrzy i Francuzi zorientują się, że i oni stali się ofiarami. W nadchodzącym tygodniu zachodnie wybrzeża Europy staną się linią graniczną ZSRR, Autonomicznej Obszaru Europy Zachodniej. Nad Luwrem powiewać będzie czerwona flaga, zamiast trójkolorowej.

Pani premier gorączkowo rozmyślała: to, co się dzieje, jest nieuchronne, konieczne, chociaż bolesne. Nie było innego wyjścia. Ogrom sowieckiego potencjału nuklearnego w Europie, a także na okrętach podwodnych sprawiał, że niemożliwe stało się utrzymanie takiego oblicza tego kontynentu jak do tej pory. Coś trzeba było poświęcić, aby coś zachować. Bez tego poświęcenia, bez tej ofiary Europa z całą pewnością uległaby zagładzie. Tylko pani premier i jej najbliżsi doradcy wiedzieli, jak

często dochodziło do sytuacji grożących wybuchem. Wojna wisiała na włosku, gdy instalowano rakiety cruise na ziemi brytyjskiej. Wielokrotnie dochodziło do mrozących krew w żyłach incydentów,

gdy sowieckie samoloty zwiadowcze naruszały przestrzeń powietrzną krajów NATO.

Tym, co ostatecznie przekonało panią premier, że należy wziąć udział w rozmowach kopenhaskich, "były całe długie tygodnie nacisków ze strony Stanów Zjednoczonych. W połowie swojej pierwszej kadencji prezydent na gwałt potrzebował jakiegoś sukcesu, aby w trakcie kampanii móc się czymś chwalić przed swoim elektoratem. Tym sukcesem mogłoby być osiągnięcie całkowitego bezpieczeństwa na zachodniej półkuli oraz pozbycie się reżimu komunistycznego na Kubie. Pragnął także zahamować komunistyczną ekspansję w Azji oraz uspokoić Trzeci Świat, nieustannie gnębiony przez konflikty zbrojne powodowane przez partyzantów o czerwonym zabarwieniu ideologicznym. W zamian musiał tylko zrezygnować z opieki militarnej nad Europą, w więc jednego z najbardziej kosztownych punktów budżetu obronnego.

Prezydent wypomnił kiedyś pani premier w gwałtownej sprzeczce (później skomentowanej przez Downing Street jako „szczerą dyskusja”), że Wielka Brytania ciągle winna jest Stanom Zjednoczonym 12 083 291 413 dolarów - dług zaciągnięty podczas pierwszej wojny światowej - i jest to tylko jedna z wielu nie uregulowanych dotąd wierzytelności.

Dano pani premier jasno do zrozumienia, że jeśli nie przyłączy się do porozumienia kopenhaskiego, jej kraj spotkają poważne polityczne konsekwencje.

- Muszę przyznać, że czułabym się dziś w nocy o wiele pewniej wobec tego marszu Rosjan do Europy - powiedziała do swoich ministrów - gdyby nie te wszystkie strajki u nas. Obawiam się, że w tej chwili bardzo poważnie ograniczają nasze zdolności obronne.

Minister obrony ściągnął z nosa okulary.

— Nie byłbym taki kategoryczny, pani premier. Uważam, że gdyby Wielka Brytania naprawdę

została zaatakowana, związki zawodowe postąpiłyby, jak nakazuje patriotyczny obowiązek i natychmiast przerwałyby strajki. Mimo że pomiędzy nimi i sowiecką partią komunistyczną istnieją jakieś, dość silne, powiązania. Pamiętam, że podczas ostatniego strajku górników Rosjanie zebrali dla nich ponad pięćdziesiąt tysięcy rubli. Takiego gestu łatwo się nie zapomina. Z całą pewnością jednak nasza zdolność do uderzenia nuklearnego ciągle jest na stałym poziomie. Gorzej, to fakt, byłoby, gdybyśmy musieli prowadzić działania konwencjonalne.

Minister spraw wewnętrznych głośno odchrząknął.

- Wydaje mi się, że sytuacja się nie pogarsza. Od kilku godzin jest stabilna. Nawet Albert Grange trzyma gębę na kłódkę. Nie jest tragicznie i wydaje mi się, że już jutro zaczniemy wychodzić z kryzysu.

Pani premier nie wydawała się uspokojona.

- Co jednak będzie, jeśli Kreml nie dotrzyma słowa? Co zrobimy, jeśli po opanowaniu całej Europy wyciągną swoje łapy ku nam?

- Wówczas wszystko będzie w rękach Stanów Zjednoczonych - powiedział minister spraw zagranicznych, starannie przecierając chusteczką szkła swoich okularów. Popatrzył na panią premier przemęczonymi oczyma. - Szanowna pani, dyskutowaliśmy już o tym tysiące razy. Znaleźliśmy się pomiędzy młotem a kowadłem i porozumienie kopenhaskie było najrozsądniejszym wyjściem.

- Porozumienie, którego zawarciu Wielka Brytania tylko się przyglądała.

- W każdym razie porozumienie.

- Umowa poczdamska też była porozumieniem. Związek Radziecki zagwarantował w nim, że będzie honorował odrębność narodową Litwinów, Estończyków i Łotyszów.

- Pani wybaczy, ale to już dawna historia.

- Nie dla ludzi, którzy tam mieszkają - odparła gwałtownie. Minister spraw wewnętrznych

westchnął ciężko. Jak bardzo chciałby być teraz w swoim domu w Buckinghamshire i spać. Tęsknił do

swoich psów, do żony. Dzisiaj nie ma już nawet szans na tradycyjne niedzielne śniadanie, jajecznice na domowym boczku spożywaną podczas lektury porannej gazety.

- Cóż, sytuacja jest cholernie zagmatwana, ale myślę, że wybraliśmy najlepsze wyjście -

powiedział. — Zdaje się, że problem polega na tym, iż Wielka Brytania powinna raczej znajdować się

u wybrzeży Ameryki, a nie Europy.

- I ja tak sądzę - zgodził się minister obrony. - Będziemy teraz cholernie zagrożeni, mimo tych wielkich i mających służyć pokojowi zmian na mapie świata.

- Mam nadzieję, że pan się myli - stwierdziła pani premier. Czowała, że jej autorytet wśród członków własnego gabinetu znacznie się obniżył, odkąd została zmuszona do wyrażenia zgody na operację Byliny. Ministrowie zachowywali się jak krnąbrni uczniowie ze szkoły państwowej, rzucający złośliwe, wieloznaczne sformułowania i wypisujący na tablicy brzydkie słowa. Czowała też, chociaż nie ośmielała się jeszcze przyznać tego przed sobą, że skończyła się jako polityk dużego formatu. Jedyńm zadaniem, jakie widziała przed sobą, będzie pilnowanie, aby Wielka Brytania była stosunkowo wolna i cieszyła się jako takim dobrobytem. Zjednoczone Królestwo w najlepszym wypadku stanie się jedynie buforem — politycznie, gospodarczo i geograficznie - pomiędzy Związkiem Sowieckim i Stanami Zjednoczonymi. A ona sama będzie jedynie przypochlebiać się lub bronić kraju przed jednymi lub drugimi.

Czeka ją niebezpieczne, nieprzyjemne, wstrętne zadanie bronięcia przed supermocarstwami losu pięćdziesięciomilionowego narodu, za który jest odpowiedzialna.

Ciszę, która zapanowała w gabinecie, przerwał terkot interkomu:

- Brygadier Mount-Avery - dobiegł głos sekretarki pani premier.

Po chwili do pokoju różnym, pewnym krokiem wszedł brygadier Mount-Avery. Jego

kasztanowe wąsy lśniły, mundur był tak doskonale odprasowany, jakby za chwilę brygadier miał wziąć udział w oficjalnej ceremonii.

- Pani premier - powiedział z uniesioną głową. Mówił głośno, szybko. - Otrzymaliśmy właśnie zakodowaną wiadomość ze Stuttgartu, że wszystko jest gotowe. Najprawdopodobniej Bundeswehra rozważała możliwość samobójczej walki przeciw Rosjanom, ale według potwierdzonych wiadomości

jednak z tego zrezygnowali.

- Dziękuję panu, brygadierze. Tę samą wiadomość otrzymałam już z Bonn.

- Zdaje się, że nie wiedzą jeszcze, jak mało czasu pozostało do godziny zero — zauważył brygadier.

- Nie - odparła pani premier głuchym głosem. Kanclerz Kress telefonował już do niej dwukrotnie tej nocy, pragnąc uzyskać prawdziwe informacje i przede wszystkim pomoc militarną przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Za każdym razem musiała udawać, że o niczym nie ma pojęcia -

kłamać, kłamać, kłamać. Miała nadzieję, że nigdy więcej nie będzie już przeżywać czegoś takiego.

Tylko mąż dodawał jej otuchy, chociaż był nie mniej przerażony rysującą się przed Wielką Brytanią perspektywą niż ona.

Minister obrony spojrzał na zegar stojący na biurku pani premier. Wybijał właśnie drugą.

- Wróć do siebie - powiedział. - Za dziesięć minut rozpocznie się piekło.

- Proszę poczekać - odezwała się pani premier. Nacisnęła na guzik interkomu i zawołała lokaja.

Po chwili ukazał się w drzwiach ze srebrną tacą w rękach. Stała na niej butelka whisky i dwanaście kieliszków.

- Nalej nam po jednym, Thomas - poprosiła lokaja.

Lekko trzęsącymi się rękami nalał porcję whisky dla każdego z obecnych w gabinecie ministrów. Gdy skończył, pani premier uniosła swój kieliszek do toastu.

- Wypijmy zdrowie Jej Królewskiej Mości — powiedziała chrapliwym głosem. - Niech Bóg czuwa nad nią i nad nami wszystkimi.

- Zdrowie Jej Królewskiej Mości — wymruczeli ministrowie i wypili.

Do rozpoczęcia operacji Byliny pozostało osiem minut i piętnaście sekund.

Podczas tej nocy rząd Republiki Federalnej starał się poznać stanowisko sekretarza generalnego ONZ, Murtala Obasiki. Kanclerz Kress rozmawiał przez telefon z premierami Danii, Szwecji, Francji i

Belgii. Każdy z nich był równie bezradny i zdziwiony jak on. Klucz do wydarzeń leżał w tajnym porozumieniu kopenhaskim, zawartym przez Stany Zjednoczone i Związek Radziecki przy udziale Wielkiej Brytanii i nikt z nich nie mógł podejmować dyskusji na ten temat, „chyba że sprawa stanie na

porządku obrad Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych”.

Ani brytyjskie, ani amerykańskie środki masowego przekazu nie wspominały o kryzysie w

Europie, z wyjątkiem zagadkowego artykułu wstępnego w The Sunday Times, zatytułowanego Jaki kryzys? O godzinie trzeciej czasu europejskiego prawie wszystkie niedzielne gazety angielskie były już wydrukowane, a rzecznik prasowy pani premier monotonicznie odpierał ataki BBC i Independent Television News, szczerze się dziwiąc, dlaczego Niemcy tak bardzo obawiają się sowieckich manewrów, skoro są one czymś zupełnie naturalnym.

Na ostatni telefon odpowiedział w ten sposób dokładnie trzydzieści pięć sekund przed rozkazem generała Abramowa, nakazującym armii sowieckiej przekroczyć granicę pomiędzy NRD i RFN. Jego rozkaz zabrzmiał prosto: „Naprzód - ku zwycięstwu”.

Padał deszcz. Z nieba leciały wielkie, ciężkie krople wielkości rodzyneków. David Daniels spał w samochodzie na jakiejś bocznej uliczce w Oakville w Ontario, kilkanaście kilometrów od Toronto.

Nie zamierzał zasypiać w aucie. Pragnął odjechać tak daleko od USA, jak tylko da radę. Jednak mimo

zdecydowania i determinacji zmęczenie wydarzeniami poprzedniego dnia zmogło go w końcu i

zjechał z autostrady numer pięć w kierunku przedmieść Oakville (4327 mieszkańców, mokry klimat), zatrzymał się w jakiejś bocznej, ślepej uliczce i zamknął oczy.

Śniła mu się krew. Budził się dwa lub trzy razy, trzęsąc się i mrucząc coś do siebie. Wszędzie widział krew, na swojej twarzy, na całym ubraniu, na rękach, pomiędzy palcami. Gdy się budził, krew

znikała, ale on ciągle siedział ściśnięty w niewygodnym, wypożyczonym samochodzie i wciąż była noc, padał deszcz. Przez swoją wścibskość był teraz uciekinierem ze Stanów Zjednoczonych, poszukiwanym przez psy gończe działające na polecenie rządu tego kraju.

O trzeciej nad ranem, gdy operacja Byliny trwała już w najlepsze od sześciu godzin, włączył radio, ale usłyszał jedynie Bruce'a Springsteena śpiewającego The River, a potem jakieś standardy country and western. Przeklinał się za to, że nie kupił wcześniej jakichś kanapek albo butelki whisky. Nie miał ze sobą nawet brzytwy, a nic go tak nie denerwowało jak zbyt długo nie golony zarost.

Postanowił ruszyć. Może gdy dojedzie do Toronto, znajdzie jakiś bar otwarty całą dobę oraz miejsce, gdzie będzie mógł się ogolić. Tutaj, w Oakville, w środku nocy nie było nic, tylko gwiazdy, jeziora dookoła, padający bez przerwy deszcz i cienie schludnych, czystych domów.

Właśnie miał uruchomić silnik, gdy spostrzegł czarnego forda tempo zaparkowanego pod latarnią na rogu uliczki. Pochylił się, aby lepiej zobaczyć samochód w lusterku. Był pewien, że samochodu tam nie było, gdy zasypiał. Musiał nadjechać w ciągu ostatnich dwóch godzin. Teraz znajdujący się w nim ludzie czekali na niego.

Uruchomił silnik i włączył światła. Ciągłe obserwując forda tempo, wjechał w najbliższą uliczkę i ruszył w kierunku autostrady. Wycieraczki cicho skrzypiały na przedniej szybie. Nie zauważył nikogo w tempo. Być może wyobraźnia podpowiadała mu rzeczy nie istniejące. Być może strach i poczucie winy podsuwały mu wizje czegoś, czego się spodziewał. Wjeżdżając na autostradę numer pięć, spojrzął jeszcze raz do tyłu na tempo. Nadal stało na swoim miejscu.

A jednak po chwili ujrzał zbliżające się do niego światła samochodu. Nie mógł stwierdzić, czy

to jest to samo tempo, czy nie, ale jaki inny mógł to być samochód? Mocniej nacisnął na pedał gazu.

Jadący za nim samochód również przyspieszył, nie pozwalając mu się zanadto oddalić.

David poczuł zimny, lepki pot na plecach. Jechał już ponad sześćdziesiąt mil na godzinę.

Krople deszczu biły we wszystkie okna samochodu, a wycieraczki z wysiłkiem pracowały na przednich szybach. Ford tempo zbliżył się do niego i oślepił długimi światłami. Musiał przestawić lusterko, bo nie widziałby drogi przed sobą.

Zamiast skręcić w kierunku zjazdu do Toronto, przyspieszył jeszcze i wjechał w jakieś lokalne odgałęzienie. Tempo wciąż za nim jechało. Nagle, bez ostrzeżenia, David zakręcił kierownicą, jednocześnie naciskając na pedał hamulca. LTD zakołysało się i zawróciło o 180 stopni na śliskim, mokrym asfalcie. Koła zapiszczały jak kot obdzierany żywcem ze skóry. David prawie stracił kontrolę

nad samochodem; niewiele zabrakło, aby wykonał nim pełen obrót. W ostatnim momencie zdołał jednak wyrównać koła.

Zwolnił pedał hamulca i ponownie przycisnął gaz do oporu. LTD wyrwało do przodu w chmurze ciemnego dymu z rury wydechowej.

Kierowca tempo zawahał się, przyhamował, wreszcie zatrzymał samochód i ostrożnie zawrócił, podążając za LTD. David przyspieszył, jadąc w kierunku Missisauga Drive - kierowca tempo uczynił to samo. Dwa samochody rozpędziły się aż do osiemdziesięciu mil na godzinę, rozpryskując kołami fontanny wody, mknąc przez kolejne rozjazdy i skrzyżowania, kołysząc się na nierównościach drogi. W pewnym momencie wpadły w Zakręt w lewo, wydawałoby się, że niemożliwy do wzięcia na tej szybkości, a jednak pokonały go i znów mknęły prosto przed siebie.

David powtórzył swój manewr sprzed minuty, samochód obrócił się i znów pędził w kierunku autostrady. Po chwili widział już jej oświetlenie, reflektory samochodów i barierę rozdzielającą dwa kierunki jazdy. Nie poruszał już kierownicą. Nie miało to sensu. Koła mknęły po zalanej wodą jezdni przed siebie, zablokowane, poza kontrolą kierowcy. Nagle auto wpadło w poślizg, okręciło się dwa

razy wokół osi i zatrzymało. David ujrzał światła tempa znów za sobą i szybko wystartował, ponownie

zmierzając ku głównej autostradzie. Gdy znalazł się na rampie prowadzącej w górę, światła prześladowców znów odbijały się w jego lusterku.

Jeszcze przyspieszył, chociaż wydawało się to już niemożliwe. Gdy jednak dotarł do autostrady, zwolnił i gwałtownie skręcił w lewo. Jechał teraz autostradą na południowy zachód, niezgodnie z obowiązującym go kierunkiem ruchu.

Był wczesny ranek, autostrada była już jednak zatłoczona. Pędziły mu naprzeciw, przez deszcz i ciemność, ciężarówki, buczące klaksonami niczym zranione dinozaury. David nie zważał na to: jechał dalej przed siebie, zaciskając kurczowo palce na kierownicy, wyężając wzrok, aby jak najwcześniej dostrzec światła zbliżających się z przeciwka samochodów. Pędził z prędkością znacznie przekraczającą siedemdziesiąt mil na godzinę i jeśli zderzyłby się czołowo z pojazdem rozwijającym chociażby połowę jego prędkości, prędkość uderzenia wyniosłaby ponad sto mil na godzinę.

Większość ciężarówek miała na licznikach dobrze ponad pięćdziesiątkę, co oznaczało, że gdyby uderzył w którąś z nich, jego samochód zostałby dosłownie sprasowany. W jednym momencie.

Z trudem panował nad swoimi ruchami. Ale gdy znów spojrział w lusterko, zobaczył podążające za nim tempo, oświetlające drogę potężnymi reflektorami w panicznym ostrzeżeniu dla pojazdów nadjeżdżających z przeciwka. Wyjąc z rozpacz, David jeszcze bardziej przyspieszył. Wkrótce strzałka szybkościomierza zbliżyła się do dziewięćdziesięciu mil na godzinę. To był kres możliwości LTD, ale czego w końcu można się spodziewać po sześciocyndrowym słabym silniku samochodu z wypożyczalni?

Tempo stopniowo zaczęło go doganiać. Deszcz wzmógł się, co chwila z przeciwka nadjeżdżał jakiś pojazd, świecący ostro reflektorami, grzmiący klaksonem i rozbryzgujący wodę na szyby LTD. Co chwila też David zmieniał pas ruchu, aby uniknąć zderzenia. Wkrótce tempo było niemal przy nim,

aż w końcu oba samochody pędziły łeb w łeb, obok siebie, z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę, autostradą numer pięć, pod prąd. Wyminęły znaki wskazujące zjazdy do Appleby, Burlington i stopniowo zbliżały się do Hamilton. David był tak spięty, że chwycił go kurcze w kolanach, a całą koszulę pokrywał zimny, lepki pot.

Mimo że tempo jechało obok niego, nie odważył się ani na chwilę spojrzeć w bok, na kierującego samochodem człowieka. W pewnym momencie tempo zaczęło przybliżać się do LTD, przednimi kołami rozpryskując wodę aż na skraj jego przedniej szyby. Aż wreszcie, niespodziewanie,

David poczuł wstrząs, spowodowany bocznym zderzeniem obu pojazdów. LTD zboczyło, zwolniło trochę, David nie stracił jednak nad nim kontroli.

A więc chcą mnie zabić, pomyślał. Chcą mnie zabić, kimkolwiek są, jak zabili Esther i jak zabiją wszystkich, którzy wykazali jakiegokolwiek zainteresowanie Gringo, cokolwiek się pod tym słowem kryje.

Znów spojrzał przed siebie. Ku swojemu przerażeniu zobaczył, że z naprzeciwka zbliżają się dwie potężne ciężarówki, jedna obok drugiej. Wolny był tylko najszybszy pas, a ten zajmowało pędzące tempo, jadące teraz bardzo blisko LTD, polujące na niego niczym głodny rekin. Znów walnęło w niego i rozległ się zgrzyt dartego metalu. David zaczął kręcić kierownicą najpierw w lewo,

a następnie w prawo, ale nie potrafił odzyskać kontroli nad LTD, tańczącym w najlepsze po autostradzie. W przedniej szybie widział tylko wodę i zbliżające się nieubłagane światła ciężarówek.

Słyszał klaksony, lecz LTD kompletnie straciło przyczepność i pędziło przed siebie, zataczając się, z prędkością prawie dziewięćdziesięciu mil na godzinę.

David pomyślał, że za chwilę umrze. Spróbował się modlić.

To, co nastąpiło po chwili, przypominało dobrze wyreżyserowany balet. Tańczące po autostradzie LTD zahaczyło o tył forda tempo. Tempo na skutek uderzenia zmieniło nagle kierunek

jazdy o kilka stopni i ruszyło dokładnie naprzeciwko dwóm zbliżającym się ciężarówkom. LTD Davida wjechało na środek autostrady i przez żwir, trawę i drobne krzaki dotarło do stalowej bariery oddzielającej dwa kierunki ruchu. Walnęło w barierę przednim zderzakiem i zatrzymało się w miejscu.

Blacha samochodu pogięła się, pękając z okropnym hałasem, na Davida poleciało szkło z potrzaskanych szyb, jednaką o dziwo, nic mu się nie stało.

Nie zdążył się odwrócić, aby zobaczyć, co się dzieje z tempo. Usłyszał nagle za sobą taki hałas, jakby nagle tysiąc umierających mnichów zaczęło krzyczeć Kyrie eleison, a był to jedynie odgłos hamulców hydraulicznych firmy Kenworth Trans Orient, próbujących bez skutku powstrzymać osiemnaście kół obracających się pod ciężarem dwudziestu dwóch ton łososa w puszkach. Później nastąpił hałas nie ustępujący odgłosowi wybuchającej bomby, aż wreszcie oczom Davida ukazały się szczątki samochodu lecące wśród kropel deszczu; osobno koła, zderzaki, fragmenty karoserii, a na koniec zakrwawione ludzkie ciała, nienaturalnie powyginane.

Trzęsącymi się rękami David z trudem wypchnął z zawiasów pogięte drzwi. Stał przy swoim zniszczonym samochodzie i z pewną ulgą pomyślał, że musi teraz jedynie pozostać tu i poczekać na policjantów, aż zabiorą go do kanadyjskiego więzienia. Samochód jego prześladowców leżał w szczątkach, porzrzucanych dookoła. Tylko przednie siedzenia i tylne koła jakimś dziwnym trafem wbiły się w maskę ciężarówki. Martwe ciała kierowcy i pasażera leżały bezładnie pięćdziesiąt jardów

dalej - żalony, odrażający widok, jednakowy dla wszystkich ofiar wypadków i morderstw.

Kierowca ciężarówki podszedł do Davida. Miał sześć stóp i trzy cale wzrostu, potężne wąsy i twarz tak bladą jak tort weselny.

- Ty cholerny bękarcie! - krzyknął na Davida niespodziewanie piskliwym głosem. - Ty skurwysynu, widziałem, co zrobiłeś.

David spojrzał na niego. Deszcz zwilżał mu policzki.

- Zrobiłem to, co musiałem — odparł zmęczonym głosem.

- Co musiałeś zrobić? Ci faceci nie żyją! Są, kurwa, martwi jak kamienie!

- Tak - powiedział David. Zamknął oczy i pozwolił, aby deszcz zwilżał jego włosy, jego twarz, tak jakby mógł go w ten sposób oczyścić z winy. Gdzieś z oddali dobiegło wycie policyjnej syreny.

- Ty skurwysynu! — powtórzył kierowca. - Żeby cię zamknęli na resztę życia!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

W niedzielę o świcie piloci sowieckich helikopterów obserwacyjnych latających nad Niemcami Zachodnimi byli świadkami największego zmotoryzowanego exodusu w dziejach. Jasne letnie słońce stopniowo wznosiło się ponad lasami oraz polami Lüneburga i Hanoweru i błyszczało tysiącami odbić

w tylnych szybach samochodów zmierzających na zachód autostradami i pomniejszych szosami.

Każda z dróg była zapchana pojazdami. Autostradą E-8 toczyła się błyszcząca rzeka mercedesów, BMW, volkswagenów na całej długości, od Braunschweigu na wschodzie do Osnabrück na zachodzie.

Rzeka ta miała długość ponad tysiąca mil. E-63 zapchana była od Ederu do Zagłębia Ruhry.

Planując operację Byliny, sowieccy generałowie wzięli pod uwagę, że zachodni Niemcy posiadają więcej prywatnych samochodów niż jakikolwiek inny naród na świecie, i przewidywali, że

szosy zostaną momentalnie zatłoczone. Jednak coś takiego nigdy nie przyszło im do głów. Jeden z pilotów Mi-4, lecąc nad południowym skrajem Lasu Teutoburskiego, na wschód od Paderborn, powiedział:

- Na wszystkich drogach jadą samochody, jeden za drugim. Nigdy w życiu nie widziałem tak wielu samochodów. Suną leśnymi szosami jak lawa.

Dla generała Abramowa, który opuścił Zossen-Wtinsdorf krótko po piątej nad ranem i przeniósł się do Helmstedt, wciąż po wschodniej stronie byłej granicy, ruch niemieckich samochodów był poważnym problemem operacyjnym. Zamierzony blitzkrieg niespodziewanie uległ spowolnieniu,

gdyż wszystkie drogi wyglądały jak Expressway na Long Island na początku weekendu.

Abramow posłał tak dużo czołgów, jak się tylko dało, na przełaj, jednak gęste niemieckie lasy zwolniły do minimum ich ruch, nie mówiąc już o tym, że praktycznie żadna z szos, którą czołgi chciały przekroczyć, do tego się nie nadawała. Wszystkie były nieprzejezdne z powodu natłoku samochodów.

Na E-3, pomiędzy Hamburgiem i Bremą, czołgi T-72 z trzeciej pancernej grupy uderzeniowej zostały kompletnie zablokowane przez samochody osobowe. Sowieccy dowódcy najpierw próbowali oczyścić autobahn, rozkazując niemieckim kierowcom zjeżdżać do rowów, trwało to jednak niezmiernie długo i nie wróżyło sukcesu, częściowo ze względu na trudności językowe, a przede wszystkim ze względu na krańcową nienawiść Niemców do najeźdźców. Ich brak posłuszeństwa doprowadził Rosjan do takiej furii, że spróbowali w końcu oczyścić sobie drogę, taranując samochody

osobowe czołgami. To tylko pogorszyło sprawę i zablokowało autostradę na dobre nieruchomymi wrakami niedawno pięknych, błyszczących, sprawnych pojazdów. Wczesnym przedpołudniem Rosjanie musieli ściągać potężne dźwigi, które unosiły wraki w górę i dopiero wtedy zrzucały je do przydrożnych rowów.

Zgodnie z porozumieniem kopenhaskim Armia Sowiecka nie mogła strzelać, z wyjątkiem działania w obronie własnej; dowódcy czołgów nie używali więc broni palnej ani artyleryjskiej, żeby wymusić wykonanie swoich rozkazów. W jakiś sposób Niemcy wyczuli, że najeźdźcy muszą przestrzegać tego zakazu i coraz śmieiej robili wszystko, aby uczynić marsz Rosjan jak najwolniejszym i najtrudniejszym. Rolnicy ustawiali traktory i maszyny w najmniej spodziewanych miejscach, rozciągali liny przez pola. Czołg po czołgu przerywał marsz do przodu, a to z powodu uszkodzonej gąsienicy, a to z kamieniem wepchniętym gdzieś między koła. Te, które się posuwały, czyniły to z ostrożnością i minimalną prędkością.

Kanclerz Kress stwierdził, że bez Amerykanów i Brytyjczyków każda próba walki podjęta przez Bundeswehrę będzie próbą samobójczą.

- To bardzo trudna decyzja - powiedział rano w telewizji -ale nie jestem w stanie dać sygnału do trzeciej masakry Niemców w ciągu jednego tylko stulecia.

Wygłosił formalną skargę na najeźdźców, skierowaną do Narodów Zjednoczonych, i oświadczył, że poczyni wszelkie kroki, aby zmusić sowiecką armię do wycofania.

W tym samym czasie Francja, Belgia, Holandia, Szwajcaria, Włochy i kraje skandynawskie wyraziły „szok i niesmak” wobec opuszczenia Niemiec Zachodnich przez wojska USA i Wielkiej Brytanii. Zażądały natychmiastowego wspólnego szczytu w tej sprawie, lecz i prezydent USA, i pani premier Wielkiej Brytanii zareagowali na to jednozdaniową odpowiedzią, którą wcześniej pomiędzy sobą uzgodnili. „Wspólna decyzja Stanów Zjednoczonych i Zjednoczonego Królestwa, aby wycofać swoje siły militarne z Niemiec Zachodnich, jest nieodwołalna i nie podlega dyskusji”.

Oba rządy w pierwszym dniu operacji Byliny okazały się w swoich krajach silniejsze, niż można było przypuszczać. Jeśli ktoś sądził, że w USA lub Wielkiej Brytanii istnieje wolna prasa, stracił złudzenia po przeczytaniu raportów z Europy. Wreszcie pokój, krzyczał na całą stronę Daily Express w porannym poniedziałkowym wydaniu. Daily Telegraph głosił: Związek Radziecki zajął Niemcy Zachodnie - wreszcie trwały pokój!, Daily Mirror drukował na pierwszej stronie słowo „Towarzysze!”, będące podpisem wielkiej fotografii przedstawiającej rosyjskiego żołnierza potrząsającego ręką starego Niemca w tyrolskim kapeluszu.

Po obu stronach Atlantyku ton audycji telewizyjnych był jednakowo optymistyczny i bałwochwalczy. W Stanach Zjednoczonych komentarz CBS mówił o „nowej erze światowego pokoju... błyskawicznym i odpowiedzialnym przeorganizowaniu układu sił... w celu zlikwidowania cieni przeszłości i sprostania wezwaniom, które niesie przyszłość...” W telewizji ukazał się uśmiechnięty prezydent i powiedział: „Chciałbym, abyście uwierzyli, że dzień dzisiejszy jest pierwszym

dniem szczęśliwego i bezpiecznego jutra. Tych spośród was, którzy mają krewnych i znajomych w

Niemczech Zachodnich, chciałbym zapewnić, że otrzymałem dziś rano z Kremla pisemną gwarancję...

oto ona" - wyciągnął przed siebie kartkę papieru - „że respektowana będzie własność prywatna wszystkich obywateli Republiki Federalnej Niemiec". Prezydent przerwał na chwilę i podjął, już poważniejszym tonem: „W kategoriach politycznych, to, co wydarzyło się dzisiaj w Niemczech Zachodnich, nazwać trzeba zmianą sposobu rządzenia. Jedna siła zabezpieczająca stabilność kraju zastąpiona została przez drugą, lecz implikacje tego faktu w kategoriach światowego pokoju są znacznie większe. Od dziś możemy spokojnie spać w nocy... możemy patrzeć w przyszłość z ufnością,

wiarą, że nasze dzieci, wnuki i prawnuki nie będą musiały ginąć na wojnie. Bracia Amerykanie, w dniu dzisiejszym z powierzchni świata zniknął wielki cień. Zlikwidowano przekleństwo dwudziestego wieku, groźbę wojny nuklearnej".

Prezydent skończył swoje przemówienie obietnicą, że planowane są amerykańsko-sowieckie rozmowy w sprawie całkowitego rozbrojenia nuklearnego i że „rozpoczną się one w bardzo bliskim czasie".

W północnej Europie niedzielny poranek był ciepły, lecz pochmurny. Sowiecka armia stopniowo posuwała się naprzód i o siódmej była już w Weser. Na południu Rosjanom udało się usunąć prawie całkowicie ruch cywilny z autostrady E-4 i przedostać się przez przesmyk fuldeński aż do Hanau, na wschodnie przedmieścia Frankfurtu. Generał Abramow postanowił nie wkraczać do żadnego z dużych miast aż do dnia następnego, ze względu na możliwe pułapki i próby podejmowania walk ulicznych.

Przesłał do Stawki meldunek, że marsz naprzód jest w tym dniu „rozczarowująco wolny ze względu na nieprzewidziane zatory na drogach oraz polityczne ograniczenia nałożone na armię".

Praktycznie nie dochodziło do walk, z wyjątkiem kilku drobnych potyczek. W ciągu pierwszego dnia zginęło siedemdziesięciu dwóch żołnierzy ZSRR, a stu dziewięciu zostało rannych, prawie wszyscy

podczas incydentów na szosach.

Gdy zaczęło zachodzić słońce, załogi sowieckich czołgów i bojowych wozów piechoty przygotowywały się do nocnego wypoczynku: na wrzosowiskach, ogromnych polach obsianych pszenicą, w cichych wioskach i ciemnych miasteczkach. Powietrze było pełne kurzu i ostrego zapachu spalin z tysięcy silników. Samych tylko bojowych wozów piechoty było w armii inwazyjnej ponad sześć tysięcy i wszystkie spalały benzynę od świtu do zmroku. A dochodziły do tego czołgi, ciężarówki, działa samobieżne i dosłownie miliony prywatnych samochodów. W ciągu jednego dnia w Niemczech Zachodnich wykorzystano więcej paliwa, niż normalnie używa cała Europa w ciągu dwóch tygodni: sto czterdzieści miliardów baryłek.

Uciekinierzy wędrowali na zachód przez całą noc, mimo że wycofujące się armie USA i Wielkiej Brytanii czyniły wszystko, co było w ich mocy, aby namówić Niemców do pozostania w domach. Problem uchodźców dyskutowany był bardzo długo podczas rozmów kopenhaskich. Zgodzono się w końcu z tym, że masowe ruchy ludności cywilnej są nieuniknione, tym bardziej że Rosjanom nie pozwolono na wykorzystanie spadochroniarzy z oddziałów Specnazu, które lądowałyby na ziemiach niemieckich jeszcze przed posuwającymi się do przodu głównymi oddziałami armii. Stwierdzono, że gdy tylko uchodźcy zorientują się, że armia ZSRR będzie okupowała całą Europę Zachodnią, większość z nich powróci do domów. Nie będą mieli przecież innego celu, chyba że Wielką Brytanię. Ale Wielka Brytania niemal natychmiast po inwazji jasno wyraziła swój stosunek do tego zagadnienia, zakazując lądowania na swoim terytorium wszelkim samolotom Lufthansy i tłumacząc to strajkiem kontrolerów ruchu powietrznego.

Był to dzień niewielkiego tylko przelewu krwi, ale wielkiego strachu. Strach ogarnął Europę niczym ciemna fala, a w nocy, podczas której sowieccy żołnierze wypoczywali, wszyscy mieszkańcy

zachodniej części kontynentu modlili się.

Na Półwyspie Skandynawskim światła w budynkach rządowych paliły się przez całą noc.

Szwedzi nie mieli wątpliwości, że Rosjanie wkrótce zaatakują także ich, Danię i Norwegię. Finowie poniechali jakiegokolwiek myśli o obronie i otworzyli szeroko granice, tak że czołgi okupantów bez przeszkód wjechały do centrum Helsinek i zatrzymały się na Mannerheimintie, głównej ulicy handlowej.

Fiński korespondent The New York Times, Aaro Haanpaa, napisał w swoim pamiętniku:

„Logika nakazuje mi zrozumieć decyzję rządu, który wpuścił sowiecką armię do Helsinek bez żadnych przeszkód: w kolejnej wojnie z Rosjanami nie mielibyśmy żadnych szans. Nie można było dopuścić do kolejnego Viipurii, kolejnego jeziora Ładoga, kolejnego bombardowania Helsinek.

Bywają chwile, gdy trzeba z namysłem spojrzeć wstecz i powiedzieć: nigdy więcej”.

„Ale gdy tego wieczoru krążyłem po centrum Helsinek, od Museigatan do Erottaja Skillnaden i co chwila napotykałem obcy czołg, z trudem panowałem nad sobą, z trudem powstrzymałem się przed zaatakowaniem któregoś z tych czołgów i wykrzyknięciem: Mitd te olette tehneet maalleni?! Mitd sina olet tehnyt sydamelleni?! Cóżście uczynili mojemu krajowi?! Cóżście uczynili mojemu sercu?!”

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

W Kopenhadze, na czwartym piętrze szarego budynku biurowego przy Thorvaldsensvej, po drugiej stronie Landbohajskolen, odbywało się niezwykle spotkanie, które przyniosło w efekcie niezwykle konsekwencje. Biuro wypożyczone zostało od Frederiksberg Paper Company, której dyrektor był długoletnim przyjacielem człowieka kładącego mowę na siebie Hans. Było ciche, spokojne, miało klimatyzację i ściany wymalowane na kolor ciemnego błękitu. Na ścianach wisiały rzędy

niezbyt imponujących litografii młodych duńskich artystów. Bukowe meble obite były skórą.

Michael, John i Lew przybyli pierwsi. Rufinę przetrzymywano w domu na zachodnich

przedmieściach Kopenhagi. Przesłuchiwali ją dwaj agenci z Lamprey, jeden z nich był podwójnym

agentem w KGB od prawie dziesięciu lat.

Michael i John byli kompletnie wyczerpani. Nawet Lew miał podkrążone oczy. Po zabraniu ich z plaży nad Zatoką Wyborską dwa wielkie helikoptery beli jetranger przeniosły ich najpierw do Karhuli, pięćdziesiąt mil na zachód, na ziemię fińską. Po uzupełnieniu paliwa z oczekującego tam czołgu polecieeli dalej na małe prywatne lotnisko w Kirkkonumini. Stamtąd polecieeli już samolotem odrzutowym należącym do Suomi Cardboards i wcześniej rano wylądowali w Led0je, w Danii, skąd już tylko godzinę jechali wynajętym samochodem do centrum Kopenhagi.

Piloci fińskiego helikoptera, którzy uratowali ich przed śmiercią z rąk Rosjan, byli bardzo przyjaźni i weseli. Opowiadali, że w miesiącach zimowych latają z żywnością i pocztą do Laponii. Latem przyjmują każdą pracę, która wpadnie im w ręce. Taką pracą była między innymi „misja ratunkowa” dla Lamprey. W Kirkkonumini, oczekując na samolot, Michael przez cały czas rozmawiał z młodszym z dwóch pilotów. Zapytał go między innymi, czy niebezpieczna misja do Związku Sowieckiego była opłacalna.

Młody człowiek uśmiechnął się i powiedział:

— Meidan ystauamme aina maksaoat meille hyuin. Sina unoh-dat, heilla on rahaa kuin roskaa!

He ottauat mitahe hu.lu.avat valtiolta, heilla on varaa olla antelioita. Sitapaitsi, ystavani ja mina teemme kaikkemme etta Ryssa nayttaisiuaat nauretiuilta. Yktavani taistell Yiipurissa.

Lew krótko przetłumaczył. Lamprey zawsze dobrze płaci pilotom, ponieważ Lamprey ma nieograniczone możliwości finansowe: budżet służb wywiadowczych prawie dwunastu różnych krajów. Ponadto, ci akurat piloci zrobiliby o wiele więcej, żeby tylko utrzyć nosa znieawidzonym Rosjanom.

Michael i John wzięli prysznic w pomalowanej na zielono łazience w Frederiksberg Paper Company, a urocza blondynka o imieniu Krysta dostarczyła im czyste niebieskie koszule, nowe spodnie oraz po parze nylonowych skarpetek. Wówczas zaprowadzono ich dopiero do głównego

pokoju konferencyjnego, gdzie siedział już Hans. Z zainteresowaniem czytał jakieś wydruki komputerowe.

Hans uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

— Panie Townsend, panie Bishop. Proszę zwracać się do mnie per Hans, po imieniu. Nie jest to moje prawdziwe imię, ale to lepiej, niż wołać „hej, ty”, kiedy chcielibyście się do mnie odezwać.

— Czy tobie właśnie powinniśmy dziękować za zorganizowanie naszej ucieczki? - zapytał Michael. Nagle poczuł się słabo, lekko pociemniało mu przed oczyma. - Nie masz nic przeciwko temu, że usiądę? — zapytał. - Zdaje mi się, że za chwilę i tak bym się przewrócił.

- Ależ proszę bardzo - rzekł Hans i obu im wskazał krzesła. Podniósł słuchawkę telefonu i odezwał się: - Krysta, przynieś nam kawy, bardzo cię proszę.

Okrążył swoje biurko, chwilę pospacerował i usiadł za nim znowu. Palcami rytmicznie bębnił po blacie.

- Wasza ucieczka nie była pierwsza — powiedział. - Dotychczas, być może Lew zdążył wam już o tym powiedzieć, wyciągnęliśmy siedmiu angielskich specjalistów z Rosji, i to wcale nie dlatego, żebyśmy byli jakoś szczególnie zainteresowani ratowaniem ich przed dożywotnią pracą w jakiejś odległej, zapomnianej części Związku Sowieckiego. Nie, powód jest inny: pozbawiamy Rosjan w ten sposób fachowców pracujących w kluczowych gałęziach ich przemysłu zbrojeniowego. Broń, radary, wszelkie rozwiązania w aeronautyce, komputery... otrzymali, głównie od Anglików, ekspertów w tych dziedzinach, wbrew woli ludzi, którzy zostali tam zwabieni podstępem. Większość z nich jest ciągle więziona w ZSRR, oczywiście, ale namierzaliśmy miejsce pobytu większości z nich i... działamy. - Hans uśmiechnął się i znów wstał. — A teraz, oczywiście, wiemy, dlaczego eksperci, naukowcy, tam znikają i w jaki sposób się to odbywa.

— Czy uważasz, że to wszystko było preludium do wydarzeń dzisiejszego dnia w Europie? —

zapytał Michael.

- Oczywiście. Przekazanie informacji z zakresu najbardziej zaawansowanych rozwiązań technologicznych było częścią porozumienia, jakie Amerykanie i Anglicy zawarli z Kremlem. Jest jasne, że porozumienie ma wiele wątków, kilka widać już gołym okiem, jak na przykład wycofywanie się amerykańskich i brytyjskich oddziałów przed kroczącą naprzód armią ZSRR. Inne nie są jeszcze tak oczywiste, na przykład ochrona zabytków i najwspanialszych tworców zachodniej kultury. A miałem już dzisiaj informacje od naszych ludzi z Bremy, że Rosjanie przygotowali specjalne oddziały do takiej właśnie działalności. Opanowali tam ratusz i pilnują go przed wandalami, grabieżcami i innymi łobuzami. Jak widzicie, operacja militarna została przygotowana bardzo starannie, do najdrobniejszego szczegółu, i zdaje się, że istotną częścią porozumienia jest dążenie do minimalnego rozlewu krwi i minimalnych szkód w mieniu. To ostatnia wojna, przyjaciele. Daleko bardziej wyszukana niż atak nuklearny. O wiele bardziej przerażająca, w pewnym sensie. Wojna, której wynik znany był do najdrobniejszego szczegółu, zanim jeszcze ruszyły się armie.

Michael zmęczonym ruchem przetarł oczy.

- Czy funkcjonuje linia telefoniczna do Anglii? - zapytał. - Bardzo chciałbym dodzwonić się do żony.

- Oczywiście - powiedział Hans. - Najpierw jednak chciałbym, żebyś zdał sobie sprawę, dlaczego zaangażowaliśmy tak wiele środków, żeby ściągnąć was obu tutaj, do Kopenhagi. Jesteście ekspertami, specjalistami w zakresie obsługi komputerów, prawda? Przypadkiem takich ludzi tu właśnie potrzebujemy. O wiele więcej pożytku byłoby z was, gdybyście znaleźli się tutaj tydzień temu. Mamy bowiem powody, żeby przypuszczać, że większość szczegółów porozumienia pomiędzy zachodnimi sprzymierzeńcami a Kremlem może być zgromadzona w banku danych komputera znajdującego się tutaj, w Kopenhadze, i bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby któryś z was wdarł się do

niego i wykradł tyle informacji, ile tylko się da.

John powoli zaprzeczył głową i westchnął.

- Nie widzę wielkich szans, przyjacielu - powiedział.

— Jesteś jednak ekspertem w tej dziedzinie — stwierdził Hans.

— No cóż, jestem i potrafię rozgryźć większość komputerów. Ale skoro, jak twierdzisz,

szczegóły porozumienia zgromadzone są w komputerze tutaj, w Kopenhadze, w kraju w zasadzie wro-

gim wobec Związku Sowieckiego, założę się o co chcesz, że są zupełnie bezpieczne. Zapewne strzegą

ich pewne kody cyfrowe i specjalne słowa-hasła.

- Nie dostaniesz się do nich?

John popatrzył na Michaela, wydał policzki i wzruszył ramionami.

— Zawsze możesz spróbować - powiedział Michael.

- Niewiele to da - stwierdził John pesymistycznie. - A poza tym zawsze istnieje

niebezpieczeństwo, że właściciel komputera może nas wyśledzić, sprawdzić, skąd się włamujemy. A wiedząc, kim są ci, hmm, klienci, cóż...

- Ten komputer to IBM 2000, znajdujący się w biurze duńskiej firmy architektonicznej

Klarlund i Christensen. W tym biurze również znajduje się IBM 2000 i głównie dlatego tu teraz

jesteśmy. Jeden z naszych ludzi próbował już dostać się do komputera u Klarlunda i Christensena, ale

bez powodzenia. Szukamy głównie informacji umieszczonej w tym komputerze przez naszego agenta

Nicholasa Reeda. No, przynajmniej pod takim nazwiskiem pracował. Mamy nadzieję, że umieścił w

nim takie informacje, które mogą okazać się dla nas przydatne.

John wyglądał na niezbyt pewnego siebie.

— Jestem bardzo zmęczony - powiedział. - Raczej wątpię, czy zdołam zrobić to, o co mnie

proście. Bez kodów? Bez żadnych wskazówek co do nich?

Hans uważnie spojrział na swoje paznokcie.

- Właśnie przesłuchujemy pewną Rosjankę, którą przywieźliśmy razem z wami z Finlandii, pannę Konstantinową. Być może ona wie coś, co nam pomoże. Szansa niewielka, ale jednak...

— Chyba nie zrobicie jej krzywdy - przerwał mu gwałtownie John.

Hans uśmiechnął się. Był to kwaśny uśmiech, który rozwiął się szybko, niczym dym po wybuchu dynamitu.

- Nigdy nikomu nie robimy krzywdy - oświadczył. Po chwili dodał: - Mam nadzieję, że mi wierzysz.

- Chcę zatelefonować do mojej żony - powiedział Michael cokolwiek, byleby szybko zmienić temat rozmowy.

John ściągnął okulary, tę parę, którą skombinował dla niego Jaków, i przetarł oczy.

- No cóż, może jednak popatrzę już na ten komputer. Myślę, że zmarnujemy czas, jeśli beczynnie będziemy czekać na wynik przesłuchania panny Konstantinowny.

Michael popatrzył na niego ostro, ale stwierdził, że kłótnia w tym momencie nie ma sensu. Czekają na nich jeszcze wiele ważnych spraw.

- A więc chodźmy — rzekł Hans i skierował Johna do pokoju, gdzie znajdował się główny terminal komputera. Gdy weszli do środka, wskazał na telefon. — Możesz go użyć, żeby zatelefonować do żony. Telefonistka w centrali powie ci, jaki jest kierunkowy do Wielkiej Brytanii - powiedział do Michaela.

Michael wykręcił swój numer i czekał z rosnącym zniecierpliwieniem, aż ktoś po drugiej stronie podniesie słuchawkę. W końcu usłyszał zaspany głos Margaret:

- Dwa pięć pięć jeden. Kto mówi?

- Margaret — odezwał się Michael nienaturalnym głosem. -Margaret, to ja, Michael. Jestem bezpieczny.

- Michael? - zapytała, mimo że wiedziała, że to przecież on. I nagle zaczęła płakać,

- Margaret, proszę cię, nie płacz. Nie mam wiele czasu na rozmowę. Chcę ci tylko powiedzieć, że żyję i jestem bezpieczny.

- Och, kochany, nawet nie wiesz, jak byłam przerażona. Myślałam, że nie żyjesz. Byłam pewna, że cię zabili. A kiedy Rosjanie napadli na Niemcy... pomyślałam, że nigdy już cię nie zobaczę.

Och, kochany, czy ciągle jesteś w Rosji?

- Nie, jestem teraz w Kopenhadze. Pewni ludzie, moi przyjaciele, wydobyli mnie z Rosji. Johna również. On także jest bezpieczny, jest tu ze mną. Zatelefonuj do Soni i powiedz jej o tym. Ucieszy się z pewnością. Jak się ma Duncan?

- Och, Duncan bardzo tęskni za tobą, Michael, ja także tęsknię. Naprawdę myślałam, że cię zabili. Przepraszam cię, że płaczę. Och, Michael, tak się cieszę, że zatelefonowałeś. Kiedy wrócisz do domu?

- Jeszcze nie wiem - odpowiedział Michael. - Ale wkrótce. Już niedługo. Proszę cię, nie martw się. Przyjaciele otoczyli mnie troskliwą opieką. Ale straciłem paszport, wszystko, minie więc trochę czasu, zanim będę mógł wrócić do kraju. Posłuchaj, znów zadzwonię do ciebie, kiedy tylko będę mógł, przyrzekam.

- Naprawdę musisz już kończyć? - zapytała Margaret, nie chcąc w to uwierzyć.

- Przykro mi, kochanie, to nie jest mój telefon. Ale obiecuję ci, że zatelefonuję, gdy to tylko będzie możliwe. Naprawdę.

- Rosyjska inwazja... - Margaret zawahała się - nie dotrze do Wielkiej Brytanii, prawda? Mówią nam, że wszystko jest w porządku i nie ma czym się martwić.

Michael westchnął głęboko.

- Z tego, co wiem, nie ma rzeczywiście powodu do obaw o los naszego kraju. To, co się dzieje,

jest częścią większego porozumienia zawartego pomiędzy Anglią, Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Sowieckim. Z całą pewnością ofiarą tego są Niemcy Zachodnie, ale wydaje się, że to porozumienie znacznie zmniejszyło prawdopodobieństwo wybuchu trzeciej wojny światowej. To wszystko, co wiem. Praktycznie słyszałem tylko te wiadomości, które i ty słyszałaś. Wkrótce będę w domu.

- Och, śpiesz się, kochanie, bardzo cię proszę.

Przed oczyma Michaela pojawił się nagle dziwny widok. Widok Rufiny stojącej nago przed lustrem w hotelu „Rosja”, ściskającej w dłoniach szkarłatne brodawki swych piersi, widok jej czarnych, gęstych włosów łonowych oraz równie czarnych i gęstych włosów pod pachami. Była jedyną dziewczyną spośród tych, które znał Michael, nie golącą włosów pod pachami. Bez sensu pomyślał teraz, że to bardzo niehigieniczne i niebezpieczne.

- Tak - powiedział. - Będę się śpieszył. Pozdrów ode mnie Duncana. Powiedz mu, że tęsknię za nim.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do środka wbiegł jakiś mężczyzna, dobrze po pięćdziesiątce, w wymiętolonym garniturze, nie ogolony, brudny na twarzy.

- Gdzie jest Hans?! - krzyknął.

- Cicho. Rozmawiam przez telefon - odparł Michael.

- Widzę - odwarknął mężczyzna z suchym amerykańskim akcentem.

- Kochanie, muszę już kończyć - powiedział Michael do Margaret. - Wierz mi, proszę, zrobię wszystko, żeby jak najszybciej powrócić do domu. Będę najpóźniej w środę.

Odłożył słuchawkę. Amerykanin dotarł do środka pokoju i rozglądał się dookoła z rękami na biodrach. Potężny brzuch przelewał mu się przez pasek od spodni.

- Jeśli sprawy potoczą się tak, jak do tej pory, nikt z nas nie wróci już do domu, teraz czy kiedykolwiek.

- Czy szuka pan Hansa? - zapytał Michael. Amerykanin skinął głową i wyciągnął do niego rękę.

- Charles Krogh - powiedział.

- Michael Townsend.

- Zna pan tych ludzi? - zapytał Charles.

- Lamprey? Oczywiście. Wywieźli mnie z Rosji.

- Proszę, proszę. Oni robią takie rzeczy. Ale - popatrzył na Michaela — czego Rosjanie mogli chcieć od takiego faceta jak pan?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

- To jest to. Komputer firmy Klarlund i Christensen - powiedział John.

Na ekranie przed jego oczyma zamigotały zielone litery: „Klarlund i Christensen IBM 2000 gotowy”. John połączył się z komputerem przez modem telefoniczny, teraz jednak czekało go najtrudniejsze zadanie: penetracja bazy danych, do której dotarł Nicholas Reed. Wybił na klawiaturze „Dane personalne - Nicholas Reed”, ale komputer zaraz mu odpowiedział „Zabezpieczenie - gotów do pracy”.

Do pokoju wszedł Charles, a za nim Michael. Charles potrząsnął dłonią Hansa i skinął głową w stronę Johna.

— To jest ten twój ekspert od komputerów? - zapytał. - Jak sobie radzi?

- Właśnie zaczął - wyjaśnił Hans. - Dane, których szukamy, zabezpieczone są przez słowa-hasła i kody.

John z rezygnacją opuścił ręce. Błyszczące zielone literki z ekranu odbijały się w jego okularach.

— Mamy szczęście - powiedział. - Komputer daje mi szansę, abym znalazł słowo-hasło.

Większość dobrze zabezpieczonych komputerów jej nie daje i nawet w wypadku, gdy człowiek się

pomyli i nadusi zły klawisz, przez przypadek, komputer nie Ujawni mu już ani słowa.

- Jak możesz znaleźć hasło? - zapytał Charles.

- Dzięki logicznemu rozumowaniu - powiedział John i wystukał „Wymień wszystkie zbędne hasła”. Nastąpiła chwila przerwy, po czym komputer wyrzucił na ekran kilka haseł używanych wcześniej, zamienionych już na nowe: „Whipple. Pratt. Howe”.

- No cóż. - John zagwizdał, zdejmując okulary. - Takiego właśnie kodu należało się spodziewać po architektach.

- A co to znaczy? Whipple? Pratt? Howe? - zapytał Charles.

- Drogi przyjacielu. — John uśmiechnął się, odwracając się na krześle. - Whipple, Pratt i Howe to rodzaje krat.

- Krat? - zdziwił się Charles. — Szkockich?

Mimo zmęczenia Michael nie mógł się powstrzymać od śmiechu, natomiast John odburknął:

- Krat konstrukcyjnych, w tym wypadku mostów kratowych.

- No, dobrze - powiedział Charles. - Ale co nam da to, że znamy stare kody?

- W tym akurat wypadku raczej bardzo dużo.

- Raczej bardzo dużo - powtórzył Charles z przesadnie angielskim akcentem. - Posłuchaj, ekspercie, dlaczego ten komputer miałby nam powiedzieć, jakie były stare hasła? Dlaczego nie wymazano ich po prostu przy zmianie?

- Nie zawsze tak się robi - stwierdził John. - Wiele firm używa zestawów dziesięciu lub więcej haseł i przechowuje je w pamięci komputerów, również te, które nie są aktualnie używane. Wówczas w pewnym momencie wystarczy wystukać na klawiaturze „Zmień hasło” i komputer sam wybiera następne. To jest słabe zabezpieczenie, ale wystarczające dla wielu kompanii, które nie mają nic specjalnie istotnego do ukrycia.

- Co teraz zrobisz, John? - zapytał Michael. John wzruszył ramionami.

- O ile wiem, istnieje tylko pięć głównych kratownic używanych w dziewiętnastowiecznych mostach. Pięć, może sześć. Jeśli do tego właśnie odnoszą się hasła, dzisiejsze musi być jednym z dwóch lub trzech pozostałych słów.

Charles potrząsnął głową.

- To niewiarygodne. Mosty kratowe. Kto, do diabła, wie coś na ten temat? Ja do tej pory w ogóle nie wiedziałem, że mosty mają jakieś kraty.

- Widzisz, John interesuje się takimi sprawami - powiedział Michael. - Inżynierią, elektroniką... techniką w ogólności. Myślę, że jest w swoim rodzaju geniuszem.

Charles zaczął wywracać kieszenie w poszukiwaniu papierosów.

- Pewnie jest — potwierdził, nie całkiem przekonany.

- Spróbujmy hasła „bolman” — powiedział John i napisał to słowo na ekranie. Po chwili komputer zamrugał i wyświetlił. „Błąd, zabezpieczenie, gotów do pracy”.

- Proszę, proszę, daj mi jeszcze jedną szansę - zauważył John. - Rzadko to się zdarza.

Charles zrobił głupią minę i popatrzył na Johna.

- O mało nie straciłem życia, próbując dostać się do pamięci tego komputera; zdajesz sobie z tego sprawę?

Michael popatrzył na niego. Ujrzał zmarszczki w kącikach oczu, drobne bruzdy na policzkach.

- My również dziwimy się, że jeszcze żyjemy - powiedział. Charles zapalił wreszcie papierosa i z ulgą wydmuchnął dym.

- No, dobrze, nie licytujmy się, na miłość boską. Niech po prostu twój przyjaciel działa. Może dowie się, o co, do cholery, w tym wszystkim chodzi.

John ze stoickim spokojem pisał słowo „fink”, ostatnie, jakie mu przyszło do głowy; oznacza ono przeszło oparte na trzech odwróconych tyłem trójkątach, wzmocnione sześcioma innymi, mniejszymi. Nastąpił moment ciszy i nagle, zupełnie niespodziewanie, komputer zaczął wyświetlać

dane Nicholasa Reeda. Wiek -31 lat. Gaża - 4800 koron miesięcznie. Adres - Istegade 27. A na samym

końcu słówko „gotów”.

- Gotów? - zapytał Michael, nachylając się nad ramieniem Johna i wpatrując się w ekran. -

Gotów do czego?

- Czeka na następne pytania - powiedział John. - Ktokolwiek układał ten program, niewątpliwie umieścił w nim kolejne zabezpieczenie.

- Co więc robić? Jak długo możemy gapić się na dane Nicholasa Reeda?

John napisał „fink” raz jeszcze. Komputer odpowiedział mu „Błąd, zabezpieczenie, gotów”.

- Potrzebne jest kolejne hasło - stwierdził John. - Tym razem jednak coś zupełnie innego.

Wydał polecenie „Wyświetl wszystkie poprzednie hasła”, ale komputer odpowiedział mu tylko poprzednim „Błąd, zabezpieczenie, gotów”.

- Co zrobimy? - zapytał Lew, siedzący z tyłu i spokojnie palący papierosa.

- No, cóż - westchnął John - zdaje się, że szukanie w ciemno właściwego słowa wiele nam nie przyniesie.

- No właśnie, w ten sposób do niczego nie dojdziemy - stwierdził Hans.

- To może potrwać całe dni, noce, tygodnie. A może wieczność.

- Poczekajcie chwilę - wtrącił się Charles. - W ostatniej informacji, jaką otrzymałem od Petera Seckera, wspominał coś o „starym kodzie”.

- Starym kodzie? - zapytał Michael. — Co to może oznaczać?

- Mieliśmy swoje zakodowane kryptonimy, kiedy obaj pracowaliśmy dla CIA. To były imiona graczy baseballowych, którzy dawno zakończyli karierę. Ja byłem „Sea Lion”, tak jak Charley Hali, a Peter to był „Charlie Hustle”, czyli Pete Rose, który grał w zespole Reds.

Hans położył dłoń na ramieniu Johna.

- Myślisz, że to ma sens? - zapytał.

- Nie mamy wyboru. Wszystko zależy od tego, jak bardzo się śpieszymy. Jeśli się pomylimy, komputer może się zablokować i nie będziemy mogli już wrócić do punktu wyjścia. Bezpieczniej byłoby dochodzić do sedna jakąś określną drogą.

- Dniami i tygodniami? Nie mamy czasu - zdecydował Hans. - W nocy Rosjanie się zatrzymają, ale nad ranem ruszą znowu. Musimy tego spróbować, lepszego wyjścia nie widzę.

John wystukał na klawiaturze kryptonim „Charlie Hustle”. Ekran momentalnie zgasł. Hans walnął pięścią o stół z desperacją.

- Przegraliśmy - stwierdził.

- Jeszcze nie, poczekaj. Daj mu jeszcze chwilę - odezwał się John.

Przez trzydzieści lub czterdzieści sekund wszyscy wpatrywali się z napięciem w ekran. I nagle ukazały się na nim słowa „Charlie Hustle odszukany” oraz, pod spodem, „czytam”.

- Udało się! - krzyknął Charles z triumfem. - Stary kod. Stary kryptonim. Cholera jasna, nie używałem tego imienia od wielu lat.

W jednej chwili ekran zaczął się wypełniać informacjami. W cichej fascynacji wpatrywali się w nagle ujawniające się przed nimi informacje, które zdobył Peter Secker o porozumieniu kopenhaskim.

„Zmiany w geografii politycznej świata zasugerowane zostały po raz pierwszy w 1984 roku podczas wizyty Andrieja Gromyki u prezydenta Reagana. W następnych miesiącach szefowie Połączonych Sztabów oraz sowiecka Stawka otrzymali zadanie wypracowania szczegółowej koncepcji

zmian. Powinna ona być taka, aby do końca pozostała tajna i nie zawierała elementów ryzyka otwartej

konfrontacji militarnej. W końcu, również przy udziale Wielkiej Brytanii, osiągnięto porozumienie, na

mocy którego Związek Radziecki obejmie kontrze nad Półwyspem Skandynawskim i całą Europą, z wyłączeniem Hiszpanii, ale za to z Włochami. Rosjanie byli szczególnie zainteresowani objęciem

Włoch swoją sferą wpływów ze względu na wzrastającą rolę Kościoła katolickiego wewnątrz swego

kraju oraz na sprzeciw papieża wobec marionetkowego reżimu w Polsce. W zamian za otrzymanie Europy Zachodniej Rosjanie zobowiązali się wstrzymać wszelkie finansowe i polityczne poparcie dla

komunistów w Ameryce Południowej i Środkowej, w basenie Morza Karaibskiego, a także dla wszelkich ruchów komunistycznych w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Kreml zobowiązał się również do zaprzestania dostarczania sprzętu wojskowego i uzbrojenia dla krajów Afryki i Bliskiego Wschodu, ze szczególnym uwzględnieniem Libii i Angoli".

Warunki porozumienia, nawet streszczone przez Petera Seckera, zawarte były w tysiącach słów.

Charlesa oszołomiła kompleksowość umowy i jej ogromna szczegółowość. Mowa tam była o prawach

do połowów, wytyczone nowe granice wód terytorialnych, wyznaczone nowe kursy walut. Były porozumienia handlowe i taryfowe. Dokładnie sprecyzowane były „prawa obywatelskie” na obszarze odtąd opisywanym jako „Europa radziecka”.

- Jak on się tego wszystkiego dowiedział? - zapytał zdumiony Michael.

— Był dobrym agentem - odparł Charles, znów zapalając papierosa. Pokój powoli zachodził siwą mgłą od dymu papierosowego. W końcu John musiał wyciągnąć chusteczkę i wytrzeć nią łzawiące oczy.

Na końcu streszczenia znalazł się fragment, który zmroził ich wszystkich. Po krótkiej chwili przerwy komputer bowiem zaczął informować:

„Uzupełniające tajne negocjacje toczyły się wyłącznie pomiędzy delegatami USA i ZSRR.

Rosjanie wyrazili swój głęboki niepokój zamiarami pozostawienia Wielkiej Brytanii w sytuacji »kolejnej Kuby«, tym razem będącej zagrożeniem dla radzieckich granic. Po kilkunastu dniach rozmów Rosjanie zobowiązali się do zlikwidowania swojej bazy marynarki na Spitsbergenie i ograni-

czenia aktywności na Atlantyku, w zamian za co otrzymali zgodę na przejęcie całkowitej kontroli nad Wielką Brytanią. Uzgodnienie to zapadło bez udziału rządu brytyjskiego, jednak jak rozumiem,

wywrotowe elementy komunistyczne na terenie tego kraju zostaną z odpowiednim wyprzedzeniem poinformowane o sytuacji, przez co będą w stanie w odpowiednim momencie uniemożliwić ruchy armii i w praktyce zablokować funkcjonowanie systemu obrony Wysp Brytyjskich. Stany Zjednoczone, oczywiście, w odpowiednim momencie wycofają z Wysp swoje głowice nuklearne i ewakuują wszystkie swe bazy lotnicze. W wypadku..." -na tym tekst się urywał.

Przez długi czas stali w milczeniu przed ekranem, wpatrując się w niego, nie mogąc uwierzyć.

- Ktoś mu musiał przerwać - stwierdził John. - Sądzę, że zamierzał przekazać całą informację telefonicznie, ale nie zdążył wystukać odpowiedniego polecenia.

- A więc Rosjanie zamierzają również napaść na Anglię? -zapytał Michael przez ściśnięte gardło. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Możesz dać temu wiarę - powiedział kwaśno Charles. -Peter był facetem, który nie robił głupstw.

Hans podrapał się po czuprynie.

- Zdaje się, że natrafiliśmy na największą zdradę, jaką kiedykolwiek popełniono, prawda? - zapytał.

- Muszę zadzwonić do Margaret - stwierdził Michael. Poszedł do gabinetu i podniósł słuchawkę. John wyłączył terminal IBM i udał się za nim.

- Zaraz jak skończysz - powiedział - chcę ostrzec Sonię. I moją matkę, oczywiście.

Michael wykręcił numer. W słuchawce nastąpiła długa chwila ciszy, a potem sygnał ciągły.

Jeszcze raz wykręcił wszystkie cyfry. Znow to samo. Spróbował się połączyć z centralą. Udało się.

- Przepraszam, próbuję się połączyć z Anglią. Jak dotąd bezskutecznie - powiedział.

- Bardzo mi przykro - odparła telefonistka. - Ze względów bezpieczeństwa wszystkie połączenia międzynarodowe zostały przerwane. Żadne połączenie pomiędzy Danią a jakimkolwiek innym krajem nie może zostać zrealizowane.

- Ale przecież zaledwie pół godziny temu rozmawiałem z Anglią!
- Przykro mi, ale teraz wszystkie połączenia międzynarodowe są zabronione.
- Ależ ja mam do przekazania sprawę najwyższej wagi!
- Połączenia zostały przerwane. Nie jestem w stanie panu pomóc, nawet gdybym bardzo chciała.
- Czy mogę jednak przesłać telegram? - zapytał Michael.
- Przykro mi, ale w tej chwili nie wyjdą z Danii żadne telegramy, teleksy ani połączenia telefoniczne.
- Co mam więc zrobić?
- Musi pan czekać. Jeszcze raz bardzo pana przepraszam. Michael odłożył słuchawkę.
- I nic? - zapytał John. Michael tylko potrząsnął głową.
- Wszystkie połączenia międzynarodowe zostały przerwane. Podszedł do nich Hans, z ramionami bezsilnie zwieszonymi wzdłuż tułowia.
- Co zamierzacie teraz zrobić? - zapytał.
- A mamy jakiś wybór? Natychmiast musimy lecieć do Anglii. Oczywiście, jeśli załatwisz jakiś samolot.
- Obawiam się, że nie jestem w stanie podstawić wam żadnej specjalnej maszyny. Ale może załatwię rezerwację w SAS. Dajcie mi trochę czasu.

Do gabinetu weszła dziewczyna o imieniu Krysta. Przyniosła wielką tacę pełną filiżanek z gorącą czarną kawą. Dopiero przy kawie wszyscy usiedli: Michael, John, Lew i Charles, zmęczeni i w napięciu, wiedzący już, co i dlaczego przetacza się nad całą Europą. Byli sfrustrowani, trochę przestraszeni. Odkrycie informacji pozostawionej przez Petera Seckera podziało na nich prawie jak ułucie szpilki w nadmuchany balon. Nagle opuściła ją energia i pozostało zrezygnowanie.

- Masz rodzinę? Dzieci? - zapytał Charles Michaela.

- Chłopca.

- A więc chciałbyś tam być, prawda? W Anglii, przy swoim chłopaku.

Michael powoli splótł ręce pod brodą.

- Jak wpakowałeś się w to wszystko? - zapytał Charlesa. - Czy jesteś jednym z nich, jednym z Lamprey?

- Jeszcze przed kilku laty pracowałem dla Wujka Sama. Teraz jestem na zasłużonej, spokojnej emeryturze. Ale mam osobiste powody, żeby być teraz z wami. Ci Rosjanie uziemili kilku moich przyjaciół. Peter Secker był jednym z nich. Inny to na przykład Duńczyk Jeppe Rifbjerg. Następny to Roger. No i... no i ktoś bardzo mi bliski. - Zaciągnął się głęboko dymem z papierosa, a następnie powoli go wydmuchnął - Nadszedł koniec świata — stwierdził.

Słyszeli, jak Hans rozmawia w drugim pokoju przez telefon. W pewnym momencie weszła do nich Krysta i powiedziała do Lwa:

- Inga jest tutaj.

- Inga Schultz? - zapytał Lew, wstając z krzesła. - No, wreszcie będę miał przyjemność ją poznać. Rozmawiałem już z nią przez telefon, ale nigdy nie miałem okazji jej widzieć. Jest sama?

- Nie, ma ze sobą Rosjanina.

- Rosjanina? Masz na myśli Mikołaja?

- Nie, rosyjskiego marszałka Gołowanowa. Lew gwizdnął przez zęby.

- Przywiozła go tutaj, do Kopenhagi? To niewiarygodne. Wprowadź ją zaraz. Hans, zostaw ten telefon. Jest tutaj Inga Schultz z marszałkiem Gołowanowem!

Inga weszła pierwsza. W czarnym berecie, przyciemnionych okularach, okryta długim, czarnym, lekkim płaszczem przeciwdeszczowym. Charles wstał i zafascynowany patrzył, jak przechodzi przez gabinet i powoli ściąga z rąk czarne rękawiczki. Unosił się za nią delikatny zapach dobrych perfum.

Po chwili, w szarym płaszczu, dobrym w ramionach, lecz o kilka cali zbyt długim, wszedł do gabinetu marszałek Golowanow. Wyglądał na niepewnego siebie i zmęczonego. Za marszałkiem wszedł jeszcze młody człowiek. Brakowało mu dwóch przednich zębów, za to pewnie dzierżył w dłoniach pistolet maszynowy uzi.

Hans odłożył wreszcie słuchawkę i również wszedł do gabinetu. Położył rękę na ramieniu Michaela i powiedział:

- Na razie nie znalazłem żadnego samolotu do Anglii, przyjacielu - powiedział. - Musisz być cierpliwy. Wszystkie loty międzynarodowe zostały zawieszane. Dotyczy to wszystkich linii. Mój przyjaciel z SAS powiedział mi, że zarówno Rosjanie, jak i Amerykanie prosili ich o pozostawienie maszyn na ziemi, w trosce o życie pasażerów.

- A może popłynęlibyśmy jakimś statkiem? - zapytał Michael. — Czy jest jakaś szansa? Do cholery, jeśli będę musiał, to sam dopłynę do Anglii.

Gołowanow zapytał Inge po szwedzku, o czym mówi Michael. Inga odpowiedziała mu, a marszałek odezwał się niemal natychmiast donośnym głosem:

- Wszystkie statki, okręty, łodzie, które spróbują odpłynąć od wybrzeży Europy, zostaną natychmiast zawrócone przez radziecką flotę. Marynarka nie będzie strzelać, po prostu będzie zawracać uciekinierów. Oczywiście w wypadku oporu lub uporów w dążeniu do ucieczki jednostki będą zatapiane. Nie można stąd uciec również samochodem. Drogi są całkowicie zablokowane przez oddziały wojskowe oraz przez dotychczasowych uciekinierów.

Hans przeszedł przez cały gabinet i pocałował Inge w oba policzki.

- Jak się masz, moja droga? Dobrze zrobiłaś, że sprowadziłaś tutaj tę rybkę.

- Bardziej przypomina niedźwiedzia niż rybę - stwierdziła Inga ze swoim zimnym uśmiechem na ustach. -1 to rozwścieczonego niedźwiedzia. Mówi, że go zdradziłam. Że najpierw wykorzystałam jego ciało, a potem to, co zawiera jego mózg.

- Proszę, proszę - powiedział Hans, okrążając Gołowanowa z rękami na biodrach i uśmiechając się do niego. - Prawdziwy bohater Związku Radzieckiego. Zdrastwujcie, marszałku.

Gołowanow milczał i po chwili Hans odezwał się do Ingi:

- Czy on nie potrafi mówić?

- Żądam tłumacza - mruknął marszałek po rosyjsku. Inga uśmiechnęła się.

- Jak widzisz, nie podoba mu się twój rosyjski, Hans. Charles odstąpił od Gołowanowa na kilka kroków i zmierzył go uważnym spojrzeniem. - Powiedz mu, że jestem Amerykaninem - poprosił Inge.

- Powiedz mu, że wiele o nim słyszałem. Powiedz mu, że pracowałem dla CIA. Jeśli chodzi o CIA, to

uważają go tam za dzielnego człowieka.

- Kto to jest? - spytała Inga Hansa.

- Ach, muszę was sobie przedstawić. To Charles Krogh. W jakiś sposób został wciągnięty w te wszystkie sprawy. Bardzo nam pomógł dziś w nocy.

Inga skinęła głową, wpatrując się bladymi oczami w Charlesa.

- Bardzo mi miło, panie Krogh.

- Usiądź, Ingo, napijemy się kawy - powiedział Hans. Następnie zwrócił się do chłopaka z automatem. - Niro, obejmij posterunek na zewnątrz, na jakiś czas. Niech Tomas trochę odpocznie.

Krysta przyniesie ci kawę i trochę kanapek, jeśli jesteś głodny.

Inga rozwiązała pasek płaszcza i zdjęła go. Pod spodem miała ciągle te same skórzane spodnie i cienki sweter z szarej wełny, pod którym jej wielkie piersi poruszały się w taki sposób, że było jasne,

iż nie nosi stanika. Charles patrzył na jej twarz, jej sylwetkę i widział ten sam młodzieńczy, wykalkulowany chłód, który spotykał u najlepszych agentów, z jakimi dotąd współpracował. W ich jestestwie była pewna skaza, czarna dziura w miejscu, gdzie powinny znajdować się emocje, sentymenty. Zdusił papierosa w popielniczce i usiadł na białej skórzanej sofie, bardzo blisko Ingi.

- Przetłumacz coś dla mnie - Hans poprosił Inge. - Powiedz marszałkowi, że właśnie odkryliśmy szczegóły porozumienia zawartego pomiędzy Stanami Zjednoczonymi, Wielką Brytanią i Związkiem Radzieckim. Wiemy wszystko. Powiedz mu, że wiemy również o tym, iż Stany Zjednoczone rzuciły Rosjanom na pożarcie Wielką Brytanię.

Inga spojrzała na niego i zapytała szybko:

- Czy to prawda? Hans pokiwał głową.

- Wszystko zapisane było w komputerze. Nicholas Reed zdążył dowiedzieć się wszystkiego.

Niestety, Rosjanie zaskoczyli go, zanim zdołał komukolwiek w porę przekazać informację.

Inga zawahała się na chwilę, ale zaraz przetłumaczyła dla Gołowanowa to, o co prosił ją Hans.

Gołowanow pokiwał głową i wzruszył ramionami.

- Oczywiście, jest już o wiele za późno, żeby zapobiec temu, co się dzieje. Zresztą, porywając mnie, sami przyspieszyliście operację Byliny o kilka dni.

- Co zamierzacie z nim zrobić? - zapytał Charles Hansa. Choćby Rosjanie maszerowali nie wiadomo jak wolno, to jutro na lunch zameldują się na Vesterbrogade. Zdaje mi się, że natknięcie się na nich w towarzystwie ich porwanego marszałka może źle się dla nas skończyć.

- Zabijemy go — powiedział Hans obojętnie. Charles popatrzył na Gołowanowa, a Gołowanow na niego. W słowiańskich oczach Gołowanowa Charles ujrzał coś, czego nie widział od wielu lat. Było to absolutne zubożenie człowieka, którego ducha złamano, którego opuściła duma i którego każda mijająca godzina napełniała coraz większym strachem.

- Kto go przesłuchiwał? - zapytał Hans.

- Inga. Jest w tym mistrzynią. Ma specjalne wyczucie, jeśli chodzi o słabości mężczyzn.

- Ingo, co ty mu, do diabła, zrobiłaś? Inga roześmiała się.

- Mogę ci to zademonstrować. Charles powoli potrząsnął głową.

- Co to to nie, Ingo. Bardzo ci dziękuję.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

W poniedziałek nad ranem, kilka minut po czwartej, armia sowiecka rozpoczęła drugi dzień swojego marszu na zachód. Wielkie silniki dieslowskie zaczęły kaszleć i wypluwać kłęby dymu.

Podczas nocy oczyszczono z cywili większość głównych dróg i czołgi 1. Gwardyjskiej Armii Pancерnej przedostały się na przedmieścia Dortmundu w niecałe trzy godziny.

Wielkie transportowe An-22 lśniły na niebie w porannym słońcu, przenosząc ruchome wyrzutnie raketowe, żołnierzy, amunicję i zaopatrzenie. Od czasu do czasu przelatywała z potężnym hukiem formacja myśliwców MiG-21, raczej patrolująca ziemię niż niebo. Bundeswehra nie walczyła,

Amerykani i Anglicy nie pozostawili po sobie prawie niczego i nikogo, bojowe loty lotnictwa miały więc na celu raczej dodawanie odwagi maszerującym oddziałom niż jakiegokolwiek inne praktyczne znaczenie. No, może jeszcze akcentowały obecność sił powietrznych Armii Radzieckiej w tej wielkiej operacji.

Przed nacierającą armią unosił się strach i obawa. Drogi we Francji zostały do tego stopnia zablokowane przez niemieckich uciekinierów, że prezydent tego kraju zmuszony został do wydania rozkazu zamknięcia i strzeżenia granicznych punktów kontrolnych. Porty nad kanałem La Manche stały się miejscem ucieczki całych mas przerażonych ludzi z całej zachodniej Europy, głodnych, oszołomionych, zdradzonych. Nie organizowano jednak żadnych rejsów do Anglii, a każda prywatna łódź, jaka ośmieliła się wytknąć nos z portu, była natychmiast zawracana z powrotem przez rosyjskie niszczyciele.

Około godziny dziewiątej nad ranem, po rozmowach pomiędzy rządem Danii a Kremlm, dowództwo Armii Radzieckiej wysłało jedną dywizję czołgów i jedną dywizję zmechanizowaną przez

granicę duńską do Flensburga. Oddział spadochroniarzy wylądował w międzynarodowym porcie lotniczym w Kopenhadze. Rosyjskie oddziały lądowały poza tym z morza na Skeppsbron w

Sztokholmie. Dwa okręty pełne żołnierzy zakotwiczyły w Oslofjorden, czekając na rezultat rozmów na szczeblu rządowym i na zezwolenie wylądowania na norweskiej ziemi.

W biurze Frederiksberg Paper Company przy Thorvaldsensvej wyraźnie było słychać kościelne dzwony, bijące w całej Kopenhadze. Najżałośniej brzmiały dzwony Vor Frue Kirke, katedry oraz Helligandskirken, kościoła Ducha Świętego. Ulice były puste, mimo poniedziałkowego poranka. Od czasu do czasu przemykał się tylko jakiś pieszy. W radio zalecono obywatelom, aby nie opuszczali mieszkań, w celu ułatwienia ruchów Rosjanom.

Charles stał w biurze przy jednym z okien i wpatrywał się w zielone dachy miasta. Słuchał dzwonów i rozmyślał o Agnecie. Po chwili do pokoju weszła Inga i stanęła za nim. Podczas gdy uważnie go obserwowała, wyczuł jej obecność. Rozpoznał ją po zapachu perfum. Nie odwrócił się jednak, nie odezwał.

- No cóż — w końcu Inga przerwała ciszę. - Już są tutaj - dodała, nie pozostawiając wątpliwości, że ma na myśli Rosjan.

- Tak - odparł Charles.

- Czy to właśnie oznacza koniec świata? - zapytała. Potrząsnął głową.

- Nie, to po prostu powtarza się historia.

- Widzę, że jesteś filozofem - stwierdziła z sarkazmem.

— Mieszkam w Kopenhadze od wielu lat. Mam tu wielu przyjaciół. Pamiętają rok czterdziesty, kiedy wmaszerowały tutaj wojska Hitlera. Dziewiąty kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego. To ta

sama historia. Niemcy przyszli tutaj, żeby „obronić” Duńczyków przed agresją aliantów. Duńczycy stwierdzili, że opór byłby samobójstwem. Przynajmniej król Christian, bo to on podjął decyzję poddania kraju. Trudno się dziwić, że nie chciał dopuścić do rujnowania swych włości. I znów sytuacja się powtarza. - Milczał przez chwilę, po czym spojrzał na wschód. - Czy widzisz te chmury? Zawsze myślę o Kopenhadze, gdy widzę takie chmury. Przypominają mi statki i wyspy. Przypominają

mi o zapomnianych duchach, które kiedyś zamieszkiwały Danię. Inga dotknęła jego ramienia, delikatnie, niemal czule.

- Nie bądź taki sentymentalny. Ten świat nie został stworzony dla ludzi sentymentalnych.

Charles skrzywił się.

- Nie musisz mi tego mówić.

Nagle, bez chwili wahania, Inga pocałowała go w policzek. Charles dotknął ręką tego miejsca i popatrzył na nią, próbując zrozumieć, dlaczego to zrobiła.

- Lubię cię, to wszystko - powiedziała, odpowiadając na nie zadane pytanie.

- Cóż, ja chyba również cię lubię.

- Nie zapytasz, „co takie dziewczę jak ty robi w takim zafajdanym miejscu”?

- Zapytam cię, skoro tego chcesz. Uśmiechnęła się.

- Byłam przestępcą. Grałam w filmach pornograficznych, już gdy miałam trzynaście lat -

powiedziała. - „Lolita Movies”, taka była nazwa wytwórni. Teraz to jest zakazane prawie wszędzie,
z

wyjątkiem Holandii. A gdy przyjdą Rosjanie, zabronią pornografii wszędzie. Oni są bardzo pruderyjni.

- Czy to dobrze, czy źle? Nie jestem pewien, czy trzynastoletnia dziewczynka powinna

występować w filmach pornograficznych. Trzynastoletnia dziewczynka nie powinna w ogóle wiedzieć, że coś takiego istnieje.

- Nie wiem - powiedziała Inga. Znów dotknęła jego ramienia, gładziła je bezmyślnie i nagle się odwróciła. - Przez większość czasu, gdy to robiłam, bardzo mi się to podobało. Lecz straciłam

wówczas coś... wcale nie chodzi mi o dziewictwo, ale o coś... nie wiem... straciłam zdolność do

kochania, czułości. Charles lekko potrząsnął głową.

- Nikt tego nigdy nie traci tak do końca.

Inga popatrzyła na niego, długim, badawczym spojrzeniem. Po chwili odezwała się:

- Czy chcesz się ze mną kochać? Gdybym cię poprosiła, zrobiłbyś to?

- Tak - odparł Charles.

- Nie wierzę ci. Byłbyś bardziej mężczyzną, gdybyś mi odmówił.

- Byłbym kłamcą. Porzuciłem kłamstwa, gdy skończyłem pracować w CIA.

Roześmiała się. W tym samym momencie do środka zajrzał Hans.

- Musimy coś zrobić z Gołowanowem - powiedział.

- Myślałam, że zamierzasz go zabić - stwierdziła beznamiętnie Inga.

- No cóż, tak. Trzeba jednak zrobić to natychmiast i szybko stąd zwiewać. Wkrótce będą tu oddziały Specnazu.

Charles poprawił krawat.

- Poczekaj chwilę - powiedział. - Pozwól mi z nim porozmawiać.

- Ty chcesz z nim rozmawiać? - zdziwiła się Inga. - Przecież chodzi już tylko o to, żeby go zastrzelić. - Przyłożyła palec do prawej skroni, kciukiem odciągając kurek wyimaginowanego pistoletu. - Da swidanija, Timofieju.

Charles zdawał sobie sprawę, że Inga specjalnie pragnie go zaszokować. Poszedł do małego pokoiku, w którym więzili Gołowanowa przez noc. Inga ruszyła za nim.

Gołowanow siedział apatyczny w fotelu. Przypominał cierpliwego pacjenta, który oczekuje na wyniki badań rentgenowskich. Uniósł głowę i głośno pociągnął nosem, gdy ujrzał Charlesa.

- Czy potrzebuje pan chusteczki? - zapytał go Charles. Gołowanow uniósł rękę i powiedział:

- Niet. Spasiba.

Wyglądał na zupełnie wykończonego ostatnimi wydarzeniami.

Charles przysunął sobie krzesło i usiadł blisko Gołowanowa. Mundur marszałka zafascynował go. Wielkie wrażenie zrobiła na nim ogromna liczba odznaczeń, no i sam fakt, że oto siedzi przy marszałku ZSRR, do niedawna jeszcze jednym z najpotężniejszych ludzi na kuli ziemskiej. Przez te

wszystkie lata pracy dla CIA Charles nigdy nie doświadczył takiej okazji jak ta. Inga usiadła przy nich, gotowa tłumaczyć.

- Pan i ja możemy sobie nawzajem wyświadczyć przysługi - stwierdził Charles.

- Jakie przysługi? - zapytał Gołowanow, unikając jego wzroku.

- Bardzo ważne. Zdaje pan sobie sprawę, że ci ludzie zamierzają pana zastrzelić?

- Nie jestem w stanie ich przed tym powstrzymać.

- Coś takiego! - wykrzyknął Charles, rozkładając szeroko ramiona. - Armia Radziecka prawie już ląduje w Pakhuskaj, niecałe dziesięć minut drogi stąd, zmierzają tu oddziały, które mogą przywrócić panu wolność, a pan tu sobie siedzi, czekając na kulkę w łeb!

- Czy w pańskim języku istnieje słowo „pohańbienie”? - zapytał Gołowanow z trzęsącymi się policzkami.

- Tak - odparł Charles. - Ale istnieje także słowo „bezmyślność”. Nie mówiąc już o innym słówku: „debilizm”.

Gołowanow zmarszczył brwi. Odwrócił się do Ingi i zadał jej długie pytanie, w którym mieszały się słowa szwedzkie, niemieckie i rosyjskie. Po chwili Inga popatrzyła na Charlesa i powiedziała:

- Mówi, że chyba zwariowałeś, skoro w takim momencie uczysz go nowych słów po angielsku.

- Powiedz mu, że sam zwariował, że jest debilem.

Ale w końcu, w łamanym szwedzkim, Gołowanow zapytał ponownie, jaką to przysługę mogą sobie nawzajem wyświadczyć.

- A bardzo prostą - odpowiedział Charles. - Pozwolimy panu żyć, a pan w zamian powie swoim przyjaciołom, że to my właśnie uwolniliśmy pana z rąk porywaczy.

- To będzie kłamstwo - odparł Gołowanow.

- Ależ dlaczego? - zaprotestował Charles. - Przecież to, że pana porwaliśmy, wcale nie

oznacza, że nie możemy teraz pana uwolnić.

Inga przetłumaczyła te słowa na rosyjski. Przez cały czas Gołowanow patrzył na Charlesa baczny wzrokiem i gdy Inga skończyła, powiedział tylko po angielsku: Debil.

Do pokoiku wszedł Hans.

- Znów telefonowałem do mojego przyjaciela w SAS. Zdaje się, że Rosjanie zezwolili na odlot jednego samolotu... z amerykańskim i brytyjskim personelem dyplomatycznym. To jest podobno zagwarantowane w porozumieniu kopenhaskim. Samolot najpierw wylądaje w Londynie, gdzie uzupełni paliwo, a następnie poleci do Nowego Jorku.

Za Hansem stanął w drzwiach Michael.

- Czy ten twój przyjaciel mówił, jakie mamy szansę dostać się na pokład tego samolotu? - zapytał.

- Obawiam się, że bardzo małe - odpowiedział Hans. - Rosjanie już otoczyli lotnisko międzynarodowe i nie przepuszczą na płytę lotniska nikogo, kto im nie odpowiada.

Charles powstał.

- Cholernie chciałbym dostać się na ten samolot — stwierdził.

- Nie możesz czegoś zrobić, Hans?! - zawołał Michael desperacko. — Musi istnieć jakiś sposób, żeby stąd odlecieć!

Hans wolno pokręcił głową.

- Drodzy przyjaciele, gdybym tylko mógł coś na to poradzić... muszę teraz myśleć również o moich własnych ludziach. Wkraczają Rosjanie i nie mogę pozwolić, żeby moi ludzie dostali się w ich łapy. Poza tym muszę zabezpieczyć wszystkie punkty kontaktowe.

- Przecież musi być jakieś wyjście - nalegał Michael.

- Oczywiście, że jest wyjście - wtrącił się Charles. - Ruszymy na pełnym gazie do portu lotniczego, jakimś samochodem, który zaraz ukradniemy. Wtargniemy na płytę lotniska,

sterroryzujemy kogo trzeba pistoletami maszynowymi i zażądamy, żeby nas wypuszczono do Anglii.

Czy może być coś prostszego?

- Chyba zapominamy o jednym - odezwał się z namysłem Michael. - Przecież jest tu z nami jeden z najwyższych rangą oficerów Armii Radzieckiej. Jeśli on nie wprowadzi nas na pokład samolotu to kto?

Charles z aprobatą wydał wargi.

- Ten facet ma łeb, niech mnie szlag trafi - powiedział. - Co ty na to, Hans?

- To bardzo ryzykowne, przyjaciele. Przecież nie możemy polegać na Rosjaninie. Wystarczy jeden fałszywy ruch podczas akcji i wszyscy zginą.

Nagle usłyszeli jakąś bieganinę i hałas na korytarzu. Po chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wbiegł Niro, chłopak bez zębów trzonowych, za to z uzi gotowym do strzału w ręce. Pchał przed sobą

Rufinę Konstantinowną. Na jej twarzy malowało się cierpienie i skrajne wyczerpanie. Miała ranę na lewym policzku i opuchnięte wargi. Natychmiast ujrzała Michaela i stanęła jak wryta. Jednak gdy odezwał się do niej: „Rufina” – odwróciła głowę.

- Co się stało? - zapytał Michael. - Czy ktoś ją bił?

Hans popatrzył na niego uważnie.

- A co cię to obchodzi? - zapytał.

- A właśnie, że mnie obchodzi.

- To jest agentka KGB, drogi przyjacielu. Zamierzała pozbawić cię wolności do końca życia, oderwać cię na zawsze od rodziny. Obecnie, między innymi dzięki jej aktywnej działalności, armia jej

kraju zajmuje większość Niemiec Zachodnich i Skandynawii, a do końca tygodnia zapewne nie będzie

w Europie miejsca bez Rosjan. Również twoja żona i twoje dzieci staną się więźniami najbardziej represyjnego systemu politycznego, o jakim słyszał świat. A ty przejmujesz się tym, że ktoś

nieznacznie uszkodził jej twarz?

- Nieistotne, co uczyniła ona i jej rodacy. Nic z tego nie daje nam prawa zachowywać się jak zwierzęta.

Charles zapalił papierosa i nie wyjmując go z ust, niespodziewanie westchnął:

- Kurwa mać.

Michael spojrzał na niego złym wzrokiem, jednak w odpowiedzi Charles tylko machnął na niego ręką, żeby się uspokoił.

- Słuchaj, stary - powiedział. — Przez cały czas, kiedy ty zabawiałeś się w te swoje

komputerowe gry, dookoła ciebie toczyła się wojna. Prawdziwa wojna, podczas której ludzie się zabijali i torturowali. Znam was trochę, Anglików, i wiedz, Michael, że jeśli chcesz tę wojnę przeżyć,

nie wolno ci zachowywać się tak samo jak większość twoich rodaków. Musisz być fałszywy, stanowczy, samolubny, musisz zapomnieć o swoim angielskim fair play. Nie znaczy to, że masz być psychopatą; po prostu masz być równie zdecydowany, żeby bić i zabijać, jak twoi wrogowie. Pozwól,

że ci jeszcze coś powiem: najbardziej przewrotną, najbardziej bezwzględną służbę wywiadowczą mają

właśnie Brytyjczycy. W ich wydaniu to kombinacja chytrłości i sadyzmu. Bądź taki właśnie jak oni.

Nigdy nie miej w sercu litości dla wrogów.

Michael poczerwieniał ze złości, jednak Hans przerwał zapowiadającą się kłótnię:

- Nie ma czasu na takie spory, moi drodzy. Niech mi pan wierzy, panie Townsend, Charles

Krogh wcale nie jest takim skurwysynem, za jakiego pragnie teraz uchodzić. Ale to nieważne.

Najważniejszą sprawą jest teraz odpowiedź na pytanie, czy zamierzacie uciekać w kierunku lotniska z

marszałkiem Gołowanowem, czy spróbujecie ucieczki z nami.

Charles popatrzył na Ingę.

- Powiedz marszałkowi, że zabieramy go na lotnisko. Powiedz mu, że jeśli wprowadzi nas na pokład tego dyplomatycznego samolotu, będzie wolny.

- Ale co potem? - spytała Inga. - Kiedy tylko go wypuścimy, samolot zostanie uziemiony i nas aresztują.

Charles uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Powiedz mu, że z nami poleci towarzyszka Konstantinowna, jako zakładniczka. Niech chociaż jedna ubikacja nie zadziała na pokładzie podczas lotu, to wierzcie mi, sam odstrzelę jej tę piękną twarzyczkę.

Gołowanow spojrzał na Rufinę.

- Jestem marszałkiem Armii Radzieckiej. Dlaczego uważacie, że obchodzi mnie los tej dziewczyny? Podczas wojny posyłałem na śmierć setki ludzi. Setki. W tym również kobiety.

- A czy nie moglibyśmy zabrać jako zakładnika samego marszałka? — zapytał Michael.

- Nie - odparł Charles. - Jeśli on będzie na pokładzie, Rosjanie nie pozwolą nam nawet podkołować na początek pasa startowego. Poza tym nie sądzę, żeby personel dyplomatyczny USA zgodził się na wspólny lot z nim. Stany Zjednoczone zawarły przecież układ z Rosjanami, czyżbyście już o tym zapomnieli? Nigdy się nie zgodzą, żeby tacy gangsterzy jak my porwali bohatera Związku Radzieckiego.

- Czyli nie jesteśmy w stanie zdobyć żadnych gwarancji?

- Nie.

- Ja wam nie pomogę - odezwał się Gołowanow.

- Lepiej dla ciebie będzie, jeśli pomożesz.

- Wolę umrzeć.

Charles spojrzał na zegarek. Szkiełko było potrząskane i z trudem mógł dojrzeć wskazówki.

- O której godzinie odlatuje ten samolot? - zapytał.

- Macie godzinę - odpowiedział Hans.

Charles podszedł do Niro i wyjął mu z ręki uzi. Odbezpieczył go i skierował lufę prosto w nos Gołowanowa. Marszałek nie zmienił wyrazu twarzy i raczej nie wyglądał na przestraszonego.

- Dowiesz nas bezpiecznie na lotnisko czy nie? - zapytał go Charles.

Gołowanow popatrzył na niego twardym wzrokiem.

- Nie - powiedział. - I to jest moje ostatnie słowo. Charles leciutko poruszył palcem na spuście.

- OK - powiedział. - Skoro sam tego chcesz, udekoruję ten pokój twoim głupim mózgiem.

- To nic nie da, Charles - wtrąciła się Inga. - Raczej wybierze śmierć niż spełnienie tego żądania. Jest bardziej uparty niż osioł.

- Co więc, do cholery, zrobimy?

- Zostawcie go ze mną na chwilę.

- Samą?

- Tak, samą. Na kilka minut. Charles oddał uzi z powrotem Niro.

- Cholera jasna - powiedział. - A myślałem, że to ja jestem bardziej uparty niż osioł.

- No cóż, teraz wiesz, dlaczego nigdy nie zostałeś marszałkiem - stwierdził Hans z uśmiechem.

Wszyscy wyszli do głównego pomieszczenia, pozostawiając Gołowanowa z Ingą sam na sam.

Wkrótce pograżyli się w rwanych, nerwowych rozmowach. John próbował wyjaśnić Lwu, w jaki sposób można przygotować prosty program dla domowego komputera. Rozmowa była nad wyraz abstrakcyjna, ponieważ Lew nie miał ani domu, ani komputera.

Michael podszedł do Rufiny i stanął przed nią, długo nic nie mówiąc.

- Nie musisz mnie przepraszać za swoich przyjaciół - powiedziała w końcu Rufina.

- Bili cię.

- Robili o wiele gorsze rzeczy. Lecz w szkole KGB przygotowują nas na wszystko.

- Czy oni...?

Odwróciła wzrok. Niro nie spuszczał z niej oczu. Stał, czujny, z uzi gotowym do strzału, na wypadek gdyby chciała uciekać, chociaż nie bardzo miała dokąd.

— Czy chcesz koniecznie usłyszeć, że mnie zgwałcili? - zapytała.

— A zgwałcili? - Michael poczuł, jak ogarnia go wściekłość, a na skórze poczuł zimny pot.

— Wróc do swojej żony i dziecka, jeśli zdołasz - powiedziała Rufina. - Nie potrafiłbyś nigdy kochać takiej kobiety jak ja.

Michael nie wiedział, co odpowiedzieć. Rufina wciąż była piękna, mimo rany, zmęczenia. Lecz, rzeczywiście, była poza jego zasięgiem. Wiedział, że zrobi wszystko, żeby wrócić do Margaret i Duncana i do swojego małego domku w Sanderstead.

— Czy mogę cię pocałować? - zapytał. Popatrzyła na niego uważnie.

— Po co ci to?

— Nie wiem. Bo czuję się winny z powodu tego, co ci zrobili. Ponieważ być może kocham cię, mimo że to nie ma sensu. Być może... no cóż, nie wiem. Myślę, że znaczysz dla mnie bardzo wiele. Może zabrzmiało to zbyt górnolotnie, ale nikt dotąd, nigdy, nie miał na mnie tak wielkiego, magicznego wpływu.

— Magicznego? - powtórzyła. Zawahała się na moment, ale po chwili podeszła bliżej i uniosła wzrok. Michael pocałował ją delikatnie w nabrzmiałe usta. Nie zamknęła oczu, lecz podczas całego, długiego pocałunku patrzyła na niego. Michael poczuł się trochę nieswojo, jakby znalazł się pod mikroskopem.

— Czy wiesz, co mi zrobili? - zapytała. — Wepchnęli we mnie butelkę po winie, nie szynką, lecz dnem, i potem lali do niej gorącą wodę. Mówili, że jeśli nie powiem im tego, czego chcą, zaczną lać wrzątek.

Zszokowany Michael odwrócił się i spojrzał na Lwa. Ten, nie zdając sobie sprawy, o czym przed chwilą mówiła Rufina, zmarszczył tylko brwi i wzruszył ramionami.

— O... od tej pory komputer drukować będzie tylko to, co wystukasz na klawiaturze - nie przestawał mu tłumaczyć John.

— Twój najlepszy przyjaciel - powiedziała Rufina - są tak samo źli jak KGB, o ile nie gorsi. Są gorsi na szczególnie ohydny sposób, gdyż zgrywają niezwykle honorowych i humanitarnych. A ty, co ty robisz tu z nimi? Dręczysz mnie, chcesz mnie całować.

„Całować” zabrzmiało jak coś niesłychanie wstrętne. Niespodziewanie otworzyły się drzwi i weszła Inga.

— No i co? - zapytał Charles.

- Musimy się śpieszyć. Mamy niecałą godzinę, aby zdążyć na samolot - odpowiedziała.

- To znaczy, że Gołowanow nam pomoże?

- Tak, pomoże nam. Pośpieszmy się.

- Coś takiego! Nie wiem, co mu zrobiłaś. Może nie chcesz mi o tym opowiedzieć, ale widzę, że poskutkowało.

- Tak, poskutkowało - powiedziała Inga z uśmiechem. - I nie, nie zamierzam ci niczego na ten temat powiedzieć.

- Niedaleko, na rogu J. M. Thiles Vej, mam zaparkowane szare volvo — odezwał się Hans. -

Możecie z niego skorzystać. Proponuję, żebyście skręcili w prawo w H. C. Orsteds i pojechali prosto

na lotnisko. Rosjanie prawdopodobnie otoczyli już kordonem centrum miasta.

Hans udał się na chwilę do jednego z sąsiednich pomieszczeń i wrócił z kluczykami do samochodu oraz uzi. Wszystko to wręczył Charlesowi.

- Nie życzę ci, żebyś musiał tego używać. - Wymownie spojrzął na pistolet maszynowy. - Daję ci to tylko po to, żebyś czuł się trochę lepiej, jadąc na lotnisko.

Charles powoli pokiwał głową.

- Dziękuję ci. Ty i twoi ludzie uczyniliście dla nas więcej, niż mogliśmy się spodziewać. Nigdy

się nie odwdzięczymy.

Michael i John pożegnali się z Lwem, który postanowił, że pozostanie w Kopenhadze.

- Walczyć muszę tutaj, pomiędzy Rosjanami. Nigdzie indziej nie będę tak skuteczny.

John podszedł do Rufiny. Zdjął okulary, złożył je i wsunął do kieszeni na piersi.

- Możemy później nie znaleźć czasu - powiedział.

- Czasu na co? - zapytała zimno.

- Na to, żeby się pożegnać. Popatrzyła na niego lekceważąco.

- Przypuszczam, że i ty chcesz mnie pocałować. John potrząsnął głową.

- Chcę po prostu powiedzieć, że bardzo mi przykro. To wielka szkoda, że nie spotkaliśmy się w innym czasie. Wiesz... w innych okolicznościach - mówiąc to, stał przed nią zmieszany jak uczeń.

Rufina zamknęła oczy, jakby chciała teraz zasnąć, na stojąco, i nigdy już się nie obudzić.

— Zbyt jestem zmęczona na takie rozmowy - powiedziała.

W drzwiach pojawił się marszałek T. K. Gołowanow. Rozcierał przeguby, z których przed chwilą zdjęto więzy. Był niewysoki, lecz muskularny, krępy i prezentował w tej chwili władczą postawę, która przyciągała wzrok.

— Kawryj czas? — zapytał.

— Piat minut diesiaf — odparła Inga.

— Powinniśmy więc już iść - stwierdził.

Lew jako Rosjanin zszedł na ulicę, żeby sprawdzić najpierw, czy nie ma wokół rosyjskich żołnierzy. Reszta czekała jeszcze w biurze. Gołowanow sztywny i poprawny. Inga, stojąca cicho koło niego. Charles z uzi zwisającym z ramienia z zaciekawieniem spoglądający na Rufinę. Do tej pory nigdy nie używał takiego automatu przeciwko ludziom, mimo że w CIA nauczono go, jak obchodzić się z tą niebezpieczną bronią. Michael i John stali niespokojnie, nie odzywając się. Zdawali sobie sprawę, że im większa jest stawka gry, tym mniejsza jest w niej ich rola.

Ciszę, jaka zapanowała po wyjściu Lwa, przerwał Hans:

— Chciałbym wam co nieco doradzić. Kiedy już dostaniecie się na pokład samolotu, o ile w ogóle się dostaniecie, nie wolno wam wspomnieć komukolwiek z amerykańskich lub angielskich dyplomatów, że cokolwiek wiecie o porozumieniu kopenhaskim czy o jakimkolwiek z punktów traktatu. Mogłoby to okazać się dla was bardzo niebezpieczne. Musicie zachowywać się tak, jakbyście

byli tylko zwykłymi turystami, którzy przypadkiem znaleźli się na obszarze zajmowanym przez Rosjan, i wszystko, czego pragniecie, to szczęśliwy powrót do swoich domów.

Minęło pięć minut, a Lew nie wracał.

— Ten samolot i tak nam ucieknie, jeśli natychmiast nie ruszymy tyłków. Co zatrzymało tego faceta? - zapytał Charles.

Gołowanow nadal stał bez ruchu. John zaczął nerwowo obgryzać paznokcie. Michael wiedział, że John robi to zawsze, gdy ma do rozwiązania jakiś wyjątkowo skomplikowany problem komputerowy. Charles zapalił papierosa i ciężko wzdychając, wypuszczał dym z ust.

Po kolejnych dziesięciu minutach Hans odezwał się do Niro:

— Zejdź na dół i sprawdź, co stało się z Lwem. Może natrafił na jakiś sowiecki patrol?

Niro ściągnął uzi z ramienia i skierował się do windy.

- Na wszelki wypadek idź klatką schodową! - zawołał za nim Hans.

Niro, nie odwracając się, machnął ręką, że zrozumiał.

Czekali z niecierpliwością i wzrastającym napięciem. Po następnych pięciu minutach, kiedy nie było śladu również po Niro, Charles odezwał się nerwowo:

- Cholera jasna, to niemożliwe. To tak jak z dziesięcioma małymi Murzynami. Jeden poszedł zobaczyć, co się, kurwa, dzieje i w końcu zostało ich tylko pięciu.

W końcu pozostawało już tylko trzydzieści pięć minut do planowego odlotu samolotu.

- Co robimy? - zapytał Charles Hansa. - Chyba nie możemy dłużej czekać.

- Być może na dole są Rosjanie. Prawdopodobnie dorwali Niro i Lwa, a teraz skurwysyny czekają na resztę.

Charles podszedł do okna i spojrzał na ulicę.

- Nikogo nie widzę. Żadnych pojazdów, czołgów. Cała ulica jest opustoszała.

- Na miłość boską, musimy spróbować się stąd wydostać -nie wytrzymał Michael. - W przeciwnym wypadku samolot wystartuje bez nas.

Charles pokiwał głową.

- Masz rację, przyjacielu. Musimy spróbować. Czy wszyscy jesteście gotowi?

- To niebezpieczne, Charles - powiedział Hans. - Możecie wszyscy zginąć.

- Oczywiście - powiedział Charles. — A jutro jest wtorek. Michael popatrzył na zegarek, ten, który dostał od Margaret na urodziny. Zostało trzydzieści pięć minut do odlotu, a lotnisko międzynarodowe Kastrup znajdowało się o przynajmniej pół godziny szybkiej jazdy samochodem. Oczyma wyobraźni widział samolot na pasie startowym, grzejący już silniki. Mimo że w pokoju działała klimatyzacja, pocił się i nagle odczuł potrzebę wyjścia do toalety.

- Poczekajcie jeszcze minutę - powiedział Hans. - Poślę na dół Tomasa. Tomas! - krzyknął.

- Jezu Chryste - warknął Charles, już na dobre rozdrażniony. — Jeśli tak dalej pójdzie, resztę życia spędzimy pod czerwoną flagą - przybiegł Tomas, krzepki młody mężczyzna w wieku dwudziestu pięciu lub dwudziestu sześciu lat, z cienkimi jasnymi wąsami. I on dzierżył w dłoni uzi.

Hans powiedział coś do niego szybko i młodzieniec wyszedł, żeby sprawdzić, co stało się z Lwem i Ni-ro. Michael skorzystał z okazji, aby pójść do łazienki. Gdy myjąc ręce, spoglądał na odbicie swojej

twarzy w lustrze, pomyślał: Boże, co ze mną się stało? Co stało się z całym tym cholernym światem?

Kiedy wrócił z łazienki, Tomas był już u góry.

- Nie zauważyłem nikogo - oznajmił. - Nie mam pojęcia, co mogło się z nimi stać.

- Może musieli uciekać? - zapytał Charles. - W każdym razie my musimy zrobić to samo.

Michael, jesteś gotowy? John? A co z panem, marszałku Gołowanow?

- Marszałek jest zawsze gotowy - powiedziała Inga.

- Czy mamy szansę dotrzeć na lotnisko na czas? - zapytał Michael.

- Do cholery, musimy - stwierdził Charles.

Z Charlesem na czele szybko i po cichu ruszyli korytarzem wyłożonym szarym dywanem.

Wszystkie biura w budynku były jak wymarłe. Radio ostrzegło wszystkich mieszkańców Danii, aby pozostali w domach, aby pozostawili puste ulice i przyjęli „godną i poprawną postawę” wobec wkraczających Rosjan. Zakrawało na ironię, że gazety i radio używały tych samych słów, gdy w 1940 roku do Danii wkraczali Niemcy. „Godna i poprawna postawa”.

Dotarli do windy.

- Jestem za stary, żeby złązić po schodach - oświadczył Charles i nacisnął przycisk. Winda przybyła prawie natychmiast, ponieważ w budynku nie było poza nimi nikogo. Weszli do środka i Michael nacisnął przycisk oznaczający hali. Charles był niespokojny, Gołowanow chłodny i cichy.

Ręce trzymał sztywno przy biodrach, jakby oddawał honory mumii Lenina w święto państwowe.

Winda zjechała do hallu. Po chwili nerwowej ciszy drzwi otworzyły się. A w hallu już czekał na nich, we własnej osobie, Krow iz Nosu. Wysoki, o nieprawdopodobnie ohydnej, nieludzkiej twarzy, bladych, pustych oczach, przypominających ekran przed chwilą wyłączzonego telewizora. Czekał na nich, stojąc im na drodze do wolności.

- O kurwa - westchnął Charles. Szybko odbezpieczył uzi i uniósł lufę.

Ale Gołowanow położył rękę na broni i powiedział po angielsku:

- Poczekaj. - Następnie odezwał się do Ingi w tej przedziwnej mieszance szwedzkiego, niemieckiego i rosyjskiego, której używali w rozmowach pomiędzy sobą. Po chwili Inga zwróciła się do wszystkich:

- Marszałek nie życzy sobie żadnej przemocy. Nie chce, żeby Nowikowowi stało się coś złego.

Marszałek poprowadzi nas na lotnisko; jest pewien, że Nowikow nie będzie dla nas żadną przeszkodą,

o ile zabierzemy go z sobą.

- Ja z tym monstrum w jednym samochodzie?! - wykrzyknął Charles.

Michael ujął go pod ramię. W nocy Hans zdążył mu opowiedzieć, co stało się z Agnetą, Rogerem i Jeppe Ritbjergiem.

- Charles - powiedział. - Posłuchaj, nie mamy czasu. Na razie musisz się na to zgodzić.

- Przecież mogę zniszczyć to monstrum w ciągu pięciu sekund — warknął Charles. Tak bardzo pragnął zabić Nowikowa, że aż dygotał.

- Naprawdę? - zapytała Inga z sarkazmem. - I w ciągu tych pięciu sekund możesz ściągnąć tu całą dywizję sowieckiej piechoty. Uspokój się. Kiedyś byłeś profesjonalistą. Pokaż, że jeszcze coś ci z tego pozostało.

Charles otarł usta rękawem. Opuścił uzi i powiedział:

- Dobra, idziemy. Chodźmy stąd, zanim zmienię zdanie. Gołowanow pierwszy wyszedł z windy i powiedział coś cicho i pewnym siebie głosem do Nowikowa. Zabójca kilkakrotnie skinął głową i wymruczał coś w grzecznej odpowiedzi. Charles okrążył obu i ostrożnie wyjrzał przez drzwi wyjściowe na Thorvaldsensvej. Następnie odwrócił się i uśmiechnął do Ingi, Rufiny, Michaela i Johna, jakby byli paczką przyjaciół wybierających się właśnie na jakiś ubaw.

Do drzwi podszedł Gołowanow.

- Jeśli wyjdziemy teraz, nie będziemy mieli żadnych problemów - stwierdził.

- Dzięki ci za to, Boże - westchnął Charles.

Wyszli z budynku. Bezsensowna grupa w tym najdziwniejszym z dni. Przeszli przez jezdnię i skręcili w lewo w J. M. Thiles

Vej. Tak jak im powiedział Hans, volvo czekało. A obok na chodniku leżały ciała Lwa i Niro, o

czarnych twarzach uduszonych ludzi. Obaj mieli jeszcze druty okręcone wokół szyi. Charles zerknął na swoje uzi.

— Widzicie więc wszyscy, jaka to bestia - powiedział i machnął lufą w kierunku Nowikowa.

Inga miała łzy w oczach, ale ponagliła go:

— Naprzód. Zostało tylko dwadzieścia minut.

Weszli do volvo, Michael usiadł za kierownicą. Nerwowo ruszył i od razu skręcił do tyłu, na południe, w kierunku, który wskazał mu Charles.

— Za minutę wjedziemy w Enghavevej, a to jest właśnie autostrada sześćdziesiąt sześć, prowadząca prosto na Kastrup.

Ulice były opustoszałe. Nie było Rosjan, Duńczyków, nikogo. Kopenhaga wyglądała jak ogarnięta zarazą. Minęli potężny browar Carlsberga, przejechali nad główną linią kolejową, potem nad

Sjaellandsbro. Patrząc na północ, w kierunku Sydhavn, Charles ujrzał sześć albo siedem rosyjskich amfibii desantowych, zmierzających w zwartej formacji po szarej wodzie w kierunku wybrzeża. Niebo

miało taki sam kolor jak budynki, szary i melancholijny. Do widzenia, Kopenhago, pomyślał. Do widzenia, Agneto.

Nowikow siedział w kącie na tylnym siedzeniu. Jego spojrzenie ani na moment nie skrzyżowało się ze spojrzeniem Charlesa. Charles nie patrzył w jego kierunku, nie patrzył też na swoje uzi.

Gołowanow siedział z rękami skrzyżowanymi na piersiach, spokojny, cichy, niczym przypadkowy pasażer taksówki. Rufina siedziała przy oknie, nerwowo okręcając włosy wokół palca i rozglądając się

dookoła za jakimikolwiek oddziałami rosyjskimi.

— Przyśpiesz trochę, na miłość boską. - Charles poganiał Michaela. - To nie jest pogrzeb.

Przynajmniej na razie.

Gdy dotarli na lotnisko, do odlotu pozostało jeszcze sześć minut. Przy samym porcie lotniczym

zobaczyli po raz pierwszy sowieckie oddziały. Piętnastu lub szesnastu żołnierzy z jednostki powietrznodesantowej. Ich pomalowane na kolor khaki helikoptery Mi-26 stały na płycie lotniska. Trzech żołnierzy weszło na drogę, gdy volvo zbliżało się do wjazdu na płytę. Michael musiał zatrzymać samochód.

— Lotnisko jest zamknięte - powiedział jeden z nich po rosyjsku.

Gołowanow zdecydowanym ruchem opuścił tylną boczną szybę.

- Dla mnie, żołnierzu, nic nie jest zamknięte - oznajmił. - Natychmiast przepuście samochód.

Żołnierz osłupiał, gdy ujrzał mundur marszałka Armii Radzieckiej. Szybko opanował się jednak na tyle, aby oddać honory wojskowe. Gdy jego kompani zobaczyli, kto jest w volvo, natychmiast uczynili to samo.

- Ci ludzie to dyplomaci z zaprzyjaźnionych krajów i muszą zdążyć na specjalny lot - ciągnął

Gołowanow. - Natychmiast zorganizujcie eskortę i poprowadźcie nas bezpośrednio do samolotu.

Skontaktujcie się również z wieżą kontrolną i upewnijcie się, że polecenie odlotu zostanie wydane dopiero wtedy, gdy ci ludzie znajdą się bezpiecznie na pokładzie.

- Rozkaz, towarzyszu marszałku - odpowiedział jeden z żołnierzy.

Otwarto bramę i Michael ruszył na betonową płytę za jednym z żołnierzy, który zdecydował się eskortować volvo na motocyklu.

Okrążyli budynki terminalu i wkrótce go ujrzeli: wielkiego boeinga 747 z pracującymi już silnikami, w niebieskim i białym kolorze Scandinavian Air Systems. Przy samolocie stały trzy wózki bagażowe oraz trzech sowieckich oficerów. Było jeszcze kilkunastu żołnierzy. Michael podjechał pod

same schody prowadzące do samolotu i zatrzymał samochód.

Oficerowie zbliżyli się do volvo, gdy jego pasażerowie zaczęli wysiadać. Nagle ujrzeli

Gołowanowa i w jednym momencie zniknęła cała ich pewność siebie. Jak w ludowym tańcu, nagle zrobili kilka kroków do tyłu. Zasalutowali i stali w milczeniu, gdy Gołowanow zbliżał się do stopni

samolotu.

Ale najstarszy rangą z nich, major, wyszedł do przodu i zasalutował.

- Towarzyszu marszałku, samolot jest gotów do startu. Obawiam się, że na pokładzie znaleźli się już wszyscy pasażerowie uprawnieni do odlotu.

- Ludzie, którzy przyjechali tu ze mną, również odlecą tym samolotem - odparł Gołowanow władczym głosem. - Jeśli powiecie jeszcze jedno słowo, uznam to za niesubordynację.

Ciepły majowy wiatr hulał nad lotniskiem. Silniki boeinga zabrzmiały głośniejszym, przechodząc w grzmiący świst. Major zacisnął usta, popatrzył w stronę wieży kontrolnej i ponownie na Gołowanowa.

Znał jego twarz, znał ją każdy oficer w Związku Radzieckim. Nie wiedział o porwaniu, było ono bowiem jedną z najbardziej strzeżonych tajemnic.

- Tak jest, towarzyszu marszałku - powiedział w końcu. - Niech pasażerowie samochodu wejdą do samolotu. Tylko bardzo proszę o pośpiech.

Z wielką ulgą Michael i John zaczęli wspinać się po stopniach wiodących do boeinga 747. W pewnym momencie Michael odwrócił się i stwierdził, że nikt już za nimi nie idzie.

— Dalej, ruszajcie! - zawołał. Ale w tym samym momencie zdał sobie sprawę, że nikt już za nimi nie ruszy. - Rufina, no chodź - zawołał jeszcze głosem, w którym nie było nadziei.

Rufina uśmiechnęła się smutno i odwróciła się. Zachód był nie dla niej. Nie dla niej, z mężczyzną, który musiał wracać do swojej żony i dziecka na przedmieścia Londynu.

Marszałek Gołowanow nawet nie spojrzał w górę. Dla niego Zachód był anatema, nieważne, co go spotka, gdy Politbiuro dowie się, że został porwany, a teraz się odnalazł. Ze zdumieniem Michael stwierdził, że również Inga nie zamierza polecieć, i tej decyzji nie był w stanie zrozumieć.

Inga zostawała na lotnisku, ponieważ za ich wolność zapłaciła własnym ciałem. Nie torturowała Gołowanowa, żeby zmusić go do wprowadzenia uciekinierów na pokład samolotu. Po prostu przyrzekła mu, że zostanie z nim jako jego przyjaciółka, konkubina, tak długo, jak długo tego będzie

chciał. I właściwie dlaczego nie? Gołowanow da jej wszystko, czego zażąda, dając na wsi, perfumy, futra, i wcale nie będzie czuła się więźniem swojego przeznaczenia bardziej niż dotąd.

A Charles? Charles uniósł rękę, pomachał nią i powiedział: - Jeszcze chwilę. Poczekaście minutę. O czymś zapomniałem.

Michael patrzył, jak Charles wraca do volvo, otwiera tylne drzwi i szuka czegoś pod siedzeniem. W tej samej chwili siedzący w środku Nowikow spróbował otworzyć drzwiczki od drugiej strony, ale najwyraźniej zostały zablokowane. Michael nie mógł niczego słyszeć, gdyż silniki samolotu zagłuszyły już wszystko, ujrzał jednak, jak Nowikow wali pięściami w szybę samochodu w desperackiej próbie wydostania się na zewnątrz.

Charles odszedł na kilka metrów od samochodu i Michael ujrzał, że trzyma w rękach pistolet maszynowy uzi. Nie widział tego żaden z rosyjskich żołnierzy, gdyż Charles był odwrócony do nich plecami. Gołowanow uśmiechał się - po raz pierwszy od momentu, gdy Michael go ujrzał. Inga odwróciła twarz w kierunku wiejącego wiatru, napawając się jego zapachem.

Seria z uzi nie jest tak przerażająco szybka jak z ingrama: tylko sześćset pocisków na minutę.

Charles kilkakrotnie naciskał spust, wystrzeliwując pociski krótkimi seriami.

Pierwsza rozbiła szyby volvo i pokryła odłamki szkła krwią. Druga rozdarła siedzenia, drzwi, podłogę. Wnętrze volvo w niczym nie przypominało już samochodu.

Nastąpiła przerwa. Charles okrążył samochód z elegancją tancerza, który oczekuje na balerinę, aby wspólnie kontynuować taniec.

Ma facet nerwy, pomyślał Michael. Ma nerwy. Wie, że po tym zabójstwie za chwilę sam zginie.

Ponad roztrzaskanym oknem volvo uniosła się zakrwawiona ręka i spróbowała uchwycić się framugi, żeby podciągnąć całe ciało. Nowikow próbował wydostać się na zewnątrz. Ręka przypominała okaleczonego kraba, stworza, który żyje własnym życiem. Ale w tym momencie Charles wystrzelił jeszcze raz, krótką serią, prosto w zbiornik z benzyną.

Samochód eksplodował z potężnym grzmotem. W jego wnętrzu rozpętało się piekło. Było widać tylko rozszalałe, pomarańczowe płomienie, chociaż Michaelowi przez moment, ale tylko przez moment, zdawało się, że widzi trzepotające ręce Nowiko-wa. Zaraz jednak wesołe płomienie zastąpił gęsty, czarny dym i Charles się odwrócił. Dla wszystkich stało się jasne, że akt zemsty został dokonany. Krow iz Nosu, mężczyzna kiedyś spalony i zmartwychwstały, spłonął znowu.

Z samolotu wyjrzała stewardessa o bladej, przerażonej twarzy i zawołała:

- Panowie, proszę do środka, musimy startować. Mamy już opóźnienie.

Michael i John pokonali ostatnie kilka stopni dzielących ich od kabiny samolotu. Już wchodząc do środka, usłyszeli serię gwałtownych eksplozji i jakiś nieludzki skowyt. W tym momencie żadna siła nie powstrzymałaby ich przed odwróceniem się.

Ogarnięty ogniem Nowikow w jakiś sposób wy dostał się z volvo. Stał na betonie, płonący od stóp do głowy, a eksplozje pochodziły z jego gwałtownie sma żącego się ciała. Zrobił jeden krok w kierunku Charlesa, potem następny, chociaż Bóg jeden tylko wiedział, w jaki sposób Nowikow odnajduje właściwy kierunek, ponieważ jego oczy musiały spłonąć dawno, zanim wy dostał się z samochodu.

Charles wrzasnął długim, strasznym wrzaskiem nienawiści i zemsty i wystrzelił resztę kul z uzi w płonące ciało.

Nowikow zakołysał się, zachwiał i upadł. Leżał, płonąc na betonowej płycie lotniska, a Charles stał nad nim i patrzył, jak ciało bestii czernieje, a palce powoli przybierają nienaturalne kształty.

W tym momencie dopiero jeden z rosyjskich oficerów ruszył w kierunku Charlesa, odpinając skórzaną kaburę i wyciągając z niej pistolet. Nie zmieniając tempa marszu, strzelił mu w klatkę piersiową, a potem, gdy Charles już upadł, strzelił mu jeszcze w głowę.

Charles słyszał potężny grzmot. Mógł to być hałas silników samolotu. Mógł to być hałas

wydawany przez jego własną krew, opuszczającą jego ciało. Mogły to być wspomnienia, wymykające

się z błyskawiczną szybkością ze zranionej głowy. Otworzył oczy i ujrzał wirujący, ciemny świat.

Zastanowił się, co tu robi i dlaczego nie może oddychać.

Nie myślał o Agnecie. Ujrzał przed oczyma matkę stojącą nad jego kołyską, otulającą go białą pierzynką, i blade światło zimowego popołudnia za oknem zasłoniętym cienką firanką.

Ktoś klęczał przy nim, kobieta o jasnych włosach.

— Mamo - szepnął ustami, którymi już prawie nie mógł poruszać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

David Daniels kończył właśnie kawę, gdy kanadyjski policjant wszedł do jego celi i stanął przed nim ze zmarszczonym czołem. Miał rumianą twarz - twarz człowieka, którego wkrótce dotknie atak serca - i rude wąsy. Przez chwilę tylko stał w milczeniu.

- Czy przedstawicie mi w końcu oskarżenie? - zapytał David. Policjant potrząsnął głową.

- Otrzymałem inne polecenie.

- Jakie polecenie?

- Mam natychmiast przekazać pana dwóm agentom FBI. Czekają już na zewnątrz.

David odstawił filiżankę z kawą.

- Ale jesteśmy w Kanadzie. FBI nie ma tu nic do szukania!

- Takie otrzymałem polecenie.

- Ale czy nie rozumiesz, człowieku? Oni mnie natychmiast zabiją.

Policjant bezsilnie rozłożył ręce.

- Przykro mi, przyjacielu. Nie pozostaje mi nic innego, jak podporządkować się rozkazom, które otrzymałem.

- Chcę się widzieć z adwokatem! - zażądał David.

- Jeszcze pana o nic nie oskarżono.

- Skoro mnie nie oskarżono, tym bardziej nie możecie przekazać mnie w ręce FBI!

Policjant uśmiechnął się blado.

- A założymy się?

Zwrócił Davidowi odebrany mu wcześniej portfel. Potem poprowadził go do hallu, silnie pachnącego środkami dezynfekującymi. Tam David podpisał, że wszystkie rzeczy zostały mu zwrócone.

Następnie dwóch funkcjonariuszy przeprowadziło go przez szklane drzwi obrotowe i wyszedł na słońce. Wiał lekki wiatr od zachodu. Po drugiej stronie ulicy stał szary buick. Obok niego czekało dwóch mężczyzn w sportowych kurtkach i szarych spodniach.

- Proszę wsiąść do samochodu - odezwał się jeden z nich do Davida. Miał tłustą cerę i chrapliwy głos. David wykonał polecenie, siadając z tyłu buicka. Agent bez słowa usiadł koło niego.

Drugi mężczyzna zasiadł za kierownicą. Trzasnęły drzwiczki i samochód ruszył.

W milczeniu jechali ulicami Oakville. Kiedy jednak dotarli do autostrady numer pięć, zamiast skręcić w kierunku USA, wjechali w odgałęzienie wiodące do Toronto.

Agent o tłustej cerze odwrócił się do Davida.

- Ma pan więcej przyjaciół, niż pan myśli, senatorze Daniels.

- Co to wszystko znaczy? Dlaczego jedziemy do Toronto?

- To znaczy, że są ludzie, którym zależy, aby pan żył.

- Nie jesteście więc z FBI?

- Och, oczywiście, że jesteśmy z FBI. Jednak dyrektor FBI niekoniecznie musi podzielić zdanie obecnej administracji na temat tego, co się dzieje w Europie. Jest poza tym wiele innych organizacji, którym się to nie podoba. Kościoły, na przykład, albo różne organizacje etniczne, mające związki z Europą: żydowskie, francuskie, włoskie, szwedzkie, holenderskie... Wciąż podejrzliwy, David powiedział:

- Nie da się tego cofnąć. Rosjanie zajęli Europę. Co nam pozostało? Już nigdy ich stamtąd nie wypędzimy, chyba że wywołamy wojnę światową.

Agent wzruszył ramionami.

- Być może ma pan rację. Niech pan jednak pamięta, że jest wielu ludzi, którzy będą walczyć o wolność Europy. Najpierw pozbywając się obecnej administracji USA, a potem wszczynając bezpośrednią walkę z Rosjanami. Być może będzie wojna. Być może musi być wojna.

David usiadł wygodniej na swoim siedzeniu.

- Dokąd mnie zabieracie? - zapytał znów.

- Tam, dokąd zmierzał pan przedtem, do Vancouver. Tam wysyłamy wszystkich, których życie jest zagrożone. Później będzie pan mógł wrócić do Stanów i włączyć się do walki.

- Czy nie kazano wam wrócić ze mną do Stanów? Agent potrząsnął głową.

- Kazano nam wyciągnąć pana z więzienia i zastrzelić. To właśnie przytrafia się ludziom, którzy zbyt dużo wiedzą. Wrócimy do Waszyngtonu i po prostu zameldujemy, że wykonaliśmy swoje zadanie w Kanadzie.

- Czy nie będziecie musieli tego w jakiś sposób udowodnić?

- Oczywiście, że tak. Przedstawimy pański portfel ze wszystkimi dokumentami. Pan nie będzie już go potrzebował. Od tej chwili nazywa się pan Walter Ross. David Daniels spoczywa na dnie jeziora Eire, z kulą w głowie.

David milczał. Po chwili agent FBI odezwał się znów:

- Wiele się wydarzyło przez ostatnie dwa dni, niech mi pan wierzy. Młodzież żydowska formuje grupy partyzanckie. Kościoły organizują akcje sprzeciwu, protestując w pokojowy sposób, na przykład wzywając do niepłacenia podatków. Korzenie nas wszystkich tkwią w Europie, wie pan przecież o tym. Co z nas pozostanie, jeśli odetniemy się od korzeni? Przecież nie zapomina się o dziadkach, babciach, prawda? Nie zapomina się tylko dlatego, że od czasu do czasu trzeba na nich

wydawać pieniądze.

- Czy to wszystko zadziała? - zapytał David. - Czy myśli pan, że ludzi będzie obchodziło to, co się dzieje w Europie, dopóki Ameryka jest bezpieczna? Przecież to wszystko oznacza koniec zimnej wojny. Koniec konfrontacji politycznej. Koniec zagrożenia wojną nuklearną. Przecież takiemu poczuciu bezpieczeństwa trudno będzie cokolwiek przeciwstawić.

Milczący dotąd agent za kierownicą odezwał się nagle:

— Wiele zależy od zwykłej uczciwości ludzi, lojalności wobec przeszłości. Myślę, że tej lojalności brakuje obecnej administracji, co jednocześnie oznacza nielojalność wobec własnego narodu.

— Myślę, że się pan myli - powiedział David. - Ta administracja jest lojalna, ale bardzo zbłądziła. Myślę, że jest to lojalność wobec dzieci, które nie będą już wychowywane tak jak my, pod groźbą ataku nuklearnego. Jest to lojalność i przywiązanie do amerykańskiego stylu życia, pomyślności i pełnych brzuchów.

Przez kilka minut patrzył na przesuający się kanadyjski krajobraz, po czym odezwał się znowu:

— Problem polega na tym, że pokój i powodzenie nie są wiele warte, jeśli osiąga się je kosztem innych ludzi. Już wiele lat temu przestaliśmy żyć na odizolowanej wyspie. Dzień, w którym rozpoczęliśmy udział w drugiej wojnie światowej, stał się dniem, w którym wzięliśmy na siebie obowiązek współkształtowania Europy i dążenia do jej wolności. Nie na czterdzieści, nie na sto lat, ale na całą wieczność.

Agent FBI uśmiechnął się pod nosem.

— Doskonałe przemówienie, senatorze.

— To mój zawód - odparł David.

Tego samego czwartku Armia Radziecka dotarła do zachodnich granic Niemiec i późnym

wieczorem weszła na teren Holandii, aż do Groningen, i do Belgii, do Liege. Na południu otoczyła Szwajcarię i przez Alpy wdarła się do północnych Włoch. Generał Abramow miał nadzieję, że następnego dnia o świcie zajmie Rzym. Po powolnym starciu operacja Byliny rozwijała się coraz szybciej i spodziewano się, że wojska rosyjskie dotrą w czwartek wieczorem do kanału La Manche, półtora dnia wcześniej, niż to zaplanowano. Oddziały spadochroniarzy, które przygotowywano do zaatakowania w piątek Anglii, przewożono już na zachód. Dotrą do lotniska w Calais, skąd przewidywany jest atak, gdy tylko zostanie ono opanowane. Z doświadczeń Hitlera generał Abramow wiedział, że wszelka zwłoka w ataku na Anglię może mieć tylko fatalne skutki. Tym bardziej że właśnie teraz miał zapewnioną pomoc na wyspie. Z centrali brytyjskich związków zawodowych otrzymał „kategoryczne zapewnienie”, że w momencie, gdy jego siły będą lądować, kraj ogarnięty zostanie strajkiem generalnym, a strajkujący okażą siłom okupacyjnym „szczerą współpracą”. Podczas lunchu w Waszyngtonie prezydent wezwał Mortona Locka, swojego doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego. Zrezygnował z posiłku i tylko siorbał czarną kawę.

- Usiądź, Morton - powiedział. Odstawił filiżankę i dodał: - Teraz musimy być bezkompromisowi, Morton.

- Tak, panie prezydencie.

- Wiesz, że żadna z decyzji, które podjęliśmy, nie była łatwa. Wiesz także, że wszystkie są nieodwołalne. Zmieniliśmy świat, Morton, i od tego nie ma odwrotu.

- Rozumiem, panie prezydencie.

Prezydent popatrzył na filiżankę z kawą i powiedział bardziej do siebie niż do Mortona:

- Mam nadzieję, że historia osądzi mnie sprawiedliwie. Morton nic nie powiedział. Wyczuł, że prezydent ma coś konkretnego na myśli.

W końcu, charakterystycznie kiwając głową, prezydent dodał:

- Pragnę cię poinformować, że dziś rano niespodziewanie zmarł senator David Daniels.

- Dopadliśmy go więc. Prezydent nie skomentował tego.

- Mam święty obowiązek, Morton, święty obowiązek, nałożony na mnie wolą narodu przejawioną w najbardziej demokratycznych wyborach, jakie znał świat... wolą naszego wielkiego, nieśmiertelnego narodu... Z woli narodu decyzje, które podejmuję, niezależnie od tego, czy historia później oceni, że były złe lub dobre, muszą pochodzić ode mnie i wyłącznie ode mnie, muszą być niezależne od wszelkich wpływów. Czy rozumiesz, co mam na myśli?

- Chyba tak, panie prezydencie.

- Jestem pewien, że rozumiesz, Morton. W wypadku Davida Danielsa, na przykład, chcę stwierdzić, że jeśli ktokolwiek łączy pewne przecieki wiadomości o najwyższym znaczeniu dla bezpieczeństwa państwa z faktem, że senator w pewnym okresie był blisko związany z moją córką, łączy je wyłącznie dla odniesienia doraźnych politycznych korzyści.

— To zrozumiałe, panie prezydencie. - Morton westchnął głęboko i wzruszył ramionami.

Prezydent powstał.

- Pozwól, że ci jeszcze coś powiem, Morton. Davida Danielsa nie ma. Nikt nie jest w stanie niczego udowodnić. Niech tak pozostanie. Dla twojego własnego dobra.

Morton uważnie spojrzał na prezydenta. Po raz pierwszy od czasu, gdy został jego doradcą, widział twarz człowieka, który bezwarunkowo wierzy w swoje posłannictwo, człowieka, który nie tylko rozumiał wielkość swojego urzędu, ale nagle zapragnął ją ucieleśniać. Człowieka, który nie jest już wyłącznie prezydentem USA, ale ucieleśnioną władzą. Do takiego człowieka nie dotrze już żadna krytyka, żaden głos z zewnątrz. Zabije każdego swojego wroga, gdyż będzie go uważał za wroga Ameryki.

Morton wyszedł z Gabinetu Ovalnego i wrócił do swojego biura. Zamknął drzwi na klucz, podszedł do biurka i wyciągnął najniższą szufladę. Wyjął z niej półlitrową butelkę old crow i szeroką

szkłankę o grubym dnie. Nalał sobie potężną porcję whisky. Za przyszłość, pomyślał, przechylając
szkłankę i pijąc do dna. Za naród, który przeżyje wszystkich polityków, mimo ich głupoty i błędów.

Uniósł pustą szkłankę i wyrecytował: *At genus immortale manet, multosque per annos. Stat
fortuna domus, et avi numerantur auorum.*

„Lecz naród pozostanie nieśmiertelny, gwiazda nad jego domem świecić będzie przez wiele lat,
a dziadkowie dziadków liczeni będą nieskończenie”.

Resztę wydarzeń można odnaleźć opisaną dopiero w podręcznikach historii, ponieważ ci, którzy
wiedzieli prawdę o porozumieniu kopenhaskim i o operacji Byliny - to jest ci, którzy przeżyli - nigdy
nie mogli powiedzieć wszem i wobec tego, co było im wiadome. Najmniej spaczony obraz daje
chyba

Radzieckie wyzwolenie Brytanii autorstwa P. Budennego i Waltera Greene'a. Strona militarna
została

szczegółowo omówiona w: *Byliny! Bezkrwawa rewolucja*, książce wydanej przez londyński oddział
Służby Informacyjnej Biura Politycznego KPZR.

Marszałek Gołowanow został zwolniony ze służby i żyje teraz ze swoją żoną Katią w małej
wiosce niedaleko Moskwy. Istnieją jego fotografie, karmiącego prosiaki, naprawiającego ogrodzenie
i
wystawiającego twarz w kierunku ostatnich promieni późnojesiennego słońca.

Nikt nie wie, co się stało z Ingą Schultz. Nie ma także żadnych śladów Rufiny Konstantinownej.

Krążą pogłoski, że została awansowana, i to na bardzo wysokie stanowisko w KGB. Inne pogłoski
uparcie twierdzą, że została zlikwidowana.

John Bishop, po trzech miesiącach pobytu w Anglii, znaleziony został w garażu w West

Croydon, na przednim siedzeniu swojego sześcioletniego forda fiesty. Popełnił samobójstwo,

zatrzuwając się spalinami. Michael Towrisend pracuje obecnie w Radzieckim Centrum
Komputerowym

w Hemel Hempstead.

Ostatniego majowego weekendu Michael Townsend powrócił do domu i zapisał kilka stron w notesie, który następnie schował w przewodzie kominowym w sypialni swojego syna Duncana. Oto notatki Michaela:

„Dzisiaj pojechaliśmy do Hog's Back, aby obserwować sowieckie jednostki spadochronowe, lądujące na przedmieściach Aldershot. Pani premier już wyraziła zgodę na podpisanie paktu z ZSRR, tak że nie było żadnego powodu dla tego desantu, przynajmniej militarne, myślę jednak, że w tym wypadku chodziło głównie o spektakl propagandowy.

Drogi zatłoczone były już od Kingston i gdy nadleciał pierwszy sowiecki transportowiec, wszystkie samochody zatrzymały się i ludzie wyszli na szosę, żeby uważnie obserwować, co się dzieje. Wkrótce nadleciała reszta, setki wielkich samolotów, z warkotem tak głośnym, że stojący obok

siebie ludzie nie usłyszeli by się nawet, gdyby krzyczeli. Wkrótce na niebie wykwitły tysiące spadochronów. Wyglądały jak nasiona zła, opadające na ziemię. Gdy wylądował ostatni, ludzie wsiedli do samochodów i ruszyli w kierunku swoich domów. Margaret płakała”.

W listopadzie Michael napisał:

„Ciągle rozmyślam o tym, co teraz dzieje się wokół mnie. Wydaje mi się, że zrozumiałem: nastąpił ostateczny triumf kłamstwa nad prawdą, triumf zła i obłudy nad przyzwoitością. Gdy wracam pieszo do domu (oczywiście nie jestem teraz w stanie kupić sobie samochodu) i gdy widzę światła w tych wszystkich domach i gdy słyszę telewizory jazgoczące po rosyjsku, jest mi bardzo smutno, tak smutno, że właściwie nie widzę żadnego specjalnego powodu, żeby jeszcze żyć”.

Ostatnie słowo powinno jednak należeć do Davida Danielsa. Ze swojej chaty niedaleko jeziora Coquitlam na przedmieściach Vancouveru napisał krótki tekst na kartce z życzeniami na Boże Narodzenie dla swojej drugiej żony Helen. I mimo że w końcu nie zdecydował się na wysłanie kartki, słowa te zasługują na przytoczenie: „Wszystko dookoła zasypane jest śniegiem i jest tu bardzo cicho. Jest nas tu może czterystu, a może pięciuset, ukrytych w lesie, pomiędzy jeziorami, cierpliwych i

zdeteminowanych. Byłoby bardzo łatwo zapomnieć, że istnieje jeszcze jakiś świat oprócz nas, że na świecie żyje ktoś jeszcze. Lecz ciągle sobie powtarzamy, że nie jesteśmy sami. Że na świecie żyją całe

rodziny, mężczyźni, kobiety, dzieci, bracia i siostry. I my jesteśmy im bezwzględnie potrzebni.

Będziemy walczyć o ich przyszłość. Widzę przed nami długą i trudną drogę, walkę o to, aby zniszczyć

zło, które zostało uczynione. Wątpię, czy będę żył dostatecznie długo, aby doczekać końca tej walki.

Ale wiem, że nie ma na ziemi niczego wartego więcej niż wolność. Zginąć w jej obronie - to

najwspanialsza ofiara, jaką można złożyć ludzkości, i będę szczęśliwy, jeśli ja sam złożę taką ofiarę."